

Günter Grass

Szczurzyca



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy





Współczesna Proza Światowa



# Spis treści

Współczesna Proza Światowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

**Günter Grass**

**Szczurzyca**

Przełożył: Sławomir Błaut



1993

*Dla Ute*

*ROZDZIAŁ PIERWSZY, w którym spełnia się życzenie, w arce Noego nie ma miejsca dla szcurów, po ludziach zostają tylko śmiecie, statek często zmienia nazwę, jaszczury wymierają, pojawia się stary znajomy, pocztówka zaprasza w podróż do Polski, ćwiczy się chód prosty i druty do robótek szcękają na potęgę.*

Na gwiazdkę zażyczyłem sobie szcúra, mając w istocie nadzieję na inspirujące słowa do poematu, który traktuje o wychowaniu rodzaju ludzkiego. Właściwie chciałem pisać o morzu, mojej bałtyckiej kałuży; ale zwierzę zwyciężyło. Moje życzenie zostało spełnione. Pod choinką niespodzianką był dla mnie szczur.

Nie odsunięta gdzieś na bok, nie, pod osłoną jodłowych gałęzi, dopasowana do zwisających nisko choinkowych zabawek, znalazła się, w miejsce szopki ze znaną obsadą, wydłużona metalowa klatka z polakierowanymi na biało prętami i wnętrzem wyposażonym w drewniany domek, butelkę ze smoczkiem i miskę na żarcie. Prezent stał sobie z taką oczywistością, jak gdyby nie było żadnych zastrzeżeń, jak gdyby tego rodzaju dar – szczur pod choinką – był czymś naturalnym.

Bardzo powściągliwe zaciekawienie, skoro tylko zaszeleścił papier. Zwierzak buszował żwawo na podściółce ze skręconych wiórów. Kiedy po krótkim skoku przycupnął na swoim domku, lśniaca złotem bombka odbijała igranie wąsów. Od początku zdumiewała nagość jego ogona i to, że szczur jest pięciopalczasty jak człowiek.

Schludne stworzenie. Gdzieniedzie nieliczne szcurre bobki długości paznokcia u małego palca. Ów zapach wigilijny sporządzony według starego przepisu z wosku świec, woni jodły, odrobiny zakłopotania i piernika przytłumił wyziewy podarowanego mi młodego zwierzęcia, które zostało

odkupione od hodowcy węży z Giessen, trzymającego szczury na wężowy żer.

Pewnie, że niespodziankę sprawiły także inne prezenty: rzeczy użyteczne i zbędne, poukładane z obu stron. Obdarowywanie przychodzi przecież coraz trudniej. Gdzie jest jeszcze wolne miejsce? Och, jaka to bieda nie wiedzieć już, czego sobie życzyć. Wszystko się spełniło. Czego brakuje, mówimy, to niedostatku, jakbyśmy chcieli uczynić go przedmiotem życzeń. I nadal obdarowujemy się bez litości. Nikt już nie pamięta, co, kiedy i od kogo dostało mu się w prezencie. Opływałem w dostatki i zarazem byłem w potrzebie, kiedy to zapytany, czego bym chciał, zażyczyłem sobie na gwiazdkę szczura.

Naturalnie spotkały mnie drwiny. Nie obeszło się bez pytań: W twoim wieku? Czy to naprawdę konieczne? Tylko dlatego że są teraz w modzie? Czemu nie wrona? Albo jak w zeszłym roku: wydmuchiwane ustnie kieliszki? – No dobra, twoja wola.

Miała to być samiczka. Byle tylko nie biała z czerwonymi oczami, byle tylko nie szczur laboratoryjny, z tych, co to je wykorzystują u Scheringa i Bayera w Leverkusen.

Ale czy brunatnoszarego szczura wędrownego, zwanego potocznie szczurem kanałowym, będą mieć na składzie i do sprzedania?

W sklepach zoologicznych prowadzą zazwyczaj tylko te gryzonie, które nie mają zaszarganej opinii, które nie są przysłowiowe, o których nie napisano nic złego.

Dopiero na krótko przed czwartą niedzielą adwentu nadeszła ponoć wiadomość z Giessen. Syn właścicielki sklepu zoologicznego ze zwykłym asortymentem, który, nawiasem mówiąc, jechał przez Itzehoe na północ do narzeczonej, był na tyle uczynny, że przywiózł zamówiony egzemplarz; klatka mogła być śmiało schronieniem syryjskiego chomika.

Ja prawie już zapomniałem o swoim życzeniu, kiedy w Wigilię sprawiła mi niespodziankę umieszczona w klatce samiczka szczura. Zacząłem do niej

mówić, bez sensu. Później puszczało się podarowane płyty. Było trochę śmiechu z pędzla do golenia. Pod dostatkiem książek, w tym jedna o wyspie Uznam. Dzieci zadowolone. Łupanie orzechów, składanie papieru po prezentach. Szkarłatne i cynkowozielone wstążki, których końce muszą być podkręcone, celem ponownego użycia – tylko niczego nie wyrzucać! – trzeba było pozwijać.

Ranne pantofle na kożuszkę. I jeszcze to i tamto. I prezent dla mojej ukochanej, która obdarowała mnie szczurem, owinięty przeze mnie bibułą: na ręcznie kolorowanej mapie leży nieopodal pomorskiego wybrzeża Wineta, zatopione miasto. Mimo plam od pleśni i rozdarcia z boku: piękny sztych.

Dopalające się świece, rodzinka w komplecie, nastrój trudny do zniesienia, świąteczna kolacja. Nazajutrz pierwsi goście nazwali szczura słodkim.

Moja gwiazdkowa szczurzyna. Jak inaczej mam ją nazwać? Z różowymi, delikatnie rozczłonkowanymi palcami, które trzymają jądro orzecha, migdał albo sprasowany pokarm specjalny. Z początku lękliwie bacząc na opuszki moich palców zaczynam jej dogadzać: rodzynkami, okruchami sera, żółtkiem.

Posadzona przy mnie. Jej wąsy wietrzą mnie. Igra z moimi lękami, które są jej na rękę. Więc ja bronię się gadaniem. Na razie jeszcze snuję plany, w których szczury nie występują, jakby w przyszłości cokolwiek mogło zdarzyć się bez nich, jakby szczurzyny mogło nie być, skoro tylko morze zdobędzie się na lekkie falowanie, las umrze za sprawą ludzi albo garbaty człowieczek być może wybierze się w podróż.

Śni mi się ostatnio: szkolne kawałki, niewydolność ciała, wszystko, co podsuwa sen, zdarzenia, jakie wciągają mnie na jawie; moje codzienne marzenia, moje nocne sny są jej wytyczonym rewirem. Nie ma chaosu, któremu ona ze swym nagim ogonem nie nadałaby kształtu. Wszędzie pozostawiła znaki zapachowe. Cokolwiek jej podsunę – przepastne kłamstwa



i podwójne dna – ona się przeżre. Jej bezustanne gryzienie, jej przemądrzalstwo. To już nie ja gadam, to ona mi perswaduje.

Szlus! mówi. Wy to byliście kiedyś tam. Jesteście przeszli, wspomинani jako urojenie. Nigdy więcej nie będziecie wyznaczać dat. Załatwiliście się. I to na cacy. Bo też był czas!

W przyszłości już tylko szczury. Na początek nieliczne, ponieważ skończyło się niemal wszelkie życie, ale szczurzyca już się rozmnaża, opowiadając, zdając sprawę z naszego końca. Raz falsetuje z ubolewaniem, jakby chciała najmłodszemu potomstwu wpoić żal po nas, to znów w jej szczurzyźnie pobrzmiwa szyderstwo, jakby do głosu dochodziła nienawiść do naszego gatunku: Wyciągnęliście kopyta, wyciągnęliście!

Lecz ja replikuję: Nie, szczurzy co, nie! Wciąż jeszcze jest nas dużo. Wiadomości punktualnie donoszą o naszych czynach. Obmyślamy plany, które zapowiadają sukces. Przynajmniej średnioterminowe jeszcze istniejemy. Nawet ów garbaty człowieczek, który znowu chce się wtrącić, jeszcze niedawno, kiedy chciałem zejść do piwnicy, żeby rzucić okiem na zimowe jabłka, powiedział: Być może ludzie długo już nie pociągną, ale ostatecznie to my decydujemy, kiedy zamknąć sklepik.

Szczurze historyjki! Ile ona ich zna. Podobno szczury występują nie tylko w strefach cieplejszych, ale nawet w eskimoskich igloo. Z zesłańcami udało się im zasiedlić Syberię. Towarzysząc polarnikom szczury okrętowe odkryły Arktykę i Antarktydę. Żadne pustkowia nie było dla nich dość niegościnne. Za karawanami ciągnęły przez pustynię Gobi. W orszaku pobożnych pielgrzymów podążały do Mekki i Jerozolimy. Widziało się, jak w ślad za wędrującymi ludami hurmem wędrowały szczury. Z Gotami ruszyły nad Morze Czarne, z Aleksandrem do Indii, z Hannibalem przez Alpy, wierne Wandalom na Rzym. Za wojskami Napoleona do Moskwy i z powrotem. Również z Mojżeszem i ludem Izraela szczury przeszły suchą nogą Morze Czerwone, aby na pustyni Synaj skosztować manny niebieskiej; od początku nie brakowało odpadków.

Tak dużo wie moja szcurzyca. Woła, aż echo się rozlega: Na początku był zakaz! Bo kiedy Bóg ludzi zagrział: Oto ja przywiędę wody potopu na ziemię, aby wytracić wszelkie ciało, w którym jest duch żywota pod niebem, nam stanowczo zabroniono wejścia na pokład. Nie było dla nas wstępu, kiedy Noe zrobił ze swej arki zoo, chociaż jego ustawicznie karzący Bóg, przed którym znalazł łaskę, przemawiając z wysoka, powiedział wyraźnie: Ze wszystkich zwierząt czystych weźmiesz po siedmioro, samca i samicę, a ze zwierząt nieczystych po dwoje, samca i samicę. Jeszcze bowiem siedem dni, a spuszczę deszcz na ziemię przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy i wygładzę z ziemi wszelkie stworzenie, którym uczynił. Bo mi żal, że je uczynił.

I uczynił Noe wszystko, co mu Bóg rozkazał, i wziął z ptactwa według rodzaju jego, i z bydła według rodzaju jego, i ze wszystkiego ziemiopłazu według rodzaju jego; tylko z naszego gatunku żadnej pary, szcurca i szcurzychy, nie chciał wziąć do swego korabia. My, czyste czy nieczyste, nie byliśmy dla niego ani takie, ani siakie. Tak już wcześniej zakorzeniło się uprzedzenie. Od początku nienawiść i pragnienie, by ujrzeć wytępionym, co dławi i rwie na wymioty. Wrodzony człowiekowi wstręt do naszego rodzaju przeszkodził Noemu w wypełnieniu słowa swego surowego Boga. Zanegował nas, skreślił z listy, która wymieniała wszystko, co oddycha.

Na pokład swojej arki wziął, po parze, karaluchy i pająki krzyżaki, wijące się robactwo, nawet wszy i brodawkowate ropuchy, połyskliwe plujki, nas natomiast nie. Miałyśmy szczeznąć jak liczna reszta zepsutej ludzkości, o której Wszechmocny, ten ciągle żądny zemsty i przeklinający własną fuszerkę Bóg, na koniec powiedział: Wiele było złości ludzkiej na ziemi i wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystkiek czas.

Po czym zesłał deszcz, który padał czterdzieści dni i nocy, aż wszystko pokryło się wodą, a ta niosła jedynie arkę i jej zawartość. A kiedy wody opadły i z potopu wyłoniły się pierwsze wierzchołki gór, po wypuszczonym uprzednio kruku wróciła gołębica, o której zostało napisane: Przyleciała do

niego pod wieczór, niosąc gałązkę oliwki z zielonym liściem w dziobie swym. Ale nie tylko z zieleniną, także z zaskakującą nowiną przyleciała gołębica do Noego: Gdzie nic skądinąd nie pełza i nie lata, widziała szcurze bobki, świeże szcurze bobki.

Wówczas zaśmiał się zbrzydony swym partactwem Bóg, ponieważ nieposłuszeństwo Noego zostało obrócone wniwecz dzięki naszej żywotności. Powiedział jak zawsze z wysoka: Odtąd szcurzec i szcurzycha na ziemi towarzyszem człowieka i przynosicielem wszelkich obiecanych plag być mają...

Przepowiedział jeszcze więcej, czego nie ma na piśmie, poruczył nam dżumę i, jak na Wszchemocnego przystało, skombinował sobie szerszą wszechmoc. To jakoby on we własnej osobie uchronił nas od potopu. To na jego bożej dłoni para nieczystego rodzaju była bezpieczna. To na boskiej dłoni wypuszczona przez Noego gołębica widziała szcurze bobki. To jego łapie należy zawdzięczać nasze liczne dalsze istnienie, bo na dłoni Boga urodziły się nam młode, dziewięć sztuk, po czym ów miot, podczas gdy wody opanowały ziemię w sto i pięćdziesiąt dni, rozrósł się w szcurze stadko; tak rozległa jest dłoń wszechmocnego Boga.

Noe po tej przemowie milczał zapamiętale i jak to miał w zwyczaju od młodości, snuł złe myśli. Ale gdy arka szeroko i płasko osiadła na górze Ararat, spustoszone tereny wokoło były już zajęte przez nas; bo nie na bożej dłoni, lecz w podziemnych korytarzach, które uszczelniliśmy ciałami starych zwierząt i w łęgowskich zamieniłyśmy w zbawcze pęcherze powietrza, my, żywotny rodzaj szcurzy, umknęliśmy potopowi. My, długoogoniaste! My, z przeczuwającymi wąsami! My, z odrastającymi zębami! My, nieodłączne odnośniki człowieka, pleniący się komentarz do jego poczynań. My, niezniszczalne!

Wkrótce zamieszkiwałyśmy korab Noego. Nie pomagały żadne środki: jego potrawy były też naszymi. Szybciej, niż potrafili rozmnażać się ludzie wokół Noego i wybrana przezeń zwierzyna, robiło się nas coraz więcej.

Rodzaj ludzki już się nas nie pozbył.

Wtedy Noe, udając pokorę wobec swego Boga, a mimo to stawiając się na jego miejscu, powiedział: Zatwardziałe było serce moje, żem nie zważał na słowo Pana. Ale z woli Wszechmocnego na ziemi przeżył z nami szcurzec. Niech będzie przeklęty i grzebie w naszym cieniu, gdzie leżą odpadki.

To się spełniło, powiedziała szcurzyca, która mi się śni. Gdziekolwiek przebywał człowiek, w każdym miejscu, które opuszczał, pozostawały śmiecie. Nawet poszukując ostatecznej prawdy i depcząc swemu Bogu po piętach, śmiecił. Po tych śmieciach, które układały się warstwami, w każdej chwili, odkąd zaczęto szukać jego śladów w ziemi, można było go rozpoznać; bo bardziej długowieczne niżli człowiek są jego odpadki. Tylko śmiecie go przetrwały!

Jak nago leży jej ogon raz tak, raz owak. Ach, jak ona wyrosła, moja śliczna gwiazdkowa szcurzyna. W niespokojnym ruchu, potem znowu cała, prócz drżących wąsów, znieruchomiła wypełnia wszystkie sny. Raz papie swobodnie, jakby w szcurzyźnie, w której występuje dużo syczących dźwięków, należało obgadać świat ze wszystkimi detalami, to znów fałsetuje pouczająco, sadzając mnie na szkolnej ławie, udzielając mi podlanych szcurzym sosem lekcji historii; na koniec mówi tonem ostatecznym, jak gdyby zżarła Biblię Lutera, większych i mniejszych proroków, przypowieści Salomona, treny Jeremiasza, niejako mimochodem apokryfy, monotonne śpiewy mężczyzn w piecu ognistym, psalmy wszystkie i pieczęć po pieczęci Objawienie świętego Jana.

Zaprawdę, was już nie ma! słyszę jej obwieszczanie. Jak ongiś martwy Chrystus ze szczytu świata, tak szcurzyca przemawia donośnie z gór śmieci: Nic by o was nie mówiło, gdyby nie my. Co pozostało po ludzkim rodzaju, wyliczamy ku pamięci. Rozpościerają się zawałone śmieciami równiny, plaże pełne śmieci, doliny, w których piętrzą się śmiecie. Masa syntetyczna wędruje w płatkach, tubki, które zapomniały o swoim ketchupie, nie ulegają rozkładowi. Pantofle, ani ze skóry, ani ze słomy, samoczynnie biegną z

piaskiem, zbierają się w zaśmieconych dołach, gdzie czekają już żeglarskie rękawice i pocieszne zwierzaki do kąpieli. Wszystko to gada o was bez ustanku. Wy i wasze historyjki zaspawani w przezroczystej folii, zapieczętowani w utrzymujących świeżość torbach, oblani sztuczną żywicą, w chipach i clipach wy: przeszły rodzaj ludzki.

Co poza tym jeszcze pozostało: na waszych pasach startowych dudni, grzechocze złom. Zamiast jadalnego dla nas papieru podarte plandeki owinięte wokół słupów, wokół stalowych dźwigarów. Zakrzepła piana. Galareta trzęsie się, jakby w niej było życie. Wszędzie niszczyją chmary pustych kanistrów. Uwolnione z kaset ruszają w drogę taśmy filmowe: *Bunt na okręcie, Doktor Żywago, Kaczor Donald, W samo południe i Gorączka złota...* Co w ruchomych obrazach było dla was przyjemnym albo wzruszającym do łez życiem.

Ach, wasze cmentarzyska samochodów, na których dawniej dało się mieszkać. Kontenery i całe sterty masówki. Skrzynie, które nazywaliście sejfami lub trezorami, stoją pootwierane na oścież: wyrzygały każdą tajemnicę. My wszystko wiemy, wszystko! I to, coście składowali w nieszczelnych beczkach, zapomnieli albo błędnie odfajkowali, znajdujemy, nieprzebrane tysiące waszych składowisk trujących substancji: miejsca, których granice wytyczamy, dla ostrzeżenia – ostrzeżenia nas, jesteśmy już tylko my – pozostawiając znaki zapachowe.

Nie ma co ukrywać: nawet wasze śmiecie są godne uwagi! I często ktoś taki jak my zdumiewa się, kiedy wichury wraz z promieniującym pyłem przynoszą z daleka ponad wzgórzami w równinne okolice wielgachne elementy konstrukcyjne. Patrzcie, oto szybuje dach ze szklanego włókna! Tak to wspominamy ekstrawaganckiego człowieka: coraz wyższe dążenia, coraz zuchwalsze pomysły... Patrzcie, jaki pokiereszowany padł ten jego postęp!

I widziałem, co mi się śniło, widziałem trzęsącą się galarete i taśmy filmowe w drodze, widziałem dudniący złom i folie poruszane przez wichry,

widziałem truciznę wyciekającą z beczek; i widziałem ją, jak z góry śmieci obwieszczała, że człowieka już nie ma. To jest, wołała, wasza spuścizna!

Nie, szcurzyco, nie! krzychałem. Jeszcze jesteśmy na chodzie. Wyznaczono terminy na przyszłość, w urzędzie skarbowym na przykład, u dentysty. Loty wycieczkowe wykupiono z góry. Jutro jest środa, a pojutrze... Zastępuje mi też drogę garbaty człowieczek i mówi: Trzeba jeszcze spisać to i owo, ażeby nasz koniec, gdyby miał nadejść, zdarzył się w sposób przemyślany.

Moje morze, które na wschód się ciągnie  
i na północ, gdzie leży Haparanda.  
Bałtycka kałuża.  
Co poza tym wzięło swój początek na wietrznej wyspie Gotlandia.  
Jak algi zabierały powietrze śledziom  
i makrelom, a także belonom.

To, co zamierzam opowiedzieć,  
jako że chciałbym słowami odwlec koniec,  
zacząć by się mogło od meduz, których przybywa  
coraz więcej i więcej, nieprzebranie więcej,  
aż morze, moje morze,  
stanie się jedną wielką meduzą.

Albo przyplyną z mojej woli bohaterowie książeczek z obrazkami,  
rosyjski admirał, Szwed, Dönitz i kto tam jeszcze,  
aż morze dosyć rzeczy na brzeg wyrzuci  
– deski z poszycia i dzienniki pokładowe,  
spisany prowiant –  
i odbębni się wszystkie zatonięcia.

A kiedy w Niedzielę Palmową ogień z nieba  
spadł na miasto Lubekę i jej kościoły,  
na murach z wypalanej cegły płonęły wewnętrzne tynki;  
na wysokie rusztowanie wspiąć się musi powtórnie  
malarz Malskat, ażeby nam  
nie zabrakło gotyku.

Albo też przemówi, jako że ja nie potrafię  
poniechać piękna, organistka z Greifswaldu  
ze swoim R, utoczonym na nadbrzeżny krzemik.

Przeżyła, dokładnie licząc,  
jedenastu klechów i zawsze  
utrzymywała cantus firmus.

Teraz nosi imię córki Wicława.  
Teraz Damroka nie mówi,  
co jej powiedział turbot.  
Teraz ze śmiechem wspomina z ławy organowej  
swych jedenastu klechów: pierwszy, taki cudak,  
pochodził z Saksonii...

Zapraszam was: bo kończy sto siedem lat  
Anna Koljaiczek z Bysewa pod Firogą,  
to jest niedaleko od Matarni.  
Żeby święcić jej urodziny przy zimnych nóżkach, grzybach i cieście,  
zjeżdżają się zewsząd, bo szeroko  
rozgałęzia się kaszubskie ziele.

Ci zza oceanu: przybywają z Chicago.  
Australijczykom wypada najdłuższa droga.  
Kto na zachodzie jakoś się urządził, przyjeżdża,  
żeby tym, co zostali  
w Rębiechowie, Kartuzach, Kokoszkach,  
pokazać, o ile lepiej żyje się za niemieckie marki.

Pięciu ze Stoczni Lenina to delegacja.  
Czarne sutanny przynoszą błogosławieństwo Kościoła.  
Nie tylko państwowa poczta,  
Polska jako państwo jest reprezentowana.  
Z szoferem i prezentami  
przyjeżdża też nasz pan Matzerath.

Ale koniec! Kiedy nadejdzie koniec?  
Wineta! Gdzie leży Wineta?  
Z żeglarską sprawnością płyną pod wiatr; bo tymczasem  
do akcji wkraczają kobiety.  
Co najwyżej z poczty butelkowej  
można odgadnąć, jakim idą kursem.

Oto już nie ma nadziei.  
Bo z lasami,  
co ma tu być napisane,  
wymierają baśnie.

Krawaty ucięte tuż pod węzłem.  
W końcu, mając za sobą nicość, mężczyźni ustępują.

Ale kiedy morze ukazało kobietom Winetę,  
było za późno. Damroka zginęła,  
zaś Anna Koljaiczkowa powiedziała: No to i po wszystkim.  
Ach, co ma być, skoro nic już nie będzie!  
Przyśniła mi się szcurzyca i napisałem:  
„Nowa Ilsebill” schodzi na ląd jako szcur.

Kiedy w październiku osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego u skutnika Gustava Junge została zamówiona „Dora”, stalowa szkuta z drewnianym dnem, a w marcu roku dziewięćsetnego spłynęła na wodę w stoczni w Wewelsfleth, właściciel statku Richard Nickels nie przeczuwał, jak zmienne będą losy jego alsterskiej łajby, dostosowanej do wymiarów hamburskiej śluzы Graskeller, zwłaszcza że nowe stulecie, głośno zapowiadane i zawadiackie, narodziło się z wypchanymi kieszeniami, jakby chciało kupić sobie świat.

Statek miał ledwie osiemnaście metrów długości i cztery siedemdziesiąt szerokości. Wyporność „Dory” wynosiła trzydzieści osiem i pięć dziesiątych ton rejestrowych, pojemność zaś siedemdziesiąt ton, w dokumentach podawano jednak sześćdziesiąt pięć. Towarowiec, dobry na zboże i bydło rzeźne, drewno budowlane i cegłę.

Szyper Nickels woził towary nie tylko po Łabie, Stör i Oste, ale pływał też do niemieckich i duńskich portów morskich aż po Jutlandię na północy i Pomorze na wschodzie. Przy dobrym wietrze jego szkuta osiągała prędkość czterech węzłów.

W tysiąc dziewięćset dwunastym „Dora” została sprzedana szyprowi Johannowi Heinrichowi Jungclausowi, który przeprowadził skutę bez uszczerbku przez pierwszą wojnę światową i w roku dwudziestym ósmym, za czasów marki rentowej, kazał jej wmontować silnik z głowicą żarową o mocy 18 koni. Już nie Wewelsfleth, tylko Krautsand figurował na rufie jako port macierzysty: wypisany białymi literami na czarnym tle. Zmieniło się to,



kiedy Jungclaus sprzedał swą sztukę szyprowi Paulowi Zenzowi z pomorskiego miasteczka Cammin nad Dziwną, które dzisiaj nazywa się Kamień.

Tam „Dora” zwracała uwagę. Gdy płaskodenny statek pływał po Zatoce Greifswaldzkiej, szyprowie z pomorskiej żeglugi przybrzeżnej nazywali go pogardliwie „mąciwodą”. W dalszym ciągu przewóz zboża, jarmużu, bydła rzeźnego, lecz również drewna budowlanego, cegieł, dachówki holenderskiej, cementu; budowało się przecież aż po lata drugiej wojny światowej: koszary, baraki. Ale właściciel „Dory” nazywał się teraz Otto Stöhwase, a na rufie jako port macierzysty wypisany był Wolin; tak nazywa się miasto i wyspa leżąca wraz z wyspą Uznam u wybrzeży Pomorza.

Kiedy od stycznia do maja roku czterdziestego piątego duże i małe statki, przeładowane cywilami i żołnierzami, kursowały po Bałtyku, ale nie wszystkie docierały do portów Lubeki, Kilonii, Kopenhagi, na zbawczy Zachód, także „Dora” na krótko przed przebicciem się drugiej armii sowieckiej do Morza Bałtyckiego wzięła na pokład uciekinierów z Gdańska-Prus Zachodnich, aby przewieźć ich do Stralsundu. Było to wtedy, gdy zatonął „Gustloff”. Było to wtedy, gdy w zatoce pod Neustadt spłonął „Cap Arcona”. Było to wtedy, gdy wszędzie, nawet do neutralnych brzegów Szwecji, przypływały nieprzeliczone trupy; wszyscy pozostali jeszcze przy życiu sądzili, że uszli cało, i dlatego nazywali koniec godziną zero, jak gdyby przedtem nic się nie zdarzyło.

W dziesięć lat później, podczas gdy wszędzie panował zbrojny pokój, zachowująca nie zmienioną długość i szerokość szkuta została wyposażona w silnik dieslowski Bronsa o mocy 36 koni i przez nowego właściciela, firmę Koldewitz z Rugii, przemianowana z „Dory” na „Ilsebill”; pewnie w nawiązaniu do dolnoniemieckiej baśni, której tekst spisano, kiedy w całych Niemczech, więc i na wyspie Rugii, zbierano baśnie.

Nazwana imieniem żony rybaka, która od mówiącego ludzkim głosem turbota życzy sobie coraz więcej i więcej, chcąc na koniec być niczym Pan

Bóg, „Ilsebill” długo jeszcze służyła jako statek towarowy w Zatoce Greifswaldzkiej, u ujścia Peene i w zatoce Achterwasser, po czym w końcu lat sześćdziesiątych, podczas gdy nadal panował zbrojny pokój, chciano ją złomować i zatopić jako fundament mola w porcie Warthe na Uznamie. Stalowy kadłub z wypisaną na rufie nazwą miasta Wolgast jako ostatniego portu macierzystego miał osiąść na dnie.

Nie doszło do tego, bo na bogatym Zachodzie, co to mu przegrana wojna przyniosła szczęście, znalazła się nabywczyni, która pochodziła z Greifswaldu, okrężnymi drogami wylądowała w Lubece, ale nadal miała chrapkę na starą zachodniopomorską łajbę, w miarę możliwości zbudowaną na Rugii, na Uznamie albo, jak stalowa szkuta z bezanem i drewnianym dnem, zagnaną w te strony; właściwie szukała jednej z rzadkich już łodzi włokowych.

Na zakończenie długich pertraktacji nabywczyni, która – jak przystało na jej pochodzenie – wykazała się uporem, dobiła targu, ponieważ Niemiecka Republika Demokratyczna, ostatni właściciel statku, łaknęła twardej zachodniej waluty; przetransportowanie towarowej szkuty wypadło drożej niż jej kupno.

„Dora” jako „Ilsebill” stała długo w Travemünde. Kadłub i główny maszt czarne, sterówka i pozostałe nadbudówki niebiesko-białe. W długie weekendy i w ciągu urlopowych tygodni nowa właścicielka, którą chcę nazywać Damroką, gdyż bliska jest memu sercu, pucowała, naprawiała, malowała swój statek, aż w końcu lat siedemdziesiątych, choć z zawodu organistka, od młodych lat rękami i nogami służąca Bogu i Bachowi, mając już kartę żeglarską, zdobyła patent kapitański na przybrzeżne żeglowanie. Zostawiła za sobą organy wraz z kościołem i klechami, rzuciła muzyczną pańszczyznę i ma być odtąd nazywana kapitanką Damroką, nawet jeśli na swoim statku więcej mieszkała, niż pływała, stojąc sobie w zamyśleniu na pokładzie, jakby zrosnięta z napełnionym zawsze do połowy dzbankiem kawy.

Dopiero z początkiem lat osiemdziesiątych Damroka powzięła plan, który – po próbnym rejsach w Zatoce Lubeckiej i do Danii – z końcem maja tego roku, będącego według kalendarza chińskiego rokiem szczura, ma być wprowadzony w czyn.

Zbudowana w roku 1900 szkuta z bezanem, która kilkakrotnie zmieniała właściciela i port macierzysty, straciła bezanmaszt, ale po ostatniej przebudowie zyskała mocny silnik Diesla, łajba, która obecnie, jak gdyby miało to ucieleśniać program, nosi miano „Nowa Ilsebill” i wkrótce otrzyma kobiecą załogę, została w porcie Travemünde przerobiona ze statku towarowego na badawczy. W forkasztelu ścianą z desek wydzielono ciasną sypialnię dla załogi. Rozbudowana na szafę część dziobowa pomieści worki żeglarskie, książki, robótki i drobiazgi do pierwszej pomocy. Ładownia na śródokręciu z długim stołem do pracy ma w przyszłości służyć badaniom. Sterówka nad maszynownią z nowym stuosiemdziesięciokonnym silnikiem, drewniana altanka z oknami na wszystkie strony, została od strony rufy powiększona o małą kuchenkę; to raczej komórka niż kambuz.

Pięć kobiet to przepełnienie: ciasno i niezbyt przytulnie jest na pokładzie. Wszystko funkcjonalne: stół badawczy musi też być stołem jadalnym. „Nowa Ilsebill” ma pływać po zachodniomorskich, duńskich, szwedzkich i – jeśli przyjdzie zezwolenie – enerdowskich wodach przybrzeżnych. Misja jest jasno określona: należy wyrywkowo zmierzyć zagęszczenie meduz w zachodnim Bałtyku, bo zameduzienie tego morza wzrasta nie tylko statystycznie. Cierpią na tym kąpieliska. Poza tym chełbie modre, żywiąc się planktonem i larwami śledzia, szkodzą rybołówstwu. Z tych względów Instytut Oceanografii z siedzibą w Kilonii rozdzielił zlecenia badawcze. Naturalnie, jak zawsze, środków nie starcza. Naturalnie przedmiotem badań ma być nie przyczyna zameduzienia, lecz tylko fluktuacja meduzich zasobów. Naturalnie już teraz wiadomo, że wyniki pomiarów będą złe.

Mówią to kobiety na pokładzie statku, które potrafią, jedna w drugą, być skore do śmiechu, kpiarskie, uszczypliwe i w razie czego jadownicie

z gryźliwe; z przyprószonymi siwizną włosami nie są już najmłodsze. Już przy wyjściu z portu – z lewej burty molo pełne machających rękami turystów – fala dziobowa rozdziela nader obfitą ławicę meduz, która za rufą wśród bełtania łączy się z powrotem.

Przed tą podróżą piątka wymarzonych przeze mnie kobiet przeszła przeszkolenie. Umieją wiązać węzły i brać pełny wiatr. Obkładanie knagi, nawijanie liny idzie im jak z płotka. Potrafią, lepiej czy gorzej, odczytać wytyczony bojami szlak wodny. Biorą kurs jak prawdziwi marynarze. Kapitanka Damroka oprawiła swój patent w ramki i zawiesiła pod szkłem w sterówce. Poza tym ani jednego obrazka ku ozdobie, za to nowa echosonda Atlasa obok starego kompasu i odbiornika meteo.

Wiadomo co prawda, że Bałtyk jest zachwaszczony przez algi, postarzały za sprawą brodatej trawy morskiej, przesycony meduzami, ponadto zartęciowiony, zaolowiony i czym tam jeszcze zapaskudzony, ale trzeba zbadać, gdzie jest w większym lub mniejszym stopniu, gdzie jeszcze nie, gdzie szczególnie zachwaszczony, postarzały, przesycony, nie bacząc na szkodliwe substancje, które są bilansowane gdzie indziej. Z tego powodu statek badawczy został wyposażony w instrumenty pomiarowe, z których jeden nosi miano „rekin pomiarowego” i żartobliwie bywa nazywany „licznikiem meduz”. Poza tym należy zmierzyć, zważyć, określić zasoby planktonu, larw śledzia i tego wszystkiego, co tam jeszcze pożera meduza. Jedna z kobiet ma za sobą studia oceanograficzne. Zna wszystkie liczby dawno już zdezaktualizowanych pomiarów i biomasę zachodniego Bałtyku z dokładnością do miejsc po przecinku. Na tych stronach będzie odtąd nazywana oceanografką.

Przy słabym wietrze północno-zachodnim szkuta badawcza bierze kurs. Spokojne jak morze i pewne swych umiejętności kobiety oddają się żeglarskim zajęciom. Pomału, ponieważ jak tak chcą, przyzwyczajają się do tego, żeby zwracać się do siebie nawzajem podług funkcji i wołać: – Hej, mechaniczko! – albo: – Gdzie się podziewasz, oceanografko? – Tylko

najstarszą z kobiet, chociaż zawiaduje kuchnią, nazywam nie kucharką, tylko Starą.

Jeszcze nie trzeba spuszczać pomiarowego rekina. Jest czas na opowiadki. W odległości trzech mil od kąpielisk holsztyńskiego wybrzeża kapitanka opowiada sterniczce o zamierzonych czasach, kiedy to przez siedemnaście lat była wierna swojej parafii i przeżyła, jednego po drugim, jedenastu klechów. Na przykład pierwszemu – „To był taki cudak, pochodził z Saksonii” – skracala zawsze za długie kazania chorałem *Dosyć już*. Ponieważ jednak sterniczka tylko uśmiecha się w duchu i zgodnie ze swym charakterem pozostaje cierpka, Damroka streszcza tę opowiadkę i każe pierwszemu ze swoich jedenastu klechów, po nagłym upadku z organowej empory, rozstać się z życiem: „No i zostało już tylko dziesięciu...”

Nie, mówi szcurzyca, która mi się śni, dość mamy takich kawałków. Było kiedyś tak i było kiedyś owak. Wszystko, co spisane jest czarno na białym. Przemądrzalstwo i kościelna łacina. My, szcury, tuczyliśmy się na tym, przegryzałyśmy się aż do uczoności. Te poplamione pleśnią pergaminy, oprawne w skórę foliały, naszpikowane karteluszkami wydania zbiorowe i chełpliwe encyklopedie. Od d’Alemberta po Diderota, wszystko to jest nam znane: święte Oświecenie i późniejszy wstręt do wiedzy. Każda wydzieliną ludzkiego umysłu.

Jeszcze dawniej, już za czasów świętego Augustyna, byłyśmy przeżarte. Od Sankt Gallen do Uppsali: nie było klasztornej biblioteki, która by nie pogłębiła naszej erudycji. Cokolwiek może znaczyć określenie „szcur książkowy”, jesteśmy odcytane, w czasach głodu tłuszczyliśmy od cytatów, znamy na wylot literaturę piękną i literaturę faktu, sycili nas przedsokratycy i sofiści. Potąd miałyśmy sokratyków! Ich zawiłe zdania, które skracaliśmy i skracaliśmy, zawsze wychodziły nam na zdrowie. Odnośniki, jaka to pyszna przekąska! Dla nas, od początku oświeconych, rozprawy i traktaty, ekskursy i dysertacje były mądrało watą rozrywką.

Ach, wasz pot myślowy i rzeka atramentu! Ile papieru poczerniono, żeby

przyczynić się do wychowania rodzaju ludzkiego! Pamflety i manifesty. Słowa wykoncypowane i zgłoski dzielone na czworo. Stopy wiersza policzone i sens wyłożony. Tyle mędrkowania. Nic dla ludzi nie było wolne od wątpliwości. Każdemu słowu przeciwstawionych siedem innych. Ich spór, czy Ziemia jest okrągła i czy chleb to rzeczywiście ciało Pana, toczony na wszystkich kazalnicy. Szczególnie lubiliśmy ich kłótnie teologiczne. W istocie można było przecież czytać Biblię tak albo siak.

I szczurzyca, która nie chciała słyszeć ani słowa o Damroce i jej klekach, opowiedziała, co jej utkwilo w pamięci z czasów religijnej żarliwości, przed i po Lutrze: swary mnichów i właśnie teologów. A zawsze szło o słowo prawdziwe. Naturalnie wkrótce znów była mowa o Noem; szczurzyca wsunęła mi w sen trzypiętrową arkę, taką, jakiej zażądał Bóg.

Tak! zawołała, powinien był nas przyjąć na pokład swojej łajby z jodłowego drewna. W pierwszej księdze Mojżesza nie padły bynajmniej słowa: Precz ze szczurami! Nawet wąż, o którym można było przeczytać w druku, że przeklęty jest między wszystkimi bydlętami i zwierzętami polnymi, miał prawo jako para – wąż i wężyca – wejść na drewnianą łajbę. Dlaczego nie my? To było oszukaństwo! My składałyśmy protest, raz za razem.

Musiałem następnie obejrzeć zmieniające się z właściwą snom płynnością sceny, jak to z polecenia Noego na kilkupiętrową arkę wprowadzano po rampie siedem par czystego bydła, po jednej parze nieczystej zwierzyny. Noe cieszył się swoją menażerią jak dyrektor cyrku. Nie brakowało żadnego rodzaju. Wszystko to tupotało, kłusowało, podskakiwało, dreptało, mknęło, pełzało, fruwało, wlokło się, wiło do środka, nie wyłączając dżdżownicy i jej małżonka. Parami znajdowały schronienie: wielbłąd i słoń, tygrys i gazela, bocian i sowa, mrówka i ślimak. I parami po psach i kotach, lisach i niedźwiedziach mnogość gryzoni: popielice i myszy, a jakże, myszy leśne, polne, pustynne i tańczące. Ale za każdym razem, ilekroć chciały się przyłączyć szczurzec i szczurzyca, aby również zapewnić sobie schronienie, rozbrzmiewało: Precz! Jazda stąd! Nie wolno!

To nie Noe wołał. On, milczący i skrzywiony, u wrót łajby prowadził listę obecności: karbował znaki na glinianych tabliczkach. Wołali to jego synowie Sem, Cham i Jafet, trzy potężne chłopiska, którym później, według nakazu z wysoka, wyznaczono zadanie: Rośnijcie i mnożcie się, i zapelniajcie ziemię. Oni wrzeszczeli: Zmiatajcie raz na zawsze! Albo: Szczurom wstęp wzbroniony! Wprowadzali w czyn słowo swego ojca. Żal było patrzeć, jak kijami wytropiono biblijną parę szczurów w kudłatej sierści długowłosych owiec, pod obwisłym brzuchem hipopotama, jak okładając spędzono je z rampy. Wyszdyzane przez małpy i świnie dały w końcu za wygraną.

I gdybyśmy, powiedziała szczurzyca, podczas gdy arka zapełniała się w oczach, nie przechowały się na dłoni Boga, nie, jeszcze pewniej: gdybyśmy się nie zagrzebały, nie uszczelniły naszych podziemnych korytarzy i z łęgówisk nie uczyniły zbawczych pęcherzy powietrza – dzisiaj by nas nie było. Nie pozostałby nikt znaczniejszy, komu udałoby się przeżyć rodzaj ludzki.

My byliśmy zawsze. W każdym razie istniałyśmy pod koniec kredy, kiedy jeszcze o człowieku ani się śniło. W owym czasie tu i gdzie indziej dinozaury i podobne monstra ogałacały z liści lasy skrzypów i paproci. Głupie zimnokrwiste zwierzaki składały śmiesznie duże jaja, z których wykluwały się niekształtne nowe monstra i rozrastały do gigantycznych rozmiarów, aż nam obmierzły te wybryki natury i zaczęłyśmy – mniejsze niż dzisiaj, porównywalne mniej więcej ze szczurem z Galapagos – rozwalać ich olbrzymie jaja. Ogłupiałe i zdrętwiałe w nocnym chłodzie jaszczury stały bezradnie, niezdolne do jakiegokolwiek obrony. One, kaprysy często rozkapryszonej natury, oczami umieszczonymi w stosunkowo maleńkich, w akcie stworzenia na poły zapomnianych głowach, musiały patrzeć, jak my, od początku ciepłokrwiste, my, pierwsze żyworodne ssaki, my z ciągle rosnącymi zębami, my, ruchliwe szczury, wygryzałyśmy dziury w ich olbrzymich jajach, choćby skorupy były nie wiem jak twarde i grube. Ich dopiero co złożone, jeszcze nie zalęgnięte jajeczne potomstwo musiało znosić

dziurę za dziurą, aż wypływało, radując nas i sycąc.

Biedne dinozaury! zakpiła szczurzyca, ukazując swe stale rosnące siekacze. Wyliczyła brachiozaura i diolodoka, dwa straszydła, których waga dochodziła do osiemdziesięciu ton, łuskowate zauropody i pokryte pancerzem teropody, do których należał tyranozaur, drapieżne monstrum piętnastometrowej długości, ptasiostope jaszczury i pokrytego rogową skórą torozaura; wszystkie te potwory ukazały mi się we śnie jak żywe. Na dodatek jeszcze amfibie i latające jaszczurki.

Mój Boże, zawołałem, jedno straszydło gorsze od drugiego!

Szczurzyca powiedziała: Wkrótce przyszła na nie kryska. Po utracie swych olbrzymich jaj, pozbawione przyszłych małych potworków, dinozaury powlokły się na bagna, aby zatonać bez skargi i na oko bez uszczerbku. Toteż później człowiek, z ciekawości bezustannie grzebiąc w ziemi, znalazł ich szkielety tak porządnie ustawione jeden przy drugim, po czym wybudował obszerne muzea. Po złożeniu kości do kości jaszczury wystawiono na widok publiczny, a każdy egzemplarz zapełnił osobną salę. Wprawdzie znaleziono też godne obejrzenia olbrzymie jaja w skorupie naznaczonej naszymi zębami, ale nikt, żaden z badaczy schyłku kredy, żaden z arcykapłanów teorii ewolucji, nie chciał potwierdzić naszego dokonania. Mówiono, że dinozaury wymarły z nie wyjaśnionych dotąd powodów. Jako domniemane przyczyny wymarcia monstrów podawano wielowarstwowe zgrubienie skorupy jaj, nagłą zmianę klimatu i potopowe ulewy; naszych, szczurzych, zasług nikt nie chciał uznać.

Tak skarżyła się szczurzyca, która mi się śni, zademonstrowawszy kilkakrotnie i kąśliwie tłuczenie olbrzymich jaj. Bez nas te poczwary istniałyby nadal! zawołała. Zrobiłyśmy miejsce nowemu, już nie monstrialnemu życiu. Dzięki naszej pilności w gryzieniu mogły rozwinąć się ciepłokrwisto inne ssaki, wśród nich wczesne formy późniejszych zwierząt domowych. Nie tylko psy, konie, świnie, także człowieka da się wywieść od nas, pierwszych ssaków; za co on odpłacał nam niewdzięcznością od czasów



Noego, kiedy to szczurzec i szczurzy cha nie mieli prawa wejść do jego łajby...

Należy kogoś powitać. Człowiek, który przedstawia się jako stary znajomy, twierdzi, że nadal istnieje. Chce znowu być. Dobra, niech będzie.

Nasz pan Matzerath ma za sobą to i owo, a niebawem także będzie miał sześćdziesiąte urodziny. Nawet jeśli pominiemy proces i osadzenie w zakładzie dla nerwowo chorych, do tego nieuchwytność winy, to po wyjściu na wolność sporo trudów nagromadziło się na garbie Oskara: te wzloty i upadki na tle powoli rosnącego dobrobytu. O ile jego wczesne lata skupiły na sobie wiele uwagi, o tyle starzenie się przebiegało niepostrzeżenie i nauczyło go zapisywać straty po stronie małych zysków. Pośród jednakich kłótni rodzinnych – zawsze chodziło o Marię, a zwłaszcza o jego syna Kurta – suma minionych lat uczyniła zeń zwykłego podatnika i samodzielnego przedsiębiorcę: wyraźnie postarzałego.

Popadł zatem w zapomnienie, chociaż domyślaliśmy się, że musi jeszcze żyć: siedzi gdzieś tam zaprzątnięty sobą. Wystarczyłoby zadzwonić do niego – „Halo, Oskarze!” – a już by tu był: gadatliwy; bo nic nie przemawia za jego śmiercią.

Ja w każdym razie nie uśmierciłem naszego pana Matzeratha, ale w związku z nim nic specjalnego nie przychodziło mi już do głowy. Od trzydziestych urodzin nie było od niego żadnej wiadomości. Nie udzielał się. A może to ja go nie dopuszczałem?

Dopiero niedawno, kiedy ni mniej, ni więcej wybrałem się do piwnicy po marszczące się zimowe jabłka, zaprzatając myśli co najwyżej moją gwiazdkową szczurzyną, spotkaliśmy się niejako na wyższym poziomie: stał tam i nie stał, udawał, że jest, i raptem począł rzucać cień. Chciał, żeby zwrócić na niego uwagę, zapytać. I ja już zwracam na niego uwagę: Co go tak nagle czyni godnym uwagi? Czyżby znów nadszedł jego czas?

Odkąd w kalendarzu figurują sto siódme urodziny jego babki Anny Koljaickowej, pada, zrazu półgłosem, pytanie o naszego pana Matzeratha.

Znalazła go pocztówka z zaproszeniem. Ma być jednym z gości, kiedy na Kaszubach zaczną się obchody. Wzywają go już nie do Bysewa, na którego polach powstały betonowe pasy startowe lotniska, ale do Matami, wsi położonej nie opodal. Czy ma chęć jechać? Czy powinien poprosić Marię, Kurtusia, żeby mu towarzyszyli? Byłoby to możliwe, że myśl o powrocie napawa naszego Oskara lękiem? A jak tam z jego zdrowiem? Jak dzisiaj ubiera się garbaty człowieczek? Czy należy, czy wolno go ożywić?

Kiedy ostrożnie się upewniałem, szcurzyca, która mi się śni, nie miała nic przeciwko zmartwychwstaniu naszego pana Matzeratha. Przywołując jeszcze wszystkie śmiecie, które będą świadczyć o nas, powiedziała mimochodem: Będzie sobie poczynał mniej niepohamowanie niż dawniej, skromniej. Przeczuwa to, co potwierdzi się tak ponuro...

Wołam więc – „Halo, Oskarze!” – i on już jest. Ze swą podmiejską willą i zwalistym mercedesem. Wraz z firmą i filiami, nadwyżkami i rezerwami, wierzytelnościami i sumami spisany na straty, wraz z wykoncypowanymi przez siebie planami zaciągania krótkoterminowych kredytów. Z nim pojawia się resztkę jego rozgderanej rodziny i owa produkcja filmowa, która dzięki wejściu w porę na rynek Video stale zwiększa swą obecność. Po osławionej, z czasem już wstrzymanej serii porno liczy się przede wszystkim jego program oświatowy, nazywany wielce zasłużonym i na podobieństwo szkolnego dożywiania karmiący obfitością kaset coraz więcej uczniów. Ma wrodzone wyczucie mediów i zamiłowanie do antycypacji i retrospekcji. Muszę go tylko brać na przynętę, rzucać mu okruchy, a będzie naszym panem Matzerathem.

– Nawiasem mówiąc, Oskarze, co pan sądzi o umieraniu lasów? Jak pan ocenia grożące niebezpieczeństwo zameduzienia zachodniego Bałtyku? Gdzie dokładnie zlokalizowałyby pan zatopione miasto Wineta? Był pan już kiedyś w Hameln? Pan też myśli, że niedługo przyjdzie koniec?

Nie ożywia go umierający las ani nadmiar meduz, to moje pytanie, co sądzi o procesie Malskata – pamięta pan, Oskarze, to było w latach

pięćdziesiątych – czyni go niespokojnym i, miejmy nadzieję, wkrótce elokwentnym.

Zbiera przedmioty z tamtych czasów. Nie tylko modne wtedy stoliki w kształcie nerki. Jego biały adapter, na którego talerz kładzie ostrożnie przebojowe nagranie *The Great Pretender*, to wyrób dbałej o piękno kształtów firmy Braun, zwany wówczas, kiedy toczył się proces Malskata, „trumną Królowy Śnieżki”; koloryt i wieko z pleksiglasu pozwalają na to porównanie.

Jako że znajduję się w jego podmiejskiej willi, pokazuje mi jej piwnice, wszystkie, z wyjątkiem jednej, która budzi ciekawość, gdyż pozostaje zamknięta, zastawione przedmiotami z lat nowego początku. Większe pomieszczenie służy prywatnym pokazom filmowym. Na okrągłych blaszanych pudlach czytam tytuły – *Sissi*, *Leśniczy z Silberwaldu*, *Grzesznica* – i domyślam się, że nasz pan Matzerath wciąż jeszcze jest więźniem dziesięciolecia omamień, choć jego produkcja na rynek video wskazuje, iż jest kimś, kto stawia na przyszłość.

– To prawda – mówi – w gruncie rzeczy lata pięćdziesiąte się nie skończyły. Nadal żyjemy z utwierdzonego wtedy szachrajstwa. Jakie to solidne oszukaństwo! To, co nastąpiło potem, było zyskownym zabijaniem czasu.

Z dumą pokazuje mi meserszmitowski autokuter, który – ustawiony na podeście – dominuje nad niewielkim piwnicznym pomieszczeniem. Wygląda jak nowy i zaprasza dwie osoby do zajęcia miejsc, jedna za drugą. Na kremowo wytapetowanych ścianach wiszą połączone w grupy, oprawione w ramki fotosy, ukazujące naszego pana Matzeratha jako pasażera na tylnym siedzeniu autokutera. Najwidoczniej siedzi on na podwyższeniu, bo spoglądający ponuro mężczyzna przy kierownicy wydaje się równy mu wzrostem. Jedna z fotografii przedstawia obydwu stojących przed pojazdem: tym razem różnica wzrostu jest wyraźna.

– Ale to przecież jest! – wołam. No jasne! Poznają go, mimo szoferskiej

czapki.

Nasz pan Matzerath uśmiecha się karło. Nie, śmieje się w duchu, bo garb mu podskakuje. – Racja! – woła. – To jest Bruno. Dawniej mój pielęgniarz, ale i przyjaciel w ciężkich czasach. Wierna dusza. Kiedy po wypuszczeniu mnie poprosiłem, żeby również poza zakładem dla nerwowo chorych stał u mego boku i wraz ze mną korzystał z nowo uzyskanej ruchliwości, od razu zrobił prawo jazdy. Znakomity kierowca, chociaż uparciuch. Ale co ja gadam, przecież pan go zna.

I oto nasz pan Matzerath opowiada, jak to on i Bruno Münsterberg w roku pięćdziesiątym piątym „zaczynali całkiem od nowa”. Po meserszmitowskim autokuterze przyszła kolej na borgwarda, a potem na mercedesa 190 SL, którego jego szofer nadal prowadzi, to z biegiem lat rzadki już egzemplarz. Jeśli on wybierze się do Polski, przeciwko czemu to i owo przemawia, to powierzy swoją osobę temu niezniszczalnemu świadectwu wysoko kwalifikowanej niemieckiej pracy. Nawiasem mówiąc, wtedy, w czasach autokutera, dobiegł końca ów proces, któremu nadano miano od nazwiska malarza Malskata.

Ale utyskując jeszcze na wyrok i traktując Malskata jak bratnią duszę, mówiąc nawet o „wielkim Malskacie”, nasz pan Matzerath wraz ze swym muzeum znika mi z oczu...

Siedząc przypięty w fotelu na kółkach krzychałem, jak gdybym we śnie miał dostęp do megafonu: My jesteśmy! Wszyscy nadal jesteśmy! Nie dam sobie nic wmówić!

Ale ona falsetowała niewzruszenie, z początku niezrozumiałą szcurzyzną – Do minszer gripsz ultemosz! – aby potem walić prosto z mostu: Dobrze, że już po nich! Wszystko skopali. Z głową w górze zawsze musieli sobie coś wymyślić. Nawet gdy od nadmiaru omal się nie zadusili, nie mieli dość, nigdy dość. W razie potrzeby wynajdywali sobie niedostatek. Głodujące obzartuchy! Głupi mądrale! Wciąż skłócenie z sobą. Strachliwi w łóżku, szukali niebezpieczeństwa poza nim. Znudzeni starymi, psuli swoje dzieci.

Niewolnicy trzymający niewolników. Nabożni obłudnicy! Wyzyskiwacze! Wyzbyci natury. Dlatego okrutni. Przybili gwoździami do krzyża jedyne go syna swego Boga. Błogosławili swoją broń. Dobrze, że już po nich!

Nie, krzychałem z mojego fotela na kółkach, nie! Ja jestem. My wszyscy jesteśmy. Pełni wigoru i nowych pomysłów. Wszystko powinno się poprawić, a jakże, uczłowieczyć. Muszę tylko zatrzymać ten sen, ten zamęt, a będziemy znowu, a sprawy będą dalej polepszać się i posuwać naprzód, a ja, skoro tylko gazetę i zaraz po śniadaniu...

Ale mój megafon uległ jej falsetowi: Dobrze, że już nie myślą, niczego nie wymyślają sobie i niczego już nie planują, nie projektują, nie wytyczają sobie celów, nigdy już nie powiedzą: mogę chcę będę i nigdy już nie zdołają chcieć wykroczyć poza granice. Ci durnie ze swym rozumem i swymi nazbyt dużymi głowami, ze swą logiką, która funkcjonowała, funkcjonowała do samego końca.

Cóż mi przyszło z mojego „nie”, mojego „ja jestem”, „ja wciąż jestem”; jej głos był górą, zwyciężał: Już po nich, po nich! To i dobrze. Nie czuje się ich braku. Te humanusy myślały, że słońce będzie się ociągać ze wschodem i zachodem po ich wyparowaniu, odsączeniu czy wyżarzeniu, po wyzdychaniu nieudanego rodzaju, po zagładzie ludzkiego gatunku. Wszystko to nie obeszło księżycy ani gwiazd. Nawet przyływ i odpływ nie chciały wstrzymać tchu, chociaż tu i ówdzie morza wrzały albo szukały sobie nowych brzegów. Od tej pory cisza. Z nimi skończył się ich hałas. I czas płynie, jak gdyby nigdy nie został policzony i zamknięty w kalendarzu.

Nie! krzychałem, to błąd! i żądałem sprostowania, natychmiast: Jest teraz, jak sądzę, wpół do szóstej rano. Krótco po siódmej obudzę się z pomocą budzika, opuszczę ten piekielnie wygodny fotel na kółkach, w którym siedzę jakby przypięty pasami, i mój dzień – środa, to jest środa! – zaraz po śniadaniu, nie, po myciu zębów, przed herbatą, chlebem żytnim, kiełbasą, serem, jajkiem, i zanim wmiesza mi się paplanina gazety, zacznę od

nieposzlakowanych postanowień...

Nic jednak nie dało się jej wyperswadować, za to ona się pomnażała. Kilka miotów falsetowało i przepępniało obraz. Znów jej szcurzyzna: Fucz midde minszer. Sztubbich geszemmele nuch! Co miało znaczyć: Już tylko deszcz pyłu i dobrze, że nie rzucają więcej cienia.

Jedynie ich śmiecie, które promieniują, i ich trucizny, które wyciekają z beczek. Nikt by o nich nie wiedział, gdyby nie my, falsetowało potomstwo szcurzyca i potomstwo potomstwa. Teraz, kiedy jest już po nich, można wspominać ich przyjaźnie, nawet z wyrozumiałością.

Kiedy ja trzymałem się już tylko mojego fotela na kółkach, szcurzyca znów przemówiła sama: Owszem, podziwialiśmy ich prosty chód, tę postawę samą w sobie, ich ponadczasowy majstersztyk. Długie wieki w jarzmie, w drodze na szafot, całe życie po korytarzach, odsyłani z pokoju do pokoju: zawsze chodzili wyprostowani bądź pochyleni, bardzo rzadko łażąc na czworakach. Godne podziwu dwunogi: w drodze do pracy, na wygnanie, na rychłą śmierć, w marszu naprzód śpiewający ochryple, w odwrocie milczący. Przypominamy sobie postawę człowieka, kiedy to wznosił piramidy, kamień po kamieniu, budował Chiński Mur, przeciągał kanały przez malaryczne bagniska, dziesiątkował się pod Verdun lub Stalingradem. Ludzie pozostawali nieustępliwie na zajmowanych pozycjach; a kto bez rozkazu uciekł na tyły, tego rozstrzeliwano z wyroku sądu doraźnego. Często mówiliśmy sobie: Na jakiegokolwiek zejść manowce, będzie ich wyróżniał prosty chód. Osobliwe drogi i bezdroża: ale oni przemierzali je krok za krokiem. A ich procesje, pochody, defilady, ich tańce i bieganie na wyścigi! Patrzcie, pouczaliśmy nasze potomstwo: To jest człowiek. To go wyróżnia. To go czyni pięknym. Głodny w wielogodzinnej kolejce, ba, nawet przygarbiony, pognębiony przez podobnych sobie albo pod wyimaginowanym ciężarem, który nazywa sumieniem, obarczony przekleństwem swego mściwego Boga, pod ciężarem krzyża. Patrzcie na te za każdym razem inne w kolorze, poświęcone cierpieniu obrazy! Człowiek to

wszystko wytrzyma. Wyprostowany idzie po upadkach dalej, jak gdyby chciał być lub stać się przykładem dla nas, które byłyśmy zawsze blisko niego.

Nie uciekając się już do dźwięków syczących i szurzących, nie wpadając w gniew, szurzyca łagodnie przemawiała do mnie w fotelu na kółkach, który unosząc się w bezprzestrzeni coraz bardziej upodabniał się do siedzenia w kapsule kosmicznej. Mówiła mi: bracie, później także: bratku. Widzisz, bracie: my już ćwiczymy prosty chód. Wyciągamy się w górę i wietrzymy ku niebu. A jednak upłynie sporo czasu, nim opanujemy ludzką postawę.

I oto zobaczyłem pojedyncze szurzyce, zobaczyłem młode, zobaczyłem szurzyce stada ćwiczące chód prosty. Najpierw na ziemi niczyjej, która bez drzew i krzaków była opustoszała, potem ich plac ćwiczeń wydał mi się nagle znajomy, swojski. Z początku widziałem, jak szurzyce próbują swych sił jako dwunogi na placach, później na ulicach biegnących między domami o pięknych szczytach ku kościelnym portalom. W końcu otworzyło się sklepienie wysoko wewnątrz gotyckiego kościoła halowego. U stóp wznoszących się ku górze filarów stały one, choć tylko przez kilka sekund, aby po krótkim opadnięciu wyprostować się ponownie. Widziałem stada szurzyców stłoczone na posadzce z kamiennych płyt środkowej nawy aż po prezbiterium, widziałem je w bocznych nawach, cisnące się aż do stopni bocznych ołtarzy. To nie w kościele mariackim w Lubece, nie w jakiejś innej gotyckiej świątyni z wypalanej cegły na bałtyckim wybrzeżu, to niewątpliwie w głównym kościele Gdańska, noszącym po polsku miano kościoła Najświętszej Panny Marii, stada szurzyców przyswajały sobie nową postawę.

Dobrze, zawołałem, jak dobrze! Wszystko stoi przecież jeszcze na swoim miejscu. Kamień na kamieniu. Nie brak żadnego szczytu, nie skreślono żadnej wieżyczki. Jakiż to koniec, szurzyco, skoro Panna Maria, stara kwoka z wypalanej cegły, nadal coś tam wysiaduje?

Wydało mi się, że szurzyca się uśmiecha. No cóż, bratku. Tak to wygląda, jak w książce z obrazkami, wszystko, wypisz, wymaluj, zostało po

staremu. Miało to swoje powody. Na zagładę Danzigu lub Gdańska, jak tam sobie chcesz nazywać to swoje miasto, przewidziano coś specjalnego: coś, co porywa i zarazem zachowuje, coś, co jedynie życie odbiera, natomiast martwym przedmiotom okazuje respekt. Popatrz tylko: ani jednego zwalonego szczytu, ani jednej ściętej kopuły. Wciąż zdumiewa, jak każde sklepienie biegnie ku swemu zwornikowi. Kwiatony i rozety, trwale piękno! Wszystko prócz ludzi ocalało. Jakie to pocieszające, że nie tylko śmiecie świadczą o was...

Przyłapała mnie na niszczeniu chrupkich wypieków:  
słone paluszki, powstawiane do szklanek,  
rozłożone wachlarzowato, żeby łatwiej sięgać.

Z początku chrupałem pojedyncze paluszki  
coraz szybciej i krócej, do szczętu,  
potem unicestwiałem całymi wiązkami.

Ta słona papka!  
Pełnymi ustami domagałem się więcej.  
Gospodarze mieli zapasy.

Później, we śnie, szukałem rady,  
bo, złaknionego słonych paluszków, wciąż  
ciągnęło mnie do niszczenia.

To twoja złość szuka kompensaty,  
szuka dniem i nocą,  
powiedziała szcurzyca, która mi się śni.

Ale kogo, spytałem, tak naprawdę,  
pojedynczo albo wiązkami,  
chcę zniszczyć do szczętu?

Przede wszystkim siebie, odrzekła szcurzyca.  
Na początku samozniszczenie  
dokonywało się tylko prywatnie.

Na morzu robią na drutach. Robią na drutach, płynąc z małą prędkością i stojąc na kotwicy. Ich robótki mają nadbudowę. Nie sposób jej przeoczyć,



ponieważ kiedy robią na drutach, dzieje się więcej, niżby dało się wyliczyć w prawych i lewych oczkach: na przykład jakie są zgodne w swoich poczynaniach, chociaż jedna drugiej życzy świerzbu.

Właściwie pięć kobiet na pokładzie statku „Nowa Ilsebill” miało być dwunastoma kobietami. Tyle zgłosiło się na rejs badawczy dawnej szkuty towarowej; i równie przesadnie duża liczba zebrała się początkowo w głowie. Jako że jednak w Luksemburgu odbywał się pięciodniowy kongres, a na wyspie Stromboli trzytygodniowe seminarium z okazją do wspólnych robótek na drutach, zmniejszyła się zawyżona przeze mnie liczba; zgłoszenia na „Ilsebill” spadły do dziewięciu, potem do siedmiu, gdyż dwie kobiety ze swymi robótkami musiały bez zwłoki udać się do Schwarzwaldu, a na koniec dwie dalsze z wełną i drutami zostały wezwane w rejon dolnej Łaby; bo wszędzie – nie tylko w mojej głowie – było zapotrzebowanie na bojowe kobiety, które w Luksemburgu walczyły przeciwko dioksynie w mleku matek, na wyspie Stromboli ubolewały nad rabunkowym ogałacaniem Morza Śródziemnego z ryb, w Schwarzwaldzie debatowały na temat umierania lasów, a na obu brzegach Łaby piętnowały zagęszczenie elektrowni atomowych. Wygadane i nie mające nigdy problemu z ekspertyzami i kontr ekspertyzami, spierały się ze znajomością rzeczy i zyskiwały nawet wysokie pochwały mężczyzn. Nikt nie potrafił podważyć ich danych. Zawsze miały ostatnie słowo. A przecież mimo słownych sukcesów ich walka była daremna; bo lasy nie przestawały umierać, trucizna nadal wyciekała, nikt nie wiedział, co zrobić ze śmieciami, a na Morzu Śródziemnym w zbyt gęste sieci łapano ostatnie ryby.

Wyglądało na to, że jedynie w robieniu na drutach kobiety dopną swego. Oto wychodziło coś w romby lub warkocze, powstawało twarzowe to i owo ścięciem ryżowym lub przeplataniem. Co więcej: traktowane początkowo z uśmiechem jako babski kaprys robótki na kongresach i podczas manifestacji protestacyjnych zostały uznane przez przeciwników, ale i przeciwniczki bojowo wymachujących drutami kobiet za źródło rosnącej siły.

Nie znaczy to, że kobiety czerpały argumenty z wełnianych nici swego podwójnie supełkowatego perłowego wzoru; potrzebna im do polemik wiedza spoczywała na podorędziu w skoroszytach i tabelach statystycznych obok koszyczka z kłębkami. To samo zjawisko, nieprzerwane, surowe, a jednak tchnące łagodnością dzianie, bezdźwięczne obliczanie oczek, ponad którym dźwięczny argument dziewiarki domagał się powtórzenia, ta nieubłaganość robótek co prawda nie przekonywała przeciwnika, ale robiła na nim wrażenie i na dłuższą metę by go złamała, gdyby tylko czasu było w zapasie tyle co wełny.

Ale także same dla siebie i pomiędzy sobą, nie mając *vis à vis* przeciwnika, kobiety robiły na drutach, jak gdyby nie chcąc nigdy dopuścić do przerwania wątku; toteż w mojej głowie i w rzeczywistości owa pozostała piątka, która chce statkiem badawczym „Nowa Ilsebill” opłynąć zachodni Bałtyk i zmierzyć jego meduzie ławice, ma na pokładzie pod dostatkiem drutów i włóczki: farbowanej, niefarbowanej, bielonej.

Jedynie najstarsza z pięciu kobiet, czerstwa waga lekka, po której nie widać, może z wyjątkiem chwil raptownie zapadającego mroku, bez mata siedemdziesięciu pięciu lat trudów i pracy, zaokrętowała się bez drutów i włóczki. Stara jest z gruntu przeciwna głupawym, jak je nazywa, robótkom. Dostałaby od nich kręcka albo rozmiękczenia mózgu. Ale nad innymi kobietami, które nie mają zamiaru porzucać swych robótkowych ściegów, góruje w zmywaniu, pieczeniu, sprzątaniu i gotowaniu; wobec czego objęła kambuz: – Słuchajcie, baby. Będę u was za kuchnię, ale z robótkami trzymajcie się ode mnie z daleka.

Natomiast pozostałe cztery żeglujące kobiety nawet przy silnej bryzie nie rozstają się z kłębkami wełny i szczękającymi drutami. Ledwie kapitanka zmieni sterniczkę, aby stawiając czoło deszczowym szkwałom, nadciągającym z północnego zachodu, wziąć ster w obie dłonie, sterniczka sięga po czystą owczą wełnę i kontynuuje pracę nad jednokolorowym, ażurowym pulowerem, który jest tak obszerny, że domaga się barczystego

jak szafa mężczyzny, o tym mężczyźnie jednak nigdy się nie mówi, chyba że w mrocznych napomknieniach, jak gdyby facetowi należało przymierzyć kaftan bezpieczeństwa.

Kiedy kapitanka, którą czule nazywam Damroką, odchodzi od steru, po czym kurs, przy słabnącym już zachodnim wietrze, trzyma oburącz sterniczka, zaczyna natychmiast o kolejny kwadrat powiększać kolorową narzutę z resztek wełny, starannie zaobrębia łąty o różnych wzorach, nie spuszczać z oka kompasu i barometru. Albo zszywa różnorodne łąty, które mają wzory spiralne, rowkowate, wyznaczone rzędami spuszczone oczek albo łusko wate jak pancerz.

Jeśli mechaniczka nie musi wciskać się do ciasnej maszynowni szkuty motorowej, żeby doglądać silnika, to można być pewnym, że i jej robótka, podobny do poncho dziwołag, powiększa się; jest wołem roboczym i harowała przez całe życie. Tak o niej mówią: zawsze dla innych, nigdy dla siebie.

Podobnie oceanografka. Jeśli na śródkręciu nie waży lub nie mierzy chełbi modrych na długim stole czy w szklanych wanienkach, to robi na drutach, z przyzwyczajenia pilna, dwa prawe, dwa lewe; dużo dziecięcych rzeczy dla wnuków, w tym ładniutkie śpioszki, których wzory nazywają się szyszka albo zegar słoneczny. Po wąskich palcach, które jeszcze przed chwilą zręcznie poczyły sobie z piatami welarnymi meduz, przesuwają się, różowa albo ufarbowana na niebiesko, delikatnie uprzedzona nić.

W Travemünde nie tylko zadbano o prowiant i zatankowano pod dostatkiem ropy, ale zgromadzono też zapasy włóczki, które powinny wystarczyć do Stege, jak nazywa się stolica duńskiej wyspy Møn.

Lecz do portu w Stege jest jeszcze daleko. Turkocząc hałaśliwie – jest to chłodzony powietrzem dieslowski silnik Deutza – „Nowa Ilsebill” wpływa do Zatoki Neustadzkiej. Nawet jeśli nie spuszcza rekina pomiarowego do połowu meduz, to na jakiś czas kobietom przejdzie tam robienie na drutach.

Nie, szcurzyco! Ja wełnę i druty traktuję poważnie i nie śmieję się, kiedy

urwie się nitka, spadnie oczko albo trzeba spruć coś, co wyszło za luźno.

Zawsze miałem w uszach ten szcęk. Od dzieciństwa po teraźniejszy pulower kobiety starały się podtrzymać moją miłość dzianiną własnej roboty. Wciąż robiło się coś dla mnie w prosty albo łączony wzór.

Jeśli nie moja gwiazdkowa szcurzy na, to ty, szcurzyco ze snu, powinnaś mi uwierzyć: Nigdy nie będę wyszydzał kobiet robiących na drutach, gdziekolwiek, na całej ziemi, czyniących to z potrzeby lub upodobania, również z gniewu i smutku. Słyszę, jak z hardości albo gorzko uświadamianej bezsilności szcękają przeciwko umykającemu czasowi, przeciwko grożącej nicości, przeciwko początkowi końca, przeciwko wszelkim nieszczęściom. Biada, kiedy ten dźwięk ustąpi nagłej ciszy! Z głupiego męskiego dystansu podziwiam, jak nie przestają pochyłać się nad robótkami.

Teraz, szcurzyco, odkąd w lasach i rzekach, w równinnych i górzystych okolicach, w manifestach i modlitwach, na transparentach i nawet w tekstach drobnym drukiem, w naszych pustych od spekulowania głowach niejedno wskazuje na to, że możemy stracić wątek, teraz, odkąd koniec jest tylko z dnia na dzień odraczany, kobiety z robótkami na drutach są jedyną przeciwstawną siłą, podczas gdy mężczyźni tylko wszystko topią w gadulstwie i nie dokonują niczego, co zdołałoby ogrzać marznącego człowieka – choćby to były wełniane ogrzewacze nadgarstków.

*ROZDZIAŁ DRUGI, w którym padają nazwiska mistrzowskich fałszerzy, szczury wchodzą w modę, koniec zostaje zakwestionowany, Jaś i Małgosia uciekają, w trzecim programie leci kawałek o Hameln, ktoś nie wie, czy powinien jechać, statek zarzuca kotwicę w miejscu nieszczęścia, potem są klopsiki, płoną ludzkie czworoboki, a stada szczurów wszędzie tamują ruch.*

– My stwarzamy przyszłość! – ustami wieszczbiarza, który świadom jest wywoływanego echa, mówi do swych panów z dyrekcji nasz pan Matzerath, kiedy w wytwórniach rzadkością stają się filmy z właściwym mediom zacięciem; ledwie jednak ja proponuję mu tematy z mojego zapasu, choćby umieranie lasów jako ostatnią baśń, albo chciałbym zobaczyć sfilmowane zameduzienie Bałtyku jako stwarzaną przyszłość, on macha odmownie ręką: – Za dużo katastroficznego sosu! To załatwianie na amen, jakby się było Panem Bogiem! To apokaliptyczne podliczanie kasy! To wieczne ostatnie tango! – Natomiast gotów jest podjąć, według swoich słów: z ochotą, sprawę Malskata, jeśli ja zdołam zebrać dosyć materiału o latach pięćdziesiątych; jak gdyby przyszłość dało się stwarzać przez sięganie wstecz.

I tak nasza rozmowa przeradza się z jego strony w szkicowanie ery Adenauera-Malskata-Ulbrichta. – Trzej mistrzowscy fałszerze! – woła. – Jeżeli uda się panu oblec w ciało moją, przyznaję, szkieletową jeszcze tezę, to będzie ona filmowo przekonująca.

Staram się wprawdzie wyperswadować naszemu panu Matzerathowi jego ogólnoniemiecki „triumwirat fałszerzy”, ale obiecuję mu zasiąść do sprawy Malskata. W końcu udaje mi się skierować jego ciekawość na projekt, którego baśniowa podszewka ma tyle skrytek, że właściwie powinna by go znęcić.

Jego przechadzanie się tam i z powrotem między fikusami. Teraz ociąga

się przy szkolnej tablicy na ścianie czołowej swego dyrektorskiego gabinetu. Ledwie garbaty człowieczek uspokaja się, zasiadłszy za biurkiem, powiadam: – Niech pan uważnie posłucha, drogi Oskarze. W Hameln nad Wezerą trwają obecnie przygotowania do uroczystych obchodów. Po siedmiuset latach mają tam uczcić pamięć owego szczurołapa, który w czasach wielkiego zamętu i gorączkowej ekstazy – widziano znaki na niebie i przeczuwano nadchodzący koniec – zwabił tysiąc i więcej szczurów do rzeki, aby wszystkie potonęły. Wedle innej legendy jakoby ponadto na zawsze uprowadził dzieci. Temat zawiera w sobie sporo sprzeczności. Czy nie byłaby to dogodna okazja, żeby urojenia roku 1284 w sposób właściwy mediom połączyć z dzisiejszymi lękami, biczownictwo średniowiecza z teraźniejszymi masowymi zbiegowiskami? Rok szczurołapa daje sporo możliwości. Na przykład fujarka. Ta przenikliwa słodycz. Migoczący srebrny pył. Trył jak nizanie pereł. Na długo przed pańskimi czasami instrument muzyczny już uwodził ludzi. Czy pan, Oskarze, dla którego medium zawsze było posłannictwem, nie powinien chwycić byka za rogi, po prostu za rogi?

Nasz pan Matzerath milczy i znika mi z oczu. Odzywa się coś innego. Owo syczenie, paplanie i falsetujące było-sobie-kiedyś, jak gdyby już wszystko przeszło, jak gdybyśmy istnieli już tylko w retrospekcji, jak gdyby należało wygłaszać pośmiertne wspomnienia o nas, z drwiną i zarazem pietyzmem – to nie nasz garbaty człowieczek, to ona, szczurzy ca, która mi się śni...

Pod koniec weszłyśmy w modę. Młodzi ludzie, którzy lubili występować grupowo i od innych młodych ludzi różnili się fryzurą i strojem, gestykulacją i językiem, nazywali się punkami i byli nazywani punkami albo punkowcami. Stanowili co prawda mniejszość, ale w niektórych dzielnicach miast nadawali jednak ton. Sami wystraszeni napędzali stracha innym. Żelazne łańcuchy i grzechocząca blacha to była ich biżuteria. Wystawiali się na pokaz jako żywy złom: wyrzuconej zmiecione na bok odpadki.

Pewnie za sprawą przypisania śmieciom punkowie kupowali sobie młode

szczury doświadczalne i dzięki regularnemu karmieniu oswajali. Nosili je czule na ramieniu, w rozpiętej koszuli albo umoszczone we włosach. Ani kroku bez wybranego zwierzęcia, obrzydlistwo wleczone ze sobą wszędzie: na ruchliwe place, mimo bogato zastawionych witryn, przez parki i łąki do plażowania, pod wejścia do kościołów i banków, jak gdyby stanowili jedno ze swymi szczurami.

Ale nie tylko białe z czerwonymi oczami miały wzięcie. Wkrótce w sklepach zoologicznych pojawiłyśmy się my, szarowłose, hodowane na pokarm dla węży szczury wędrownie. Byłyśmy poszukiwane i na krótko przed końcem przez dzieci i młodzież bardziej pożądane niż głaskane do tej pory, rozpieszczane i często przekarmiane chomiki syryjskie i świnki morskie. Kiedy po punkach także dzieci z dobrych domów zaczęły trzymać szczury jako ulubione zwierzęta i przed nami, po raz pierwszy w długiej ludzkiej historii, otworzyła się klasa zamożna, również osoby starsze znajdowały w nas upodobanie. To, co z początku było modą, stało się jawną potrzebą. Podobno nawet jakiś pan po pięćdziesiątce zażyczył sobie szczura na gwiazdkę.

Nareszcie doczekałyśmy się uznania. Wynosząc nas na światło, nas, przywykłe do ciemności szczury kanałowe, uwalniając od woni ścieku, dosłownie odkrywając naszą inteligencję, pokazując się i fotografując z nami, akceptując nas jako zwierzęta towarzyszące rodzajowi ludzkiemu, nadano nam, szczurom, status publiczny. Triumf! Z poślizgiem przyjęte do arki Noego. Nie ma co ukrywać: czułyśmy się z lekka pochlebione. Pojawiła się nadzieja: a nuż człowiek zdoła zrozumieć, co mogłoby go ocalić.

Początkowo chcieli być dowcipni i nazywali nas szczurami publicznymi. Kiedy jednak moda punkowa szerzyła się coraz bardziej, kiedy urzędnicy, i to nawet państwowi, zabierali swe szczury do biura, do urzędu skarbowego, kiedy dane nam było z młodymi chrześcijanami uczestniczyć w nabożeństwach tego czy innego wyznania i kiedy trafiałyśmy do ratuszów i sal wykładowych, pokoiów konferencyjnych i dyrektorskich gabinetów,

wreszcie za sprawą rekrutów wszystkich rodzajów broni na zamknięte tereny wojskowe, usłyszałyśmy pierwsze protesty; doszło do interpelacji parlamentarnych. Po kontrowersyjnej debacie publiczne obnoszenie się ze szczurami miało być ustawowo zakazane. W uzasadnieniu stwierdzono: Upublicznienie szczurów, w szczególności szczurów wędrownych, zagraża bezpieczeństwu, sprzeczne jest z potrzebą profilaktyki w zakresie higieny i narusza zdrowe poczucie społeczne.

To po prostu śmieszne i głupie! Zabrakło też większości, która byłaby gotowa uchwalić tę ustawę. Niektórzy parlamentarzyści wyzywająco przynosili nas nawet na posiedzenie Wysokiej Izby. Urządzano tak zwane szczurze przesłuchania. Stawiano pytania, które należało postawić za czasów Noego, kiedy to nam, szczurcowi i szczurzysze, odmówiono wstępu na pokład zbawczej arki.

Co szczur ma nam obecnie do powiedzenia? brzmiało jedno ze spóźnionych pytań. Czy szczur chce nam pomóc w naszej niedoli? Czy szczur jest nam bliższy, niż to od niepamiętnych czasów chcemy przyznać?

Choć pochlebiało nam to nowe zainteresowanie i kusiło do bagatelizowania zakorzenionej w człowieku nienawiści, byliśmy zdziwione jednak nagłą sympatią. Zdumiewało nas, jak nieśmiało i zarazem gwałtownie spoufalali się z nami młodzi ludzie, szczególnie śmieciom przypisani punkowie. Czy nosili nas przy szyi, w pobliżu pulsującej żyły, czy oferowali nam swój chudy brzuch: przerażające, ile dopiero teraz, w kontakcie z nami, ujawniało się łagodności, ile zgromadzonej w nadmiarze czułości. To oddanie. Wolno nam było biegać w górę i w dół po ich kręgosłupach, układać się pod ich pachami. Jak łaskotała ich nasza sierść. Jak chłodna gładkość naszych ogonów przypominała im delikatny dotyk palców. A co szeptali drżącymi, umalowanymi czarną szminką wargami, co wypowiadali ledwie słyszalnie, jak gdyby nasze uszy skłaniały ich do spowiedzi: tyle wyjąkanej wściekłości i goryczy, tyle strachu przed zyskiem i stratą, przed śmiercią, której szukali, przed życiem, którego pożądliwie łaknęli. Ich pragnienie



miłości. Ich: No, powiedz coś, szcurze! Co mamy zrobić, szcurze! Pomógłbyś nam, szcurze! – Ach, jak oni się nam naprzykrzali.

We wszystkim pojawiały się lęki: nie tylko w ich nędznych siedliskach, także w ich różnobarwnie malowanym szczęściu. Dlatego ich kolory tak kłuły w oczy. Wiecznie wystraszone dzieciaki, które nawzajem szminkowały sobie twarze bladością śmierci, pełne przeczuc znakowały się trupią zielenią. Nawet ich żółtość, ich oranż miały odcień pleśni i gnicia. Ich błękit łaknął końca. Na wapienny podkład наносили czerwone krzyki. Na fioletowym tle malowali płowe robactwo. Na plecach, piersiach, szyi, aż po twarz jedni byli w czarno-białą kratkę, drudzy jakby poranieni uderzeniami bicia. Chcieli widzieć się we krwi. A ich starannie ufryzowane włosy przybierały wszelkie barwy. Ach, ach, ich uroczyście inscenizowane tańce śmierci na terenie zbankrutowanych fabryk: przywołane ze średniowiecza, jak gdyby odrodzili się w nich biczownicy.

A ile nienawiści okazywali, wszystkiemu, co ludzkie. Stale gotowi do ataku i jednocześnie zaszczuci. Pobrzękiwali łańcuchami, jakby obeznani z galerami. Chcieli upodobnić się do zwierząt. Wiedząc o nas zbyt mało, chcieli być tacy jak my. Kiedy występowali w parze, byli szcurem i szcurzycą. Tak też się nawzajem nazywali, czule i prowokująco. Przefasonowywali sobie czapki na kształt naszych głów i zasłaniali twarze maskami demonizującymi naszą fizjonomię. Przyczepiali sobie do tyłków długie, nagie ogony i podążali zewsząd, piesi i zmotoryzowani, w określonym kierunku, jak gdyby wiodły tam wszystkie drogi, jak gdyby tylko tam mogli znaleźć wybawienie.

A jakże! Całymi tabunami. Nie sposób było nie trafić do osławionej miejscowości. Znajdował się tam magnes, który nakazywał im zbiórkę. Krótko mówiąc: chcieli się spotkać i przepelnąć miasto, które należy do naszej legendy. Tam chcieli sobie urządzić festyn. Jak to oni hałasują i obnoszą się z nami, jak napędzają stracha mieszcuchom, udając zwierzęta.

Nie doszło do tego. Zresztą i tak by ich usunięto. Wszędzie przecież do

ostatka stały w pogotowiu siły porządkowe. Ach, chcieli być szczurami, a pozostali biednymi, na koniec opuszczonymi, tak, również przez nas opuszczonymi punkami. Byli dla nas dobrzy, jak żaden człowiek przedtem. Od urodzenia stracone dzieci, jedynie nam, szczurom, miłe, powiedziała szczurzyca, która mi się śni. Gdybyśmy znały kryjówkę, wzięłybyśmy je na koniec ze sobą...

Co to znaczy koniec, szczurzyco! Nic się przecież nie zakończyło. Nie zatkano żadnej dziury, nie rozwiązano żadnej zagadki. Nigdy przedtem tylu wątków, które nie powiązane. Wszędzie łatanina i partactwo. I podśmiewający się partacze, którzy mają decydujący głos. Każda gazeta krzyczy, wszelka gadanina przemilcza. Nie doszliśmy nawet do połowy drogi, przeciwnie, cofnęliśmy się do punktu wyjścia.

Nie możesz więc mówić: szlus, basta, wysiadka. Byłaby to dezercja. Po prostu spłynąć. I to w środku zdania. Bez najkonieczniejszego i zanim jeszcze to i tamto. Na przykład zapewnienie emerytur, zabezpieczenie odpadków. Bo jeśli my nie opanujemy kryzysu stalowego i innych spraw: nie zlikwidujemy góry masła i nie ułożymy wszędzie kabla, nie policzymy wreszcie ludności i nie załatwimy się z kwestią cudzoziemców. Żeby potem wytrzymać, aż spadną odsetki i przyjdzie rozkwit, na który wszyscy, bez którego nic, bo przedtem nie było iskiereki nadziei i co najlepsze, uciekło sprzed nosa.

Nie, szczurzyco, nie! Mowy nie ma o końcu. Zwłaszcza że wielkie mocarstwa nareszcie do rozmów, żeby w porę decyzje, mianowicie właściwe, bo każdy tymczasem skąpo wał, że tylko obustronnie wyważone, równoczesne kroki, byśmy obliczalnie, choć w ostatniej chwili.

A ty, szczurzyco, powiadasz: szast-prast, kłapa, krach, wysiadka, mogiła, amen, było kiedyś, już nie ma, kurtyna i koniec świata, niejako ultimo? Tymczasem powierzono nam i mamy obowiązek, jeśli już nie dla siebie, to dla naszych dzieci, żebyśmy któregoś dnia z podniesionym czołem i bez, mam na myśli wielkie cele, choćby wychowanie rodzaju ludzkiego albo

likwidację najdotkliwszego głodu i usunięcie góry odpadków, przynajmniej z pola widzenia, aż w końcu działania oskrzydlające i znów parę ryb w Łabie i Renie. I racja! Chcieliśmy się jeszcze rozbroić, póki nie będzie za późno.

Ale ty mówisz: szlus. Jak gdyby było po nas. Jak gdybyśmy już dawno wykorkowali. Jak gdyby jeszcze to i owo nie pozostało do zrobienia. I to wkrótce, nie, zaraz. Bo tymczasem każdy pojął czy jakoś tam skapował, że prócz pokoju i odrobiny więcej sprawiedliwości potrzeba w końcu przynajmniej sfilmowania – jeśli już niemożliwe jest ocalenie – lasu, nie tylko niemieckiego, lasu w ogóle. I to we wszystkich odcieniach i barwach każdej pory roku, żeby zachował się jako dokument, nie jako wspomnienie nasze i naszych dzieci. Bo bez lasu, szcurzyco, marnie z nami. Toteż już z tej racji i ponieważ jesteśmy to sobie winni, musimy zadać sobie pytanie, co las, nie tylko niemiecki, ale o tym już mówiłem, dla nas znaczy, nie, co nam ma do powiedzenia, żebyśmy później, przynajmniej na filmie z naszymi dziećmi, póki jeszcze jest trochę czasu.

I to, zanim ty, szcurzyco, powiesz: szlus, krach, mogiła. O tym, kiedy będzie koniec, ciągle jeszcze decydujemy my. My jesteśmy przy dźwigni. My pilnujemy guzika. My ostatecznie będziemy musieli wobec naszych potomnych ponieść odpowiedzialność za to wszystko, jak też za kwestię śmieci i cudzoziemców, na koniec za głód, przynajmniej ten najdotkliwszy, i za górę masła.

Ponieważ las  
umiera przez ludzi,  
baśnie uciekają,  
wrzeczono nie wie,  
kogo ma ukłuć,  
ręce dziewczyny,  
odrabane przez ojca,  
nie potrafią objąć żadnego drzewa,  
trzęcie życzenie pozostaje nie wypowiedziane.

Nic już nie należy do króla Drozdobrodego.  
Dzieci nie mogą już zabłądzić.

Liczba siedem nigdy nie będzie znaczyć więcej niż po prostu siedem.  
Ponieważ las umarł przez ludzi,  
baśnie idą pieszo do miast  
i kończą się źle.

Znam trasę. Z Lauterbach, gdzie ongiś w piosence zaginęła pończocha, wiedzie „Szlak Niemieckiej Baśni” przez gęsty, dawniej mieszany las.

Przez dukty mogłyby też wieść inne szlaki: do Lasu Palatyńskiego, w górę do Schwarzwaldu, w głąb Lasu Bawarskiego, w góry Fichtel lub do Sollingu, do Spessartu, na leśne obszary, nękane, tu zrazu niedostrzegalnie, ówdzie aż nadto wyraźnie, przez znane szkody, negowane i udowadniane jak kraj długi i szeroki. Donoszą o brunatnieniu igieł, pędach wypuszczanych w panice, przeredzonych koronach drzew, zwilgotniałych nasionach, spadają uschłe gałęzie, od umarłych, bezlistnych pni odpada kora. Dlatego na początek nasuwa się pytanie: Jak długo jeszcze ów szlak, który wychodzi z Lauterbach, może nazywać się tak miło „Szlakiem Niemieckiej Baśni”?

I dlatego kolumnę wozów kanclerza, który podróżuje ze swymi ministrami i ekspertami, kieruję nie do Schwarzwaldu czy w góry Fichtel, lecz dla przykładu tutaj: za radiowozem na sygnale, w policyjnej asyście. Z zasłoniętymi oknami jadą czarne limuzyny przez umierający las. Po proporczyku poznajemy kanclerskie auto. Przypuszczamy, że jadąc przez umierający las, kanclerz czyta orzeczenia ekspertów, kontrorzeczenia, dane statystyczne na temat szkodliwych substancji i wykresy umieralności jodły białej, ponieważ jako kanclerz musi być pilny i o wszystkim dobrze poinformowany. A może jednak: przed wielkim występowaniem szuka odprężenia, rozwiązuje krzyżówkę, potrafi w odpowiednie miejsce wpisać nazwisko Hölderlina i cieszy się ze swego poziomego i pionowego ogólnego wykształcenia.

Ani jedno, ani drugie. Wnętrze kanclerskiej limuzyny jest nasycone przytłumioną atmosferą rodzinną. Ze względu na wizerunek publiczny i wymyśloną przeze mnie akcję kanclerzowi towarzyszą małżonka, syn, córka.

Jaki on powinien być? Łatwo wymienialny, jest jednak dobrze nam

znanego pokroju: prostoduszny i smętnego oblicza. W danej chwili je, nie, wsuwa klinowatą porcję tortu z kremem maślanym, co nie podoba się jego małżonce, która dba o linię.

Ponieważ córka kanclerza odsunęła zasłonę w oknie, widzimy przejeżdżając rzeźbiony w drewnie drogowskaz, na którym między rzeźbionymi karłami można przeczytać wypukłym gotykiem: „Szlak Niemieckiej Baśni”. (W tym miejscu, na początku filmu, o ile umierający las z produkcyjną pomocą naszego pana Matzeratha stanie się filmem, kolumna samochodów powinna jechać powoli, noga za nogą.)

Na leśnym parkingu obramowanym martwymi drzewami oczekuje się kanclerza i jego świty. W pośpiechu czyni się ostatnie przygotowania, bo forpoczta policyjna przez radiotelefon zapowiada już kolumnę wozów.

Na rusztowaniu ze stalowych rur robotnicy leśni w przepisowych kaskach ochronnych ustawiają pod kierunkiem leśniczego wysokie jak drzewa dekoracje, przedstawiające zdrowy las, mniej więcej w stylu malarza Moritza von Schwinda: sękaty dęby, ciemne jodły, rzadka buczyna, która przechodzi w knieję nie do przebycia. Nie brak paproci i podszycia.

Stojąc na wysokiej drabinie, wysuwanej ze specjalnego pojazdu, malarz pędkiem, jakby na akord, w namalowanych koronach drzew domalowuje ptaki śpiewające – zięby, raszki, kilka drozdów, słowika. Leśniczy woła: – Kończcie, ludzie! Kanclerz zaraz będzie! – Potem mówi bardziej do siebie: – Czarna rozpacz.

Robotnicy leśni migiem opuszczają scenę. Forpoczta policyjna rozdziela się i zabezpiecza teren. Za kulisami dźwiękowiec włącza magnetofon. Słyszymy bogato zmiksowane głosy ptaków, między innymi świeżo namalowane zięby, raszki, drozdy, ale też wilgę i parę turkawek. Pojazd specjalny odjeżdża, z drabiną ściągając na dół malarza, tak że ostatni ptak w namalowanym lesie, który nawołując niezmordowanie powinien być kukułką, pozostaje fragmentaryczny. Leśniczy przybiera powitalną minę.

Bo za radiowozem na sygnale zajżdża kolumna wozów kanclerza. W

oknach limuzyn odsuwa się zasłony. Zdziwienie takim mnóstwem natury. Kanclerz wysiada wraz z małżonką, córką, synem, wysiadają też ministrowie i eksperci. W mgnieniu oka jest na miejscu prasa i telewizja. Jak gdyby chodziło o odnotowanie ważnej wiadomości, media zauważają, że kanclerz kilka razy głęboko oddycha. To samo robi jego świta.

Ledwie wyszedłszy na widok publiczny, syn kanclerza, lat trzynaście, i córka kanclerza, lat dwanaście, wkładają sobie w uszy wtyczki walkmanów. Ze wzrokiem zwróconym do wewnątrz dzieci sprawiają wrażenie nieobecnych, co denerwuje kanclerską małżonkę. Ale jej upomnienie – „Tak to przecież nie słyszycie ptaków w lesie!” – zostaje, tak jak obracający się za kulisami magnetofon, zignorowane. (Dzieci kanclerskie wedle moich wyobrażeń są trochę grubawe; ale mogłyby też być chude bądź suche, o ile nasz pan Matzerath zażyczy sobie tego typu. Strój będący naśladownictwem munduru leśniczego jednoczy rodzinę: loden, krótkie spodnie, sznurowane buty, guziki z rogów jelenich.)

Podczas gdy z boku chór męski i aktorzy w kostiumach stają na tle namalowanego lasu, ministrowie i eksperci zbierają się niewymuszenie wokół kanclerza; między nimi odpowiedzialny za lasy, rzeki, jeziora i powietrze minister Jacob Grimm, mający u boku jako sekretarza stanu swego brata Wilhelma.

Ze względu na akcję i ludowe odniesienie z upodobaniem dokonujemy tego historycznego zapożyczenia i w usta współcześnie ubranego Jacoba Grimma wkładamy słowa wypowiedziane do brata: „Oto malarz Schwind znowu wykonał dobrą robotę”. Po czym widzimy, jak Wilhelm Grimm smutno się uśmiecha. Obaj bracia potrafią w taki sposób stale dawać wyraz swoim wysiłkom, ponadczasowo dzielnemu „mimo wszystko”, jak gdyby podobały się im ich wielokrotne niepowodzenia. Dwaj prawi mężczyźni, gotowi w razie potrzeby do ustąpienia; a mimo to dwaj bajarze, nauczeni przymrużać oko; wiedzą od dawien dawna, jak to jest za kulisami, ale nie stają okoniem, bo wciąż chcą zapobiec czemuś gorszemu.

Z boku policjanci obmacują chórzystów w poszukiwaniu broni. Sprawdzeni śpiewacy gromadzą się na podeście. Gestami dyrygenta ściszeni lub zachęceni do większej głośności śpiewają pieśń: „Któż to cię, piękny lesie, wysokim tak uczynił...” Kanclerza bierze pokusa, by dołączyć się do ich śpiewu.

Przeszedłszy również policyjną kontrolę, pojawiają się teraz, na znak braci Grimm, których będziemy odtąd nazywać Grimmobraćmi, wszyscy przebierańcy jako postacie z baśni. Odziani są z dużym smakiem na modłę staroniemiecką. Śnieżka dystyngowanie pośród Siedmiu Karzełek. Obok Śpiącej Królowej z wrzecionem budzący pocałunkiem Księżę. W peruce z długich włosów to może być tylko Roszpunka. Jaś i Małgosia składają ukłon, dygają i wręczają kanclerzowi i jego małżonce znaczące prezenty: sadzonkę jodły, koszyk żołądzi i buczyny, połyskujący starością róg myśliwski. Otwierając i wydymając usta chór męski śpiewa „Jaś i Małgosia zabłądzili w lesie...” Także policjanci mają uciechę ze skontrolowanych uprzednio chórzystów.

Dość występów: teraz, zwrócony bardziej do obecnych mediów niż do swych ministrów, mówi kanclerz, wprawnie czytając z kartki. Roztacza wizję zdrowego świata, któremu zagrażają przeciwności. – Tak to los ponownie wystawia nas na ciężką próbę! – woła, jak gdyby naród niemiecki od dawna miał abonament na ciężkie próby.

Jako że życzymy sobie filmu, który jako film niemy tylko okazjnie wspomaga się napisami, widać, jak przywołany w kanclerskiej mowie las zdrowo szumi. Z przenikania otwiera się kopała lasu. Pasą się sarny. Jeleń zrywa się do ucieczki. Ze wszystkich wierzchołków spadają cytaty. I jak na zawołanie chłopiec wysypuje na ułożoną we mchach Księżniczkę swój cudowny róg: kwiecie, ważki i motyle...

Ponieważ wytworzonego słowami nastroju nie da się już spotęgować i coś musi się zdarzyć, po końcowym zdaniu kanclerza, „Żyj więc dalej, niemiecki lesie!”, które stanowi dla filmu niemego przykład zwięzłego napisu, na scenę

wdzierają się syn i córka kanclerza.

Grubawi czy chuderlawi, obrzucają ojca podarowanymi żołędziami i buczyną. Córka wygina połyskujący starością róg myśliwski. Syn łamie sadzonkę jodły, wyciąga z ucha wtyczkę walkmana, zeskakuje z podestu i wygłasza replikę, czyniąc publicznością wystraszonych ministrów i ekspertów, wszystkich skołowanych baśniowych przebierańców i chórzystów, znowu zbitych z tropu policjantów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa w cywilu, każdego notującego dziennikarza, niewzruszenie robiących swoje kamerzystów, wszystkich łącznie z Grimmobraćmi.

– Znowu to głównie prawda, coś nagadał! – woła do kanclerza jako ojca i przywołuje rzeczywistość. Widać cmentarzyska samochodów i sznury samochodów, dymiące kominy fabryczne, żarłoczne betoniarki. Trwa wyrąbywanie, niwelowanie, betonowanie. Pada osławiony kwaśny deszcz. Podczas gdy potentaci budowlani i bossowie przemysłu mają przy długich stołach głos decydujący, a w rozmowach w cztery oczy pod dostatkiem tysiącmarkowych banknotów na zbyciu, las umiera. Zdycha na oczach wszystkich. Wznoszą się obumarłe ku niebu jeszcze wyprostowane trupy drzew. Konsekwentnie ten sam co przedtem chłopiec wysypuje na śpiącą Księżniczkę, która drzemie w martwym teraz lesie, inny cudowny róg: śmiecie, puszki z trucizną, złom. Jak gdyby dla symbolicznego zademonstrowania wpływu spalin samochodowych pierdzi Księżniczce w twarz, która od razu się marszczy: tak załowione są gazy chłopca.

Po końcowym zdaniu syna ujętym w napis – „To jest twój niemiecki las!” – wkracza do akcji córka kanclerza: nożem ukradzionym leśniczemu w trakcie krótkiego epizodu rach, ciach przecina wszystkie liny, które podtrzymują leśne dekoracje i zabezpieczają węzłami. Dekoracje walą się w zwolnionym tempie. Żaden z namalowanych ptaszków nie ulatuje, żeby się ratować. Żadna sarna, żaden zając, żaden jeź nie ucieka. Nie tylko rusztowanie ze stalowych rur, również martwy las ukazuje się bez osłonek.

Córka wyłącza teraz taśmę z ptasimi głosami. Cisza. Trzaskają, łamią się



suche gałęzie. Wydało się oszustwo i wrony wzbijają się w powietrze. Krąży nieuchwytny strach: śmierć.

Między przerażonymi odtwórcami baśniowych postaci Śpiąca Królewna i budzący ją pocałunkiem Księżę szukają ratunku w śmiechu. Słowami, które nadawałyby się na filmowy napis, Wilhelm zwraca się do Jacoba Grimma: „Mój Boże! Tak to prawda wychodzi na jaw”.

Podczas gdy ja, wykorzystując przewlekłą chwilę strachu, wyobrażam sobie braci Grimm, których dzieła były kontynuowane aż po schyłek dwudziestego wieku, jako czasami tylko niepewnych, równie mądrych jak wrażliwych, w skrytości cierpiących jednak na niedostatek radykalizmu, krótko i węzłowato: liberalnych Grimmobraci, a oni obaj załamują ręce, nasz film niemy przechodzi do nowej akcji: syn i córka kanclerza zrywają przebraniem za baśniowych Jasia i Małgosię postaciom czapkę i czepeczek, rzucają swoje walkmany, wykrzywiają się do ojca i matki, a ponadto do telewizji, i dobrowolnie, kpiąc sobie z Grimmowego ujęcia tej baśni, jako Jaś i Małgosia biegną w las.

Małżonka kanclerza woła: „Hans! Margarethe! Proszę mi zaraz wracać!”

Media są uszczęśliwione. Dziennikarze dyktują swym aparatom brutalne słowa. Fotoreporterzy strzelają z biodra całymi salwami zdjęcia uciekających. Telewizja rejestruje nieubłagane. Ucieczka kanclerskich dzieci zaczyna poruszać koło historii. Kanclerz jednakże nie dopuszcza do podjęcia przez policjantów rutynowego pościgu za zbiegami. Woła: „Dwoje wykolejeńców więcej! Niewdzięcznicy! Potrafimy to przeboleć”. Ratuje się, przybierając postawę, którą uważa za pełną godności, ale nie może zapobiec pojawieniu się na swej twarzy uśmiešku, który wymagałby analizy.

Podczas gdy my domyślamy się jeszcze obecności dwojga zbiegów lub wykolejeńców niewdzięcznie daleko między martwymi drzewami, Wilhelm mógłby powiedzieć cicho do Jacoba Grimma: „Widzisz, drogi bracie, stare baśnie się nie kończą”.

Aby przeciwstawić się nie ustępującemu nastrojowi katastrofy,

pospiesznie zbiera się chór męski i, porwany przez dyrygenta, śpiewa żwawą pieśń, która jednak pozostaje bezdźwięczna, chociaż mogłaby nosić tytuł: *W Grunewaldzie, w Grunewaldzie jest aukcja drewna*. Na dodatek pada jeszcze kwaśny deszcz. Kanclerza nachodzi chęć na pocieszające słodycze. Po zbiegłych dzieciach nie ma już śladu.

Moja gwiazdkowa szczurzyna i ja słyszymy w trzecim programie nie tylko, że rok bieżący według chińskiej rachuby jest w kalendarzu rokiem szczura, skrzętnej pilności i zwiększonej produkcji, program ten w ozdobionej fujarkowatymi wstawkami audycji oświatowej zwraca też uwagę miasta nad Wezerą na jubileusz jego legendy. Przewidziano mowę czeskiego poety, prapremierę w teatrze marionetek, wykłady uczonych na temat, sprzedaż specjalnych znaczków pocztowych ze szczurołapem i specjalnym stemplem oraz uroczyste pochody, w których dzieci dzisiejszych mieszczan w średniowiecznych strojach mają podążać za stylowym szczurołapem. Prócz wystawy obrazów, podejmujących odnośne motywy, w programie jest sprzedawanie ogromnego tortu szczurołapa przed Domem Kanoników. Biura turystyczne w mieście triumfują: oczekuje się zwiększonego napływu gości, nawet zza oceanu, nadeszły bowiem zgłoszenia od teksańskiego Fan-Clubu Szczurołapa, od japońskich Dzieci Hameln. Co prawda polityczni rzecznicy miasta obawiają się niepożądanych przybyszy – gdyby z wielkich miast mieli najechać tak zwani punkowie czy punkowcy ze swoją zwierzyną, podejmie się odpowiednie kroki – ale z racji okrągłej, historycznie udokumentowanej rocznicy, którą ma stosownie uczcić także strona kościelna, jest się dobrej myśli. Superintendent obiecał swój udział.

Wszystko to serwuje mojej gwiazdkowej szczurzynie i mnie *Kultura w Lustrze* z trzeciego programu. Przyjemny głos spikera, w pełni dojrzały dzięki wielu audycjom, nigdy nie wolny od ironicznych zabarwień i krytycznych wtrąceń, lecz z dokładnością co do sekundy wiedzący swoje, wiedzący roztropnie, wiedzący więcej od nas o Hameln, jego głębiach i przepaściach, ten właściwy mediom głos dochodzi z radia, które stoi na mojej

półce z narzędziami z prawej strony domku gwiazdkowej szczurzyny, podczas gdy ja siedzę z jej lewej strony, ale w powziętych zamysłach jestem już w drodze do Hameln.

Tam nas ciągnie. Tam należy dokopać się korzeni starej kłamliwej historii. Jesteśmy to sobie winni. Bo jedno nie ulega kwestii: przed siedmiuset laty i w wiekach późniejszych nigdzie na piśmie nie było mowy o szczurach i szczurołapie. Opowiadano tylko o grajku z fujarką, który jakoby „w dzień świętych Jana i Pawła” wywiódł z miasta około stu trzydzieścioro dzieci w głąb góry albo też za góry, za lasy, a żadne z dzieci nie powróciło.

Czy przeszli przez Bramę Wschodnią? Czy wzięcie zakładników po bitwie pod Sedemünde przyczyniło się do powstania legendy? Czy byli to tancerze świętego Wita, którzy roztańczyli się na cztery wiatry? Żaden dokument nie informuje o tym zdarzeniu. Jeszcze w sto lat później w kronice kościoła farnego, która wspomina wszystko, co dotyczyło Hameln, każdy pożar, każde wylanie Wezery, przyjscie i przejście morowej zarazy, nie ma ani słowa o wyprowadzeniu dzieci z Hameln. Podejrzana historia, przemilczana przez władze i mająca pewnie coś wspólnego raczej z wypędzeniem uciążliwych wówczas biczowników lub z werbowaniem młodych mieszkańców Hameln do osiedlania się na terenach wschodnich niż z wyrefinowaną sztuką fujarczanego grajka; zwłaszcza że szczury i ich łapacza dopiero w pięćset lat po owym dniu świętych Jana i Pawła dorzucono do wątpliwej baśni. Po czym poeci, z Goethem na czele, zaczęli szukać rymów.

Później Grimmobracia natknęli się w kilku klechdach na połączenie exodusu dzieci z Hameln z pospolitymi opowieściami o szczurołapie. A ponieważ obaj zbieracze baśni spisywali wszystko, co opowiadano na przypiecku, przy kołowrotku i w ciepłe sierpniowe wieczory, czytamy, że dziwacznie ubrany młody człowiek za obiecaną zapłatę odszczurzył miasto Hameln, wabiąc szczury niezwykłą muzyką do Wezery, gdzie potonęły. Dalej dowiadujemy się, iż grajek i łapacz, jako że burmistrz i rajcowie

odmówili mu zapłaty, dźwiękami fujarki wywiódł z miasta policzone już w innych legendach dzieci, te zaś wszystkie, w liczbie stu trzydziestu, zniknęły na zawsze we wnętrzu kalwaryjskiej góry.

Historyjka moralna, która prócz szczurów karze wiarołomnych mieszczan i na dodatek prostoduszne dzieci.

Nie tylko dzieci. Każdy, kto postępuje lekkomyślnie, głupio biegnie za kimś, ufnie powierza swój los, wierzy bezrozumnie i daje wiarę każdej obietnicy, uchodzi za omamionego przez szczurołapa, toteż już dawno stał się on postacią polityczną. W pismach ulotnych i traktatach pisano: To on podburza chłopów, on budzi w biedakach chciwość, on podsuwa mieszczanom niepokój, on zadaje pytania, na które odpowiedzi zna jedynie diabeł. Kto daje mu posłuch, ten też igra z ogniem, burzy się w głębi, odmawia posłuszeństwa, wszczyna bunt, jest rewolucjonistą i zarazem kacerzem. Tak to szczurołapy, które nosiły się raz szaro, to znów kolorowo i za każdym razem nazywały się inaczej, wiodły ku nieszczęściu zagubione rzesze chłopskie i buntownicze bractwa, heretyków i dysydentów, często tylko radykalne mniejszości, w końcu całe narody; jeszcze nie tak dawno łatwowierny naród niemiecki, kiedy to wciąż ten sam szczurołap nie wołał – bo to by nie chwyciło – „Szczury są naszym nieszczęściem”, lecz wszelkie nieszczęścia zwał na Żydów, aż prawie każdy Niemiec sądził, że wie, skąd przyszło nieszczęście, kto je ze sobą przyniósł i rozplenił, kogo zatem trzeba zwołać dźwiękami fujarki i wytępić jak szczury.

Takie to proste. Tak łatwo z legend – byle je tylko należycie spreparować – wyciągnąć morał, aż wyda owoce: wielkie zbrodnie.

Podobnie widzi to nasz pan Matzerath, który przez całe życie, niczym ścigany zwierz, szukał schronienia, nawet kiedy zachciało mu się pozować na łapacza. Powiada: „Ilekcroć była mowa o szczurach i ich wytępieniu, eliminowano jak szczury innych, którzy w sposób oczywisty szczurami nie byli”.

Ma adres, pisze listy i dostaje pocztę. Odkąd przed dwoma laty usunięto

mu kamień żółciowy, mieni się zdrowym, narzeka jednak mimo to na kłopoty z siusianiem: po nużących posiedzeniach i w trakcie poświęconych mediom burzliwych kongresów dochodzi do bolesnego zatrzymania moczu, przypuszczalnie to stres podrażnia jego prostatę, ale on boi się skalpela urologów.

Zbiera ostatnio złote monety, nosi jedwabne krawaty, lubi wysadzone rubinami szpilki do krawata, po goleniu używa wody kolońskiej i wieczorem chce pachnieć starą lawendą, pewnie ku pamięci swojej biednej mamy, która roztaczała ten długo utrzymujący się zapach. Poza starannie zaondulowanym wianuszkciem włosów, opadającym ze srebrzystoszarym migotaniem na kołnierzu, jest łysy. Jego o każdej porze roku opalona łysina błyszczy jak wypolerowana. Człowieka bierze pokusa, żeby ją pogłaskać; i są podobno kobiety, które tej pokusie ulegają – uporczywe plotki, którym on nigdy nie zaprzecza.

Co prawda rzadko widuje się go w towarzystwie, ale skoro tylko garbaty człowieczek wydaje przyjęcie, staje między wyjątkowo postawnymi paniami i panami, jak gdyby mierny wzrost wymagał jeszcze podkreślenia. Toteż wszyscy jego urzędnicy, od dyirekcji po produkcję, mają ponad metr osiemdziesiąt. Ten kaprys jest w branży filmowej znany, nikt jednak już się z niego nie podśmiewa, zwłaszcza że obecność na rynku mówi wyraźnie, kto nad kim góruje. Swój kalendarz rozplanowuje profilaktycznie: okresy wścieklej pracy, związanej wyłącznie z produkcją filmów video, przeplatają się z okresami spokoju gdzieś na ustroniu; nie tylko z uwagi na wrażliwą prostatę odwiedza uzdrowiska: Marienbad, Baden-Baden, Luccę i Bad Schinznach w Szwajcarii. Często cytuje się jego ulubione zdanie: „Przyszłość mają tylko szczury i oczywiście nasze kasety video”.

Kurując się i odpoczywając po kuracyjnych powinnościach, obmyśliwuje wszystko, co mu przychodzi do głowy: wciąż jeszcze wielopiętrowe tezy i ich przeciwieństwa. Raz zdarzenia, które są przed nami, chce sfilmować jako stworzoną przyszłość, ażeby – ledwie stanie się terażniejszością – istniała już

jako film; to znów chce mu się zobaczyć na taśmie filmowej wszystko, co się zdarzyło, zanim powstało medium filmu, na przykład zaokrętowanie się na arkę Noego. Wedle ściśle prowadzonej listy obecności wszystko, co pełza i lata, ma się ukazać na wizji: knur brodawkowy, Świnia brodawkowa, gęś i gąsior, ogier i klacz, i stale jedna, szczególna para, której nie wolno wejść na pokład arki i która mimo to nie zrażona próbuje przeszwarcować się pomiędzy dopuszczonymi gryzoniami.

W przerwach, na które rzadko sobie pozwala, wagi nabiera dla niego dzieciństwo, do którego, starzejąc się, pragnie na nowo się zbliżyć: upadek z piwnicznych schodów, wizyty u lekarza, zbyt wiele pielęgniarek... Ale notatek czy zgoła wyznań na temat swego pochodzenia już nie robi, choćby nie wiem jak usilnie prosiły go o to jego wybranki. – Stare dzieje! – powiada. – Żyjemy dzisiaj i to dzień w dzień po raz ostatni.

Już teraz cieszy się na tegoroczny wrzesień, ale nie wie jeszcze, jak będą wyglądały obchody jego sześćdziesiątych urodzin: Czy zechce być sam, w ciszy – jedynie w otoczeniu fotografii – czy pośród długonogich gości?

Lecz przedtem należy złożyć hołd Annie Koljaickowej, jego babce: wyszukanyymi prezentami i niespodzianką, którą umyślił sobie w Bad Schinznach i zaraz po kuracji oddał do produkcji.

Na jego przesadnie obszernym biurku, które stale musi być puste, leży jedynie owa pocztówka z zaproszeniem, którą w zastępstwie napisał proboszcz parafii Matarnia, noszącej dawniej nazwę Matern: „...mam zaszczyt zaprosić mojego wnuka, pana Oskara Matzeratha, na moje 107 urodziny”.

Czyta to zdanie raz po raz, nie wie jednak, czy powinien jechać. Z jednej strony lęka się powrotu, z drugiej obmyśla prezenty i opowiada wszędzie o zbliżającej się uroczystości. Jako że sprawia mu przyjemność, kiedy każdy nazywa go „naszym panem Matzerathem”, nie odwraca ucha, skoro tylko w jego otoczeniu rozlega się szept: „Proszę sobie wyobrazić: nasz pan Matzerath pojedzie być może do Polski. Słyszał pan już, że nasz pan

Matzerath planuje podróż do Polski?”

Jeszcze się ociąga. Ktoś, kto świadomie zatrzymał swój wzrost, a potem jednak urósł o parę centymetrów, uprawia starą gierkę: powinienem czy nie powinienem.

Na dobitkę Bruno, zazwyczaj jako szofer gotów bez szemrania do każdej podróży, tym razem wyraża obawy i szuka powodów, żeby podróż, jeśli nie udaremnić, to przesunąć. Powołuje się na lekarzy, którzy odradzali. Sytuację polityczną w Polsce nazywa niepewną. Ostrzega przed samowolą stanu wojennego. Nie podając istotnych powodów, sugeruje, że nasz pan Matzerath jest obecnie w Polsce niepożądany.

Jeszcze nie złożyło się wniosku o wizę. Mimo to Oskar kupuje jedwabne krawaty i ubiera się sportowo, w dużą kratę. Odrzuca propozycję, żeby w razie czego lecieć samolotem czy zgoła jechać koleją. – Jeśli już – powiada – to wracam w moje strony mercedesem.

Przezornie powiększa swój zbiór monet, chociaż – a może dlatego? – cena złota, przy rosnącym kursie dolara, spada. Jak gdyby okoliczności mogły zmusić go do opuszczenia nas na dłuższy czas, dla każdego ma rady w zanadrzu. Mnie radzi, żebym zajmował się wyłącznie sprawą Malskata. Na moją prośbę, żeby rozważyć wreszcie również inne projekty, odpowiada w pośpiechu: – O lesie i Hameln pogadamy później! – i pozostawia mnie z moimi nazbyt licznymi historyjkami, które wszystkie naraz chcą wyrwać się ze swych początków.

Zanim szkuta motorowa „Nowa Ilsebill” pozostawi za sobą płaską wyspę Fehmarn i popłynie ku stromym kredowym brzegom Møn, kobiety na pokładzie statku badawczego według z góry powziętego planu pobierają próbki z Zatoki Lubeckiej. Ponieważ pod dostatkiem jest danych o Kieler Förde, bada się tutaj prostopadłe wędrówki planktonu. Do akcji wkracza rekin pomiarowy z sześcioma sieciami. Przy czasie odłowu wynoszącym pięć minut i głębokości wody wahającej się na badanym odcinku od osiemnastu do dwudziestu trzech metrów można, poza odłowem prostopadłym, odławiać

na pięciu stopniach głębokości jednocześnie.

Podczas gdy sterniczka zanurza rekina pomiarowego i wielostopniowy licznik meduz, oceanografka i mechaniczka obrabiają chełbie modre, które mają ponad cztery centymetry średnicy. Chełbie mierzy się na wysokości płatów welarnych. Mniejsze chełbie nazywają się efyrami, większe – meduzami. Przy oznaczaniu objętości trzeba meduzom pozwolić krótko ociec i potem zanurzyć jako masę w wypełnionym formaliną cylindrze miarowym. Naturalnie mierząc uwzględnia się uwarunkowane tym kurczenie. We wszystkich grupach wielkości średnica chełbi po dwóch dniach nieprzerwanego przebywania w utrwalczu zmniejsza się o blisko cztery procent. Tego wszystkiego i jeszcze innych rzeczy – na przykład porównawczego ważenia larw śledziowych i meduz – oceanografka nauczyła się w czasie swych późno rozpoczętych studiów. Wie, jak do liczenia, mierzenia i ważenia meduz i efyków fachowo przyuczyć mechaniczkę, która właściwie pracuje w firmie transportowej, i sterniczkę, która prowadzi kancelarię adwokacką. Cierpliwie demonstruje oceanografię stosowaną. Nigdy o meduzach nie mówiło się bardziej trzeźwo.

Najpierw kobiety łowiły swym specjalnym przyrządem dwie mile od Timmendorfer Strand, potem na wysokości Scharbeutz i Haffkrug, teraz pobierają próbki z Bałtyku w Zatoce Neustadzkiej aż po Pelzerhaken. Bardziej na północ zagęszczenie meduz maleje. Ale u wybrzeży wschodniego Holsztynu oceanografia i jej stosowanie nabiera nagle nowego wymiaru, kiedy sterniczka mówi do kapitanki: – Tutaj gdzieś na początku lat siedemdziesiątych złapałyśmy turbota. Przypadkowo. Nożyczkami do paznokci. Ale rozdziawił pysk! Mnóstwo nadziei i cudownych obietnic. Nic z nich nie wyszło. Wszystko to tylko chełbie, które kurczą się, ledwie na nie spojrzysz.

Jak gdyby naprawdę go przyzywając, sterniczka woła ponad gładkim morzem: – Hej, turbocie! Nabrałeś nas. Nic się nie zmieniło. Nadal przycisk jest w rękach panów. Oni, tylko oni mają coś do gadania, chociaż coraz



szybciej idzie ku gorszemu. A myśmy wtedy myślały: przyjdzie teraz kolej na sprawę kobiet, na ich mądre rządy. Nic z tych rzeczy. A może i tu wpadnie ci do głowy jakiś chytry pomysł? No, powiedz coś, turbocie, powiedz coś, ty fanfaronie!

Co prawda morze pozostaje nieme, ale wybuch sterniczki, ów dawno już nie wydawany krzyk za mówiącą ludzkim głosem płastugą, wywabia oceanografkę i mechaniczkę z dawnej ładowni szkuty motorowej, gdzie dokonywały pomiarów ostatniego połowu chełbi. Znalazłszy się na pokładzie mechaniczka z miejsca woła: – Tylko weź na wstrzymanie z tymi wczorajszymi bredniami!

Oceanografka mówi: – I przestań biadolić. Żaden mężczyzna nie wejdzie nam na pokład. To ci nie wystarczy?

Z kambuza dochodzi wołanie Starej: – Turbot czy nie turbot, tutaj zawsze się coś działo! Zarzućmy tu kotwicę.

Podczas gdy kapitanka zwalnia bieg silnika, wyłącza go, potem posłusznie rzuca obie kotwice, jakby to Stara odtąd dowodziła, oceanografka ściąga rękawiczki z przezroczystej folii. Wyrzuca za burtę tę rzecz jednorazowego użytku i wskazuje po kolei w kierunku Pelzerhaken, Neustadt, Scharbeutz: – Tam stały trzy statki. Nosłam warkoczyki z kokardkami i miałam akurat dwanaście lat, kiedy „Thielbeck”, „Cap Arcona” i „Deutschland” zakotwiczyły tutaj. Nas ewakuowano z Berlina. Dwa razy zbombardowali nasz dom. To było w kwietniu czterdziestego piątego, na krótko przed końcem. Statki stały tam każdego ranka, kiedy szłam do szkoły. Wyglądały jak namalowane. Kolorowymi ołówkami, wszystkie trzy. Dorośli mówili: Tam siedzą kacetowcy. Kiedy trzeciego maja matka posłała mnie jeszcze raz do miasta, bo w Neustadt dawali cukier na kartki, zobaczyłam z brzegu, że ze statkami coś się stało. Dymiły. Zostały zaatakowane. Dzisiaj wie się więcej: kacetowcy byli z Neuengamme, paruset ze Stutthofu. A statki zostały zaatakowane przez angielskie typhoony. Były one wyposażone w rakiety. Z brzegu wyglądało to zabawnie, jak ćwiczenia. W każdym razie „Cap Arcona”

płonął i później się wywrócił. „Deutschland”, na którym nie było kacetowców, został zatopiony. „Thielbeck”, na którym więźniowie wywiesili prześcieradła jako białe flagi, wywrócił się płonąc i osiadł na dnie. Naturalnie z brzegu nie było widać, co się działo we wnętrzu statków. Trudno też to sobie wyobrazić. Nawet jeśli później długo jeszcze rysowałam kolorowymi ołówkami płonące statki, o Boże! W każdym razie przed nalotem na pokładzie „Arcony” i „Thielbecka” było jakieś dziewięć tysięcy więźniów. Dzień w dzień około trzystu z nich ginęło z głodu. A blisko pięć tysięcy siedmiuset kacetowców – byli to Polacy, Ukraińcy, Niemcy i oczywiście Żydzi – spaliło się, utonęło albo, jeśli dopłynęli do brzegu, zostało po prostu rozwalonych. Przez esesmanów i komandosów marynarki. Widziałam to, jak miałam dwanaście lat. Stałam z tymi swoimi warkoczykami i patrzyłam. Stało tam też wielu dorosłych z Neustadt i przyglądało się, jak kacetowcy, ledwie wynurzyli się z wody, trzęsąc się jeszcze, byli rozwalani. Udają naturalnie, że nic nie widzieli, nic nie słyszeli, do dzisiejszego dnia. A i w Anglii pies z kulawą nogą o tym nie wspomni. To był nieszczęśliwy wypadek i koniec. Przez dwa lata trupy przyływały na brzeg i zakłócały morskie kąpiele. Zaraz po tym przecież nastąpił pokój. A i wraki długo jeszcze leżały w zasięgu wzroku, aż je odholowano na złomowanie.

Oceanografka pamięta, jak się nazywali gauleiter Hamburga i kapitanowie statków, a tymczasem kobiety patrzą na morze, po którym nic nie można poznać. Przy bezwietrznej pogodzie lekko pada, jak często tego deszczowego lata. Z kambuza odzywa się Stara: – No jasne, coś takiego nie pasuje do historii. Głupia wpadka. To przeszkadza. O czymś takim się zapomina. Mordę w kubeł! mówiło się dawniej. Zjemy teraz? Są klopsiki ze smażoną cebulką, tłuczone ziemniaki i mizeria.

Ponieważ nie ma już nic do powiedzenia, kapitanka podnosi obie kotwice i obwieszcza kurs: pełne morze. Jak to dobrze, że motor posłusznie rusza. Mając u boku sterniczkę, Damroka trzyma się swego dzbanka z kawą. – Byle dalej stąd! – mówi, nic więcej, ma jednak na oku właściwy cel podróży, jej

tylko znany; a i ja życzę sobie, żeby kobiety dały spokój przeszłości i znów zajęły się jedynie chełbiami modrymi.

Do jedzenia na śródokręciu uprzątają stół, na którym przedtem leżały tabele i wyniki pomiarów. Wszystkie musiały chwalić klopsiki, kucharkę. Gadanina o pogodzie i deszczowym lecie. Jak to dobrze, że nic nie odbija się echem. Do klopsików z tłuczonymi ziemniakami kobiety piją butelkowe piwo. Ledwie zjadłszy, kapitanka idzie zastąpić sterniczkę przy sterze.

Później dopiero, kiedy płaska wyspa Fehmarn została za nimi, zbierają się wszystkie na pokładzie, przynosząc swoje robótki. Morze dychawicznie tworzy małe fale. Lekka bryza. Gdzie indziej deszcz leje jak z cebra. Od czasu do czasu przedziera się słońce. Ledwie z lewej burty zarysuje się płaski brzeg duńskiej wyspy Lolland, „Ilsebill” przepływa raz gęsto, to znów rzadko zasiedlone meduzie tereny. Tutaj nie zbiera się żadnych danych. Rekin pomiarowy może odpoczywać. Szkuta porusza się z prędkością ośmiu i pół węzła.

Ale nagle – tylko dlatego, że z południowo-wschodniego kierunku pojawia się biało brzuchy prom – żadnego już gadania o tym i owym. Nic na to nie poradzę, że oceanografka przestaje robić na drutach i znów zaczyna mówić o statkach z kacetowcami. Ponieważ mechaniczka chce wiedzieć więcej i dokładniej: – Jak to więźniów na statki? I dlaczego Anglicy nie? – pozwalam Starej znad zmywania zawołać z kambuza: – Ależ tak, tak! Głodujący, płonący, tonący, potem pływający, zaraz potem rozwalani ludzie. I ludzie, którzy pozwalali innym ludziom głodować, płonąć, tonąć i przyglądali się, jak nieliczni ludzie, którzy dotarli na ląd, byli przez ludzi z miejsca rozwalani. Zawsze tylko ludzie i co ludzie robili z ludźmi. A szczury? Kto mówi o spalonych, potopionych szczurach? Zakład, że na pokładzie było mnóstwo szczurów, na pewno kilka tysięcy...

Na to szczurzy ca, która mi się śni, nie ukazując się na wizji i nie mogąc wyrugować statku, powiedziała: Pomyłka, drobna pomyłka. My wprawdzie zawsze byliśmy blisko ludzi, ale unikałyśmy ich zguby. Wiedziałyśmy

zawczasu, co nastąpi. Nie zagrzewałyśmy miejsca na statkach, z którymi było coś nie tak. Przy całej miłości do rodzaju ludzkiego nie chciałyśmy spalić się wraz z nim czy utopić.

To nie fotel na kółkach mi się śnił. To kapsuła kosmiczna, w której siedziałem przypięty pasami i musiałem podążać po swojej orbicie. Ja, bez pojęcia o tych wszystkich kosmicznych hockach klockach; ja, nie obciążony specjalistyczną wiedzą, która wysoko kwalifikowanie sięga do gwiazd i potrafi wymienić z nazwy wszystkie galaktyki; ja, wolny od znajomości słownictwa, z którym tymczasem za pan brat są nie tylko paplający swobodnie astronauty, ale i dzieci szkolne; ja, staroświecki głupiec, dla którego nawet telefonowanie pozostało niepojętym cudem, siedziałem zamknięty w kapsule kosmicznej i wołałem: Ziemi! Odpowiedz, Ziemi!

Ale mój monitor ukazywał jedynie szczurycę. Tylko ona odezwała się w odpowiedzi, była rozmowna. Choćbym rozpaczliwie krzyczał: my jeszcze jesteśmy! Istniejemy! Nie przestajemy! – ona pozostawała niewzruszona i mówiła o minionych czasach: melancholijnie i cierpliwie, jakby chciała mi matkować.

Posłuchaj, bracie, mówiła szczurzyca. Wołałeś: Ziemi, tu mówi Ziemia. Odpowiedz, Ziemi! brzmiało twoje życzenie, tu odpowiada ci Ziemia: Myśmy się zakopały, miałyśmy przecież przecucie. Podczas gdy ludzie, jak gdyby nie mieli innej możliwości, znów zaszaleli, ale tym razem na całego, i chcieli koniecznie przerosnąć samych siebie, my zakopałyśmy się głęboko. Nie mówmy o instynkcie; to przekazana tradycją wiedza, nasza pamięć, od czasów Noego wyczulona na takie wypadki, zaleciła nam podziemie, przeżycie w pęcherzach powietrza dzięki systemowi zatyczek. Często odklepywana bezmyślnie ludzka mądrość – szczury uciekają z tonącego okrętu – nie wzięła się z przypadku. Od czasu owej instrukcji, która surowo zabraniała nam wstępu na łajbę Noego z jodłowego drewna – na trzysta łokci długą, pięćdziesiąt łokci szeroką i trzydzieści łokci wysoką – statki wydawały się nam szczególnie podejrzane. Ilekroć słyszałyśmy o szczurach, które w

ludzkiej opinii tchórzliwie opuściły statek, rychło dowiadywałyśmy się o zatonięciu opuszczonego statku.

To prawda! zawołała szczurzyca. To zdanie utrwaliło naszą opinię. Ale kiedy na koniec zguba zawisała nad statkiem Ziemia, nie było planety, na którą mogłybyśmy się przenieść. Toteż poszukałyśmy schronienia pod ludzkimi systemami bunkrów, podkopując nadziemne i podziemne budowle. Zgromadziłyśmy też zapasy, co za czasów człowieczych czynił tylko bengalski szczur wędrowny.

Chociaż ja w mej kapsule kosmicznej usiłowałem raz po raz nakłonić monitor do pokazywania przyjemnych obrazów, szczurzyca oprowadzała mnie po systemach podziemnych wykopów, których korytarze i chodniki łączące wiodły do łęgówisk, zwężeń służących za śluzy i obszernych kieszeni wypełnionych jak silosy zbożem i innym ziarnem. Otwierał się przede mną labiryntowo rozgałęziony podziemny świat.

Chciałem wydostać się na światło dzienne i śnić o czymś pięknym: o Damroce!

Ona powiedziała: Innego wyjścia nie było.

Przeklinałem naszego pana Matzeratha. Powinien się zgodzić i wyprodukować mój film o umierającym lesie. Ona odebrała mi głos i zafalsetowała: Ogólny nastrój rodzaju ludzkiego, jego ostentacyjna, niczym nie uzasadniona nadzieja na pokój, ta żyjąca nadzieją, zżerająca samą siebie nadzieja, to skrzętne podsycanie nadziei przy równoczesnej jałowości ludzkich poczynań, to beznadziejne łudzenie się nadzieją zaalarmowały nas.

Zasłaniali się koniecznościami obiektywnymi. Jak gdyby czasu mieli nieskończenie dużo, odraczali powzięcie decyzji. Ich mężom stanu mogło się to wydawać śmieszne, w każdym razie szczerzyli zęby do ostatka. Ach, ich gadanina! O ile przedtem ludzkość była zdolna do ważkich, choć często dziwacznych idei, o tyle pod koniec już tylko bezmyślnie nawracała do zarzuconych pomysłów, w tym do starych jak świat dziwolągów: statków kosmicznych, budowanych i obsadzanych na zasadzie arki i zastosowanej w

niej selekcji. Najwidoczniej człowiek postawił na sobie krzyżyk. On, którego głowa wszystko to obmyślała; on, którego myśli do tej pory przyoblekały się w kształty; on, dotychczas dumny ze swego rozumu i jego zwycięstw nad ciemnością i zabobonem, wstecznikami i wiarą w czarownice; on, którego umysł nadał wagę niezliczonym książkom – chciał odtąd wyrzec się rozumu i słuchać już tylko uczuć, mimo że w człowieczej naturze uczucia są jeszcze bardziej niż instynkt niedorozwinięte.

Krótko mówiąc, powiedziała szcurzyca, która mi się śni, coraz więcej ludzi stawiało na życie bez rozumu. Poeci bajdurzyli jak wieszczbiarze i arcykapłani. Każdy nie rozwiązany problem nazywali mitem. Na koniec nawet odbywające się od lat, początkowo w doborze słów i dowodów mądre jeszcze manifestacje pokojowe przeobraziły się w zbiegowiska religijne. Niestety brali w nich udział również nasi punkowie, których polubiłyśmy, którzy nas polubili. W naszej szcurzej pamięci zachowały się średniowieczne pochody flagelantów, które – napędzane strachem – nawiedziły chrześcijański Zachód, wywołały biczownicze szaleństwa, pogromy i nie cofały się przed niczym, ponieważ grasowała wtedy dżuma, zwana biczem na ludzi. Po czym zaczęto szukać i znaleziono winnych: to jakoby my i Żydzi przywlekłyśmy i rozniosłyśmy zarazę. Z Wenecji albo z Genui. Stare dzieje, pewnie; a jednak wciąż nowe...

W każdym razie u schyłku człowieczej historii widziałyśmy odradzenie się flagelanctwa, choć nie było ono skierowane przeciwko Żydom i nam. Wszelako po pochodach i zbiegowiskach dochodziło do jednostkowych, potem zbiorowych samospaleń: najpierw w Amsterdamie, potem w Stuttgarcie, następnie równocześnie w Dreźnie, Sztokholmie i Zurychu, wreszcie dzień w dzień w dużych i małych europejskich miastach, na stadionach piłkarskich i w halach targowych, na kirchentagach i kempingach; z kolei ta moda – jeśli wolno tak się wyrazić – chwyciła na innych kontynentach: z początku w Atlancie i Waszyngtonie, potem w Tokio i Kioto, naturalnie w Hiroszynie. Na koniec, kiedy o zbiorowych

samospaleniach donoszono nawet z krajów zacofanych, również Związek Radziecki nie pozostał nietknięty. Z Kijowa rozpaczliwy i niczego nie oczyszczający ogień przerzucił się na Moskwę i Leningrad. Gdziekolwiek nie stało rozumu – należałoby jeszcze wymienić Rzym i Częstochowę – przebieg był taki sam: młodzi ludzie zbierali się w ciasne czworoboki. I w środku takiego modlącego się, śpiewającego, w każdą modlitwę, w każdą linijkę pieśni wtłaczającego słowo „pokój” ludzkiego czworoboku – pod katedrą kolońską było ich podobno ponad pięćset – zapalano później, po nagłym zamilknięciu, ostrzegawczą błyskawicę; wytwarzały ją liczne, podawane z rąk do rąk, otwarte kanistry z benzyną; tej do końca było pod dostatkiem.

Ach, ludzkość! Och, ten rodzaj człowieczy! Nawet w stanie rozpaczliwego zamętu wszystko było dobrze zorganizowane. Porządkowi formowali gotowe do złożenia siebie w ofierze czworoboki. Stosownie do liczby zgromadzonych stało w pogotowiu tyle a tyle karetek. Wśród ofiar niezwykle dużo matek z małymi dziećmi. Nauczyciele ze swymi uczniami. Księża i pastorowie z katechetami i konfirmantami. Wielkie zakłady w Neckarsulm i Wolfsburgu utraciły terminatorów wraz z instruktorami. W kilku miastach garnizonowych rekruci zapalili ostrzegawczą błyskawicę podczas przysięgi. W późniejszej fazie tej antycypowanej samozagłady prasa, radio i telewizja rozważnie nie podawały już codziennej liczby strat.

I zobaczyłem to, co wymieniła szcurzy ca, zobaczyłem ostrzegawcze błyskawice na tle raptownie rozjarzonych miast, zobaczyłem, jak stają w płomieniach niemowlęta z matkami, uczniowie z nauczycielami, młodzi chrześcijanie z kapłanami, terminatorzy zebrani wokół swych majstrów i rekruci w trakcie przysięgi na sztandar. Krzychałem i mimo to pozostawałem uwięziony w mej kapsule kosmicznej. Przestać! Zbudzić się! krzychałem. Prosiłem, skamlałem, mówiłem do niej czule: szcurzyczko, gwiazdkowa szcurzynko. Przychodziły mi do głowy bezsensowne propozycje: Czy nie miałyby, czy przypadkiem nie byłoby... A tymczasem ona rzeczowo zdawała sprawę z minionego czasu.

Na pewno miałyby i byłyby lepiej... I początkowo próbowano położyć kres szerzącej się manii i siłą rozpędzać czworoboki. Kiedy jednak w Brukseli, Norymberdze i Pradze policjanci w pojedynkę, potem całymi oddziałami dezertowali, ażeby wziąć udział, jak mówiono, w ostrzegawczym poświęceniu się, siły porządkowe zaprzestały interwencji. Bezczylnie przyglądano się ostrzegawczym błyskawicom. W aglomeracjach miejskich były one na porządku dziennym, jak w odległych rejonach na porządku dziennym był głód. Na tym tle: dymu, smrodu i – jak pisał wybitny publicysta – spotęgowanej skłonności do śmierci mężom stanu łatwo przychodziło nadawanie swym poczynaniom pozorów rozsądku, tak że zaniepokojeni starsi ludzie na jakiś czas przystąpili do ruchu przeciwstawnego, który pod hasłem: Uzbroidź pokój! zdobył umiarkowane poparcie. Oczywiście podczas starć obu ugrupowań ostrzegawcze błyskawice pochłaniały odpowiednio większą liczbę ofiar.

Wydało mi się, że szczurzyca uśmiecha się w swoim systemie wykopów. Może zresztą nie uśmiechała się i tylko na mnie, siedzącym w kapsule kosmicznej, wszystko to zrobiło szalenie komiczne wrażenie, tak komiczne, że tylko śmiać się do rozpuku. Wywrzeszczałem to: Nie strój sobie żartów, szczurzyco! Przestań się z nas natrzasać. Łatwo wam się śmiać w waszych szczurzych norach.

Zgadza się, bratku, odrzekła szczurzyca, jednakże powinieneś usłyszeć, co nas skłoniło, do zaszycia się w ukryciu: Pod koniec człowieczej historii rodzaj ludzki przyswoił sobie język, który uspokajająco łagodził, oględnie niczego nie nazywał po imieniu i brzmiał rozsądnie nawet jeszcze wtedy, kiedy głupotę podawał za mądrość. Zadziwiające, jak wielkim szychom, ich politykom, udawało się naginać słowa i czynić uległymi sobie. Mówili: Ze strachem wzrasta nasze bezpieczeństwo. Albo: Postęp ma swoją cenę. Albo: Rozwoju techniki nie da się powstrzymać. Albo: Przecież nie chcemy wracać do epoki kamiennej. I ten oszukańczy język akceptowano. Żyło się więc ze strachem, latało za interesami lub przyjemnościami, ubolewało nad ofiarami



ostrzegawczych błyskawic, nazywało je nadwrażliwymi i z tego względu niezdolnymi do wytrzymania przeciwności czasu, po krótkim potrząśnięciu głową przechodziło się do porządku dziennego – był wystarczająco męczący – i co prawda nie mówiło się wyraźnie: Po nas choćby potop, ale żyło się możliwie jak najwygodniej, mając pewność, że ludzkość i podejmowane od czasów Noego próby wpojenia rodzajowi człowieczemu nieco mniej morderczych zasad postępowania zrobiły fiasko. Jako ostatni ze wszystkich światopoglądów popularność i zwolenników zyskał sobie finalizm. Od niechcienia mówiło się do przyjaciół i znajomych: Wpadnijcie znowu, póki nie będzie za późno. Witało się: Miło cię jeszcze raz zobaczyć. Powiedzenie „do widzenia” przy pożegnaniu wyszło z użycia. A do dzieci powiadało się z czułością, ale i z zadumą: Właściwie to was, nasze kochane maluchy, nie powinno już być. Zaczęto sporządzać bilanse. Na uroczystościach rodzinnych i przy oficjalnych okazjach, nawet takich jak poświęcenie mostu, cytowano teksty eschatologiczne. Nic dziwnego, że my, szczury, postanowiliśmy się zakopać.

Już się nie sprzeciwiałem. Moja kapsuła kosmiczna stawała się coraz przytulniejsza. Dlaczego miałbym dalej wołać: Ziemi! Odpowiedz, Ziemi!?! Bawiłem się niepojętymi dla mnie guzikami, przełącznikami i pozostałymi instrumentami, złapałem też odwracające uwagę obrazy, które swawolnie wymazywały się nawzajem, miałem uciechę z niedorzeczności tego miksowania, sądziłem, że dobrze mi się śni, i już pogodzony przysłuchiwałem się jednak szczurzy.

Nadal zaprzątnięta nasza faza końcową mówiła: Od niepamiętnych czasów oddane ludziom, przed zakopaniem się próbowałyśmy ich ostrzec. Setkami tysięcy opuszczałyśmy rozległe systemy tuneli ich szlaków komunikacyjnych i nasze ulubione schronienie, kanalizację. Wycofywałyśmy się z wysypisk śmieci i złomowisk, rzeźni i terenów portowych, zsyków w wieżowcach i naszych pozostałych rejonów. W biały dzień, jakże wbrew naszej naturze, biegałyśmy po głównych ulicach wszystkich europejskich

metropolii: chmara uciekających szcurzych stad, nawała szcurów nie do zatrzymania. Potem zintensyfikowałyśmy nasz program. Nie tylko raz, kilka razy dziennie ulicą Gorkiego na Plac Czerwony. W Waszyngtonie biegałyśmy trzy razy wokół Białego Domu, w Londynie sunęłyśmy gwiazdźście na Trafalgar Square. Dwa zmierzające w przeciwnych kierunkach strumienie szcurów zablokowały Pola Elizejskie. Tak to okazywałyśmy rodzajowi człowieczemu nasze zaniepokojenie. Ponieważ ludzkość wierzyła w obrazy, tworzyłyśmy przerażający obraz. Reprezentacyjnymi ulicami i alejami tam i z powrotem. Każdy grzbiet, ogon wyprężony. Chciałyśmy ludziom dać do zrozumienia: Patrzcie, jak my się boimy! My też zdajemy sobie sprawę, że nadciąga zmierzch tego świata. Podobnie jak wy znamy odnośne miejsca w Biblii. Nasza ucieczka, spowodowana przez ostateczne lęki, oznaczała: Przestańcie, ludzie, myśleć o sobie pod znakiem końca. Skończcie z kończeniem. Po tysiącokroć spełnia się mądrość Przysłów...

Udałem zdziwienie: I co? Była panika, nie? Jeden wielki krzyk, tak? Jak gdybym chciał nadrobić to, co ludzkość zaniedbała: Kiedy sobie wyobrażę popołudnie w godzinach szczytu. I gospodynie domowe z torbami zakupów...

To, co powiedziała szcurzyca, pobrzmiwało zmęczeniem i jeszcze w retrospekcji rozczarowaniem: Co prawda słyszałyśmy krzyki przerażonych przechodniów, którzy może nawet słusznie tłumaczyli sobie naszą demonstracyjną masową ucieczkę, co prawda w centralnych dzielnicach miast natychmiast załamywała się komunikacja, co prawda wszystkie okna wychodzące na główne ulice były obsadzone przez gapiów, ale nic więcej się nie stało, prócz tego, że nie oglądając się na koszty, filmowano nas dla telewizji, jak widowiskowo uciekałyśmy przez mosty na Sekwanie, okrążając raz po raz Pałac Buckingham, wokół wysokiego wodotrysku w Genewie. Już turyści strzelali migawkowe zdjęcia. Jako że nasze szybkonogie demonstracje ciągnęły się często godzinami, dostarczałyśmy pod dostatkiem motywów.

Ale czy jednak nie, zawołałem. Mam na myśli środki zapobiegawcze. Przynajmniej armatkami wodnymi. Albo z helikopterów. Albo całkiem po prostu...

Tak, tak, odparła szczurzyca, oczywiście najpierw przyszła im do głowy trucizna. Ale tylko w niewielu dużych miastach usiłowano zdławić nasze zmasowane wystąpienia środkami niszczącymi, w Rzymie nawet miotaczami ognia: skutkiem były szerzące się szybko wielkie pożary wzdłuż Via Veneto. Straty po stronie ludzkiej dorównywały naszym ubytkom. Jak głupio do końca stawiali na przemoc. Jedynie w Pekinie, Hongkongu i Singapurze, gdzie dominowała chińska odmiana ludzkości, w New Delhi i Kalkucie, gdzie zawsze otaczano nas jeśli nie uwielbieniem, to przecież szacunkiem, zrozumiano nasze ruchome obrazy ostrzegawcze jako apel; ale centralne komputery były zlokalizowane gdzie indziej.

Nie przyszło mi na myśl nic lepszego od słów: Szkoda, jaka szkoda! A wyście tak się starały, okropnie się starały. Nie bałyście się, szczurzyco, żadnego ryzyka.

Dopiero teraz, powiedziała, po tylu daremnych wysiłkach my, szczury, zaczęłyśmy się zakopywać.

To było błędne! zawołałem. Albo przedwczesne. W każdym razie powinnyście były jeszcze raz i jeszcze...

Robiliśmy to, całymi dniami...

Nie! zawołałem. Na nas, ludziach, położyłyście krzyżyk. I to grubo za wcześnie...

Jeszcze raz, jak gdyby chciała potwierdzić sobie i mnie daremny trud, zobaczyłem na monitorze mojej kapsuły kosmicznej ciąg prędko zmieniających się scen: czuli dla szczurów punkowie, wiele setek punkowców ciągnących ze swymi szczurami w stronę Hameln, ostrzegawcze błyskawice zapalające się w ludzkich czworobokach, potem strumienie poruszających się w kółko i w przeciwnych kierunkach szczurów. A potem zobaczyłem, jak się zakopywały. Niczym kliny wdzierały się w ziemię.

Tysiąc i więcej dziur wypluwało piasek, żwir, margiel. Z początku ich ogony jeszcze na powierzchni, potem jakby ziemia je pochłonęła. Wszędzie równocześnie. Tyle ostatecznych obrazów, na koniec sałatka obrazowa, w którą raz za razem, ale bezdźwięcznie i już spod ziemi, mieszała się szcurzyca. Potem zobaczyłem naszego pana Matzeratha, jak zaczynał przemawiać, następnie kanclerskie dzieci biegnące jako Jaś i Małgosia przez martwy las, zaraz znowu szcurzycę, nie, moją gwiazdkową szcurzynę, która spała zwinięta w kłębek albo udawała niewiniątko, z kolei malarz Malskat przyrządzał farbę na cudownie gotyckie obrazy, aż tu nagle Damroka z resztą kobiet, robiąc na drutach, przemierzała usiane meduzami morze, a szcurzyca się coraz głębiej, a dzieci w lesie, który trupio znieruchomiały...

Jaka ulga, że nasz pan Matzerath pokazał wreszcie swój wniosek o wizę, starannie wypełniony drukowanymi literami: do Polski się wybiera, do Polski.

W samą porę, powiedziałem sobie przy przebudzeniu, bo między Rębiechowem a Matarnią Kaszubi rozpoczynają przygotowania do uroczystości. Liczba sto siedem ma być upleciona z kwiatów.

Na koniec, kiedy nie było już się z czego śmiać, politycy ratowali się zgodnym szczerzeniem zębów.

Pozbawieni motywu, bo nie było nic zabawnego, zaczęli szczyryć zęby na cały świat.

Wdzieranie się w opanowane rysy twarzy.

Ani śladu zakłopotanego uśmiechu.

Już tylko finalne grymasy.

Uważano to jednak za wesołość i fotografowano szczerzenie zębów i strojenie grymasów przez zgodnych polityków.

Zdjęcia z ostatniego spotkania na szczycie były świadectwami zaraźliwie dobrego humoru.

Widać mają powody, żeby wyzbyć się powagi, mówiono sobie.

Jako że do końca obradowano, humor utrzymywał się do końca.

*ROZDZIAŁ TRZECI, w którym dzieją się cuda, Jaś i Małgosia chcą żyć po miejsku, nasz pan Matzerath wątpi w rozsądek, zajętych jest pięć hamaków, trzeci program musi zamilknąć, w Stege jest wyprzedaż, w Polsce braki, aktorka filmowa zostaje kanonizowana, a indyki tworzą historię.*

Moja gwiazdkowa szcurzyna nie lubi, kiedy zajmuję się malarzem Malskatem. Wietrzy niespokojnie, ledwie rozłożę koło klatki sprawozdania z procesu, komentarze, choćby pod tytułem: *Sowizdrzał z Prus Wschodnich*. Jest wytrącona z równowagi, gdy gazetowe zdjęcie Malskata porównuję z moim wyobrażeniem o Malskacie: wygląda na gościa za sprawą stuleci kutego na cztery nogi i mógłby do trzewików z długim dziobem, rozciętych spodni i bufiastych rękawów nosić zamiast sfilcowanej wełnianej mycki dwurożną czapkę z dzwonekami.

Na dodatek w radio leci audycja *Ze świata mediów*. Słuchamy nowin z rynku video, nie tylko przez naszego pana Matzeratha nazywanego przyszłościowym. Wyciągając rękę obok klatki mojej gwiazdkowej szcurzyny znajduję pokrętko, które w połowie zdania usuwa program trzeci z pokoju; poszukiwanie Malskata za zadrukowanym papierem nie znosi ubocznych szumów. Moja szcurzyna musi to pojąć, choćby nie wiem jak lubiła wysłuchiwać nowości z dziedziny nauki albo komunikatów o stanie wód na Łabie i Saali.

Ani wesołych, ani złośliwych figli. To nie dzwonekowy błazen. Stwierdzam, że nos Malskata, którego nasada z nierównym rozmachem nadaje jego brwiom taki wyraz, jak gdyby wciąż widział cuda, powraca niczym sygnatura na Malskatowych malowidłach ściennych, tak że w szlezwickiej katedrze jak i w lubeckim kościele Panny Marii zdobi twarze anielskich młodzieńców i świętobliwych starców. Wszyscy oni boleśnie

rozszerzonymi oczami widzą więcej, niż w czasach biblijnych można było zobaczyć. Są one zdolne dojrzeć nie tylko przyszłe zbawienie, ale i rychłą grozę, dzięki owemu nochalowi odnotowanemu już w początku lat pięćdziesiątych w rozprawie doktorskiej, która nabrała się na Malskatowy gotyk: „Niezwykłe są długie nosy figur w nawie środkowej i prezbiterium. Podkreślają wizjonerskie spojrzenie świętych. Przemawia z nich pewnego rodzaju nordycka śmiałość, której próżno by szukać w innych malowidłach ściennych dojrzałego gotyku, wyjąwszy katedrę w Szlezwiku, gdzie Salvator Mundi i niektóre motywy filarowych malowideł na podstawie kształtu nosów pozwalają przypuszczać, że warsztat mistrza lubeckiej nawy środkowej i prezbiterium działał również tutaj”.

Domyślałam się, czemu moja gwiazdkowa szczurzyzna wietrzy niespokojnie i nie zwraca nawet uwagi na ziarnka słonecznika, skoro tylko ja zabieram się do pożółkłych papierów z lat pięćdziesiątych. Powinienem być jak wyzuty z pamięci, nastawiony jedynie na dzień dzisiejszy i wciąż zadawać sobie pytanie, co złego mogłoby się zdarzyć już jutro.

Dobra, szczurzynko, mówię, przyjdzie jeszcze pora na naszą upadłość. Ale zanim sporządzę bilans, należy dociec, dlaczego Malskatowa umiejętność bycia mimo kiepskiej zapłaty prawdziwie gotyckim była wówczas na czasie i odpowiadała podstawowemu zapotrzebowaniu, powszechnemu nastrojaniu na fałszerstwo; jak to się przytrafiło z wronami w martwym lesie, oszukaństwo musi kiedyś się wydać, choćby nadal było w wysokiej cenie. Ach, kłamstwa nie miały krótkich nóg, stąpały porządnymi krokami!

Bo lata po drugiej wojnie światowej zachowywały się w Niemczech tak, jakby ich latom poprzednim przydarzył się zły sen, coś nierzeczywistego, co trzeba omijać z daleka, żeby nie rodziło koszmarów. Poszukiwane były sny odciążające. Przypominam sobie: jeździł wtedy po kraju uzdrowiciel i sprzedawał cudotwórcze kulki z cynfolii, skuteczne na wszelkie choroby, a ludzie walili do niego drzwiami i oknami. Wymarzone do snów na gąbce

komplety bawialniane można było dostać na raty. We wszystkich magazynach ilustrowanych książęta ciągle poślubiali księżniczki. Na Capri czerwone słońce nieprzerwanie znikało w morzu.

Na obrazach, które później stały się tapetami, cała przeżyta groza okazywała się bezprzedmiotowa. Politykę natomiast, której miało się dość, przekazano za sprawą wyższych mocy ludziom starym, którym podzielony kraj przypadł nie tyle w równych, co raczej w przypadkowych częściach.

I oto starcom udało się zwyciężonych Niemców uszlachetnić na zaprzyjaźnionych ze zwycięzcami Niemców, którzy od razu – jako że wrodzona im pilność w cudowny sposób przetrwała wojnę – okazali się przydatni w jednym i drugim zwycięskim obozie: raz-dwa znów było się kimś, znów miało się broń. Toteż naród dziękował obu dobroczyńcom, chociaż Szpicbródki, jak nazywano Ulbrichta, nienawidził, a starego lisa Adenauera wprawdzie wybierał, ale nie kochał całym sercem tak, jak w minionych latach jako zjednoczony naród serdecznie kochał swego Hitlera.

Malskat dobrze się do tych czasów dopasował. Jego malarstwo ścienne, uznane za autentyk, nazwano „cudem z Lubeki”; bo jeśli naród czuje się uporczywie prześladowany przez nieszczęście i ma na swoim koncie nieszczęścia wyrządzone – jakby mimochodem – innym narodom, a mimo to otrzymuje w darze tyłu świętych gotyckiej proveniencji, to może być pewien łaski Bożej także w dziedzinie świeckiej. Następnie zdarzyły się dalsze cuda, między innymi cud gospodarczy, którego profity odczuwało się już u progu lat pięćdziesiątych: prowizorycznie, jak mówiono, osiadły w Bonn rząd wyłożył sto osiemdziesiąt tysięcy nowych marek na stół lubeckich władz kościelnych, tak że ukazywało się coraz więcej świętych, a malarz Malskat – nie ma starania bez nagradzania – mógł być pewny godzinowej stawki w wysokości dziewięćdziesięciu pięciu fenigów.

To jednak i jeszcze inne dziwy nie nęcą mojej gwiazdkowej szcurzyny. Dziś jeszcze opierające się na ówczesnych cudach bogactwo nie ma dla niej znaczenia. Mogłaby zawołać: Nie truj! i przewidująco powiedzieć: Ani śladu



po tym nie będzie. Ale ona tylko przemyka niespokojnie po trocinowej podściółce i nie bierze udziału w moich retrospekcjach. Cokolwiek dostrzegają jej czarno polerowane oczy, nigdy nie odbija się w nich Malskat.

Dopiero gdy później wysłałem biegiem Jasia i Małgosię w martwy las, a zbiegłe dzieci kanclerskie nie chciały trzymać się mojego scenariusza i ponieważ w lesie nic się nie działo, przeszły na stronę punków, u których dzieje się więcej, moja gwiazdkowa szczurzyna odezwała się obecnie jako szczurzyna: Oboje są dobrzy. Z wczorajszego dnia nie został im ani okruszek. Popatrz tylko, co ze sobą noszą, komu okazują czułość, komu szepcą do ucha, czyje gołe ogony ich łaskoczą i kogo oboje lubią, chcąc, żeby ich też lubiano bez zastrzeżeń, z kim jednym jedynym Jaś i Małgosia są w zażyłości...

I zobaczyłem, że dzieci, które uciekły od kanclerza i jego małżonki, miały ze sobą dwa szczury. Były to pewnie kiedyś białowłose szczury laboratoryjne. Teraz jednak jeden był ufarbowany na cynkowozielono, drugi na fioletowo; jak irokeska fryzura Jasia połyskiwała cynkowozielono, a liczne sterczące warkoczyki Małgosi fioletowo. Wyglądało na to, że dzieci stanowią jedno ze swymi zwierzakami.

Co prawda usiłowałem przenieść oboje z powrotem do martwego lasu i bez zwierzęcych dodatków włączyć w dalszy bieg mojego scenariusza, ale one gwizdały na jego morał. Ze swymi jaskrawymi szczurami chciały już tylko być jaskrawymi punkowcami pośród punków. Coraz ich więcej wpychało się w kadr, aż był wypełniony po brzegi: zbiegowisko. Wszyscy punkowie uparcie, a przecież jednolicie obwiesili się złodem; również Jaś i Małgosia, tak że bodaj nie różnili się od pozostałych. Kłódki i wyjątkowej wielkości agrafki spinały ich ciuchy. Zacząłem liczyć grupę, w czym pomagała mi we śnie szczurzyna. Naliczyliśmy stu trzydziestu punków i dokładnie tyle samo szczurów.

Muszę, zawołałem, opowiedzieć naszemu panu Matzerathowi, że Jaś i Małgosia, którzy są uderzająco podobni do zbiegłych dzieci kanclerza i jego

małżonki, to teraz autentyczni w każdym calu punkowie, gnieźdzą się w berlińskim Kreuzbergu i stroją grymasy do świata, żeby go przestraszyć własną karykaturą. To rozpaczliwie wesoła kompania. Im już nic nie przemówi do rozumu. Wszyscy ze swymi szczurami zaszyli się w jednym z ostatnich zajmowanych na dziko domów. Jest to oficyna i ma okna zabite gwoździami.

Spójrz tylko, szczurzy co, zawołałem: jakie to typowe, że Małgosia ma w grupie decydujący głos i swojemu Jasiowi oraz innym każe robić, co zechce. Jaś mówi: Jak przyjdą z tym swoim taranem, to jesteśmy załatwieni. Ale na to Małgosia: Jak nas wyrzucą, to przeszwarujemy się do Hameln i schowamy się w tej górze, jak wtedy, kiedy też było tak źle jak teraz. A Jaś woła: Popatrzcie sobie na tych normalniaków. Ani rusz nie kapują, jacy są martwi!

Szczurzyca, która mi się śni, powiedziała: Dzieci krzyczały, ale nikt nie chciał słuchać. Wobec tego przezornie oznajmiłyśmy stadom szczurów: Będziemy musiały się zakopać. Szkoda ludzi. Szkoda zwłaszcza czułych dla nas punków.

Nagle nasz pan Matzerath okazuje zainteresowanie. Jeszcze wczoraj niechętny, jest dzisiaj Jasiowi i Małgosi przychylny. Przed panoramiczną łupkową tablicą między fikusami powiada: Abstrahując od lasu, podoba mi się ich historia. Trzeba by ją wyostrzyć. Gdybyśmy mieli zdecydować się na produkcję, to film mógłby zacząć się mniej więcej tak: Podczas gdy wszędzie szczury wyłazą ze swoich dziur, żeby w biały dzień pokazać się wszem i wobec, także w podzielonym Berlinie wszystkie osiadłe po obu stronach muru szczurze stada ciągną o tej samej porze głównymi ulicami; jeśli po tamtej stronie za odpowiednią uważają Frankfurter Allee, to tutaj Kurfürstendamm, od kościoła Pamięci po Halensee, jest dla nich dostatecznie długa.

Tak oto wkraczają na scenę. Natychmiast w obu częściach miasta dochodzi do równoczesnego załamania się komunikacji. Skutkiem są

masowe karambole. Przestraszeni ludzie tkwiący w samochodowych korkach przekonują się na własne oczy, jak niezmiernie dużo szczurów podąża w obu kierunkach po wszystkich unieruchomionych autach, czy to są wartburgi, czy ople, tatry czy fordy. Nikt z przechodniów lub kierowców nie pojmuje głębszego sensu nie zapowiadanej demonstracji. To, co we wschodniej części miasta odczuwa się jako szkodliwe dla socjalizmu i z tego względu wstydliwie przemilcza, na zachodzie nabiera wartości krótkotrwałej sensacji. Półgłosem mówi się tu jak i tam: One przyłazą z tamtej strony.

Lecz skoro doniesienia schodzące z dalekopisu potwierdzają, że wędrówki szczurów odbyły się na całym świecie – również w Moskwie i Waszyngtonie! – a globalne porównanie czasu przynosi dowód, że rodzaj szczurzy przez trzy kolejne dni występował o jednej i tej samej porze – mianowicie wszędzie o wpół do piątej po południu – skoro potem nikt już nie śmie bajdurzyć o przypadkach i nawet czołowi politycy nie znajdują odpowiednich słów, aby uspokoić wstrząśniętą obrzydzeniem ludność swych państw, i wobec tego milczą, milczą szczerząc zęby, skoro opada wezbrana fala, czyta się komentarze, które zbliżają się do sensu szczurzych wędrówek na światową skalę, aczkolwiek uświadamiający zamysł szczurów pozostaje nie zauważony.

Zoologowie mówią o wysoko rozwiniętym systemie ostrzegawczym gryzoni. Etologom dobrze znane jest pojęcie syndromu paniki. Teologowie wzywają społeczność chrześcijańską, aby poważnie potraktowała ostrzegawczy znak Boga, ukazany przez stworzenie najniższego rzędu, i szukała odtąd siły jedynie w wierze. Niewytłumaczalne zjawisko, mówi się. A w prasie na kolumnach kulturalnych cytuje się Objawienie świętego Jana, Nostradamusa, Kafkę, Camusa i indyjskie Wedy. Nic więcej się nie dzieje. Kilka zachodniobерlińskich gazet traktuje sprawę po swojemu. Obwiniają one punktów z Kreuzbergu: to oni przez swojego bzika na punkcie szczurów napytali biedy. Odkąd widuje się punktów łączących ze szczurami, to paskudztwo zrobiło się niesamowicie modne. Normalnie reagującemu

człowiekowi nie wystarcza już obrzydzenie. Trzeba teraz podjąć stanowcze kroki, nareszcie stanowcze.

Tylko kilka napisanych przez dzieci listów do redakcji wyraża prawdę: Myślę, że szczury się boją, bo ludzie boją się za mało. – Przypuszczam, że szczury, zanim wszystko weźmie w łeb, chcą się z nami, ludźmi, pożegnać. – Moja młodsza siostra, która w telewizji widziała wędrówki szczurów, mówi: Najpierw nas Pan Bóg opuścił, a teraz jeszcze szczury nawiewają.

Ale potem znów ważne staje się co innego: skokowo rosnący kurs dolara, niepokoje w Bangladeszu, trzęsienie ziemi w Turcji i radzieckie zakupy pszenicy; zalew szczurów, kiedy już minął, zdawał się światu tylko złym snem.

Tak w każdym razie widzi to nasz pan Matzerath. Zrywa się i staje, niewielkiego wzrostu, przed ogromną szkolną tablicą między swymi fikusami. Sypie liczbami i udowadnia. W serii szybkich cięć i przenikań chce przeskakiwać z Tokio do Sztokholmu, z Sydney do Montrealu, ze wschodniego do zachodniego Berlina i nagrywać na kasetę video przerażenie przechodniów, interwencje policji, użycie armatek wodnych i miotaczy ognia, pożary i chaos, panikę w Soho i grabieże w Rio, wszystko, co działo się podczas nawały szczurów.

Mówi: I raz po raz widać w przygnębiających scenach dwójkę dzieci z ich pomalowanymi na fiolet i cynkową zieleń zwierzakami; jak uciekają, schodzą się z innymi dziećmi, zajmują pusty dom, brutalnie usunięte znów uciekają, tropione przez policjantów i psy policyjne, ścigane, zagonione, znajdują schronienie u szczurów i po szczurzej nawale znikają z nimi, mamy nadzieję, że są uratowane.

Po pewnym namyśle, jak gdyby już teraz obliczał rynkowe szanse tej kasety, dodaje: Proszę sobie wyobrazić panoramicznie i w detalu nie kończący się potok, uroczystą nieubłaganość, powagę, ba, nadludzką wielkość tej ostatniej demonstracji na rzecz pokoju.

Przez godzinkę spieramy się o możliwości wizualnej edukacji – ja

stawiam na kino całą gębą, on twierdzi, że tylko wielkie widowiska na video i kino domowe mają przyszłość – po czym nasz pan Matzerath mówi nagle: Może powinniśmy wyprodukować całość w stylu starego mistrza filmowej edukacji, wielkiego Waha Disneya. Człowiek ma dość dokumentaryzmu. Zbyt duża dawka rzeczywistości nuży. Faktom i tak nikt już nie wierzy. Jeszcze tylko sny z magicznej skrzynki dostarczają przekonujących faktów. Nie czarujmy się: prawda nazywa się Kaczor Donald, a jej prorokiem jest Myszka Miki! Z pewnością to był ładny pomysł, żeby Jasia i Małgosię wypuścić jako punków; ale byłoby lepiej wymyślić superszczura, dowcipnie narysować w baśniowych scenach i jako przywódczynię, a więc samiczkę, niejako pańską szcurzycę, postawić na czele wszystkich szcurzych demonstracji. W Rzymie i w Brukseli, w Moskwie i w Waszyngtonie: ona, supermądra, na przedzie. Moglibyśmy szcurzycę w naszym filmie rysunkowym nazwać całkiem po prostu Mary, nie, Dorothea, już mam: Ilsebill, i zrobić z niej bożyszczkę ekranu...

Wszystko to nasz pan Matzerath powtarza w kręgu swych współpracowników z okazji cotygodniowego planowania programu. Rośli panowie i panie przytakują. On każe na szkolnym łupku wypisywać właściwe mediom wytyczne. Produkcja chce wiedzieć, na czym stoi.

Nie, powiedziała szcurzyca, która mi się śni, na rysunkowe filmy edukacyjne i wszystko inne było za późno.

Mówię przecież: nic.  
Słowa kuśtykają do swej dziury.  
Jeszcze tylko uzupełnienia.

Długa rozmowa o wychowaniu,  
która urwała się, nie doszedłszy  
do końca.

Po ostatnich doniesieniach.  
Jak pod koniec podawano do wiadomości  
i zaraz potem dementowano.

Na samym ostatku parę egzemplarzy  
gatunku człowiek próbowało  
zacząć od początku.

Gdzieś u schyłku sezonu  
powinna była być tania okazja  
do nadziei.

Na zakończenie mówiło się  
O dobru i złu,  
I że czegoś takiego nie ma.

Kiedy jednak  
albo również Bóg  
ze swymi wiecznymi głupimi wykrętami.

Przekazane zostało postanowienie,  
żeby odroczyć się  
na troszkę.

Myśleliśmy, że to żart,  
kiedy nagle  
odechciało się nam śmiać.

Bądź co bądź potem  
nikt już nie był głodny  
w całym świecie.

Ale na koniec dużo ludzi  
chętnie raz jeszcze  
posłuchałoby Mozarta.

Są maleńkie wysepki, których nazwy stały się znane w całym świecie, kiedy wzniesiono ponad nimi skłębione dymne grzyby, jak mówiono: tytułem próby. Na tych wysepkach także my poddawałyśmy się próbie. Toteż nasze zachowanie wolno nazwać odruchem Bikini. Od tamtej pory wiemy. Odtąd nasze przeczucia odnosiły się nie tylko do statków, które otaczała owa dla nas tylko widoczna aura bliskiego zatonięcia, przewidywałyśmy również inne katastrofy: wielkie pożary, gwałtowne powodzie, trzęsienia ziemi i susze, tak że zdążyłyśmy w samą porę przenosić nasze rewiry. Nie było pożaru stepu,

przed którym byśmy roztropnie nie uciekły. W dodatku zawsze wiedziałyśmy, który gatunek, choćby nie wiem jak był silny i tryskał zdrowiem, w najbliższym czasie wymrze. Jeśli chodzi o wielgachne dinozaury, to przyznaję, żeśmy trochę pomogły przyspieszyć sprawę; ludziom jednak rade byłybyśmy dłużej dotrzymywać towarzystwa, aczkolwiek doskwierała nam ich nienawiść do wszystkiego, co szcurze. Nawiasem mówiąc, nie tylko Żydzi, także Japończycy, zwani żółtkami, byli dla nich szczeropodobni.

Po niszczycielskich atakach na Hiroszimę i Nagasaki, które nas zaskoczyły, włączyłyśmy nowe niebezpieczeństwo w sferę naszych przewidywań. Toteż próby Amerykanów, Francuzów i Anglików z bombą atomową i wodorową, których poligonem doświadczalnym było kilka wysp na morzach południowych, nie spadły na nas niespodzianie. Co prawda nasze stada nie mogły stamtąd uciec, tak jak przybyły: statkiem, ale warstwy ziemi oferowały schronienie. Skoro tylko ewakuowano człowieka ludność wysp, wybudowałyśmy głębokie i rozgałęzione schrony, które wedle zasady anty-Noego z pomocą ofiarnych starych szcurów jako pęcherzy powietrza dało się uszczelnić. Już wówczas pomyślałyśmy o zmagazynowaniu zapasów: miąższu orzechów kokosowych i orzeszków ziemnych. Mimo to przeżyło bardzo niewiele szcurów.

Wydało mi się, że szcurzyca robi pauzę, aby się zastanowić. A może chciała uczcić pamięć ofiar szcurzego rodzaju na atolu Bikini i innych doświadczalnych wyspach?

Po pewnym czasie – o ile do snu można stosować miarę czasu – powiedziała z ostentacyjną rzeczowością: Gdy po wielu latach, zmierzono radioaktywność na skażonych wyspach, uznano wyniki pomiarów za wciąż jeszcze zbyt wysokie, aby tubylcom, którzy tęsknili za swymi wyspami, można było zezwolić na powrót. Nic tam nie może żyć! oznajmiono, chociaż zastano nas: zdrowe i znowu liczne.

Jednakże fakt, żeśmy przeżyły, niewiele ludziom powiedział. Poza

gazetowymi doniesieniami w rubryce „Różne”, które publikowano raczej jako osobliwość niż informację, żadnej dalszej reakcji. Ani śladu głębokiego przerażenia. Co najwyżej zdziwiony uśmiech przy śniadaniu z za porannej gazety: Popatrz. Twarde bestie. Wszystko przeżyją.

Taki był człowiek obojga płci. Jak wrzeszczał, pysznił się albo, pewny swej potęgi, milczał. Jego gadanina o nieśmiertelności, jakby się nie domyślał, że to w najlepszym razie my, twarde bestie, mamy dane na to, żeby być nieśmiertelne.

A kiedy zakopywałyśmy się wszędzie – tym razem nie chodziło przecież tylko o wysepki – nie unikałyśmy żadnego trudu. Najcięższe przeszkody ustępowały. Jeśli coś stało na zawadzie, to myśmy się przegryzały. Naszym zębom nic się nie oprze. Są wyrazem naszej cierpliwości. Podkopywałyśmy ich beton. W niektórych regionach trafiały się opuszczone kopalnie. Rzymskie katakumby zostały rozbudowane. A w owym mieście, które ciebie, naszego przyjaciela, ocalonego w kapsule kosmicznej, szczególnie interesuje, wykorzystaliśmy kazamaty na Grodzisku, które od dawien dawna, obok Biskupiej Górki, wznosi się ponad śródmieściem. Są to moreny czołowe, które zatrzymały się tutaj, przybierając postać wzgórz. Na Grodzisku miał podobno swą siedzibę Jagel, pruski książę i bóg. Już Szwedzi drążyli w tej górze podziemne chodniki. Właściwe kazamaty są jednak świadectwem czasów napoleońskich: solidnie wymurowane kwatery i stajnie, które jeszcze między wojnami służyły za skład amunicji. Tam, zadomowionym od dawna, łatwo nam przyszło wybudowanie głębszych schronów i łęgówisk. Ale tylko część naszych stad osiadłych w Gdańsku i okolicy ukryła się w podziemiach Grodziska, większość pazurami i zębami zakopała się na kaszubskim zapleczu. Na powierzchni nie miałyśmy na razie czego szukać.

Nie chcę tam schodzić. Jako dziecko bawiłem się w kazamatach i znajdowałem kosteczki, nawet czaszkę, nie wiem czyją. A niech tam! Niech się zakopie jak najgłębiej, a razem z nią niech ziemia pochłonie wszystkie szcurze stada świata; wkręcą nową kartkę i chcę, żeby to trwało dalej.



Chcę wytwarzać nowe słoje, marszczyć się, starzeć i niedołąźnić, jeszcze bezzębnie opowiadać mojej Damroce złe bajki: był sobie kiedyś dawno, dawno temu...

Jeśli ten niemy film, który nie zdoła ocalić lasu, ma jednak nazywać się *Las*, i jeśli są szanse na pozyskanie naszego pana Matzeratha jako producenta, jego, co to zawsze palił się do katastrof i w każdej chwili czarno spoglądał w przyszłość, to musiałbym zapoznać go z dalszą akcją filmową, ze wszystkim, co powinno się zdarzyć w martwym lesie i gdzie indziej, oraz przedłożyć mu dokładny opis osób; bo Oskar, chętnie skrywając szczegóły z własnego życia, lubi detal. Mógłby zapytać: Jak mają wyglądać kanclerz i jego małżonka? W jaki sposób znarowiły się ich dzieci, zanim stały się Jasiem i Małgosią? Czy są to normalne ofiary dobrobytu? Nadal mają być punkami?

Jako że nasz pan Matzerath oczekuje odpowiedzi przed swą podróżą do Polski, muszę się zdecydować. W żadnym razie wygląd filmowego kanclerza nie powinien nawiązywać do cech kanclerza obecnego. Ale skoro tylko zamknę oczy i wyobrażę sobie kanclerza z filmu niemego, nader łatwo narzucają się elementy gotowe, z których można by ułożyć klockowatego kanclerza; żeby przypadkiem nie wyszedł nam zbyt podobny, musimy uczynić zeń człowieka chwiejnego.

Toteż proponuję kanclerza, który występuje niepewnie, nie wie, co zrobić z rękami, boi się odejść od przygotowanego tekstu, ale z przyczyn, które od biedy dałoby się wytłumaczyć prawami siły ciężenia, pozostaje na urzędzie. Cokolwiek by wykombinować, nie sposób bez niego się obejść.

A jego małżonka? Ustawicznie szuka czegoś w torebce. Ach, żeby oboje na powrót byli u siebie w domu, gdzie jest przytulnie. Mogliby żyć zadowoleni z siebie, gdyby tylko on nie został kanclerzem, gdyby ona od rana do wieczora nie musiała być kanclerską małżonką.

Biedne dzieci. Jak one się nudzą. Jak bywają stawiane raz tu, raz tam, a wolałyby stać, biegać, wałkonić się albo zgubić gdzie indziej. Mają tego, jak widać, po dziurki w nosie. Mogłyby się porzygać, tak je to brzydzi.

Oczywiście wolałyby być punkami i obnosić się z farbowanymi szczurami. Ale nie wolno im, ponieważ nasz pan Matzerath mówi ostatnio: W końcu mają pobiec w martwy las, nie zaś błąkać się w miejskim gąszczu.

Żeby tego, co ma wyprodukować film, ostatecznie pozyskać, wyposażyć kanclerskie dzieci we właściwości, które naszemu Oskarowi przypomną osoby z czasów dzieciństwa. Czy córki kanclerza, jeśli przyjrzeć się dokładnie, nie łączy pewne podobieństwo z chuderławą dziewczynką, która nazywała się Ursula Pokriefke, była nazywana Tullą, wszędzie Tullą i mieszkała przy ulicy Elzy, w czynszowej kamienicy majstra stolarskiego Liebenaua?

A czy syn kanclerza, ponuro i jakby z maniackim uporem wpatrujący się stale w coś, czego nie ma, nie przypomina nam chłopaka, który miał przezwisko Störtebeker i jako przywódca młodocianej bandy stał się postrachem miasta Gdańska i jego terenów portowych? Było to w końcowej fazie ostatniej wojny. Störtebeker i jego Wyciskacze cieszyli się złą sławą daleko poza granicami okręgu Prusy Zachodnie. I czy nie zdarzyło się, że mały Oskar, wyszedłszy właśnie pełen smętnych myśli z wrzeszczańskiego kościoła Serca Jezusowego, spotkał przywódcę Störtebekera i jego bandę?

Oboje można sobie bądź co bądź wyobrazić jako dzieci kanclerza: ona, zdolna do każdej złośliwości, on, nieprzystępny i odpychający, ona, wolna od strachu, on, gotów do wielkiego czynu, ona, lat trzynaście i pół, on, lat piętnaście, ona i on, wówczas dzieci wojny, dziś niedojrzałe owoce utrzymującego się pokoju; oboje mają walkmany, całkiem inną muzykę w uchu.

Zagadnięty o tę parę nasz pan Matzerath przypomina sobie nastolatków z czasów swej młodości. Racja, mówi, mała Pokriefke, wyjątkowe ścierwo, wołano na nią Tulla, ale była też znana pod pseudonimem Lucie Rennwand. Tej to nie chciałbym mieć za siostrę. Pachniała klejem stolarskim i pod koniec wojny była konduktorką tramwajową. Racja! Na trasie piątki. Jeździła z Poligonowej na Łąkową i z powrotem. Mówili, że podobno zabrała się z

Gdańska na „Gustloff” i poszła z nim na dno. Tulla Pokriefke, koszmar, który nie odstępował mnie do dziś.

Milknie i nabiera wyglądu starszego pana, który może sobie pozwolić na ucieczkę myśli. Ale kiedy przyciskam go do muru, chcąc mu uniemożliwić wszelkie wybiegi, woła: Ależ tak, oczywiście! Szef bandy Wyciskaczy. Jeszcze jak pamiętam! Któż wtedy nie słyszał o Störtebekerze i jego wyczynach? Biedny chłopak. Zawsze pełen wariackich pomysłów. Wtedy się nie patyczkowano. Czy przeżył koniec? Co mogło z niego wyrosnąć? Miał talenty pedagogiczne. W końcu został pewnie jeszcze jednym nauczycielem.

Kiedy jednak proszę naszego pana Matzeratha o zatwierdzenie moich propozycji, wydaje się roztargniony i z lekka zmęczony; przypomnienie lat dziecinnych wyczerpało go. Pociera rozległe czoło, jak gdyby musiał rozmasować szczególnie dokuczliwe myśli. Potem wypręża się nagle, znów jest szefem, skorym do podejmowania decyzji. Tak, tak, mówi, oboje nadają się na Jasia i Małgosię. Mało tego: są nimi. Już widzę, jak ten Störtebeker paskudzi kanclerzowi leśną fetę. Widzę, jak Tulla, ścierwo, przecina linę, wskutek czego wali się namalowana leśna dekoracja. Bierz się pan. Bierz się pan do roboty. Przystępujemy do produkcji, jak tylko wrócę z Polski. Dziwne, że ta dwójka musiała mi się znowu napatoczyć. Widzę, jak biegną jako Jaś i Małgosia. Z dłonią w dłoni. Coraz głębiej w martwy las...

W forkasztelu szkuty motorowej „Nowa Ilsebill” hamaki poddają się ruchom statku, który hałasując dieslem idzie swoim kursem. Będąc zajęte, zwisają z haków w głowach, w nogach wyprężone; teraz, w ciągu dnia, kiedy szkuta przy lekkiej fali zdąża ku wyspie Møn, huśtają się swobodnie, dając przystęp życzeniom: nowe śpiące, zamiana hamaków.

Czy w Travemünde nie mogły się zaokrętować inne kobiety niż te? Na przykład wszystkie, które odmówiły i wolą sypiać w łózkach?

Pozostawiłem pięć. Albo pozostało mi pięć. To ja i nie ja dokonałem wyboru i chciałem albo mogłem obsadzić hamaki tylko tak i nie inaczej; lecz kobiety często zamieniają się miejscami. Każda zmiana wachty wywraca

plany. Wciąż leżą tak, jak sobie tego nie życzą: gdzie wczoraj położyła się mechaniczka w impregnowanym kombinezonie, dzisiaj budzi się oceanografka w piżamie; nie goła sterniczka, odziana tylko w wełniane skarpetki, ale Damroka w długiej nocnej koszuli leży na skrajnym hamaku przy prawej burcie; to, że Stara w kwiecistej koszulce zaszyła się pod lewą burta, tam chce zostać i – jak mówi – „nie zamieniać się z żadną z bab”, przyjmuję do wiadomości, chociaż wołałbym ją mieć na środkowym hamaku.

Leżą jedna przy drugiej, bo szkuta od urodzenia ma szerokości tylko cztery metry siedemdziesiąt. Jedynie Damroka leży głową w kierunku dziobu. Wyciągnięta na całą długość, prawie na brzuchu: ciężki sen sterniczki. To dla mnie wzruszający widok, że oceanografka i Stara śpią skulone na boku, jak embriony: jedna z nich cmokcze. Niespokojnie wierci się w swych przeпоconych rzeczach mechaniczka. Na plecach, rozluźniona: sen kapitanki. Czasem pochrapuje, równie głośno jak sterniczka, ale z domieszką dźwięków świszczących. Ciche kwilenie oceanografki: widać śni się jej, że jest małym dzieckiem. Mechaniczka stęka we śnie pod wielkim ciężarem. Nagle słowa, mamrotanie, złorzeczenie: to Stara.

Więcej o ich snach nie wiem, choć wszystkie były mi bliskie. Jak to dobrze, że tylko pięć kobiet znalazło się na pokładzie, nie zaś, zgodnie ze zgłoszeniami, dwanaście. Doprowadziłoby to do nieznośnego ścisku w mojej głowie i gdzie indziej.

A właściwie do obsługi statku wystarczyłyby trzy kobiety, mnie też. Ale która obok Damroki i oceanografki byłaby tą trzecią? Prawdopodobnie Stara, która zawsze uczestniczyła, stała z boku, potem sarkała i wytrzymywała wszystko.

Nie mogłem się zdecydować. Dlatego jest ciasno. Jak to dobrze, że nadeszło siedem rezygnacji: ja i statek jesteśmy za mali.

Dlaczego jednak nie mógłbym wybrać się w rejs sam na sam z Damroką – jako jej bosman: ja! jej chłopiec okrętowy: ja! Ay ay, sir, ja! Musiałaby mnie poduczyć: wiązania węzłów, podnoszenia kotwicy, czytania znaków

nawigacyjnych, doglądania dieslowskiego silnika i dobierania się rekinem pomiarowym do chełbi, do mnóstwa chełbi modrych zwanych meduzami...

Podczas gdy szkuta motorowa zbliża się do Møn: myśli na spalonym. Cóż to się nie mieści na nie obciążonych hamakach. Na pokładzie jest wczesny ranek, ale nawet te, co zeszły z wachty, nie chcą się kłaść, aczkolwiek ja bardzo nalegam na sterniczkę, a jeszcze bardziej na oceanografkę. Wszystkie wzięły na górę swoje śpiwory do przewietrzenia – i oczywiście robótki. Obciążam hamaki od lewej do prawej burty. Trzy za bardzo obwisają. Podciągam je, zaciągam węzły tuż przy hakach bardziej sprężyste. Dwa hamaki są uplecione z bezbarwnego sznura i pewnie zostały kupione w sklepach prowadzących sprzęt dla żeglarzy. Pozostałe hamaki są kolorowe, jeden czerwono-biały, następny spłowiełe niebiesko-żółty, trzeci upleciony ze sznura pomalowanego na czerwono. Kolorowe hamaki mają brzegi wykończone wzorzystymi lamówkami, frędzlami i chwastami. Pochodzą z Ameryki Łacińskiej.

Chciałbym teraz wiedzieć, co ja tu mam do roboty. Jestem onieśmielony, skrępowany i wylękniony, że mnie przyłapią. Moja posiwiiała obawa, że wszystkie zełgane historie mogłyby się wydać, aby nudno panowała tylko prawda.

Ich kroki na pokładzie. Dzisiaj jest dzień prania. Wieszają kolorową i białą bieliznę na długim sznurze do suszenia. Przy lekkiej bryzie pewnie wesoło łopocze między fokmasztem a sterówką. Śpiewają piosenki, jakie śpiewa się przy wieszaniu bielizny. Gdzie i jeszcze raz gdzie Damroka mogła odstawić swój dzbanek z kawą? Miejmy nadzieję, że nie pada.

Pod pokładem tylko ja. Grzebię w ich pozostałych manatkach, które leżą łatwo dostępne pod hamakami albo w szafie dziobowej w workach żeglarskich i walizkach. Wszystko bezwstydnie obmacać. Szukam listów z dawnych, jeszcze dawniejszych czasów – wyznań i zaklęć – i nie znajduję żadnej karteczki, która wskazywałaby na mnie. Prędko przeglądam zdjęcia, na których mnie brak. Pamiątki, biżuteria, łańcuszki z plecionego srebra, ale

pomiędzy nimi nic, co ja dałem w prezencie. Wszystko obce. Nic nie chciało świadczyć o mnie. Spisały mnie na straty: za mała dzielność morską. To, co stanowi mnie, zostało na lądzie.

Jedynie owa pozółkła mapa z obszarzanymi brzegami, którą potrójnie złożoną znajduję pod bielizną Damroki w jej żeglarskim worku, wydaje mi się znajoma. Ukazuje ona wybrzeże pomorskie z pobliskimi wyspami. „Mare Balticum, vulgo De Oost See” głosi napis, częściowo antykwą, częściowo gotykiem, ponad dwoma mężczyznami w maskach, którzy trzymają gryfi herb. Na ręcznie kolorowanym sztychu, który chce być na poły mapą lądową, na poły morską, w pobliżu Uznamu, na wschód od ujścia Peene, czerwony ołówek zakreślił kółko, a dokonany w nim wpis zdradza nazwę zatopionego miasta. Pewny już, co jest celem rejsu, odkładam złożony sztych z powrotem na swoje miejsce w żeglarskim worku.

Na górze rozwiesiły już bieliznę. Na górze kobiety wywijają drutami jak szalone. Później pięć hamaków huśta się mocniej, ponieważ wiatr skręca na północno-wschodni i „Ilsebill”, opływając południowy cypel wyspy Falster, bierze nowy kurs.

Nie wiem, kiedy Damroka powzięła plan. W każdym razie jeszcze na lądzie, i to przed paru miesiącami, bo podanie o zezwolenie na żeglugę po wodach przybrzeżnych NRD zostało złożone wcześniej. Jako cel badawczy podano pomiary chełbi. Ale dopiero na Gotlandii u komendanta portu w Visby będą czekały ostemplowane dokumenty. Mimo to pozostałe kobiety – ze sterniczką na czele – domyślały się już dawno, że ten rejs ma nie tylko chełbie modre na względzie. Obie ze Starą widziały ze sterówki, jak Damroka przykucnąwszy na dziobie bitą godzinę ugadywała morze. Było to na wschód od Fehmarn, kiedy miały za sobą ostatni połów chełbi z użyciem pomiarowego rekina. Mówiły między sobą: Ona gada z turbotem...

A wczoraj wieczorem znowu, twierdzi mechaniczka. Było to, kiedy z lewej burty otwierał się Grønsund, przed nimi leżała Møn, rozwieszona bielizna dawno wyschła, a wiatr pod wieczór z północno-wschodniego

zmienił się raptem na wschodni, potem ustał.

Turbota wprawdzie nie widziałam, ale słyszałam, jak oboje rozmawiali. I to w dialekcie. Mechaniczka mówi, że tego nie rozumie, i dodaje po chwili: Niestety. Ale wołanie: Turboś, raz za razem: Turboś! słyszała wyraźnie. I długo i szeroko rozprawiali o głębinie, która nazywa się Wineta od zatopionego miasta.

Teraz kobiety wiedzą, dokąd poza tym rejs zawiedzie. Nawet jeśli oceanografka wciąż powtarza: – Ja w to nie wierzę. Zalewacie głodne kawałki. Płyniemy na Møns Klint i Stege. Nigdy bym nie przyłożyła ręki – tym bardziej z wami – gdyby w programie była taka bzdura.

Również sterniczka nie chce tam płynąć. – O tym nigdy nie było ani słowa. To byłoby wbrew umowie. – A jednak obie, choć protestując, przyłożą rękę. Słowo „Wineta” wisi w powietrzu.

– Właśnie tam – powiada Stara – będziecie chciały płynąć na koniec. Nie pozostaje przecież nic innego.

Nie tylko sterniczka jest zmęczona. Wiele bojów na rzecz kwestii kobiecej, nieustanne spory, nie tylko z niewydarzoną płcią, także z przedstawicielkami własnej, wyczerpały wolę ustanowienia na przekór męskiej władzy królestwa kobiet w łonie nieczułego społeczeństwa. Ten plan już dawno został zarzucony, aczkolwiek wszystkie one, ze sterniczką na czele, wciąż jeszcze mówią: Powinno się było, trzeba było, należało od początku radykalnie...

Toteż kiedy w wodach Bogø, później koło Møns Klint odławiają z morza chełbie modre i larwy śledzia, ich myśli umykają do zatopionego, leżącego pod wodą królestwa. Ono jest im obiecane. Będzie stało otworem, powiedział turbot, dla wszystkich kobiet. Kiedy z Damroką, kapitanką, rozmawiał w dialekcie, brzmiało to podobno: – Nuże, kobietki, nura we wodę dać wam trza.

Niech sobie kobiety na pięciu hamakach wielobarwnie śnią o Winecie. Leżą jedna przy drugiej, więc ich kobiece królestwo, jeśli tylko zechcą,

będzie dla nich czymś dotykającym. Szkuta motorowa leciutko wznosi się i opada. Statek stoi przycumowany w porcie Stege: nie opodal wiodącego do śródmieścia pomostu, przy nabrzeżu cukrowni. W tle góra koksu i bladozielone silosy. Płytką woda cuchnie zgnilizną. Za dużo alg. Zatrząsanie chełbi.

Cała piątka śpi. – Na Møn nie musimy stać na wachcie – powiedziała Damroka. Leżą, jak sobie tego życzę: stara, która przez sen mamrocze i wyzywa, zwinięta w kłębek pośrodku, przy prawej burcie sterniczka z otwartymi ustami, przy lewej Damroka na spokojnych plecach, między nią a Starą oceanografką: skulona na boku, a między Starą a sterniczką wierci się niespokojnie mechaniczka.

Rano kobiety chcą połączyć po mieście. W Stege jest wyprzedaż. Trzeba odnowić zapasy. Nie tylko wełna się kończy. Stara jeszcze nie wie, czy z nimi pójdzie.

Utopia Atlantyda Wineta. Ale to miasto podobno istniało naprawdę jako osada wielecka. Jedni mówią: zatopione u wybrzeży Uznamu; lecz polscy archeolodzy kopią i znajdują ostatnio resztki murów, skorupy, arabskie monety na Wolinie. Wineta nazywała się z początku inaczej. Podobno w tym mieście przez dłuższy czas decydujący głos należał do kobiet, aż pewnego dnia mężczyźni chcieli też mieć coś do powiedzenia. Stara historia. Na koniec to panowie decydowali. Hulano i dawano dzieciom złote zabawki. Po czym Wineta z całym bogactwem zatonąła, aby zatopione miasto zostało któregoś dnia wybawione: oczywiście przez kobiety, w liczbie pięciu, z których jedna jest Wieleckiego pochodzenia i ma na imię Damroka.

Jest przez cały dzień senna i zwija się w kłębek: odwracając się od moich historyjek. Ale lubi słuchać ze mną trzeciego programu. Oto jego oferta: rano coś z literatury, radio szkolne dla wszystkich, uroczysta muzyka barokowa, od czasu do czasu wiadomości, ze świata mediów, później echa dnia, potem znów muzyka barokowa, tym razem religijna.

Zadziwiająca jej zainteresowanie stanami wód. Warte posłuchania jest dla



niej, że stan Łaby pod Dessau pozostał nie zmieniony i wynosi jeden osiem zero, a pod Magdeburgiem wzrósł na jeden sześć zero plus jeden. Codziennie słucha, jak wysoko stoi Saale pod Halle-Trotha, a potem, jaką głębokość wysondowano od Geesthacht do Fliegenbergu. Ale moja gwiazdkowa szczurzyna nie okazuje zaciekawienia doniesieniami o tym, co aktualne. Wszędzie kłębią się nie rozwiązane problemy. Jedynie kryzysom przypisuje się tendencję wzrostową; a moja młoda, mająca mniej więcej, nie licząc ogona, długość wskazującego palca szczurzyna rośnie jak kryzysy, które występując w takim zagęszczeniu, jeden tuż przy drugim, są ze sobą zrosnięte i tworzą – mówiąc obrazowo – tak zwanego króla szczurów.

Na przykład w audycji ze świata mediów niedawne obawy związane z telewizją kablową kompensuje się jeszcze większymi, te zaś kuśtykają w ślad za telewizją satelitarną. Nasz pan Matzerath, który lubi szkicować na dużej łupkowej tablicy projekty wszechogarniającego medialnego przymierza, mówi w związku z tym: – Niech mi pan wierzy, już jutro stworzymy sobie rzeczywistość, która dzięki ingerencji mediów odbierze przyszłości wszystko, co niejasne i przypadkowe; cokolwiek nadejdzie, da się wyprodukować zawczasu.

A jak to jest, szczurzyno, z naszym medialnym przymierzem? W nocy śniesz mi się dorosła, z tłustym ogonem. Ale także moje sny na jawie nie są bezszczurze. Mam wrażenie, jakbyś ty wszędzie, nawet tam, gdzie znajduje się – jak sądziłem – odgradzona strefa mojej prywatności, chciała pozostawiać znaki zapachowe, wytyczać swój rewir, pozbawić mnie swobody manewru.

Trzeci program musi zamilknąć. Nie ma *Szkoły dla wszystkich*: rozszczepienie jądra atomowego dokonane z dziecinną łatwością; ja tymczasem, odkąd szkuta motorowa „Nowa Ilsebill” stoi przycumowana w porcie Stege, spisuję na długiej liście, co nasz pan Matzerath mógłby wziąć ze sobą do Polski, bo nareszcie złożył wnioski o wizę dla siebie i swego szofera.

Prócz urodzinowych prezentów dla babki w bagażu podróжным powinien się znaleźć woreczek plastikowych karzełków. Mnogość smerfów ucieszy małe, przybywające bez ustanku kaszubskie dzieci.

Poza tym wiem, jak wyglądają przygotowania do sto siódmych urodzin Anny Koljaickowej. Cukier i mąka w torebkach, bo upiecze się dużo ciasta z kruszonką i makowców. Już teraz gotuje się galaretę ze świńskiego łba, dopóki nie obieca ściąć się o własnych siłach. Przelicza się słoiki marynowanych grzybów z ostatniej jesieni, w tym zawsze trochę piaskowych zielonek. Ktoś przynosi kminek, starczy go na sałatkę z kapusty. Na życzenie z daleka topi się smalec ze skwarkami. Z Karczemek i Kokoszek, zewsząd nadchodzą jajka. Troska, żeby pod dostatkiem było dojrzałych do ścięcia piwonii. Z pomocą Kościoła gromadzi się zapas stu siedmiu świec. Nie rozlano jeszcze do butelek ziemniaczanego samogonu.

Co do malarza Malskata mogę powiedzieć jedynie tyle: skoro tylko szcurzy ca pozwoli, zdam sprawę o nim. Kiedy i gdzie się urodził. U kogo terminował. Dokąd zawiodły go lata wędrówki. Co sprawiło, że na wysokim rusztowaniu miał takie gotyckie sny. Dlaczego w Lubece, mieście słynnym nie tylko z marcepanu, wytoczono mu proces.

Może powinienem, póki Jaś i Małgosia w dalszym ciągu biegną przez martwy las, poinformować jeszcze o przechadzce kobiet po mieście. Na ląd zeszły tylko we cztery. Stara powiedziała, że musi podgotować czerwoną kapustę.

Jako że Stege na wyspie Møn jest przede wszystkim centrum handlowym, a na jego głównej ulicy przez cały rok ogłasza się „udsalg”, kobiety kupują całą parą. W sklepie samoobsługowym, który nazywa się „Irma”, zapakowują po brzegi trzy metalowe wózki: puszkami i słoikami, owocami i jarzynami w folii, mięsem pod ciśnieniem i mrożonym, różnymi rodzajami chrupkiego pieczywa, serem pasterskim, remuladą, kukurydzą dla oceanografia, jeszcze tym i owym, środkami do zmywania, papierem toaletowym, większą ilością butelkowego piwa i dwiema flaszkami akwawity

dla Starej. Odświeżają zapas pietruszki i szczypiorku. Wychodzą ciężko obciążone. U piekarza są obwarzanki, w rybnym świeże śledzie, w trafice gazety i co tam która pali.

W drugim zejściu na ląd uczestniczy Stara. Podczas gdy mechaniczka nabywa olej silnikowy i naftę do lamp, oceanografka pędzi na pocztę, a sterniczka, jako że wszędzie jest wyprzedaż, grzebie w pulowerach, Damroka w sklepie z wełną, naprzeciwko miejscowych banków, zakupuje nowe zapasy włóczki. Stara funduje sobie torebkę lukrecji.

Dopiero teraz, szcurzynko, skoro wszystko zostało upchane w kambuzie, w forkasztelu i na śródkręciu, słuchamy znów trzeciego programu. Koncert lutnistów, po którym zwykle są wiadomości: posłuchajmy, kto co zdementuje...

Śniło mi się, że przeszedłem w stan spoczynku,  
a moje małwy stały wysoko za oknami.

Przechodzili przyjaciele i powiedzieli przez płot:  
Jak to dobrze, że nareszcie przeszedłeś w stan spoczynku.

A i ja w swej bluszczowej altanie mówiłem sobie:  
nareszcie przeszedłem w stan spoczynku.

Tak to, spokojnie rzecz ujmując,  
świat ma dla mnie wymiar mojej posiadłości.

To, co mnie korci, nie ma prawa mnie korcić,  
bo przeszedłem w stan spoczynku.

Wszystko ma swoje miejsce, staje się wspomnieniem,  
pokrywa się kurzem, zastyga.

Sporządzam bilans,  
nazywam mój stan spoczynku dobrze zasłużonym.

Ach, śniło mi się, żeby nic nie bruździło,  
spoczywałbym sobie szczęśliwie, bez żadnych potrzeb.

Gdybyż mogła i ona – proszę cię, szcurzyco! –

przejsć w stan spoczynku.

Za jej sprawą pojawia się wilczy głód,  
który goni człowieka między stołem a łóżkiem.

Więc żeby dała spokój, swawolnie przeskoczyłem płot.  
Oboje teraz ruszamy na połów i przyjaciele się niepokoją.

Okstemosz szemmech dosz taram! zawołała. Co miało znaczyć: Strach nas ponagłał. Potem poprawiła się: Nie trzeba było się spieszyć. W zapasie miało się resztkę czasu, bo człowiecze programy finału zostały zainscenizowane z elegijną rozwlekłością; dużo teatralnej pompy, jak gdyby chciano, skoro to już nieuniknione, umrzeć w pięknej oprawie.

Szczurzy ca spokojnie zdawała sprawę: Przed zakopaniem się przemieściliśmy nasz przychówek, wycofując się z obszarów pierwszego rażenia, choćby z terenów nad Renem i Menem, skupisk w Saksonii, baz w Szwabii. Ale też na dużą skalę przesiedlałyśmy nadwyżki z Mediolanu i Paryża do środkowej Szwajcarii. Nastręczały się doliny w Austrii. Ten nowy ład przestrzenny był już dawno spóźniony. A że w Polsce znowu występowały braki i potrzebna była pomoc, nie tylko ludzie, ale i my – oni przez pocztę wysyłając paczki z żarciem, my przez tak zwany szczurzy most lądowy – postarałyśmy się o żywność z zachodniego nadmiaru, tak że ludziom i szczurom w Polsce wkrótce mniej brakowało; ponadto wraz z ziemiopłodami udało się przerzucić zagrożone populacje: stada szczurów z Zagłębia Ruhry; nawiasem mówiąc regionu, na którym dawniej wycisnęli swoje piętno przybysze z Polski.

Szczurzyca, która mi się śni, powiedziała to do swego najmłodszego potomstwa, pokazując mi je z dumą jako pierwszy miot bez uszkodzeń okresu przejściowego. Potem musiała udzielać małym wyjaśnień na pytania: Co to są Polacy? Co to są dokładnie Niemcy? Czym się różnili w wyglądzie? Co się z nimi wszystkimi stało? Czy przed Bum-Bum były również niemieckie i polskie szczury? I dlaczego ludzie zniknęli, a my, szczury, istniejemy nadal?

Póki trwał mój sen, szczurzyca cierpliwie odpowiadała na wszystkie pytania swego dziewięcioogonowego miotu. Tłumaczyła rodzącą braki gospodarkę planową na język dnia powszedniego szczurów. Trzeba sobie wyobrazić: To nie każda rodzina z osobna ma dbać o siebie, ale w jakimś odległym miejscu, podporządkowując mu wszystkie szczurze rodziny, zbiera się wszelkie pożywienie, aby je na nowo rozdzielać. Skutek to straty w transporcie, marnotrawstwo, zawiść. Toteż gospodarka wielkich braków utrzymywała się w Polsce długo. Wszystkiego przy tym było na składzie pod dostatkiem: gruboziarnistego Chleba, masła i smalcu, wieprzowiny w puszkach, nadzwyczaj smacznej polskiej kiełbasy. Ręce opadają wobec tego człowieczego niedołęstwa!

Jeszcze poniewczasie wzburzona szczurzyca wołała: Nawet dzisiaj, z obawy przed przewrażliwieniem, tylko półgłosem wolno mówić, że ową z ludzko-niemieckiego punktu widzenia niby to polską gospodarkę mają we krwi także polskie szczury. Wobec czego między Polakami a Niemcami, chociaż na oko nie różnili się niczym, musiało raz po raz dochodzić do napięć, a nawet aktów wrogości; podobnie między niemieckimi i polskimi szczurami: ta nienawiść, taka masa wzgardzonej miłości...

Ale to jest, stwierdziła szczurzyca, człowiecza historia i stare dzieje. Opowiedziała swoim małym o Krzyżakach i jak to się utuczono na polu bitwy pod Grunwaldem. Zrelacjonowała rozbiory Polski, kiedy to nie tylko Rosjanie i Austriacy, ale i Prusacy, każdy swój kawałek, aż Napoleon, po czym przede wszystkim Bismarck, ale znów stała się państwem z orłem w herbie, aż niejaki Hitler i niejaki Stalin pożarli całą Polskę, po czym ona jednak nie zginęła, ale na nowo, jak głosi pieśń...

Tutaj przerwała. – To do niczego nie prowadzi! – i powiedziała do swego dziewięcioogonowego miotu: Przecież byli nie tylko Polacy i Niemcy. Podobnie krwawo układało się za człowieczych czasów między Serbami a Chorwatami, Anglikami a Irlandczykami, Turkami a Kurdami, czarnymi a czarnymi, żółtymi a żółtymi, chrześcijanami a Żydami, Żydami a Arabami,

chrześcijanami a chrześcijanami, Indianami a Eskimosami. Wyrzynali się i wycinali w pień, morzyli głodem, masakrowali. Wszystko to najpierw kiełkowało w ich głowach. A ponieważ człowiek wymyślił swój koniec i potem zrealizował go zgodnie z planem, nie ma już człowieczego rodzaju. Może ludzie chcieli sobie jedynie udowodnić, że są zdolni do wszystkiego nie tylko w myślach. Musimy przyznać, że to się im udało. Być może jednak ludzie dopuścili do tego, że zanikła w nich owa zdolność, która nam, szczerom, właściwa jest od niepamiętnych czasów: wola życia. Krótko mówiąc, życie już im nie smakowało. Postawili krzyżyk na sobie i byli, mimo nienawiści i kłótni, zgodni co do zakończenia. Do minszer nifteren ultemosz! zawołała.

Milczałem po tak stanowczej przemowie, a jej miot też nie zadawał już więcej pytań, lecz żył, wypełniając biblijny nakaz: Rozmnażajcie się! Dużo zamieszania i coraz to inny układ ogonów. Jak szybko z małych szczurków robiły się młode szczury, które z kolei same miały małe szczurki. Ale ponieważ tak zapamiętałe były zaprzątnięte jedynie rozmnażaniem się, mój sen z powodzeniem ruszył na poszukiwanie innych obrazów: tylko na krótkim odcinku podążał za dziećmi biegnącymi przez martwy las, potem grzebał w usianym chełbiami morzu, podsycał lęki na szkolnych podwórzach, cielesny mozół, aż wreszcie dopadł malarza Malskata, który jednak nie malował szybkim pędzlem gotyckich fresków na wysokim rusztowaniu, ale z naszym panem Matzerathem w lubeckiej kawiarni Niedereggera pałaszował kąsek po kąsku torcik marcepanowy. W moim śnie obaj dobrze się rozumieli. Śmiali się, wymieniali doświadczenia i gadali, jak to w latach pięćdziesiątych bywało.

Był sobie kiedyś kraj Niemcami zwany,  
piękny, pagórkowaty i równinny,  
i nie wiedział, co począć ze sobą.  
Tedy wojnę wywołał, gdyż chciał być  
wszędzie, na świecie, i przez nią zmałał.  
Wymyślił sobie zatem ideę, która nosiła kamasze,  
wojną w nich wyruszyła, żeby świat zobaczyć,

wojną wróciła, niewinną udawała i milczała,  
jakby w filcowych pantoflach chodziła,  
jakby za granicą nic złego nie widziała.  
Ale czytając wspaniałą historię w kamazach  
dopatrzyć się zbrodni: tylu martwych.  
Podzielony został kraj Niemcami zwany.  
Miał oto dwie nazwy i nadal nie wiedział,  
choć był tak pięknie pagórkowaty i równinny,  
co począć ze sobą.  
Po krótkim namyśle zaoferował obu stronom  
swe usługi w trzeciej wojnie.  
Odtąd już ani słówka. Pokój na ziemi.

Był sobie kiedyś malarz, który miał jako fałszerz zasłynąć. I już na samym początku coś nie gra w tej historii, bo on nigdy nie fałszował, lecz malował oburącz prawdziwie po gotycku. Kto w to nie wierzy, temu nie pomoże żadna ekspertyza.

W roku 1913 urodził się nasz malarz we wschodniopruskim mieście Królewcu nad rzeką Pregołą. Jako syn antykwariusza wyrastał pośród ściemniałych obrazów olejnych i lśniących starym złotem Madonn, w otoczeniu autentycznych i nieautentycznych przedmiotów, jakby pod warstwami pokostu, zawsze w bliskości kornika, w kurzu między rupieciami. Przyglądał się ojcu, który potrafił w mgnieniu oka postarzać tablice wotywnie i obrazki holenderskich miniaturzystów. Po skończeniu szkoły powszechnej zaczął terminować u malarza pokojowego, uczył się, czego można było się z tego rzemiosła nauczyć, i po fajerancie kopiował północnoniemieckie tablice z czternastego wieku. Wcześniej już terminator upodobał sobie gotycki ból i gotycką słodycz.

Rodzina Malskatów – tak nazywał się ojciec naszego malarza – mieszkała w królewieckim Flinsenwinkel.

Rzeka Pregoła wpływała do Zalewu Wiślanego, który pod Piławą łączył się z Morzem Bałtyckim. Dzisiaj Królewiec nazywa się Kaliningrad, a i rzeka nosi inne miano. Nie ma już Flinsenwinkel. Są tylko coraz bardziej kruche wspomnienia, poza tym książki, które osiadły przez całe życie w Królewcu

filozof Immanuel Kant napisał daremnie, na dodatek smakowite potrawy związane nazwą z miastem – choćby klopsiki w słodko-kwaśnym sosie kaparowym – i wschodniopruskie nazwiska jak Kurbjuhn, Adromeit, Margull, Tolkmit i Malskat. Są to nazwiska staropruskiego pochodzenia. Zostały przejęte w nie sfalszowanej postaci od Prusów, których wytępiono, aby mogły powstać Prusy; toteż w tym miejscu, zanim będzie mowa o fałszerstwach i na koniec o procesie fałszerza obrazów, trzeba powiedzieć: nazwisko Malskat jest autentyczne.

Po krótkim uczęszczaniu do szkoły rzemiosł artystycznych, gdzie w sprawach gotyku nie nauczono go niczego nowego, Lothar Malskat z obitym skórą tornistrem ruszył na wędrowną. Szedł w pumpach i sandałach, dotarł podobno do Włoch i przekonał się, że za górami są góry, a okazje nieczęste. Był jednym z wielu wędrownych rzemieślników i żebraków, którzy w połowie lat trzydziestych chodzili od domu do domu, tutaj naprawili szopę, ówdzie wy trzepali dywany, rzadko najadając się do syta, żyli z dnia na dzień i nie mając stałego adresu, przemierzali drogi, kiedy w Berlinie, potem w całych Niemczech tworzono historię; Malskat nie miał o niej zbyt wysokiego mniemania.

Mimo to w stolicy Rzeszy wybiła jego godzina. Poszukując zajęcia, poznał w Berlinie-Lichterfelde znanego konserwatora i profesora sztuki Ernsta Feya. Za ciepłą zupę i kieszonkowe dane mu było pomalować profesorski płot, które to zajęcie pozwalało na bujanie w obłokach: buzia, śliczna jak marzenie, przedstawiała się jego oczom jako obraz raz smutny, to znów zabawny, uchwytny również po fajerancie i pierwszym pomalowaniu płotu; Malskat chodził wtedy często do kina, gdzie oglądał popularną aktorkę Hansi Knoteck najpierw w *Zamku Hubertus*, potem, w czym popadło, aż wryła mu się w pamięć tak stylotwórczo, że jej późniejszy wpływ na gotyckie malowidła ścienne w północnoniemieckich kościołach z wypalanej cegły nikogo nie powinien dziwić. W każdym razie konserwator od razu dostrzegł szczególnego rodzaju talent pacykarza. Być może sowizdrzałowaty nos



Malskata, wizjonerski układ jego brwi i uległe, jeśli nie uduchowione oddanie się każdej z osobna desce w płocie dodatkowo przekonały profesora.

Wiosną trzydziestego szóstego zdarzyło mu się z synem Feyą, który miał na imię Dietrich i fascynował, kogo się dało, długimi rzęsami i wąską, wydłużoną głową, pojechać jasnożółtą sportową deką do Szlezwiku nad Schlei. Jest to miasto, od którego wzięła nazwę połowa krainy między Morzem Północnym a Bałtykiem. W tamtejszej katedrze na obu czekała praca.

Od pięknego Dietricha, który w całym katedralnym mieście, ze szczególnym jednak wyczuciem w pokoju muzycznym protestanckiego probostwa umiał przedstawić się wiarygodnie, wobec czego wkrótce otaczał go wianuszek pastorskich córek, Malskat, dla którego bardziej zajmujące pozostawały filmy z Hansi Knotek w głównych i drugoplanowych rolach, nauczył się jednej tylko sztuczki: rozrabiania owej szczególnej rdzawobrunatnej farby, która nadawała się na kontury w krużganku katedry. Sam natomiast nauczył się stare bez wysiłku malować na nowo, a nowo namalowane stłuczka i drucianym drapakiem postarzać. Resztę załatwiał pudrowy woreczek ze zmieloną zaprawą wapienną.

Malskat musiał malować szybko, bo ledwie wyschły rdzawobrunatne kontury na tynku krużgankowych pól, powinny były już dowodzić swego gotyckiego pochodzenia. Zachęconemu przez dostrzegalne pozostałości pierwotnego obrazu udało się zwarte, zamazyste i powściągliwe, w całości śmiałe, w detalu zaskakujące malarstwo konturowe na dziewięciu z dziesięciu pól; ostatnie pole od zachodu pozostało puste.

Namalował *Pokłon Trzech Króli*, *Jana Chrzciciela* i *Rzeź Niewiniątek w Betlejem*, *Ucieczką do Egiptu*, *Pocałunek Judasza*, *Biczowanie* i co tam jeszcze należy do kompletnej dekoracji krużganka. Każde z ostrołukowych pól zamykał u dołu fryzem zwierzęcym; pod sceną *Biczowania* na przykład pojawiają się w medalionach na przemian koguty i jelenie, pod *Pocałunkiem Judasza* orły i lwy. Ale to, co zamyka jako fryz czwarte pole, licząc od

zachodu na wschód, tworzyło historię, to znaczy wywołało spór, i doczeka się tu specjalnej wzmianki.

Podczas gdy piękny Fey ofiarowywał pastorskim córkom ułożone z wyczuciem bukietki kwiatów i zapraszał młode damy na przejażdżki łódką po Schlei, Malskat ponadto odwalił całą robotę w prezbiterium szleszwickiej katedry. W ościeżach okien wokół głównego ołtarza i na licach filarów przyporowych raz-dwa namalował dwadzieścia sześć głów ujętych w medaliony, w tym i własną podobiznę z długim nosem, śmiało wygiętymi brwiami i papierosem za uchem, który – choć dobrze ukryty – zaświadcza, że w owych latach Malskat dawał pierwszeństwo marce Juno – „Wiemy wszyscy to na fest, czemu Juno krągle jest!”

Poza tym pałac malował na chwytających światło ościeżach i filarach wysoko sklepionej części ołtarzowej osoby z lat swej młodości nad Pregołą. Pomocne były szkicowniki królewieckiego terminatora; od początku pilnie rysował starszego czeladnika, raz po raz majstra, innych terminatorów, ale też klientów ojcowskiego antykwariatu, choćby adwokata Maximiliana Lichtensteina i radcę sanitarnego Jessnera, którzy oto, od dawna obecni w jego wyobraźni, oblekli się w kształt na wolnych polach.

Potem Malskat zabierał się do powołanych ku pobożności głów według wypróbowanej już metody: stłuczka i drapak pomagały wytworzyć blisko siedmiusetletni dystans. Na koniec pudrowy woreczek. Nie ustawał, dopóki jego dwadzieścia sześć świętych głów, z lekka wprawdzie uszkodzonych i o pozacieranych konturach, jednakże z mocną wiarą nie spoglądało z wczesnego gotyku na część ołtarzową i środkową nawę. Ostatnią głowę wykonał trzeciego maja trzydziestego ósmego. Podczas gdy na zewnątrz cios za ciosem tworzone historię, aby Niemcy były coraz większe, Lothar Malskat wysoko na rusztowaniu świętował dwudzieste piąte urodziny; dopiero wieczorem był w probostwie katedry wraz z Feyem zaproszonym gościem: w otoczeniu córek pastora, które nazywały się jeśli nie Gudrun czy Freia, to Heike, Dörte lub Swantje.

Jest kruszon z wonnej marzanki. Widzimy go zakłopotanego, nie na swoim miejscu. Kiedy Malskat nie szedł do kina, spędzał pozostały czas w dzielnicy rybackiej nad Schlei. Z Knoteck grali wtedy *Dziewczyną z bagien*.

Również ów podziwiany aż do zeszywnienia karku Salvator Mundi na romańskim sklepieniu środkowej nawy trój nawowej katedry wyszedł spod jego ręki i jest po dziś dzień okazały: wieloznaczna, obejmująca tęczę szóstego dnia Stworzenia kompozycja, której sprzeczne cechy stylistyczne tworzą jednak całość, toteż stanowiły dla historyków sztuki kłopotliwą zagadkę. W końcu nazwali Malskatowego Salvatora Mundi dziełem epokowym.

W sumie praca malarza, choć nie wymieniano – choćby w nawiasie – jego imienia i nazwiska, doczekała się uznania w licznych ekspertyzach, mało tego, została podniesiona do rangi „sztuki rasowo czystej”. Szczególnie arcydziełkami nazwano nordyckie z wyglądu głowy w ościeżach i na filarach oraz kilka germańskich znaków runicznych; na życzenie Feya, który chciał się przysłużyć duchowi czasu późnych lat trzydziestych, Malskat wydrapał je w tynku wolnych pól i w otoczeniu swego Salvatora Mundi: „Chwackim chwała wojownikom” i podobne aliteracyjne bzdury.

Warto wspomnieć, że wysuwając się przed wszystkich ekspertów, historyk sztuki nazwiskiem Hamkens cieszył się na łamach fachowych czasopism ze stanowczego spojrzenia głów świętych bohaterów, ich długich nosów i z nordycka wydatnych podbródków. Zaraz po powstaniu sprawnie postarzonego malarstwa, które zresztą przyniosło Malskatowi odczuwalną podwyżkę stawki godzinowej, Hamkens polecił sfotografować aryjskie głowy, po czym ten niezaprzeczalnie autentyczny zbiór fotografii został, na polecenie reichsführera SS, zakupiony przez kuratorium „Niemieckiego Dziedzictwa Przodków” i był pokazywany na objazdowych wystawach.

Dzieło Malskata zwracało uwagę. A skutki nie do naprawienia miał ów fryz zwierzęcy, który przyszedł mu do głowy jako zamknięcie sceny Rzezi Niewiniątek w krużganku katedry; bo nie jelenie i koguty, także nie gryfy i

koziorożce, jak pod wzruszającym motywem: Hansi Knoteck jako Dziewica z Dzieciątkiem, lecz wyraźnie jako takie rozpoznawalne indyki namalował Malskat w czterech z siedmiu medalionów. W pozostałych trzech okrągłych polach, dzięki stłuczce, druciakowi, szczotce i woreczkowi pudru, zostały się tylko ślady tego ptactwa.

Ale cztery nietknięte indyki wystarczyły. Został dostarczony dowód. Nareszcie pewne było, co dotychczas jako przypuszczenie stało pod znakiem zapytania albo jako nacjonalistyczne marzenie budziło drwiące uśmiechy. Dzięki Malskatowi prawda historyczna wyszła na jaw. To wczesnogotyckie malarstwo dowodziło przecież, że to nie galijski Kolumb, ale już Wikingowie, a więc Germanie, nordycy z długimi nosami i wydatnym podbródkiem sprowadzili do Europy jednoznacznie amerykański drób; odtąd Malskatowe indyki – to proste, utrzymane w rdzawej brunatności, uchwycone pewnym okiem malarstwo konturowe – musiały w wielu uczonych ekspertyzach służyć nieuchronnemu pisaniu historii na nowo. Od wiosny trzydziestego dziewiątego, bez oglądania się na początek wojny jesienią tego samego roku, póki zwyciężano, ale też nie zważając na bitwę pod Stalingradem, na zburzenie miast i następstwa inwazji, aż do końca wojny trwał tak zwany indyjski spór ekspertów; jestem pewien, że w ukryciu żyje do dziś.

Przy tym Malskat od początku sygnował swe nowe dzieła w stylu wczesnego i dojrzałego gotyku skrótowymi, mieszającymi języki literami t.f.L.M. – tout fecit Lothar Malskat – choć ukrytymi w arabeskach i lekko zamalowanymi. Nie był fałszerzem. Inni, którzy go później, w czasie wielkich fałszerstw mających zachować państwo, oskarżyli i ukarali, byli w połowie lat pięćdziesiątych prawdziwymi oszustami. Oni nadal istnieją, jeśli nie piastując urzędów, to ciesząc się poważaniem. Mrugają do siebie nawzajem i przypinają sobie ordery. Ich wina i trupy są dobrze ukryte w piwnicy.

Był sobie kiedyś kraj Niemcami zwany...

*ROZDZIAŁ CZWARTY, w którym dochodzi do pożegnania, umowa czeka na podpisanie, przybywają Jaś i Małgosia, znajdowane są szcurze bobki, panuje nastrój niedzielnny, następuje ultimo, jest kilka sztuk złota ekstra, Malskat musi iść do wojska, trudno rozstać się z kobietami, a statek kotwiczy u kredowych skał.*

Śniłem, że muszę pożegnać się  
ze wszystkimi rzeczami, które mnie otoczyły  
i rzucają cień: mnóstwo dzierzawczych  
zaimków. Pożegnać z inwentarzem, tą listą  
rozmaitych znalezisk. Pożegnać  
z nużącymi woniami,  
z zapachami, które nie dają mi zasnąć, ze słodkością,  
gorzkością, kwaśnością jako taką  
i palącą ostrością ziarnka pieprzu.  
Pożegnać z tykaniem czasu, z poniedziałkową irytacją,  
z nędną środową wygraną, z niedzielą  
i jej wrednością, skoro tylko rozsiądzie się nuda.  
Pożegnać z wszystkimi terminami: co w przyszłości  
ma być należne.

Śniłem, że muszę też rozstać się  
z każdą ideą, martwo czy żywo urodzoną,  
z sensem, który sensu poza sensem szuka,  
i z nadzieją, biegaczką długich dystansów.  
Rozstać z odsetkami od odsetek  
zaoszczędzonej wściekłości, z dochodem ze zmagazynowanych snów,  
ze wszystkim, co jest zapisane, przypomina dla porównania,  
kiedy to koń i jeździec stali się pomnikiem.  
Pożegnać ze wszystkimi wizerunkami, jakie zrobił sobie człowiek.  
Rozstać z pieśnią, rymowanym żalem, rozstać  
ze splecionymi głosami, z sześciochóralną radością,  
z gorliwością instrumentów,  
z Bogiem i Bachem.

Śniłem, że muszę pożegnać się

z gołymi gałęziami,  
ze słowami pączek, kwiat i owoc,  
z porami roku, które dość mają  
swych nastrojów i obstają przy pożegnaniu.  
Poranna mgła. Schyłek lata. Zimowy płaszcz.  
Zawołać prima aprilis, raz jeszcze powiedzieć zimowit jesienny i śniegułka,  
susza mróz odwilż.  
Uciekać śladom na śniegu. Może  
na pożegnanie wiśnie są dojrzałe. Może  
kukułce coś się pomyli i będzie kukać. Raz jeszcze  
wyłuskać zielony groszek ze strączków. Albo  
dmuchawiec: teraz dopiero pojmuje, czego on chce.  
Śniłem, że muszę pożegnać się ze stołem, drzwiami, łóżkiem  
i stół, drzwi, łóżko obciążyć, otworzyć szeroko, wypróbować  
na pożegnanie.

Mój ostatni dzień w szkole: sylabizuję nazwiska  
przyjaciół i recytuję numery ich telefonów: długi  
trzeba spłacić; piszę na koniec słowo do moich wrogów:  
Zapomnijmy o tym – albo:  
Nie warto było się kłócić.  
Nagle mam czas.  
Moje oko, jakby wyćwiczone było  
w pożegnaniach, przeszukuje wokół horyzonty, wzgórza  
za wzgórzami, miasto  
na obu brzegach rzeki,  
jak gdyby należało przypomnieć oszczędzić ocalić  
coś oczywistego: poniechanego wprawdzie,  
ale nadal uchwytnego, pełnego życia.

Śniłem, że muszę pożegnać się  
z tobą, tobą i tobą, z własną ułomnością,  
z resztką mojego ja: co pozostało po przecinku  
i od lat marnieje.  
Pożegnać ze znaną aż nadto obcością,  
z nawykami, które uprzejmie przyznają sobie rację,  
z naszą utrwaloną na piśmie i udokumentowaną nienawiścią. Nic  
nie było mi bliższe od twojego zimna. Tyle miłości  
całkiem na opak wspomianej. Na koniec  
wszystko było zabezpieczone: moc agrafek.  
Pozostało jeszcze pożegnanie z twymi opowieściami,  
szukającymi wciąż nabrzeża, parowca,  
który przybywa ze Stralsundu, płonącego miasta,

załadowany uciekinierami;  
i pożegnanie z moimi szklami, które miały na uwadze  
skorupy, stale tylko skorupy, skorupy  
z samych siebie. Nie,  
już nie będzie stawania na głowie.

I nigdy więcej bólu. Niczego,  
ku czemu wybiega oczekiwanie. Ten koniec  
znamy ze szkolnego programu. To pożegnanie  
przerabiało się na kursach. Patrzcie tylko, jakie tanie  
są nagie tajemnice! Zdrada już nie przynosi pieniędzy.  
Za bezcen rozszyfrowane sny wroga.  
Wreszcie zysk się znosi, wyrównuje nam  
końcowy rachunek,  
ostatni raz zwycięża rozsądek,  
bez różnicy jest wszystko,  
co oddycha, wszystko, co pełza  
i lata, wszystko, co jeszcze  
nie pomyślane i co może stać się miało  
na końcu i już się nie stanie.

Ale kiedy we śnie musiałem  
pożegnać się od razu z wszelkim stworzeniem,  
aby po żadnym ze zwierząt, dla których Noe zbudował niegdyś arkę,  
nie został posmak,  
po rybie, owcy i kurze,  
które wszystkie zginęły wraz z ludzkością,  
przyśniła mi się jedna jedyna szczurzyca,  
która urodziła dziewięcioro szczurząt  
i miała przed sobą przyszłość.

My to nie! Syczała, wypierała się, zaprzeczała. Nigdy nie durzyliśmy się  
w sobie samych. Nie czułyśmy potrzeby przeglądania się w lustrze. Nie  
przypisywałyśmy głębokiego sensu jakiejś bzdurze, nie miałyśmy celu, który  
wabiłby nas gdzieś wyżej, powiększał, wyzwalał: nigdy nie było nadszczura!

I nie było wielopiętrowych konstrukcji myślowych, które by nas wznosiły  
do gwiazd ku szaleńczemu złudzeniu nieśmiertelności. Wolne od tych  
człowieczych błazeństw byłyśmy liczne, nigdy się nie licząc. Brakowało nam  
świadomości własnego istnienia i ten brak nie pozwolił nam szczeznąć.

Choćbyśmy dostarczały nie wiem jak przykładowego materiału do obrazowych porównań, jakie układał człowiek, nadając imiona plagom, na przykład biblijnym, my same nie miałyśmy żadnego przykładu, nikt nie zdołał stać się dla nas wzorem, z pewnością żadne inne zwierzę, ale też i nie człowiek, do którego byłyśmy przywiązane, jak sięga szczurza pamięć, który nas wprawdzie zadziwiał, lecz nie stał się bogiem, dopóki istniał naprawdę i rzucał cień.

Dopiero gdy odszedł, zaczęło nam go brakować. Nie tylko brakowało nam zapasów i odpadków, surowych i gotowanych, z jego kuchni, dotkliwie też nie dostawało jego idei, które my zżarłyśmy wszystkie, dosłownie wszystkie; byłybyśmy rade, jak to dawniej bywało, podstawiać mu, mówiąc przenośnie, miskę na wymioty, my, pospólstwo jego delirycznych stanów, my, modele jego lęków. To dlatego człowiek używał nas do obrazowych powiedzeń. Bał się szczurzej zarazy, przeklinał szczurzą żarłoczność. My, wcielone zło, byłyśmy obecne w komorach grozy jego najskrytszych myśli. My, które uprzętałyśmy wszystko, co z niego wychodziło w postaci śluzu czy w kawałkach, jego kał, jego kwaśniejące resztki, wszystko, czym wymiotował, ilekroć dławiała go niedola, pałaszowałyśmy bez ceregieli i jemu, wrażliwcowi, usuwałyśmy sprzed oczu, my, rade jego wymiocinom, byłyśmy dla niego wstrętne. Brzydziłyśmy go jeszcze bardziej niż pająki. Żadna meduza, żadne robactwo, żadna stonoga nie mogła być dla niego obrzydliwsza. Kiedy w rozmowie padała przypadkiem jakaś wzmianka o nas, on dostawał mdłości. Na nasz widok robiło mu się niedobrze. Z powodu nagości i nadmiernego wydłużenia szczególnie odrażające były dla niego nasze ogony; ucieleśniałyśmy obrzydliwość. Nawet w książkach, które jako szczególny wyraz ludzkiej egzystencji wysławiały wstręt do samego siebie, między wierszami czytało się o nas; bo jeśli brzydziła go człowieczość, do czego od niepamiętnych czasów znajdował powody, to znowu my dostarczałyśmy mu nazw, ilekroć miał na celowniku wroga, swych licznych wrogów: Ty szczurze! Wy szczury! To szczurze nasienie!



A jako że człowiek tyle miał możliwości, w nienawiści do jemu podobnych szukał w sobie nas, bez długiego błędzenia znajdował, oznaczał i niszczył. Kiedy tylko wypleniał swych heretyków i odmieńców, osobników uznanych za niepełnowartościowych i zaliczonych do szumowin, dziś hołotę, wczoraj szlachtę, mówiło się o godnym wytępienia szcurzym pomociu.

Może jednak było też i tak: ponieważ rodzaj ludzki nie mógł sobie z nami poradzić ani strychniną, ani arsenikiem, i ponieważ mimo coraz to nowych środków niszczących – ostatnio skuteczne miały być ultradźwięki – nie udawało się wytępienie naszego przychówku – stawałyśmy się jak ludzie coraz bardziej i bardziej liczne – zastępczo wyplenił samego siebie, jak było do przewidzenia: skutecznie.

Dopiero teraz, powiedziała szcurzyca, która mi się śni, zaczynamy wyobrażać go sobie, szukać i znajdować: człowieka ukrytego w nas, szcurach. Pięknieje w oczach i domaga się lustrzanego odbicia: jego proporcje; jego prosty chód, który ćwiczymy, stale ćwiczymy. Uważamy się za ostatnich naśladowców, niezdolnych do uczuć, do kaprysów. Ach, gdybyśmy umiały rumienić się wstydliwie, jak on się rumienił, przeważnie z błahego powodu. Ach, gdyby jedna z jego idei uczyniła nas brzemiennymi, zdolnymi do porodów pod czaszką.

Nie, my, szcury, nie pożegnamy się z nim, jak on się pożegnał ze swoją wspaniałością. Nie, powiedziała szcurzyca, nim zniknęła, my nie wyrzekniemy się człowieka.

Obiad roboczy we dwóch. On zamawia comber sarni z kurkami i borówkami. Siedząc naprzeciw mnie, na dwóch poduszkach, nasz pan Matzerath chciałby wiedzieć, jak ja w niemym filmie o umierającym lesie, który z jednej strony powinien oskarżać, ażeby lasy zostały w ostatniej chwili uratowane, z drugiej zaś chce się pożegnać, gdyż jest już za późno, o wiele za późno, jak ja wyobrażam sobie historycznych braci Grimm we współczesnych rolach.

Powiada: – Bez wyjaśnienia tej kwestii niechętnie jechałbym do Polski, zwłaszcza że i tam wiele rzeczy tradycyjnie gubi się w katolickich chmurach.

Do samego deseru – kisiel z sosem waniliowym – trwają moje wyjaśnienia: Skoro Jacob jest ministrem ochrony środowiska, to Wilhelm będzie zajmować się sprawami narastających szkód leśnych. W każdym razie obaj w moim ujęciu czują się odpowiedzialni za las. Są zorientowani w toksyczności i szkodliwych wyziewach. Ze środków federalnych wspierają badania ozonu. Dawno już w tezach, z których wówczas się podśmiewano, podawali obaj w wątpliwość stabilność ekosystemu przy niepohamowanym wzroście. Ich krytyka gospodarki energetycznej, choć często cytowana, nie odniosła skutku. Ich katalog nieodzownych przedsięwzięć bodaj nie budzi sprzeciwów, a jednak nie znajduje większości w parlamencie. Niejednokrotnie zgłaszali gotowość ustąpienia, ale nadal piastują swe urzędy.

Mówi się: Grimmobracia są zbyt liberalni. Milcząc tolerancyjnie, pozwalają wygadać się każdemu ministrowi, podczas gdy im przerywa się ordynarnie, zbija się ich z tropu wtrąconymi okrzykami, wyśmiewa – a robią to wszyscy pozostali ministrowie – jako oderwanych od życia marzycieli i w najlepszym razie szanuje jako dziwaków – tacy też muszą być! Rząd stać na tych dwóch. Kiedy przyjeżdża ważny gość, kanclerz ma się kim pochwalić.

A jednak: przy całym współczesnieniu bracia Grimm pozostali sobie wierni jako Grimmobracia. Obok swej bezowocnej wprawdzie, ale w dalszym ciągu cenionej działalności w rządzie zbierają dane socjologiczne i świadectwa kultury cudzoziemskich robotników, poza tym neologizmy, jak dawniej zbierali baśnie, podania i słowa od A do Z, aż Jacoba, gdy zbliżał się do litery F, zasypało karteluszkami.

Ponadto publikują. Podczas gdy Wilhelm Grimm artykułem o *Roli kobiet tureckich w życiu codziennym Republiki Federalnej* zyskuje aprobatę nawet u feministek, książka współczesnego Jacoba Grimma pod tytułem *Smerfowa niemczyzna* zwraca ogólną uwagę, ponieważ autorowi na przykładzie sztucznej mowy niezwykle popularnych smerfów udało się wykazać powszechny upadek języka, „zachwaszczenie kwitnących ongiś łąnów słownych”, i klęskę literackiej niemczyzny. Z dużym uznaniem jak kraj długi

i szeroki spotkali się Grimmobracia, kiedy przed laty, razem z innymi uczonymi, zaprotestowali przeciwko zmianie konstytucji: jak zawsze z retoryczną siłą, ale nie znajdując posłuchu; było to, jak mówiono, podyktowane wspólną tradycją podzielonego kraju.

Ponieważ jednak w moim filmie, który będzie traktował o umierającym lesie, Grimmobracia podporządkowani są linearnej akcji baśniowej, ich zajęcia uboczne i skrupuły mogą występować tylko w charakterze niejako odnośników. Na przykład w gabinetach braci, które sąsiadują ze sobą i połączone są zawsze otwartymi drzwiami, znajdują się dowody ich zbierackiej pilności: mniejszy pokój Wilhelma zdobi, między regałami książek pełnymi socjologii, draperia powstała z trzydziestu albo i więcej wielobarwnych chust na głowę żon tureckich gasterbeiterów; w ministerialnym pokoju Jacoba rzuca się w oczy, obok oprawionego w ramy portretu pruskiego uczonego Savigny'ego, gablotka, której półki zastawione są zabawnymi, zebranymi w grupy smerfami. Jako badacze Grimmobracia patrzą na siebie ironicznie.

I co jeszcze chce wiedzieć nasz pan Matzerath, podczas gdy ja mieszam resztkę kisielu z resztką sosu waniliowego: Tak, obaj muzykują, domagają się rozszerzenia programu artystycznego w szkole i występują na rzecz nastawionego na jakość mecenatu nad filmem. W zasadzie nie są przeciwni nowym mediom, ostrzegają jednak przed ich niekontrolowaną koncentracją.

Wznosimy kieliszki, przepijamy do siebie. Nie nie, Grimmobracia nie prezentują się jako gabinetowi uczeni. Są rozwiedzeni i darzą swymi względami zmieniające się panie. Widzimy ich w stroju sportowym i fotogenicznych nie tylko we dwójkę. Do tweedowych marynarek noszą muszki w stosowny wzór. Nawet urlopy spędzają wspólnie w Spessarcie, w Wogezach, gdziekolwiek zachowały się leśne tereny. Można by zatytułować film po prostu *Las* albo bardziej ambitnie *Lasy Grimmów*, tylko powinno się go nakręcić, póki lasy jeszcze jakoś wyglądają.

– Ale dlaczego – pyta nasz pan Matzerath przy kawie – ma to być za

wszelką cenę film niemy?

Bo wszystko zostało powiedziane. Bo pozostaje już tylko pożegnanie. Najpierw z jodłami, świerkami, limbami i sosnami, potem z gładkimi bukami, nielicznymi lasami dębowymi, z jaworem, jesionem, brzoźami, olchami, z i tak chorowitymi wiązami, z porośniętym niskim drzewostanem grzybnymi zagajnikami. Gdzie podzieje się paproć, kiedy zabraknie jej dachu z liści? Dokąd uciekać, dokąd się zapędzić?

Pożegnanie z rozstajami w głębokim lesie. Z mrowiskiem, które uczyło zdumienia, żegnamy się, nie wiedząc z czym. Pożegnanie z wieloma ogrodzonymi szkółkami leśnymi, które obiecywały zysk i choinki na Boże Narodzenie, ze spróchniałym drzewem, które ofiarowywało miejsce wszystkim lękom, z cieknącą żywicą, która na zawsze uwięziła chrząszcza. Pożegnanie z powykrzywianymi korzeniami, z potykaniem się o nie i wreszcie ze znalezieniem czworolistnego szczęścia. Pożegnanie z muchomorem, który daje niezwykle sny, z opieńkami, które porastają pniaki, ze smacznym lejkwcem dętym, który późno otwiera swój lejek, podczas gdy z daleka podnosi wrzawę sromotnik bezwstydną. Przesieka, poręba, rewir. Pożegnanie ze wszystkimi słowami, które pochodzą z lasu.

Na koniec żegnamy się ze skłóconymi drogowskazami i gospodą „Pod Dzikim Mężem”, z puszczeniem soków i zielenią, z opadaniem liści i wszystkimi listami, które od tego się zaczynają. Wymazane zostanie, co jest napisane o lesie i lasach za lasami. Żadnych przysięg wyciętych w korze. Żadnych czap śniegowych, które spadają z jodeł. Nigdy już kukułka nie nauczy nas liczyć. Będziemy bez baśni.

Stąd film niemy. Bo kamera widzi las jakby po raz ostatni. Kto by tu jeszcze chciał gadać. Drzewa umierając, mówią same za siebie. I tylko akcja, która wrywa się naprzód, napiera, chciałaby skakać, potrzebuje okrzyków, lamentów, wskazówek, domaga się napisów, które muszą się streszczać: O tym nie wie nikt na całym świecie. Lustreczko, lustreczko, powiedz przecie. Ale za siedmioma górami. Dlaczego masz takie wielkie uszy?

Spuśćże włosy swoje. Co robi mój jelonek, co robi moje dziecię? Najmłodsza królewna. Krew płynie z trzewiczka. To wiaterek z nieba, z błękitnego nieba...

Bo Jaś i Małgosia biegną wprawdzie wciąż jeszcze niemo przez martwy las, ale w jakimś momencie, nie, wkrótce, las ożyje i znakami pomoże dzieciom dotrzeć na miejsce, gdzie powita je napis: „Halo, to jesteście nareszcie!”

Nasz pan Matzerath, który lubi mówić i stale zaznacza, że słowa to dla niego narkotyk, zaczyna rozumieć, że to, co on – ktoś by inny? – ma wyprodukować, musi być filmem niemym. Miesza kawę w filiżance, odchyła przy tym mały palec i milczy.

Mam już teraz zagrozić środkami nacisku, żeby się zgodził, żeby jako producent powiedział wreszcie: tak? powinien wiedzieć: dopóki brak jego słowa, planowana podróż się odwleka.

On dla odwrócenia uwagi pokazuje wizę.

Ja wskazuję na umowę produkcyjną: – Tutaj, dokładnie tutaj brak pańskiego podpisu.

On ubolewa, że rynek kaset video jest w tej chwili zapchany.

Ja jednak nie chcę kasety: – Chcę filmu niemego dla kin, z napisami.

On powiada: – Jak tylko wrócę zdrów z Polski, to może... – Ja na to: – A jakby tak przypadkiem wpadło mi do głowy, że mógłbym się postarać o unieważnienie pańskiej wizy?

On to nazywa „szantażem”, „autorską pychą”. – No dobra – mówi – las i tak jest do uratowania już tylko w filmie.

Ja pytam pospiesznie: – Można panu już jutro życzyć szczęśliwej podróży?

Nasz pan Matzerath płaci za comber sarni ze wszystkimi dodatkami dla nas obu jako za obiad roboczy i odlicza suty napiwek dla kelnera, potem w odpowiednią rubrykę wstawia tytuł filmu *Lasy Grimmów*, na koniec podpisuje się pismem Sütterlina jako „Oskar Matzerath-Broński”, aby po

dłuższych dygresjach na temat swojej podróży i sytuacji politycznej w Polsce powiedzieć: – Wolałbym się zdecydować na malarza Malskata. Podoba mi się jego gotyk.

Z dłonią w dłoni pośród trupiego zeszywnienia: biegną przez martwy las, mijając śmietniska, składy trucizn i zamknięte tereny wojskowe. (Tymczasem kanclerz i jego małżonka jako ojciec i matka opowiadają prasie, jacy są niepokieszeni. Na słupach ogłoszeniowych, na ekranach telewizorów, wszędzie w kraju poszukuje się zbiegłych kanclerskich dzieci, które mają na imię Johannes i Margarete.)

Teraz już nie z dłonią w dłoni: Jaś i Małgosia biegną, jak gdyby nie mieli innego wyboru. Z niewielkim wysiłkiem i bez choćby odrobiny rozpacz. Raz Jaś, to znów Małgosia na czele. Podczas gdy biegną, martwy las, który wygląda jak Rudawy na współczesnych zdjęciach, zrazu ostrożnie, potem zdecydowanie, na koniec gwałtownie zielenieje, zielenieje coraz gęściej jak w książce z obrazkami, aż staje się zielonym baśniowym lasem nie do przebycia.

Wzlatuje sójka, sowa. Skrzypiące drzewa stroją miny. W mgnieniu oka wyrastają grzyby z mszystego podłoża. Pod korzeniami, jakby stanowiły część narośli i pni, kryją się mrugające gnomy. Z ruchliwego mrowiska wystaje długopalca dłoń i kiwając wskazuje dzieciom kierunek. Z zarośli wypada wiewiórka, ma jedno oko ogniste, drugie smutne, umyka potem między bukami, jak gdyby musiała być jedyną w swoim rodzaju gdzieś indziej.

Boją się tylko troszeczkę. – Tak czy owak – woła Małgosia – prawdziwych potworów tu nie ma! – Oboje patrzą na las, jakby po raz pierwszy musiały się zdumiewać. Nie biegną już, lecz szukają i macają. Między grubymi pniami drzew, nie do objęcia we dwoje, gubią się, odnajdują znowu. Ponad nimi sklepia się, przebity tylko przez nieliczne dziury słońca, dach liści. Oboje pływają w sięgających do piersi paprociach.

Na koniec turkawka, ciągnąca za sobą złotą nić, prowadzi Jasia i Małgosię

przez las, aż ten się rozrzedza.

Pośrodku polany koło ciemnego stawu, po którym pływa siedem łabędzi, stoi drewniany piętrowy dom; jest kryty gontem i – kiedy dzieci podchodzą bliżej – daje się poznać namalowanym napisem „Pod Domkiem z Piernika” jako leśna gospoda. Z zagrody przed bocznymi zabudowaniami stajennymi spogląda sarna. Wilk w klatce tylko na krótko przestaje się miotać.

Jaś i Małgosia z ociąganiem zbliżają się do murowanej studni z żurawiem, obok której śpi Dama w długiej sukni. Na czole Damy siedzi żaba i oddycha, jakby pompowała powietrze. Spojrzenie, jakie rzucają sobie Jaś i Małgosia, zdradza, że znają z grubsza tę historię. (Toteż póki żaba oddycha na czole, nie powinno się dawać żadnych napisów.)

W otwartych oknach powiewają firanki. Przed drewnianym domem stoi staroświecki blaszany automat, ozdobiony ornamentami imitującymi pierniki i inne chrupkie wypieki. Jaś szuka monet w kieszeni spodni, nie znajduje jednak ani bilonu, ani szczeliny do wrzucenia, tylko zawijasowaty napis gotykiem: „Proszę, dzieci, obsłużcie się!”

Najpierw Małgosia wyciąga szufladkę, w której leży torebka łuskanych orzechów laskowych. Potem Jaś wyciąga następną i jest zaskoczony plastrzem miodu. Zgłodniali po biegu przez początkowo martwy, później zdrowy las, oboje wyjadają zawartość torebek do cna.

Podczas gdy chrupią jeszcze i w trzeciej torebce znajdują buczynę, za kwitnącymi krzakami głogu wstaje z leżaka kobieta, która zapewne usnęła nad gazetą. Gazeta nosi tytuł „Goniec Leśny” i opatrzona jest datą z początku zeszłego wieku, na krótko przed bitwą pod Jeną i Auerstedt. Kobieta, ani młoda, ani stara, jest zarazem brzydka i piękna. Ma papiloty we włosach i naszyjnik z suszonych uszu. Kiedy zapina szlafrok w duże kwiaty powyżej biustonosza, Jaś widzi ogromne cyce, większe od tych, które mu się niekiedy śnią. Małgosia natomiast poznaje Czarownicę z wiadomej baśni.

(Jeśli nasz pan Matzerath chce wiedzieć, jak pięknie brzydka jest Czarownica, to należy mu ją odmalować, jako że nasz niemy film ma być

kolorowym filmem niemym: nie jest rudowłosa, ale ma lekkiego zęza w bursztynowych oczach.) Bez najmniejszego zdziwienia kobieta wypowiada tekst napisu: „No, dzieci! Jesteście nareszcie”.

Kiedy się zbliża, pociąga Jasia za ucho, on ma tuż przed sobą nie tylko wyśnzione cyce, lecz i jej naszyjnik, wiele ususzonych uszu. Nagle, jakby nie chcąc dopuścić do pojawienia się zdożnych myśli, Czarownica porusza szybko, coraz szybciej drewnianą klekotką, jakich dawniej używano do wypędzania duchów. (Nasz film niemy dopuszcza tego rodzaju hałasy, podobnie jak świergot ptaków i inne dźwięki naturalne.)

Hałaśliwe grzechotanie klekotki nie pozostaje bez skutku. Jeden po drugim opuszczają Domek z Piernika wszyscy goście pensjonatu: raczej chuderławą niż chudą Śnieżkę podtrzymuje Zła Macocha, postawna kobieta w podróżnym kostiumie; Śpiąca Królowna przeciera zaspane oczy, a Księżę, który towarzyszy sennej, niczym wynajęty pielęgniarz, musi ją raz po raz budzić pocałunkiem; Czerwony Kapturek, łatwy do poznania po baskijskim berecie, do którego nosi równie jaskrawe kozaczki, prowadzi przygłuchą Babcie; w roli dozorczy, ubrany w ogrodniczki, z kombinerkami i calówką w kieszeni na piersi jako praktyczną legitymację, występuje Liczyrzepa; z okna na piętrze, aby od razu wiedziano, jak jej na imię, między powiewającymi firankami powiewa włosami Roszpunka; w czarnym aksamicie najsmutniejsza ze wszystkich trzymających się za rączki par: Jorinda i Joringel.

Wszyscy pensjonariusze postarzelali się pięknie. Cieszą się z dawno oczekiwanego przybycia Jasia i Małgosi. Nie pytają skąd. Zła Macocha mówi: „U nas możecie czuć się jak w domu”. Tylko Czerwony Kapturek pozwala sobie na impertynencję: „Zawsze wyobrażałam sobie Jasia i Małgosie jako dzieci proletariackie, nie jako zepsutych przez dobrobyt wykolejńców”. Czarownica raz jeszcze porusza klekotką.

Tym razem przychodzi dziewczyna z pokrytymi zaschłą krwią kikutami rąk, która swe odrąbane dłonie na sznurku zarzuciła sobie na plecy. (Gdyby



nasz pan Matzerath miał wysunąć zarzuty przeciwko jej występowi – „Takich okrucieństw nie można narzucać żadnej publiczności!” – odeprę je, wołając „Cenzura!” i przypominając mu jego dzieciństwo, tę drogę krzyżową przez wyszukane bestialstwa. W dodatku Bezręka Dziewczyna jest typowym świadectwem Grimmowego zbioru baśni, podczas gdy Liczyrzepę, który na życzenie pana Matzeratha ma być w tym filmie dozorcą, można znaleźć tylko jako postać z melancholijnej baśni literackiej, mianowicie u Musäusa.)

I dopiero teraz, skoro wszyscy się zebrali, pojawia się przed domem z pełną tacą i w odpowiednim stroju Titelitory jako kelner. Lekko, ale wyraźnie utykając oferuje gościom pensjonatu „Pod Domkiem z Piernika” rozmaite drinki: „Napój z oliwnika! Może szklaneczkę wina głogowego? Albo koktajl z leśnego miodu?” Słowa napisu skierowane do Jasia i Małgosi brzmią: „A dla was, dzieci, pierwszorzędny sok poziomkowy, świeżo wyciśnięty”.

Podczas gdy wszyscy piją, sączą, gawędzą, szepczą lub niemo, jak Jorinda i Joringel, wyczytają sobie z oczu aksamitnoczarny smutek, podczas gdy Księżę raz za razem usłudźnie budzi swą Śpiącą Królownę pocałunkiem, Czerwony Kapturek krzyczy Babci do ucha zuchwalstwa w rodzaju „Tylko znów się nie urznij!”, Czarownica – teraz w okularach – bardziej obmacuje Jasia niż Małgosię, Titelitory szarmancko przykłada do ust Bezrękiej Dziewczyny szklanekę soku z czarnego bzu, Zła Macocha łagodzi sięgającą niepamiętnych czasów kłótnię między Śnieżką a Roszpunką, a Liczy rzepa, na uboczu, jak gdyby duch Karkonoszy chciał zademonstrować siłę wyrwidęba, układa na zapas drewno dla pensjonatowej kuchni; podczas gdy dzieje się to wszystko, nadciągają chmury i zrywa się krótkotrwała ulewa, uruchamiając koło studni zmontowane ze szklanych rur urządzenie pomiarowe: odzywa się przeraźliwie dzwonek alarmowy; jak w całym kraju, tak i tutaj pada kwaśny deszcz, którego boją się baśniowe postacie.

Żaba z czoła śpiącej Damy skacze do studni, z której natychmiast wyłania się w obcisłym kombinezonie nurka, ale i w koronie Żabi Król. Wytworna królowna budzi się i pociera czoło, dopiero co jeszcze zajmowane przez żabę,

jakby dokuczał jej ból głowy. Kiedy Żabi Król pomaga jej wstać i ofiarowuje ramię, wszyscy uciekają do domu, na koniec Czarownica z Jasiem i Małgosią, odczytawszy alarmujące dane pomiarów: „Tego nawet nasz baśniowy las nie wytrzyma”.

W środku Domek z Piernika urządzony jest jak muzeum: zapchane regały, gablotki. Każdy eksponat objaśniony jest tabliczką z napisem. Śnieżka pokazuje Jasiowi i Małgosi miniaturową swoją szklaną trumnę, w której spoczywa ślicznie jej miniatura wielkości lalki; obok wystawione jest, zalane sztuczną żywicą, zatrute i nadgryzione jabłko oryginalnej wielkości.

Zła Macocha odciąga Jasia i Małgosię od Śnieżki i prowadzi ich do swego cudownego lusterka, wieńczącego przednią ściankę drewnianej szkatuły i stojącego znacząco pośrodku sali na komodzie, w której szufladach mogłyby spoczywać książki, pierwsze wydania zbiorów baśni, kilka zielarskich poradników.

Wszyscy chcą pokazać Jasiowi i Małgosi, czym są na wystawie reprezentowani. Liczyrzepa demonstruje swoją sękatą maczugę. Titelityry pokazuje zakonserwowaną w spirytusie nogę, którą – jak głoszą niektóre wersje zatytułowanej jego imieniem baśni – jakoby wyrwał sobie, rozgniewany tym, że odgadnięto, jak się nazywa. Żabi Król złotą nazywa kulę – „Prawdziwe dukatowe złoto!” – która wówczas, gdy jego pani była jeszcze najmłodszą królową, potoczyła się do studni. Obydwoma kikutami rąk Bezręka Dziewczyna wskazuje na siekierę ojca. W jednej z gablotek, której eksponaty są nie tylko starannie opisane, ale i dokładnie datowane – „To było w upojnym miesiącu maju roku 1789” – „Zdarzyło się w porze jesieni roku 1806” – można obejrzeć zbiór kosteczek Czarownicy. Na siedmiu hakach wisi siedem karzełkowatych czapek, jak gdyby w najbliższym czasie należało się spodziewać tej kompanii.

Poza tym kolorowane sztychy przedstawiają braci Grimm. Na wszystkich ścianach wykonane cienką kreską rysunki malarzy Ludwiga Richtera i Moritza von Schwinda. Do tego sylwetki Muzykantów z Bremy, Wilka i

Siedmiu Koźlątek. I dalsze baśniowe motywy. (Może powinienem był przesznuć do tej kolekcji zdjęcie, które ukazuje naszego pana Matzeratha jako chłopczyka w marynarskim ubranku, z zawieszonym na szyi instrumentem, chociaż chętniej oprawiłbym go w ramki jako łysego producenta.)

Ale nie wszystkie przedmioty są nieruchome i zalatują muzeum. W kącie stoją miotła i cep. Na znak Czarownicy zaczynają tańczyć, potem po izbie wokół cudownego lusterka ścigają utykającego kelnera Titelity, który biadoląc włącza się do zabawy i potulnie przyjmuje razy, jakby zasłużył na lanie. Z lekkim znudzeniem baśniowe postacie przypatrują się temu nazbyt często pokazywanemu widowisku. W ogóle nie chce patrzeć Bezręka Dziewczyna. Jorinda i Joringel pozostają nieporuszenie zapatrzeni w siebie. Tylko Jaś i Małgosia są zadziwieni.

Nakazawszy miotle i cepowi spokój i powrót do kąta Czarownica wzywa Złą Macochę do zademonstrowania swej czarodziejskiej sztuki. Z ironicznym uśmiechem, który odsłania kilka złotych zębów, lecz i z całym respektem, jakby miała się oto rozegrać walka o pierwszeństwo, wskazuje na cudowne lusterko.

Zła Macocha nie daje się dwa razy prosić. W bocznej kieszeni jej żakietu tkwi lakierowana kasetka, której klawiaturę obsługuje ona małym palcem: cudowne lusterko od razu się ożywia i po krótkim migotaniu odtwarza baśń o Jasiu i Małgosi.

Jak na dobrze znanym ekranie telewizora, zbiegłe dzieci kanclerza oglądają zamierzchłe początki swej historii, czarno-biały obraz z czasów filmu niemego. Zgodnie z wersją Grimmów biedni rodzice, wikliniarze czy miotlarze, kilkakrotnie próbują pozbyć się głodujących dzieci. Domek z Piernika zbudowany jest z piernikowego ciasta. Na koniec Jaś i Małgosia, którzy wszelako podobni są do zbiegłych kanclerskich dzieci (a zarazem mają przypominać naszemu panu Matzerathowi Störtebekera i Tullę Pokriefke), wpychają Czarownicę do pieca...

Szczurzyca, która mi się śni, śmiała się, jakby szczerom dane było śmiać się, drwiąco lub serdecznie, gromko albo dobrodusznie. Taktak, powiedziała śmiejąc się, oto jak się kończą wszystkie wasze historie, nie tylko baśnie. Ciach do pieca i koniec! Od dawien dawna wasze spekulacje zdążyły ku temu rozwiązaniu. Nisko przez nas cenione zełgane historie dla was były prawdziwe i poważne. Nie powinnyśmy były być zaskoczone czy zgoła rozczarowane tym, że ludzka farsa skończyła się za bardzo banalnie. Śmiejemy się zatem – jak to się mówiło za czasów człowieczych? – z ulgą!

Nazbyt speszony teraz dopiero zrozumiałem, że jej śmiech odnosił się do naszego końca, nad którym, śmiejąc się, jakoby ubolewała: Uważamy oczywiście za straszne, żeście się tak zawinęli. Wasza kompletna wysiadka wprawia nas w zakłopotanie. Wciąż jeszcze nie możemy pojąć waszej zguby, tej nadto ludzkiej dramaturgii: Otworzyć piec, wrzucić Czarownicę, zamknąć drzwiczki, Czarownica martwa. Kurtyna, koniec przedstawienia. To nie może być prawda! mówiłyśmy sobie. Jeszcze przedwczoraj mówiło się z wielkimi nadziejami o wychowaniu rodzaju ludzkiego, miało się udzielać nowych lekcji, wprowadzić zasadę sprawiedliwszych ocen, człowieka ulepszyć do gruntu, a dzisiaj, dokładnie mówiąc: od wczoraj jest koniec szkoły. Okropne! wołamy. Nie do wyobrażenia. Wiele nie odrobionych lekcji. Nieuzyskanie promocji. Żal tej mądrze pomyślanej, nastawianej na coraz to nowe cele edukacyjne i ostatecznie jednak nie prowadzącej do niczego pedagogiki; żal też mnóstwa nauczycieli; tylko twierdzenie, że to rzekomo my spowodowałyśmy wasz koniec, zamknęłyśmy waszą szkołę, skreśliłyśmy wasze programy nauczania i nauczycielskie etaty, wcale nie jest zabawne, jest śmieszne tylko jako ostatni ze wszystkich ludzki dowcip.

Szczurzyca powściągnęła drwinę. Gorzki na koniec śmiech zastąpiła rzeczowością: Naturalnie rozumiemy, że w obu obozach – jak to zawsze było w ludzkim zwyczaju – postawiono od razu kwestię winy, kiedy początkowo doszło do wymiany ciosów tylko na europejskim obszarze średniego zasięgu. Jako że to brzemiennie w skutki nieporozumienie obie strony każdorazowo

poczytywały jednoznacznie za zamiar drugiej strony, jako że dalej oba systemy bezpieczeństwa wykluczały nie zamierzone nieporozumienia, tam, gdzie była jeszcze publiczność, przez pół dnia powtarzano publicznie: To tamci zaczęli. Jeśli pominąć ozdobniki, to obwinienia obu supermocarstw brzmiały identycznie; do takiego zbliżenia i upodobnienia się doszło przed końcem. Ale potem puścili w obieg ów dowcip, który nas rozśmieszył.

Posłuchaj tego, bratku, zawołała szcurzyca: Kiedy nie można już było odwołać pierwszego i drugiego uderzenia, rozpoznać granic, wykryć wroga i usłyszeć choćby szczątkowego znaku życia, kiedy szacowna, poczciwa, stara Europa uspokoiła się na dobre, w owym rozległym centrum komputerowym zachodniego supermocarstwa, które było zaprogramowane na globalny finał i z tego względu miało kształt amfiteatru, znaleziono zdumiewające obce ciała, nie do przewidzenia, nie do pomyślenia: najpierw pojedyncze, potem coraz bardziej i bardziej liczne cząsteczki wielkości paznokcia u małego palca, zidentyfikowane jako gówno, łajno, kał, na koniec szcurze bobki, bez przedstawienia przekonujących dowodów: szcurze bobki.

Szcurzyca chichotała. Te słowa nastrajały ją chichotliwie. Powtarzała je różnie akcentując, mówiła szcurzyzną o kaporesz rottamasz i zabawiała się gierkami słownymi, odmieniając niedorzecznie fatalne znalezisko: kurze szczotki, tchórze kropki, murze stopki i tak dalej. W końcu, nawiedzana raz po raz przez ataki śmiechu, przypomniała mi czasy biblijne, kiedy to ku zaskoczeniu Noego już raz szcurze bobki... Na dłoni Boga! zawołała i powróciła do rzeczowego tonu dopiero wówczas, kiedy ja podałem w wątpliwość bobkowe znalezisko i rzuciłem słowo: bajeczki. To są bajeczki dla grzecznych dzieci!

Do rzeczy! powiedziała szcurzyca: w trakcie kontynuowania wymiany ciosów i rozciągnięcia jej na całą Europę skontaktowano się telefonicznie ze strategicznym centrum komputerowym wschodniego supermocarstwa, nawiasem mówiąc bez zakłóceń, bo w interesie obu supermocarstw leżała zawsze możliwość rozmawiania ze sobą przez telefon kryzysowy do samego

końca. Usłyszano, że i tam w pierwszej strefie bezpieczeństwa zostało znalezione zwierzęce łajno, prawdopodobnie szczurze bobki. W każdym razie to za sprawą zwierząt doszło do uruchomienia programu „Pokój między Narodami”. Wszystko przebiega zgodnie z przyjętymi z góry założeniami i nie sposób jest uwzględnić protestu choćby najwyższych czynników.

Bądź co bądź, powiedziała szczurzyca, rozmawiano jeszcze chwilę, notabene nadzwyczaj spokojnie. Otwarcie jak nigdy przedtem supermocarstwa przekazywały przez telefon kryzysowy współrzędne obcych obiektów. Porównywały dane i były, co zdumiało obie strony, jednomyślne. Ich wielkie szychy, jak nazywałyśmy przywódców obu stron, dwaj starsi panowie, którzy dotychczas niewiele mieli sobie do powiedzenia, a jeśli już, to w niedzielnych przemówieniach same złe rzeczy, nawiązawszy bezpośredni kontakt, próbowali rozmawiać. To się powiodło po początkowym chrząkaniu. Obaj starcy ubolewali, że nie udało się im wcześniej znaleźć okazji do rozmowy: trudności z uzgodnieniem terminu. Wdali się w pogawędkę, wypytywali się nawzajem o fizyczne dolegliwości, uznali się za sympatycznych i dopiero potem wymienili hiobowe wieści o eskalujących drugich i trzecich uderzeniach swych zabezpieczających pokój systemów, których przyczyny obaj nazwali najpierw niewytłumaczalnymi, potem niewątpliwymi; zbyt jednoznaczne były i tu, i tam dowody.

Szczurzyca zwlekała z kontynuowaniem relacji. Kiedy odezwała się ponownie, w jej głosie pobrzmiwało ubolewanie. Powiedziała: Z bólem musimy stwierdzić, że oba supermocarstwa zbyt szybko doszły do porozumienia, ledwie stanęła kwestia winy. Po alarmującym meldunku: Szczury w komputerze! oznajmiono, że ma się przeciwko sobie trzecią, diabelską potęgę. Obie pokojowe potęgi padły ofiarą, trzeba to stwierdzić, międzynarodowego spisku. Za wcześnie jeszcze, by mówić o mocodawcach, ale sprzysiężenie szczurów na skalę światową zmierza od dawna do zniszczenia ludzkości. Ten plan ma swoje początki w odległej przeszłości: to, czego próbowano ponad sześćset lat temu, rozmyślnie przywlekając dżumę, i

co jednak po niezliczonych ludzkich ofiarach spełzło w końcu na niczym, ma zostać osiągnięte obecnie środkami nuklearnymi. Wszystko to odbywa się zgodnie z logiką, która niestety nie różni się zbyt od ludzkiej. Najwidoczniej ów szurzy plan spełnia się z przemyślaną do ostatniego szczegółu precyzją. To ostateczne rozwiązanie zostało nawet zuchwale zapowiedziane publicznie. Za późno przypominają się tamte, aż nadto wyraźne szurze demonstracje, które nie tak dawno temu nawiedziły wszystkie metropolie. Teraz też wyjaśnia się nagłe zniknięcie rozplenionego ponad wszelką miarę gatunku. Ach, gdybyż umiało się w porę wytłumaczyć te oznaki! Ach, gdybyż zaalarmowały one ludzi na całym świecie!

Taktak, powiedziała szurzyca, gdyby babcia miała wąsy. Utrzymywała nadal, iż supermocarstwa do samego końca twierdziły, że to nie ta czy inna strona nacisnęła guzik, ale że programy „Pokój czynić” i „Pokój między Narodami” zostały uruchomione według szurzych wskazówek, i to, mimo różnicy czasu, jednocześnie, jak się dzisiaj wie. Wszystko to dzieje się nieodwołalnie, ponieważ ostateczną władzę rozkazodawczą powierzono wielkim komputerom. Toteż należy się liczyć z następnym stopniem zabezpieczania pokoju: z użyciem rakiet międzykontynentalnych. Pomkną one nieuchronnie ku sobie. Niech Bóg czy ktokolwiek inny ma w swej opiece nasz i wasz kraj! wołali do siebie przywódcy obu państw.

Pobożne, choć spóźnione życzenie, powiedziała szurzyca. Ale skoro tylko oba supermocarstwa porozumiały się w sprawie przypisania winy, zaczęły pomstować na trzecią potęgę: Przeklęte szury! Ta hałastr! To tałatajstwo! To niewdzięczne nasienie, co tysiącami lat obżerało człowieka i tuczyło się na ludzkiej biedzie. Jedna trzecia człowieczej produkcji kukurydzy, zboża na chleb, ryżu i prosa szła na rachunek szurzej żarłoczności. Zbiory bawełny były o połowę mniejsze. I tak wygląda wdzięczność!

Lecz nie ukrywano też, ciągnęła szurzyca, własnych uchybień. Obaj przywódcy przyznali, że zaniedbano przedsięwzięcie zapobiegawczych

kroków w sterowanych komputerowo systemach bezpieczeństwa. Trzeba było zatruć milion i więcej chipów i clipów. Dodatkowo wskazane było wyposażenie wszystkich wielkich komputerów w ultradźwięki, w denerwujący szurze ucho ton ciągły. Nic takiego się nie stało. Kto by tam o czymś takim myślał! zawołała wielka szycha ze Wschodu, podczas gdy starcowi z Zachodu, obdarzonemu ludowym poczuciem humoru, spodobało się opowiadanie kawałów: Ten pan zna, panie sekretarzu generalny? Rosjanin, Niemiec i Amerykanin trafiają do nieba...

Ale potem obaj znów wyrzekali jednogłośnie: wina jednoznacznie spada na szczury; aczkolwiek nie można wykluczyć, że pewne kręgi, no cóż, pewne osoby określonego pochodzenia, mówiąc otwarcie: osoby wyznania mojżeszowego, ale i fanatyczni syjoniści, jednym słowem Żydzi, powiązani międzynarodowym spiskiem Żydzi mogliby mieć pewien interes w rozwinięciu owego diabelskiego planu, według którego przez hodowanie i specjalny trening szczególnie inteligentnych szczurów, a jak od tysięcy lat wiadomo, są one podobnie przebiegłe jak Żydzi...

Znów szurzyca zaśmiała się po swojemu, ale już nie głośno, bardziej do środka. Śmiech wstrząsał nią. Wykrztusiła parę strzępów szurzyzny – Fuce iwri! Goremesz ippusz! – aby potem z nagromadzenia goryczy spoważnieć: No cóż, my to już znamy. Winni są Żydzi i szczury, szczury i Żydzi. Jak wówczas z pomocą dżumy, tak ostatnio metodą nuklearną. Ostatecznie to był przecież w dużej mierze ich wynalazek. Chcieli się zemścić. Zawsze to mieli na celu, tylko to jedno. Tak spełnia się pragnienie Syjonu. Jednoznacznie: to wina tego podwójnego tałatajstwa, Żydów i szczurów!

Tak pomstowały wasze szychy, mówiła szurzyca. A kiedy obaj starcy nie pomstowali, to obopólnie ubolewali nad swoim losem jako przywódców: Jak to głupio, że coś takiego mogło się zdarzyć. Ostatecznie w toku trwających jeszcze do wczoraj rokowań zbliżaliśmy się, zbliżaliśmy się coraz ufniej.

Ale, usłyszałem we śnie swoje wołanie, to przecież jest absurdalne!



Tak, odparła szcurzyca, to było absurdalne.

Jakże mogą szczury? powątpiewałem.

A kto mówi, zawołała, że my albo Żydzi?

Więc to wcale nie szczury?

My byłybyśmy do tego w zupełności zdolne.

Więc to my, ludzie, wbrew wszelkim deklarowanym zamiarom doprowadziliśmy do końca...

Poszło zgodnie z przewidywaniami.

I nikt nie chciał przerwać tego kończenia?

Nie rozśmieszaj mnie! odrzekła szcurzyca. Zwinęła się w kłębek, jakby chciała spać.

Hej, szcurze! zawołałem. Powiedz coś, zrób coś! To nie może być twoje ostatnie słowo!

Na to szcurzyca: No dobra. Anegdota na zakończenie. Kiedy sędziwi przywódcy obu supermocarstw musieli przyglądać się w swych finałowych teatrach, jak tysiąc i więcej ich rakiet między kontynentalnych, noszących miana Twórcy Pokoju, Przyjaciela Ludów i podobne, zbliżało się do wyznaczonych celów, a więc i do strategicznych centrów bezpieczeństwa, kilkakrotnie, wspierani przez tłumaczy, prosili nawzajem o wybaczenie: gest nadzwyczaj ludzki.

Mój gniew, złoczyńca z premedytacją,  
nie może znaleźć ujścia,  
na przeszkodzie stoi mu rozum, ten dla dalekowzroczności tylko  
przepuszczalny płot.

Tak, z dystansu i nasycony odleżałym gniewem,  
który dojrzewał stężony, jak dojrzewają sery, widzę,  
jak nadzwyczaj rozsądnie  
przygotowują koniec: z dbałością o detal.

Niewzruszeni archaniołowie mieli odpowiednie dane.  
O nich rozbija się nasz mały strach, który chciałby  
żyć, żyć za wszelką cenę, jakby  
życie było wartością samą w sobie.

Co zrobić z gniewem, który nie może znaleźć ujścia?  
Rozsiać go po listach, których skutkiem są  
listy, tylko listy, a w nich  
głębokie ubolewanie nad sytuacją, jaka jest?

A może go oswoić,  
wytresować na kruche przedmioty?  
Albo pozwolić mu stwardnieć na kamień,  
który pozostanie po końcu?

Nie ogrodzony płotem rozumu  
nareszcie leżałyby sobie swobodnie  
i dawałyby skamieniałe świadectwo, mój gniew,  
który nie mógł znaleźć ujścia.

Jako obserwator kosmosu wciśnięty w kapsułę kosmiczną. Co mi nie daje  
wysiąść: jeśli nie nad Szwecją, to nad Zatoką Bengalską? Czemu sny,  
przeciwko którym przemawia wszystko, są jednak zniewalające? I czyja  
logika obowiązuje we śnie?

Ja, pomyłka w obsadzie. Nie dali mi nawet podręcznika dla kosmonautów.  
Goły pod nocną koszulą, przypasany. Nie obeznany z przestrzenią kosmiczną  
zdołałem poza głupim Księżycem wypatrzyć Drogę Mleczną, Wielki Wóz i  
na los szczęścia zwodniczą gwiazdę imieniem Wenus. Gdzie, do jasnej i  
niespodziewanej, grozi Saturn? Co prawda znam astrologiczne powiedzonka,  
wiem, jaki bezkrytyczny wobec siebie jest Strzelec i jaki trudny Skorpion  
jako ascendent dla Wagi, ale nie mam pojęcia, które to nade mną są gwiazdy  
stałe, które planety. Niewydarzeniec w kosmosie, musiałem wszakże być  
świadkiem.

Kiepsko to wyglądało, nawet odrobinę kiepsziej, niż można to było  
zobaczyć w filmach, które na krótko przed końcem znajdowały spragnioną  
końca publiczność i na całym świecie okazywały się kasowymi przebojami.  
Przypominałem sobie napięcie przy odliczaniu i otwierające się uroczyście  
silosy. Były to umiejętnie robione filmy, każdy stopień strachu znajdował  
naturalne miejsce. Wypełniano nową miarę, tyle a tyle megatrupów. Toteż  
wszystko, co widziałem z mojej kapsuły kosmicznej, wydawało mi się

znajome, ba, swojskie.

Nie ma więc czego poświadczać. Nie trzeba opisywać okropności. Nie wydarzyło się nic niewyobrażalnego. Potwierdzają się najgorsze przewidywania. Wystarczy, jeśli powiem: Przez zwrócony ku Ziemi przezroczysty owal mojej kapsuły kosmicznej wszędzie, szczególnie w Europie, nie, bez wyjątku, wyglądało kiepsko.

Mimo to pozostałem głupcem, jakim musiałem być, i wołałem: Ziemi! Ziemi, przybywam! Odpowiedz, Ziemi! Nie lękając się powtórzeń, wołam moją błękitną, teraz poczerniałą planetę.

Z początku dochodziło jeszcze trochę siczki słownej, która bądź co bądź brzmiała znajomo, gdyż podobnie zmiksowaną paplaninę słyszałem w tych technicznie doskonałych filmach katastroficznych – skróty, szyfry, przekleństwa, liczby kodowe, bo ja wiem co – potem mój głos pozostał sam, nabierając przy tym jakiegoś niesamowitego poddźwięku. Co prawda próbowałem przygadać sobie towarzystwo – I co pan na to powie, Oskarze? Cieszy się pan na jazdę do Polski i odwiedziny u babki? – albo podejmowałem wysiłki, żeby ratować las w niemym filmie i żeby od czasu do czasu krzyknąć mojej Damroce, iż ma zapuścić silnik statku badawczego; ale na ekranie pozostawała tylko ona ona ona: tym razem natarczywa, wściekła, z nastroszoną sierścią, każdy włos wąsów czujny.

Sprzeciwy – Co to ma być, szcurzyco? Ja się nie nadaję do podróżowania w kosmosie! – puszczała mimo uszu. To, co na początku snu, o ile ten sen mógł się zaczynać, kończyć, było dla niej śmieszne, szcurze bobki wielkości paznokcia u małego palca, które leżały pokruszone koło wielkich komputerów, teraz podsycaly jej wściekłość: Typowe! My to znamy. Jak to wygodnie zwalić na nas ludzką nawalankę. My przy każdej okazji musiałyśmy być kozłem ofiarnym. Czy dawały im się we znaki dżuma, tyfus, cholera, czy w związku z klęskami głodu przychodziły im do głowy tylko podwyżki cen, stale mówili: Szczury są naszym nieszczęściem, a nieraz albo równocześnie: Żydzi są naszym nieszczęściem. Takiej dawki spiętrzonego

nieszczęścia nie chcieli znosić. Toteż próbowali ulżyć sobie. W programie było wytępienie. Spośród wszystkich narodów naród Niemców czuł się najbardziej powołany do odciążania ludzkości i określania, co jest szcurem, a także tępienia jeśli nie nas, to Żydów. Jak co do czego przyszło, byliśmy pod i między barakami, w Sobiborze, Treblince, Oświęcimiu. Nie usiłując zliczyć szcurów obozowych, od tej pory wiemy jednak, jak gruntownie człowiek podobnych sobie czyni liczbami, które można skreślić, po prostu przekreślić. Nazywało się to anulowaniem. Prowadzono księgę ubytków. Jakżeby mieli oszczędzać nas, które byliśmy, wraz z Żydami, ich najtańszą wymówką. Od czasów Noego: nie mogli inaczej. Dlatego do samego końca: To szczury! One to, one tamto! Jednoznacznie szczury, szlag by trafił! I to we wszystkich systemach komputerowych, u Ruskich, u Amerykańców też. Póki nie wykorkowali, dziecinnie zwalali winę na nas.

Nigdy nie widziałem, żeby szcurzyca, która mi się śni, przeskakiwała jak szalona z jednego ujęcia w drugie: tu przyczajona, tam kąśliwie wyprostowana, teraz jakby w wirze opętańczego tańca. Dlaczego nie śmiała się jak przedtem? Dlaczego na mnie, swojej osełce, nie ostrzyła dowcipu? Śmieszniejszy niż ja w tej kapsule kosmicznej nie mógł być dla niej nikt. Szcurzyco, zawołałem, śmieję się z tego!

Była nadal zgorzkniała, ponownie się tłumaczyła, chciała być niewinna, uwolniona od zarzutów. Domagała się poniewczasie skrupulatnego przeprowadzenia dowodu. Jak gdybym mógł cokolwiek spowodować albo czemukolwiek zapobiec, pytała mnie niby ostatnią instancję: Dlaczego w obu centralach komputerowych znalezione łajno z miejsca i niejako na oślep nazwano szcurzymi bobkami? Dlaczego nie zarządzono badania ekskrementów? Czemu o uruchomienie finałowych programów nie posądzono innych gryzoni? Choćby waszych milutkich chomików syryjskich? A czy znalezione bobki nie mogły być, co nasuwa się samo przez się, łajnem mysim? Dlaczego to musiałyśmy być my, raz za razem my?

Udałem oburzenie, mówiłem o przekraczającym granice bloków

niedbalstwie, nazwałem to skandalem, że żaden Amerykaniec, żaden Ruski nie wziął łajna pod lupę, w duchu jednak myślałem: Przecież to jasne, że tylko szczury. Któż inny, jeśli nie szczury, mógłby tak konsekwentnie...

Słyszałem ją już tylko półgłębko, jakby wściekłość jej przeszła: Raz po raz o rezultacie naszej rzekomej kreciej roboty trąbiono na cały świat, dopóki ten miał jeszcze uszy: Nie dająca się skorygować aż po ostatni stopień realizacja programów „Pokój czynić” i „Pokój między Narodami” została wywołana przez siły pozostające pod obcym wpływem. Koniec komunikatu!

Już nie miotając się po ekranie, lecz spoczywając i nawet wąsów nie strosząc, szczurzyca powiedziała: My wiemy, że to były myszy. Nie z własnej inicjatywy – na to myszy są za głupie – działały według ludzkiego planu. Z pomocą wyćwiczonych myszy miały zostać unieruchomione komputery dowodzenia supermocarstw, ażeby każda ze stron mogła sprowadzić drugą do zera. Chytry plan.

To były myszy laboratoryjne, białe z czerwonymi oczami. Wiemy to od naszych szczurów laboratoryjnych, które wprawdzie są też nie najmądrzejsze, ale bądź co bądź godne zaufania. Po długoletnich próbach udało się wyhodować mioty, które były wytrenowane na zaprogramowaną pracę i działały tak, jakby je karmiono krzemem. Naturalnie genotechnicy dołożyli swoją cegiełkę. W każdym razie organa bezpieczeństwa obu supermocarstw potrafiły równocześnie, jak gdyby reagując na ten sam impuls, przesznuć te specjalne myszy do wroga.

Jak można się było przekonać, odwalono kawał dobrej roboty; aczkolwiek trzeba tę pochwałę ograniczyć, gdyż dotyczy ona tylko umieszczenia zaprogramowanych myszy w newralgicznych miejscach. Należy chyba powiedzieć: źle zaprogramowanych, dorzuciła z namysłem szczurzyca, bo systemy komputerowe nie zostały unieruchomione, przeciwnie, myszy z właściwą sobie głupotą w obu centrach równocześnie uruchomiły odliczanie czy też, tak to nazwijmy, Wielkie Bum-Bum.

Ależ, szczurzyco, zawołałem, przecież to jest właściwie komiczne! Do

pewnego stopnia, odparła, póki myśli się tylko o głupich myszkach.

Uważam, powiedziałem, że stwierdzenie: myszy w komputerze! jest dużo bardziej przekonujące i ładniej też brzmi niż złośliwa insynuacja: szczury!

Taktak, zgodziła się ze mną, znów pogodna, choć zadumana i przyciszona: W gruncie rzeczy ten finałowy kawał powinien nas być ubawić. Czy przy całym tragizmie nie trafia do przekonania, że to myszy, miłe myszki laboratoryjne, zgotowały koniec dumnemu i wspaniałemu, wiele mogącemu rodzajowi ludzkiemu? Pewnie, że to wszystko brzmi frywolnie. Nikt, kto ma o sobie wysokie mniemanie, nie chciałby w tak banalny sposób być zrobiony w konia.

Wydało mi się, że coś szcurzycę nurtuje.

Mówże! zawołałem.

Czegoś tu brakuje.

Tak, przyznałem, perspektywy!

Powiedziała: Cała sprawa robi wrażenie bezmyślnego przeoczenia, charakterystycznej dla człowieka fuszerki.

Potwierdziłem: Żałosny kiks.

Dlatego uważam, ciągnęła szcurzyca, że pierwsze podejrzenie, które opierało się na szcurzych bobkach i logicznie wywołało okrzyk: szczury w komputerze! nie było takie zupełnie fałszywe; bo właściwie to my, nie głupie myszki, powinniśmy były przystąpić do działania. Powodów, powiedziała, zawsze miałyśmy dosyć.

Aby zaoszczędzić na opłatach portowych w Stege i Klintholm Havn, „Nowa Ilsebill” kotwiczony w niedzielę na wysokości Møns Klint, a w poniedziałek ma wziąć kurs na Gotlandię. Udzieliwszy mi ostatnich instrukcji w sprawie Malskata nasz pan Matzerath postanawia w środę odwiedzić jeszcze aukcję monet, w czwartek ruszyć w drogę, w piątek przemknąć przez Polskę i w sobotę przed urodzinami Anny Koljaickowej być na Kaszubach. Ponieważ ja tak chcę, jego wyjazd przesunie się na piątek; ale tamto miało zdarzyć się w niedzielę.

Niedziele się nadają, powiedziała szcurzyca, która mi się śni. Niedziele miały w sobie zalążek katastrofy. Już ten siódmy dzień sknoconego Stworzenia był od początku przewidziany na to, żeby sprawie ukręcić łeb. Dopóki ludzie istnieli, w każdą niedzielę – można też powiedzieć: szabas albo jeszcze coś innego – uznawano miniony tydzień za niebyły i nieważny.

Krótko mówiąc! zawołała, jak zwykle, kiedy moje wątpliwości – to zrzęczenie! – hamowały potok jej wymowy, krótko mówiąc: Przy całej nieprzepuszczalności systemów kontrolnych w obu bunkrach centralnych panował prawdziwie niedzielny nastrój. Na wszystkich monitorach i szerokopłaszczyznowo obejmujących całe kontynenty ekranach pojawiał się szczególny blask. Królowała pewna, nazwijmy ją globalną, przedurlopowa atmosfera. Chociaż w wielkich salach nie było żadnej muchy, brzęczało, jak brzęczy tylko, owa właściwa niedzielom nuda. Kto znajdował upodobanie w ludzkich czynach, mógł mniemać, że jest jak siódmego dnia: wszystko zrobione dobrze, choć w szczegółach wymagające poprawienia.

Naturalnie poza bunkrem centralnym nie brakowało defetystów i czarnowidzów, którzy również w niedzielę szukali dziury w całym; jednakże można było być zadowolonym z siebie. Co prawda jedna zbrojna potęga stała naprzeciw drugiej zbrojnej potęgi, ale jedna zabezpieczyła się przed drugą: przez starannie wystopniowany strach, z pomocą nadzorującego siebie nadzoru i przez przeniesienie odpowiedzialności na chipy i clipy, tak że ludzka fuszerka, ta od czasów Noego udowodniona skłonność do sprzecznego z regułami postępowania, została pozbawiona swobody decyzji; ów tradycyjny czynnik ryzyka, ujmujący i spontaniczny, a priori na opak działający człowiek, pełnił służbę już tylko w drugorzędnej roli: nie był już odpowiedzialny.

Widziałyśmy, jak był wyzbyty obciążeń, nieskrępowany, w wyższym sensie wolny. Dzięki temu stać go było na ryzyko puszczenia w obieg jakiegoś żartu, z monitora na monitor. Co prawda bez wyraźnego pozwolenia, ale przy milczącej wyrozumiałości mógł podrzucać nedorzeczne

słowa albo wprowadzać wyniki baseballowe w zakres niedzielny jednego supermocarstwa, rezultaty piłkarskiego weekendu w zakres drugiego supermocarstwa oraz dowcipnie je komentować, póki na wielkich ekranach nic się nie ruszało – a nie ruszało się nic.

O, piękna zgodności! Reprezentowało się najnowszy stan wiedzy i okazywało dziecinną radość, że jest tak rozległa. Czas światowy i czas miejscowy pozwalały na porównania, według których niedziela tutaj lśniła porannie, tam chyliła się już ku końcowi. Rutynowe przepytywania czyniły wszystko jeszcze bezpieczniejszym. Poza tym wiedziało się, że odpowiedzialność spoczywa gdzie indziej. Odbywało się drugorzędną służbę i nie można było popełnić błędu.

Czas światowy i miejscowy upłynął. Drużyny Dynama Kijów i Los Angeles Dodgers wygrały. Nieznaczne, bynajmniej nie sensacyjne zmiany w tabelach. Pozostałe wiadomości przeważnie w pogodnej tonacji. Nigdzie trzęsienia ziemi ani gwałtownej powodzi. Nie było doniesień o uprowadzeniu samolotu ani nawet o puczu. Jedynie nie zlecone żadnemu z instrumentów kontrolnych obce szmery w centralnych komputerach były nieprzewidziane; po raczej przypadkowym znalezieniu bobków trzeba było stwierdzić – za późno! – minimalny szelest pochodzący z niezależnego źródła.

My nie znamy niedziel, mówiła szcurzy ca. Ale wiedziałyśmy, że rodzaj ludzki na obszarach podległych supermocarstwom pozwalał sobie na niedziele i że w niedziele jak świat długi i szeroki demonstrował ospałość, ale i w głębi ducha podrażnienie. Ludzie zawsze wydawali nam się zdolni do wszystkiego, co tylko możliwe, i zarazem do odwrotności tego wszystkiego. Takimi ich znałyśmy: nie skoncentrowani, bo pogrążeni w myślach, rozpamiętujący pragnienia lub straty, odczuwający brak miłości, szukający zemsty, niezdecydowani między złem a dobrem.

Stwierdziłyśmy, że człowiek z natury rozszczepiony rozpadał się szczególnie w niedziele na wiele części. Istniał już tylko w przenośni. Zagubiony w natłoku stanów ducha. Przy całej gorliwości, wykazywanej na



służbie, kruszył się. W dodatku wyglądało na to, że społeczność człowieka zalewają fale bezbrzeżnego smętku, że podoba jej się rzucanie pożegnalnych spojrzeń rzeczom, które pokochała; żegnano się także z tym, co będąc nieuchwytnie, przybrało postać pojęć, na przykład z Bogiem, wolnością czy wyobrażeniem postępu, rozumu. Toteż i w centrach bezpieczeństwa czuło się wokół każdego aparatu ów smętny nastrój.

Dlatego dzień Pana wydał się nam stosowny. Dlatego stało się to w niedzielę u progu lata. W czerwcu, w pełni sportowego sezonu. Wykorzystałyśmy, jak zwykle, kanalizację, dostałyśmy się przez umieszczone w fundamentach wielkich bunkrów kanały zasilania, zaatakowałyśmy komputery centralne od dołu, nie miałyśmy kłopotu z lekkim metalem, wiedziałyśmy od pierwszego wejrzenia, co, gdzie i z kim, pomanipulowałyśmy ślicznymi drobiażdżkami, w decydującym miejscu wprowadziłyśmy nasz kod, który natychmiast zainfekował wszystkie podłączone systemy bezpieczeństwa, dla niepoznaki pozostawiłyśmy jednak zwyczajowe programy kontrolne i w obu dyspozytorniach, skoro tylko tutaj jak i tam nasze zakodowane hasło „Noe” wyzwoliło wszystkie impulsy, z uwzględnieniem różnicy czasu przystąpiłyśmy równocześnie do odliczania.

Myśmy, ciągnęła szcurzyca, wprawiły tylko w ruch to, co człowiek przeznaczył dla siebie: wystarczający zapas, by mówiąc słowami jego mściwego Boga, wytracić wszelkie ciało, w którym jest duch żywota. I to raz za razem, jeszcze i jeszcze. Tak gruntownie chcieli ludzie wytracić siebie i całe pozostałe stworzenie. Szueles por erresz! Fajerant na ziemi! zawołała.

Jako że przestawiłyśmy zastany program nieomal bezgłośnie, a ciągnąca się niedziela i tak nie dopuszczała do wytężenia uwagi, pozostałyśmy nie rozpoznane, wobec czego konieczne stało się dostarczenie wskazówek. Opuściłyśmy aparaturę i rozmieściłyśmy nasze wizytówki. Ryzykowne przedsięwzięcie, które powiodło się tylko przypadkiem. Teraz dopiero znalezione wkrótce obce ciała pozwoliły na przypuszczenia, potem na zrozumienie: Koniec wszelkich niedziel.

Odtąd mówimy między sobą o Wielkim Bum-Bum. Nienie! zawołała szcurzyca. Nie żałujemy niczego. Tak musiało być. Za często ostrzegaliśmy ich na próżno. Nasze wędrówki w biały dzień były wystarczająco wyraźne. A jednak nie stało się nic, co mogłoby zmniejszyć nasz niepokój. Niewarte bodaj wzmianki lub wręcz śmieszne były owe historyczne reakcje, o których doniesienia krążyły na krótko przed ostatnią ze wszystkich niedziel. Ponoć nad zachodnim Bałtykiem widziano luźne kłęby chmur obrazowego kształtu. To nie pojedyncze chmury ciągnęły z północnego zachodu na południowy wschód, to nie kończący się ciąg stu tysięcy i więcej małych chmur zasnuł niebo nad południową Szwecją, potem nad Gotlandią: biegnące chmuroszczury, chmurowato biegnące stada szcurów, nie, nie baranki, jednoznacznie chmury szarego, szcurzego kształtu, rozciągnięte, chybkie, długie ogony niczym dywizy między jednym a drugim szcurem. Wszystko to, ten przerażający znak na niebie, było widziane z wysp duńskich, ze statków i z brzegów Morza Bałtyckiego, fotografowane, filmowane i objaśniane jako Boska przestroga. Nawet ateści wołali: Typowa Apokalipsa!

Nie wierz w to, bratku. Co prawda wiele rzeczy było dla nas możliwych, na ostatek skasowanie niedzielnego spokoju przez człowiecze programy „Pokój czynić” i „Pokój między Narodami”, ale żeby wyprodukować obrazy z chmur, wznieść się w przestworza jako znak na niebie, tego nie potrafiłyśmy.

Wolnego, szcurzyco! Jesteś jeszcze ty w swojej biało polakierowanej klatce na podściółce z trocin, którą jutro wymienię, żebyś ty, moja podrastająca gwiazdkowa szcurzyca, również w przyszłości dobrze się miała; i jestem ja, przysiadły z papierzyskami obok ciebie. Nasze plany molestują kalendarz. Statek powinien punktualnie zawinąć do Visby. Pewna jest podróż punktów do Hameln. Naszemu panu Matzerathowi, skoro tylko z ważną wizą wyruszy do Polski, będziemy życzyć szczęśliwej drogi, przedtem jednak poprosimy go, żeby wymienił nam dalsze prezenty dla babki, którymi załadowany ma być bagażnik jego mercedesa.

Co prawda widzimy go, jak żegna się ze swą kolekcją złotych monet, którą przed rozpoczęciem podróży przeniesie się do bankowego trezoru – widzimy, jak waży mansfeldzkie podwójne dukaty, pół luidora, bitego w Prusach wilhelmdora, rublówkę z czasów Mikołaja II, garść saskich i nassauieńskich talarów, i jest to wzruszający widok, jak ciężko przychodzi mu rozstać się ze złotem, bo kilka sztuk układa w szufladkach szkatułki na aksamicie, choćby bawarskiego maksdora, cennego gdańskiego dukata Zygmunta Augusta z roku 1555, parę dekadrachm z Tracji i ową świeżo wybitą chińską dwudziestoczerokaratową złotą monetę, która przedstawia niedźwiedzia pandę w najkosztowniejszej ucieczności – ale coś nam się zdaje, że on nie żegna się ze złotem ostatecznie, wie, już teraz wybiegając poza swój powrót, o zwiększonej wartości zgromadzonych skarbów, aczkolwiek cena złota dzień w dzień spada.

A kiedy dalsze plony swych numizmatycznych podróży wkłada do szkatułki, która ma pojechać do Polski, jednouncjowego krugerranda z podobizną afrykańskiej antylopy skoczka, szwajcarskie vreneli różnego ciężaru, talara wybitego na śmierć księcia Hohenlohe i tak lśniącego, jakby dopiero co wyszedł z mennicy, i dwie pamiątkowe monety ze Związku Radzieckiego, z których jedna ukazuje tancerkę Ułanową, druga śpiewaka Szalapina, zadajemy sobie pytanie, co ma znaczyć to pożegnanie z jednej, to wybieranie z drugiej strony? Czy on nie może rozstać się ze złotem? Czy to Polska ma być złotem uszczęśliwiona? Teraz dokłada monety meksykańskie i na koniec panującego w świecie, złotego dolara amerykańskiego.

Cokolwiek planuje nasz pan Matzerath, ma na oku przyszłość i wspina się po linie kolejnych terminów; jak i ja mam zaplanowane wszystko łącznie z wykrętami; albo idący swoim kursem statek; albo malarz Malskat, którego wówczas, ledwie wymalował katedrę w Szlezwiku według swego upodobania, dalsze zamówienia wciągnęły na służbę dojrzałego gotyku: od wiosny trzydziestego dziewiątego aż po wrzesień pomagał szpitalowi Świętego Ducha w Lubece dojść do znaczenia. Tego do dziś w hanzeatyckim

mieście marcepanu i procesu nie chce się zaakceptować. Prawdziwy gotyk! wołają wciąż jeszcze znawcy sztuki. Prawdziwy Malskat! mówi pewny swego pędzla i z czasem zgorzkniały malarz, który już dawno zaszył się na wyspie w Deepenmoor, gdzie dotrze tylko ten, kto zawoła: dawaj łódź!

Także w szpitalu Świętego Ducha, mówi w odpowiedzi na zapytania, malowałem do złudzenia prawdziwie, aż mnie wzięli do wojska; bo na kilka miesięcy przed powołaniem Malskata na wszystkich granicach Polski zaczęła się druga wojna światowa.

Pożegnać się musiał malarz z rdzawobrunatną farbą konturową, z drucianym drapakiem i woreczkiem pudru, z radosną samotnością na wysokich rusztowaniach północnoniemieckich świątyń, z przeciągiem i wiecznym letnim katarem, ale żołnierz Malskat nie przestawał żywić nadziei, że po wojnie stanie przed nim otworem ten czy ów kościół, a on jego prezbiterium, filary i ościeża okienne – będzie uszczęśliwiał swą gotycką rączką.

A my? My żywimy nie mniejszą nadzieję. Wciąż jeszcze moja gwiazdkowa szcurzyna i ja w naszym układzie, którego pauzy wypełnia trzeci program: Halo, jeszcze jesteśmy! Istniejemy szczegółowo skomentowani. Słyszymy, co się dzieje, odbywa, odsuwa. Dla nas nawet komunikaty o stanie wód są nowiną. Nie rezygnujemy z siebie i z lasu. Szalejemy na punkcie przyszłości, nawet jeśli ja, przyznaję, w głębszych pokładach jestem nastawiony na utratę; bo kiedy śniłem, że muszę się pożegnać ze wszystkimi rzeczami, śniłem też, że muszę się pożegnać z wszelkim ciałem, w którym jest duch żywota ...

Z nową, bieloną lub farbowaną, włóczką na pokładzie, którą kupiły w Stege pośród sklepów z wyprzedażą i wywieszek „Udsalg” w sklepie wełnianym ze stałymi cenami, ich statek kotwiczony niespełna o milę morską od Møns Klint, naprzeciwko chropowato stromego kredowego brzegu, który sterczy tak wysoko, że z jego zalesionych wierzchołków przy dobrej widoczności można dojrzeć poprzedzające wyspę Rugię wzniesienia wyspy Hiddensee. Zarzuciły

kotwicę w miejscu ważnym.

Damroka zwołuje wszystkie: od Dronningeskamlen i Dronningestolen po Storeklint przez Hytjedals Klint aż do Lilleklint recytuje duńskie nazwy. W porannym słońcu kredowy brzeg lśni blaskiem, od którego mętnieje zielone morze u jego stóp; kiedy zapada wieczór, brzeg groźnie mrocznieje. Dopiero co jeszcze ostro zarysowane rozpadliny wyzbywają się światłocienia. Błady masyw nieprzychylnie spogląda na morze, którego szarość upodobniła się do barwy ochronnej wschodnio-zachodnich okrętów.

– Dokładnie tutaj – mówi sterniczka – kobiety wówczas, kiedy jeszcze spodziewały się czy ja wiem czego, wypuściły ponoć turbota. – Ale nie woła go, nie chce go ani wabić: „Powiedz coś, turbocie!”, ani przeklinać: „Ty oszuście, kłamco, zasrańcu ty!”

Siedzą pod sterówką, przycupnięte po zawietrznej. Spoglądając na gładkie morze albo na spękane kredowe skały cztery z pięciu kobiet robią na drutach i mówią przy tym o sobie, jakby musiały pozbyć się resztek. Udsalg, wyprzedaj rozwlekłych skarg, z którymi zostały na koszu.

Również Stara, która nie robi na drutach, mówi o sobie, obierając ziemniaki, potem czyszcząc marchew, potem patrosząc śledzie; mlecz i ikrę wkłada z powrotem do środka sprawionych ryb. Są to smaczne śledzie bałtyckie, które – mniejsze od śledzi z Morza Północnego – coraz rzadziej pokazują się na rynku.

Kobiety mówią na zmianę, ale to, co mówią, obraca się wciąż wokół tej samej historii, w której chodzi o spławionych, znękanych, o twardych i znużonych, przebojowych, przebijanych, o kiedyś miłych, dziś spisanych na straty, o przeszłych mężczyzn. I o dzieci tych i owych mężczyzn, które co do jednego nie są już dziećmi, lecz próbują dorosłego życia; tak zasobne w lata są kobiety na pokładzie statku „Nowa Ilsebill”, nie tylko Stara, która swoich już nie liczy.

Trzy córki wymienia po imieniu sterniczka, każda z nich spłodzona przez innego ojca. Mówi: – No, teraz są już samodzielne i nie dają się wodzić na

pasku, jak ja raz za razem, co o wiele za długo myślałam i wmówiłam sobie tę bzdurę: można i we dwoje. Ale za każdym razem nie było można. Nic nie zostało z. Tylko dziewczyny, dla których ja wszystko, ale to wszystko, żeby nie dały się wziąć na lep, jak ja się dawałam w swojej głupocie, raz za razem.

Potem, wbrew całej gadaninie robiąc na drutach pulower na trzech mężczyzn, ojcom swych córek – jeden pił, drugi się łajdaczył, trzeci miał w głowie tylko karierę – przypisuje po połowie dobre i złe cechy: – Nie chcę się skarżyć. Ja też nie bardzo pozostawałam dłużna. Wszyscy trzej byli na swój sposób ujmujący, ale nie do życia. Po prostu za długo to trwało. I za każdym razem ja wychodziłam na głupią. Dopiero teraz mam to naprawdę z głowy.

Mechaniczka natomiast nie może w dalszym ciągu przestać się szamotać między dwoma mężczyznami, którzy obaj, jeden Izraelczyk, drugi Palestyńczyk, mieszkają w Jerozolimie i ani im w głowie stać się jednym. Ciągłe o tym mówi: – Fantastyczne. To byłaby bomba, gdyby z obu dało się zlepić jednego faceta. Wcale nie byli tacy z gruntu różni, jak siebie widzieli przez swoje słoneczne okulary. Mogliby być dobrymi kumplami, również w interesach, ze swoim bzikiem samochodowym, czemu nie wspólny warsztat: używane wozy i tak dalej. Ale zawsze musieli brać się za łby. A między nimi ja, głupia kura. Już nie wiedziałam, co jest słuszne, także politycznie. A gadać to umieli: z nieodpartą logiką. Żaden nie ustępował. W jakiś sposób obaj zawsze mieli rację. A ja to za jednym, to za drugim, choćby wrzeszczeli: Wyłącz się! Wykorzystywali mnie. Mówili też sobie po cichu: Zobaczmy, czy da się ją przekabacić, Niemkę z kompleksami. A miałam kompleksy, pełne dwie walizki. Przywiezione w komplecie z domu. Zawsze chciałam robić wszystko, jak należy. Obu pogodzić, może zbratać, no, z dwóch zrobić jednego faceta. Ale oni widzieli tylko siebie, aż ja z dzieckiem, które mi jeden albo drugi namachał, w jednej chwili spłynęłam. I zostawiłam jeszcze kartkę na stole: Napiszcie, jak dojdziecie do porozumienia. Ale już nie chcę, nawet gdyby obaj. Jadłam i się przejadłam! – mówi mechaniczka i robi ostatnio na drutach męskie skarpetki.

Potem opowiada jeszcze o chłopaku. – Właśnie odmawia pójścia do wojska – oznajmia, żeby wszystkie wiedziały, dla kogo są skarpetki. A oceanografka robi na drutach rzeczy dziecięce, bez ustanku różowe i niebieskie rzeczy dziecięce, ponieważ tak wcześnie, „o wiele za wcześnie”, jak mówi, została babcią.

Wszystko, co jej się zdarzało i przeważnie układało się źle i na opak, zdarzało się albo za wcześnie, albo za późno, toteż swoje historyjki zamyka lub poprzedza danymi o czasie: – Powinnam była wiedzieć o tym wcześniej albo chociaż się domyślać, no nie? Oczywiście było za późno. Gdybym w odpowiednim czasie, i to sama, znalazła się wtedy w Londynie, i to zanim spóźniona o całe lata pojechałam do Brukseli. Ale dopiero jak wszystko minęło, zrozumiałam za późno. Bo gdybym oceanografię na początku i nie zasuwała do szkoły tłumaczy po jeszcze jeden dyplom i jeszcze jeden, żebym jako pani domu, i to z dyplomem. Ale nie! Jedno dziecko i jeszcze drugie, i jeszcze trzecie, a wszystkie za wcześnie. A rozwód za późno. A nowy facet za wcześnie. A teraz, kiedy zaczynam być sobą, po prostu tylko sobą, o wiele za wcześnie zostaję babcią, czy to nie komedia?

– Rany! – woła Stara, która dla nikogo nie robi na drutach, tylko czyści marchew – rany! Wy, baby, to jesteście stuknięte. Jak gdyby gównem, co się wszędzie wala, było tylko i wyłącznie łajnem męskim. Ja miałam tylko jednego chłopaka i on nie żyje. Był, jaki był, i ja go chciałam. Nie wiem, czy on za wcześnie, czy za późno. Nawinął się i został. Aż mi umarł ni z gruszki, ni z pietruszki. Nie zrobił jednak miejsca dla innych facetów. Nie, on wciąż jest. I to nie tak pół na pół. Jest, jaki był. No, łatwy to nie, trudny raczej. Wycinał numery. I to jakie, o Boże! Musiałam niejedno przełknąć. Albo udawać, że nie widzę, po prostu. Myślałam sobie: on jeszcze wróci. No i wracał. Ale raz przyprowadził taką jedną z Wiesbaden. Obsprawiona była, że mucha nie siada. Mam się z nią zaprzyjaźnić, powiedział. Młoda była, szykowna, nazywała się Inga. Ona albo ja, powiedziałam. No to on długo się nie zastanawiał. I potem wszystko grało. I tak miało się za swoje przez te

wszystkie lata. Albo było przed woj nie, albo po woj nie, a pośrodku wojna. Jak dzisiaj, kiedy może się zacząć coś, już jutro. – Stara macha ręką. – Tylko prawdziwa miłość się liczy! – woła.

Damroka milczy i pracuje nad swoją narzutą z resztek wełny, która byłaby dość szeroka, by ogrzać wszystkie pięć kobiet. Zanim sterniczka zdąży zacząć ponownie, mówi: – W miłości zawsze byłam dobra, bo taka jestem powolna. Jak się nie zauważa, kiedy ona się zaczyna, kiedy się kończy, to najgorsze człowieka omija. Nawet jak nic nie było, ja mimo to kochałam. Tego nie można zachować dla siebie. A mężczyźni, no cóż. Ten, co go teraz mam, to się stara i jest jakoś tutaj, jeśli gdzieś go nie...

Teraz znów milczy, bo taka jest powolna i musi się dogonić. Ale widząc wszystkie nadziane mleczem i ikrą ryby, które Stara, głowa przy ogonie, ułożyła na deseczce, liczy śledzie, dolicza się jedenastu i musi się roześmiać, bo przy liczeniu odbija się jej pańszczyzna na organowej ławce.

– Wiecie – mówi Damroka – przez siedemnaście lat jedenastu klechów. I wszystkich jedenastu mam za sobą. O pierwszym nic więcej nie da się powiedzieć. O drugim też już wiecie. Trzeci zabrał się jak na zawołanie. Czwarty pochodził ze Szwabii i miał fioła na punkcie pietyzmu. Bez pojęcia o liturgii, ale wszędzie, nawet siedząc na sedesie, słyszał, jak Pan Jezus do niego mówi... – Tak to Damroka szereguje swoich duchownych. – A piąty to pochodził z Uelzen i miał pociąg do likierku... – Nie opuszcza żadnego. – Szósty próbował na odwyrtkę... Siódmemu żona uciekła z zakrystianem... A ósmemu i dziewiątemu...

Od czasu do czasu odzywają się inne robiące na drutach kobiety, jak gdyby nie wolno było przerwać wątku, tak że dopiero pod wieczór, kiedy kredowe skały już zmroczyły, świta przeczucie: wkrótce będzie koniec nie z włóczką wprawdzie, ale z mężczyznami, z których nic już się nie da wycisnąć. Do jedenastu smażonych śledzi jedzą w milczeniu ziemniaki gotowane razem z marchewką i przyprawione do smaku masłem i pietruszką. Poszarzałe skały Møns Klint przysuwają się bliżej. Ponieważ wszystko



zostało powiedziane, nikt już nie chce mówić. Te historyjki są dobre tylko na to, żeby poczuć zmęczenie.

Z mechaniczką na czele kobiety wchodzą do forkasztelu, gdzie ich hamaki kołyszą się ciasno jeden przy drugim, choć statek tak spokojnie stoi. Stara szczęka jeszcze przy zmywaniu, potem i ona schodzi po schodkach. Tylko hamak przy prawej burcie huśta się nie obsadzony. Damroka z dzbankiem kawy została na pokładzie. – Posłucham jeszcze morskiej prognozy! – woła. – Potem zaraz przyjdę.

Ponieważ na północy latem ciemność zapada tak powoli, na tle wciąż jeszcze jasnego nieba, odkąd czarna ściana chmur zaczyna się rozpadać od północnego zachodu, kłębią się małe, puszyste chmurki. Jeden przy drugim poszarpane strzępy. Wydaje się, że chmurowata zwierzyna ucieka bez ustanku. Nad wodą nie ma wiatru, ale w górze się kłębi. Moja Damroka nie chce jednak niczego wy czytywać na niebie. Szuka innego pocieszenia.

Za sterówką przywołuje się turбота, trzy razy. Turbot, który dawniej przemawiał tylko do mężczyzn, którego pieczy powierzona została na dobre i na złe jedynie sprawa męska; on, którego rada była droga, aż jego długa historia źle się skończyła, po czym zamknął się w sobie i postanowił słuchać tylko kobiet, jedynie babom być posłusznym; on, trzykroć przywołany turbot, odpowiada Damroce za rufą skutury motorowej, gdzie ona przykuca, tak że włosy opadają jej na kolana.

To, co omawiają, przemyka z szumem obok moich uszu. Powoli układają się jej pytania, on odpowiada zwięźle. Nie widzę turбота, który przypuszczalnie siedział niemal uchwytny pod samą powierzchnią wody; ale widzę, jak z forkasztelu wychodzą po schodkach kobiety, na przedzie sterniczka. Zebrane wokół lampy naftowej zachowują odstęp. Stara trzyma lampę. Gdybym był teraz pod pokładem, mógłbym położyć się na wszystkich hamakach. Ale nie wolno mi. Jestem poza nawiasem. Mnie też pożegnano.

Damroka skończyła rozmowę z turbotem. Włosy, póki siedzi w kucki, nadal opadają jej na kolana. Nie jest zdziwiona widokiem pozostałych kobiet

skupionych ciasno wokół lampy na dziobie. W blasku światła, zbliżając się krok za krokiem, czwórka postaci tworzy obraz. Stara z lampą na czele. – No i? – pyta. – Co on wie?

Mimo że Damroka mówi spokojnie i pozwala sobie na pauzy, nie ma miejsca na repliki. Ona nie wydaje rozkazów, tylko stwierdza: – Czas nagli. Natychmiast podnosimy kotwicę. Popłyniemy wprost na Gotlandię. Tam czekają nasze ostemplowane papiery. Na Visby i zejście na ląd pozostanie tylko pół dnia. Z chełbiami pasujemy. On mówi, że zanosi się na koniec. Mówi: Najpóźniej w sobotę przed zachodem słońca musimy być u brzegów Uznamu, nad głębiną Winety.

Ponoć szare i czarne,  
od kredy odpadłe kamienie,  
co zalegają u brzegów Møn,  
są starsze, niż można sobie wyobrazić.

Każdego lata jesteśmy turystami,  
zadzieramy głowy  
i patrzymy wysoko ku wierzchołkom kredowych skał,  
które zowią się klintami i noszą duńskie nazwy.  
Potem patrzymy, co zalega u stóp  
skał i nas: krągłe niczym ciała krzemienie,  
niektóre z ostrym pęknięciem.

Bardzo rzadko, coraz rzadziej,  
kiedy szczęście muśnie nas lotem mewy,  
znajdujemy skamieniałe zwierzęta,  
choćby jeżowca.

Pożegnanie z Møn i widokiem na tamtą stronę.  
Pożegnanie z wyspą lata i dzieci,  
z którą moglibyśmy byli stać się starsi i bardziej duńscy.  
Pożegnanie z radarowymi instalacjami, które ponad bukowymi lasami  
mają nas osłaniać.  
Moglibyśmy przecież ułożyć się w kredzie i przetrwać,  
aż dokładnie za siedemdziesiąt pięć milionów lat  
przyjdą nowi turyści i muśnięci szczęściem  
znajdą skamieniałe cząsteczki nas: moje ucho,  
twój wskazujący palec.

*ROZDZIAŁ PIĄTY, w którym krąży kapsuła kosmiczna, nasz pan Matzerath czarno widzi, szczurzyca ubolewa nad brakiem strachu, miasto Gdańsk pozostaje na oko nietknięte, kobiety kłócą się o chleb, Jaś i Małgosia wzywają do działania, wychowanie rodzaju ludzkiego jest kontynuowane i wygłoszona zostaje mowa pochwalna.*

Podczas gdy ja starałem się, żeby mi się przyśniły prospekty urlopowe, ona powiedziała: Kiedy na ostatek centralne bunkry obu supermocarstw stały się celem wzajemnego ataku i po z góry określonym czasie uległy zniszczeniu, tak że nie pozostało nic, co zdołałoby pisnąć – bo nasze szczury specjalne wypełniły swoje zadanie do samego końca – kiedy na całej ziemi, nad wodami i wysoko w przestrzeni kosmicznej zaległa cisza, wyjąwszy krążące burze, które roznosiły po świecie opadły pył i sadze, wobec czego wszędzie panowały ciemności, krótko mówiąc: kiedy nastąpiło ultimo, tylko jeden jedyny, nie mający znaczenia satelita obserwacyjny pozostał wiemy swej orbicie, wszelako, jak się okazało: z załogą, bo jego pasażer, chłopina mało oblatany w technice, nie obeznany ani z językiem astronautów, ani z danymi swoich wciąż jeszcze pilnych instrumentów pomiarowych, o wątpliwej przydatności do zadań w kosmosie, nie przestawał wołać: Ziemi! Odpowiedz, Ziemi! tak że musieliśmy mu oględnie szepnąć, że zasuwa po swej orbicie sam jak palec, dlaczego to między ludźmi nie ma już nadawania i że na Ziemi jesteśmy już tylko my. Skoro tylko – co nie było takie bezpieczne – opuściliśmy nasze schrony, zawołałyśmy: Nie smuć się, bracie, nie zostawimy cię na lodzie. Jak tylko krzykniesz: Ziemi! Odpowiedz, Ziemi! w przyszłości odpowiemy ci my.

Nie! zawołałem, nie! Jak mam opowiadać o mojej Damroce, kiedy szczurzyca mi przerywa? Jak jej włosy mogą rozrastać się bujnie na moim

papierze, kiedy w każdy sen wciska się gładka sierść? Jak mam powiedzieć, że kobiety sprzed kredowego urwistego wybrzeża Møn wzięły kurs na wschodni Bałtyk i Gotlandię, kiedy ta podróż, ba, również podróż naszego pana Matzeratha, który wyrusza się do Polski, przeszła i minęła, od wczoraj – czy też kiedy, szcurzy co, było ultimo? – przepadła raz na zawsze? Ach, gdybyż była gdzieś nadzieja, odrobinka życia, nieśmiały ludzki znak: Jeszcze istniejemy. Znów się ruszamy. Paru ocalałych z motyką i łopatą zaczyna od początku. W przyszłości będziemy...

Taktak, powiedziała szcurzyca. To wam często przychodziło do głowy na zakończenie w katastroficznych filmach jak i w życiu: pojawienie się pokiereszowanych, ale ocalałych bohaterów, do tego zwiastująca ratunek arka z najnowocześniejszym wyposażeniem i nieustająca bajeczka o kontynuowaniu waszej historii. Ale wasza historia się skończyła. Ogromnie żałujemy!

Jej głos znów ociekał współczuciem: Och, człowiek! Przeżywszy go, będziemy odczuwały jego brak. Zbyt długo pozostając w jego cieniu, zadawałyśmy sobie pytanie: Czy szcur jest w ogóle do pomyślenia bez człowieka? Zdolne przetrzymać jego promieniującą spuściznę, mogłybyśmy jednak zmarnieć. Trawiąca tęsknota za ludzkim rodzajem wpędzi nas w chorobę, osłabi. Ach, mówiłyśmy sobie zaraz po Wielkim Bum-Bum, żeby nam zostali, choćby w paru egzemplarzach. A już przed ultimo wołałyśmy: Dosz minszer chissoresz! Czym jesteśmy bez jego opowieści, w których mamy zagwarantowane miejsce? Co z nas pozostanie bez jego obaw, że tu czy tam mogą być szcury, być może pływające w muszli klozetowej i gotowe każdego pogryźć? Jeszcze w czasach chylącego się już ku upadkowi człowieczego panowania przeczuwałyśmy, że jego odejście będzie bolesne, i chciałyśmy go w ograniczonej liczbie dla siebie zachować. Niestety udało się to tylko w jednym wypadku. Ach, gdyby nie było ciebie w tej kapsule kosmicznej, na tej orbicie, ciebie, pełnego historyjek i ufryzowanych łgarstw, ciebie, naszego przyjaciela, który wiernie zachowuje dla nas obraz człowieka,

my, szczury, musiałybyśmy wpaść w rozpacz.

Tak biadała szcurzyca. Ale podczas gdy ona tęsknie wyrывała się ku nam, nasz koniec dopełniał się nieodwołalnie. Ja mimo to odwoływałem się, przytaczałem jej terażniejsze fakty. Jak gdyby mogło się powieść zrzucenie z siebie snu, krzychałem swoje: Nienienie! Przyzywałem program trzeci. Zaraz usłyszymy przegląd prasy. Zaraz co innego stanie się rzeczywistością. Mówiłem: Wkrótce będzie benzyna bezołowiowa. Twierdziłem: Głód załatwi się sam przez się. Opowiadałem jej o najbliższym szczycie gospodarczym, który na pewno się odbędzie, o wysiłkach pokojowych w Sztokholmie i gdzie tam jeszcze, nawet o papieżu i jego kolejnej podróży. Znow można mieć nadzieję, przy całym sceptycyzmie jednak nadzieję, wołałem i nie chciałem wierzyć temu, co jest. Posłuchaj, szcurzyco! postanowiłem, że jeszcze dzisiaj zasadzę drzewo.

Mówiła do mnie jak do dziecka: Już dobrze. Ciągnij tak dalej. Śnij sobie, bratku, o czym ci się żywnie podoba, o kobietach, skoro dobrze ci to robi, o Malskatowym gotyku, o złotych dukatach twojego pana Matzeratha. Lubimy twoje wybiegi. Nie musisz się przejmować tym, co wiemy. Zachowuj się tak, jak gdyby rodzaj ludzki jeszcze istniał. Wierz po prostu, że jesteście: liczni i skrzętni. Masz plany. Chcesz ratować las. Daj mu zdrowieć, daj statkowi badawczemu płynąć i pozwól kobietom, które są ci tak miłe, policzyć wszystkie chełbie modre i larwy śledziowe Bałtyku, daj malarzowi niewzruszenie malować na wapiennej zaprawie do złudzenia podobne indyki i Madonny i daj swemu garbatemu człowieczkowi ruszyć wreszcie w podróż do Polski, bo w przeciwnym razie mogłaby przepaść wiza.

Należałoby mu odradzić. Powinien wysłać telegram: „Z powodu choroby nie mogę niestety przyjechać”. Mogłoby dojść do zapalenia jego prostaty. Babka okazałaby zrozumienie. Poczciwa Anna Koljaiczkowa zawsze wszystko rozumiała.

Naprawdę nie powinno się wymagać od niego tej podróży, która jest podróżą wstecz. Zbyt dużo spraw przeszłych mogłoby ożyć, poruszyć go i

przerazić. Nagle, z dala od swego gabinetu, pozbawiony ogromniastego biurka, fikusów, miałby znów tło, pochodzenie, zapach kaszubskiej obory.

Należałoby go oszczędzać, bo zapytywany o swe dzieciństwo nasz pan Matzerath z miejsca szuka ucieczki w przytulnych zdaniach pobocznych. Mimochodem tylko wspomina upadek z piwnicznych schodów i swoje rośnięcie w tamtym czasie nazywa „ostrożnym” lub „spowolnionym”, jak gdyby wczesna faza jego życia wciąż jeszcze sprawiała mu mękę. Co prawda nie zaprzecza dostatecznie znanym, przekazanym nam tradycją etapom i przygodom na gdańskim przedmieściu Wrzeszcz, wycieczkom na Stare Miasto i w kaszubskie okolice, nie chce jednak mimo to potwierdzić żadnego epizodu, choćby swego udziału w obronie Poczty Polskiej czy wymierzonych w szkło sztuczek z Wieży Więziennej. Otwartą pozostawia kwestię swego numeru z trybuną i krótkich występów gościnnych na Wale Atlantyckim i w najlepszym razie mówi: „Moje dzieciństwo i młodość nie były pozbawione godnych uwagi wydarzeń”. Albo mówi: „Zwłaszcza pan nie powinien wierzyć we wszystko, co napisane, aczkolwiek moje wczesne lata przebiegały bardziej pomysłowo, niż to sobie niektóre skryby wyobrażają”.

Najchętniej nasz pan Matzerath milczy i tylko uśmiecha się ustami w ciup. Uporczywe pytania zbywa szorstko: „Zostawmy moje dzieciństwo pod kluczem. Zajmijmy się jutrzejszą pogodą. Nadal zapowiadają deszcz. Okropność!”

Dlatego mówię: Nie powinien jechać. Nie podróżuje się wstecz. Mogłaby to być podróż bez powrotu. Z jego prostatą nie ma żartów, jest podatna, wrażliwa. Co to znaczy: brakuje mu własnego środowiska! Przedsiębiorca z sukcesami może istnieć i bez oparcia. Düsseldorf dostarcza dosyć przykładów. Kiedy wczoraj na pożegnanie odwiedziłem go w Oberkassel, uznawszy, że jego willa, mimo amfilady pokoi bez życia, jest dla niego miejscem stosownym, powiedziałem: – Lepiej niech pan nie jedzie, Oskarze.

Nie chciał słuchać, opowiadał o Marii i jej codziennych kłopotach z Kurtusiem – „Szczeniak robi długi, wszędzie długi!” – nazwał tłustego

czterdziestokilkulatka nieudany synem, zaprowadził mnie potem do swego muzeum w piwnicy, później do salonu, i nie szczędził objaśnień, jak gdyby jego eksponaty z lat pięćdziesiątych, choćby zbiór stłuczek cennego szkła, trzeba mi było pokazywać jak najnowsze nabytki. Jego zdanie: „Do szkła zawsze miałem szczególny stosunek” ubodło mnie; dopiero przed oprawionymi w ramki fotografiami znanego w swoim czasie kłowna muzycznego Bebry dostrzegł we mnie człowieka w zbliżonym wieku i powiedział: – Wie pan, że sukcesy Bebry jako menedżera koncertowego opierały się na moich medialnych zdolnościach. Ile wielkich występów przy pełnej sali! – Ze słowami: – To było w czasach mojej solowej kariery – dopadł teraz do swego ulubionego tematu, wczesnych lat pięćdziesiątych, siebie, Marii i Kurtusia, ale i malarza Malskata, którego chętnie widzi pomiędzy dominującymi wówczas mężami stanu.

Na jego prośbę o dostarczenie szczegółów – „Przepadam za detalami!” – ponownie obiecuję to załatwić, narzekam jednak, że o służbie wojskowej Malskata, od wiosny czterdziestego do maja czterdziestego piątego, jest bardzo mało materiału, wysuwam ostrożne zastrzeżenia, że nie można dwóch tak różnych mężów stanu i spóźnionego gotyckiego malarza po prostu wrzucać do jednego garnka i mówić wręcz o triumwiracie; ale potem zmieniłem temat i zapytałem naszego pana Matzeratha wprost, jakie prezenty kupił na sto siódme urodziny swojej babki.

Mówił o bytności u handlarzy numizmatów i wskazał na lakierowane, nadające się na szkatułkę pudełko. Powiedział: – Poza tym zamówiony i dostarczony został sękacz nadzwyczajnej wysokości. Do prezentów należy też specjalny program video; ciekaw jestem, jak moi wierzący w cuda Kaszubi przyjmą tę medialną igraszkę.

A potem nasz pan Matzerath w dobrym humorze mówił o worku smerfów, którymi chce obdarować chmarę podrastających kaszubskich dzieci. Uniósł torbę z workowego płótna, trzymał ją, jakby ważył skarb, i zawołał: – Sto trzydzieści sztuk! Widzi pan – sięgnął do worka, wyciągnął na chybił trafił –

sami pracowici goście. Tutaj, jeden smerf muruje, drugi jest mechanikiem. Dwa smerfy grają w tenisa, dwa inne piją piwo. Ten i ów smerf uprawia ziemię motyką, kosą. A tu wiejska orkiestra: jeden smerf gra na trąbie, drugi na flecie, ten na basie, a ten – niech pan patrzy, niechże pan patrzy! – bębni na czerwono-białym bębenu.

Ledwie wymknęło mu się strzeżone dotychczas słowo, nasz pan Matzerath zamilkł, aby nieco później mówić już tylko o interesach. Krótkimi krokami przechadzał się tam i z powrotem, splótłszy palce pod garbem. Mówił o rosnącej konkurencji na rynku video, o kradzieżach, piractwie, videobandytach. Czegoś tak staroświeckiego jak film dla kin nie da się bodaj sfinansować. Ale może temat umierania lasu pozwoliłby wydeptać środki z kiesy państwowej. Wymagałoby to jednak wprowadzenia w scenariuszu dodatkowych wątków ubocznych. – Titelitury na przykład – proponował – mógłby się zakochać. I to w Bezrękiej Dziewczynie. Możliwe byłyby wzruszające sceny. – Potem chciał wiedzieć, czy w filmie niemym *Lasy Grimmów* jeśli nie wyobrażalne, to jednak wykonalne byłoby pozytywne zakończenie. – Nie każda baśń musi kończyć się źle!

Na koniec Oskar stanął przed lustrem na miarę atletów, skubnął krawat, ustawiał się raz tak, raz siak w całej okazałości, ożywił szczotką srebrzysty wianek włosów wokół opalonej, nawiedzanej stale przez lśniące blaski łysiny i podczas gdy włosy jeszcze trzaskały, zapytał: – A jak się tam miewa pańska gwiazdkowa szcurzyna? I w dalszym ciągu ma pan takie katastroficzne sny?

Kiedy na pożegnanie życzyłem mu „szczęśliwej podróży” i od niechcenia próbowałem się dowiedzieć, czy ów spiętrzony dla Anny Koljaickowej sękacz ma przypadkiem dziewięćdziesiąt cztery centymetry wysokości, naszemu panu Matzerathowi udał się wprawdzie uśmiech wokół ust w ciup, lecz jego oczy były okrągłe ze strachu. Odkąd został ustalony termin wyjazdu – rusza jutro, nareszcie! – zdaje mu się, że słyszy, jak gęstnieje czerń.

Powinien był wysłać telegram. Powinien był posłuchać mojej rady. Kto jak on wszystko już tylko czarno widzi, nie powinien był jechać do Polski.



Nasz pan Matzerath się boi.

Jakże często zadawałyśmy sobie pytanie: Dlaczego? Ale od Wielkiego Bum-Bum wiemy, jak nazywał się wasz niedostatek. Brakowało wam strachu, powiedziała szczurzyca. Dosz minszer kijummes balemosz! powtórzyła w szczurzyźnie, aby potem swobodniejszym tonem opowiadać o nas: Co prawda człowiek z niezliczenie wielu powodów był strachliwy i ubezpieczał się od wszystkiego, nawet od złej pogody i zdrady małżeńskiej, a ludzkość coraz chorobliwiej łaknęła totalnego ubezpieczenia, ale wielki strach, podczas gdy małe strachy kwitły i załatwiały swoje szybkie interesiki, niejako wyparował. Przed ołtarzem boga bezpieczeństwa wołaliście do siebie: Teraz nie musimy się już niczego bać. Nie damy się zastraszyć. Odstraszymy się nawzajem. Przede wszystkim odstraszenie musi być wiarygodne. Wie o tym Ruski, wie Amerykaniec. Im bardziej się odstrasza, tym jesteśmy bezpieczniejsi.

Tak dodawaliście sobie odwagi, ciągnęła szczurzyca. Odstraszając się nawzajem, stopniowo przepędzaliście strach. Miał zakaz wstępu, nie mógł się nigdzie pokazać. Nikt nie chciał być widziany razem z nim. Na koniec ludzie byli zbyt tchórzliwi, żeby się bać; a kto mimo to publicznie demonstrował strach lub zgoła, jak to robili punkowie, w szczurzej postaci wystawiał na pokaz, jakby szczur był uosobieniem strachu, tego spychano na margines. Chcieliście być wolni od strachu, jak chcieliście być wolni od trosk, wolni od grzechów, długów, zawsze wolni od odpowiedzialności, zahamowań, skrupułów, wolni od szczurów, wolni od Żydów. Ale człowiek wolny od strachu jest szczególnie niebezpieczny.

Po dłuższym syczeniu w szczurzyźnie, z którego przemawiało dużo broszes, gniewu, szczurzyca powiedziała: Widziałyśmy przecież, jak brak strachu oślepił was, a potem ogłupił. Dla wolności nie ma ofiary zbyt wielkiej, głosiło na plakatach jedno z bohaterskich zdań; tymczasem wy swoją wolność już dawno złożyliście w ofierze bożkowi bezpieczeństwa. Pozbawieni wolności byliście więźniami wszechogarniającej techniki, która

magazynując brała pod klucz wszystko, łącznie z ostatnimi wątpliwościami, tak że na koniec zdjęta z was została odpowiedzialność. Wy, głupcy! Ostatnimi resztkami rozsądku nakarmiliście wiecznie głodne komputery, aby to one wzięły odpowiedzialność na siebie; a mimo to był w was po trzykroć zaprzeczony, osznurowany, zapakowany bardzo głęboko, zakopany strach, który nie miał prawa wyjść, pokazać się, krzyknąć: Mama!

Widzisz, powiedziała szczurzyca, mogliście byli przyjść do nas, które czułyśmy i okazywałyśmy strach, i powiedzieć: Nauczcie nas, drogie szczury, żyć z wami. My, ludzie głupio wierzyliśmy, że sobie wystarczymy. Cośmy robili, myśleli, wtłaczali w rymy, czynili obrazem, wielogłosową muzyką, wyniosłą wieżą, było nastawione na nieśmiertelność. Lecz ostatnio nurtuje nas myśl, że w przyszłości nas już nie będzie, że będziecie tylko wy. Nauczcie nas, serdecznie o to prosimy, jak z wami pozostać nieśmiertelnymi. Nigdy więcej nie wyrządzimy wam nic złego i nigdy więcej o nic złego was nie posądzimy. Proszę, pouczcie nas!

Zawołałybyśmy: Nonsens! ciągnęła szczurzyca. Protestowałybyśmy przerażone. Nawet my jesteśmy śmiertelne. Również rodzaj szczurzy podlega ograniczeniom doczesności i jak sięga szczurza pamięć, świadom jest tych ograniczeń. Ale gdybyśmy mogły udzielić wam nauk, to pierwsza lekcja wypadłaby tak: Od tej chwili wychowanie rodzaju ludzkiego kończy z gadaniną o nieśmiertelności. Człowiek żyje, dopóki żyje. Po śmierci jest niczym. I nic prócz śmieci po nim nie zostanie. Bójcie się więc, ludzie, lękajcie się i bądźcie śmiertelni jak my, to wtedy może troszkę dłużej pożyjecie.

Ale oni z nami nie rozmawiali, powiedziała szczurzyca. Byli zapatrzeni w swój finał. Żadne ostrzeżenie nie skutkowało. Pokazywałyśmy się za darmo jako gnane strachem stada szczurów. Dopiero gdy ostatnia próba napędzenia im, którzy byli wolni od strachu, niezbędnego do życia stracha – wyprodukowałyśmy szaroczarne chmury w kształcie uciekających szczurów – skłoniła tylko do głupich uwag o mamidłach lub cytowania odnośnych

miejsc z Biblii, nasza cierpliwość się wyczerpała: zrezygnowaliśmy z ludzi i wykończyliśmy ich, zanim oni, niespodziewanie dla nas, zdążyli nacisnąć guzik...

Ja milczałem: Mów dalej, szcurzyco, mów!

Mówiła jeszcze długo, pouczająco i ogólnie, potem jednak zauważyła mnie w kapsule kosmicznej i powiedziała: Tylko ty, bracie, słuchasz nas i jesteś rozsądny – ale za późno. Dosz minszer nibbelet ultemosz! jak myśmy wówczas mówiły. A jednak mamy dla ciebie dobrą nowinę. W twoich rodzinnych stronach wciąż jeszcze wygląda trochę jak dawniej i sporo jest gotyku. Pewnie cię to zdziwi, zostało jednak pieczołowicie zaplanowane z ostatniej ludzkiej perspektywy.

Popatrz! zawołała, ale prócz samej siebie niczego nie pokazała, stwierdziła tylko, że wybuch czterech lub pięciu bomb ochronnych nad Gdańskiem unicestwił wprawdzie wszelkie życie na obszarze miasta, na terenach wokół ujścia Wisły i w części Kaszub, ale zachowane zostały – za sprawą słabego podmuchu albo z powodu zdetonowania wielogłowicowego ładunku na wysokości dziewięciuset metrów – wszystkie historyczne budowle śródmieścia, podobnie jak okoliczne wieżowce mieszkalne i urządzenia portowe. Trzymają się wszystkie mury i konstrukcje. Spłonął jedynie drewniany Żuraw i wyleciały wszystkie szyby z okien, nawet witraże.

Powiedziała: Gdzie indziej marnie to wygląda. Przemysłowa Gdynia i sąsiednie miasta Wejherowo i Sopot są zniszczone do fundamentów, ale u ciebie dałoby się mieszkać. Chociaż burze pyłowe i popiołowe w czasie dotkliwego zimna i nieprzejrzanego ciemności pokryły każdy mur, wszystko, co ocalało, warstwą sadzy, panorama miasta jest nienaruszona; jego piękno trwa, ciesz się!

Następujący teraz wykład szcurzyco był tak fachowy i rozwlekły, że nużył nawet we śnie. W skrócie powiedziała: Te bronie specjalne były rozwinięciem owych taktycznych, produkowanych dla rakiety krótkiego zasięgu Lance ładunków neutronowych, które na początku fazy końcowej

były przedmiotem sporu i miały zostać zakazane, ponieważ ich działanie ochraniające tylko to, co martwe, nazwano nieludzkim. Zaprzeczanie temu nie może być ze szcurzej perspektywy naszym zadaniem, ale na korzyść wysoko później rozwiniętego systemu da się powiedzieć tyle: dzięki produkcji bomb neutronowych, skutecznych na dużych płaszczyznach, stała się wreszcie możliwa ochrona pomników kultury. Nawiasem mówiąc, oba supermocarstwa dysponowały tym potencjałem mającym oszczędzić kulturalne dziedzictwo. O ile wiemy, w skali światowej ocalało kilka skupisk zabytków architektury. Niestety, mimo wszechstronnych wysiłków, Jerozolima zniknęła z powierzchni ziemi, ale skupione pod Gizą piramidy zdołały przetrwać w znanej nam postaci. Zawarty jeszcze w samą porę układ między obu mocarstwami ustalił wyważoną liczbę stref ochronnych, tak że wielkie instalacje komputerowe można było zaprogramować na nowo w duchu tego ostatniego układu kulturalnego...

Na zakończenie swego wykładu szcurzyca, która dotychczas zamieszkiwała mój sen jakby w próżni, siedziała w kunsztownie wykutym z blachy miedzianej dzbanku flamandzkiej roboty, najpóźniej z piętnastego wieku. Ferwor jej wykładu raz po raz udzielał się dzbankowi, który zaczynał się toczyć, a szcurzyca musiała wtedy biec w przeciwnym kierunku.

Czy nie jest przepiękny? zawołała. Wysokiej wartości i godzien zachowania?

Odparłem: Ten dzbanek i podobne przedmioty znam z muzeum przy Rzeźnickiej. Jako uczeń, już wówczas znikowany na punkcie sztuki, często chodziłem do muzeum: ze szkicownikiem i kielbami we łbie. A nieraz to nawet w czasie przerwy, bo gimnazjum tuż obok...

Ze swego toczącego się dzbanka szcurzyca powiedziała: I ten muzealny okaz z Rzeźnickiej przetrwał wraz z innymi dziełami sztuki dzięki owej bombie, którą u schyłku człowieczego czasu nazwano przyjaciółką sztuk pięknych, choć wiadano, jak ściśle ograniczona była ta przyjaźń...

Krótkim skokiem opuściła flamandzki dzbanek miedziany, który długo

jeszcze pobrzękiwał, podczas gdy szczurzyca na pierwszym planie zdawała dalej sprawę: Wszędzie podobne obrazy. W oszczędzonych centrach kultury na Zachodzie człowiek się skurczył, ponieważ nim nastąpiła śmierć, postradał wszelką wilgoć. Jeszcze w kilka miesięcy po Wielkim Bum-Bum, kiedy my, szczury, ledwie ustały ciemności i zimno złagodniało, wyszliśmy na wciąż jeszcze przyćmione światło dzienne i uprzątałyśmy, co się dało, widziałyśmy zasuszonych człowieczków, przeważnie na czworakach, czołgających się, daremnie usiłujących się podźwignąć, jak gdyby jeszcze na ostatek chcieli odzyskać zdolność do prostego chodu. Ta gestykulacja! Tyle bolesnej ekspresji ciała! Przypominały się nam czasy wczesnogotyckiej ekstazy. Nie, nigdy przedtem człowiek nie znalazł mocniejszego wyrazu aniżeli w stanie całkowitego odsączenia.

I zobaczyłem przywołane przez szczurzycę, która mi się śni, obrazy przeszłości, zobaczyłem skurczone do karlich rozmiarów ciała leżące na ulicach i placach, pokręcone, gramolące się w górę, zobaczyłem je przed poczerniałymi od sadzy renesansowymi pałacami i na przedprożach gotyckich kamienic zwieńczonych szczytami, u wejścia do kościołów z wypalanej cegły, które pod sadzą wszystkie pozostały piękne i wyniosłe: półkoliste i ostre łuki nietknięte, filary bez pęknięć, święci w komplecie, żadna wieża nie zwalona, nie brakowało ani jednego zwornika, kwiatonu, ani jednej sygnaturki; człowiek natomiast był już tylko zewłokiem, szczątkiem samego siebie, zdatnym ostatecznie, zobaczyłem to, by zżarły go szczury.

Nikt mnie nie słucha. Musiało do tego dojść: co prawda „Nowa Ilsebill” na pełnych obrotach i przy spokojnym morzu bierze kurs na Gotlandię, ale na pokładzie płynącego z prędkością ośmiu węzłów statku zdania są mocno rozbieżne.

Kobiety kłócą się. Jakie potrafią być ciche i wrzaskliwe, cięte i zgryźliwe, jakie napastliwe. Tragedie, w których królowe stoją sobie na zawadzie, należą do żelaznego repertuaru. Nieśmiertelne role. Głosy, które ogłaszają klątwę i banicję. Każdy profil ostrzej zarysowany. Obfitość gestów, ręce

wznoszone ku niebu. Przedłużone palce wskazujące, zakłęcia. Włosy wzburzone jak głąb duszy. Ten ruch odrzuca, tamten zagarnia. Jak one chodzą tam i z powrotem, ze statku pod gołym niebem czynią scenę, stoją sprężyste lub nieporuszenie i nie dopuszczają nigdy do spadku napięcia; widać po tym, że kobiety mają długoletnią wprawę: tak kłóci się tylko ktoś, kto w kłótni pięknieje.

Ale o co toczy się kłótnia? Czyją własność należy utrzymać, odzyskać, podzielić? Powiedzcie, królowe: która korona jest sporna?

Chodzi o kurs statku: czy będzie się, jak przewidziano, odławiać chełbie na wodach skalistych wysepek południowej Szwecji, czy też „Ilsebill”, tylko dlatego, że turbot przemówił, ma płynąć prościuteńko do Visby na Gotlandii, a potem zaraz, dając się poganiać płastudze, ku płaskim brzegom Uznamu?

To sterniczka: – Chełbie muszą mieć pierwszeństwo! Kiedy wy wreszcie pojmiecie, że Bałtyk któregoś dnia zdechnie. Nie tylko na głębokości poniżej trzydziestu metrów. Nie! Cały na śmierć zaśmiednie.

– Ale w osiemdziesiątym pierwszym Zatoka Kilońska na dobrą sprawę była zdechła. A na drugi rok – macie tu pomiary, poduczcie się! – odżyła. Pomógł zmieniony klimat, dostatek wiatrów, przesunięcie prądów. – To oceanografka, która ostatnio, ponieważ wszystkiego, nie tylko oceanografii, ma dość, chce z Damroką dotrzeć do Winety.

Sterniczka z rozwianym włosiem krzyczy: – Klimat! Wiatry! Wszystko gówno! Na takie odchylenia człowiek nie ma wpływu. Tendencja wskazuje na zdechnięcie!

Wtóruje mechaniczka: – A chełbie? Nasze chełbie modre? Piękne meduzy, co trzęsą się jak galareta? Nasz przeklęty przedmiot badań *aurelia aurita*?

Ponieważ Damroka kilkakrotnie spokojnie odmawiała wszelkiego odłowu rekinem pomiarowym i w milczeniu trzyma kurs, w zastępstwie odzywa się oceanografka: – W gruncie rzeczy chełbie są dowodem na to, że Bałtyk żyje. Bo gdzie jest życie, tam jest plankton. Gdzie jest plankton, tam nie brakuje

larw śledziowych. A gdzie pod dostatkiem jest larw śledziowych i planktonu, na przykład w Zatoce Kilońskiej, tam występuje też obfitość chełbi modrych, kapunek?

– Tak – krzyczy sterniczka – aż morze będzie tylko chełbią. Jedną wielką *aurelia aurita*.

Mechaniczka obstaje przy swoim: – Nasza misja to...

Damroka milczy. Stara przysłuchuje się, potrząsając głową. W przerwach rzuca z kambuza: – Wy to gonicie w piętę! – albo: – Typowo babska kłótnia! – albo: – Przestańcie wreszcie z tymi cholernymi chełbiami, bo wam kilka ugotuję z porem i koperkiem.

Pewnie, chodzi o kurs, ale podświadomie kobiety prowadzą ze sobą prywatną i nie przedawnioną wojnę, która wydaje się wielopiętrowa i powikłana. Być może w grę wchodzi kanciaste słowa, które się pamięta, a które ja, jako niezainteresowany, puściłem w niepamięć. Choć są bliskie sobie i przy pięknej pogodzie bez problemu nazywają się siostrami, kiedy coś układa się na opak, żrą się i biorą za łby. Za dużo królowych. Z rozmysłu albo z nagłego podszeptu mogłoby dojść do mordy. Przychodzą mi do głowy zatrute szpilki do włosów, proszeczki. Która z kobiet zamierza dosypać arszeniku lub strychniny do dzbanka z kawą Damroki? Nienawiść syczy, chce usunąć z drogi. Jak to się mówi: one nie mogą ze sobą wytrzymać. A jednak moja głowa domaga się ich zgody.

Turbot odpada, bo tylko Damroka z nim rozmawia. Toteż póki trwa kłótnia, rzecz musi skrupić się na chełbiach. Chociaż podskórnie chodzi o mnie, a przede wszystkim o Winetę, nowy cel rejsu, padają zdania: Kiedy ono zdechnie? Czy zameduzienie Bałtyku należy uznać za niebezpieczeństwo, czy za dowód życia? Dlaczego my w ogóle kłócimy się o chełbie modre?

Należą one do rodziny krążkopławów, nie parzą jak chełbie ogniste, są zatem nieszkodliwe, trochę nudne w swej mlecznobladawej niebieskości, a mimo to piękne dla każdego, kogo przezroczyta cielesność zdumiewa albo

nastraja pobożnie, niczym spotkanie z aniołem.

*Aurelia aurita*, czyli pospolita chełbia modra, występuje prawie we wszystkich wodach przybrzeżnych między siedemdziesiątym stopniem szerokości północnej a siedemdziesiątym stopniem szerokości południowej. Rozprzestrzeniła się tak dzięki prądom morskim. Spotykana koło Hongkongu i w pobliżu Falklandów. Występuje masowo w Morzu Czarnym, w japońskich i peruwiańskich wodach przybrzeżnych. Blokuję dopływ wody chłodzącej do siłowni. Nie tylko szarańczę, korniki i szczury, także chełbie modre nazywa się sumarycznie plagą.

Jako że wszystkie meduzy pod względem płciowym dzielą się na samczyków i samiczki, sterniczka jest wkurzona. – Kaprys natury – powiada, ale daje się jakoś udobruchać, kiedy oceanografka demonstruje jej, jak plemniki samczyka przyjmowane są nie bezpośrednio, lecz z pożywieniem. Zapłodnienie jaj w gonadach dokonuje się niejako mimochodem. Dojrzałe jaja wędrują przez jamę gastralną do worka piersiowego i tak dalej, i tak dalej.

W pomieszczeniu badawczym „Ilsebill”, które jest też jadalnią i świetlicą, wiszą między bulajami tablice poglądowe przedstawiające cykl rozwojowy chełbi modrych, wpływ lokalnych warunków atmosferycznych na populację chełbi i występowanie *aurelia aurita*. Jedna z tablic demonstruje zagęszczenie meduz w Kieler Förde, następna w Zatoce Lubeckiej, trzecia u stromych kredowych brzegów Møn, czwarta pośród południowoszwedzkich skalistych wysepek, piąta między Gotlandią i Olandią i szósta na wschód od Rugii, w Tramper Wiek i wzdłuż wyspy Uznam. Wszystkie tablice poglądowe, które oceanografka wywiesiła i krągłymi, czytelnymi literami dodatkowo opisała, opierają się na wynikach badań uzyskanych od końca lat siedemdziesiątych do początku lat osiemdziesiątych.

– Dawno i nieprawda! – mówi mechaniczka, która nisko ceni badania, wysoko za to naoczne doświadczenia. – Kiedyśmy przedwczoraj ruszały spod Møns Klint, nasz silniczek mi opowiedział, jakie morze jest



zameduzione. Powinnyśmy były zainstalować licznik chełbi w śrubie okrętowej. W każdym razie ledwieśmy wpłynęły na meduzie ławice, odczytałam zmniejszenie prędkości o węzeł. Całkiem nieźle hamują te wasze meduzy!

„Nowa Ilsebill” przy niezmiennie spokojnym morzu, pod szarymi, rozwiewanymi na spieszne strzępy zwałami chmur, zostawia za sobą Bornholm i podąża do Visby na Gotlandii. Na otwartym morzu chełbi ubywa, jednakże pomiary próbne wyraźnie przewyższają przeciętną. Sterniczka żąda, żeby przy zmniejszonej prędkości spuszczać rekina pomiarowego co pół godziny. Ponieważ mechaniczka popiera sterniczkę, oceanografka ustępuje – „No, mamy to idiotyczne zadanie badawcze!” – a Stara mówi raz tak, raz owak, Damroka musi pogodzić się z wytraceniem prędkości; gestem, który z ustąpienia czyni cnotę, pozostawia ster sternicze.

Stara mówi do niej: – Nie przejmuj się!

Damroka mówi raczej do siebie: – Tracimy czas.

Oceanografka zauważa: – Bez sensu te pomiary. Minimalne ilości. To nic w porównaniu z osiemdziesiątym pierwszym.

A Damroka, która – nie wiem czemu – nagle przestaje się przejmować, powiada: – Zawsze bywały meduzie lata. Na przykład kiedy po losowaniu pierwszy rzut gockiej wędrówki ludów chciał zostawić Gotlandię za sobą. Na odjeźdnym starzy Goci zdrowo się uszarpali. Podobno pół dnia musieli się nawiosłować, nim wyrwali się z ławicy chełbi, postawili wreszcie żagle i mogli tworzyć historię. A kiedy w roku trzydziestym szóstym – i to 26 czerwca – Gustaw Adolf przyплыł na wyspę Uznam, aby koło Peenemünde z piętnastu tysiącami szwedzkich i fińskich chłopskich synów zejść na ląd, musiał walczyć ze wszystkich sił nie z Tillym czy Wallensteinem, lecz z chełbiami, które były zatwardziałe katolickie i otoczyły łodzie desantowe króla jakby galaretą. Mimo to Goci doszli do Rzymu i do swego końca. Mimo to Szwedom dość długo podobało się w Niemczech. Widzicie, ludzie, że nie ma powodu do zdenerwowania. Wszystko już kiedyś było i minęło.

Morze jest starsze od naszych zmartwień.

Te kędziory, ten nadmiar, ta odporna na wpływy atmosferyczne pewność. Jest zarazem latarnią morską i rafą. Jej wytrwałość, która pruje każdą kłótnię jak zbyt pospiesznie zrobiony pulower. Nadaje się do porównań. Jej statek idzie teraz pełną parą. Sterniczka już nie sarka. Oceanografa nanosi ostatnie dane. Mechaniczka gdzieś tam gwizdże fałszywie. W kambuzie Stara szykuje królewieckie klopsiki w słodko-kwaśnym sosie kaparowym. Wszystkie kobiety cieszą się na moją ulubioną potrawę. Piękny sen przy spokojnym morzu i wietrze od lądu. Nie przerywa mi żadna szcurzyca. Tylko krótko nasz pan Matzerath przez telefon samochodowy: Jest teraz z szoferem w drodze. Siedzi w swym mercedesie między Düsseldorfem a Dortmundem. Życzy sobie, żebym wykorzystał jego nieobecność. Sprawa Małskata rozjaśnia ponure lata pięćdziesiąte. On w Polsce nie chce o nic się martwić. Na pewno wróci. Jest wańką-wstańką, którego nikt, łącznie ze mną, mówi Oskar, nie zdoła przewrócić. Ostrzega przed fałszywymi nadziejami. Koniec instrukcji przez telefon.

Ach, Damroko! Popatrz tylko, jak na morzu robią się niewinne falki. Co tutaj znaczy koniec świata. We śnie jeszcze masa planów. Jutro znów będę ratował las.

Dzieci, bawimy się w zabłądzenie  
i znajdujemy się o wiele za szybko.

Co leży za siedmioma górami,  
już wiemy: hotel „Za Siedmioma Górami”,  
w którego kiosku można kupić  
miłe pamiątki z czasów niewiedzy,  
kiedy syndrom Titelitury jeszcze nam się  
wydawał dziwny.

Każda baśń objaśniona. Na seminarium  
robią na drutach dobre i złe wróżki.  
Spółdzielczość karzełeków.  
Czarownica i jej społeczna otoczka.  
Jaś i Małgosia w późnym kapitalizmie albo

co też to należy do koncertu Drozdobrodego.  
W szczegółowym studium  
roztrząsa się głęboki sen Śpiącej Królowny.

A zdaniem braci Grimm,  
gdyby dzieciom udało się zabłądzić,  
byłyby uratowane.

Nie ma już czarno-białego filmu. Cudowne lustro błyszczy matowo. Skończyła się baśń o Jasiu i Małgosi. Wszyscy śmieją się po zakończeniu filmu, śmieje się nawet Czarownica i nie ma za złe pieca, do którego ją wepchnięto. Żabi Król w czarnym kombinezonie nurka obejmuje kanclerskie dzieci, którym ich prehistoria wydaje się dziwna i jakoś nierealna. Jaś mówi do Małgosi: – Rany, bez happy endu byłby to dość ostry kawałek, no nie?

Wszyscy zebrani w pensjonacie „Pod Domkiem z Piernika” mówią teraz o starych dobrych czasach, kiedy ze słomy przedło się złoto, a trzy pióra dawały prawo do trzech życzeń, kiedy baśnie jeszcze przepowiadały przyszłość. A tymczasem usiłując wywołać przeszłość stają się coraz smutniejsze: smutek jest zaraźliwy.

Ponieważ deszcz już nie pada, Żabi Król musi wracać do studni, a wytworna Królowna kładzie się, aby Król w żabiej postaci mógł wskoczyć jej na czoło, co uśmierza ból głowy.

Na schodach do drzwi wejściowych siedzi w kucki Bezręka Dziewczyna, odrąbane ręce zwisają na sznurku; wpatruje się w pokryte zaschłą krwią kikuty.

W jednym z okien na piętrze Domku z Piernika czesze swe włosy Roszpunka: złote nitki bujając w powietrzu pozostają w kadrze.

Przed domem i zabudowaniami Jorinda i Joringel na migi, jakby znali mowę głuchoniemych, dzielą się swym głębokim żalem i jego śmiertelnie smutną historią.

Śpiąca Królowna musi być wciąż budzona pocałunkami Księcia, który wykonuje tę pracę bez entuzjazmu, ale niezawodnie; raz za razem Śpiąca Królowna otwiera zdziwiona oczy, aby ponownie zapaść w sen. (Jeśli dobrze

zrozumiałem naszego pana Matzeratha, to w innym miejscu należy powiedzieć więcej o przymusie całowania.)

W domu Titelitury nadal stoi zamyślony przed wielkim aptecznym słojem, w którym jego wyrwana niegdyś z wściekłości noga – od kolana w dół – konserwuje się w spirytusie.

Tępy wzrokiem, jak gdyby nie chciała już uczestniczyć, Babcia patrzy, jak Czerwony Kapturek idzie do Wilka, wchodzi do klatki, otwiera zamek błyskawiczny wilczego brzucha, wpełza do brzucha, zamyka go od środka.

Zła Macocha włącza na krótko cudowne lustro, widzi siebie w czarno-białej wersji baśni mówiącą do lustra, widzi potem śliczną twarzyczkę Śnieżki w lustrze, wyłącza obraz. Jej złe spojrzenie szuka Śnieżki, która, głaszcze szklany eksponat, swoją trumnę w miniaturowym wydaniu.

Bawiąc się naszyjnikami z suszonych uszu Czarownica wygląda na zatroskaną. Parobek Liczyrzepa wpatruje się w jej ogromne cyce i ani rusz nie może oderwać wzroku.

Na próżno Jaś i Małgosia strojeniem min i opowiadaniem głupstw starają się pocieszyć baśniowe figury; okrzyki w rodzaju: „Chodź, Titelituro, daj wreszcie pospać swojej nodze!” albo: „Mogę coś dla ciebie zrobić, Czarownico?” nie pomagają; wszyscy, jakby za sprawą czarów, tknięci są melancholią. Trawi zastarzały ból; ale zanoszą się na jeszcze większe zmartwienie.

Z dłuższej podróży wraca Siedmiu Karzełków z komiwojażerskimi walizkami, w prążkowanych flanelowych garniturach. Markotnie sięgają po siedem czapek na siedmiu hakach. Przynoszą złą wiadomość i wyciągają jak najgorsze dowody: uschłe konary, które świadczą o anomaliach rozgałęziania – „Syndrom lamety!” – chorą korę, jodłowe gałęzie, z których opadają zbrązowiałe igły, obumarłe korzenie i materiał fotograficzny, który ukazuje w segmentach zwilgotniałą twardziel chorych drzew.

Te świadectwa przywołują baśniowe postacie z powrotem do teraźniejszej rzeczywistości, nawet Czerwony Kapturek wpełza z brzucha Wilka. Pod

tekst napisu „Pędy mylą. Panika wśród drzew!” Siedmiu Karzełków demonstruje na śmiertelnie chorych gałęziach strachopędy i nibykwiaty.

Za naciśnięciem guzika cudowne lustro potwierdza fakty. Do ujętych w napis filmowy słów Złej Macochy: „Lustreczko, lustreczko, powiedz, jak to masz w zwyczaju, gdzie umiera las w niemieckim kraju?” widzimy obrazy z Gór Fichtel, Lasu Bawarskiego, Schwarzwald, ze Spessartu, Sollingu i Lasu Turyńskiego. Wiatrołomy, ogołoczone zachodnie stoki, walące się drzewa, trupy drzew, korniki.

Już nie patrząc jak urzeczony na Czarownicę, Liczyrzepa chce zobaczyć Karkonosze: – Ja stamtąd pochodzę! – W odpowiedzi na ekranie jak okiem sięgnąć pojawiają się wymarłe drzewa.

Wydaje się, jakby już teraz dopadł ich koniec. Wszyscy czują, że jeśli umrze las, to i oni będą musieli umrzeć. Śnieżka i Siedmiu Karzełków płaczą. Czarownica nie protestuje, kiedy parobek Liczyrzepa wciska głowę między jej cyce. Czerwony Kapturek chce wpełznąć z powrotem w Wilka; ale wszystkich, którzy chcą czmychnąć, Jaś powstrzymuje okrzykiem: – Tutaj nikt się nie wyłamie!

I teraz przychodzi dobra rada. Z pomocą dłuższego napisu Jaś i Małgosia mówią na zmianę: – Nie smućcie się. Wiemy, jak temu zaradzić. Grimmobracia, których portrety z dawnych czasów wiszą na waszych ścianach, są dzisiaj ministrem i sekretarzem stanu. Siedzą w specjalnym ministerstwie. Obaj zajmują się sprawą umierania lasu. W dalszym ciągu są całkiem równi. Grimmobracia wam pomogą. Jeszcze nie jest za późno. Nie gódźcie się na to. Słyszysz, Czarownico! Bez lasu jesteście załatwieni. Bez lasu was nie będzie. Brońcie się! Słyszycie: Brońcie się!

Na początek podchwytuje to Siedmiu Karzełków: – Brońcie się! Brońcie się! – Teraz wołają też inni. Podniecenie panuje w Domku z Piernika, wkrótce potem wyjazdowy nastrój przed domkiem.

Liczyrzepa i Siedmiu Karzełków wytaczają z zabudowań starego forda. Jako że jednak automobil od dawna stoi pusty i suchy, o namiastkę benzyny

musi postarać się Czarownica; potrafi to zrobić według starego przepisu.

Wśród krzyków i śmiechów Czarownica ląduje na masce chłodnicy starego forda. Przykuca nad lejkiem, zadziera spódnice, celuje i siusia prosto w lejek, tak że wkrótce w baku zaczyna chlupotać. Nawet Bezręka Dziewczyna pozwala swym rękom bić brawo. Wszyscy cieszą się, tylko Babcia wyrzeka i żąda, żeby Czerwony Kapturek się odwrócił. Mogłaby też okazać konsternację Zła Macocha. Zdumiewające: Jorinda i Joringel uśmiechają się. Czarownica siusia długo, zezując przy tym bursztynowymi oczami. Karzełki wołają: – Więcej, Czarownico, więcej! – W końcu stary ford sposobem czarownic zostaje zatankowany.

Titelitory wyznacza delegację. Jako że Zła Macocha, bo to Czarownica ją zachęca, odmawia udziału – „Ja stąd będę uważnie wszystko śledziła!” – na tylnym siedzeniu automobilu siada Śpiąca Królowa z budzącym ją pocałunkami Księciem. Spośród Siedmiu Karzełków w grze w kości zostaje wylosowany jeden. Zajmuje miejsce koło kierowcy, Titelitory za kierownicą. W ostatniej chwili chciałyby się zabrać Roszpunka: – Ja też chcę jechać do miasta i przeżyć coś szałowego! – Ja też! – wykrzykuje Czerwony Kapturek i odpycha Śnieżkę, która woła: – A ja? – Dla żadnej nie ma miejsca, nawet dla Dziewczyny, której odrąbane ręce składają się błagalnie.

Przed maską chłodnicy Liczyrzepa zapuszcza korbą motor. Benzyna Czarownicy nie straciła na jakości. Zapłon zapala, motor zaskakuje, stary ford rusza. Między leśnym jeziorem a zagrodą dla saren wyjeżdża powoli z polany.

Ponieważ Małgosia (zdaniem naszego pana Matzeratha zadurzona w Żabim Królu) wylała przedtem wiadro wody do studni, żaba z czoła wytwornej pani skacze do studni i wychodzi z niej jako Żabi Król.

On, wytworna Królowa, Jaś i Małgosia, wszyscy machają i wołają za starym fordem. Nawet odrąbane ręce trzepocą i kiwają na sznurku. Pozostałych Sześciu Karzełków woła w ślad za automobilem, dokąd ma jechać. „Do Bonn!” głosi wskazujący drogę napis, jak gdyby w Bonn czekał

ratunek.

Za późno, za późno! zadrwiła i wypełniła mój sen. W martwym drzewie przysiadła szcurzyca to tu, to tam i wołała: Trzeba było wam wcześniej się ruszyć! Trzeba było zmądrzeć wreszcie po szkodzie! Trzeba wam było i trzeba było! Umierające lasy, niech ci będzie, ale czy mam wyliczać wszystkie cuchnące rzeki, ledwie dyszące morza, trucizny ściekające do wód gruntowych? Wszystkie cząsteczki obciążające powietrze, nowe zarazy i odżywiający stare: ippucz i chol! Mam wyliczyć przyrost pustyń, zanik mórz i z gór śmieci obwołać was rabusiami, wyzyskiwaczami, trucicielami?!

Już siedziała na górze śmieci i drwiła z wysoka: Żałosny ten wasz końcowy bilans! Wszędzie dotkliwy głód. Ciągłe małe wojny, które waszym zdaniem miały zapobiec wielkiej wojnie. Miliony bezrobotnych, których nazywaliście wyzwolonymi od pracy. I inne piękne słówka. Wasze drogie kongresy: dziesięć tysięcy darmozjadów podróżujących z pustą walizką. Pieniądz pomnażający się już tylko o procenty od długów. Napar ze zużytych idei. Ta niezdolność do wyssania odrobiny spóźnionego zrozumienia, jeśli nie z nowych, to ze starych słów życzeniowych, które mogłyby brzmieć: wolność, równość, braterstwo. Biegły w samooszustwie był rodzaj ludzki, kiedy doigrał się końca, wszechwiedzący i zarazem głupi. Byliście na koniec znudzeni najcenniejszymi nawet mądrościami, od Salomonowych Przypowieści po ostatnią książkę Blocha.

Tym razem słyszałem ją nie z wysokości góry śmieci, szczytu szcurzego świata, lecz z całkiem bliska: Tymczasem moglibyście byli uczyć się od nas. Musielibyście tylko za przykładowe uznać nasze ja, to nasycone doświadczeniem, wciąż wzbogacane ja, które się przegryzało, przez cały czas przegryzało. Takim jak my, powiedziała szcurzyca, która oto umeblowała mój sen jak izbę szkolną tablicą, kredą i pałeczką do wskazywania, jak gdyby wzorem stała się dla niej łupkowa tablica w dyrektorskim gabinecie naszego pana Matzeratha, takim jak my, powiedziała, niczego nie trzeba było objaśniać na nowo i jak szkolną wiedzę raz po raz wbijać do głowy. My, nie

człowiek, byliśmy mądre po szkodzie. A wy, recydywiści od samego początku, wpadaliście raz za razem w wymyślone przez siebie pułapki, jakby to było zabawne albo przyjemne. Wystarczyłoby poczytać na przykład Pierwszą Księgę Mojżesza – I rzekł Pan Bóg: Oto Adam stał się jako jeden z nas, znający dobre i złe – aby poznać, jakie marne owoce wydawało wasze drzewo wiadomości. Ach, wy Bogu podobni głupcy!

Potem pisała. W moim śnie szczurzyca pisała kredą na szkolnej tablicy. Ona, odcytana, układała długą listę wszystkich szkód, po których my, ludzie, moglibyśmy byli zmądrzeć, gdybyśmy tylko nauczyli się od szczurów być nie pojedynczym ja, ale zbiorowym my. A podczas gdy szczurzyca pisała kredą – staromodnie zresztą, znieawidzonym przeze mnie pismem Sütterlina – jej mowa, to falsetowanie, cedzenie przez nos, zrzędzenie i seplenienie, nie miała końca.

Słuchałem udzielanych lekcji: Jako że my, szczury, wyprzedzałyśmy zawsze ich eksperymenty, uchodziłyśmy w oczach ludzi za szczególnie pojętne. To, co robili z nami w swoich laboratoriach, znaczy się: czego wymagali od sterylnych egzemplarzy, stosunkowo głupich szczurów laboratoryjnych, na pewno, ze ściśle naukowego punktu widzenia, zasługuje na uwagę – bez nas nie byłoby człowieczej medycyny! – ale w odniesieniu do szczurów żyjących na wolności, z laboratoryjnej perspektywy nazwanych arogancko szczurami kanałowymi, mogłoby doprowadzić do zupełnie innych, przeorientowujących człowieka rezultatów; myśl dla nas jeszcze dziś podniecająca, epokowa, nawet przy zastosowaniu człowieczych kryteriów: chwalebna.

Szczurzy ca nauczała dalej. Opanowana przez *idee fixe* siedziała na katedrze, która obok szkolnej tablicy należała do umeblowania mojego snu. Mówiła jakby do większej publiczności. Na przykład: My przekazujemy wiedzę w dziedzictwie. Człowiek musiał wkuwać tabliczkę mnożenia wciąż od nowa, my nie! My, ledwie urodzone, wiemy już, co jest godne poznania, i cedujemy posiadane wiadomości z miotu na miot. Dlatego uśmiechałyśmy



się na miarę szczurzych możliwości, ilekroć ludzie, dumni ze swoich prób z tak zwanymi szczurami laboratoryjnymi, nazywali nas inteligentnymi zwierzętami. Ta protekcjonalność, to zarozumiałstwo! Gdybyż pozwolili nam przetestować swoje wymuszone powtórzenia, poddać szeregom prób ogrom ich przytłumień, przebadać naszymi metodami wrodzoną człowiekowi agresywność, jego okrucieństwo, jego bezwzględność, upodobanie do zła, wszystko, co czyniło go tak pełnym sprzeczności. Ach, gdybyż człowiek przejął nasze opiekuńcze postępowanie i dostrzegł, że jego nakaz miłości bliźniego, o którym on tyle bajdurzył, a my nie wspomnieliśmy nigdy ani słowem, realizowany był u nas, między szczurem a szczurem. Gdybyż on to i tamto, mówimy; może by wtedy istniał nadal, człowiek zdumiewający sam w sobie.

Nie podobał mi się ten sen. Zrzuciłem jej zaciekle szczurze wojny, wytępienie czarnego szczura domowego, roznoszenie dżumy, pasożytnictwo, gryzienie niemowląt, dużo rzeczy wyczytanych a nie udowodnionych, i chciałem, podczas gdy ona cierpliwie odpierała moje zarzuty – tylko przystosowana do was szczurzość mogła przeżyć – uciec, wyrwać się ze snu. Ale dokąd? Do baśniowego lasu? W gotyckie układy fałdów malarza Malskata? Na obsadzony życzeniami i kobietami statek? Albo jako współpasażer naszego pana Matzeratha bez wizy prościutko do Polski?

Klasa była zamknięta. Przymus szkolny opanował sen. Jej dydaktyka nie dopuszczała żadnych wybiegów, nie pozwalała na dziecięce pstryknięcie palcami: Panie profesorze, muszę wyjść. Co prawda we śnie nie zgrzytała szkolna kreda, nie pachniało pastą do podłogi, a mimo to pozostawało narzucone mi pismo Sütterlina, z ostrymi końcami i wybrzuszeniami, udręka mej młodości.

Szczurzyca skarżyła się: Człowiek był niewdzięczny. Tylko samego siebie nieustannie czcił. Dla nas zawsze tylko obelgi i sromota, wstręt i obrzydzenie...

Ale ja, szczurzyco, usłyszałem własne zaklęcia, ja sławię cię wers za

wersem i szkicuję twoją podobiznę. W moim herbie zawsze było miejsce dla ciebie. Już dawno, w mojej *Powodzi*, wprowadziłem dwa szczury – jeden nazywał się Patyk, drugi Perła – które dowcipnie paplają o ludziach. Teraz, mając starość przed oczami, zażyczyłem sobie na gwiazdkę kogoś w twoim rodzaju. Jak wiesz, życzenie się spełniło. Pod choinką znalazłem młodziutkie twoje podobieństwo. Jak ona rośnie, powiadam ci, jak moja szczurzynka rośnie! Żyje sobie, dobrze utrzymana, w otwartej klatce na komodzie pełnej czystego papieru i nie chce uciekać, chce być zabawiana przeze mnie.

Po lewej stronie mojej gwiazdkowej szczurzyny stoi stół, na którym kłębi się zbyt wiele historyjek. Po jej prawej stronie na półce z narzędziami stoi nasze radio. Razem słyszymy w trzecim programie, że wychowanie rodzaju ludzkiego długo jeszcze nie będzie zakończone.

Przyznaję: sytuacja wygląda krytycznie. Wszędzie odbywają się na koszt państwa uroczystości na cześć końca. Nawet artyści maczają w tym palce. Posługując się fajerwerkami i promieniami laserowymi, geniusze projektują kosztowne podniebne widowiska, które wspaniale antycypują koniec świata i znajdują aplauz. Z użyciem prawdziwej krwi zwierzęcej – trzy tysiące litrów! – wobec zaproszonych gości niedawno w Austrii święcono Golgotę. Wszystko, nawet szerzący się głód, nazywa się mitem. To prawda, szczurzyco, my, ludzie, nie szczędzimy wysiłków, żeby przygotować swoją zagładę. Podobno można jej dokonać, żeby nie było żadnej nawalanki, trzydzieści sześć razy, pod rząd albo jednocześnie. Wielu powiada: Obłąd. Mówi się o oporze. I może uda się z czasem, myślę, może my, ludzie, na tak krótko przed ultimo zrozumiemy wreszcie, że musimy być mądrzejsi po szkodzie i dużo skromniejsi, już nie tacy zarozumiali, żeby wychowanie rodzaju ludzkiego – pamiętasz, szczurzyco! – ponownie, i odtąd z twoją pomocą, znalazło się w programie...

W naszym zamyśle człowiek  
stopniowo powinien był się uczyć  
nie tylko obchodzenia z nożem i widelcem,  
ale i z podobnymi sobie,

dalej z rozumem, wszechmocnym otwieraczem do konserw.

Niech wychowany już rodzaj ludzki swobodnie,  
tak jest, swobodnie się określi, ażeby  
wyzbyty niedojrzałości nauczył się  
ostrożnie, jak najostrożniej  
odzwyczajać naturę od chaosu.

W trakcie wychowania rodzaj ludzki  
ma jeść cnotę łyżkami, pilnie  
ćwiczyć koniunktyw i tolerancję,  
nawet jeśli to ciężko przychodzi  
między braćmi.

Na osobnej lekcji przykazano nam  
strzec snu rozumu,  
ażeby każdy wyśniony zwierz  
został obłaskawiony i grzecznie  
jadł Oświeceni z ręki.

Na poły oświecony rodzaj ludzki  
nie musiał już bez planu jak szalony taplać się w prabłocie  
i zaczął systematycznie dbać o czystość.  
Jasno wypowiadała się wyuczona higiena:  
Biada brudnym!

Skoro nazwaliśmy nasze wychowanie zaawansowanym,  
wiedzę obwołano władzą,  
i to mającą zastosowanie nie tylko na papierze.  
Oświeceni wołali:  
Biada ciemnym!

Kiedy ostatecznie, mimo całego rozumu, nie dało się  
usunąć przemocy ze świata, rodzaj ludzki  
wychowywał się ku wzajemnemu odstraszeniu.  
Uczył się tedy zachowywać pokój, aż na przeszkodzie  
stanął jakiś nie wyjaśniony przypadek.

Nareszcie wychowanie rodzaju ludzkiego  
prawie dobiegło końca. Wielka jasność  
rozświetliła każdy kąt. Szkoda, że potem  
zrobiło się tak ciemno i już nikt  
nie trafił do szkoły.

Trzeba by napisać do Sztokholmu. Dużo ludzi, z lekarzami i naukowcami na czele, musiałoby szczegółowo napisać do Sztokholmu i sporządzić listę wszystkich szczurzych zasług, żeby tamtejsi panowie wreszcie pojęli, jak nędznie przedstawiałyby się człowiecza medycyna, biochemia, badania podstawowe i co tam jeszcze bez rodzaju szczurzego. Twoje szanse, szczurzy co, nie wyglądają źle.

Co prawda panowie z komisji, kiedy sobie ich wyobrażę, mogliby mieć na myśli przede wszystkim białowłosego i czerwonoookiego szczura laboratoryjnego, ale każdy zrozumie: to wyróżnienie dla wszystkich szczurów. Jest ich obecnie podobno pięć i pół miliarda; te to się będą cieszyć. A i ja z cichym zadowoleniem założę nową kolorową taśmę w mojej maszynie do pisania i sięgając mimo twojej klatki ruszę pokręteł, bo moja gwiazdkowa szczurzyzna i ja chcemy tego posłuchać w trzecim programie. Nagle, po zapowiedzeniu nowości ze świata nauki, zamiast jakiegoś gładzenia o kosmosie i satelitach będzie szczegółowo mowa o tobie, ponieważ ty – ciesz się! – dostałaś wreszcie Nagrodę Nobla, i to za zasługi w dziedzinie badań genetycznych. Spiker przypomina obszernie twoich poprzedników, profesorów Watsona i Cricka, którzy wówczas – przeszło dwadzieścia lat temu – zostali nagrodzeni za odkrycie struktury DNA i mogli pojechać do Sztokholmu; ale potem, szczurzyco, usłyszymy w trzecim programie mnie, jak wygłaszam – któż by inny? – *laudatio* na cześć zasłużonego rodzaju szczurzego...

Wielce czcigodna Akademio! mógłbym zacząć na szwedzkiej ziemi i w pierwszym zdaniu powitać ciebie, jako szczura samego w sobie, nawet jeśli zdajesz się nieobecna, a potem dopiero obecnego króla Szwecji. Od razu przeszedłbym do rzeczy. Nareszcie, Wasza Królewska Mość! Był już najwyższy czas, żeby docenić zasługi i uznać osiągnięcia dla medycyny człowieczej, a zwłaszcza w dziedzinie badań genetycznych i tak długotrwałe owocnej manipulacji genetycznej, które bez szczura byłyby nie do pomyslenia.

Nie, szanowni państwo! Nie powinniśmy sobie zbyt łatwo ułatwiać sprawy, ograniczając się do złożenia hołdu tylko szczurowi laboratoryjnemu. Byłoby to błędne i zarazem nieuczciwe. Należy mieć na względzie tak bliski człowiekowi rodzaj szczurzy w ogólności, szczura jako takiego. Jego, zapoznanego, zaliczonego do szkodników; jego, któremu przez wieki przypisywano wszelkie zło i każdą plagę; jego, który musiał służyć za wyzwisko, ilekroć nienawiść, piana na ustach, szukała dla siebie wyrazu; jego, który tu wywoływał trwogę, tam budził obrzydzenie i przez cały czas wiązany był z padliną, fetorem, śmieciami; jego, który co najwyżej młodym, skołowanym ludziom, co krzykliwie i jaskrawo wycofali się na margines, jest miły i bliski; szczura należy tu uczcić, ponieważ zasłużył się dla rodzaju ludzkiego.

Można by teraz powiedzieć: Czy to samo nie odnosi się do myszy doświadczalnych, świnek morskich, małych rebusów, psów, kotów *et cetera*? Pewnie, również tym zwierzętom należy się hołd. Przysługa, jaką oddały rodzajowi człowieczemu, jest bezsporna. Obok szczurów jako pierwsze ssaki wysłano w kosmos mały i psy. Łajka nazywał się, jak pamiętamy, radziecki piesek. Wyrażenie królik doświadczalny jest przysłowiowe. Jestem też pewien, że członkowie szwedzkiej Akademii, szukając godnego nagrody kandydata, starannie rozważali, czy nie powinno się wyróżnić rezusa albo psa, jeśli nie mysz, to może jednak świnkę morską; i z pewnością podjęcie decyzji nie przyszło panom łatwo.

Ale pierwszeństwo słusznie przypadło szczurowi. Od niepamiętnych czasów przynależy on do nas. Na długo przed nami istniał już karmiony pierśią, jak gdyby jego zadaniem było umożliwienie pojawienia się w ślad za innymi zwierzętami człowieka. Toteż kiedy Bóg zesłał potop na ziemię i swemu słudze Noemu kazał zbudować arkę dla uratowania wszystkiego, co pełza i fruwa, szczur nie został wykluczony, jak to poświadcza pierwsza księga Mojżesza.

Odtąd wszelka literatura była świadoma istnienia szczura. Szczurzość

stała się zasadą. Wystarczy wziąć do ręki powieść *Dżuma* albo zatytułowaną imieniem naszego laureata – wprowadzie w liczbę mnogiej – sztukę teatralną Hauptmanna. Można by przez Goethego i często wspomnianego Orwella wymieniać dalsze przykłady udziału szczura w rozwoju literatury światowej; jeśli nie jest wymieniony dosłownie czy zgoła w tytule jako najdzielniejszy ze szczurów, to można się doczytać go, długoogoniastego, między wierszami. Wszelako pisarzom podobało się utrwalanie negatywnej opinii laureatki, aczkolwiek w niezapomnianych obrazach o legendotwórczej sile; straszna scena tortur w sławnej powieści Orwella; problematyczne, przesadne eksponowanie wyjątku, pogryzienia niemowlęcia przez głodne szczury. Cenne natomiast, że dzięki Grimmowemu zbiorowi podań i epickiemu poematowi Roberta Browninga poznaliśmy szczurołapa z Hameln; notabene mieszkańcy tego miasteczka szczególnie się ucieszą z tegorocznej Nagrody Nobla.

Powtórzmy: przeważnie ludzkiej niedoli, biedzie, głodowi, przerażeniu, chorobie i potrzebie wstrętu przypisany, szczur doszedł dotychczas jedynie do wątpliwych literackich zaszczytów: obarczano go odpowiedzialnością za zarazy, ostatnia nędza przywoływała go na plan, jego miejscem była kloaka, slums, loch, kacet, podziemie. Zwiastował nieszczęście, złe czasy i zatonięcie statku.

Tak, był zawsze obecny, także z retrospektywnego, historycznego punktu widzenia. Przyjrzyjmy się nasamprzód tylko szwedzkiej historii; miejsce wręczania nagrody daje zarazem prawo pierwszeństwa: kiedy z przeludnionej wyspy Gotlandii zaczęła się wielka wędrówka ludów, pod deskami pokładu żeglowały z Gotami przez Morze Bałtyckie na południe szczury okrętowe, aż ukazał się ląd, obszar ujścia Wisły, po czym historia nabrała biegu, pociągając za sobą szczury. A kiedy wielki król szwedzki przeprowadzał się ze swą chłopską armią przez Bałtyk, żeby wziąć udział w sporze religijnym, jaki nawiedził Niemcy, na wszystkich statkach potężnej floty zagnieździły się szczury. Naturalnie kiedy królewskie zwłoki wracały do kraju, szczury

ponownie były nad kilem.

A kiedy w początkach naszego wieku rosyjska flota bałtycka stała na redzie portu w Lipawie, nadbałtyckim miasteczku, kiedy rozpalono pod wszystkimi kotłami, podniesiono kotwice i miano rozpocząć długą podróż morską do Japonii, tysiące szczurów opuściło pancerniki i krążowniki pancerne, transportowce i torpedowce, bo zapowiadało się zatonięcie tej floty na Morzu Żółtym. Szczury ratowały się płynąc wpław; ale nikt nie pojął ich ostrzegawczej ucieczki, w najlepszym razie obrzucano je przekleństwami.

To są nasi współcześni! Nie sposób sobie wyobrazić zmiennej historii rodzaju ludzkiego bez szczura. I oto, nareszcie, późno, ale miejmy nadzieję nie za późno, zostaje uhonorowany. Spotyka się z człowieczą wdzięcznością. Tak, uczyliśmy się od niego. Cierpliwie i bezinteresownie pomagał nam znajdować nowe drogi medycyny. Wolno chyba zapytać, czym byłby przemysł farmaceutyczny bez szczura? A jeśli dzisiaj przeciętna długość życia współczesnego człowieka zbliża się do biblijnej osiemdziesiątki, to ten zysk również należy zawdzięczać jemu i poniesionym przezeń ofiarom.

Musiał cierpieć dla nas. Nauce niełatwo przychodziło opierać się protestom przyjaciół zwierząt; ale jej doświadczenia nie były celem samym w sobie, lecz przynosiły efekty: szczur nie cierpiał na próżno. Po długoletniej współpracy ze sławnymi genetykami udało mu się nie tylko związać z człowiekiem poprzez świat idei, symboli i poetyckich obrazów, ale i mieć swój udział w człowieczej naturze; szczur zaczyna działać w człowieku, człowiek w szczurze. Bo po rozbiciu jądra atomu powiodło się rozbicie jądra komórki. Kod genetyczny został rozszyfrowany. I co się okazało: pamięć komórki, przechowywana w jej jądrze, może być przekazana dziedzicznie gdzie indziej. Według wytycznych genetyki można obecnie dokonywać różnych manipulacji. Jak ongiś chłopski spryt z konia i osła pozyskał pożytecznego muła, tak dzisiaj udaje się z mikroorganizmów pozyskać przeprogramowane bakterie, które na rozkaz genetyczny zżerają zalegające w różnych punktach świata odpady ropy naftowej. A jakże, pierwiastek

faustowski w ludzkiej naturze możliwym uczynił to i jeszcze więcej; bo on, nasz szczur, gotów jest się poświęcić dla przyszłych efektów.

Wiem, że nie brakuje wrogów postępu, którzy od dawien dawna próbują każdą wielką myśl utopić w gadaninie i wszelką śmiałość zasypać lękliwością. Im należy powiedzieć: To, czego zaniedbano w trakcie Stworzenia, staje się teraz faktem! Gdzie – przy całym szacunku – Pan Bóg sądził, że zrobił coś dobrze, tam teraz możliwe są dawno należne korekty. Krzywe drzewo, o którym filozof Kant mówił, że stanowi niezmiennie wizerunek człowieka, można wreszcie, wiemy o tym, wyprostować. Są widoki na to, żeby najszlachetniejsze właściwości obu gatunków, najcenniejsze dziedzictwo człowieka i znane zalety szczura, jako wybrane geny połączyły się w symbiozie; bo gdyby wszystko pozostało, jak było i jest, gdyby człowiek miał nieskrępowaną możliwość zachowywać się tak niepoprawnie, jak zachowuje się od czasów starego Adama, potknie się o niedostatek swych podstaw. Jego rozszyfrowane obecnie geny ujawniają rzecz straszną. Marnie wyposażony, musiałby się zniszczyć. Doszedłszy do kresu swych możliwości nie miałby innego wyboru jak tylko unicestwić siebie, człowieka niepoprawnego.

Tak nie może być. Temu trzeba przeciwdziałać. Rozum i etyka zobowiązują nas do wyraźnego zaznaczenia: tylko dzięki wyborowym dodatkom człowiek w ulepszonym wydaniu może ostać się w przyszłości. Tylko kiedy szczurzość wzbogaci ludzką substancję, uzupełni, podda kontroli, z jednej strony przytłumi, z drugiej wzmocni, tu zabierze, tam da, uwolni od „ja”, otworzy na „my” i przywróci nam, poprawionym, zdolność do życia, możemy spodziewać się czegoś po przyszłości. *Homo sapiens* zostanie uzdrowiony przez gatunek *rattus norvegicus*. Dokona się dzieło Stworzenia. Przyszłość należy do szczuroczłowieka.

Na razie – Wasza Królewska Mość! – przeczuwamy go tylko. Na razie – wielce czcigodna Akademio! – jego obraz nie ma wyraźnych konturów. W najlepszym razie widać go w snach. Ale ostatnie manipulacje pozwalają już



dostrzec pierwsze oznaki jego istnienia. Czy to w amerykańskich ośrodkach badawczych, czy w radzieckich laboratoriach, czy też w japońskich lub indyjskich instytutach, wszędzie, a więc również w najszacowniejszym uniwersytecie Szwecji w Uppsali powstaje on, rodzi się, nabiera kształtu; jak świat długi i szeroki szczur i człowiek zdecydowali się zaistnieć na nowo.

Toteż dzisiaj należy uczcić także i jego. Gratulując naszemu szczurowi zasłużonego wyróżnienia Nagrodą Nobla złożmy najlepsze życzenia jemu, którego jeszcze nie ma, którego oczekujemy z utęsknieniem. Niech przybywa, aby nas odciążyć i przewyciężyć, ulepszyć i na nowo uczynić możliwymi, zastąpić i wybawić, prędko, wołam, prędko, zanim będzie za późno, niech się stanie: wspaniały szczuroczłowiek!

*ROZDZIAŁ SZÓSTY, w którym szczuroczłowiek jest do pomyślenia, żołnierz śni na warcie, szczurzyca okazuje się biegła w topografii, kaszubskie ziele krzewi się bujnie, kobiety dostają nieswoje imiona, zaraz po uprzątnięciu zaczyna się postczłowiecza historia, we mnie upatruje się źródła błędu, wielki pieniądz ma władzę, a Wilhelm Grimm pomysł.*

– Dlaczego nie! – wola przez telefon nasz pan Matzerath, którego szofer wiezie autostradą na wschód. – Dlaczego nie szczuroludzie – powiada, a ponieważ ja oponuję, z miejsca gotów jest do dłuższej tyrawy: – Oto goła myśl jest już odziana w spodnie, skarpetki i buty...

– Nie wszystko, co sobie człowiek wymyśli, powinno się realizować!

– Powinien był to sobie powiedzieć Bóg Ojciec, kiedy obiema rękami rzucił się do lepienia z gliny starego Adama.

Nasz pan Matzerath szuka potwierdzenia swoich poglądów u szofera Bruna, dla którego już za czasów zakładu dla nerwowo chorych bujdy Oskara były rzeczywistością. Monstrum się podoba, zwłaszcza że od szczuroczłowieka wie dzie prosta droga do Malskata i jego obrazów: – Gdyby malarz, ozdobiwszy szlzewicką katedrę gotyckim fryzem z indyków, który wreszcie wprowadził jakiś ruch w zastygły obraz historii, przeniósł dalsze baśniowe stwory na wapienną zaprawę, odwieczne marzenie człowieka, żeby będąc sobą być także zwierzęciem, nabrałoby nowej ekspresji i stałoby się wiarygodne dla wszystkich ekspertów od sztuki.

Nasz pan Matzerath wylicza: czterokopytne centaury, uśmiechającego się Sfinksa, pełnych gracji bykogłowych mężczyzn Picassa, hinduskiego Ganesię z głową słonia i zabawną trąbą, nimfy i nereidy, ptasio-, psio- i węzogłowych bogów. Ogród rozkoszy malarza Boscha zaprasza go do spacerów od motywu do motywu. Wręcz zachwycony, jak gdyby życzył sobie szponów i

zwierzęcej główki, woła przez telefon: – We Francji gotyckie katedry naszpikowane są groteskowymi, demonicznymi, piekielnymi rzygaczami, z których każdy, gdy się im dokładnie przyjrzeć, upodabnia gatunek ludzki do innych rodzajów zwierząt. Oto stroją grymasy potworki z obliczem szakala i rysia. Widziałem koziołkę baby i rogatych facetów. Zawsze życzyliśmy sobie zwierzęcej postaci, jelenia czy orła, także ryby, chcieliśmy być łuskowaci albo skrzydlaci, choćby tylko w połowie. Jakaż piękność nie pragnęłaby zaznać przyjemności z potworem! A potężna para anielskich skrzydeł! A kozioł, który w diabła, diabeł, który cuchnący tkwi w koźle! Nie, nie tylko dla dzieci wiarygodny jest kot w butach. Widzimy siebie jako chrząszcza: leżącego na grzbiecie i bezradnego. I często wbrew naszej woli, dlatego że baśnie są tak potężne, stawaliśmy się sarną, żabą, siedmioma łabędziami, a byliśmy tylko zaczarowanymi ludźmi. Niech pan zapyta Żabiego Króla, który zamieszkuje studnię tuż obok Domku z Piernika i w pańskim filmie najwidoczniej ma tylko rolę statysty...

Tutaj nasz pan Matzerath musi przerwać. Wyraźnie słyszalny był w telefonie samochodowym znajomy trzask, zarazem hamowanie, potem przekleństwo szofera. Na krótko przed Helmstedt kierowca BMW – „Typowe”, mówi Bruno – przy wyprzedzaniu spowodował wypadek. Dzięki Bogu policja, wkrótce na miejscu, nie musi przez radio wzywać karetki. Strona przeciwna zostaje opisana jako „kłótniwa para po trzydziestce”.

- Nie jest to dobry omen! – kraczę.
- Nic, co by mogło nas powstrzymać!
- Powinien pan czym prędzej zawrócić!
- Ach, co tam! – woła nasz pan Matzerath.

– Zwykła stłuczka. Godzinka straty czasu. Wjedziemy do Polski z jednym wybrzuszeniem i kilkoma zadrapaniami, co w mercedesie nie wygląda za pięknie. Diabli by wzięli tych niedorozwiniętych ścigantów! Ale wracając do tematu: dlaczego w przyszłości nie szczurołudzie! Malarz Malskat nie miałby zastrzeżeń.

Ten na razie nie mógł malować gotyckich katedr, krużganków, transeptowych sklepień i przypór, bo we wszystkich stronach świata panowała wojna. Po zmyciu w lubeckim szpitalu Świętego Ducha pod lektorium przedsiönka uszkodzonego kazeinowego malowidła z dziewiętnastego wieku, które uważano za autentycznie gotyckie, i zastąpieniu własnym szybko starzejącym się gotykiem oraz wykonaniu dalszych zamówień firmy Fey na okupowanym już Górnym Śląsku Malskat poszedł w kamasze.

Przez większość czasu należał do oddziałów okupacyjnych w północnej Norwegii, gdzie stojąc na warcie dosłużył się obergefrajtra. O ile wiem, nigdy nie zdarzyło mu się wystrzelić. Ani odmowy wykonania rozkazu, ani zaostzonego aresztu. Nie przypięto mu żadnego odznaczenia, nie odnotowano bohaterskich wyczynów, żadnych anegdot.

– Był kiepskim żołnierzem, ale ciekawym człowiekiem – zeznawali w połowie lat pięćdziesiątych dawni wojacy, których na wniosek obrońcy Flottronga przesłuchiowano jako świadków w lubeckim procesie fałszerza obrazów. Już wówczas Malskat nabijał się ze sporu historyków sztuki o indyki. Każdemu, kto go o to poprosił, ale nigdy oficerom, rysował od ręki egzemplarze tego ptactwa. Jeden ze świadków ubolewał, że sygnowany przez Malskata rysunek indyka zaginął mu niestety podczas odwrotu. Koledzy z tej samej izby mieli szczególną przyjemność, kiedy w długie zimowe noce Malskat czytał im kawałki z książki, w której jakiś profesor od sztuki uzasadniał odkrycie Ameryki przez Wikingów indyckim fryzem. Można było boki zrywać.

Według innych zeznań Malskat ozdobił wewnętrzną stronę drzwi swej żołnierskiej szafki fotografią popularnej w czasach pokoju i wojny aktorki filmowej Hansi Knotek. Cóż, podczas wojny w szafce każdego żołnierza sfotografowana aktorka była podkładką pod to i owo, ale Malskat powiedział, że Knotek ucieleśnia coś nadzwyczajnego, na jej podobieństwo powstało masę gotyckich Madonn, aniołów i świętych, poza tym on ją uwielbiał i

żadnego filmu z nią nie opuścił.

W toku lubeckiego procesu malarz wyznał, że również po wojnie pozostał wierny urodziwej gwiazdzie filmowej, ostatnio oglądał Knoteck w *Wesołej stacji benzynowej* i *Ojczystych dzwonach*, o czym można się przekonać po jego malowidłach ściennych w prezbiterium i głównej nawie kościoła mariackiego.

Porównania dowodzą, prócz podobieństwa, Malskatowego daru potęgowania ekspresji: z raczej pocziwej twarzyczki wydobywał ból i wewnętrzny ogień. Nie tylko sławna Maria z Dzieciątkiem z pierwszego pola prezbiterium, także Matka Boska w grupie *Ukrzyżowania* w głównej nawie, tak samo Maria Magdalena, której głowa przez defekt w lewym oku nabiera znaczenia fragmentu, i Maria z gołębiem w scenie *Zwiastowania* to wszystko gotyckie siostry owej ekranowej piękności, której podobizna, notabene stopklatka ze sfilmowanej operetki *Ziemia rodzinna*, przez cztery lata wędrowała z szafki do szafki, bo oddział Malskata przenoszono raz tu, raz tam, a on wszędzie stał na warcie.

Tak widzę go z karabinem 98 K. Strzeże składów amunicji, koszar, biura płatnika. Zimno jest nieopisane. Jego długi nos marznie. Rad byłby odwiedzić malarza Muncha, którego obrazy pełne krzyku i milczenia można zobaczyć w Oslo, w jego zimowej pracowni, żeby nauczyć się od niego siły wyrazu, ale nie wysyłają go tam służbowo.

Poza tym niewiele da się powiedzieć o jego żołnierskich czasach. Podczas gdy ofensywy zamieniły się w odwroty, które nazywano wyrównywaniem frontu, u-booty przestały się wynurzać, jedno miasto po drugim ginęło pod dywanem bomb, Führer przemawiał coraz rzadziej, wierzono w cudowną broń i w jeszcze bezimiennych obozach zagłady przybytki zapisywano w księgach jako ubytki, Lothar Malskat sporządzał podług norweskich motywów pastelowe widoczki, które wymieniał na papierosy i czekoladę. Zawsze był namiętym palaczem. Ale wszyscy świadkowie mówili jedno: Lubiany przez oficerów i szeregowych Prusak wschodni nigdy nie sięgnął po

pędzel czy kredę na rozkaz; tylko z własnej chęci i dla przyjemności.

Ale zdarzyło się, że podczas gdy on trzymał wartę na dalekiej Północy, w noc poprzedzającą Niedzielę Palmową roku czterdziestego drugiego miasto Lubeka zostało zbombardowane przez brytyjskie lotnictwo. Malskat z opóźnieniem przeczytał o tym „terrorystycznym nalocie” w żołnierskiej gazecie. Szczególnie ucierpiało śródmieście i kościoły z wypalanej cegły. Tak to sobie zamierzył brytyjski marszałek lotnictwa Harris. Kościół Marii Panny spłonął. W kilku miejscach zawaliło się sklepienie prezbiterium. Kiedy kładzono prowizoryczny dach i naprawiano sklepienie, biskup Lubeki, który jak wielu ewangelickich duchownych był nazistą, kazał je zamknąć zwornikiem w kształcie swastyki; Malskat musiał jeszcze widzieć tę wizytówkę lubeckich Niemcochrześcijan, kiedy w roku czterdziestym dziewiątym z kubłami farby i drapakiem wspiął się na rusztowanie i zobaczył, ile pracy go czeka.

Oczywiście swastykę wkrótce potem usunięto, jak to wszędzie było przyjęte w początku lat pięćdziesiątych; biskup natomiast, jeśli nie umarł, pozostał w głębi ducha nazistą po dziś dzień.

A gdyby malarz Malskat, jak to nasz pan Matzerath rozważa od dłuższego czasu, namalował nie tylko amerykańskie ptactwo, lecz pod *Pocałunkiem Judasza* w drugim polu koło drzwi, zamiast przeplatających się orłów i lwów, szczury, biegnące szczury, które należałoby w sąsiadujących medalionach połączyć w pary z powyginanymi ludzikami? I gdyby kontynuował ten motyw, dojrzały po latach wojny, gdyby jako obraz baśniowy w tak zwanym oknie zwierzęcym koło lubeckiej Kaplicy Listów udało mu się w stylu gotyckim pokazać zespolenie, mało tego: pojednanie szczura i człowieka?

Jednakże u Malskata nie da się wykazać obecności szczurów. Nigdy nie wykroczył poza indyki. Niemniej, jako że jego dwudziestu jeden świętych na sklepieniu prezbiterium wkrótce po procesie zostało brutalnie zmytych, o czym do dziś świadczą brudne pola, można by snuć przypuszczenia, że na tej czy innej głowicy filara, na których święci stali trójkami jeden przy drugim,

wplótl jednak szczuroludzi między liściowe ornamenty. Po tylu wartach na dalekiej Północy: można by się tego po nim spodziewać.

Nasz pan Matzerath mając za sobą stłuczkę samochodową i z pewnym opóźnieniem widząc przed sobą pod Helmstedt Niemiecką Republikę Demokratyczną wraz z ponad miarę zaznaczoną granicą, po raz ostatni chwyta za telefon, żeby przyznać mi słuszność, także w imieniu swego szofera. – Podoba mi się ta myśl! – woła. – Dlaczego nie. Zdolności Malskata dostatecznie często były niedoceniane. Na pewno szukał okazji, żeby rozwinąć – choćby tylko w detalu – swoje sny na warcie. Czy w ciągu okien środkowej nawy lubeckiego kościoła Marii Panny – niech pan to sprawdzi! – nie widać proroka Jonasza w pysku ryby, jak gdyby wieloryb i Jonasz byli jedną postacią? I czy szcur nie tkwi w człowieku jak biblijny Jonasz w wielorybie?

Najwidoczniej przy kontroli granicznej trzeba trochę poczekać. Szofer proponuje, żeby zmieniając program podróży przenocować w Berlinie Zachodnim. Nasz pan Matzerath upiera się jednak przy hotelowych łózkach w Poznaniu, po czym wpada w ton gawędziarski, antycypując pierwszą wizytę u swej babki i snując rozległe wspomnienia: – Z Poznania zajedziemy na czas. Czy wciąż jeszcze słoneczniki stoją przy płocie? I czy ona wciąż jeszcze nosi cztery spódnice, jedną na drugiej? Nawiasem mówiąc, w mojej młodości tajemniczą, związaną z wieloma nieszczęśliwymi wypadkami rolę odgrywała wystawiona w Muzeum Miejskim galionowa figura. Drewniana i pomalowana, wyrastała z łuskowatego rybiego ogona kobieta z pełnym biustem, którą nazywano Niobe albo potocznie Zieloną Maryjką i której wstawione bursztynowe oczy miały jakoby śmiercionośne działanie. Od szczuroludzi natomiast należałoby odwrotnie oczekiwać ożywiającego działania. Jeśli Malskat tego nie zrobił, to ktoś inny powinien zilustrować naszą przyszłość: strasznie albo do śmiechu. Ja w każdym razie jestem ciekawy; przestarzały i w dużej mierze nudą tchnący człowiek dawno już potrzebuje śmiałej manipulacji. O ile wiem, ta nowa specjalność, która tu

jakiś gen ujmuje, tam dodaje, znana jest coraz większej liczbie pilnych rzemieślników.

Pewnie podnieśli szlaban. Nasz pan Matzerath odwiesza słuchawkę. Lekko uszkodzonym mercedesem z prędkością stu kilometrów na godzinę przejedzie NRD, aż pod Frankfurtem, za mostem na Odrze, podniosą następny szlaban, tym razem biało-czerwony, i płasko – po katolicku cierpiąc swój los – rozpostrze się przed nim Polska.

Jaki jest zarazem ciekawy i lękliwy. Czy jego babka pozostała tak obszerna, jak tego jej życiu wewnętrznemu życzył od dawien dawna? Obawiam się, że on się obawia. Ale teraz musi jechać. Zgodnie z dobrą połową swej problematycznej egzystencji Oskar jedzie do domu.

Jeszcze we śnie, zdrętwiały w oczekiwaniu,  
wiem, co nastąpi: znam ten zapach z ust.  
Odpowiedzi stoją już na baczność.

Wszystkie prezenty mogą pozostać zapakowane  
i każda tajemnica strzeżona.  
Ta rola próbowana przez lata.  
Nasyconemu przedsmakiem, znany mi jest  
koniec wszystkich historii.

Czego mimo to oczekuję?  
Jąkania i zagubienia wątku.  
Najdroższa, że będziemy sobie obcy,  
tego nigdy nie przypuszczałem,  
że uczynisz mnie przepuszczalnym  
na słowa, które skamlą i kwękają.  
Już nie będzie zażywania po trochu złudnej nadziei,  
pigulek i krągłych uszczęśliwaczy,  
ale strach przed nie zapisanym papierem.

Jeszcze migoce pusty ekran  
i szuka swego programu.  
Statek nie chce dopłynąć,  
z lasu uciekła akcja,  
z Polski nic nowego, ale obraz  
wypełnia się i wiem: To ty, szcurzyco,



która mi się śnisz.

Zdrętwiały w oczekiwaniu, przeczuwam,  
co teraz nastąpi: w odcinkach  
nasz koniec.

Zwrócona ku mnie, z wąsami nastroszonymi na wszystkie strony, żeby nic niepowołanego nie wtargnęło w jej rewir, powiedziała: Właściwie to bez znaczenia, czy to zmyślne myszy, czy osobiście my, szczury, obsadziłyśmy oba wielkie systemy komputerowe, bo realizacja człowieczych programów przebiegała wyłącznie według ludzkich zamysłów. My nie potrafiłybyśmy wymyślić takiego piekła. Toteż trafnym określeniem osiągniętego rezultatu jest: spalona ziemia.

Zrobiła pauzę i przestała poruszać wąsami. Mogłem sobie teraz wyobrazić, co wystarczająco często było opisywane i nazywane stanem końcowym; ale takie wyrażenia jak „krajobraz księżycowy” czy „totalne spustoszenie” nie oddawałyby istoty rzeczy.

Nawet piękne Kaszuby, podjęła, zwane dawniej Szwajcarią kaszubską, ze swymi kartofliskami, żywopłotami jeżyn, mieszanymi lasami, z obfitującymi w ryby jeziorami i rzeczką, która nazywała się Radunia, utraciły swój wygląd. Zaplecze, nie trafione wprost, ucierpiało jednak od promieni neutronowych i gamma, które sięgały swym oddziaływaniem po Tczew i Kartuzy, a jeszcze bardziej od atomowych wybuchów, które miały swe ziemne punkty zerowe w śródmieściu Gdyni i położonego na wschód od Wisły Elbląga. Płaska okolica nie stawiała podmuchom żadnego oporu, a pagórkowate lasy spłonęły w ognistych burzach, które hen aż po Bory Tucholskie obróciły w popiół wszystko, co palne. Ale zasiedlone z dziada pradziada przez Kaszubów tereny najbardziej ucierpiały wskutek zaćmienia słońca, gwałtownej zmiany klimatu i radioaktywnych burz pyłowych, które po Wielkim Bum-Bum określiły pogodę na całym świecie i unicestwiły niemal wszelkie życie; nawet jeszcze dzisiaj – a minęło odtąd sporo czasu – boimy się tego, co przynoszą ze sobą te burze.

Ty wiesz, bratku, powiedziała szcurzyca, jak wyglądały szczegółowe prognozy waszych uczonych. U schyłku człowieczego czasu dochodziło do współzawodnictwa w bilansowaniu i podliczaniu. Szło o megatony i megatrupy. Nazywano to scenariuszami. Ale choć sprzeczne w szczegółach, w odniesieniu do całości te futurologiczne raporty potwierdziły ostatnie dokonania rodzaju ludzkiego, nad którymi pracowały mózgi wielu specjalistów: żaden region nie uszedł cało, nigdzie nie zachowała się idylla, nawet najbardziej południowe ostoje zostały, choć z opóźnieniem, w końcu osiągnięte. Wszędzie docierały promieniujące cząsteczki: nie było doliny zbyt wąskiej, nie było zapomnianej wysepki. Tu śmierć następowała od razu, tam trwało cierpienie. Nie było ani śladu życia, a raczej, powiedzmy to według człowieczych kryteriów, wkrótce nie było już ani śladu wyższego życia. Można by rzec, żartobliwie trawestując używane czasem przez człowieka słówko: wszystko zostało unicestwione doszcz(urz)ętnie!

Ponieważ ja nie kwapiłem się do protestów, do pytań, oszczędziła mi szczegółów i powiedziała: Nie będziemy dokumentować waszego końca aż po ostatnią kryjówkę, lecz zostaniemy w tej okolicy, jakkolwiek ciebie ciągnęło do podróżowania: byłeś nawet w Indiach, Chinach i na Alasce. Ale chociaż ciekawość wabiła cię tu i tam, czułeś się swojsko nie w Kalkucie, lecz między deltą Wisły a nadbałtyckimi kępami. W każdym razie twoje Kaszuby zamieniły się z powrotem w bezdrzewną morenę czołową, z oczkami wodnymi pośród rumowisk, pokrytą zaschłym szlamem, porysowaną, spękaną, gościnną tylko dla nas, szcurów, choć i my straciłyśmy przeszło dwie trzecie naszej populacji. Na pewno słuszne było zakopanie się w porę, ale ocalałym pozostałościom naszych stad zdołały pomóc tylko nigdy przedtem nie praktykowane nagromadzenie zapasów i twardy trening kondycyjny...

Teraz próbowała mi wmówić, że pod koniec człowieczego czasu wytypowane z góry rodziny szcurze zagnieździły się w elektrowniach jądrowych i składowiskach atomowych odpadów, żeby się zahartować i

uodpornić. To śmieszne! – zawołałem – typowe szczurze przechwałki!

Opowiadała dalej, z ostentacyjnym spokojem: W każdym razie po opuszczeniu schronów czułyśmy się diabelnie samotne. Bo wraz z człowiekiem wyginęły wszystkie zwierzęta domowe. Nie przetrzymały ani psy, ani koty. Z lasami szczeła dzika zwierzyna: ani jeże, ani dziki nie zdołały tego przeżyć. Dopiero dużo później spostrzegłyśmy z ulgą, ale i speszone, że nie byłyśmy wcale takie samotne, jak to wyglądało na pierwszy rzut oka.

Nie mogła przestać się zdumiewać: Zadziwiające, nieprawdaż, że obok karaluchów i plujek uratowało się parę wróbli i gołębi? A w kaszubskich oczkach wodnych przechowały się żabi skrzek i rybia ikra, tak że mogłyśmy liczyć, iż powrócą do życia. Wkrótce pojawiły się salamandry i jaszczurki. Kiedy później, dużo później z mchami, porostami i skrzypami, z trzcina i niskimi krzakami powstało wokół oczek wodnych nowe życie, powróciły też komary, ważki nawet i ci wieczni nudziarze: ślimaki lądowe i wodne. Ach tak, były jeszcze obrzydliwe robaki, właściwie nie dżdżownice – myśmy nazywały je sadzownicami – ale niewiele tego. Czegoś brakowało. Ach, bracie, poskarżyła się szczurzyca, jakżeście nas osamotnili.

Ponieważ ja udawałem nieżywego i nie miałem ochoty dzielić się z nią żadnymi uwagami, powróciła w swojej relacji do ultimo: Kiedy w niewiele dni po waszej finałowej rozgrywce ciszę w systemach naszych podziemnych korytarzy i schronów odczuwałyśmy jako nazbyt przygnębiającą, posłałyśmy kilka młodych szczurów na górę. Jednocześnie trzeba było usunąć wszystkie urodzone podczas Wielkiego Bum-Bum i natychmiast zdechłe mioty. Żaden z młodych szczurów nie wrócił. Kilkakrotnie podejmowałyśmy podobne wypadki. Wreszcie chcąc oszczędzić dorastającą populację posłałyśmy stare szczury, z których kilka przyniosło informacje, po czym dostało konwulsji i zdechło: krwotoki wewnętrzne, tumory. Wierz nam, bracie, wiadomości z powierzchni brzmiały jak ludzkie przejawskrawienia. Na górze nie ma nic, mówiły stare szczury. Na koniec przychodziły im do głowy takie słowa jak

ziemia niczyja albo flunkerte erresz, często przywoływana Spalona Ziemia. A kiedy w wielkich rodach, nadal jednak zachowując dbałość o rezerwy, zakończyłyśmy, musiałyśmy zakończyć czas ukrywania się, ponieważ ład wewnętrzny, zwłaszcza w dużych schronach, zaczął się załamywać, z miejsca zapragnęłyśmy wrócić i raczej znosić stres na dole niż pustkę na górze.

Szczurzyca umilkła, jakby jej milczenie miało uwydatnić pustkę, nicość.

Nie udawałem więc dłużej nieżywego: I wyście to wytrzymały: najpierw zakopanie pod ziemią, potem osamotnienie na górze?

Cóż nam pozostało innego, odrzekła. Jako że wszystkie możliwe wyjścia były dla nas zablokowane, musiałyśmy obrać postępowanie, do którego przywykłyśmy, jak sięga szczurza pamięć. A mimo to tylko nieliczne zdołały przetrwać ten wczesny okres nowej epoki. Wiele chorowało, inne nie były zdolne do urodzenia zdrowego potomstwa. Raz po raz trzeba było zagryzać zdeformowane mioty. Bardzo powoli udawało się nam przestawić na postczłowiecze warunki. Nie, wciąż jeszcze cierpimy na późne niedomagania...

Ale na szczęście, zawołała szczurzyca, do burz pyłowych i roznoszonych przez nie opadów przystosowały się owe rody, które u schyłku człowieczego czasu osiadły w elektrowniach jądrowych i składowiskach odpadów atomowych i nabrały odporności. Im udało się utrzymać pierwsze zdrowe młode. Ale zdrowy to nie znaczy nie zmieniony: nasza dawniej szarobrunatna sierść jest odtąd zielona, jak gdybyśmy chciały ocalić ową barwę, która wraz z człowiekiem została poniekąd unicestwiona. I nie tylko my się zmieniłyśmy. Wróble i gołębie mają białe i szkarłatne upierzenie. Żaby i inne płazy są dużo większe, ale prawie przezroczyste. Co prawda ryby w oczkach wodnych przypominają tradycyjne płocie, karpie i szczupaki, ale i one są zmienione w okolicy skrzel i płetw bocznych, jak gdyby miały tam wyrosnąć kończyny, zdatne niebawem do wyjścia na ląd. Ach tak! Jeszcze to: plujki rodzą żywe młode i karmią piersią, wyobraź sobie, karmią piersią jak my. Są latające ślimaki i pająki, które rozpinają swoje sieci nad wodą. Sadzownice

żywią się, bardzo pożytecznie, złogami sadzy, są jednak niejadalne nawet dla nas...

Zawołałem: Wyczytałaś to, szcurzyco! W jakichś starych szpargałach! Ta trywialna menażeria z *science fiction*! Malskatowe baśniowe stwory i Breughlowskie monstra! Zwyczajne mutacyjne szachrajstwo!

Spokojnie, jak gdyby moja uwaga powinna była paść już dawno temu, powiedziała: Posłuchaj, staruszk. Nie musisz wierzyć w to, czego nie chcesz słyszeć. Ale przy okazji chętnie ci pokażemy parę chodzących po lądzie ryb, latających z szumem skrzydeł ślimaków i karmiących piersią plujek. Jeszcze się zdziwisz.

Drażniły mnie jej poufale zwroty – tatuśku, mówiła, pocziwy, stary tatuśku – ale szcurzyca, mimo moich złośliwych wywodów na temat, jak powiedziałem, szcurem podszytych fantazji, niewzruszenie kontynuowała relację: W każdym razie osiadłyśmy ponownie na powierzchni ziemi. Tylko nasze zapasy pozostały zmagazynowane pod powierzchnią. Na górze było na razie niewiele do jedzenia, a to, co było, zostało skażone przez szkodliwe substancje. Musiałyśmy rozwinąć systemy ostrzegawcze i czerpać z zapasów, aż nabrałyśmy jakiej takiej odporności i mogłyśmy najadać się tym, co znajdowałyśmy. A w naszym regionie, który kiedyś był twoim, znajdowałyśmy sporo; bo mury wzniesionych przez człowieka budowli, czy to blok mieszkalny, czy koszary, domek szeregowy czy zabudowania fabryczne, kościół czy teatr, przetrwały i oferowały w piwnicach i halach magazynowych wszystko, czego nam było potrzeba, żeby się wyżywić. Żyłyśmy całkiem nieźle w tym przejściowym okresie i miło wspominamy magazyn konserw polskiej milicji. Puszki z białej blachy nie stanowiły dla nas problemu. Przeważnie znajdowałyśmy zakonserwowany bigos, parówki i gulasz. Była też mielonka i flaki w puszkach i wiadrach. Poza tym gęsie podróbki z gotowaną kaszą. Ten wielki magazyn mający służyć samoobronie państwa odkryłyśmy na przedmieściu Wrzeszcz, na Strzyży Górnej, gdzie dawno temu stał pułk huzarów przybocznych następcy tronu, a na ostatek

milicja. W Gdańsku dotarliśmy do wielu hurtowni spożywczych i magazynów stołówki stoczni Lenina. Ale poza tym wolne od ludzi miasto wydało nam się w swych spiżarniach i lodówkach bardzo marnie zaopatrzone. Musiałyśmy szukać i szukać, i nabierałyśmy przy tym miejskości.

Widzisz, powiedziała szcurzyca, nasze położenie było do przyjęcia. Jako że bomby oszczędzające zgodnie ze swym charakterem i celem unicestwiły tylko wszelkie życie, w centrum i w porcie zachowała się nie tylko substancja każdej budowli, pozostały też nietknięte pojazdy i sprzęt. Staremu Miastu, raz po raz niszczonemu ludzką ręką, potem kosztownie odbudowywanemu, nie brakowało żadnej wieży i żadnego szczytu. Panna Maria wysiadywała jak od niepamiętnych czasów. Po staremu elegancka wieża ratusza unosiła ku niebu jakiegoś pod sadzą pozłacanego króla. Prześcigając się w ozdobach fasad stały rzędem kamienice Długiej, Mariackiej, Ogarnej, Piwnej i Chlebnickiej. Otwarte i pięknie zaokrąglone stare bramy miejskie, wspaniała Brama Zielona, choć jak wszystkie mury pokryta sadzą. Wszędzie schodki i wykute w kamieniu przedproża. Wywijający trójzębem Neptun z brązu przed Dworem Artusa, gdzie nadal stoi nie zmieniony, z gracją i prężeniem mięśni przypominał o minionym rodzaju ludzkim.

Cholerny świat! Nabrała w moich oczach wiarygodności. Mówiła z topograficzną biegłością. Wiedziała, że Tkacką dochodzi się do Zbrojowni, a mijając Wielki Młyn – do orbisowskiego hotelu Hevelius. Znała nawet Wyspę Spichrzów po obu stronach Stągiewnej i Dolne Miasto: Długie Ogrody po samo Rudno; ale ta część Gdańska, powiedziała z ubolewaniem, jest całkowicie zaszlamiona, w ogóle lawiny szlamu osaczyły miasto ze wszystkich stron, aż po szczyt kościoła Świętej Trójcy, aż po Bramę Oliwską. Szcurzyca dokładnie określa położenie dzielnic Orunia i Siedlce. Również opowiadając o pociągu pospiesznym, który gotów do odjazdu do Warszawy stał na trzecim torze, właściwie zlokalizowała Dworzec Główny; a pomnik robotników przed bramą stoczni Lenina był jej równie znany jak

teren stoczni. Kusiło mnie, żeby jej uwierzyć, kiedy twierdziła, że szczury na pochylniach, w suchym doku i przy nabrzeżach zastały statki w budowie, statki w naprawie i przycumowane stalowymi linami statki różnych bander i różnego tonażu. Naturalnie wszystkie wolne od ludzi. Powiedziała: Mopedy i rowery odsączonych robotników portu i stoczni zachowały swój wygląd.

Hej, szczurze! zawołałem. A co, u diabła, zrobiłyście z odsączonymi? Musieli przecież walać się wszędzie, pokurczeni, jak powiadasz.

Bracie! upomniała mnie szcurzyca: Trochę więcej współczucia! Mówisz o ludziach, o takich jak ty.

Tak, znajdowałyśmy ich wszędzie. W domach, uliczkach i kościołach, na Targu Siennym, Targu Węglowym, Długim Pobrzeżu, w tramwajach, pociągach podmiejskich, w pociągu pospiesznym, który wybierał się do Warszawy. Wysuszone trupy, skóra i kości, całe w sadzy od mrocznych czasów burz pyłowych. Leżały, siedziały, kucaly, splątane ze sobą, jakby na koniec wzorem dla nich stał się nasz niekiedy zlepiony miot, zwany królem szczurów. W kajutach statków, na każdym pokładzie, wzdłuż nabrzeży, w stołówce stoczni Lenina, wszędzie wyciągnęło z ludzi krew, smarki, wszelką wodę, ostatnie soki. Zredukowani do karlich wymiarów byli dla nas lekcy, kiedyśmy ich usuwały. Wielu – najwidoczniej turyści – kurczowo trzymało się swych kamer. A mimo to – wierz nam! – człowiek w swych resztkach był piękny. Ze wszystkimi członkami powykręcany w szaleńczej gestykulacji, z wykrzywioną twarzą piękny. Pozbawiony czerwieni warg i blasku oczu, nieśmiałego uśmiechu, swego łagodnego lub władczyego głosu, zręcznego operowania palcami i prostego chodu człowiek pozostał piękny. Także ów czarny, lepki osad, który spoczywał na wszystkich, a który my cierpliwie i ostrożnie usuwałyśmy, nie mógł umniejszyć jego piękna. Długo nie chciałyśmy się rozstać z owymi sugestywnymi pozostałościami niegdysiejszej świetności. Ale nie tylko głód zmusił nas do usunięcia odsączonych; czas postczłowieczy miał całkowicie i wyłącznie należeć do nas, ocalałego rodzaju szcurzego.

Wydało mi się, że szczurzy ca, która mi się śni, wzięła mnie za rękę. Z dała od mojej kapsuły kosmicznej wiodła mnie przez puste ulice, przez wolne od ludzi miasto. Nie rzucałem cienia, ale słyszałem swoje kroki. Mimo zakopcenia wszystkich murów na bramach miejskich utrzymały się jednak stare napisy. Okrągłymi łacińskimi literami, po niemiecku i po polsku, opowiadały o Danzigu i Gdańsku. Czego nie mogłem odcyfrować, to przeliterowywała szczurzyca. Na Bramie Złotej wciąż jeszcze widniała owa dewiza ongiś bogatego, handlującego jak opętane miasta, którą cytowano przez wieki jako motto gdańskiego siebiepaństwa i która obecnie odnosiła się do szczurów: *Nec temere, nec timide*. Takie chcemy być, powiedziała szczurzyca: ani zbyt zuchwałe, ani zbyt bojaźliwe. Ach, bracie, jakie wspaniałe jest twoje miasto i zarazem dla nas przytulne!

To, co widziałem, dostarczało dowodu, że każda fasada była co prawda szerniała i pozbawiona szyb, ale nienaruszona aż po ostatnią ozdóbkę. Pewnie, posępny widok, lecz rozpoznawalny. Pokryte równomierną warstwą ostrzej niż dawniej zaznaczały się gzymsy, ornamenty frontonów, przedproża i kompozycje figuralne wklęsłych reliefów. Jaki wciąż zaskakujący widok z Długiej przez wąską Kaletniczą na górującą wieżę kościoła Marii Panny. Czy jeszcze teraz jego wnętrze tak po protestancku pobielone domaga się Malskatowych malowideł ściennych? Chciałem wejść do środka, ale szczurzyca nie pozwoliła na odwiedzanie kościołów. Później, powiedziała, może później.

Na Długim Pobrzeżu, we wszystkich bramach wychodzących na Motławę panował szczurzy ruch. Szczury albo żarły, albo się parzyły. Nie chciałem patrzeć, czym się obżerały. Te łykowate kupki mogły być nie wiadomo czym. Szczurzyca oszczędzała mnie, nie mówiła jak zwykle bez ustanku, lecz recytowała cytaty z Biblii, które odnosiły się do owej czynności szczurów czyniącej zadość słowom: *mnóźcie się*. Samczyki jakby na oślep dosiadały samiczek, które pozwalały się dosiadać, nie podejmując wyboru. Potem znów żarły: coś tam.



Takie jesteśmy, powiedziała szcurzyca: troska o pożywienie, o rozmnażanie się utrzymuje nas w ruchu. Miałbyś coś lepszego w zanadrzu, bracie?

Miłość, odparłem, wielkie, głębokie, dokonujące wyboru, to niebiańskie, a przecież do głębi ludzkie uczucie, które mnie, kiedy pomyślę o mojej Damroce...

Daruj sobie! zawołała szcurzyca. Kiedy nadciągał wasz koniec, wy, ludzie, nie wiedzieliście już, kto był samcem, kto samiczką. Skołowani tym, co się wam lęgało pod czaszką, chcieliście być jednocześnie jednym i drugim, płodzącymi ssakami, które usiłowały we własnym zakresie dogodzić sobie własnym fiutem we własnej piczce.

Zaśmialiśmy się oboje. Dobrze, szcurzyco! Dla ciebie warto śnić. Opowiem to żeglującym kobietom, które mnie skreśliły, spławiły łącznie z tą małą różnicą...

Potem opuściliśmy Głównę i Stare Miasto, które wzdłuż Wałowej, wszędzie tam, gdzie natykaliśmy się na ich granice, były otoczone przez masy szlamu i żwiru. Odnogi szlamowej brei, która jednak wydawała się sucha, możliwa do przejścia, wdarły się na Rybaki Górne, Łagiewniki, aż po Bramę Jakubową i wejście do stoczni, która wedle napisu z metalowych liter nadal nazywała się stoczną Lenina. Tam, wzniesiony z trzech wysokich żelaznych krzyży, na których, jak gdyby można było ukrzyżować kotwice, wisiały trzy kotwice z kutego żelaza, sterczał pomnik robotników zastrzelonych w grudniu siedemdziesiątego przez milicję.

Odezwałem się: Uczciwie, szcurzyco, uczciwie, co wy, szcury, sądziecie o „Solidarności”?

Odparła: Ta idea w praktyce zawsze była nam bliska.

I w przyszłości, gdyby władza was gnębiła, to byście...

Nigdy więcej, odrzekła, rodzaj szcurzy nie będzie krył się w dziurach.

Ale gdyby się pojawił, tylko przypuśćmy, jakiś nadszur...

Śmieszne! zawołała. Coś takiego wymyślają tylko ludzkie mózgi. My

nikogo nad sobą nie mamy.

Na terenie portu stało i leżało to, co ocalało nie uszkodzone z czasów człowieczych: dźwigi, kontenery, podnośne wózki widłowe, sprzęt wojskowy różnego kalibru. Przycumowane do pachołków: trzy poławiacze min gotowe do wypłynięcia. Ale żadnych majtków, żadnego rozkazu i żadnej mewy. Tylko szczury, wszędzie szczury, które i tutaj wypełniały biblijny nakaz. Na każdym pokładzie, zgromadzone wokół kontenerów, które poprzegryzały, na nabrzeżach. Ich cynkowozielona sierść na tle szerniałego żelastwa. Jedynie one ubarwiały obraz.

Szczurzyca znów się zaśmiała. Wiesz przypadkiem, bracie, jak kiedyś po polsku nazywał się szczur?

Nic nie chciałem wiedzieć. Chciałem wrócić do swojej kapsuły kosmicznej, uwolnić się, oderwać, śnić inaczej poruszane obrazy. Byle tylko dalej stąd!

Szczurzec, powiedziała szczurzyca, zanim zniknęła. Tak po polsku nazywał się kiedyś szczur. Szczurzec! zawołała za mną. Proszę powtórzyć: Szczurzec!

To nie tak, że Kaszuby są tylko zapleczem, zapomnianą przez wielkie wydarzenia prowincją, ową pagórkowatą ograniczonością za siedmioma górami, która sama sobie wystarcza; kaszubskie ziele Anny Koljaiczek krzewi się w całym świecie. Ablegry linii Woyke, która wywodzi się z Żukowa, gdzie był kiedyś klasztor, przejęty później przez państwo, zagnało, gdy znów skończyła się jakaś wojna, do Australii, dwaj bracia Woyke, którzy bezzenni pozostawili swą matkę Stinę, popłynęli statkiem zabierając ze sobą narzeczone z Kokoszek i Firogi.

Po jednej i drugiej wojnie kilku z gałęzi Stommów i jeden Kuczorra wywędrowali do Ameryki, gdzie w Chicago i Buffalo zastali potomków owego Józefa Koljaiczka, który – jak wiadomo – na początku wieku zniknął swej Annie pod tratwami; odtąd wielu czynnych w handlu detalicznym i hurtowym Colchiców.

Pewien Broński z ojcowskiego korzenia Anny, który wrósł w ziemię w Matami, już za cesarskich czasów dotarł do Japonii, gdzie nauczył się jeść pałeczkami. Jeden z jego wnuków założył rodzinę i doszedł do dobrobytu w Hongkongu.

Po czterdziestym piątym, obok wnuka Anny, Oskara, który osiadł w Nadrenii, kilkoro wnucząt jej zmarłych sióstr Amandy, Huldy i Lisbeth zadomowiło się w Szwabii i Zagłębiu Ruhry, ponieważ – jak mówiono wówczas nie tylko przy kaszubskich stołach – na Wschodzie jest wprawdzie piękniej, ale na Zachodzie lepiej.

Ze związanej z Anną przez matkę linii Kurbiellów, która jednak raz za razem, jak można wyczytać w księgach kościelnych w Kartuzach, Matami i Wejherowie, łączyła się dozgonnymi węzłami z liniami Woyków, Stommów, Kuczorrów, spowinowacając się z Łemkami i Stobbami, a jeden Kurbiella poszedł do marynarki handlowej, ale w połowie lat pięćdziesiątych został w Szwecji. Tam postanowił wy wędrować do Afryki: pocztówki od niego, przedstawiające obrosłe palmami wybrzeża i egzotyczne owoce, przychodzą z Mombasy, gdzie pracuje w branży hotelarskiej.

Chociaż wszyscy kaszubszy emigranci z naciskiem podają się za obywateli amerykańskich, mieszkańców Commonwealthu i z ostentacją za Niemców zachodnich, towarzyszy im jednak kaszubskość, ten zapach maślanki i gotowanego syropu z buraków; także nasz pan Matzerath, który chętnie pozuje na światowca i bywalca, pod wodą kolońską pachnie swojsko oborą.

Kiedy Anna Koljaiczkowa na pocztówkach z zaproszeniami obwieściła o swoich sto siódmym urodzinach, usłyszano ją na wszystkich pięciu kontynentach, nawiasem mówiąc również w Montevideo, gdzie prawnuk zaginionego Józefa Koljaiczka, jak wszyscy Colchicowie, prowadzi handel drewnem budowlanym i drewnem szlachetnym. Poza tym Colchicowie pracują ponoć w brazylijskiej dżungli przy wyrębie i na Islandii jako właściciele fabryki skrzyń.

Przyjeżdża zatem nie tylko, przez Poznań i Bydgoszcz, nasz pan Matzerath; podczas gdy Woyke z żoną, który obecnie nazywa się fantazyjnie Viking i pracuje na kolei, płynie z Australii statkiem, jedyny z wielu mister Colchic, który poślubił Stommównę, przylatuje znaną jeziora Michigan z małżonką samolotem.

Z Hongkongu przez Frankfurt nad Menem leci do Warszawy małżeństwo Bruns, dawniej Brońskich, które z brytyjskiej posiadłości eksportuje tanie zabawki i teraz z podszytą lękiem ciekawością oczekuje, jak Mrs. Bruns – wyraźnie chińskiego pochodzenia – odnajdzie się między Kaszubami.

Niestety handlarz drewnem szlachetnym z Montevideo musiał odmówić; ale ów był marynarz, który przez Szwecję dotarł do Afryki, przyjeżdża i jako menedżer hotelowy nazywa się nadal Kurbiella.

Aczkolwiek wnuki zmarłych sióstr Anny Amandy, Huldy i Lisbeth – mieszkają najbliżej Kaszub, tylko państwo Stommowie, ona z domu Pipka, obiecali przyjechać z dwójką podrastających dzieci. Z Gelsenkirchen, gdzie ich sklep rowerowy z warsztatem naprawczym i filią w Wanne-Eickel daje ponadto utrzymanie zarządcy, Stommowie jadą koleją.

Na próżno nasz pan Matzerath usiłował nakłonić swego domniemanego syna Kurta i jego matkę, która – jak wiadomo – jest z domu Truczinska, do wspólnej podróży mercedesem; ale Maria uważa się za niezastąpioną. Po śmierci męża na krótko przed końcem wojny, której – jak Oskar dziś sądzi – można było uniknąć, pozostała niezamężna i czynna w interesach.

– Nienie! Tam już nie chcę wracać! – zawołała podobno. I z tego powodu doszło do kłótni, w toku której podawane były w wątpliwość ojcostwa; ale rozwijanie tego przykrego tematu zaprowadziłoby tutaj za daleko. Stało na odmowie Marii Matzerath: nie może ona sieci swoich sklepów zostawić na lodzie.

Kiedy na krótko przed jego wyjazdem spytałem jakby od niechcienia: – Niech pan powie, Oskarze, kogo z rozsianych po świecie i osiadłych u siebie Kaszubów zna pan osobiście? – odrzekł: – Pewnego rodzaju lęk nie pozwalał

mi dotychczas podróżować po śladach mej przeszłości. Co prawda było trochę korespondencji, ale prócz fotografii – zwłaszcza Colchicowie nie żałowali sobie fotografowania – nic, co by można zobaczyć. Teraz mam nadzieję spotkać, jeśli już nie mego wuja Jana, który był tak boleśnie bliski mojej biednej mamie, to przecież jego syna: Stefan jest tylko o dwa miesiące starszy ode mnie.

Po pauzie, którą wykorzystał, żeby pokręcić swymi pierścieniami, powiedział: – No cóż, nie dojdzie do jakichś zasadniczych rozmów. Zna pan te rodzinne spędy. Dużo ścisku i mało bliskości. Chodzi mi przede wszystkim o moją babkę. Ona jedna została mi naprawdę. Do niej, tylko do niej się wyrwam. Wszelako Anna Koljaiczkowa nie mieszka już w Bysewie-Wybudowaniu, lecz bardziej w stronę Matami. Budowa nowego lotniska była przyczyną tego wypędzenia. Toteż owe kartofliska, które moja babka od młodych lat uprawiała i przekopywała, jak niejeden inny mit zniknęły pod betonem.

Podczas gdy on jedzie obtłuczonym mercedesem i, po noclegu bez snów, z Poznania zbliża się do Bydgoszczy, trzeba postawić, jeśli nie jemu, to retorycznie, inne pytania: Dlaczego ponownie Oskar? Czy nie powinien był trzydziestoletni pozostać w swym zakładzie dla nerwowo chorych? A jeśli już postarzały i z ponownym bzikiem na punkcie mediów, to dlaczego dopiero na sto siódme urodziny? Czemu nie przed laty, kiedy dość było sposobności, żeby obchodzić okrągłą rocznicę? I dlaczego Anna Koljaiczkowa przy wszystkich odbębnianych urodzinach wypraszała sobie ceregiele czy – jak to nazywała – korowody, aż wreszcie jednak rozesłała pocztówki z zaproszeniami na cały świat?

Bo nurtował ją niepokój, który razem z nią siadał na ławce przed domem. Bo jej od lat z głębokim przekonaniem wypowiedane zdanie: „Tero to ju chwatko konc bandze”, nie dotyczyło tylko jej, starowiny, ale rozciągnęło się na całość: „Tero to ju chwatko końc bandze ze wszystkim, co je”.

Dlatego wszyscy z bliska i z daleka jej bliscy dostali pocztówki, które

musiał za nią napisać książkę z Matami; bo Anna Koljaiczkowa powiedziała wielebnemu: „Święcić chcę, ale napisać to bandze musiał kto inny”.

I taka pocztówka wezwała też naszego pana Matzeratha, który co prawda rok w rok punktualnie pamiętał o urodzinach babki, ale od końca ostatniej wojny, kiedy to chory w wagonie towarowym jechał na Zachód, nigdy już nie zawitał do domu. Jedzie teraz na północny wschód i lękliwie, jakby szukał tam oparcia, wpatruje się w kark swego szofera; bo wraz z Anną Koljaiczkową i on widzi przyszłość dość czarno.

Rzucić serwetę i załatwione! Ponieważ nie chcę, żeby znów mówiła szcurzyca, klatka mojej gwiazdkowej szcurzyny pozostaje zasłonięta. Nic nie widzieć, nic nie słyszeć! Żadnego trzeciego programu, w którym świat między muzyką barokową rozpada się na komentarze. Dobrze wiem, że idzie ku gorszemu, coraz prędzej nawet. W moich papierach nie wygląda to lepiej: wszędzie umiera las. Malskat? Stare dzieje. (Kto chce jeszcze wiedzieć, jak nazywał się ów biskup Lubeki, który w sklepieniu prezbiterium kazał umieścić wykuty w kamieniu zwornik w kształcie swastyki?) Pozostaje statek. Może ujdzie cało. Powinienem trzymać się kobiet...

Widać już Gotlandię. „Nowa Ilsebill” idzie z prędkością dziewięciu węzłów. Szkuta badawcza hałasuje wstrząsana dieslem. Damroka chce odzyskać wszystkie czas strawiony na kłótnie i liczenie chełbi modrych dla zasady.

Kobiety już się nie kłócą. Oceanografka zapewnia, że jest teraz dość materiału.

Sterniczka mówi: – Jeśli między Olandią a Gotlandią zrobimy jeszcze parę krótkich pomiarów, to będziemy miały z głowy i co do mnie możemy...

Damroka milczy. Nie chce jeszcze raz i jeszcze raz mówić, co jej powiedział turbot.

Stara znad zmywania woła z kambuza: – My i tak się nie spóźnimy. Wasza Wineta wam nie ucieknie.

A na propozycję sterniczki, żeby między Rugią a Uznamem jeszcze parę

razy spuścić pomiarowego rekina – „Żeby enerdowskie głupki uwierzyły w naszą badawczą pasję” – mówi mechaniczka: – Marta ma rację. Oni nie wpuszczą na swoje wody nikogo, kto tylko chce szukać Winety i nic więcej.

Tak staromodnie i surowo nazywa się sterniczka, która jednak, gdybym ja poufale wołał ją po imieniu, nazywałaby się nie Marta, lecz zupełnie inaczej. I jeśli mechaniczka nazywa się tutaj nagle Helga, a oceanografka Vera, to obie, istniejące skądinąd naprawdę i – nawiasem mówiąc – odnoszące zawodowe sukcesy, mają całkiem inaczej brzmiące imiona. Także Damroka bywa tylko tutaj nazywana Damroką i będąc mi bliska radzi sobie z mniejszą liczbą sylab. Tylko Stara mogłaby w każdej chwili i w każdym miejscu nazywać się Erna.

Muszę o tym powiedzieć, ponieważ piątka kobiet na pokładzie statku nosząc imiona, pod jakimi występują gdzie indziej, nigdy w życiu nie pożeglowałyby razem; tylko moja samowola zebrała je na pokładzie, na śródkręciu, w hamakach i skierowała na upragniony kurs. Nie było to łatwe. Padały słowa: Typowe! Tylko mężczyźni mogą coś takiego wymyślić. Harmonii mu się zachciało. Pewnie ma to być rejs pokoju!

Musiałem uciekać się do forteli i niewinnych kłamstw, a na krótko przed rozpoczęciem rejsu obiecać, że nigdy nie zerwie się burza i że nie ma co obawiać się defektu silnika na pełnym morzu.

Mimo to postawiono mi warunki: nie wolno mi liczyć dołeczków na policzkach, odkrywać znamion przyrodzonych, interpretować ani jednej, poprzecznej czy pionowej, zmarszczki. Żadna z kobiet nie chce być podobna. Wzdragają się wyglądać tak, jak ja bym chciał je pokazać. Toteż zostało mi zabronione szkicowanie profilów, uwypuklenie tego czoła, skrócenie innego i sporządzanie wykroju ich oczu. Ilekroć pozwalam im mówić lub milczeć, muszę pomijać mówiące i milczące usta. Jak wymowne bądź zamknięte wargi otwierają się, spotykają, zaciskają, zwilżają, tego nie mogę powiedzieć. Czy kości policzkowe są szerokie, podbródek drobny, inny pełny i wysunięty, płatki uszu tu odstające, tam przylegające, to wykracza poza

typowość. Żadnemu zapachowi – bo każda pachnie inaczej – nie zezwala się na szukanie sobie przymiotników. I nigdy nie ma prawa pojawić się barwa: byłaby zdradą. Toteż żadna z kobiet na pokładzie nie jest niebiesko-, szaroczy sarnioka. O ciemnobrązowych, jasnych jak len, czarnych jak heban i pszenicznych włosach nie może być mowy. Tylko to, że Damroka ma piękne kędziory, musi tu pozostać. I jeszcze tyle: włosy wszystkich pięciu kobiet są mniej lub bardziej przetykane siwizną. Postarzały mi się z biegiem czasu, mają od czterdziestu kilku lat po grubo przekroczoną siedemdziesiątkę, chociaż zwłaszcza Stara wciąż jeszcze lubi pozować na dziewczynę.

Wiele przeżytych lat. Jeśli wolno mi to powiedzieć: z czasem wypiękniały. Jako że od początku – tak się mówiło – były przystojne, zdołały starzejąc się osłonić woalem swą dawniej zbyt jawną urodę.

Tak to jest: pięć zawołowanych piękności wybiera się do Winety. Nawet ich historie, które wszystkie traktują o minionych mężczyznach, są zawołowanymi historiami; bo nigdy nie miałbym prawa powiedzieć, jak stałem się im obcy, przepadłem, nigdy nie byłem uchwytny, przyplątałem się z głodu lub przypadku. Także to, kto tu kogo uraził, wykorzystał, zignorował, zostawił na deszczu, komu kogo brakowało, nie może być balastem dla statku, który wkrótce – bo już „Nowa Ilsebill” zbliża się do portu Visby na Gotlandii – ruszy na poszukiwanie zatopionego miasta.

– Rany! – woła mechaniczka Helga wymachując rękami i nogami – jak mnie się chce zejść na ląd!

Oceanografka Vera mówi: – Założę nowy film. W Visby są podobno interesujące ruiny. Wszystko autentyczne średniowiecze.

Stara, która tak czy siak ma na imię Erna, wylicza, co należy kupić: – I koniecznie trzeba nam czegoś do picia, paru flaszek wódki. Kto wie, co mają w tym waszym podwodnym królestwie?!

Sterniczka, o której powiedziałem, że nazywa się Marta, chce koniecznie coś na lądzie przeżyć. – Myślę – przepowiada – że raz-dwa poderwę sobie jakiegoś chłopca, dla odzwyczajenia się.



Damroka, którą w skrytości zawsze nazywałem Damroką, chce zaraz po przybyciu do brzegu pójść do kapitana portu i odebrać ostemplowane papiery. Mówi: – Jak z prawej burty będziemy miały Mönchgut i enerdowskiej straży granicznej, kiedy podpłyńie łodzią, pokażemy nasze tip-top papiery, to już chyba nic nie może nam się stać.

Ja się nie wtrącam. Nie mówię, co wiem. To, że mogłoby być za późno, pozostaje nie wypowiedziane. Ach, gdybyż Wineta stała dla kobiet otworem!

Szczurzyca datuje nas podług własnej rachuby. Wszystko, co wydarzyło się przed ich pojawieniem się w Europie i według naszych obliczeń otrzymało dość dokładną datę, ona obejmuje formułą: to było za czasów czarnego szczura domowego. Jego pochodzenie pozostaje niejasne. Bardziej tworząc legendę niż wyjaśniając powiada: Żyłyśmy długo nad Morzem Kaspijskim, aż pewnego dnia postanowiłyśmy przepłynąć wpław rzekę Wołgę i powędrować, co sprawiło, iż stałyśmy się znane jako szczury wędrownie.

Jako że o ich przybyciu do Europy donoszono zgodnie z miast portowych kontynentu i Wysp Brytyjskich w latach pięćdziesiątych osiemnastego wieku, wędrówka ludów i rozprzestrzenienie się dżumy przypadają, jak mówi szczurzyca, na czasy czarnego szczura domowego.

Toteż wszystkie szczury, które podczas wojny trzydziestoletniej w Magdeburgu, Stralsundzie, Breisach i innych miastach surowe i odarte ze skóry miały swoją cenę, pieczone lub gotowane swoją wartość odżywczą, były czarnymi szczurami domowymi.

Jednakże szczurzyca jako przedstawicielka szczura wędrownego, który przybył z Azji i nierzadko nazywany jest *rattus norvegicus*, utożsamia się z owym, nader rzadko już spotykanym, gatunkiem *rattus rattus*, z długą historią czarnego szczura domowego, który miał być trochę mniejszy, ostronosy, ale proporcjonalnie jeszcze bardziej długoogoniasty.

My tych różnic nie robimy, mówi. Szczur to szczur. I jako szczury same w sobie byłyśmy przy wszystkich wędrówkach ludów, przy zwycięskim marszu dżumy, w cieniu wypraw krzyżowych i pochodów biczowników, kiedy paliła

się Joanna, pod zamkiem Makbeta, ze wszystkimi cesarzami w Rzymie i na polach bitew wojny trzydziestoletniej. Jeśli szczury miały być na statkach Gustawa Adolfa, kiedy ten przeprował się przez Bałtyk na Pomorze, to nad kilem byłyśmy my, i to w czarnej postaci. A jeśli w Hameln jakoby to szczury domowe, choć znane z umiejętności pływania, utopiono tysiącami w Wezerze, to znowu nas tam próbowano utopić.

Ale pod własnym imieniem szczury wędrowne uaktywniły się dopiero z początkiem Rewolucji Francuskiej, która zdaniem szczurzyca zakończyła się zdławieniem powstania Komuny Paryskiej; toteż wojna z lat siedemdziesiąt-siedemdziesiąt jeden, kiedy to szczury surowe i pieczone znów miały swoją cenę, jest dla niej szczególnie ważna. Ilekroć przystępuje do dłuższego wykładu, mówi: Kiedyśmy za czasów Komuny Paryskiej... albo: To było wkrótce po wybuchu powstania Komuny Paryskiej...

Według rachuby szczurzyca na krótko przed Komuną Paryską rozpoczyna się ponura i, jak ona mówi, niecna historia białowłosego i czerwonoookiego szczura laboratoryjnego. W latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku w Anglii i Francji weszło w modę zamykanie, bez szans ucieczki, stu do dwustu złapanych szczurów wędrownych ze szczególnie ostrym psem, z reguły terierem, i zawieranie zakładów o czas, w jakim nastąpi szczurza zagłada; rozrywka nie tylko klas niższych. Skoro tylko jednak pomiędzy złapanymi szczurami znajdowały się albinosy, odłączano je i pokazywano jako osobliwość w budach jarmarcznych i menażeriach. Takie selekcjonowanie trwało około dziesięciu lat, aż zawody w zagryzaniu szczurów zostały ustawowo zabronione najpierw we Francji, potem, z opóźnieniem, w Anglii. Wszelako, ponieważ zapotrzebowanie na biało-czerwone szczury tymczasem wzrosło, zaczęto trzymać parami zdadne do pokazywania na jarmarkach albinosy i dohodowano się mnóstwa biało-czerwonych miotów.

Pewien lekarz z Genewy, mówi moja szczurzyca, jako pierwszy robił próby laboratoryjne z biało-czerwonymi, testując artykuły żywnościowe, później dodając lekarstwa do żarcia, wreszcie zarażając swoje szczury

laboratoryjne bakcyllami częstych człowieczych chorób – dyfterytu, szkarlatyny, grypy – ale dopiero w trzydzieści pięć lat po powstańczym zrywie Komuny Paryskiej, kiedy w Instytucie Wistar w Filadelfii podjęto na dużą skalę produkcję owych prawie do samego ultimo pożytecznymi nazywanych szczurów laboratoryjnych, czerwono-białe zdobyły na całym świecie uznanie jako zwierzęta doświadczalne.

Moja szczurzyca powiada: Jakies sto pięćdziesiąt lat po naszym wylądowaniu w Europie – przybyliśmy statkiem – wraz z wkroczeniem szczura laboratoryjnego do człowieczej historii zaczyna się rozwój wydarzeń zmierzających do Wielkiego Bum-Bum.

Udzieliwszy mi tej lekcji historii, zapytała: Czyś ty, nawiasem mówiąc, wiedział, że laboratoria hodowlane w Wilmington, Delaware, w ostatnim roku człowieczych dziejów szacowały swój udział w handlu światowym na osiemnaście milionów szczurów laboratoryjnych rocznie i trzydzieści milionów dolarów zysku?

Nie sposób jej wyperswadować skrótowego podejścia do wieku dwudziestego. Pierwszą, drugą wojnę światową i antycypowaną przez jej współplemieńców trzecią traktuje jak jeden ciąg wojennych działań, które według jej słów konsekwentnie skończyły się Wielkim Bum-Bum. Toteż przystępując do opowiadania, mówi o czasach przed albo po Wielkim Bum-Bum. Ostatnio używa też takich słów jak czasy człowiecze albo postczłowiecze.

Śniąc mi się niedawno powiedziała: To było jeszcze za czasów człowieczych, ale dobrych sto pięćdziesiąt lat po czasach szczura domowego, kiedy na początku ery szczura laboratoryjnego rosyjska flota bałtycka, pod rozkazami admirała Roźdiestwienskiego, chciała z Lipawy wypłynąć na morze, wobec czego my zeszyliśmy z pokładu. A wkrótce po bitwie morskiej pod Cuszimą, w której my brałyśmy udział tylko na japońskich okrętach, zaczęła się owa wielka wojna, która mimo pewnych przerw, wykorzystanych pomysłowo na rozwinięcie nowych środków zniszczenia, postawiła sobie za

ceł unicestwienie ludzkości, aby z końcem trzystopniowej wojny światowej zapoczątkować czasy postczłowiecze.

Ostatnio szczurzyca uwzględniając naszą rachubę czasu powiedziała: Według datowania człowieczej historii to w roku 1630 wylądowałyśmy z flotą szwedzkiego króla Gustawa Adolfa na pomorskiej wyspie Uznam i przy okazji tego lądowania u brzegów Uznamu odkryłyśmy zatopione miasto, które – założone za czasów szczura domowego – nazywało się początkowo Jumne, a później zostało nazwane inaczej.

Kiedy szczurzyca w następnym zdaniu wymieniła nazwę zatopionego miasta, wezbrało we mnie rozżalenie: O Boże! Gdyby kobiety wiedziały, że szczurzyca wie, gdzie leży Wineta, musiałyby wpaść w rozpacz. Muszę je ostrzec. Jak tylko się zbudzę, opowiem mojej Damroce o mojej szczurzycy, o szczurach domowych i wędrownych, o *rotta*, *radau*, *rät*, *radda* i *rotto*, które dopiero po przesuwce spółgłosek nazwane zostały *ratz*, *ratze*, po włosku *ratto*, po francusku *rat* i po niemiecku *Ratte* i *Rätin*.

Przerwałem jej rozgniewany, kiedy przymierzała się do dłuższej relacji: To było po Wielkim Bum-Bum...

Kłamstwo! krzyknąłem. Wszystko kłamstwa. Nie było żadnego Wielkiego Bum-Bum. A gdyby miało nastąpić, co nie jest zupełnie nieprawdopodobne, to i wy, to i ty, szczurzy co, nie przeżyjesz tego dnia X.

Pozostała niewzruszona, objaśniła mi jeszcze raz wypróbowany od czasów Noego system korków i powiedziała: Już przed Bum-Bum, ilekroć na sposób tępicielei szczurów próbowano zagazować korytarze i łęgowska, używałyśmy starych szczurów jako korków, a one tłustymi tyłkami szczelnie zamknęły nasze schrony.

Kiedy ja nadal krzychałem: kłamstwo! i: nie! zrobiła ze mnie ucznia specjalnej troski: Twoja głupota, staruszku, wymaga od nas dużo cierpliwości. Będziesz musiał zostać po lekcjach. Żeby cię pouczyć – bo ty nic nie wiesz, nic! – należy szkolną kredą przedstawić na tablicy nasz system bezpieczeństwa.

Podczas gdy w moim śnie znów, jak gdybym musiał być wiecznie wystawiony na pouczenia, pojawiła się szkolna tablica, usłyszałem: Nawiasem mówiąc nigdy nie musiałyśmy zmuszać starych zwierząt, żeby nas ochraniały. Często zgłaszało się tyle, że mogłyśmy każde dojsście zakorkować trzykrotnie i wszystkie lęgowiska absolutnie uszczelnić przeciwko człowieczym próbom zagazowania. Jak umiemy rozciągnięte, ścienione, spłaszczone precisnąć się przez wąskie przewody rurowe, tak potrafimy napompować się i stać się korkami nie tylko przeciwko gazowi trującym, lecz i przeciwko wdarciu się wody; przez co nasze przetrwanie potopu wreszcie, jak mamy nadzieję, powinno być jasne także dla twojej głupoty.

Rysowała więc na czarnej tablicy korytarze, lęgowiska i korki: labirynt. Nie przestawała udzielać lekcji: Kiedy jeszcze niedawno szliśmy przez stare miasto Gdańsk i ty, nasz przyjaciel, okazywałeś nie skrywaną radość z poczeriałego wprawdzie od sadzy, ale w swej substancji dobrze zachowanego stanu wielu zabytkowych budowli, mogłeś pomyśleć: zdumiewające, jak beztrąsko przebiega dzień powszedni szczurów po Wielkim Bum-Bum. Ale jest to mylne wrażenie. Wciąż jeszcze nawiedzają nas nagłe burze pyłowe, przed których rozkładowym działaniem chroni jedynie ucieczka do podziemnych korytarzy, wypróbowany z dawna system uszczelnień. Z początku trudno nam było również w postczłowiecznych czasach być populacją liczną. Wiele miotów musiałyśmy zagryzać: brak kończyn, otwarte czaszki, guzowate ogony. Toteż w dalszym ciągu zabezpieczamy nasze lęgowiska ciałami starych szczurów. Ich naznaczone obrzękami pośladki dowodzą, jak potrzebna jest wciąż ta służba. Popatrz tylko, bracie, popatrz uważnie.

I szczurzyca odwróciła się, i zaprezentowała mi swój tyłek, żebym dostrzegł w niej stare zwierzę, które służy za korek przeciwko radioaktywnym opadom. Ukazała jedną wielką ropiejącą ranę. Kości odsłonięte. Ogon to już tylko pokawałkowana chrząstka. Z sierści nie pozostało nic. Obrzęki nabiegłe ropą. Jej pochwa to pulsujący krater, który

pienił się, kurczył konwulsyjnie, wypluwał skrzepy...

Szczurzyco! krzyknąłem. Ty mi umierasz.

No i co? Powoli, zbyt powoli obróciła tyłek, tę jęczącą się ranę.

W tej kapsule kosmicznej będę bez ciebie sam, piekielnie sam...

Przesadzasz.

Wyzdrowiej, szcurzyco, proszę cię!

Usłyszałem jej cichy śmiech, w kadrze znów pokazały się jej wąsy: Głupi stary tatuśku. Wciąż jeszcze nie zauważyłeś, że my zostaniemy z tobą, zostaniemy przez kolejne pokolenia, że wasze człowiecze ja i jego śmiertelność są nam nieznane, ponieważ nasze ja tworzy się z niezliczonych szcurzych istnień i w ten sposób znosi śmierć? Nie bój się. My ci nie przepadniemy. Nigdy nie będziesz bez nas. Jesteśmy przywiązane do ciebie, bo w końcu to ty okazałeś się użyteczny, kiedy potrzebne było źródło błędu, z którego pomocą należało wywołać Wielkie Bum-Bum i ogłosić nadejście czasów postczłowieczych...

Coś tu nie jest w porządku.

Nie wiem co, być może kierunek.

Jakiś, ale który, fałszywy krok,  
ale kiedy i gdzie fałszywy,  
zwłaszcza że wszystko idzie jak na sznureczku,  
choć w kierunku,  
o którym tabliczki mówią, że jest fałszywy.

Szukamy teraz źródła błędu.

Szukamy go poza sobą jak szaleni,  
aż nagle ktoś mówi: my,  
my wszyscy, przypuśćmy dla kawału, moglibyśmy  
być źródłem błędu, albo ty, albo ty  
mógłbyś nim być.

Nie myślimy tego w kategoriach osobistych.

Każdy każdemu daje pierwszeństwo.

Podczas gdy wszystko jak po maśle  
idzie w fałszywym kierunku,  
o którym mówi się,  
że nawet jeśli jest fałszywy,

to innego nie ma, ludzie witają się  
zawołaniem: Jestem źródłem błędu, ty też?

Rzadko bywaliśmy tak zgodni.  
Nikt już nie dochodzi, który to krok,  
gdzie i kiedy był fałszywy.  
Nie pada też pytanie  
o winę lub winnych.  
Przecież wiemy, że każdy z nas.  
Zadowoleni jak nigdy przedtem idą wszyscy  
w fałszywym kierunku za tabliczkami  
i mają nadzieję, że są fałszywe  
i że my jeszcze raz ocalejemy.

W fotelu kosmicznym przypięty pasami zeszywniałem ze strachu. Przestań,  
szczurzyco! Nie rób kawałów. Ja mam, ja byłem, ja jestem sam jeden?

Udawaj głupiego, głuchego, nieżywego! wołałem do siebie i udawałem  
głupiego, głuchego i nieżywego.

Teraz dopiero pojąłem: To woda na jej młyn. Wsadza mnie do kapsuły  
kosmicznej i robi ze mnie źródło błędu. Ładnie to sobie wykombinowała, bo  
pasowałbym jak uląg: matoł techniczny, który – nie na miejscu w tym  
pojeździe – stanowi ryzyko. Niezdolny do posługiwania się prostym  
kieszonkowym kalkulatorem i bez pojęcia, co też te albo tamte  
mikroprocesory wiedzą, potrafią i wykonują, siedzę tutaj jako źródło błędu  
całkiem zasłużenie; bo ona twierdzi, że głupio i niedbale zabawiałem się  
klawiszami i guziczkami. Jako partaczącemu w kosmosie niedojdzie z nudów  
albo dlatego, że niedziela nie chciała się skończyć, przyszło mi jakoby nagle  
do głowy skołowanie krzemowych chipów; co gorsza przez transfer video  
przekazałem materiał zdjęciowy z filmów *science fiction*, i to sekwencje z  
katastroficznych melodramatów, do realnego outputu, nie zważając na sygnał  
zaburzenia, tak że mój katastroficzny program – obce obiekty na kursie  
bojowym – trafił wreszcie do ziemskiego terminalu najpierw zachodniego,  
potem wschodniego supermocarstwa; oba naturalnie nie namyślały się długo.

W ten sposób, powiedziała szczurzyca, można było spowodować Wielkie

Bum-Bum również bez udziału szcurów. Udało mi się jak we śnie z wielką pewnością i ostrością obrazu nakarmić danymi owe konsekwentnie zmierzające do wytyczonego celu obce obiekty i zharmonizować rozkojarzony z początku kod czasowy.

Ja jestem źródłem błędu! Akurat mnie miało się udać, jak gdyby nigdy nic, doprowadzenie do końca. Nie! krzyknąłem. Tego nie biorę na swoją głowę. Powinnaś wiedzieć, szcurzyco, że ja nie potrafię właściwie wymienić żarówki ani prowadzić samochodu. Zawsze tak było, już w Jungvolku, później w służbie pomocniczej lotnictwa przy naszej osiemdziesiątce ósemce, kiedy jako K 6 nigdy nie dopędziłem wskazówką nadążną wskazówki kierunkowej, wobec czego jeszcze dzisiaj śnią mi się te i inne nieudolności. Ja jako orbitalny obserwator! Ja jako kosmiczny gimnastyk. Ja bez pojęcia, co to chipy i clipy. Ja znający żargon kosmonautów tylko z filmów. Ja, który jeszcze niedawno usiłowałem powstrzymać to, co się dokonuje, wołając na dół: Przestać! Fałszywy alarm!

Oczywiście na próżno. Ja przecież tego nie mogę. Jestem na to za głupi. Ziemi! wołałem. Odpowiedz, Ziemi! Ale dochodziły tylko piski. Potem cisza. Szmary własne.

Chcę się teraz obudzić, powiedziałem sobie we śnie. Nie chcę śnić się sobie jako źródło błędu. Zaraz po przebudzeniu, jeszcze przed herbatą, dorwę się do gazety. Zobaczymy, co oni mają do powiedzenia. Nie będzie żadnej wzmianki o źródle błędu. Przeciwnie: wszystko idzie utartym trybem. Naturalnie są niebezpieczeństwa, ale kiedy ich nie było? Jeszcze nigdy wola pokoju nie była tak wielka!

Mimo to należałoby ostrzec tych starych ludzi, których palec drży tak blisko guziczka. Słuchajcie, zawołałem, wy, potężni starcy: Mówią, że chcecie ze sobą rozmawiać i już nie boczyć się tak strasznie jeden na drugiego. To dobrze. Gadajcie, proszę: gadajcie, obojętne o czym, ale gadajcie. A jednak musimy zadać sobie pytanie: Co przyjdzie światu z tego nowego gadania, jeśli na marginesie waszej pokojowej gadaniny do naszego



systemu bezpieczeństwa zakradną się zrazu maleńkie, potem całkiem duże błędy, chciałem powiedzieć: przegryzą się, jak niektóre gryzonie przegryzają się przez drewno, beton, nawet przez metal, aż – przypuśćmy tak na niby – dostaną się do obu centralnych komputerów, tam narobią głupstw, gorzej jeszcze, narobią bigosu w tych wszystkich chipach i clipach, w naszym tak starannie wykombinowanym bezpieczeństwie, nie, jeszcze gorzej, nie narobią bigosu, tylko uruchomią coś, co sobie jest i czyha na okazję, coś ostatecznego, czego już nie będzie można odwołać. Gryzonie to potrafią. Myszy na przykład wejdą wszędzie i zewsząd wyjdą, żadna dziurka nie jest dla nich za mała, żadna szpara za wąska.

Dlatego, starcy, należy ogłosić alarm. Słyszycie: alarm! Co rychlej, nie, natychmiast trzeba zabezpieczyć podległe komputerom ośrodki dowodzenia obu supermocarstw przed inwazją myszy. I nie tylko myszy. Bądź co bądź mogłoby się zdarzyć, że inne, szczególnie wytrwałe i odporne na truciznę, w dodatku szczególnie inteligentne gryzonie, na przykład szczury, obejdą wszystkie skuteczne przeciw myszom środki bezpieczeństwa i zignorują człowieczą wolę pokoju.

Dlaczego? Z jakich powodów?

No, chcą skończyć z nami, z ludzkością, na dobre, bo mają nas dość, bo marzą o czasach postczłowieczych i chcą już tylko wesoło być same dla siebie; co najwyżej jeszcze równonogi, karmiące piersią muchy plujki i szumiące skrzydlate ślimaki...

Bo słuchajcie, wielcy, którzy musicie dźwigać tak wielką odpowiedzialność, słuchajcie, co mi się śniło: Nas już nie ma. W Gdańsku, gdzie mieszkałem jako dziecko, jako członek Hitlerjugend, jako junak ze służby pomocniczej lotnictwa, widziałem już tylko szczury. Potem śniło mi się, że siedzę w kapsule kosmicznej, nie jestem jednak nastawiony na zjawiska gwiazdne, lecz staram się tym, co dzieje się na Ziemi, nafaszerować moją technikę, aby na dole wreszcie zrozumiano, że dalej tak być nie może. Mam na myśli wiele problemów, które widziane z góry wszędzie walają się

nie rozwiązane. Na przykład: Co zrobić ze śmieciami? Albo: Jak policzyć ponad wszelką miarę liczne chełbie? I kto uzdrowi umierające lasy, skoro w końcu, jak Księżę w baśni, odkryliśmy źródło błędu?

Na krótko przed obudzeniem udało mi się jeszcze ożywić monitor w mojej kapsule kosmicznej. Po zwykłym grochu z kapustą, jaki przynoszą ze sobą sny – znowu kłapa w roli K 6 – zobaczyłem kilka baśniowych postaci jadących autem...

Z Titelitury za kierownicą, wylosowanym Karzełkiem obok kierowcy, z ospałą Śpiącą Królowną i budzącym ją pocałunkami Księciem na tylnych siedzeniach jadą przez miasto Bonn, o którym twierdzi się, że jest miastem stołecznym.

Karzełek siedzi na dwóch poduszkach i wodzi palcem wskazującym po trzymanym na kolanach planie miasta. Titelitory jako nietutejszy słucha wskazówek Karzełka: – Przejść na lewy pas! – Po dwóch przecznicach skręcić w prawo.

Księżę raz po raz całując budzi swoją Śpiącą Królowną, żeby pokazać jej stołeczne osobliwości: Ren z Mostu Reńskiego, potem Halę Beethovena, później, po pewnym błędzeniu w dzielnicy lobbystów, wysokościowiec podwyższony jeszcze przez trzy duże litery i nowoczesną płaską budowlę, która ma jednakże przypominać barak. Królowna musi rozwierać szeroko swe kaprawe oczy z długimi rzęsami, ale raz za razem zasypia. Titelitory omal nie przeoczył sygnalizacji nakazującej zatrzymanie. – Czerwone! – krzyczy Karzełek.

W śródmieściu stary ford, którego silnik, dzięki benzynie Czarownicy, jest niezmordowany, dostaje się między liczne pochody protestacyjne, które niosą rozmaite, często przeciwstawne brzmiące transparenty. Księżę i Karzełek czytają: – Kiedy będzie rok niemowlęcia? – Precz z Turkami! – Precz z rakietami! – Uzbroić pokój! – Przeciwno doświadczeniom na zwierzętach! – Precz ze szczurami i plujkami! – I bez lasu życie toczy się dalej. – Las umiera, a Grimmobracia śpią!

Kilku demonstrantów jest zamaskowanych, inni są uzbrojeni w łąty dachowe, wielu przebrało się za trupy albo cynkowozielone szczury. Ktoś stojąc czyta gazetę, której nagłówek krzyczy: „Rosjanie więżą kanclerskie dzieci!” Ponieważ akurat utknęli w korku, a człowiek z gazetą stoi w pobliżu, Karzełek odczytuje tytuł. Chichocze i klaszcze w rączki.

W końcu tabliczka „Do Urzędu Kanclerskiego”. Po krótkiej jeździe zatrzymują się na punkcie kontrolnym. Titelitury legitymuje się dyżurnemu oficerowi jako kierownik komisji „Ratujcie Baśni”. Księżę musi znów zbudzić pocałunkiem swoją Śpiącą Królową: – Jesteśmy na miejscu, najdroższa!

Ponieważ dyżurny się ociąga, Karzełek wygłasza tekst dłuższego napisu filmowego: „Szukamy specjalnego ministerstwa od średnioterminowych szkód leśnych i jesteśmy zapowiedziani u panów ministra i sekretarza stanu Jacoba i Wilhelma Grimmów. Nasze hasło brzmi: Szlak Baśni. To pilne!”

Na polecenie dyżurnego wartownik wystukuje hasło na komputerze. Na monitorze pojawia się „Hasło Szlak Baśni”. Potem przychodzi odpowiedź: „Szlak Baśni przepuścić”. Szlaban podnosi się. Dyżurny salutuje. Przez otwarte okno Księżę daje napiwek. Młody oficer, którego sytuacja nieco przerasta, ze zdziwieniem widzi na swej dłoni złotą monetę. (Tutaj mógłby poradzić nasz pan Matzerath. Ma to być maksdor, złoty rubel?)

W Domku z Piernika baśniowe postacie widzą, co się dzieje w Bonn. Skoro delegacja opuszcza starego forda i u wejścia do ministerstwa zostaje powitana przez Jacoba i Wilhelma Grimmów, biją brawo. Nawet odrąbane ręce Bezręknej Dziewczyny klaszczą. Jaś i Małgosia objaśniają Roszpunce, kim jest Jacob, kim Wilhelm. Podniecona Czarownica ogryza kosteczkę ze swej kolekcji. Przygłucha Babcia mówi do Czerwonego Kapturka: „Miejmy nadzieję, że mi przywiozą słownik. Nie muszą być wszystkie tomy. Karzełek obiecał”.

W gabinetach Grimmobracy wiszą wielkie mapy ukazujące tereny leśne i, zaznaczone różnokolorowo, leśne szkody. Jacob zaprasza baśniowe postacie

do zajęcia miejsc wokół stolika dla palaczy. Wilhelm przekłada delegacji stary egzemplarz *Baśni Domowych* Grimmów i prosi o autografy. Pierwsza sygnuje Śpiąca Królowna, po niej Księżę. Karzełek podpisuje się jako „Trzeci Karzełek”. Titelitury przymierza się do zamaszystego podpisu, waha się i stawia trzy krzyżyki. Dopiero na prośbę Śpiącej Królowny – mówi ona: „Ale panowie przecież wiedzą...” – dopisuje obok w nawiasie „Titelitury”.

Trzeci Karzełek, obejrzawszy zabawnie ustawione smerfy w gablotce Jacoba Grimma, przedstawia (w myśl propozycji, jaką zrobił nasz pan Matzerath) prośbę Babci Czerwonego Kapturka o słownik Grimmów: „Ona bardzo źle słyszy i bardzo lubi czytać”. Pochlebiony Jacob Grimm wręcza egzemplarz z autografem: „Nareszcie ukazało się – kompletne wydanie. To jest tom pierwszy od A do Biermuszki. Chętnie doślemy dalsze tomy”.

Teraz dopiero postaci baśniowe przedkładają swoją skargę. Titelitury zrywa się, żąda, tupie w podłogę, wymachuje pięściami. Wytwornie i uprzejmie jak dyplomata zachowuje się Księżę. Trzeci Karzełek agituje przybierając anarchistyczne tony. Dopiero co zbudzona pocałunkiem Śpiąca Królowna biadoli ze Izami w oczach.

Skargi baśniowych postaci powinny w gestach, od padnięcia na kolana po załamywanie rąk, mieć dużą ekspresję i obyć się niewiele napisami: „Bez lasu jesteśmy zgubieni!” – „Wraz z lasem umrzemy i my”. – „Biedni będą ludzie bez lasów i baśni”. – „My się zemścimy!”

Jacob Grimm wskazuje na fotografie olbrzymich zabudowań fabrycznych i cmentarzysk samochodowych. Mówi: „My jesteśmy niestety bezsilni. Demokracja to tylko petent. Wielki pieniądz ma władzę!”

Wilhelm Grimm jest bliski łez: „Nie tylko możni, my wszyscy będziemy współwinni, jeśli las umrze”.

Teraz łka Śpiąca Królowna i nie daje się pocieszyć Księżciu. Trzeci Karzełek przeklina: „Ale po lasach będą umierali ludzie!”

Titelitury z wściekłością wyrywa sobie przygotowaną w tym celu nogę i demonstracyjnie kładzie ją na biurku odpowiedzialnego za sprawy

średnioterminowych szkód leśnych ministra w Urzędzie Kanclerskim.

W Domku z Piernika baśniowe postacie widzą w cudownym lusterku, jak bezradne jest Bonn. Wszystkie są przygnębione. Roszpunka zasłania się włosami, nie chce już nic widzieć i słyszeć. Śnieżka najchętniej zjadłaby zalane sztuczną żywicą zatrute jabłko. Jeden z sześciu pozostałych w baśniowym lesie Karzełeków woła: „Czy po wieczne czasy musi zwyciężać kapitalizm!?” Czerwony Kapturek desperacko tupie czerwonymi bucikami: „Gównu! Dam się pożreć Wilkowi!”, i wybiega z domu.

Babcia nic nie rozumie, potrząsa głową, bierze odłożoną na bok lakierowaną szkatułkę Złej Macochy, wyłącza Bonn i włącza czarno-biały film *Czerwony Kapturek i Wilk*. Po krótkim grochu z kapustą, który pozwala domyślić się rozmaitych baśniowych motywów, widzi wreszcie, jak Wilk pożera Czerwonego Kapturka i ma roziskrzzone oczy.

Zła Macocha z irytacją wyłącza swe cudowne lusterko i woła: „Co to za bzdury, Babciu!”

Podczas gdy Jaś próbuje pocieszyć zrozpaczone baśniowe postacie, Małgosia wybiega na dwór, gdzie chluśnięciem wody z wiadra wywabia Żabiego Króla ze studni. Z bolesnym uśmiechem wytworna Królowna akceptuje zarysowujący się układ trójkąta. (Takich komplikacji życzy sobie nasz pan Matzerath.)

Ale oto głośno biada Czarownica: „Ach! Bez lasu dzieci nigdy już nie będą mogły zabłądzić”. Jaś pociesza ją, zanim jednak ona weźmie go między swoje cyce, udaje mu się wyrwać. Woła: „Koniec z biadoleniem! Znajdzie się wyjście. Musimy tylko chcieć! Człowiek nie może żyć bez lasu. Czy to wreszcie jasne!?”

W Bonn Wilhelm Grimm ma nagle pomysł. Przepatruje leśne mapy na ścianach i mówi: „Namówimy kanclerza, żeby z nami i innymi ekspertami obejrzał wreszcie umierający las”.

Jacob Grimm zgadza się: „Może zdarzy się tam cud”. Trzeci Karzełek chce wiedzieć dokładnie: „Gdzie, gdzie dokładnie to ma być?”

Jacob Grimm pokazuje na wielkiej mapie leśnej miejsce planowanych oględzin. Wilhelm Grimm zakreśla je czerwonym ołówkiem. Księżę budzi pocałunkiem Śpiącą Królową, która usnęła płacząc, i pięknym długim palcem wskazuje miejsce przyszłej akcji, a Titelitury z powrotem przypina sobie nogę.

W Domku z Piernika szczęśliwy zwrot zostaje uchwycony w cudownym lusterku. Jaś notuje miejsce oględzin. Karzełkowie przychodzą z prymitywną mapą lasu. Porównuje się notatkę Jasia z mapą. Znajdują miejsce, zaznaczają i obmyślają z Jasiem plan.

Pozostałe baśniowe postacie oglądają telewizję. Cudowne lusterko ukazuje odjazd delegacji. Śpiąca Królowa na pożegnanie ucałowała Wilhelma. Grimmobracia machają za odjeżdżającym ffordem. Bezręka Dziewczyna jest tak urzeczona, że jej odrąbane ręce również machają. Babcia zrzędnie wyłącza cudowne lusterko i woła: „Gdzie to się podziewa Czerwony Kapturek, głupie stworzenie!” Krocząc sztywno wychodzi przed dom. Wszyscy podążają za nią.

W klatce przewraca się śpiącego Wilka na bok. Liczyrzepa otwiera brzuch zamykany na zamek błyskawiczny. Czerwony Kapturek, ledwie wypełził z Wilka, zostaje spoliczkowany przez Babcie.

Z pomocą leśnej mapy Karzełki objaśniają wszystkim baśniowym postaciom obmyślony plan. Jaś, Liczyrzepa i Bezręka Dziewczyna przychodzą z narzędziami: łopatami, grabiami i motykami.

Z lasu zbliża się stary ford z delegacją. Wszyscy zbierają się na wielkie powitanie. Czarownica przymila się do Titeliturego. Wrzawa i poklepywanie się po plecach wśród Karzełków, którzy z Trzecim Karzełkiem są znów w komplecie.

Babcia dostaje w prezencie pierwszy tom słownika Grimmów i odczytuje z niego (jak sobie tego życzył nasz pan Matzerath domagając się zmiany scenariusza) pojedyncze słowa, które można przeczytać w postaci napisów: „Abdykować, admiracja, aksamitny, a kysz, alians, alkowa...”

Pozostali nie przejmują się zbytnim „ambarasem”. Z wielkim halo Czarownica ponownie zatankowuje starego forda. Jaś i Karzełki wołają: „W drogę!” i „Ekszen plis!” Liczyrzepa zapuszcza motor.

Na polecenie Czarownicy jeden z Karzełków przynosi wrzeczono Śpiącej Królewny. Inny Karzełek wciska motyki w dłonie Jorindy i Joringela. Zła Macocha wynosi cudowne lustro z Domku z Piernika. Roszpunka przedsiębiorczo upina wysoko włosy. Bezręka Dziewczyna każe swym odrąbanym ręką chwycić łopatę.

Wszyscy wybierają się w drogę, tylko Babcia chce zostać ze słownikiem w domu. Czyta pozostałym na głos: „Androny, antałek, apodyktyczny, arkana, armatni, atencja...”

Baśniowe postacie odpowiadają całusami na pożegnanie. Ostatniego daje Babci nad słownikiem Liczyrzepa.

Teraz dopiero Bezręka Dziewczyna wysyła naprzód swe odrąbane ręce z łopatą. Ulatują one w górę, a za nimi Siedem Kruków. Przeładowany baśniowymi postaciami stary ford znika w lesie. Na miejscu zostają tylko Babcia i Wilk. Jemu czyta ze słownika Grimmów: „Abakus, ablucja, abominacja, abrewiacja, absydalny...”

Piękne słowa.

Nigdy już ma nie być wypowiedziana lubość.

Żaden język się nie ruszy, by mówić z zadumą.

Nigdy już głosów, które zwiastują nam szczęśliwość.

Tyle niemego frasunku.

Pożegnanie ze słowami, które mówią o człowieku z ziemi Hus,  
że nago wyszedł z żywota matki swojej.

Moglibyśmy nadal mówić biermuszka

albo gałuszka, miedźno, kufa.

Tak nam żal dojki.

Kto wie, że dziecięcia nazywano kiedyś pszczeliwilkiem?

Kto chciałby się nazywać Nepomucen, Baltazar, Byle Kto?

Żegnają się słowa, które prosiły

o wiano, jużynę, wieczerzę.

Kto zawoła za nami: bywaj,

kto szepnie, że łoże pościelone?

Nic nie będzie z nami pospolitować, schodzić się, ćmą nas pokrywać  
i nas poznawać, jak to anioł  
zwiastował Dziewicy.

Na pożegnanie dotkniętym głuchotą  
kończą się nam słowa.



*ROZDZIAŁ SIÓDMY, w którym przemawia się na forum Bundestagu, Siedmiu Karzełków to indywidualności, pięć kobiet schodzi ze statku i chce coś przeżyć, chełbie śpiewają głośno i cicho, nasz pan Matzerath przybywa na miejsce, Malskat gimnastykuje się po gotycku pod sklepieniem prezbiterium, szcurzy ca lamentuje osamotniona, Śpiąca Królowna kłuje się wrzecionem, a statek kotwiczy nad Winetą.*

Kiedy wraz z miastem Gdańsk, po którym chodziłem jako jedyny przechodzień, śniła mi się szcurzy ca, kiedy statek zdążający do Winę ty ociągał się, ociągał i nie chciał zawinąć do portu w Visby – jak i Oskar nadal był w drodze, na polskich szosach – kiedy w dalszych snach kilkakrotnie wołałem: nie!, twierdziłem, że musi być wyjście!, i zaklinałem malusieńką nadzieję, śniłem, że dane mi jest wystąpić na forum Bundestagu i z głowy lub z kartki wygłosić mowę. A widząc przed sobą siedzących deputowanych z poszczególnych frakcji i wiedząc, że na podwyższeniu za moimi plecami siedzi przewodniczący Bundestagu, a po prawej kanclerz ze swymi ministrami, zabrałem, jak gdyby to było coś do uchwycenia, głos:

Panie przewodniczący, szanowni państwo! Wydaje mi się, że widzę was wszystkich, rozsadzonych w dobrze przemyślany sposób, jakby we śnie. A ponieważ wszedłem na mównicę we śnie, może się zdarzyć, że niejeden szczegół moich wywodów będzie się po brzegach zacierał, inne będą ostro kanciaste. Sny mają szczególną optykę; opiera się ona na niezrównoważeniu. Z natury swej, która została zbadana, mówią prawdę na wyższej płaszczyźnie, ale pod kreską nie są zbyt drobiazgowo; bo już teraz, kiedy tak patrzę na salę obrad plenarnych, widzę, że granice między frakcjami zaczynają się rozplýwać; nie dostrzegam już partii, widzę jeszcze tylko interesy.

Dochodzi też do osobliwych epizodów. Ledwie zacząłem moją mowę, rzuca się w oczy, jak rój umundurowanych listonoszy pieniężnych odlicza banknoty niektórym deputowanym i jakimiś sumami parokrotnie obsługuje ławę ministerialną, przy czym przed każdą wypłatą ślini się kciuk. Ponadto wydaje mi się, że podczas gdy ja przemawiam, kanclerz federalny kęs po kęsie opycha się dużym klinowatym kawałem tortu z kremem maślanym.

Oczywiście wiem, że deputowanym i ministrom nie płaci się publicznie. Nigdy kanclerz nie uległby tak jawnie swej słabości do słodyczy. Możliwym czyni to tylko mój sen. Obnaża on rzeczywistość i pozwala mi nawet wezwać rój wciąż jeszcze uwijających się listonoszy pieniężnych do zrobienia sobie dobrze zasłużonej przerwy śniadaniowej; nie trzeba przecież przekupywać i sprzeniewierzać na okrągło. Dalej, panie kanclerzu, proszę pana o zarezerwowanie drugiego kawałka tortu dla następnego mówcy, żeby bez odwracających uwagę epizodów można było wyłożyć propozycję, która ma na celu jedynie wspieranie kultury.

Chodzi o bombę neutronową. Jak pamiętacie, szanowni państwo, toczył się o nią spór. Miała zostać potępiona. Powstało oburzenie. Ja też byłem przeciw, wówczas. Nazwano ją zdecydowanie nieludzką. I taka ona jest, taka jest nadal. Bo gdzie trzaśnie bomba neutronowa, tam człowiek bezapelacyjnie ginie, a z nim wszelka zwierzyna.

Opowiadano mi, że przyspieszone promienie neutronowe i gamma najpierw paraliżują ludzki system nerwowy, potem niszczą przewód pokarmowy, równocześnie wywołują krwotoki wewnętrzne, gwałtowne poty i biegunkę, na koniec aż do wystąpienia śmierci odbierają ciało ostatnią kroplę wody, a więc odsączają je, jak mówią nasi medycy.

Jest to przerażające i wręcz niewyobrażalne. Stąd zrozumiałe są liczne protesty. Ale abstrahując od odsączonego człowieka i pozostałych organizmów żywych, przy zastosowaniu bomb neutronowych zniszczeniu nie ulega prawie nic. Budowle, sprzęt, pojazdy pozostają nietknięte, a zatem także banki, kościoły, podziemne garaże z wyposażeniem. Jednakże wówczas

słusznie mówiono: To dla nas za mało. Cóż może nam zależeć na zdolnych do produkcji fabrykach, sprawnych czołgach i nienaruszonych koszarach, skoro człowiek zginie?

Ale pytam was, szanowni państwo, jak by to wyglądało, gdyby bomba neutronowa miała do spełnienia misję zabezpieczenia kultury? Co byśmy powiedzieli o bombie, która z miłości do sztuk pięknych wykonywałaby zadania ochronne? Można by z nią żyć, gdyby świadoma celu pozostawiała cało nie tylko czołgi i działa, lecz również gotyckie katedry i barokowe fasady? Innymi słowy, my wszyscy, którzyśmy jeszcze wczoraj byli oburzeni, powinniśmy nabrać nowego, odprężonego stosunku do bomby neutronowej i dostrzec jej prawdziwy, powiem wprost: przyjazny sztuce charakter.

Przypomnijmy sobie: wówczas gwałtowna dyskusja zahamowała płynne przejście od taktycznych tylko pocisków do strategicznie skutecznych bomb neutronowych. Ale stracony czas dałoby się nadrobić, zwłaszcza że mocy produkcyjnych nie brakuje. Kto pragnie na dłuższą metę zapewnić ochronę najwyższym dobrom naszej kultury – a jestem przekonany, że to pragnienie żywi każdy deputowany – ten musi żądać produkowania wielu bomb oszczędzających.

Oczywiście to żądanie odnosi się do obu supermocarstw. Równowadze strachu musi odpowiadać równowaga oszczędzania. Toteż potrzeba specjalnego układu, który zobowiąże do zastosowania bomby neutronowej jako bomby oszczędzającej wyłącznie dla ochrony kultury. Jeśli tylko zechcemy, to utworzona przez oba supermocarstwa komisja będzie działała najpierw w Europie, a potem na wszystkich kontynentach i sporządzi listę najważniejszych ośrodków kultury. Potem należy równoważnie uznać strefy ochronne za obszary rażenia. Wreszcie na terenach podległych obu supermocarstwom trzeba dokonać dozbrojenia, ponieważ istniejący potencjał nie wystarczy. Chcemy przecież uchronić możliwie jak najwięcej substancji kulturalnej, która w przeciwnym wypadku musiałaby paść ofiarą atomowego

zniszczenia.

Jeśli, szanowni państwo, dobrze rozumiem wasze okrzyki, to zaczynacie nabierać zainteresowania. Wzywacie mnie, żebym przeszedł do rzeczy. Wołacie z pasją: Sztuka to kwestia gustu!

Jakże macie rację. Ale nasz gust w sprawach sztuki znajdzie się, jak tylko u siebie, na ziemi niemiecko-niemieckiej, nazwiemy po imieniu wartości chronione: ja proponuję Bamberg i Drezno jako miasta do neutronizacji, przy czym odbudowana Opera Sempera i Jeździec Bamberski mogą im być pomocne jako hasła. Nie chciałbym się wiązać, ale w dalszej kolejności mogłyby pójść tutaj Rothenburg nad Tauber, tam Stralsund, potem Lubeka i Budziszyn...

Proszę was, szanowni państwo – bardzo dziękuję, panie przewodniczący – o zaniechanie takich okrzyków jak: A co z Celle? albo: Dlaczego nie Bayreuth?, ponieważ ogólnoniemiecki aspekt planowanego oszczędzenia powinien mieć pierwszeństwo.

Jako że należy przypuszczać, iż większość miast – bo wszędzie są resztki kultury – będzie się ubiegać o dobrodziejstwo przyjaznej sztuce neutronizacji, na komisję opiniodawczą, którą trzeba jeszcze utworzyć, spadnie duża odpowiedzialność. Będzie ona musiała wykazać zrozumienie sztuki. Ale będzie też musiała się nauczyć mówić: nie, kiedy to lub inne miasto, niech się nazywa Lipsk albo Stuttgart, Magdeburg albo Frankfurt nad Menem, pozostanie z konieczności celem tradycyjnym.

A jakże, a jakże! Również ja głęboko ubolewam. Z bólem trzeba powiedzieć, że wiele europejskich stolic nie będzie mogło rościć sobie prawa do neutronowej ochrony. Ale decydując się w porę na działanie dałoby się znaczną część zagrożonych atakami nuklearnymi dóbr kultury przenieść do miast, które mają zapewnioną oszczędzającą neutronizację.

Na przykład można by skarby Watykanu przemieścić do Awinionu, dzieła sztuki z Luwru do Strasburga, to, czym może się wykazać Warszawa, do Krakowa, a najcenniejsze eksponaty ze wschodniobrzeźniańskiej Wyspy

Muzeów do zasługującego na oszczędzenie weimarskiego kręgu kulturalnego. Nie wykluczam, że dobrowolnie, choć nie bez żalu, swoje wrota katedr, ulubione barokowe fasady, używane od pokoleń chrzcielnice i z dawna znajomi święci z mostów zostaną wywiezieni do stref ochronnych; to zresztą ogólnoeuropejska operacja, która ma wszelkie dane na stworzenie nowych miejsc pracy. Dlaczego – na przykład – przy naszych umiejętnościach miałyby się nie udać przeniesienie kolońskiej katedry do Dinkelsbühl, londyńskiego Tower do Stratfordu?

Bo czego byśmy, szanowni państwo, nie zrobili, żeby uratować pomniki europejskiej kultury!? W ten sposób Europa po raz ostatni mogłaby dowieść swej wielkości i dać przykład, aby na innych kontynentach naśladowano nas w dziele ochrony. Dlatego proszę pozwolić mi na osobistą uwagę, która – za zezwoleniem pana przewodniczącego – jest w tej chwili stosowna: Gdyby moje rodzinne miasto Danzig, które od końca na razie ostatniej wojny światowej nazywa się Gdańsk, miało mieć szczęście należenia do miast przewidzianych do neutronizacji, a więc ze wszystkimi wieżami i wieżyczkami, szczytowymi fasadami i przedprożami, ze swą studnią Neptuna i całą swą gotycko-ceglaną surowością mogło przetrwać trzecią wojnę światową, to każda, ale to każda ofiara, jaką należałoby ponieść, przyszłaby mi łatwo.

Na pewno rozlegnie się wołanie: To nieludzkie! To cynizm! A i ja początkowo zadawałem sobie pytanie: Co nam przyjdzie z tej całej ochrony kultury, kiedy w zneutronizowanych miastach wszelkie życie, w którego ciele, jak mówi Biblia, jest duch żywota, aż do wystąpienia śmierci zostanie odsączone? Kto pozostanie, żeby oglądać to, co zostało oszczędzone, i wołać z podziwem: Jakie nieprzemijające piękno!?

Nie powinniśmy jednakże dać się zbić z tropu. Nie ma innego wyboru. Podobnie jak wolność, sztuka też ma swoją cenę. Dlatego, szanowni państwo, powinniście podjąć decyzję z całą stanowczością.

Ale kiedy tak spoglądam na salę obrad plenarnych i widzę, jak bardzo

ławki się przeredziły, mało tego, że jestem sam jeden w tej Wysokiej Izbie – bo oto zniknął i kanclerz wraz z gabinetem – zaczynam wątpić. Zadaję sobie pytanie: Czy nieobecni deputowani będą gotowi działać tak konsekwentnie dla dobra sztuki, jak przy innej okazji, kiedy to trzeba było chronić naszą wolność, opowiedzieli się w większości za tymi – jakżeż one się nazywają?! – wihajstrami średniego zasięgu?

Ale poszli sobie, żadne słowo już do nich nie dotrze. A ja rad byłbym poczynić dalsze propozycje, zmierzające do udoskonalenia ochrony zneutronizowanych zabytków. Chodzi o ten brud po wszystkim.

Jak wiem z postczłowieczego źródła i jak wszyscy eksperci zapewniają już teraz, po Wielkim Bum-Bum chmury popiołu zaciemnią niebo. Gwałtowne wichry poniosą ten stężony wyraz ostatniej ludzkiej możliwości wokół kuli ziemskiej, tak że nietknięte katedry, bogato zdobione pałace i wesołe barokowe fasady szernieją wkrótce od sadzy. Na wszystkim osiadzie sadza. Gruba, tłusta sadza. Skutkiem byłyby nieporównane szkody. Obraz nędzy i rozpaczy! Hańba dla kultury! Nikt nie chce słuchać? Hej, kanclerzu!

Poszedł sobie, zostawił tylko okruchy. A przecież trzeba by przeciwdziałać. Teraz i natychmiast! Trzeba by uruchomić środki na badania, zmobilizować niemiecką wynalazczość i wezwać nasze koncerty chemiczne do wyprodukowania usuwalnej substancji ochronnej, żeby sadza po wieczne czasy nie...

Wiem, kwestia pozostaje otwarta: kto, u diabła, ma później usuwać ochronne powłoki? Gdybyście, szanowni państwo z opozycji, byli jeszcze obecni, moglibyście okrzykiem: „Przecież wszyscy ludzie zostali napromieniowani, odsączeni, unicestwieni!”, wprawić mnie w zakłopotanie. Mimo to widziałbym wyjście. Przecież nie cały trud i nie wszystka praca, jak mówi Biblia, musi obarczać rodzaj ludzki. Przypominam udowodnioną zdolność przeżycia pospolitego szczura wędrownego, zwanego *rattus norvegicus*. On będzie, kiedy nas już nie będzie. On zastanie pieczołowicie ochronione zabytki naszej kultury. Zawsze przywiązany do człowieka,

ocalały szczur będzie – z właściwą szczerom ciekawością – zdzierał centymetr po centymetrze szerniałe od sadzy warstwy ochronne i zdumiewał się nietkniętą wspaniałością...

Potem już nie śniłem, że dane mi jest przemawiać na forum Bundestagu. Ostatnie zdanie: – Dziękuję wam, szanowni państwo, za waszą wymowną nieobecność! – usłyszałem ze swoich ust już na jawie.

Jak to dobrze, że jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte: nasz pan Matzerath w drodze, statek wpływa do portu Visby, moja gwiazdkowa szczurzyzna śpi i pewnie śni o trzecim programie, ale w lasach Grimmów rośnie opór: wszystkie baśniowe postacie są szalenie zdecydowane.

Jak mamy sobie wyobrazić każdego z osobna spośród Siedmiu Karzełek? Co poza tym, że to najsmutniejsza ze smutnych par, da się jeszcze powiedzieć o Jorindzie i Joringelu? Czy całowanie z musu warte jest gruntowniejszego zbadania?

To i jeszcze więcej chciałby wiedzieć nasz pan Matzerath, jak tylko wróci z Polski. Co prawda podoba mu się, że z całej siódemki zrobiłem anarchistów, ale chce, żebym każdego Karzełka wyposażył w cechy indywidualne. Drugi mógłby z buchalteryjną ścisłością zapisywać na specjalnym formularzu każdy pocałunek Księcia, podczas gdy czwarty małpowałby jego budzenie pocałunkami; później zobaczymy, jak pierwszy, szósty i siódmy Karzełek nieufnie pilnuje młodego człowieka z nienasyconymi w całowaniu ustami.

Rzuca się w oczy, że cała siódemka wykorzystuje swoją Śnieżkę: słabowite stworzenie musi nie tylko prać i prasować bieliznę, przyszywać im guziki i czyścić siedem par butów na wysoki połysk; widzimy też, jak ten i ów z zawsze posłuszną gosposią znika w pokoiku na poddaszu. Skoro tylko klient po stosunkowo krótkim czasie zejdzie gwizdząc ze schodów, a Śnieżka za każdym razem bardziej wyczerpana chwiejnym krokiem opuszcza swój pokoik, Zła Macocha inkasuje dawno temu wybite monety, pruskie talary, w tym sztuki złota.

Są gburowaci, hałaśliwi i przepadają za grą w kości. Wspólne ćwiczenia utrzymują ich w dobrej formie fizycznej: siłowanie się na rękę, podstawianie nogi. Uprzejmie traktują Karzełki tylko Czarownicę, którą szanują wszyscy pensjonariusze, nawet Zła Macocha; obie pogrążają się niekiedy w rozmowach, w toku których kwestie emancypacji nie pozostają bez odpowiedzi.

Przez cały czas gospodyni Domku z Piernika występuje jako oberżystka, a więc surowo i troskliwie zarazem, i tylko chwilami, kiedy bawi się palcami Jasia, wychodzi na jaw jej natura. Wolno przypuszczać, że ma romans z parobkiem Liczyrzepą albo z Titeliturym, albo z obydwoma, bo nieokrzesany olbrzym i kuśtykający kelner nieruchomieją wystraszeni, ilekroć ona ruszy długim palcem wskazującym. Nie lubi, kiedy Liczyrzepa pozwala Roszpuncie czesać swą brodę. Nie podoba się jej, kiedy Titelitury odpina nogę, żeby porównać kikut z kikutami rąk Bezrękiej Dziewczyny.

Często Czarownica życzy sobie towarzystwa Żabiego Króla, którego obie z Małgosią chluśnięciami wody częściej wywabiają ze studni, niż tego chce akcja filmu. I jedna, i druga lubi rozmawiać z koronowanym nurkiem, którego podwodne historyjki obfitują w puenty. Dama nie słucha gadaniny i jest zaprzątnięta jedynie swym bólem głowy, skoro tylko żaba skoczy z jej czoła do studni. Podziw dla cierpiącej piękności staje się wyraźny, kiedy gospodyni Domku z Piernika podaje jej uśmierzające pigułki ukręcone z suszonego żabiego skrzeku i łyk żabiozielonej cieczy.

Czarownica chętnie poleżałaby koło studni; ale kiedy za pozwoleniem damy kładzie się na jej miejscu, żaba odmawia skoku ze skraju studni na jej czoło. Jak gdyby życząc sobie napisu ze słów porzekadła „miłości nie da się wymusić”, Dama kładzie się z uśmiechem i od razu doznaje ochłody. A Małgosia, która to wszystko widziała, szczerzy zęby w dwuznacznym uśmiechu, jak gdyby dziecko wiedziało, w jaki sposób można by królewską żabę nauczyć skoków w bok.

Nie wszystkie propozycje naszego pana Matzeratha trafiają do



przekonania: chce on – choćby dlatego, żeby mnie podrażnić – aby olbrzymie ślimaki dostarczały słownik Grimmów tom po tomie, aż całość w trzydziestu dwóch tomach znajdzie się przed Babcią; poza tym przed wyjazdem do Polski zarządza, że Czerwony Kapturek zawsze dopiero wtedy ma otworzyć zamek błyskawiczny i wpełznąć do wilczego brzucha, kiedy Babcia nie wpuści głupiego stworzenia pod spódnice. Nie chcę komentować tej ingerencji w mój scenariusz, aczkolwiek nie rozumiem naszego pana Matzeratha: Babcia Czerwonego Kapturka to nie Anna Koljaiczkowa; ale zgadzamy się, kiedy Oskar chce specjalnie rozbudować wątek wymuszonego całowania.

Absurdalność całowania, całujący jako recydywista, budzenie pocałunkami jako proces mechaniczny, owo głupie lekceważenie higieny, wszystko to wymaga aktora, który potrafi jednakowo obojętnie całować wszystko, co jest podobne do Śpiącej Królowy; bo w toku akcji Księżę ma zostać pozbawiony autentycznego obiektu do całowania, po czym nie tylko rozdaje całusy Roszpuncie i Śnieżce, lecz dopada też do kukły, którą Karzełkowie szósty i siódmy zmajstrowali ze słomy, mchu i gałganów.

Nigdy nie posunąłbym się tak daleko jak nasz pan Matzerath, który nazywa całowanie chorobą dającą przedsmak śmierci; ale film powinien pokazać, jakie niebezpieczeństwo wywołuje księżęca mania całowania. Będąc próżny i przystojny Księżę bez Śpiącej Królowy postrada zmysły.

A Jorinda i Joringel? Jak można przedstawić smutek, który opiera się na niezmiennym mimice? A Roszpunka? Jej fatalnie długie włosy? Tak obfite, że żaden grzebień nie da im rady?

Nie, nie będzie w scenariuszu peruki, którą anarchiści Karzełkowie mogliby zerwać i bawić się nią jak szmacianką, a Roszpunka stałaby się pośmiewiskiem. Z okna na poddaszu Domku z Piernika mają powiewać bajecznie długie, tkane z czerwonego złota, a mimo to naturalne włosy, włosy jak marzenie, włosy jak sen, jedyny sztandar, za którym gotów jestem podążyć. Dlatego mówię, że moja Damroka ma piękne kędziory. Jej włosy

dają mi więcej, niż szczyrzyca – jest już znowu! – zdoła mi zabrać swoim gadaniem. A ponieważ ja dosłownie wiszę na włosach Damroki, Roszpunka nie dostanie peruki – nie, panie Matzerath!

Zacumowawszy swój statek w porcie Visby na Gotlandii piątka kobiet przybyła wprawdzie na miejsce, ale bardziej niż kiedykolwiek przedtem oddaliła się od Winety. Ich statek przemierzył dobre trzysta pięćdziesiąt mil w kierunku wschodnim. Po wyspie Møn widziały, jak znika wyspa Bornholm. Zbliżyły się do lądu szwedzkiego na wysokości Ystad, potem, kłócąc się w zatoce Hanö, miały go w zasięgu widzenia: płaski pas wybrzeża, upstrzony instalacjami przemysłowymi. Wreszcie z lewej burty umykała im z oczu wydłużona wyspa Olandia. Po sześćdziesięciu dwóch godzinach żeglugi zużyły, jak obliczyłem, przeszło siedemset litrów oleju i zawinęły do portu Visby z niemal pustym zbiornikiem rezerwowym. Kończyły się wszystkie zapasy. Woda do picia prawie wyszła. O wólcze nie było co mówić. Niczego już nie można by było opowiedzieć po raz pierwszy albo i drugi. Kłótnia w zatoce Hanö, kiedy to odłowiono ostatnie chełbie, pochłonęła wiele słów. Wołały więc do siebie już tylko półzdania, czego statek od nich żąda.

Ponieważ w dodatku upłynęło dużo czasu, na zejście na ląd pozostaje tylko parę godzin. Damroka idzie do kapitana portu po ostemplowane enerdowskie papiery. Mechaniczka i sterniczka każą zatankować „Nową Ilsebill” do pełna, łącznie ze wszystkimi rezerwowymi kanistrami. Stara i oceanografka ogałacają zamrażarki w sklepie spożywczym ze wszystkiego, czego potrzebuje kuchnia. Jako że na półkach mają tylko słabe piwo i nie uświadczysz ani kropli wódki, Stara przeklina królestwo Szwecji i jego moralność. Wreszcie z pomocą pijanego Fina między składami udaje się jej wytrzasnąć jednak dwie litrowe butelki samogonu po paskarskiej cenie.

Teraz dopiero kobiety mogą naprawdę zejść na ląd. Przebierają się prędko i zwijają nieprzemakalne kombinezony w tłumoczki. Właściwie Damroka chce zostać na pokładzie, ale ponieważ Stara i oceanografka perswadują jej

to: „Bez ciebie to w ogóle żadna frajda”, i ponieważ mechaniczka i sterniczka zapewniają: „To my też zostajemy na pokładzie”, daje się namówić. Nieco roztargniona, jak gdyby musiała przywoływać myśli z daleka, szuka kluczy, zamyka sterówkę i niestety nie wszystkie zejścia pod pokład.

Jako że w Visby, mieście, które w prospektach oferuje więcej, niż da się w krótkim czasie oblecieć, dużo się jednak dzieje, oceanografka nie zdoła sfotografować sterczących wszędzie ruin i nie spełni się życzenie sterniczki, żeby raz-dwa, mimochodem, poderwać sobie chłopca. Stara nie może ani rusz wytrzasnąć jeszcze jakiejś wódki. Damroka nie ma życzeń. A mechaniczka, ciekawa zejścia na ląd dla samego zejścia, widząc ruch w mieście mówi: – Jazda, dołączmy się gdzieś. Może coś się zdarzy.

Bo również w Visby, jak o tej porze w wielu innych miastach, protestuje się przeciw temu i owemu. Ponieważ pochody protestacyjne, których jest cztery lub pięć, przeciągają w różnych kierunkach, występując na transparentach i w skandowanych okrzykach przeciwko doświadczeniom na zwierzętach oraz za wolnością dla Polski i jednocześnie Nikaragui, Damroka, pamiętająca trochę szwedzki, musi tłumaczyć, co głoszą transparenty i skandowane okrzyki.

Po krótkiej naradzie kobiety decydują się. Przeciwko wyścigowi zbrojeń nie chcą już maszerować. – Z narkotykami – woła Stara – nie miałam nigdy nic do czynienia. – Polski – mówi mechaniczka – nie można wrzucać do jednego garnka z Nikaraguą. – Dołączają się więc do obrońców zwierząt, ponieważ oceanografka powiada: – Zobaczymy, czy oni są też przeciwko liczeniu chełbi.

Maszerują koło zrujnowanych kościołów, potem koło częściowo zrujnowanych, częściowo porządnie odbudowanych miejskich murów, które – jak można przeczytać w prospekcie – opowiadają o historii Visby. Na skraju miasta pochód protestacyjny zatrzymuje się przed płaską budowlą, odstręczającą naukowym wyglądem i widocznie cieszącą się złą sławą, bo cała trzydziestka czy czterdziestka dzieci, kobiet i mężczyzn, do których

można zaliczyć piątkę kobiet zeszyłych na ląd, woła raz za razem po szwedzku, że jest przeciwna doświadczeniom na zwierzętach. Po niemiecku woła Stara zrazu samotnie, potem wsparta przez oceanografkę: – Skończyć z głupim liczeniem chełbi!

Pada deszcz, jak pada często tego deszczowego lata. Poza tym nie dzieje się nic, aż zostanie rzucony kamień i szkło rozpryskuje się na kawałki, po czym zostaje rzuconych wiele kamieni. Wkrótce wszystkie frontowe okna Instytutu Badań Podstawowych są powybijane.

Jestem pewien, że mechaniczka rzuca pierwszy kamień, a sterniczka drugi. Dopiero po trzecim kamieniu, rzuconym albo przez Starą, albo przez oceanografkę – bo Damroka nie rzuca – widzę rzucających kamieniami Szwedów. W każdym razie mechaniczka zrobiła to pierwsza, żeby coś się działo. Kupa poręcznych kamyków wielkości gołębiego jajka leży na skraju ulicy jako pozostałość po pracach budowlanych.

W płaskiej budowli nic się nie rusza. Nikt nie przeszkadza szwedzkiemu ludowi wdrzeć się przez pozbawione szkła drzwi. Sterniczka chce pójść w jego ślady z okrzykiem: – Za mną! – Mechaniczka chwyciła już kawałek budulca. Oceanografka pstryka, jak mówi, „szybciotko dwa, trzy pamiątkowe zdjęcia”. Stara woła: – Jazda! Może mają tam w środku parę buteleczek. – Ale Damroka rozstrzyga: – Musimy zabierać się stąd. Wystarczy. Koniec zejścia na ląd. Za godzinę ruszamy.

Kobiety nie widzą więc, co ja widzę: jakie zwierzęta doświadczalne zostają uwolnione przez Szwedów, którzy wszyscy jak jeden mąż mają na głowach żółte albo czerwone plastikowe kaptury od deszczu. Prócz świnek morskich, szczurów laboratoryjnych i myszy laboratoryjnych także dziesięć królików, pięć psów i cztery rezusy. Ponieważ pochody protestacyjne raz po raz zagradzają drogę, wreszcie z wyciem syren nadjeżdża policja i tu ustawia zapory, tam wysyła grupy tropicieli z psami, kobiety dopiero określonymi drogami i dość zmęczone docierają do portu.

Przypuszczenie mechaniczki: – Zakład, że wypuścili kupę zwierzaków –

zostaje przyjęte w milczeniu, podobnie jak żale Starej: – Biedne stworzenia, błakają się teraz nie wiadomo gdzie. Trzeba nam było jedno wziąć. Był tam taki mały piesek.

Damroka obywa się bez poleceń. Podczas ściągania lin otwiera sterówkę i przy ostatnim zejściu pod pokład zaczyna się zastanawiać, bo forkasztel stoi otworem.

Mechaniczka zapuszcza motor. Oceanografka pyta: – Nie wie ktoś, gdzie jest mój kalkulator? – Zanim Stara odkorkuje fiński samogon i naleje sterniczce i sobie, „Nowa Ilsebill” odbija od brzegu.

Jest wczesne popołudnie. Chwilowo nie pada. Żadna z kobiet nie ma ochoty na rozmówki. Z rzucania kamieniami już się nic nie wyciśnie. Czy zejście na ląd rozczarowało? Wygląda tak, jak gdyby kobiety były związane ślubami milczenia, od których – jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego – można się uwolnić dopiero nad zatopionym miastem.

Ale kiedy pod wieczór przy północnej jasności przemierzają Hoburgbank, płyciznę na południe od Gotlandii, i wpadają przy tym na rozległą, zmniejszającą prędkość ławicę chełbi, która nawet przy próbie ominięcia jej z prawej zdaje się podążać za statkiem, milczącym kobietom, ale i mnie, który utrzymuję je w milczeniu, wydaje się jakby, że nad wodą zalega wznoszący się i opadający dźwięk, że trwa bezsłowny śpiew, co nie zna początku, nie zna końca, że miliony chełbi modrych – któż inny? – w płytkiej wodzie nagle uzyskały głos albo mocą wyższej woli cudownie wywodzą śpiew.

Już oceanografka taszczy rekina pomiarowego na pokład. Z pomocą sterniczki zarzuca specjalną sieć, przy zmniejszonej prędkości – bo Damroka też chce tego próbnego odłowu – ściąga ją, wyrzuca połów na stół na śródkręciu, rozpościera dwanaście i więcej średniej wielkości chełbi na blacie i słyszy, co słyszą też sterniczka i mechaniczka, że aurelie wydają z siebie szelest, nie, dźwięk, który – nastrojony na niższy ton niż śpiewanie nad morzem – wzbiera jednak chóralnie w śpiew i mimo stukotu motoru może być nawet słyszany na pokładzie, bo Stara zostawia spaghetti w kambuzie,

łanie zarządzony przeze mnie nakaz milczenia i woła: – Rany, one naprawdę śpiewają! – po czym cała piątka kobiet, na ostatku oceanografka, wierzy temu, co słyszy w wysokim i niskim rejestrze.

*Aurelia aurita*, pięknie napiętnowana, której galaretowaty środek naznaczony jest niebieskofioletowym czterolistnym liściem koniczyny, potrafi śpiewać. One, przezroczyście eteryczne, oddychające morzem, wędrujące chmarami, przeklinane jako plaga meduzy, one, które zazwyczaj, rozpostarte na stole, kurczą się bezdźwięcznie i tracą blask, skoro tylko formalina ma odwlec ich kurczenie, śpiewają mimo wiotkich płatów welarnych: wzbierający, w wysokim rejestrze drżący, w niskim ryczący dźwięk czyni ładownię dawnej szkuty towarowej ciasną. Nigdy przedtem, chyba że w biblijnym piecu ognistym, nie śpiewano tak żarliwie.

Kto gotów jest uwierzyć, chce mimo to dowodów. Damroka zezwala na drugi, trzeci odłów rekinem pomiarowym. Oddawszy ster sterniczce, na propozycję oceanografki nagrywa na magnetofon, który dotychczas służył kantatom Bacha i preludiom organowym, meduzi śpiew, jakby jedynie technika mogła niesłychane zjawisko potwierdzić lub mu zaprzeczyć – na co mają nadzieję, czego w głębi duszy obawiają się kobiety – przez brak jakiegokolwiek tonu na taśmie.

Puszczają więc taśmę. A kiedy okazuje się, że odtwarza ona śpiew meduz technicznie bez zarzutu, oceanografka wynosi aparat na pokład, po czym nagranie cudownie się miesza z wyżej nastrojoną śpiewaniną, która zalega nad powierzchnią morza, jak gdyby technika i natura były wyjątkowo gotowe podjąć wspólną sprawę.

Dopiero dużo później, z zapadnięciem zmroku, zanikają ławice chełbi, ginie oryginalny dźwięk. Ale kobiety długo jeszcze nie chcą się kłaść. Raz za razem przesłuchują to, co zostało nagrane w pracowni, a potem z mikrofonem na długiej wędce tuż nad wodą. Przy słuchaniu kontrolnym kobiety mówią mało. Oceanografka powiada: – W instytucie nikt mi nie uwierzy, że nagrałyśmy to na żywo.

Mimo to przypuszczenie Starej, że chodzi o niewytłumaczalne zjawisko, zostaje skwitowane uśmiechem. Krzewią się spekulacje, jak choćby pytanie mechaniczki, czy z wysokości śpiewu meduz można wywnioskować, jaką gęstość mają ławice chełbi. – Jeśli tak – zauważa – to miałybyśmy nową metodę, bez rekina pomiarowego i podobnych fidrygałków.

Damroka mówi o polichórałości śpiewających ławic chełbi i wspomina kompozycje chóralne Gesualda. Oceanografka sypie danymi: – Ławica na Hoburgbank była co prawda niezwykle duża, ale nie tak gęsta jak ławice w Zatoce Kilońskiej. Tam od marca do października naliczono około siedmiu miliardów osobników, co, przyjmując przeciętną wagę meduzy, można przeliczyć na jeden koma sześć miliona ton łącznej wagi. Wyobraźcie sobie, że ta biomasa śpiewa, a my z naszym mikrofonem możemy...

Jeszcze długo po północy kobiety usiłują wyobrazić sobie śpiew meduz przy tak wielkiej gęstości chełbich ławic. Damroka dokonuje porównań ze śpiewami liturgicznymi. – Śpiew gregoriański – mówi. I: – Aż do Palestriny.

Stara woła: – Bzdura z tą waszą manią wyjaśniania wszystkiego! – i wznosi samogonem toast za niewytłumaczalne zjawisko.

Kto powiedział „wpływy kosmiczne”? Mechaniczka, sterniczka?

Wszystkie mówią jedna przez drugą. Lubię, kiedy są takie: podniecone migotliwe urzeczone, zarówno dobre jak i złe wróżki. Ich gwałtowne albo powolne gesty. Ich uśmiech, który nie chce już być rzeczowy. Zaczarowane śpiewają, podczas gdy taśma magnetofonu się obraca, na sposób meduz, nareszcie zgodne: w śpiewie. Nigdy by mi się nie udało spleść ich głosów tak harmonijnie...

Kiedy jednak kładą się jeszcze na parę godzin na swych hamakach, Damroka, która ze świeżo zaparzoną kawą obejmuje ster, mówi: – Z początku pomyślałam, a niech mnie, to przecież „Suscepit Israel” z *Magnificat*, ale teraz mogłabym się założyć: chełbie to dwunastotonowce.

Reszta należy do diesla.

Skoro jednak ze wschodem słońca nad powierzchnią morza znów zalega

śpiewanina chełbi modrych, kobiety, po krótkim śnie, nie dokonują już hamujących żeglugę odłowów kontrolnych, lecz puszczają taśmę za taśmą, nagrywając cichszy teraz śpiew rozrzedzonych ławic chełbi i jednocześnie kasując stare nagrania: nie tylko kantaty Bacha i preludia organowe, także Joan Baez, Boba Dylana i kogo tam jeszcze, starzejąc się, słuchały.

Oceanografka odczytuje liczby z licznika magnetofonu i nanosi je na mapę morską. Mają za sobą płyciznę Mittelbank i przemierzają teraz, na północny wschód od Bornholmu, stumetrowe głębiny. Jednakże nadal unosi się nad powierzchnią morza cienusieńka przedza głosów i aż do późnego popołudnia pomaga w dobrym żeglowaniu.

Dopiero pod wieczór, kiedy na północny zachód od Oderbank znów przemierzają płyciznę, potem przez lornetkę, a wreszcie i gołym okiem dostrzegają Rugię, Kap Arkona, Stubbenkammer, kredowe skały, wzbiera śpiew i statek zmniejsza prędkość; na wysokości Greifswalder Oie zostają zatrzymane przez łódź straży granicznej NRD.

Polichóralny śpiew meduz unosi się ponad stukot silników okrętowych na jałowym biegu. Trzej umundurowani mężczyźni wchodzą na pokład. Damroka okazuje ostemplowane papiery. Policjanci ze straży granicznej są uprzejmi, skrupulatni. Najwidoczniej przygotowani na pojawienie się statku badawczego na wodach Niemieckiej Republiki Demokratycznej, przeszukują skutę. Bez komentarza liczą hamaki. Przychylnie rzucają okiem na dokumentację pomiarów. Podobają się im tablice pogładowe i tabele statystyczne; ale kiedy oceanografka nadgorliwie zagaduje ich o śpiew meduz, policjantów ogarnia zawsze czająca się w pogotowiu nieufność. Szorstko zaprzeczają: Do ich uszu nie dociera żaden śpiew. Występowanie chełbi utrzymuje się w granicach normy. Nawiasem mówiąc, każdy wie, przynajmniej w NRD, że chełbie nie umieją śpiewać.

Wyraźnym szturchnięciem udaje się mechanicznie powstrzymać oceanografkę od zademonstrowania meduziego śpiewu z nagranych taśm. Damroka uśmierza służbową nieufność: – Wiecie panowie sami, że my,



kobiety, słyszymy nieraz, jak pchły kaszlą.

Policjanci dziękują kapitanie śmiechem. Zdobywają się nawet na męski dowcip: – Czy panie przypadkiem umieją pływać? – Ale częstowani przez Starą samogonem w napełnionych do połowy szklankach wymawiają się ogólnoniemieckim zwrotem, że służba musi pozostać służbą, a wódka wódką. Życzą „dobrego rejsu i spokojnego weekendu”.

Kiedy łódź straży granicznej odbija, jeden z policjantów woła burta w burtę: – Zrobimy z tego, dziewczyny, meldunek o sukcesie: enerdowskie chełbie umieją śpiewać! – Jak gdyby meduzy chciały ten postęp potwierdzić, ich śpiew przybiera na sile, podczas gdy statki się oddalają.

Chcę teraz stwierdzić, że to niesłyszalne dla straży granicznej śpiewanie dotyczy jedynie kobiet i celu ich rejsu; bo kiedy na zwolnionych obrotach biorą południowy kurs na leżącą przed wybrzeżem kontynentu wyspę Uznam, chóralny śpiew meduz nabiera nie tylko mocy, ale i wyrazu, który potęguje się, jak gdyby miano zaintonować *Hosanna*. Są to chóry radosne, które witają „Nową Ilsebill” i wytyczają kurs statku, bo zawsze, ilekroć dziób zwróci się na zachód w stronę Zatoki Greifswaldzkiej albo skieruje się zbyt na wschód ku polskiemu wybrzeżu, wyspie Wolin, śpiew słabnie, aby na ściśle południowym kursie znów wezbrać radością.

Damroka wyciągnęła z żeglarskiego worka i rozłożyła poźółkłą mapę, na której zaznaczona jest głębina Winety. Powyżej tego znaku, na wschód od wyspy Rügen, na północ od Peenemünde, widnieje nazwa zatopionego miasta. Damroka słucha jedynie wskazującego drogę śpiewu meduz, trzymając odpowiedni kurs i widzi, że jest to zgodne ze wskazaniem mapy. Późnym wieczorem zarzucają kotwicę w oznakowanym miejscu. Ale ponieważ ściemniałe morze nie pozwala zajrzeć w głąb, kobiety muszą poczekać do następnego ranka, choć już teraz bardzo by chciały zamieszkać w swoim mieście.

Również pod rozgwieżdżonym niebem nocnym śpiew meduz nie chce zamilknąć. Pozostaje dźwięk niesiony łagodnym tchnieniem. Damroka

dosłuchuje się *Kyrie*, później *Agnus Dei*. Oceanografka słyszy muzykę elektroniczną, Stara – organy Wurlitzera. Albo sterniczce, albo mechaniczne przychodzi do głowy porównanie z dźwiękami sferycznymi. Długo jeszcze siedzą ciasno jedna przy drugiej za sterówką i słyszą, co chcą usłyszeć, aż posłuchają przestrogi Damroki: – Rano powinniśmy być wyspane. – Kładą się na hamakach, ale nie znajdują snu.

Jutro jest niedziela. Nie wiem, czy później raz jeszcze zostaje przywołany turbot. A nawet gdybym to wiedział, nie słuchałbym, co ma do powiedzenia.

Nienie, szcurzyco! Jeszcze ktoś dociera do celu. Ciebie nie chcę słyszeć, wołałem, ciebie nie chcę! Jeszcze jedna podróż musi dobiec końca.

Na to odparła szcurzyca, która mi się śni: No już dobrze, bratku. Nawet jeśli to wszystko jest przeszłe i skończone, pozostań przy swojej teraźniejszości i mów: One wiercą się w swoich hamakach, on zwalistym mercedesem dojeżdża Grunwaldzką do Bramy Oliwskiej, kobiety jutro z samego rana, on jeszcze dzisiaj, zaraz...

W sobotnie popołudnie nasz pan Matzerath z szoferem przybywa do Gdańska, gdzie obaj zajmują zamówione pokoje w hotelu Monopol, naprzeciwko Dworca Głównego. Po krótkiej przechadzce po mieście pośród zbyt wielu turystów, którzy porównują to, co zobaczyli, z osobliwościami na pocztówkach, i po przejściu spod Wieży Więziennej przez Bramę Złotą na Długą, gdzie zajrzawszy w boczne uliczki zobaczył wprawdzie swój Gdańsk, ale go nie poznał, postanawia, chociaż studnia Neptuna i słonawe wody Motławy wydają się swojskie, jeszcze dzisiaj, w wigilię urodzin, jechać na Kaszuby, pozwalając sobie tylko na krótki objazd przedmieścia Wrzeszcz ulicami swego dzieciństwa; ale nie dający się uśmierzyć niepokój do tego stopnia popycha go czym prędzej w kierunku babki – a może to jej siła przyciągania szarpie, wsysa, wciąga? – że Oskar tylko przelotnie rzuciwszy okiem na ulicę Labesa i wydłużoną ceglaną budowlę szkoły Pestalozziego uznaje wszystko, co zobaczył, za stracone i nie chce wchodzić do kościoła Serca Jezusowego, być może przed ołtarz Marii Panny; nalega za to na swego

szofera, żeby prostą drogą, przez Strzyżę Górną i Brętowo, jechał do Matarni, gdzie Anna Koljaiczkowa, po wypędzeniu z Bysewa-Wybudowania, zamieszkała w niskim domku.

Należy doń ogród z jabłonkami i słonecznikami przy płocie. Już pod kasztanem przed domem stoją goście zebrani na uroczystość wstępną. Niska izba paradna, w której babka skończy jutro sto siedem lat, jest za ciasna, żeby pomieścić wszystkich, co przybyli z bliska i z daleka.

Bruno został przy mercedesie, który przyciąga kaszubskie dzieci. Nasz garbaty człowieczek stoi oto między Woykami i Brońskimi, Stommami i Kurbiellami, przybyłymi z daleka Vikingami, Brunsami i Colchicami. W uszytym na miarę garniturze markuje ukłony i miesza się z ciżbą gości pod kasztanem, którzy zdumiewają się widząc go we własnej osobie, chociaż legenda naszego pana Matzeratha zdaje się wszystkim znana, i to dłużej niż jego mercedes. Wita go nie tylko familiarny uśmiech, jakby chciano powiedzieć: My wszystko wiemy.

Jednakże on przedstawia się temu i owemu gościowi i w Sigismundzie Stommie, owym postawnym właścicielu sklepu z rowerami, który z żoną i dwójką podrastających dzieci przyjechał z Gelsenkirchen, znajduje tłumacza przekładającego mu wszystkie kaszubskie uprzejmości jego krewniaków na ową niemczyznę, jaką mówi się w Zagłębiu Ruhry. Z państwem Bruns, którzy na Kaszuby przybyli z Hongkongu i nadają wstępnej uroczystości egzotyczny odcień, nasz pan Matzerath papie całkiem płynnie po angielsku, tak samo z australijskimi Vikingami i Colchicami znad jeziora Michigan, którzy później, jak i Kazimierz Kurbiella z Mombasy nad Oceanem Indyjskim, w przepelnionej paradnej izbie wezmą go w ramiona i powitają trochę nazbyt hałaśliwie.

Ale jeszcze stoi pod kasztanem i nazywa Mrs. Bruns lady, tak że wkrótce wszyscy mówią o „lady Bruns”, jakby wywodziła się z chińskiej szlachty.

Wcina makowiec i nie odmawia szklaneczki ziemniaczanego bimbrow. Na długim stole przed niskim domem znajduje się wszystko, co Kaszubi mają do

zaoferowania nawet w latach chudych: grzyby marynowane i jajka na twardo ze szczypiorkiem, przyprawiona kminkiem sałatka z kapusty i półmiski zimnych nóżek, rzodkiewek, korniszonów i kwaszonych ogórków, placka z kruszonką, makowca, sernika, kielbasy pokrojonej na kawałki grubości kciuka, grysikowego i waniliowego budyniu. Do tego jeszcze smalec ze skwarkami, marmolada z jabłek i pierogi z siekanym mięsem, którymi częstuje naszego pana Matzeratha ów ksiądz z Matami, co napisał wiele pocztówek z zaproszeniami i rozesłał na cały świat.

Duchowny przedstawia mu dalszych krewniaków, między nimi dwóch młodych ludzi z modnymi wąsami, którzy pracują w stoczni Lenina i są tak uderzająco niebieskoocy, że Oskar nie jest zdziwiony, iż rozmawia z synami Stefana Brońskiego. – Niezaprzeczalnie – mówi – to wasz drogi dziadek, a mój wuj Jan, który tak blisko był związany z moją biedną mamą, chce spojrzeć na mnie, jak spoglądał często, tak jakby miał strzec tajemnicy i chciał ją jednak wyjawić.

Synowie Brońskiego muszą się schylić, żeby wuj mógł ich wziąć w ramiona. Natomiast przywitanie z ojcem obu stoczniowców, chociaż ksiądz nie musi tłumaczyć, wypada trochę sztywno. Przypuszczalnie bliżej ze sobą spokrewnieni, niż chciałoby się przyznać, obaj panowie są mniej więcej w tym samym wieku. – Więc znowu się widzimy – mówi nasz pan Matzerath do Stefana Brońskiego i zachowuje dystans.

Tylu krewnych! Prócz serdeczności wymienia się z nimi choroby i ich przebiegi. Potem ksiądz ze wskazującym drogę gestem i słowami: – Ale teraz pozwolimy sobie zajrzeć do paradnej izby – wprowadza Oskara do domu, gdzie za stłoczonymi gośćmi, którzy piją spiesznie i ze śmiechem raz po raz witają się ze sobą, w fotelu przy oknie siedzi ukryta jego babka.

Od kilku godzin ma przy czarnej niedzielnej sukni biało-czerwoną wstęgę orderu, którą w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wręczyli jej i od razu przypięli dwaj panowie z Warszawy. Niegdyś postawna, zrobiła się na starość skurczona i drobna. Jej twarz przypomina zimowe jabłko. Z jej

dłońmi wydaje się zrośnięty różaniec, który – choć zwrócona pogodnie ku ciżbie gości – przesuwa koralik po koraliku, jak gdyby modlitw wciąż jeszcze było w nadmiarze.

Ach, myślę sobie, czy nasz garbaty człowieczek bardzo jest wystraszony? Czy z radością, czy też z bojaźnią podąża za księdzem przez ciasny czworobok gości? Czy nie jest tak, że picie, śmiech, poklepywanie się po plecach ustają, bo wszyscy chcą zobaczyć, jak nasz pan Matzerath zbliża się do swojej babki?

Fotel jest przybrany kwiatami. Przez okno zagląдают słoneczniki, które po chłodnym i deszczowym początku lata niezbyt wybują, ale jednak błyszczą i przypominają o słonecznikach, co to przed wielu laty dużo bardziej wybują stały przy babcinym płocie.

– Tylko odwagi, Oskarze! – wołam do naszego pana Matzeratha. Po lewej stronie przybranego kwiatami fotela stoją obaj panowie z ministerstwa, po prawej prałat z Oliwy, wysłannik biskupa. Między państwem a Kościołem siedzi Anna Koljaiczkowa i na pewno pod czarną niedzielną suknią ma dalsze spódnice. Tylko odwagi! I już ksiądz z Matami popycha garbatego człowieczka ku tak długo upragnionej, ale też z góry napawającej lękiem pozycji. Chcę mu pomóc i wołając proponuję padnięcie na kolana.

Ale nasz pan Matzerath zachowuje postawę. Pochyla się nad przesuwanymi różaniec dłońmi, całuje jedną i drugą, pośród milczenia stłoczonych gości mówi: – Czcigodna pani babko – i przedstawia się jako wnuk: – Ja jestem Oskar, na pewno pamiętacie, babciu, no tak, mały Oskar, który też już dobiega sześćdziesiątki...

Jako że Anna Koljaiczkowa potrafi mówić tylko tak, jak mówiła zawsze, nie wypuszczając różańca głaszcząc najpierw dłoń małego człowieczka, a potem powtarza raz za razem: – Ja przecie wiedziałam, co ty przyjedziesz, Oskarku, ja przecie wiedziałam...

Potem oboje mówią o dawnych czasach. O wszystkim, co było i już przeszło. Jak to coraz bardziej się pogarszało i tylko czasami troszkę się

poprawiało. Co też to powinno być, a potoczyło się w zupełnie inną stronę. Kto już umarł, a kto jeszcze tu i tam żyje. I kto od kiedy na którym leży cmentarzu.

Jestem pewien, że oboje się popłaczą, skoro tylko będzie mowa o córce Anny Koljaickowej, matce pana Matzeratha, Agnieszce: o Janie i Agnieszce, Alfredzie i Agnieszce, i o Janie, Agnieszce i Alfredzie. Ale ponieważ stłoczeni goście znów zajmują się sobą nawzajem i nie chcą przestać witać się hałaśliwie, mogę z tej rozmowy zanotować tylko parę zdań. Słysząc dużo: „Pamiętasz jesz, Oskarku” i raz po raz: „Nie zapomnę tego, póki życia”.

W końcu, już po rzuconym mimochodem pytaniu o Marię i Kurtusia, słyszę słowa: A był tyś ju na poczcie i obejrzałeś se, gdzie to belo?

W odpowiedzi nasz pan Matzerath obiecuje babce, że nazajutrz rano odwiedzi historyczny już budynek Poczty Polskiej przy placu Heweliusza i wspomni wuja Jana.

Potem żegna się i zapowiada, że „w jutrzejszym uroczystym dniu” będzie tu znów zawczasu. – Czy wolno mi, kochana i czcigodna babko, jak wówczas, pamiętacie babko, kiedy żegnaliśmy się na dworcu towarowym, mówić do niej: babciu, kochana babciu?

Z garbem pod marynarką w dużą kratę, tak widzę naszego pana Matzeratha znikającego w tłumie. Teraz jest znów łatwy do poznania między Brońskimi i Woykami. W ciasnocie czuć kwaskowaty zapach, jak gdyby paradna izba została przetarta serwatką. Powtórne przywitanie z amerykańskimi Colchicami. Kazimierz Kurbiella w pierwszym zdaniu zaprasza go do Mombasy. Nadzwyczaj delikatnie wygląda Chinka między tyłu Kaszubami. W końcu, po dwóch szklaneczkach czyściutkiego bimbru z ziemniaków i ostatnim pierogu, odnajduje mercedesa, w którym Bruno siedzi nieporuszenie i jako szofer w czapce pilnuje gwiazdy na masce chłodnicy przed niepowołaną poządlivością.

Jego buty, rozmiar trzydzieści pięć, mają czubki i pięty z szafranowożółtej,

śródstopia z białej skóry. Moja gwiazdkowa szczurzyna musi wysłuchiwać, jak stroję naszego pana Matzeratha: nosi on okulary w złotej oprawie i zbyt dużo pierścieni na krótkich palcach. Wysadzana rubinami szpilka do krawata należy do jego wyposażenia. O ile w chłodniejszych porach roku wkłada miękki welur, o tyle latem słomkowe kapelusze. W jego mercedesie można rozłożyć mały stoliczek, na którym – ilekroć nużą go dłuższe podróże – odkrytymi kartami grywa z kimś i jeszcze kimś w skata; jakże Oskar będzie się później cieszył, kiedy w drodze powrotnej do hotelu Monopol wygra czerwień z ręki z Janem Brońskim i swoją biedną mamą.

Nawet tutaj, w odwiedzinach u babki, w sercu Kaszub, nie może zaprzestać przekopywania lat pięćdziesiątych, jak gdyby w ich glebie ukryto nadzwyczajne skarby. To prałat z Oliwy, człowiek nader uprzejmy, a język niemiecki znający raczej umiarkowanie, musi wysłuchać opowieści o malarzu Malskacie i jego do złudzenia prawdziwych gotyckich malowidłach, cierpliwie, powołany do słuchania; tak jak moja gwiazdkowa szczurzyna jest powołana do wysłuchiwania mnie.

Nasz pan Matzerath nie daje się wciągnąć w bliską kłótni utarczkę pod kasztanem – chodziło o zdelegalizowany związek „Solidarność” – po czym prałat odprowadza garbatego człowieczka z wysadzaną rubinami szpilką do krawata i w dwukolorowych bucikach do mercedesa, którego uszkodzona blacha rzuca się w oczy. Z blaskiem wieczornego słońca na gołej czaszce, ze słomkowym kapeluszem przy piersi Oskar mówi jak do większego zgromadzenia. Słyszę westchnienia prałata i nie wiem, czy wzdycha on z powodu Matzerathowych teorii, czy z powodu słowa „Solidarność”, które po państwie przysparza teraz trosk Kościołowi. Jego katolicka cierpliwość przypomina mi spokój mojej gwiazdkowej szczurzyny, która – jestem pewien – zamiast moich prób ponownego uruchomienia Oskara wolałaby posłuchać trzeciego programu, szkoły dla wszystkich: czegoś o gwiazdach stałych, prędkości światła i galaktykach odległych o pięć tysięcy lat świetlnych...

W zawsze jednakowej postawie, ona z przylegającymi uszami i

nieustannie poruszającymi się wąsami, z oczyma lśniącymi jak szklane koraliki, on w sutannie, w okularach o grubych szklach i pełen namaszczenia, tak słuchają gwiazdkowa szcurzyna i prałat z Oliwy mnie i pana Matzeratha, kiedy obaj opowiadamy o malarzu Malskacie. Oczywiście prałat wie, że mercedes z elokwentnym człowieczkiem zaraz odjedzie, wobec czego Kościół będzie miał ostatnie słowo; jak moja gwiazdkowa szcurzyna wie, że muszę jej wysłuchiwać, ilekroć mi się przyśni.

Ale to jeszcze ja mam głos. Szcurzy ca musi poczekać. Koniec, gdyby miało dojść do końca, poprzedzi farsa...

Od zimy z czterdziestego dziewiątego na pięćdziesiąty gimnastykował się na wysokości trzydziestu metrów samotnie i pomysłowo najpierw w środkowej nawie, potem pod sklepieniem prezbiterium lubeckiego kościoła Marii Panny, bo jego elegancki, wciąż szukający kontaktów pracodawca rzadko wspinał się tak wysoko. Dietrich Fey miał co robić na dole, pośród gruzu budowlanego. Musiał osłaniać swojego Malskata. Żadne nieupoważnione oko nie miało prawa zobaczyć, jak cud z Lubeki nabiera kształtu. Toteż kazał poustawiać wszędzie tablice z ostrzeżeniem: „Uwaga, niebezpieczeństwo zawalenia!” – „Ostrożnie!” – „Nie upoważnionym wstęp wzbroniony!”

Nie upoważnieni do wejścia na samą górę, gdzie królował Malskat, byli nawet cieśle od rusztowań i murarze. Kiedy przychodzili goście znający się na rzeczy, w tym krajowi i zagraniczni historycy sztuki, którzy od początku pięćdziesiątego pierwszego zjeżdżali się w pojedynkę i grupami, Fey i jego pomocnicy szarpiąc linami wyciągowymi wywoływali grzechoczące dźwięki, które miały ostrzec Malskata wysoko w górze. Przeważnie Feyowi udawało się zatkać ekspertów kopiami, które powstały ubocznie dla celów informacyjnych i potrzeb wystawy objazdowej; wszystkie duplikaty pędzla Malskata.

Wystawa objazdowa odniosła sukces na skalę krajową, zwłaszcza że prezydent federalny i król Szwecji przed kilku tablicami poglądowymi z uznaniem kiwali głowami. W gazetach i wykładach powtarzało się nowe



pojęcie: „styl lubecki”. Miasto zyskało zaszczytne miano „kolebki gotyku”. Mówiono o warsztacie, który od końca trzynastego wieku pod kierunkiem genialnego Mistrza Katedry działał stylotwórczo. Cud z Lubeki znalazł wiarę.

Nic dziwnego, że konserwatorowi krajowemu, doktorowi Hirschfeldowi, który jako pierwszy wyraził wątpliwości, nie udało się podtrzymać krytykanckich zarzutów. W końcu sam się zagubił i w swej książce o kościele Marii Panny w Lubece napisał: „...Dzieła mistrza na sklepieniu prezbiterium i w ciągach okiennych środkowej nawy tchną odczuwaną przez nas bezpośrednio ową potężną siłą świadectwa, jaką ma tylko oryginał”.

W czerwcu pięćdziesiątego pierwszego jeszcze raz nadciągnęło niebezpieczeństwo, kiedy z okazji zjazdu zachodniemieckich konserwatorów, którzy specjalnie ze względu na cud przybyli do Lubeki, kilku panów wybrało się do kościoła Marii Panny i nie dało się Feyowi odwieść od wejścia na rusztowanie. Malskat skromnie usunął się na bok. Fey objaśniał, wskazywał, mówił jak natchniony i nie zdołał jednak zapobiec temu, że profesorowie Scheper i Deckert wyrazili zastrzeżenia i mimo całego Feyowego krasomówstwa z resztkami zastrzeżeń zeszli z rusztowania.

Kiedy nazajutrz spotkali się wszyscy zgromadzeni w Lubece konserwatorzy, ponownie zdarzył się cud: nie wniesiono oskarżenia, przeciwnie, uczestnicy kongresu wezwali rząd w Bonn do zasilenia kasy lubeckich władz kościelnych dalszymi stu pięćdziesięcioma tysiącami marek. Ucieszyło to nadradcę konsystorialnego Göbla; ale i Malskata, pewnego swej godzinowej stawki.

Dalszych zakłóceń nie należało traktować poważnie. Kiedy pewna studentka chciała na miejscu zweryfikować tezy swej pracy doktorskiej *Malowidła ścienne w lubeckim kościele Marii Panny* i po kryjomu weszła na rusztowanie, została przyłapana przez Feyę, który łagodnie, ale dobitnie wskazał na niebezpieczeństwa jej wspinaczki. Chociaż nosiła lekkie obuwie, odpowiednie do chodzenia po rusztowaniach, i zapewniała, że nie cierpi na

zawroty głowy, nigdy więcej miała nie wchodzić na górę do Malskata.

Jednakże studentka, po przelotnych tylko oględzinach na górze, zszedłszy na dół zadawała krytyczne pytania. Na podstawie zdjęć i kopii wskazywała na romańskie elementy w układzie fałdów. Jej zdumienie świetlistością barw na sklepieniu prezbiterium było zmieszane z wątpliwościami. Przecież w noc poprzedzającą Niedzielę Palmową czterdziestego drugiego, mówiła, kiedy lubecki kościół Marii Panny wypalał się od środka, miedziany błękit w ciągach okiennych środkowej nawy i w prezbiterium musiał się utlenić i szernieć.

Przyłapawszy studentkę powtórnie, jak usiłowała wejść na górę do Malskata, aby tam pobrać próbki miedzianego błękitu, Fey zagroził jej zakazem wstępu do kościoła. W takim to osamotnieniu trzymano pomysłowego malarza na wysokości trzydziestu metrów.

Wkrótce później pannie Kolbe, tak nazywała się studentka, udało się przełamać własną nieufność: zachwycała się lubeckim cudem, aczkolwiek w swej pracy doktorskiej raz po raz nazywała niepowtarzalność malarstwa ściennego w prezbiterium niewiarygodną. Mimo wszelkich starań nie zdołała dowieść podobieństwa z przyjętym w północnych Niemczech stylem sutych fałdów. Nie przestała zdumiewać się romańskimi elementami zwłaszcza w trzecim przęśle i doszła do wniosku: w całym prezbiterium czuje się wpływ Chartres i Le Mans.

Mistrz prezbiterium z Lubeki musiał podróżować po Francji, pewnie tam pobierał nauki.

Można by długo spekulować na temat przeszłości Malskata i jego kształcących podróży pod koniec trzynastego wieku; pewne jest, że wysoko w górze na rusztowaniu wyzwalał się od terażniejszości i uzyskiwał wolność pozwalającą mu przy konturowaniu na gotyckie odczucia, które jego dwudziestu jeden świętym w prezbiterium i pięćdziesięciu sześciu świętym w ciągach okiennych środkowej nawy dopomagały stopniowo nabierać zniewalającego wyrazu. Czas nie miał znaczenia. Jeden skok i chwila

zarliwej refleksji wystarczały mu na pokonanie odległości siedmiuset lat.

Słusznie stwierdzili wówczas z jednej strony zmyleni, z drugiej przenikliwi historycy sztuki, że malowidła ściennie w szlezwickiej katedrze robią wrażenie studiów wstępnych poprzedzających wymalowanie lubeckiego kościoła Marii Panny. Mimo lat wojny i żołnierki Malskat pozostał Malskatem, być może dojrzalszym i jeszcze konsekwentniej zwróconym w przeszłość; bo kiedy mówię teraz, że średniowiecze było jego czasem, widzę go rzeczywiście na rusztowaniu przed siedmiuset laty: w sfilcowanej wełnianej czapce naciągniętej na uszy.

Po upadku królestwa Hohenstaufów, w latach zamętu i bezprawia, aż do wieku starczego – na krótko przed wystąpieniem dżumy – był on zapewne czynny w wielu kościołach i szpitalach Świętego Ducha; jego warsztat wszędzie pozostawił ślady. Toteż wolno nam przypuszczać, że i pięćdziesięciu sześciu świętych w ciągach okiennych środkowej nawy kościoła Marii Panny to jego dzieło. Chociaż dziesiątki lat dzielą wczesne malarstwo *al secco* w prezbiterium i późniejsze, sporządzone w czerwieni, błękicie, zieleni, ochrowej żółtości i czerni prace w środkowej nawie, wszyscy wznoszący oczy ponad ludzką nędzę święci układem fałdów dają poznać pędzel mistrza.

A wszystko namalowane *alla prima*, swobodną ręką. Niewiele ikonograficznych wskazówek dały księgi wzorów. Jeśli później na procesie za źródło Malskata uznano książkę niejakiego Bernatha, *Malarstwo średniowieczne*, to fakt ten potwierdza tylko wczesne wpływy romańskie, bizantyjskie, ba, na przedniej południowej ścianie wielokąta prezbiterium nawet koptyjskie. To, co mistrz prezbiterium i nawy środkowej namalował przed siedmiuset laty, Malskatowi udało się później na nowo. Tak to przerzucał mosty między wiekami, tak dzięki niemu nic nie wskórała niszczycielska furia wojny, tak triumfował nad czasem.

No dobrze, znam zarzuty panów Schepera i Grundmanna: tutaj miał zainspirować malarza Chrystus z Hagia Sofia w Konstantynopolu, tam Matka

Boska na tronie z katedry w Trieście. Próbnom żarowym poddano różne pigmenty farb, pobrano warstwowe wycinki tynku, przeprowadzono analizy chemiczne, mikroskopowe. Do tego zeznanie Malskata: – Drapak! – Skorupy kaleczące kontury i barwne powierzchnie. Umiejętne postarzanie. Woreczek z pudrem!

Należy dodać, że to Fey, jego pracodawca, żądał od niego tego uwiarygodnienia przemijającego, pozostawiającego ślady czasu. Nic nowego, chciało się mieć z powrotem stare, choćby lekko uszkodzone. Talent Malskata to umożliwił. W końcu późniejszy mistrz prezbiterium – ale chyba też głównej nawy – w latach przed reformą walutową malował obrazy podług Chagalla i Picassa, które przez Feya, będącego po czterdziestym piątym jego pracodawcą, trafiały do handlu dziełami sztuki. Tak utrzymywano się na powierzchni.

Ale z nowym pieniądzem, który przez noc zastąpił nic niewartą rajchsmarkę, zaczęły się też nowe czasy; ich początki domagały się jako fundamentu solidniejszego fałszerstwa. A ponieważ fałszowanie i podrabianie przyjęło się powszechnie jako sposób życia, który dość prędko objął rządy, po czym stare stosunki, jak gdyby w ich wyniku nie stało się nic strasznego, podawano za stosunki nowe, powstały w Niemczech dwa państwa, które jako „fałszywe pięćdziesiątki” – tak nasz pan Matzerath nazywa wszystkie produkty z tego odległego dziesięciolecia – trafiły na rynek, pozostały w obiegu i z czasem uchodzą za prawdziwe.

To, co robił Malskat, szło z duchem czasu. Gdyby milczał, nigdy by mu nie wytoczono procesu. Powinien był zachować oszukaństwo w tajemnicy, jak to zrobili mężowie stanu; ich podwójne fałszerstwo miało przed sobą przyszłość. Wkrótce wmówili oni całemu światu, że jedno i drugie państwo należy do jednego czy drugiego zwycięskiego obozu. Tak to przetopili przegraną wojnę na zyskowne podwójne zwycięstwo: dwa fałszywe pięćdziesiątki wprowadzie, ale brzęcząca moneta.

Naturalnie fałszerstwo było namacalne, ale oszuści bez mrugnięcia okiem

mieli się nawzajem za prawdziwych, a i zwaśnionym z czasem zwycięzcom miły był dodatkowy zysk. Nawet kiedy fałszerstwo wychodziło na jaw, trzymano się pięknych pozorów; bo zbyt nędzne i porozwalane były oryginały: dwie sterty gruzu nie chcące utworzyć jednej.

Toteż nasz pan Matzerath mówi stale: – Malskat był w porządku. Powinien był namalować siebie między Adenauerem i Ulbrichtem na głowicy filara, nie bać się bizantyjskich i koptyjskich wpływów i zbierać hołdy jako środkowy tej trójcy; może na południowej ścianie przedniej, gdzie skrzyknęli się trzej eremici, zwani mnichami!

Łatwo to mówić poniewczasie, bo kiedy Lothar Malskat stał w zimnie i przeciągu na trzydziestometrowej wysokości rusztowaniu, gdzie swobodną ręką ożywiał siedem pól sklepienia prezbiterium rozmaitymi świętymi i środkowe przeszło Dziewicą z Dzieciątkiem, paląc przy tym nieprzerwanie ulubioną markę junco, kiedy pieniądze płynęły nieprzerwanie z Bonn do Lubeki, jego stawka godzinowa wynosiła dziewięćdziesiąt dwa fenigi w nowej walucie; jakże on by się czuł między mężami stanu tak wysokiej próby.

Nienie, panie Matzerath! Niech pan sobie na dalekich Kaszubach, póki słucha pana prałat z Oliwy, ma rację, jeśli chodzi o szacunkową wartość ówczesnego kanclerza i ówczesnego przewodniczącego rady państwa; Stary i Szpicbródka byli fałszerzami z krwi i kości i niechże noszą odtąd miano „fałszywych pięćdziesiątaków”, Malskat natomiast, choć ukradkiem, sygnował swój gotyk.

Dwójwładza z rozdzielenia.  
Dwukroć serwowane kłamstwo.  
Tu i tam na starą gazetę  
naklejone nowe tapety.  
Co wspólnie cięży, sprowadza się  
do gry liczb, ma wartość statystyczną;  
sumy końcowe zaokrąglone.

Porządki w bliźniaczym domu.  
Trochę wstydu na specjalne okazje

i szybka zmiana tabliczek z nazwami ulic.  
Co wystaje z pamięci, będzie zrównane.  
Wina poręcznie zapakowana  
i jako dziedzictwo przekazana dzieciom.  
Tylko to, co jest, ma być, i już nie to, co było.

Tak to do rejestru handlowego  
wpisuje się podwójna niewinność, bo nawet przeciwieństwo  
nadaje się do ubicia interesu. Przez granicę  
odbija się fałszerstwo: zatuszowane do złudzenia,  
prawdziwsze od prawdziwego i z dużymi nadwyżkami.  
Dla nas, mówi szczurzy ca, która mi się śni,  
Niemcy nigdy nie były podzielone na dwoje,  
to żarcie znalezione w całości.

Pewnie, całkiem dobrze się odtąd żyje. Czasy postczłowiecze służą nam: przybieramy pod każdym względem. Nareszcie uwolniona od ludzi ziemia ożywia się na nowo: ptactwem i ziemiopłazami. Morza oddychają. Wygląda na to, że powietrze chce się odmłodzić. I wszędzie jest zapas czasu, nieskończenie dużo czasu.

A jednak wołałybyśmy, żeby człowieczość zniknęła nam z oczu z większym umiarem, nie tak z pieca na łeb. Ostatecznie ludzie stworzyli sobie kilka możliwości spowolnionego, zaprogramowanego średnio- bądź długoterminowo odejścia. Umysł ludzki zawsze przecież zajmował się wieloma sprawami naraz. Na przykład dokonywało się zaawansowane, ale nie przemyślane gruntownie do końca zatruwanie żywności, narastające do samego ultemosz, jak nazwałyśmy koniec, obciążenie, które nawet rodzajowi szczurzemu nie wychodziło na zdrowie, chociaż my potrafiłyśmy na dalszą metę ustrawnić każdą truciznę. Jednakże obserwowałyśmy z niepokojem, co człowiek wyrządzał rzekom i morzom, co też gotów był domieszać do powietrza, jak skarżąc się beczynnemu pozwalał umierać swym lasom. Jako szczury, dla których życie i przeżycie to jedno, mogłyśmy tylko przypuszczać, że ludziom życie przestało smakować. Mieli go dość. Starczyło im. Położyli krzyżyk na sobie i jeszcze tylko głupio udawali, że ho, ho. Pokpiwali sobie z przyszłości, swej tak fantastycznie w dawnych czasach

umeblowanej amfilady pokoi, natomiast nicość była dla nich czymś, w co warto się wpatrywać. Każdej czynności – a po staremu byli nadal czynni – towarzyszył zapach bezsensu, woń, nawiasem mówiąc, która nas brzydziła.

A ty też, bracie, powiedziała szcurzy ca, pilnie zajmowałeś się żegnaniem. Można to było wyczytać; a my czytałyśmy dużo. Ach, jakże wszystko rymowało się z końcem świata! Jak mile im brzmiała pewność wieczoru wszystkich dni. Ostatkiem ambicji rozgrywano wielki finał jako zawody, a co śmieszniejsze: wielu artystów, zafascynowanych końcem, wyprzedawało się tak bez reszty, jak gdyby po dawnemu wawrzyn był dla nich wiecznie zielony, a nieśmiertelność pewna.

Wydało mi się, że szcurzy ca wspomina nas ze wzruszeniem i żalem. Ale potem przeszła ponownie do rzeczy. Posłuchaj: dalszą odmianę odejścia uprawiał rodzaj ludzki w postaci przeludnienia. Tam zwłaszcza, gdzie ludzie byli biedni, przywiązywali wagę do tego, żeby rozmnażać się coraz bardziej, jak gdyby chcieli zlikwidować biedę przez wielodzietność; ich ostatni papież był podróżującym orędownikiem tej metody. W ten sposób śmierć z głodu stała się miłą Bogu i była odnotowywana nie tylko w statystyce. Ludzie wyżerali sobie nawzajem skąpe żarcie.

Dlaczego, zawołała szcurzyca, oni nie byli syci, skoro nam, szcurom, wystarczało? Bo obfitość tutaj brała się z niedostatku gdzie indziej. Bo żeby utrzymać ceny, zmniejszali podaż. Bo niewielka część rodzaju ludzkiego żyła z głodu większości. Ludzie jednak mówili: Ponieważ jest nas za dużo, panuje głód.

Śmieszny rachunek. Fuce chissorez! Wasza przeklęta gospodarka niedoborów. Jak myśmy najadały się bez trudu, a były nas jednak miliardy, tak mniej więcej równie liczna populacja człowiecza w momencie Wielkiego Bum-Bum też mogła być najedzona, dość przecież było na składzie. Mało tego: chętnie byśmy się dostosowały do człowieczych prognoz wzrostu i wraz z ludźmi doczekały roku dwutysięcznego jako sześć, jeśli nie siedem miliardów szcurów, każdy z gatunków zadowolony i syty.

Przepelniwszy mój sen szczegółowymi danymi statystycznymi szczurzyca powiedziała: Niestety nic z tego nie wyszło. Decyzja ludzi, żeby nie zagłodzić się na śmierć, nie kipnąć z przesylenia truciznami, nie czekać, w głodzie i zatruciu, przy coraz większym deficycie wody, na powolną śmierć z pragnienia, lecz poszukać nagłego końca, ta samolubna i dziecinnie niecierpliwa decyzja stwarza nam, szczurom, nie przemyślane przedtem dostatecznie problemy: będziemy musiały się zmienić. Czasy postczłowiecze wymagają od nas nowego zachowania. Brakuje nam partnera. Bez ludzkości z jej zbiorami, zapasami, odpadkami, uczuciami wstrętu i żądzami wytępienia my, szczury, będziemy w przyszłości zdane na siebie. Przyznaję: łatwo, zbyt łatwo żyło się w jego cieniu; teraz brakuje nam człowieka...

Jako że dalej biadoliła, zawołałem: Ale przecież tu i ówdzie są zneutronizowane miasta. Z pomocą bomb oszczędzających stworzyliśmy nietknięte zewnętrznie schronienia. Korzystna dla was umowa kulturalna była przedostatnim dziełem człowieka. Proszę cię, szczurzyco: czy jeszcze niedawno nie szliśmy wolnymi od ludzi ulicami? I czy oboje nie radowaliśmy się swojskim, dobrze znanym widokiem poczerniałych wprawdzie od sadzy, ale pięknie zachowanych szczytów, wież, bram, zabytków?

Daremne pocieszenie. Szczurzyca, która mi się śni, nie chciała zaprzestać biadolenia. Już nie zakopaną w szczurzych schronach, już nie biegającą po ulicach Gdańska, znalazłem ją zdomowioną na śmietniku. Tu spośród pogniecionej żelastwy opowiadała mi o nagłych, dla szczurzego rodzaju wciąż jeszcze szkodliwych burzach pyłowych, tam zamieszkiwała w używających osłony foliach plastikowych, które, poruszane wiatrem, wędrowały z moją szczurzycą niczym wciąż pełne żagle. Wciąż: Wielkie Bum-Bum. Wciąż: samotność potem. I stale i wciąż: jak bardzo szczurom brakuje człowieka.

Ale ja przecież jestem! wołałem. W mojej kapsule kosmicznej: ja. Na mojej orbicie: ja. W twoich i moich snach: ja, ty i ja!



Masz rację, bratku, zgodziła się. Jakie to pocieszające, że jest ktoś, kto mówi: ja ja ja, bez ustanku: ja; my już cię troszeczkę czcimy. W miejskich kryjówkach i rewirach są szczurze stada, które cię wręcz ubóstwiają; kiedy na placach albo w kościołach ćwiczą chód prosty, mają ciebie na myśli. My natomiast, wiejskie szczurze stada, mamy prócz ciebie jeszcze kogoś, czyje wciąż jeszcze oddychające resztki są godne uwielbienia. Tłumoczek tylko, ale żywy. Najwidoczniej bardzo stara kobieta. Została w swoim fotelu, kiedy wszyscy wybiegli i zawinęli się. Ledwie żyje, karmiona przez nas, szczury. Jesteśmy dobre dla starej. Ma pragnienie, to ją poimy. Jak ciebie uwielbiają miejskie szczury, tak szczury ze wsi ją uwielbiają. A ona, starowina, opowiada nam bełkotliwie: Jak to dawniej było. Co minęło i nie wróci. Kto przyjechał w odwiedzin. Co przyniosło jej ból, odebrało jej trochę radości i nie chciało przestać doskwierać.

Ale to przecież jest, zawołałem. Szczurzyco, proszę cię! Mają być jej urodziny. Dopiero jutro jest niedziela. Chce świętować i przyjmować hołdy.

Taktak, odrzekła szczurzyca. Ale teraz chce umrzeć i nie może. Dlatego opowiada nam smutne, a czasem też wesołe historyjki z dawnych czasów. Sprzed wojny, z wojny i z międzywojnia. Jak Kaszubi żyli z Polakami i Niemcami raz znośnie, raz marnie. I jak ona jako młode stworzenie wozem zaprzężonym w konika, a potem, kiedy przyszedł postęp, koleją z Kokoszek jeździła na targi tygodniowe do miasta. I co też wypełniało jej kosze: ziemniaki i brukiew, ogórki i maliny. Sprzedawała świeże jajka, po guldenie za mendel. A na świętego Marcina dwie gęsi. A każdej jesieni pełne koszyki zielonek i podgrzybków, kurek i borowików, bo w kaszubskich lasach grzybów było w bród...

Przy całym sceptycyzmie: ten las wciąż jeszcze jest zdrów. W naszym filmie, który nazywa się: *Lasy Grimmów*, stoją tu pociemniałe, tam jasne buki, jodły, dęby, jesiony i brzozy, klony i nawet wiązy. Chaszcze otwierają się, zamykają. Zwierzyna w zaroślach. Coraz to nowa zieleń, ale też barwy późnego lata, wczesnej jesieni. Jagody jarzębiny. Z mszystego i iglastego

poszycia wyrastają smardze i purchawki, parasolowiec. Pod dębami muchomory zapowiadają pobliskie prawdziwki. Łuskowaty kolczak. Wybijała na pniakach bedłka, całe jej tabuny. I czarne jagody, do zbierania grzebieniem. Potem znów paproć ciągnie się wzdłuż leśnej drogi, którą podążają na miejsce akcji baśniowe postacie, Liczyrzepa i Karzełkowie piechotą, reszta starym formem z Titeliturym za kierownicą.

Jeden z Karzełków, myślę, że drugi, który jedzie na stopniu, podczas gdy pozostali drepczą spieszenie, woła: „Stać!” Cała siódemka rozkłada ręcznie rysowaną mapę lasu na mchu między grzybami, które tworzą zaczarowane koło. Karzełkowie mierzą, porównują, kłócą się o milimetry, wreszcie podają nowy kierunek: „To tutaj, tutaj!” A do tego tutaj trafiają też ręce Bezrękiej Dziewczyny, które poleciały naprzód z łopata i biorą się teraz do roboty.

Bo tutaj trzeba przenieść leśną drogę w inne miejsce, zatrzeć jej stary ślad. Nawet Jorinda i Joringel, którzy poza smuceniem się nic nie potrafią, muszą kopać i szufłować.

Czarownica rozkazuje kilku drzewom wyrwać się z korzeniami i zapuścić je na nowo we wskazanym miejscu. Odrąbane ręce Bezrękiej Dziewczyny wykopują dół, a Karzełkowie drugi i trzeci stawiają w nim drogowskaz, który przedtem wskazywał zupełnie inny kierunek.

Żabi Król kładzie się w leśnym strumieniu, staje się żabą i skierowuje strumień w nowe, przecinające starą drogę koryto, po czym znów staje się królem, który swej beczynnie cierpiącej Damie ochładza czoło źródlaną wodą.

Liczyrzepa czołga się na czworakach starą drogą. Gdziekolwiek jego broda dotknie śladu drogi, tam puszcza się mech, wyrastają paprocie, strzelają w górę grzyby.

Ponieważ Titelitury znów tupie nogą, mrowisko musi przesunąć się o siedem skoków i wraz z jajkami i przychówkiem urządzić się na nowo. (Na polecenie naszego pana Matzeratha głupi Czerwony Kapturek ma sięść w kucki w spróchniałym drzewie, ssać palec i leniwie przyglądać się pilnym

baśniowym postaciom.) Teraz fałszywa leśna droga jest łądząco prawdziwa, a po właściwej nie ma już bodaj ani śladu.

Zła Macocha wydaje rozkazy: Liczyrzepa musi przemocą rozłączyć Śpiącą Królownę i Księcia. Dopiero co jeszcze dobroduszny olbrzym pochmurnieje. Jedną ręką chwyta i unosi Śpiącą Królownę, nie jest już parobkiem, tylko władcym duchem z Karkonoszy. Karzełkowie pierwszy, szósty i siódmy przytrzymują płaczącego Księcia. Czwarty z wrzecionem biegnie chyżonogo za Liczyrzepą, który uprowadza pogrążoną już znów we śnie Śpiącą Królownę w stronę miejsca akcji.

Księżę nie przyjmuje pocieszenia ze strony Śnieżki. Nie chce też nic wiedzieć o Czerwonym Kapturku, który wyskakuje ze spróchniałego drzewa. Odrąbane ręce Bezrękiej Dziewczyny głaszczą smutną kędzierzawą głowę, której usta nawykłe do całowania rozpaczliwie całują powietrze. Księżę odchodzi od zmysłów. Dopiero Roszpuncie udaje się długimi włosami odwieść jego uwagę od doznawanego cierpienia.

„Lustro, proszę!” – woła Zła Macocha, po czym odrąbane ręce przynoszą cudowne lustro ze starego forda i stawiają na pniaku. Skoro tylko baśniowe postacie, z Jasiem i Małgosią w środku, zbiorą się i ustawią przed lustrem, jak gdyby wielka rodzina, bo to wtorek, chciała obejrzeć *Dallas*, Zła Macocha włącza swą czarodziejską telewizję. (Jak powiedział niedawno nasz pan Matzerath: „Wśród najnowszych mediów nie ma żadnego, które by się nie wywodziło z baśni”.)

Najpierw widać, jak Liczyrzepa dźwigając pogrążoną we śnie Śpiącą Królownę stąpa ciężko przez martwy las. Za nim niezmordowanie biegnie czwarty Karzełek z wrzecionem.

Potem widać, jak Babcia Czerwonego Kapturka wciąż jeszcze czyta Wilkowi hasła z pierwszego tomu słownika Grimmów.

A teraz w kadrze pojawia się kolumna wozów kanclerza z ministrami i ekspertami. Jedzie jeszcze autostradą, za radiowozem na sygnale i w otoczeniu policjantów na motocyklach.

Zła Macocha przełącza ponownie: Karzełek z wrzecionem podąża za Liczyrzepą, który wnosi pogrążoną we śnie Śpiącą Królową po schodach na zrujnowaną wieżę, do pozbawionej dachu izby. Nagle pokazują się w kadrze odrąbane ręce. Sprzątają izbę na wieży, podczas gdy Liczyrzepa ostrożnie sadza Śpiącą Królową przy kamiennym stole; Karzełek kładzie wrzeciono na kolanach śpiącej piękności.

Przed cudownym lustrem chwali się pilność Bezrękiej Dziewczyny. Książę, który przez włosy Roszpunkki widział wszystko, lamentuje. Wrywa się, żeby jak zwykle budzić swą Śpiącą Królową pocałunkami. Ale mimo szamotaniny Karzełkowie go nie puszczają. Roszpunka ponownie zasłania go włosami.

Cudowne lustro pokazało znów Babcie czytającą wciąż jeszcze Wilkowi, a teraz pokazuje kolumnę wozów kanclerza, która skręca w zdrowy las. Z radiowozem na sygnale zbliża się coraz bardziej. Na znak Czarownicy wszystkie baśniowe postacie kryją się. Karzełko wie spychają starego forda w krzaki. Pozostają jedynie Jaś i Małgosia, jak gdyby byli odtrąceni przez wszystkich i opuszczeni przez Boga. Czekają na nowej, fałszywej drodze.

Z głębi lasu wyłania się teraz za radiowozem kolumna wozów kanclerza. Jaś i Małgosia machają rękami i wołają: „Tutaj, tato! Tutaj jesteśmy, tutaj!” Wołając biegną fałszywą drogą. Kanclerz i tata podąża za nimi w kierunku miejsca akcji, aż dopiero co jeszcze zdrowy las staje się coraz bardziej chorowity, bagnisty, bezdrożny. Przez radiotelefony słychać piski, gwizdy, rozkazy: „Iść za kanclerskimi dziećmi!” – „Rozciągnąć się, okrążyć!”

Czarne auta stają, wszyscy muszą wysiąść, a one, jedno za drugim, toną w kipiącym bagnie, na ostatku auto kanclerza, którego mercedesowska gwiazdka błyszczy do samego końca.

Kanclerz, jego eksperci i ministrowie, wśród nich Grimmobracia, błądzą beładnie po martwym lesie. Policjanci z odbezpieczonymi pistoletami maszynowymi starają się zapewnić zleczone sobie bezpieczeństwo. Ludzie z telewizji stękają pod ciężarem taszczonego sprzętu, mimo to jednak filmują

rozgardiasz.

Kanclerz woła: „Dzieci, gdzie jesteście? Gdzie wy jesteście, dzieci?”

Eksperci spierają się o kierunek. Policjanci napędzają stracha sobie nawzajem. Grimmobracia pomagają jeden drugiemu wydostać się z bagna. Kanclerz woła. Telewizja kręci. Siedem Kruków na martwych drzewach. Jaś i Małgosia wabią bezradną gromadę coraz głębiej w wymarły las. Wołają: „Tędy, tato, tędy!”

Na propozycję naszego pana Matzeratha, który stale myśli o wątkach ubocznych, Grimmobracia znajdują w głuszy długi złoty włos. Parę kroków dalej kolejny włos lśni złotem. I tak dalej. Podążając za złotymi włosami Grimmobracia widzą wreszcie, kto zwabił ich na manowce: pomiędzy martwymi drzewami Roszpunka. Przepięknie wygląda bawiąc się swymi długimi włosami i wabiąc w określonym kierunku ministra od średnioterminowych szkód leśnych oraz jego sekretarza stanu.

Inne baśniowe postacie ukazują się, znikają między drzewami; Siedmiu Karzełków niesie Śnieżkę w trumnie; Titelitory skacze, tańczy i woła: „Bo nikt nie wie o tym, że jest Titelitory, o tym nie wie nikt na całym świecie!”; Czerwony Kapturek idzie z koszykiem.

Coraz więcej baśniowych postaci przychodzi i odchodzi: zasmuceni Jorinda i Joringel, biedna Bezręka Dziewczyna, z żabą na pięknym czole kroczy Dama, raz po raz widać śmiejącą się Czarownicę. I co tam jeszcze występuje w księdze baśni domowych. Jakby bezwolnie Grimmobracia podążają za swymi postaciami, aż martwy las staje się na powrót lasem baśniowym. A kiedy baśniowy las otwiera się na polanę, na jej środku stoi wykuty w kamieniu pomnik przedstawiający Grimmobraci ramię w ramię. (Tutaj nasz pan Matzerath chciałby zobaczyć grupę profesorów, którzy jeden w drugiego są ekspertami od baśni i badaczami ukrytych sensów. Mają oni naświetlić socjologiczne, lingwistyczne i psychologiczne aspekty Grimmowych baśni domowych i wciągnąć Grimmobraci w dłuższą fachową rozmowę. Ja jestem przeciwny.)

Nie pytając o nic Jacob i Wilhelm Grimmowie mają tylko ze zdumieniem patrzeć na siebie jako na wykutych w kamieniu Grimmobraci, a tymczasem wszystkie baśniowe postacie pomału zbierają się wokół nich.

Śnieżka z uśmiechem siada w szklanej trumnie. Roszpunka stoi w szacie swych włosów. Bezręka Dziewczyna ukrywa kikuty za plecami. Z pewnym zmieszaniem Czarownica dopina suknię na swych ogromnych cycach. Wszyscy, wszyscy się pokazują, brak tylko Liczyrzepy.

Stoi on z boku i płacze, ponieważ jako duch gór nie występuje w Grimmowych baśniach. (Jednakże propozycję naszego pana Matzeratha, żeby biedny Liczyrzepa przywołał swego baśniowego stwórcę Musäusa, uważam za zbyt wymyślną. Bardziej przekonujące byłoby, gdyby Wilhelm Grimm wyczuł niedolę Liczyrzepy, poszukał nieokrzesanego olbrzyma, znalazł i przyjął do kręgu Grimmowych baśniowych postaci.) Tekst Wilhelmowego napisu głosi: „Także Liczyrzepa ma odtąd należeć do nas”.

„Taktak” – powiada Titelitury – „przeto znów się widzimy, moi panowie.”

Wilhelm Grimm mówi: „Popatrz, drogi bracie, wszyscy zebrali się wokół nas”.

Jacob Grimm odpowiada: „Nie wszyscy tu są, drogi bracie. Brak Jasia i Małgosi. I rozejrzyj się: nie ma Śpiącej Królowny”.

Podczas gdy trzej pilnujący Karzełkowie przytrzymują Księcia, który chce wszystko wypaplać, Zła Macocha, traktująca Grimmobraci z ostentacyjną zuchwałością, stawia swoje cudowne lustro u stóp wykutego w kamieniu pomnika i włącza program akcji.

W pokoju na wieży siedzi przy kamiennym stole pogrążona we śnie Śpiąca Królowna z wrzecionem na kolanach. Odrąbane ręce pilnują, żeby wrzeciono nie spadło z kolan. Pod wieżą gromadzą się kanclerz i jego świta. Karzełek, który niósł wrzeciono, na sposób Księcia prędko budzi pocałunkiem Śpiącą Królownę. Potem zbiega po schodach i z Jasiem i Małgosią, którzy czekali w ukryciu za ruiną wieży, ucieka chyżonogo. Podążają za nimi odrąbane ręce i Siedem Kruków. Małgosia woła biegnąc:

„Miejmy nadzieję, że się uda!”

Pod wieżą zaczyna się na nowo spór ekspertów. Policja otacza kanclerza i pozostałych ministrów kordonem bezpieczeństwa. Zmęczony kanclerz przyjmuje od referenta wyjęty z torby z prowiantem duży kawał tortu z kremem maślanym. „Ach” – woła – „jak mi się utrudnia rządzenie!” Potem odgryza kęs, żuje i żując smutno, widzi Śpiącą Królową siedzącą w izbie w wieży. Trzepocze ona powiekami, chce zaraz znów zasnąć. Kanclerz woła z pełnymi ustami: „Widziałaś może moje drogie dzieci?”

Śpiąca Królowa wzdryga się i kłuje wrzecionem w palec, aż pojawia się krew.

I oto wszyscy naraz drętwieją: kanclerz z kawałem tortu w dłoni, spierający się ministrowie i eksperci, policjanci z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi, ludzie z telewizji z gotowymi do kręcenia kamerami i dziennikarze czyhający na słowa i słówka. I w sporze wytykając się jeszcze nawzajem palcami, szukając wroga pistoletami maszynowymi, bazgrząc notatki, brzęcząc kamerą telewizyjną i opychając się tortem wszyscy wraz ze Śpiącą Królową zapadają w głęboki sen.

Z jałowej ziemi między martwymi drzewami zaczyna zaraz wyrastać cierniowy żywopłot, który strzela coraz wyżej, gęstnieje, nie do przebycia, jak gdyby wypuszczał drut kolczasty, aż zniknie zdrętwiałe towarzystwo u stóp zrujnowanej wieży, w której śpi Śpiąca Królowa, aż nie ma już rządu ze wszystkimi przynależnościami.

W cudownym lusterku na postumencie pomnika baśniowe postacie i Grimmobracia widzą sukces swojej akcji. Panuje radość. Nawet Grimmobraciom dogadza ten sposób pozbawienia władzy.

I radośnie przebiega powitanie Jasia i Małgosi, czwartego Karzełka i odrąbanych rąk. Czarownica gratuluje im: „Wspaniale to zrobiliście, dzieci!”

Wszyscy biją brawo, także odrąbane ręce. Tylko Grimmobracia wydają się skołowani widokiem zaginionych kanclerskich dzieci: przechowanych w roli Jasia i Małgosi. Co prawda Wilhelm Grimm przyjaźnie wita oboje

napisem: „A myśmy się bali, że to Ruscy uprowadzili kanclerskie dzieci”, ale Jacob Grimm jest pełen wątpliwości: „Ach, wasi biedni rodzice! Poza tym nie ma już rządu. Zapanuje nieporządek. Grozi chaos!”

Budzący pocałunkami Księżę uwalnia się z włosów Roszpunkki i oferuje Grimmobraciom swoje usługi: „Mam znów budzić pocałunkami Śpiącą Królownę? Ja to potrafię!”

Chce biec, ale trzech dozorujący Karzełkowie natychmiast wieszają się na nim. W każdym calu duch gór, węglarz i dziki mąż, Liczyrzepa policzkuje Księcia. Jaś woła: „Nie ruszać się stąd!” (A nasz pan Matzerath przed wyjazdem do Polski powiedział jeszcze: teraz Dama Króla Żab powinna płaczącemu Księciu podsunąć swe udręczone czoło do pocałowania; ale ja jestem zdania, że ten wątek uboczny tylko by odwracał uwagę od dalszego biegu wydarzeń.)

Wszystkie baśniowe postacie chcą teraz bez ceregieli pokazać Grimmobraciom swój pensjonat, Domek z Piernika, dokąd tymczasem wiele jucznych ślimaków, jeden podążając za drugim, dostarczyło wszystkie tomy słownika Grimmów; ostatni niesie tom trzydziesty drugi: od zodiaku do Zyzanii...

Wciąż jeszcze Babcia z baśni  
czyta złemu Wilkowi z baśni  
hasła ze słownika.

Jego wilczy brzuch, zamykany i otwierany  
na zamek błyskawiczny, pełen jest słów  
z dawnych czasów: boleść, boleściwy, bolesny...

Babcia znajduje teraz w słowniku Grimmów,  
a ma tymczasem wszystkie tomy,  
nazwę miasta Wineta, zamieszkanego przez Winetczyków,

póki miasta nie pochłonęło morze. Wilk wyje  
i chce z ust Babci usłyszeć więcej,  
niż napisane jest o Winecie.

Podzwanianie, dzwonienie, bicie w dzwony, mówi Babcia



do Wilka z baśni, słyhać  
przy bezwietrznej pogodzie nad gładkim morzem.

Nie, nie mogą spać. Śpiewanina, która nie chce się skończyć, dociera do hamaków w forkasztelu stojącego na kotwicy statku. Wy, łagodne aurelie, prześwitujące i mleczone; wy, niebieskością lub fioletem naznaczone chełbie modre, roje meduz, które, jak wiadomo, żywią się planktonem i larwami śledzia; wy, ledwie zbadane i dlatego o jak najgorszej opinii, ponieważ mogłybyście zamienić morze, jutro już moje morze, Bałtyk, w jedną wielką chełbie; wy, wędrujące z prądem piękności, które mają zapewnioną, jak związane z lądem szczury, ludzką odrazę; wy, wielkości talerza bądź miski, których biomasa drży wrażliwie pełna tajemnic – wy, nieśmiertelne, których nieprzeliczonemu bytowaniu przypisana była niemota, umiecie śpiewać.

Nic dziwnego, że kobiety nie zaznają snu. Zbyt potężna jest ta muzyka. Kręcą się i rzucają w hamakach. Moje perswazje jak zwykle nie przynoszą efektu. Już Stara przeklina śpiew meduz: nastraja on kłótliwie. Sterniczka odgrzebuje zamierzchłe historie. Przemawia się z mechaniczką o przedawnione słowa, potem jej agresję budzi Damroka: kapitanka zdradziła misję badawczą i skierowała statek na kurs sprzeczny z rozsądkiem. Nie ma co gonić za mitami i legendami, trzeba raczej udowodnić, że Bałtykowi grozi ekologiczna katastrofa. Damroka zawiodła mając na względzie tylko prywatne interesy. – No, w tym zawsze byłaś mocna. Ale to się zmieni. Od jutra ja wyznaczam kurs! – woła sterniczka.

Skoro mechaniczka, a także oceanografka, nie podając powodów – nawet o mnie nie wspomniano – wystąpiły przeciwko Damroce, wyglądało na to, że na pokładzie statku „Nowa Ilsebill” może dojść do buntu, nie, do ściśle demokratycznego odwołania kapitanek. Nawet Stara waha się i mówi raz tak, raz siak. O północy – ledwie sterniczka zawołała: – Twoje gadanie z turbotem też nam działa na nerwy! – kończy się śpiew meduz; nie wybrzmiewa, urywa się, jak gdyby pałeczka dyrygenta na zawsze przerwała konkurs chórów. Jeszcze tylko własne szmery statku. I jeśli przedtem

śpiewanina chełbi była dla kobiet nieznośna i nastrajała je kłótliwie, to teraz odczuwają one nagłą ciszę jako ogłuszającą.

Pierwsza wyskakuje z hamaka Stara. Chce wypić jedną wódkę i jeszcze jedną. – Mówię przecież – woła – niewytłumaczalne zjawisko!

Oceanografka chce dowiedzieć się czegoś konkretniejszego. Z pomocą mechaniczki wystawia okrężnicę do odłowu chełbi, którą ciągnie się wzdłuż prawej, potem wzdłuż lewej burty, dwukrotnie, i za każdym razem w sieci nie ma śladu chełbi. Czego innego też nie ma, choćby ciernika.

Przygnębienie ogarnia statek. Oceanografka gryzie paznokcie. Teraz także mechaniczka chce wypić jedną wódkę i jeszcze jedną. Sterniczka płacze najpierw skrycie, potem głośno: ona wcale tak nie myśli, jak to powiedziała w kłótni. W piątkę kucają, siedzą, stoją za sterówką pod prawie zanikłym księżycem i słuchają Damroki, która – jak gdyby musiała rozproszyć lęki dzieci – opowiada o wenedzkim osiedlu Jumne, zniszczonym przez Wikingów i Duńczyków, a później odbudowanym i nazwanym Winetą. Początkowo koło wioski rybackiej Jumne, która rozrosła się w miasto, stał zamek Jomsburg, ostoja Wikingów. Damroka zna historie o Gormie Starym i Haraldzie Niebieskozębym, który na wyspie Uznam zwyciężył księcia Wenedów Burzysława. – Dobre tysiąc lat temu – mówi – zaraz po morderczej bitwie Niebieskozęby dogadał się z Burzysławem. Od wnuka owego Burzysława, który nazywał się Wicław i wziął za żonę córkę kaszubskiego księcia Świętopełka imieniem Damroka, wywodzę się podobno ja, tak twierdzą.

Opowiada o niespokojnych Wikingach z Jomsburga, którzy rabując, podbijając zapuszczali się aż po Islandię, Grenlandię. – Prowadzili handel z Haithabu. A z wybrzeży Ameryki, które zaczęli plądrować na długo przed Kolumbem, przywieźli nowe ptactwo, indyki, chętnie później malowane przez gotyckich malarzy kościelnych. Ale Jumne było miastem ludzi osiadłych. Prowadzili handel, upłynniali łupy i z dzikich indyków zrobili hałaśliwe zwierzęta domowe. Toteż herbowym zwierzęciem Jumne był z

początku podobno heraldyczny indyk.

Ponieważ morze pozostaje takie przeraźliwie spokojne, a meduzy już nie adorują statku radosnymi chórami, Damroka próbuje rozweselić swoją załogę historyjkami o indykach. Ale nawet zabawne imiona Wikingów – faceci nazywali się Torkel, Pal i Knuddel – nie wydają się kobietom śmieszne.

– Wszyscy się zabijali – mówi Damroka. – A Jumne bogaciło się, potem znów biedniało, następnie ponownie się bogaciło i tak dalej, znacie przecież te męskie historie. Później, jak mówiono, Jumne paliło się trzy dni, tak zapchane hubą było miasto. Ale ja w to nie wierzę. Rację ma raczej Adam z Bremy, który objechał wybrzeże Bałtyku aż po ujście Odry i pisał o słowiańskich plemionach Wioletów i Winetczyków, które objęły Jumne w posiadanie, po czym wkrótce później, kiedy pozabijała się nowa hurma facetów, miasto nazywało się Wineta i doszło do bogactwa, w końcu do wielkiego bogactwa, aż przyszła fala przy północno-zachodniej wicherze, było to w tysiąc dwieście którymś. Ale są inne relacje, każda z nich zawiera trochę fałszu, trochę prawdy...

Trudno jej skończyć. Jej opowieści budzą apetyt na dalsze. Kobiety chętnie słuchają, jak Damroka odmalowuje im łagodne rządy za sprawą kobiet, do których należała kluczowa władza. Mówi, że obok rady kobiet istniała rada mężczyzn. Wyroki ferowali wspólnie ławnicy obojga płci. Toteż wspomina się o kobietach sprawujących funkcje kata. O kapitanach płci żeńskiej opowiada nawet legenda. – Ale potem – mówi – przybyli obcy ludzie, sto trzydzieści bab i chłopów, znad Wezery, gdzie zwerbował ich słodkimi jak miód obietnicami miejski grajek, który jednak naprawdę był objazdowym werbownikiem. Nazywano ich nowosiedlarze. Z ich przybyciem – było to na świętego Marcina w tysiąc dwieście osiemdziesiątym czwartym – zaczyna się upadek miasta Wineta, bo chłopcy wśród nowosiedlarzy były stanowczo przeciwstawne babskim rządóm, a poza tym miały w swoim orszaku wiele tysięcy szczurów, wobec czego na ostatnim herbie miasta pod indykiem widać było szczura, i to ptak był

zwrócony dziobem w prawo, szczur gonił się w lewo.

Damroka przynosi starą mapę morską ze sterówki i przy odrobinie światła objaśnia kobietom miejsce, w którym kotwiczą. – Tutaj – mówi – wysunięte przed ujście Peene, wyspiarskie miasto ciągnęło się daleko na wschód. My kotwiczymy nad centrum. Podobno przed tym gwałtownym przypływem morze było tak nieporuszone i gładkie jak dziś. Mówią też, że to był rok chełbi i że nad wodą unosił się śpiew, niczym anielskie pienia.

Kobiety postanawiają raz jeszcze poszukać snu. W niedzielę rano chcą sprawdzić, czy miejsce, w którym kotwiczą, słusznie, jak twierdzi pożółkła mapa morską, nazywa się Wineta; nie tylko oceanografka ma wątpliwości.

Już na hamaku Damroka mówi: – Nawiasem mówiąc, ten gwałtowny przypływ nadciągnął w niedzielę. Dlatego przy bezwietrznej pogodzie jeszcze dzisiaj słychać bicie dzwonów.

*ROZDZIAŁ ÓSMY, w którym upływa pięć minut ciszy, obchody urodzinowe są w toku, szcurzyca opowiada o herezjach, kukułka kuka w filmie i w rzeczywistości, kobiety się stroją, Oskar wpełza pod spódnice, kończy się prawie wszystko, a na Biskupiej Górcie stawiane są krzyże.*

Wcześniej, o godzinkę wcześniej, niż jego szofer je śniadanie, i zanim jeszcze jego babka w fotelu dostanie z rąk księdza Komunię Świętą, wczesnym niedzielnym rankiem nasz pan Matzerath mknie krótkonogo z hotelu Monopol przez częściowo zbudowane na nowo, częściowo odrestaurowane Stare Miasto w kierunku Osieku i placu Heweliusza, gdzie czeka na niego, świadka i sprawcę, dezertera i wtajemniczonego, zamknięty wprawdzie, ale dostatecznie okazały, ceglasczerwony budynek Poczty Polskiej z czasów, kiedy Gdańsk był Wolnym Miastem; bo umieszczona przed wejściem kamienna płyta zawiera wykute nazwiska wszystkich polskich urzędników pocztowych, którzy na początku drugiej wojny światowej, rozpoczętej tutaj, dokładnie tutaj, dość marnie wyszkoleni ostrzeliwali się z okien i dymników; prócz zabitych i dwóch, trzech zbiegów dostali się rychło do niewoli i zginęli wszyscy w egzekucji dokonanej w pobliżu starego cmentarza na Zaspie.

Przeciera okulary w złotej oprawie. Szuka i znajduje wyryte w kamieniu nazwisko wuja. Cofa się o krok i staje, trzymając z boku słomkowy kapelusz, ustawiając biało-żółte buty jeden przy drugim. Bliskie i dalekie bicie w dzwony nie odnosi się do niego. Nikt nie strzela dokumentalnego zdjęcia, żeby ta scena nabrała realności. Ludzie spieszący o tej wczesnej porze na mszę do Marii Panny albo Świętej Katarzyny widzą niedużego starszego pana, który ubrany na zachodnią modłę musi dźwigać garb i którego zamyślenie zdaje się koncentrować na granitowej płycie przed budynkiem

poczty.

Jestem pewien, że nasz pan Matzerath nie tylko myśli o wuju Janie Brońskim i swojej biednej mamie, lecz przywołuje też ówczesnego Oskara, owego niewinnego aniołka, który w niczym nie biorąc udziału miał udział we wszystkim. Teraz bądź co bądź jest tutaj i nie jednocześnie gdzieś indziej. Na polecenie babki stoi zadumany, z pochyloną głową. Poranne słońce połyskuje tu i ówdzie na jego czaszce. Od czasu do czasu chmury, które go zacieniają.

Pewnie upłynęło pięć minut, bo rozluźnia się, ociąga, umieszcza kapelusz, gdzie należy, odwraca się zdecydowanie i szybkim krokiem, ale z pewnością pogrążony w myślach, które ciężko nieść, rusza w drogę powrotną. Przed hotelem Monopol, gdzie ktoś proponuje mu korzystną wymianę dewiz, wsiada do czekającego mercedesa.

Nie musi dawać szoferowi żadnych wskazówek, Bruno, jak to już było poprzedniego dnia, wykazuje dobrą orientację w topografii. Z dawno przebrzmiałych opowiadań, w toku których konduktorzy tramwajowi wywoływali przystanek po przystanku i w ogóle wspomniane były wszystkie drogi tam i z powrotem, jego dawny pielęgniarz zna układ komunikacyjny: już jadą ponownie od Bramy Oliwskiej Grunwaldzką, która w swoim czasie nazywała się Wielką Aleją, później aleją Hindenburga, potem główną ulicą Wrzeszcza, która również kilkakrotnie zmieniała nazwę, teraz Strzyżą Górną w lewo, koło koszar huzarów, później policji, potem wermachtu, teraz milicji, aż za Brętowem, w którego piaszczystej ziemi cmentarnej leży jego biedna mama, wjeżdżają w pagórkowatą krainę Kaszub. Za wiele wspomnień. Oskar szuka odprężenia, wertując pisma numizmatyczne.

Przed domkiem babki pod kasztanem znów są zebrani krewniacy. Wydaje się, że zostali tu od wczoraj. Ale dzisiaj upleciona z bławatków liczba sto siedem wisi nad wejściem do kuchni, której troje drzwi wewnętrznych prowadzi w głębi do obory, po prawej do sypialni, po lewej do paradnej izby i stoi otworem, bo wszędzie, nawet w pustej od lat obórcie, siedzą na ławkach, stołkach i krzesłach, stoją stłoczeni goście i piją słodzony sok rabarbarowy

albo – choć to wczesna pora – czysty jak woda bimber z ziemniaków, którego zapasy zdają się cudownie rozmnażać.

Obok fotela Anny Koljaickowej, w którym siedzi ona tak, jakby nie chciała go już nigdy więcej opuścić, stoi stół, na którego bliższej jej połowie nadal pali się sto siedem świec, ufundowanych przez stronę kościelną, a którego druga połowa już teraz zastawiona jest urodzinowymi prezentami. Podziw budzi galopujący porcelanowy koń z fantazyjnie wywiniętym ogonem, przywieziony na Kaszuby, mimo całej swej kruchości, przez małżeństwo Bruns z Hongkongu. Cała spowita w czerwono-żółte kwieciste jedwabie lady Bruns posiłkując się zwiewnymi gestami tłumaczy, iż jest to wierna kopia porcelanowych rumaków z czasów dynastii Ming.

Wikingowie uznali za słuszne przywiezienie z Australii do ubogiej w mięso Polski elektrycznego grilla, który z miejsca, jako że perfekcja techniczna sama w sobie godna jest obejrzenia, musi być wypróbowany na oczach wszystkich. To imponujące, jak nagi rożen obrotowy za naciśnięciem guzika powoli przyspiesza, furczy na wysokich obrotach i dzwonieniem daje sygnały, że w danej chwili mięso jest już upieczone albo jeszcze półsurowe.

Znad jeziora Michigan Colchicowie przywieźli nadnaturalnej wielkości głowę z brązu, której charakterystyczne rysy zaczerpnięto z fotografii z lat dwudziestych. Brąz ma pośmiertnie przypominać owego wąsatego Józefa Koljaickę, który za czasów cesarza Wilhelma był prześladowany jako polityczny podpalacz i u Anny Brońskiej, później Koljaickowej, znalazł tego rodzaju schronienie, że na świat przyszedł owoc ich miłości imieniem Agnieszka, ale Józef, już jako ojciec rodziny, musiał uciekać ponownie, aż po daniu długiego nura wypłynął w Chicago, tam zrobił majątek na handlu drewnem, powołał do życia wielu Koljaicków, którzy nazwali się później Colchicami, miał nawet zostać senatorem, ale w lutym czterdziestego piątego, kiedy druga armia radziecka pod rozkazami marszałka Rokossowskiego wkroczyła na Kaszuby, mimo przestrzennego dystansu zmarł na atak serca; ujrawszy dar z Ameryki, swego Józefa w brązie, Anna

po chwili zamyślenia powiedziała podobno: „Przy mnie to by se pewno dłużej pożył”.

Z Mombasy natomiast, afrykańskiego miasta nad Oceanem Indyjskim, Kazimierz Kurbiella przywiózł wyrzeźbioną w hebanie i wypolerowaną na głęboką czerń kobietę nie większą od krzesła, która zbijała wszystkich z tropu tłustym kuprem i spiczastymi piersiami, aż prałat z Oliwy dotknął grzesznej rzeźby, nazwał ją sztuką, uniósł i ze znanstwem oglądał we wszystkich szczegółach.

Nie wiem, co ofiarowali Stommowie z Gelsenkirchen. Prawdopodobnie ów zasilany z baterii, odzywający się co pół godziny zegar z kukułką ze Schwarzwaldy, stojący teraz obok obrazu Serca Jezusowego, który prałat przyniósł w prezencie z odręczną dedykacją polskiego papieża i własnoręcznie powiesił na ścianie w miejsce upstrzonej przez muchy *Ostatniej Wieczerzy*.

Co z urodzinowych prezentów powinienem jeszcze wymieniść? Osiadli między Kartuzami a Wejherowem Kaszubi są co prawda biedni, ale lubią obdarowywać. Dawali szydełkowe serwetki obok pantofli rannych na futerku i filiżanek z dedykacją. Tyle pracowicie wykonanych drobiazgów. Referendarz z poczty państwowej przyniósł otwieracz do listów z bursztynową rączką. Delegacja stoczni Lenina, mająca w swoim składzie synów Stefana Brońskiego, przybyła z prezentem, który wkrótce zostaje zasłonięty przez inne prezenty, umyślnie, chociaż przedstawiciele państwa już wczoraj pospieszyli z powrotem do Warszawy.

O ten prezent przyszło do kłótni, która pod powierzchnią trwa nadal. Przy tym kunsztownie wykuty żelazny napis, którego jakby ręcznie pisane litery tworzą słowo „Solidarność” i z którego „n” wyrasta drzewce biało-czerwonej emaliowanej flagi, wyglądał i wygląda jak pokojowa ozdoba, która mogłaby znaleźć miejsce po prawej stronie obrazu Serca Jezusowego; ale ten prezent nie podobałby się nie tylko urzędnikom ministerialnym z Warszawy, również prałat nazwał kuty w żelazie napis wprowadzie dobrą robotą, wykonaną ze



szlachetnych pobudek, lecz nie pasującą do tego święta wyzbytego wszelkiej polityki. Niechże dziś powszednia niedola pozostanie za przystrojonymi kwieciami drzwiami.

I w podobnych słowach Stefan Broński sprzeciwia się swoim synom. Nie w paradnej izbie, ale przed domem i w kuchni kłócą się na nowo, aż mercedesem z szoferem przybywa nasz pan Matzerath. Od razu zostaje wciągnięty w beznadziejny spór. Jemu, który lubi wypowiadać się pryncypialnie, udaje się zdaniem: „Nam, Kaszubom, polityka przyniosła wprawdzie dużo rocznic, ale mało dobrodziejstw”, jakby od niechcienia stępić nieco ostrze sporu o zdelegalizowany przez państwo związek. Na koniec jeszcze tylko z Kazimierza Kurbielli, którego w Mombasie nazywają Kasy, wychodzi dawny marynarz. Pod kasztanem domaga się przywrócenia „Solidarności”, na co Stefan Broński, wspierany przez pana Stommę, kilkakrotnie podkreśla, że powinien panować porządek, nie tylko tradycyjnie niemiecki, ale i polski. Wreszcie prałat z Oliwy uspokaja zarówno siły miłujące porządek, jak i siły związkowe, błogosławiąc obu stronom i tym samym zajmując pozycję Kościoła.

Teraz dopiero Bruno, który nawet w niskiej paradnej izbie nie zdejmuje szoferskiej czapki, po kolei wnosi do domu wszystkie prezenty, jakie obmyślił sobie wnuk Anny Koljaickowej podczas dłuższych pobytów na kuracji w Baden-Baden i Bad Schinznach jak i numizmatycznych podróży. Przy rozpakowywaniu Bruno bardzo niechętnie daje sobie pomagać. Dziwne, że zwija sznurki i chowa do kieszeni. Nigdy nie pozwala nożyczkom oszczędzić czasu. Cierpliwość dla każdego węzła. W końcu opadły wszystkie osłony. Dzieciom kaszubskim wolno było tymczasem zdmuchnąć wszystkie dopalone świece. Pospiesznie robi się miejsce na prezenty Oskara.

Duży aplauz dla dziewięćdziesięciocentymetrowego, jak podkreśla pan Matzerath, sękacza, który zaraz napoczyna pani Stomma z Gelsenkirchen z wprawą gospodyni domowej: cieniusieńki plasterek dla każdego. Pożyłkowane najdelikatniejszą czekoladą ciasto rozpływa się Kaszubom na

języku jak hostia.

Wszyscy patrzą z podziwem, kiedy Bruno demonstruje następny prezent, polaroidową kamerę, którą można robić zdjęcia gościom w takim czy siakim ustawieniu i, jak podkreśla pan Matzerath, „naszej kochanej solenizantce”, zaraz po pstryknięciu wyciągnąć z aparatu i oglądać: jak, zrazu matowe, w oczach ukazują swój motyw na wysoki połysk, aż każdy rozpoznaje każdego i ze zdumieniem samego siebie.

Potem śmiechem przyjmuje się woreczek, z którego wysypuje się stu trzydziestu biało-niebieskich plastikowych karzełków, przeznaczonych dla licznych dzieci kaszubskich z najmłodszego pokolenia. Wielkie halo, ponieważ mister Bruns stwierdza, a lady Bruns potwierdza, że znaczna część smerfów ma wytłoczony na podstawce napis „Made in Hongkong”, co dowodzi, że przynajmniej połowa ich mogłaby pochodzić z należącej do Brunsów wytwórni zabawek i że – czemu przytakują wszyscy goście – świat jest mały.

Po wszystkich tych darach dla Kaszubów i ich dzieci ukazuje się na koniec lakierowana szkatuła, w której jedenastu szufladach leży na białym aksamicie sto siedem złotych monet, mających stanowić w całości skarb solenizantki. W odpowiedzi na pytania pan Matzerath objaśnia sztuki złota. Rozróżnia luidory, maksdory, friedrichdory. Te tutaj, mówi, zostały wybite w Szwajcarii, tamte w Afryce Południowej, ta i ta sztuka za czasów cesarza, cała szufladka w państwie Habsburgów. Są tu dukaty i korony, złote ruble z carskiej Rosji i złote radzieckie monety pamiątkowe. Wszyscy podziwiają szwajcarskie vreneli i panującego nad światem dolara, meksykańskie pesos i krugerranda. Można obejrzyć nawet chiński pieniądz dla zbieraczy, przedstawiający niedźwiedzia pandę. Monety wędrują wkoło i wracają wszystkie.

– I to wszystko ma być ze złota? – powątpiewa Anna Koljaiczkowa nie wypuszczając różańca.

– To monety z dukatowego złota – zapewnia jej wnuk. – Za każdy rok,

kochana babciu, sztuka złota.

Anna waży w dłoni starogdańskiego dukata z czasów króla Zygmunta Augusta.

Podchwytyjąc wiejską wymowę babki Oskar powiada: – Co by biedy więcej ni było. – Tylko wobec Joe Colchica wspomina o spadającej od dłuższego czasu cenie złota, nie bez oskarżycielskiej nuty, jak gdyby miał powody, żeby czynić amerykańskich Kaszubów odpowiedzialnymi za to, iż jego trezorowe skarby straciły na wartości.

Ale podczas gdy goście się zabawiają – dużo śmiechu jest ze smerfów; pierwsze zdjęcia migawkowe polaroidową kamerą budzą wesołość – nasz pan Matzerath zbliża się do ucha swej babki, na której kolanach leżą sztuki złota. Mówi: – Ach, babciu, marnie to na świecie wygląda. Ludzie chcą się zniszczyć. Są zdolni do unicestwienia wszystkiego, co żyje. Wszędzie znaki: nadchodzą złe czasy, jeśli nie dzisiaj, to jutro.

Mimo że ta wyszeptana zapowiedź nadciągającego nieszczęścia nie może zmniejszyć jej radości z hałaśliwego zamieszania, jakie robią goście i krewni, Anna Koljaiczkowa odpowiada: – Ja wiem, Oskarku, wszędzie diabeł siedzi.

Potem chce, żeby przysunął ucho, bliżej, jeszcze bliżej: – Dawniej to były tu szczury za domem. Jezusie, Maryjo, Józefie święty! Wszystkie se poszły.

Z tą informacją jej wnuk włącza się znów w urodzinowy rozgardiasz. Musi objaśniać monety i ich wagę. Coraz to ktoś chce potrzymać sztukę złota w dłoni. Szczególne zainteresowanie budzi meksykańska moneta o nominale pięćdziesięciu pesos. Po kilka razy Kaszubi z Kartuz i Wejherowa, Firogi, Kokoszek i Karczemek odczytują z nabożeństwem wytłoczoną wagę, trzydzieści pięć koma pięć grama, i czarodziejskie słowa: „oro puro”. Złoty ciężar wędrując z rąk do rąk budzi dreszczyk lęku. Ktoś, Kuczorra z Chmielna, wzdraga się tknąć sztukę złota. Ale Kasy Kurbiella, który lubi odstawiać żartownisia, a wśród kobiet kawalera do wzięcia, wciska sobie wysokiej próby szwajcarskiego vreneli niczym monokl w oko.

Już bez czapki, w roli gościa szofer Bruno świadczy swoje usługi jako

fotograf coraz to innym konfiguracjom Kaszubów. Oto amerykańscy Colchicowie chcą się zobaczyć na jednym zdjęciu z Woykami z Żukowa. Oto australijscy Vikingowie stoją między Stefanem Brońskim i jego żoną z domu Pipka a synami Brońskich i ich narzeczonymi. Oto małżeństwo Bruns chce do fotografii jeszcze raz pokazać solenizantce chińskiego porcelanowego konia. Stommowie ze swymi podrastającymi córkami, które stale wyglądają na z lekka obrażone i muszą być potrącane i poszturchiwane, ustawiają się ze Stommami z Kartuz wokół fotela Anny, nawiasem mówiąc, podwyższonego dzisiaj biało-czerwoną wiązką piwonii. Mimo półgłosem wypowiedzianych protestów referendarza z poczty Kasy Kurbiella upiera się przy migawce, która uwieczni po wsze czasy delegację stoczni Lenina z nim, trzymającym kuty w żelazie napis „Solidarność” na tle białej koszuli.

Za każdym razem cud, którego oczekuje się bez słowa, kiedy dopiero co jeszcze matowy papier wypełnia się obrazem. Jest jak między Ofiarowaniem a Przeistoczeniem: straszno i zarazem ciekawie.

Choćby wzdragał się i błagał, nasz pan Matzerath musi naturalnie raz po raz być motywem, i to możliwie centralnym: między polskim Kościołem a państwem, jako łączące ogniwo nazbyt rozgałęzionych rodzin, pośród kaszubskich dzieci. Ale równocześnie pije się, śpiewa, śmieje, płacze. Wraz ze stojącymi ciasno gośćmi stoi kwaskowaty zapach. Jeszcze raz, z nieustającą ochotą, każdy opowiada każdemu o swojej chorobie, jej leczeniu i czasie trwania. Dlaczego Kasy Kurbiella wciąż jeszcze jest kawalerem, jak duże jest Chicago, czy drogie jest życie w Hongkongu, ile zarabia Anthony Viking na australijskiej kolei. Kłótnia jedynie w zdaniach pobocznych, uroczysta okazja sprzyja pojednaniu; dlaczego nie tylko ludzie ze stoczni Lenina, lecz i zwolennicy porządku, który musi być niemiecki i polski, uważają, że najsympatyczniejsze są biało-niebieskie smerfy. Stefan Broński mówi: – Wiesz, Oskarze, znowu żeś nam zrobił prawdziwą niespodziankę.

Tak uważają wszyscy goście i piją bimbrem z ziemniaków, a teraz też ajerkoniakiem, jego zdrowie. Ale w bagażniku swego mercedesa i w swoim

sercu, któremu nigdy nie można było ufać, nasz pan Matzerath ma w pogotowiu specjalną niespodziankę.

Dawniej wiedzieliśmy więcej o świecie; ale w pierwszym okresie postczłowieczych czasów, który trwał dłużej, niż dałoby się wymierzyć liczonymi latami kalendarzowymi, mało słyszałyśmy o szcurzych ludach, które zakopały się gdzie indziej. Ponieważ byliśmy pewne, że istniałyśmy wszędzie, tym bardziej łaknęłyśmy nowin. Ale gdy nadciągnęła pierwsza fala imigrantów ze Wschodu i otrzymała przydzielone rewiry poza miastem i kaszubskim zapleczem, na wciąż jeszcze bagnistych Żuławach, przybysze też niewiele wiedzieli, tyle tylko, że w Rosji sytuacja wygląda źle, gorzej niż u nas, nawet dla szcurów prawie nie do wytrzymania. Nie były to wiadomości. Mało konkretno, tylko narzekania i pogłoski, których miałyśmy dość.

Za czasów człowieczych było inaczej, powiedziała szcurzyca, która mi się śni. Z kontynentu na kontynent od dawien dawna podróżowałyśmy nad kilem statkami każdej wielkości, o ile poszczególne statki bądź całe floty nie roztaczały zapachu zguby. Hiszpańska armada zatonała bez nas. Unikałyśmy „Titanica”. A na pokładzie „Wilhelma Gustloff’a”, statku „Kraft durch Freude”, który w styczniu czterdziestego piątego zapchany uciekinierami wypłynął z Gdyni, noszącej wtedy miano Gotenhafen, wkrótce po opuszczeniu Zatoki Gdańskiej został storpedowany i zatonał, nie było żadnych szcurów; to samo można powiedzieć o „Steubenie”, wiozącym cztery tysiące rannych, o „Goi” i innych statkach, które wpadły na minę, wyróciły się albo pogrążyły od strony rufy. Pewien wielki admirał wysłał je wszystkie do Kurlandii, żeby przywiozły na Zachód możliwie jak najwięcej żołnierzy i cywilów. Wiemy to, ponieważ nasi pobratymcy również wywędrowali na Zachód, ale na statkach, które nie zatonały. Siedem razy okrętowałyśmy się na „Cap Arkonie”, schodziłyśmy na ląd w duńskich i północnoniemieckich portach nawet dwakroć liczniejsze, odmówiłyśmy sobie jednak przejażdżki ongiś luksusowym statkiem, kiedy załadowano go

więźniami z obozu koncentracyjnego Neuengamme, co wskazywało na to, że pójdzie na dno.

Kto w to nie wierzy, zawołała szczurzy ca, która nie chciała zaprzestać wysławiania uniknionych zatonięć, ten niech sobie przypomni naszą ucieczkę z krążowników pancernych i liniowców rosyjskiej floty bałtyckiej, kiedy to przeczuliśmy bitwę pod Cuszimą...

Tak paplała i zatraciła się w swoim ulubionym temacie. Wyliczyła krążowniki „Świetłana” i „Żemczug”, okręt flagowy „Ostiaba”, krążownik pancerny „Admirał Nachimow”, pancerniki „Borodino” i „Suworow”. Łącznie czterdzieści dwie czarne łajby, które w nocy z trzynastego na czternastego października roku dziewięćset czwartego zostały opuszczone przez wszystko, co było gołoogoniaste.

Ale, bracie, zawołała, co my tu gadamy o zatonięciach, kiedy wypada wspomnieć tyle statków, którymi podróżowałyśmy beztrosko i docierałyśmy do celu, choć niekiedy zamrożone, jak owe szczury nowozelandzkie, co to z antypodów chciały koniecznie dostać się do Europy i wsiadły na statki załadowane baranią. Jednakże szok zimna przewidziany dla świeżego mięsa dało się przeżyć. Nie miał on żadnych następstw dla zamrożonych, w porcie docelowym Londyn znów nadzwyczaj rześkich Nowozelandczyków. Złodowacenie nie zdołało niczego wykreślić z ich szczurzej pamięci. Zamrożona zachowała świeżość. Żadnego ubytku z zimna! Przybyły z wiadomościami i następnymi statkami zawiozły wiadomości gdzie indziej.

Szczurzyca chwaliła sprawny, łączący wszystkie kontynenty system informacyjny szczurzych ludów, chwilami znów wyrzekała na brak wiadomości w czasach postczłowieczych, aby z tym większym entuzjazmem rozplýwać się nad zdobyczami technicznymi, jak powiedziała, u schyłku człowieczych czasów. Opowiadała o latających szczurach, które korzystały nie tylko z samolotów transportowych, ale i z maszyn pasażerskich. Nie było towarzystwa lotniczego, zawołała, które nie zaliczałoby nas do swoich pasażerów! Będąc zawsze na bieżąco, byliśmy w każdej chwili lepiej

poinformowane niż rodzaj ludzki. Żal, że dzisiaj nie dociera do nas prawie żadna wiadomość.

Ale, szczurzyco, odrzekłem, po co wam doniesienia, informacje? Spokojnie i bez zbędnych nagłówków, które kasują się z dnia na dzień, bez tego codziennego raportu o katastrofie możecie nareszcie po szczurczemu żyć dla siebie. Skoro położyłyście kres wszelkiemu człowieczemu rozgorączkowaniu, nowiny powinny was obchodzić tyle co zeszłoroczny śnieg, a sensacje pobudzać do ziewania.

W zasadzie masz rację, przyznała. Żyje się spokojniej, kiedy nie musi się wiedzieć, co jest w programie za siedmioma górami. A jednak rade byłybyśmy wiedzieć, jak żyjące gdzie indziej szczury radzą sobie z rozwojem sytuacji, która niepokoi nasze, osiadłe tutaj ludy, mało tego: zagraża im, a co gorsza mogłaby je unicestwić, ponieważ...

Widziałem ją w płynnych konturach, miotającą się bez ustanku to tu, to tam, potem znów nieostro podzieloną na trzy, a jednak jednogłówną. Pewnie, zawołała, to zrozumiałe, że owa prastara kobieta w fotelu, która chciałaby umrzeć, ale nie może, jest uwielbiana przez wiejskie szczury, pewnie, że wiele ocalałych kościołów na terenie miasta nadaje się do wspólnego użytkowania; ale czy kult starej kobiety, czy spotkania naszych ludów na wsi muszą wyradzać się w bałwochwalstwo, a w mieście – w irracjonalizm? Nie da się zaprzeczyć: stajemy się religijne. Ledwie zniknął rodzaj ludzki, zaczynamy zaglądać pod podszewkę rzeczy, szukać sensu, tworzyć sobie wizerunki. Wszystko to byłoby jeśli nie zrozumiałe, to znośne, gdyby to jedna, jednocząca wiara czyniła nas, szczury, pobożnymi. Ale nie, na sposób ludzki wierzy się z odchyleniami. Formy zewnętrzne wyznaczają kierunki, które za każdym razem mają inne credo. Już nazbierało się powodów do starcia, które domaga się rozstrzygnięcia; i to nieprzejednanego, jak gdyby trzeba było iść w ślady człowieczości.

Ostrzejsza w konturach, ale i ostrzej aż po wąsy na trzy podzielona, szczurzyca powiedziała: Z grubsza biorąc, zaznaczają się trzy wyznania, przy

czym pewną rolę odgrywa chyba pochodzenie naszych szczurzych ludów: My jesteśmy szczurami osiadłymi w tym regionie od dawna, potem są takie, które na krótko przed Wielkim Bum-Bum przywędrowały z zachodu tak zwanym szczurzym mostem, i takie, które przeniknęły niedawno z rozległych rosyjskich przestrzeni; przy tym między wszystkimi trzema ludami w ich naturze i aż po cynkową zieleń ich postczłowieczego uwłosienia nie ma zasadniczych różnic, sprzeczności występują tylko w nabożności...

Kiedy to mówiła, nie wiedziałem, która z nich powiedziała „sprzeczności” i „nabożności”, bo śniło mi się, że trzy szczurzyce ożywiały obraz. Wymijały się albo stawały dęba przeciw sobie. Niespokojnie przemykały to tu, to tam. Jedna szczurzyca goniła drugą, ta z kolei pędziła za trzecią. Nigdy nie wiedziałem, która mówiła do mnie we śnie. Przekrzykiwały się, obwinały nawzajem. Słyszałem absurdalne zarzuty, bo jedna szczurzyca prześwięcała drugą tam, skąd przyszła, w głąb Rosji, po czym wytykała trzeciej polskie gospodarowanie, zaś szczurzyce rosyjska i polska, które patrzyły na siebie, Bóg świadkiem, z wzajemną nienawiścią, wyzywały ją od Prusaczek.

Ale w kłótni trzech szczurzych, z których każda mogła być moją, chodziło właściwie o kwestie wiary. W ich pyskówce słyszało się chrześcijańską zajadłość. Zaleciało człowiekiem, skoro tylko zaczęły szermować miłością bliźniego. Kiedy jedna unosiła się protestancką gorliwością, druga pozostawała uparcie katolicka, podczas gdy trzecia – ale która!? – starała się po prawosławnemu prześcignąć gorliwość i upór pozostałych szczurzych. Skulone do skoku albo gotowe gryźć jedna drugą, zęby obnażone, wąsy nastroszone. Potem znów każda odwrócona syczała coś do siebie; trudno mi było rozsypać ich splątana kłótnię.

Abstrahując od wszelkich niesnasek teologicznych i tego, co tam jeszcze podpatrzyły u ludzi, chodziło o kwestie lokalowe: kto może się zbierać w którym kościele. Owe szczury przybyłe z Rosji, które musiały wegetować na bagnach nadwiślańskich nizin, żądały otoczonego przez lawiny szlamu kościoła Świętej Barbary na Dolnym Mieście wyłącznie dla siebie. Szczurom



na krótko przed końcem przerzuconym z Niemiec i tym od dawna osiadłym szło o Marię Pannę i użytkowanie i rozdzielanie pozostałych sakralnych budowli. W żadnym razie polsko-katolickie szczury nie chciały udostępnić dawnego kościoła dominikanów protestantom. Równie swarliwie szczury pochodzenia niemieckiego domagały się dla siebie kościoła Świętej Brygidy jak również Świętej Katarzyny.

Ale gdzie, zawołałem w ten rozgardiasz, podziła się miłość bliźniego, do jasnej i niespodziewanej! Troszkę więcej tolerancji, jeśli można prosić.

I już miałem wszystkie trzy przeciw sobie. Do czego to dochodzi, że ten ostatni człowiek chce uczyć szczury dobrych manier. Widać nie wystarcza mu jego kapsuła kosmiczna. Niech się nie wtrąca. Co za bezczelność! Rodzaj ludzki był zdolny do różnych rzeczy, tylko nie do tolerancji. Potem znów kłóciły się we trzy i wyglądało na to, że znajdują w tym przyjemność.

Ale w trakcie kontynuowania sporu religijnego skłóconych ze sobą szczuryc zrobiło się cztery, potem pięć. O ile zrozumiałem, nastąpił podział wśród protestantów, a u prawosławnych były prachrześcijańsko-komunistyczne odchylenia. Polsko-kaszubskiej – ale która była katoliczką? – przyszło to w samą porę. Natychmiast zażądała zwrotu dolnomiejskiego kościoła Świętej Barbary i oczywiście dawnej kaplicy królów polskich nie opodal Marii Panny, której absurdalnie domagała się czwarta szczurzyca na zbór kalwiński, podczas gdy komunistyczni prachrześcijanie życzyli sobie na miejsce zebrań kościoła Świętego Jakuba w pobliżu dawnej stoczni Lenina.

No dobra, powiedziałem, kościołów jest przecież, u licha, pod dostatkiem. Ale byłoby pięknie, gdyby też pobożnym szczurom udało się w końcu w każdym kościele, ze wszystkich kazalnicy głosić jeśli już nie tolerancję, to miłość, szczurzą miłość bliźniego.

Ponownie miałem przeciw sobie wszystkie, tym razem pięć szczuryc. Moja sytuacja wydała mi się znana od dawna: doświadczenia aż do przesytu. Szukałem porównań, chciałem w sen wtłoczyć statek z kobietą załogą, wołałem jednak, całkiem skołowany, tylko: Miłość bliźniego, u licha!

Troszkę więcej miłości bliźniego!

W odpowiedzi szyderczy śmiech. Tej to szcurów uczyć nie trzeba. Ta jest wśród szcurów praktykowana, jak sięgnąć szcurzą pamięcią. Jedyne rodzaj ludzki musiał z miłości bliźniego uczynić przykazanie, niezdolny do jego przestrzegania, jak się okazało. Zamiast tego wymyślał i wciąż udoskonalał zabijanie i tortury. Niechże ten ostatni człowiek w swej kosmicznej kapsule, zawołała jedna z pięciu szcurzyc, zamknie wreszcie gębę.

Kiedy mimo to założyłem protest i zagroziłem inaczej prawdziwymi snami – jeszcze nasz pan Matzerath ma w zanadru niespodziankę, jeszcze statek kotwiczny nad Winetą, jeszcze trwa głęboki sen Śpiącej Królowy i trzyma w niewoli kanclerza z jego świtą – zaśmiała się, jak słyszałem, cała piątka szcurzyc; ale tylko jedna, prawdopodobnie ta katolicka, zawołała: Odwal się! Spływaj do swoich historyjek. Do czegoś ty nam potrzebny? Żyje przecież jeszcze prastara w swoim fotelu, bełkocze i bełkocze, i nie może umrzeć...

Znów się kłóciły. Ale tym razem nie chodziło o użytkowanie ocalałych kościołów w oszczędzonym mieście. Już nie z kazalnicy, lecz na skłębionym śmietniku, na stercie porcelanowych skorup, maleńkich figurek do zabawy i niedbale rozrzuconych monet kłóciły się o ową starą kobietę, która chciała umrzeć, ale nie mogła, która wydawała mi się znajoma, choć wzbraniałem się gwałtownie przed zawołaniem starej po imieniu; dopiero jak je wypowiesz, powiedziałem sobie, będzie naprawdę zgubiona.

Jakby po raz ostatni mówi nasz pan Matzerath. Klaszcze w rączki, na których palcach jest za dużo pierścieni; ten jego pociąg do reżyserowania wszystkiego. Na krześle, żeby go było widać, kiedy mówi, pod niskim sufitem izby, prosi o coś i z miejsca wokół niego, stojącego na podwyższeniu, narasta zainteresowanie.

Nareszcie Oskar przemawia w kręgu dalszej rodziny i w otoczeniu nie spokrewnionych gości. Patrzą na niego w górę. Mówi o sobie, o świecie i o

sobie. Dość często, jak gdyby musiał ćwiczyć, wygłaszał tę mowę do mnie. Już od dawna tworzyły się w nim zdania przeznaczone dla ludzkości, niejako ostatnie słowa.

– Proszę widzieć we mnie kogoś, powiedział, kto na zwodniczo bogatym Zachodzie stoi na czele średniej wielkości firmy, której zarząd w porę poświęcił uwagę wszystkim możliwościom medialnym i uruchomił tak dalece wielostronną produkcję, że dzisiaj, kiedyśmy rzucili na rynek już tysiące kaset, mogę powiedzieć naszej kochanej solenizantce: Wszystko jest sfilmowane! Ze stosowną wobec mediów pewnością wyliczę: ile los zapisał nam na konto, co nam podsuwa pamięć – czy zabarwiona na sposób dawno znajomy, czy nasycona zapachami, które kiedyś dla naszego nosa były nowe – co smakowało jak dziecięca kaszka, pieczeń weselna, stypa, odbijało się nam, budziło apetyt na więcej; to niezmacone „było sobie kiedyś” jest sfilmowane. Ale mediom nadarzały się także nasze nadzieje, które pragną przyszłych barw, zapachów, nowego smaku, do tego uczucia, które nie biorą się z nawyku, lecz są nie zapisaną kartą, i oto istnieją, kasetą obok kasety, jako filmy. Powiedziałem już: Wszystko jest sfilmowane! Wszystkie przeżycia, które wydają się nam nowe, były już grane przed publicznością gdzie indziej i wpływały na bieg historii, zanim zdarzyły się naprawdę. Toteż my, moi kochani krewniacy, którzy jesteście mocno przekonani, że nie widzieliśmy się nigdy przedtem – tak szeroko rozgałęzione zieleni się nasze kaszubskie ziele – jesteście sobie wystarczająco znani, znajomi z dawniejszych filmów, które jeszcze migotały czarno-biało i w których my obchodziliśmy uroczyście inne uroczystości; w każdym czasie dość było okazji: smutnych i takich, które wprawiały nas w wesoły nastrój. A nowa okazja nadejdzie już wkrótce, kiedy wasz Oskar będzie obchodzić sześćdziesiąte urodziny. Serdecznie zapraszam wszystkich, ale nade wszystko ciebie, czcigodna babko, kochana babciu, na uroczystość we wrześniu, która już teraz, jak bym oglądał film, stoi mi przed oczami: jak się zaczyna, rozkręca, zdąża do kulminacji i rozpływa się na wiele wątków

ubocznych...

Zanim jeszcze przebrzmi aplauz wdzięczności za to zaproszenie na tak daleki Zachód, nasz pan Matzerath mówi dalej: – Jak widać, świat ma nam do zaoferowania niewiele nowego, co najwyżej trafiamy do takich i owakich, a czasem nieoczekiwanie zupełnie innych konfiguracji, jak owe smerfy, którymi z takim zapamiętaniem bawią się dzieci. A właśnie! Jesteśmy prefabrykowanymi smerfami, które w specjalnym wykonaniu – nie wszystko musi pochodzić z Hongkongu! – osiągnęły rozmiary dorosłych, aby w tysiącu i więcej filmach, raz w takim, raz w siakim przebraniu, znaleźć swe wypróbowane role; uwikłani tutaj w wesołe, dość często głupie, tam w smutne, przeważnie kończące się tragicznie, raz stawiające na napięcie, to znów nużąco rozwlekłe intrygi, które bierzemy za odbicie życia, aczkolwiek zostały wyprodukowane wcześniej, są sfilmowanym życiem, za którym my usiłujemy nadążyć, bacząc lękliwie, żeby nie opuścić żadnej sceny pocałunku, żadnej sceny bójki. Co ja mówię: mało nowych treści! Zimna kawa kilka razy serwowana! Już jedyna córka naszej kochanej solenizantki Agnieszka, moja biedna mama, ilekroć przy jej stole zebrali się przyjaciele na partyjkę skata o fenigi, zawsze wołała: Życie jest jak film!

Poglądami tej próby zostają obdarowani przybyli z bliska i z daleka Kaszubi. Robotnicy ze stoczni Lenina i przedstawiciele polskiego Kościoła oraz państwowej poczty kiwając z aprobatą głowami zdumiewają się: Czy życie nie jest jak film, który się zna? Czy nie trzeba było raz po raz ponosić konsekwencji polskiej niedoli? I czyśmy przez cały czas z niepokojem nie przeczuwali, jak też się to kręto lub prosto dalej potoczy?

– Ty masz rację, Oskarze! – woła Stefan Broński. – Je, jak belo, dawno i niedawno.

Przed przystrojonym kwiatami fotelem i na jego tyłach podrastające kaszubskie dzieci z bujnych pędów Woyków i Stommów bawią się wieloma fajnymi smerfami, które obok sękacza, polaroidowej kamery i złotych dukatów przywiózł z bogatego Zachodu nasz pan Matzerath. Wszystkie

smerfy mają białe czapki, ciemnoniebieskie okrągłe brzuchy i twarze z bulwiastym nosem. Większość śmieje się szyderczo, jak gdyby było po temu mnóstwo okazji, ale widać też nadąsane, samotne, głęboko zasmuczone smerfy. Każdy smerf niesie narzędzie albo ciężar, jest zajęty. Kilka ma w ręku sprzęt sportowy, inne wcinają tort z kremem maślanym. Jeden smerf trzyma w prawej kielnię, lewą podnosi cegłę, następny robi zamach siekierą. Z kluczem maszynowym w ręku jeden ze smerfów jest mechanikiem, inny z kosą i snopem zboża uosabia stan chłopski. Ten tutaj z biało-czerwonym lizakiem reguluje ruch. Ten smerf napoczął kanapkę, tamten nie odrywa butelki od ust. Wszyscy są czynni, tylko jeden stoi z pustymi rękami. Bezrobotny spuszcza ze wstydem oczy. Tak to wszystkie smerfy, którymi bawią się kaszubskie dzieci, podczas gdy Oskar zachwala film jako prefabrykowane życie, odzwierciedlają skrzętność rodzaju ludzkiego.

– Jak to miło – mówi nasz pan Matzerath – znów przebywać w gronie rodziny. Nawet nasze choroby pozostały sobie wierne. Prawie nic się nie zmieniło. No tak, polityka. Ale ją także już mieliśmy. A fakt, że my, ludziska, się starzejemy, został w moich filmach video szeroko uwzględniony. Jak już mówiłem: wszystko, co się odbywa, odbywa się ponownie, z uwzględnieniem niewielkich zmian i modnych nowości. My, zakorzenieni tutaj i wszyscy przybyli z daleka Kaszubi, jesteśmy najlepszą ilustracją mojej tezy, w związku z czym chciałbym wam, a zwłaszcza tobie, kochana babciu, pokazać specjalną kasetę video, która troszkę zapuściła się w przeszłość i odpowiada mojemu programowi; będzie on wkrótce rozprowadzany w całym świecie pod znakiem firmowym Post Futurum.

I już szofer Bruno z pomocą jednego stoczniewca taszczy do paradnej izby skrzynię z dużym ekranem. Prędko przynosi się stolik i stawia pod ścianą, naprzeciwko Anny Koljaiczkowej. Telewizor z podłączonym magnetowidem zasłania kilim z motywem przedstawiającym anioła, jak chroni dziecko przed upadkiem w przepaść. Odzywa się kukułka koło obrazu Serca Jezusowego, bo jest wpół do dwunastej.

Szofer umieszcza zapowiedzianą kasetę w magnetowidzie. Śmiejący się, popijający z małych szklaneczek, ale też zawsze bliscy płaczu, na ogół cieszący się życiem i oddani Bogu goście urodzinowi grupują się po obu stronach przybranego piwoniami fotela, przy którym stoją prałat i referendarz z poczty. Kaszubskie dzieci porzucają smerfy i siadają w kucki, kładą się i stają przed dorosłymi. Wszyscy wlepiają wzrok w matowy jeszcze ekran, jak gdyby zaanonsowano ukazanie się Marii Panny. – Oskarku! – woła Anna Koljaiczkowa. – Ty pewno niespodziankę chcesz mnie zrobić?

Szofer Bruno, na znak naszego pana Matzeratha, który stoi skromnie z boku, puszcza prefabrykowaną kasetę. Najpierw ekran wypełnia tytuł: *Sto siódme urodziny czcigodnej Anny Koljaiczkowej z domu Brońskiej*. Kiedy zaś wraz z pierwszymi ujęciami biedny domek babci z kasztanem, jabłonkami, płotem i nisko\* tego deszczowego lata wyrosłymi słonecznikami, potem, za płotem, nakryty stół biesiadny i pierwsi urodzinowi goście, między nimi mister i lady Bruns, ożywiają matową szybę, jeszcze prawdziwiej: kiedy częstują się, tu pałaszują pierogi, tam makowiec, stłoczone towarzystwo urodzinowe reaguje wspólnie zdumionym: aaa, które z westchnieniem przechodzi w ciszę, skoro tylko po miksie na uplecioną z bławatków liczbę sto siedem nad wejściem ukazuje się w kadrze najpierw kuchnia, potem zapchana paradna izba, przy czym solenizantka pozostaje na razie zasłonięta, niewidoczna; ale owe świece, które przedtem jeszcze się paliły, potem zostały zdmuchnięte, palą się w komplecie.

I wszyscy goście są w filmie przewidziani: prałat z Oliwy i ksiądz z Matami, obaj przedstawiciele państwa polskiego, którzy niestety już wczoraj musieli odjechać, i nadal obecna delegacja stoczni Lenina. Pojawia się nawet spóźniony referendarz z poczty. Obecność każdego gościa okazuje się przygotowana z wyprzedzeniem: jak głośno i serdecznie Colchicowie z Ameryki witają Woyków z Żukowa. Ile razy Stommowie z Gelsenkirchen trącają się ze Stefanem Brońskim i jego stojącą z boku stale markotną żoną. Co menedżer hotelowy Kasy Kurbiella tłumaczy z angielskiego Vikingów na

polski, żeby kolejarz Antek Kuczorra miał pojęcie o australijskim kolejnictwie. Jaki dumny jest fabrykant zabawek z Hongkongu ze swej dalekowschodniej żony i ofiarowanego porcelanowego konia, których przeczuła kamera Video aż po powiewający ogon i fryzurę na pazia. Ach, jaka krucha jest lady Bruns w filmie i w rzeczywistości!

Nawet dzieci kaszubskie już wówczas, gdy produkowano tę kasotę, zdmuchnęły urodzinowe świece i bawiły się smurfami z bogatego Zachodu, zanim dane im było naprawdę zdmuchnąć świece i bawić się smurfami. Synowie Stefana Brońskiego, co film z góry uwzględnił, są od lat zaręczeni, jeden z krzepką dziewczyną, której trwała ondulacja wije się nadmorsko blond, drugi ze zgrabną laleczką, której ciemne włosy kontrastują z otoczeniem. – Nie ma dość mieszkań! – potwierdza filmowy komentarz zza kadru, podczas gdy całemu zdarzeniu towarzyszą raz przytłumione, to znów porywające do tańca dźwięki polki.

Jedynie muzyka jest nowa; wszystko inne było przedtem. Jak przed domem, tak w paradnej izbie: napoje i przekąski, jaki smak przeważa, połknęło się już, przeżuło, strawiło kwaśne i słodkie. Próbowano zimnych nóżek i placka z kruszonką, ogórków i budyniu. Kilku gości ujrzało siebie wywodzących śpiewy na długo przedtem, nim w rzeczywistości zaczęli śpiewać, żeby zapanowała wesołość. „Lasu strzecha człeka uciecha” śpiewali po niemiecku starsi Kaszubi dla filmu i na cześć Oskara, aby w późniejszym życiu ponownie zaintonować pieśń o lasu strzesze. Nawet kłótnia stoczniowców z przedstawicielami władz państwowych o legalność związku „Solidarność” została z obfitością gestów antycypowana i leci teraz jeszcze raz z oryginalnym dźwiękiem: z jednej strony Kasy Kurbiella z Mombasy, z drugiej pan Stomma z Gelsenkirchen i Stefan Broński, którzy po niemiecku i po polsku wołają: „Musi być porządek!”, wtrącają się do kłótni, aż prałat uśmierza polskie sprzeczności; stoczniowcy śmieją się ochryple, gdy wielebny błogosławiąc obie strony czyni z ludu pracującego i z przedstawicieli władz ustępliwe dzieci Boga.

W tym miejscu Stefan Broński woła przekrzykując dźwięk filmowy: – Jakeś ty to zrobił, Oskarze, powiedz tylko!

A nasz pan Matzerath odpowiada lekkim tonem: – Nieprawdaż, wasza wielebność, dawniej nazywało się to boską Opatrznością, dzisiaj są to maleńkie mikroprocesory, które przechowują wszystko, co było, i wypływają, co będzie. Reszta to medialne rzemiosło. Dziecinna zabawa!

I kiedy objaśniając dalej mówi, że wszystko, co wyobrażalne, można też wyprodukować, w kadrze ukazuje się Oskar we własnej osobie. W filmie jak i w paradnej izbie babci, w której idzie proroczy film, witany jest głośnymi okrzykami. Po raz drugi goście widzą ze zdumieniem, co też pan Matzerath przywiózł z Zachodu. Widzą, jak Anna Kolajczkowa w przystrojonym fotelu cieszy się z sękacza i dukatów, a jeszcze bardziej z garbatego człowieczka. – Oskarek! – woła i cieszy się ponownie.

Wyświetlany film nie przeszkadza nam usłyszeć, jak w rzeczywistości mówi: – Takem se, Oskarku, zawżdy urodziny wyobrażała – podczas gdy w filmie na widok dukatów wypowiada słowa, które wypowiedziała ważąc w dłoni guldena z czasów Zygmunta Augusta: – I to wszystko ma beć ze złota?

Jakże się radują kaszubskie dzieci, gdy na ekranie pojawia się woreczek z podarowanymi smerfami. A widząc siebie bawiące się w ten sam sposób, jak dopiero co jeszcze, nim zegar z kukułką oznajmił wpół do dwunastej, bawiły się smerfami, dzieci są przekonane, że film wiernie odtwarza to, co one mu zagrały.

A jak umieją się cieszyć! Teraz na zbliżeniu ukazuje się ich nowa zabawka: smerf z lizakiem do regulowania ruchu. Kilka smerfów z kielniami. Ten z kosą stoi teraz w siódemkę z innymi żniwiarzami. Ze wszystkich muzykujących smerfów szczególnie wyróżnia się tego z biało-czerwonym bębenkiem. – Oskar! Oskar! – wołają kaszubskie dzieci przed ekranem i wiedzą swoje. Kto przyjrzy się dokładnie, ten zauważy, że wszystkie smerfy, także ten z bębenkiem, mają tylko cztery palce: kciuk i do tego trzy. Chciałoby się wiedzieć dlaczego. Ale nawet wuj Bruns z Hongkongu, który



produkuje miliony rozkosznych smerfów i opatruje stemplem swego pracowitego miasta, zarówno w filmie, jak i w rzeczywistości nie zna odpowiedzi.

Nie ma potrzeby mówić, że owe zdjęcia migawkowe, nastrzelane przed niespełną godziną podarowaną przez pana Matzeratha polaroidową kamerą, już w czasie produkowania filmu znalazły swe motywy, w tym ową scenę, która ukazuje przedstawicieli państwa polskiego i polskiego Kościoła z obu stron fotela Anny Koljaickowej; i tę, która przedstawia delegację robotników ze stoczni Lenina zgrupowaną wokół Kazimierza Kurbielli, trzymającego wykuty napis „Solidarność” jak relikwię. – Ja to zawsze gadam – woła radośnie Anna Koljaickowa – co więcej nic nowego ni przyjdzie, bo co być miało, to ju belo.

Jakby na potwierdzenie zdania o ciągłym powrocie, nasz pan Matzerath w wyświetlanym filmie video oznajmia teraz zapowiedzianą niespodziankę: produkcję Post Futurum swej wyspecjalizowanej w przewidywaniu przyszłości firmy. I już goście urodzinowi widzą, jak szofer bez czapki i stocznowiec wnoszą do paradnej izby telewizor i stawiają na przygotowanym stoliku pod wizerunkiem anioła stróża; to właśnie robili nieco wcześniej, zanim wmontowana bateria zaczęła zasilać specjalny magnetowid i ruszyła kasetą z dźwiękami polki jako muzycznym podkładem.

Ale kiedy w filmie ponownie zaczyna się film, a przedtem kukułka ogłasza wpół do dwunastej, jak w rzeczywistości zaraz oznajmi dwunastą, milkną goście w paradnej izbie. Nie ma już aaa, westchnień i suchego śmiechu. Przestraszone i z przestachu zeszywniałe towarzystwo urodzinowe widzi na ekranie, jak wszyscy oglądają film video, a w nim towarzystwo urodzinowe, wesoło i w dobrej wierze poddające się magii filmu video, który prałat z Oliwy nie tak dawno z uśmiechem zaakceptował jako techniczną wersję boskiej Opatrzności, ale teraz stara się egzorcyzmować znakiem krzyża, ponieważ tok filmowej akcji konsekwentnie...

Tymczasem w prawdziwej paradnej izbie odzywa się, jak gdyby

przyłączając się do diabelskiego dzieła, ów przywieziony z Gelsenkirchen zegar z kukułką, który umieszczono obok obrazu Serca Jezusowego z papieskim podpisem: kuku kuku... dwunastokrotnie. Nawet nasz pan Matzerath w szytym na miarę garniturze czuje lęk. Jak w filmie tak i w rzeczywistości gmera przy szpilce do krawata. A będąc naprawdę pełen wątpliwości widzi siebie w filmie, jakby po raz ostatni widząc siebie, również nękanego wątpliwościami...

Także kobiety na pokładzie przybrzeżnego motorowca „Nowa Ilsebill” czują ciężar ołowianonogich myśli. Za długo leżały w hamakach. Zasnęły. Zmitrężyły czas; bo kiedy wychodzą w niedbałym stroju na pokład, jest już późny niedzielny ranek. Słońce stoi wysoko, nad powierzchnią Bałtyku nie zalega już śpiew. Opuszczone przez wszystkie meduzy, mogą pocieszyć się tym, że w oddali, w kierunku Peenemünde, kotwiczony również łódź motorowa straży granicznej NRD, jakby chciała dać pięciu kobietom do zrozumienia: Głowa do góry, dziewczyny! Nie jesteście same.

Jedynie oceanografka jest bardziej rozbudzona niż inne, których chwiejna opieszałość wyraża się ziewaniem i przeciąganiem. Obchodzi statek z lewej i z prawej burty, pochyla się raz po raz, spoglądając z dziobu, potem z rufy na gładkie, niemal nieporuszone morze, osłania oczy obiema rękami i woła: – Zbudźcie się wreszcie, moje panie! Jesteśmy na miejscu! Ja oszaleję! Pod nami Winę ta!

Teraz wszystkie wychylają się za burzę i tworzą z dłoni przysłaniający światło tunel. Mechaniczka nie chce wierzyć temu, co widzi. – Przecież to – woła – całkiem nieprawdopodobne, ale wspaniałe! Raz to już widziałam, nie wiem gdzie.

– Rany! – krzyczy Stara. – Nie tylko siedem kościołów, widzę też knajpy, tyle samo albo i więcej.

Sterniczka widzi jakby jeszcze coś, nie tylko zatopione miasto. – To jest to. Zejdziemy tam.

Oceanografka też sądzi, że dotarły, gdzie chciały: – Zawsze wiedziałam

albo przeczuwałam, że my kiedyś, bo nigdzie indziej nie ma...

Ale kobiece królestwo jeszcze bardziej niż innym kobietom wydaje się uchwytnie i dostępne sterniczce, jak gdyby można było zaraz wprowadzić się do wszystkich pomieszczeń. Gotowe jest ofiarować gościnę ich tak długo pielęgnowanemu, donoszonemu jak płód, nie, przenoszonemu pragnieniu; bo faktycznie rozpościera się pod nimi, bogate w wieże, szczyty kamienic i place, Wieleckie Jumne, miasto Wineta, ich ostateczne schronienie, nie wyjawiany, często kontrowersyjny, a przecież z góry wytyczony cel ich rejsu.

Dlaczego Damroka milczy i tylko patrzy i patrzy?

Jaka swojska jest Wineta z tą plątaniną uliczek. Miasto leży nad rzeką, która tworzy wyspę, a wznoszące się na niej wysokie i szerokie spichrze z pruskiego muru obiecują bogactwo. Mosty na rzece prowadzą do bram. Trochę wyniośle, wciąż jeszcze, porównują się ze sobą zdobne fasady zwieńczonych szczytami kamienic z przeciwległych stron ulic. Wielorako stopniowane gzymsy. Przedproża u flankowanych filarami drzwi. Tu szczyt kamienicy zdobi łabędź, tam złota kotwica, tu żółw, tam głowa dzika. Mechaniczka odkrywa jako ozdobę szczytu Fortunę na toczącej się kuli. A na wielu szczytach, nie, wszędzie, wtopiony w łuki bram, nad schodami zewnętrznymi ratusza, Stara widzi, wołając: – tu i jeszcze tu – herb miasta, o którym milcząca teraz Damroka mówiła, że przedstawia heraldycznego indyka nad heraldycznym szczurem.

– Tam – woła sterniczka – tuż koło ratusza, w którym obraduje rada kobiet, jest na pewno dom niewieści. Takie wysokie i wąsko zakończone okna może mieć tylko dom niewieści.

A budowla naprzeciwno, której szczyt jest podwyższony przez kobiecą postać trzymającą wagę, musi być zdaniem oceanografki miejscem, w którym ławniczki sprawują sąd. Wszędzie odkrywają budynki i place nadające się do rozstrzygnięcia kwestii kobiecej, obrony praw kobiet, ustanowienia państwa kobiet. Jakie czyściutkie jest miasto. Nigdzie nie czepiają się wodorosty, nie ma dachu, łuku bramy zachwaszczonego przez

algi. Chciałoby się zejść na dół, połączyć ramię w ramię, pospacerować.

– Dalej! – woła mechaniczka. – Zajmujemy Winę tę!

– Jasne – odpowiada oceanografka. – Śmiało na dół.

Stara krzyczy: – Za mną! – i chce skoczyć pierwsza, ale sterniczka uważa, że to jej należy się pierwszeństwo przed wszystkimi: – Żeby sprawa była jasna. Ja walczyłam o prawa kobiet już wtedy, kiedy wy jeszcze ganiałyście za chłopami. Byłyście zależne, dobrowolnie uległe. Prawda, moja droga, że ja powinnam pierwsza...

W tym momencie Damroka, która dotychczas tylko patrzyła w głębinę, od czego ma mokre kędziory, mówi do innych kobiet i chyba też do siebie: – Powinniśmy się wystroić, zanim wkroczymy do Winety. Tak, w tych ciuchach, nie możemy się pokazać na dole.

Znów moja powolna Damroka pozostała kapitaną. Sterniczka powiada prędko: – Właśnie. Z ust mi to wyjęłaś. Każda powinna się wyszykować i zrobić na bóstwo, jakbyśmy szły na przyjęcie.

Piątka kobiet schodzi więc jeszcze raz do forkasztelu. Chociaż zmitrężyły o wiele za dużo czasu, z przyjemnością patrzą, jak grzebią w workach żeglarskich i walizkach. Precz z przeпоconymi nocnymi koszulami!

Tyle wolno mi powiedzieć: żadna nie jest pulchna czy wręcz tęga, są raczej chude bądź suche. I wszystkie, póki były mi bliskie bądź obce, lubiły z nabożeństwem się stroić, z wyjątkiem mechaniczki, która najchętniej latała w luźnych, workowatych rzeczach.

Jak gdyby przeczuwały ten występ: zadziwiające, ile oferuje do wyboru ich bagaż na morski rejs. Rozkładają, wybierają, odrzucają: długie do kostek suknie z szerokimi, plisowanymi rękawami; szaty, których obfitość materiału pozwala na przerzucanie przez ramię i drapowanie; sukienki o uroczyście surowym kroju: wesołe sukieneczyny obnoszące się z kwiatami i owocami; rzeczy wąskie, o których mówi się, że leżą jak ulał; spódnicospodnie, które budzą orientalne skojarzenia; woale, szarfy, chusty i szale wszelkiej długości. A ile biżuterii potrzeba było na ten rejs: ciężkie srebrne wisiorki, nie

oszlifowane bursztyny nanizane w długie łańcuchy, naszyjniki z kości słoniowej, sznury koralu; ponadto broszki ze strasu, zapinki z macicy perłowej, bransoletki z hebanu, onyksu, rogu. I pantofle, pantofelki, botki. Nawet kapelusze trafiają się w walizkach i workach żeglarskich. Bielizna: prosta albo z koronkowymi wstawkami.

Jak to dobrze, że na ścianie z desek, oddzielającej for kasztel od dziobu, wisi co prawda pęknięte, ale jeszcze użyteczne lustro, które pozwala na porównania. Bardzo powoli kobiety znajdują coś, co uznają za stosowne lub twarzowe.

Chciałbym, żeby wymieniały się sukniami i sukienkami; ale one nie chcą iść jedna drugiej na rękę, nie oddadzą żadnego fatałasza. Chociaż w orientalnych spódnicospodniach wolałbym zobaczyć Damrokę niż mechaniczkę, a sterniczka podobałaby mi się mniej w surowej sukni, bardziej w wesołej sukieneczynie, one nie wkładają tego, co mnie się podoba. Mogę co najwyżej odradzić ten zbyt szeroki pasek, ten nadliczbowy naszyjnik i napomnieć do pośpiechu, bo czas, za dużo czasu ucieka.

Mój – przyznaję – drobnomieszczański niepokój, że mogłyby się wyelegantować ponad miarę, wyjść na pokład śmiesznie wyfiokowane, overdressed, jak to się mówi. Już boję się o ich występ; ale kiedy w końcu wspinają się po schodkach z forkasztelu, każda z osobna i wszystkie razem są piękne: oceanografka w wąskiej, na modłę chińską rozciętej z boku jedwabnej sukni, osłonięta jakby hiszpańskim woalem, kroczy na czele. Na końcu, jakby ta kolejność była omówiona ze mną, pojawia się Damroka w szafranowożółtej szacie z szerokimi rękawami, na którą opadają podwójny naszyjnik z nie oszlifowanych bursztynów i jej wijące się w nieskończoność włosy. Mechaniczka w bufiastych spódnicospodniach owinęła głowę czerwonym jak wiśnia turbanem. Nigdy bym nie pomyślał, że sterniczce w czarnej sukience może być do twarzy w białym kapeluszu z szerokim rondem, włożonym na ukos i nasuniętym na oczy. To zadziwiające, jak dziewczęco wbiega po schodkach Stara w powiewnej sukieneczce do kolan

w drobne kwiatki, w pantoflach z klamerką, również w kwiatki.

I co jeszcze rzuca mi się w oczy: ciężki srebrny wisiołek na czarnej sukience; połyskująca zielono zapinka z masy perłowej, która przytrzymuje turban; lakierowany pasek do rozciętej spódnicy; broszka ze strasu do drobnych kwiatków; kiedy Damroka wspinając się po schodkach unosi szafranową żółtość, widzę, że włożyła czarne botki z wysoką cholewką.

Kolczyki, klipsy, sznureczek koralu, ciężka bransoletka. Mają ze sobą torebki albo szydełkowe woreczki o wąskich oczkach z tym, co najpotrzebniejsze. Wszystkie zrobiły jasny makijaż lub położyły róż, pociągnęły tuszem rzęsy albo – jak to się podobało sterniczce – nadały brwiom bolesny wyraz.

Kobiety zabawiają jeszcze trochę. Chociaż czas nagli, przechadzają się tam i z powrotem po pokładzie, jak gdyby nie chciały się podobać nikomu prócz siebie. Wydaje mi się, jakbym je już gdzieś indziej – może w filmie? – widział tak niepowtarzalnie niezapomniane. Święty Fellini! To zgięcie ręki, ta nasada szyi, te znużone, tragiczne, a przecież prowokujące spojrzenia. Gesty, zamaszyste lub powściągliwe. Od sterówki do dziobu spacerują w te i wewte. Stara podryguje. Oceanografka gubi kolczyk, który znajduje Damroka. Sterniczka w kapeluszu stoi jak pomnik, podczas gdy mechaniczka w pludrach wyczynia wokół pomnika groteskowe skoki. Na co żywiłem nadzieję, ale czego nigdy nie uważałem za możliwe: pozdrawiają się nawzajem, uśmiechają się do siebie, dostrzegają się, są dla siebie siostrzanie dobre. Damroka mówi: – Już pora.

Ale kiedy kobiety jeszcze raz z prawej i z lewej burty, osłaniając się dłońmi od południowego słońca, spoglądają w głąb morza, Wineta wprawdzie nadal tam jest, ale ulice zatopionego miasta wydają się im ożywione. Widzą przemykające cienie. Tylko odbłaski? Nie, to nie mamidła czy odbicia. Ani cierniki, ani stada śledzi. To szczury chodzą po ulicach, zamieszkują Winetę, założyły swoje państwo. Zaaferowane zdążają przez wszystkie bramy na rynek przed ratuszem. Wychodzą z domu niewieściego,

wchodzą do sądu ławniczek. Szczury, które napływają do licznych kościołów Winety albo po nabożeństwie zatrzymują się u wrót. Wokół studni Neptuna, na mostach prowadzących na Wyspę Spichlerzy, na przedprożach, przed kamienicami cechowymi, po schodach i ze schodów, na wieżyczkach i wieżach: wszędzie szczury.

Łączą się w pary z ozdobami szczytów, z gęsią, żółwiami, indykami. Na sygnaturkach głównego kościoła, aż po czubek wieży ratusza, hen wysoko, tuż pod gładką powłoką Morza Bałtyckiego są namacalnie, uchwytnie blisko, z nastroszonymi wąsami, jakby szczury chciały dać do zrozumienia kobietom na pokładzie statku: My już tu jesteśmy. Wineta jest zajęta, obsadzona, zamieszкана. Nie będzie tu miejsca na ludzkie władanie, na państwo kobiet; chyba że chcecie szukać u nas schronienia i odtąd przebywać pośród szczurów. W takim razie przybywajcie, przybywajcie...

Ale skoro tylko kobiety pojęły, że nie ma dla nich miejsca na tym świecie, chyba że nie dopuszczą wstępu, nie będą wołać, jak już teraz się drą: „Brrr!” i „Jakie wstrętne!”, lecz niemo i odświeżnie, jak są ubrane, zejda do szczurów, aby odtąd przebywać pośród szczurów, skoro tylko, powiadam, kobiety uprzytomniły sobie, że nigdzie nie ma dla nich schronienia, ale nie skaczą – Skaczące! – nie skaczą, raptem rozdzierają niebo bliskie i dalekie błyskawice. Nigdy nie widziane światło. Są oślepione. Owiewa je trawiące gorąco. Zanikają. Gdziekolwiek wskażę, szukam, nie ma już nic.

Na południowy wschód i na zachód od kotwicowiska i za północnym horyzontem wyrastają często opisywane grzyby. Po trzech pobliskich uderzeniach – wymierzonych w Stralsund, Peenemünde, nieco dalszy Szczecin – i oślepiających błyskawicach następują podmuchy i fale gorąca. Wraz z kobietami zaniknęły nadbudówki statku, sterówka, maszt, wywietrzniki. Pozostaje tylko promieniujący kadłub. Gdyby statek, kiedy jeszcze nazywał się „Dora” i woził towary po Łabie, nie został zbudowany z żelaza, musiałby także zaniknąć.

„Nowa Ilsebill” – razem z farbą utraciła swą nazwę – dryfuje teraz,

zerwana z obu kotwic, jako wrak w kierunku wschodnim.

Ultemosz!

Wiele rachunków nie wyrównanych  
i śledztw nie zakończonych.  
Małżeństwa miały być zawarte,  
rozwoły orzeczone, także podział majątku.  
Pozbawieni reszty urlopu.  
Zanim po pieczeni, bo to się zdarzyło w niedzielę,  
trafił na stół budyń koloru żółtka.

W środku zdania, przysięgi, przekleństwa i modlitwy,  
zaraz po dwukropku,  
dowcipy pozbawione puenty.  
Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć...

Tyle zepsutej przyjemności.  
W iluż miejscach żądza na krótko przed owym Terazteraz  
przeszła na zawsze.  
Grand bez czterech nie dograny  
albo niedzielna poobiednia drzemka,  
która niejako nie znalazła końca.  
Co jeszcze nas ominęło: kilkakroć przesuwany  
zjazd koleżeński, następne posiedzenie, urodziny,  
zeznanie podatkowe, pierwsze ząbki,  
pogoda na jutro,  
rewizyty i mecze rewanżowe,  
spadki, oczekiwany z niepokojem wynik badań z laboratorium,  
terminy płatności, poczta.  
Ach, i dawno obiecanie pójście na zakupy.

Chciałoby się niedługo zmienić mieszkanie.  
Chciałoby się, jak to dawniej częściej bywało,  
pójść we dwoje do teatru, potem na dobrą kolację do Włocha.  
W pewnych warunkach chciałoby się  
jeszcze raz od początku  
i pozwolić sobie na to i tamto.  
Wakacje w siodle obiecaliśmy dzieciom,  
a sobie więcej wzajemnej wyrozumiałości.  
Oszczędzało się na drugi wóz,  
słownik Grimmów i kompletne wyposażenie kempingowe.  
Nasz plan to było: nareszcie raz wypocząć



i skończyć z tym ciągłym pięciem się wyżej i wyżej.  
Chciałoby się jeszcze...

Naturalnie skończyły się liczne małe wojny  
i głód, z kapitalizmem socjalizm,  
z dobrem zło i z miłością nienawiść.  
Całkiem nowe idee nie domyślane do końca.  
Po prostu przerwana reforma szkoły.  
Bez odpowiedzi pytanie o Boga i tak dalej.  
Być może niektórzy ludzie byli z siebie zadowoleni,  
jednakże pozostały nie spełnione pragnienia, duże i małe.  
A i cena złota spadła, aby nigdy więcej...  
Ponieważ.  
W niedzielę.  
Ultemosz.

Tylko w niewiele minut później, a w pięć minut po tym, jak zegar z kukułką ze Schwarzwaldu koło obrazu Serca Jezusowego zakukał dwanaście razy, mniej więcej równocześnie – bo programy finałowe idą łeb w łeb – na południu i północy, na zachodzie i wschodzie, więc także na Gdynię i Gdańsk, spadają bomby, tam normalna bomba atomowa, tu cztery czy pięć oszczędzających substancję budowlaną bomb neutronowych, jak przewidziano w tym obejmującym cały świat układzie kulturalnym, który rząd polski zdążył jeszcze w porę ratyfikować.

Co prawda oddalona od obu miejskich ośrodków rażenia, ale nie oddalona dostatecznie, leży Matarnia, wioska, na której skraju Anna Koljaiczkowa w gronie swych gości obchodzi sto siódme urodziny, siedzi w fotelu i przesuwając ziarenka różańca.

Do tej pory ona i jej goście oglądali film video wyprodukowany przez Post Futurum jej wnuka. Abstrahując od nielicznych nieścisłości – przedwcześnie odjazd urzędników ministerialnych z Warszawy, cztery piwonie za dużo zdołały fotele – udana projekcja, która poruszyła wszystkich gości, zwłaszcza że prałat z Oliwy dopatrywał się w końcu potwierdzenia boskiej Opatrzności i Bożej wszechmocy przez nowe medium.

Ale kiedy jeszcze świętują i widzą siebie na ekranie jako świętujących

gości, jak gdzie indziej na świecie tak i na Kaszubach błyskawice rozdzierają niebo, po czym goście wypadają na dwór, gdzie wszyscy, jedni szybko i ulgowo, inni nędznie giną, zdychają, kurczą się odsączeni; bo rejon Matami, Firogi, Żukowa, Kartuz, w którym od lat – tam gdzie było kiedyś Bysewo – znajdują się wybetonowane pasy startowe, został dotknięty przez dwa systemy zniszczenia, podmuch, falę gorąca i opad radioaktywny jak też przyspieszone promienie neutronowe i gamma.

Od domku zostaje oderwana obórka z kuchnią i sypialnią. W pozostałych oknach szyby idą w drobny mak. Zerwany jest dach. Stary kasztan, wszystkie jabłunki stają w płomieniach, płoną też, jakby po to jedynie rosły, lasy na północ od Matami, które należą do wielkiego boru dochodzącego przez wzgórze aż do morza.

Kilka zaparkowanych przed furtką samochodów bucha ogniem od gorąca, zostaje zgniecionych podmuchem, a inne, w tym ciężka limuzyna prałata i mercedes naszego pana Matzeratha, palą się spokojnie.

Początkowo wygląda na to, że jedynie Anna Koljaiczkowa w do niedawna jeszcze przystrojonym kwiatami fotelu przeżyła koniec, oślepla wprawdzie, ale oddycha; pod gruzem jednak leży i rusza się jej wnuk Oskar. Kiedy wszyscy goście wybiegli na dwór i nawet szofer Bruno uległ owczemu pędowi, on został. Osłonięci czterema ścianami paradnej izby i oszczędzeni z mojej woli, którą przeprowadzam wbrew szczurzycy i jej dyktatowi, oboje pozostają przy życiu.

Ożywiony pozostaje też ekran telewizora. Czego Anna Koljaiczkowa już nie widzi, nadal są na nim zebrani goście urodzinowi, bo film video naszego pana Matzeratha, który wiedział z góry o wszystkim, tylko nie o tym końcu, nie przestaje dostarczać rozrywki. Jeszcze raz lady Bruns między synami Stefana Brońskiego, jeszcze raz namaszczony prałat... Wreszcie kończy się kasetą z dźwiękami polki i po zbliżeniu wciąż jeszcze rzeńskiej solenizantki ukazuje w ostatnim ujęciu nieruchomy napis: „Koniec sto siódmych urodzin czcigodnej Anny Koljaiczkowej z domu Brońskiej”. Jeszcze tylko ekran

migocze. Kiedy wyczerpią się baterie, i on będzie martwy.

Jako że babci Oskara siedzącej w fotelu brakuje gości i krewniaków, woła ona kilkakrotnie: – Gdzie wyście podzieli się wszyscy? – i nie może pojąć.

Na stole postawionym koło niej leży porcelanowy koń w kawałkach. Rozgniecione resztki sękacza. Belka wiązania dachowego zwała się na elektryczny grill. Zegar z kukułką na podłodze, głowa z brązu zasypana, rozbity nagi heban, ale pozostaje nietknięta „Solidarność”, napis kuty w żelazie, pozostaje otwieracz do listów z bursztynową rączką. I wszędzie, na stole i rozrzucone wokół fotela, leżą złote dukaty i sympatyczne smerfy, wśród nich ten z bębenkiem. – Oskarku! – woła Anna Koljaiczkowa. – Ja nic ni widzą. Może byś mnie rzekł, gdzieś ty jes?

On też pewnie oślepl. Może się kierować jedynie zapachami. Został pozbawiony głosu, ale czołga się. Wyczołguje się spod kuchennego gruzu, na czworakach podąża mozolnie ku fotelowi i wołającej: – Oskarku! – babce przez paradną izbę. Dziwne, że pozostały mu okulary w złotej oprawie. Brak szpilki do krawata. Mam wrażenie, że podczas gdy na całym świecie, w tym i na Kaszubach, kończyło się wszystko, nasz Oskar zmałał, że kurczy się w oczach. Teraz forsuje więźbę dachową, teraz jest między sympatycznymi smerfami, teraz u stóp babki. Nasz zmałały pan Matzerath zdążył do schronienia pod spódnicami tak konsekwentnie, jakby szukał tego miejsca przez całe życie.

Zniknął, a ja się go pozbyłem. Nigdy więcej nie powinien. Żadnych już protestów z jego strony. Pod spódnicami będzie przez krótki czas jeszcze bardziej się kurczył i w chwili śmierci dojdzie, jak piszą, do stanu całkowitego odsączenia. Czy Anna Koljaiczkowa, która nie woła już: – Oskarku! – ale odmawia różaniec, zdaje sobie sprawę z obecności Oskara pod spódnicami?

Znamy już ten koniec.

Widzieliśmy na ekranie, jak wyparowujemy,  
kurcząc się zdolni do ostatniej ekstazy.

Uprowadzonych o burzach pyłowych i ustawicznych mrozach

nie może to nas zaskoczyć. Dobrze poinformowani przestaniemy być dobrze poinformowani.

Uśmiechamy się słysząc o grupach w Kanadzie, Nowej Zelandii i środkowej Szwajcarii, które trenują przeżycie.

Twardość wobec siebie i innych.  
Potem myśl o kontynuacji.  
Wańki-wstańki naturalnie obojga płci.

Zgodnie z umową ma to się zacząć w Europie, całkiem rozsądnie; tu przecież zaczynała się większość rzeczy i rozprzestrzeniała się potem na cały świat.

Zatem wszelki postęp wywodzi się od nas.  
Nieco zmęczeni dźwiganiem historycznego ciężaru wyznaczamy datę końca wszelkiej historii.

Mówił to dobitnie przed wyjazdem do Polski nasz pan Matzerath; a może to szczurzyca, której wygłaszane z kazalnicy kazanie odnosiło się do zgromadzonych szczurzych stad?

To szczurzyca mówiła: Odnajdźcie drogę powrotu do jednej wiary; albo to on komentował oświatowy film video i podając czas – za pięć dwunasta – apelował do rozsądku; natomiast szczurzyca mówiła spoglądając wstecz. Świat wypadał z wiązań, ale wielkie szychy rodzaju ludzkiego odraczały wszystko od jednego roboczego obiadu do następnego; w związku z czym nasz pan Matzerath w komentarzu do filmu przestrzegał: Świat zaczyna wypadać z wiązań, ale słyszalne trzeszczenie tłumaczy się wszędzie jako zmęczenie materiału, z którym trzeba żyć.

To, że ludzie widzieli swój nadchodzący koniec, ale mówili: Tego się chyba nie da uniknąć, szczurzyca z ubolewaniem przyjmowała do wiadomości; nadal jednak złościła go, jak gdyby on miał w zapasie nadzieję: Nie widzicie, głupcy, że w waszym ręku leży, teraz, na skraju przepaści...

Ach, woła szczurzyca, jakie byłyśmy im oddane! Czy nie dałyśmy dość ostrzegawczych znaków?

Czyście nie widzieli, zaklinał Oskar jeszcze raz rodzaj ludzki, biegnących szczurów, biegnących w biały dzień, ostrzegających was?

Również inna zwierzyna, wspominała szczurzyca z kazalnicy kościoła Marii Panny, dawała poznać po sobie strach. Ale człowiek nie chciał się przestraszyć.

Według ostatnich doniesień, mówił Oskar, nie przemawia elokwentna ryba, tylko chełbie całymi rojami zaczynają śpiewać ponad wodą.

Ale oni nie widzieli i nie słyszeli, skarżyła się modlącym szczurom szczurzyca; widzicie i słyszycie, ale mimo to nie chcecie się opamiętać, wołał oskarży cielsko Oskar.

Gdyby kury ostrzegawczo znosiły kanciaste jajka, człowiek nazwałby kanciaste jajko postępem, szydziła ona; a on grzmiał, jak gdyby to wieczność podsuwała mu słowa: Czy rzeki muszą popłynąć pod górę, a góry stanąć na głowie, żebyście zrozumieli?

Szczurzyca nieustannie piętnowała z kazalnicy Marii Panny człowiecze szaleństwo. Meszuggelesz balesseks! wołała. A nasz pan Matzerath, przez cały uświadamiający film video, groził rodzajowi ludzkiemu unicestwieniem, w związku z czym zamierzał po powrocie z Polski oddać tę kasetę do produkcji. Szczurzyca natomiast kontynuowała kazanie upominając zgromadzone szczurze stada, żeby nie dały się jak były człowiek poróżnić przez religijne spory, lecz na powrót zjednoczyły się w wierze, aby modląc się wspólnie uczcić ostatnich przedstawicieli człowieczości.

Miała na myśli Annę Koljaiczkową w fotelu i mnie w kapsule kosmicznej, na orbicie; bo wciąż jeszcze z kazalnicy, ale już nie kaznodziejskim tonem, w dobrym humorze, opowiedziała mi – przy czym Oskarowi nie udało się już dojść do głosu – nowiny z postczłowieczej historii.

Mówiła: Gromkie słowa często jeszcze sprawiają cuda. Ciesz się, bratku, my już się nie kłócimy! Waśnie religijne przycichły. Idzie się na ustępstwa, zapewnia, że wcale nie dążyło się do rozłamu. Jest się gotowym do rozmów. Wysuwa się propozycje, czasem warte rozważenia. Znaczy to, że my,

katolicy, znów postawiliśmy na swoim. Pomocna okazała się owa mniejszość, która – pamiętasz? – odłączyła się od prawosławnych i uznała się za prachrześcijańsko-komunistyczną, po czym inne grupy prześladowały odłączoną grupkę. Prawdopodobnie to protestanci gorliwcy, jeśli nie sami prawosławni posunęli się do ostateczności. Mówiono o torturach. Odstępców poddano męczarniom na wręcz ludzką miarę. Potem dopiero doszło do odstraszających egzekucji publicznych. Że jakoby dokonywaliśmy ich z całą surowością my, katolicy, to uporczywa plotka, daleka od wszelkiej wyższej prawdy; chociaż z naszego punktu widzenia zjawisko to ze swoją obrazowością przyszło jak na zawołanie.

Tak to usłyszałem o ukrzyżowaniach na Biskupiej Górze.

Powiedziała: Przecież wiesz, z tego wzniesienia można objąć wzrokiem całe miasto.

Przypomniałem sobie średniowieczne obrazy tablicowe ze szkoły holenderskiej, na których ukrzyżowanie Chrystusa i łotrów tak dalece odbywało się na Biskupiej Górze, że w tle widać było wieże miasta Gdańsk. A w głębi, ożywione statkami, Morze Bałtyckie.

Na Biskupiej Górze, powiedziała szcurzyca, ukrzyżowali sto trzydzieści prachrześcijańskich szcurów.

Nie wierzę w to, nie wierzę! zawołałem.

Ustawili krzyże w trzy rzędy.

Ale jak i czym krzyżowano?

No, gwoździami, głuptasku!

Kłamstwo! szcurze cyganienie!

Żebyś uwierzył, szcurzyca pokazała mi, co na Biskupiej Górze doprowadziło do zjednoczenia, ona mówiła: pojednania, skłóconych szcurzych ludów. Z pomocą jednej z owych retrospekcji, które mogła przywoływać w każdej chwili, zobaczyłem sto i więcej starannie ogryzionych krzyży, na których wisieli prachrześcijanie. I jak nad głównym ołtarzem kościoła Marii Panny u stóp Ukrzyżowanego stali po obu stronach Maria i

Jan, tak przy każdym ze stu trzydziestu ukrzyżowanych szczurów na Biskupiej Górze postawiono dwa lamentujące w wyprostowanej pozycji szczury.

To drewno naniesione z czasów powodzi, wyjaśniła szczurzyca. A gwoździ, od takich calowej grubości po stalowe kołki, pełno jest wszędzie.

Ustawione rzędami na wierzchołku krzyże tworzyły całość tak plastyczną, że tło, szerniało od sadzy wieże i wieżyczki oszczędzonego miasta, wylaniało się jak coś oczywistego, w głębi morze, ale aż po horyzont ani śladu statku.

Sugestywny przykład! Od tego czasu nie tylko jesteśmy zjednoczone, ale też zaczęłyśmy nareszcie usuwać z murów owe powłoki ochronne, którymi ludzie na krótko przed Wielkim Bum-Bum pokryli wszystkie przewidziane do oszczędzenia zabytki. Jak to mądrze, że na koniec pomyśleli jeszcze o swojej kulturze.

Jak gdyby chcąc odwrócić moją uwagę od ukrzyżowanych szczurów, przerzuciła się na sceny miejskie i komentowała nową aktywność: Nawiasem mówiąc, usuwanie powłok zdaje się sprawiać szczególną przyjemność rodom protestanckim. Są tak pracowite, jakby chciały odbyć pokutę. Może jednak to po prostu ich niemieckie pochodzenie sprzyja pilności. Popatrz tylko, jak systematycznie odsłaniają mur. Pracują na zmiany. Poza tym udało im się nająć do służby te wstrętne czarne jak sadza robaki, które – pamiętasz – nazwałyśmy niejadalnymi. W każdym razie wieża kościoła Marii Panny jest do połowy znów ceglasta, podobnie jak wspaniały ozdobny szczyt Świętej Trójcy. Popatrz tylko, jak dobrze zachowała się cegła pod powleczeniem.

I popatrzyłem. Niezliczone szczury zdzierały z murów powłokę, usuwały, wspierane przez sadzownice wielkości kciuka, sadzę, przyniesioną przez burze pyłowe. Widziałem protestanckie szczury odbywające pokutę nawet przy świeckich budowlach: oczyszczały wychodzącą na Motławę i Długie Pobrzeże Bramę Zieloną, fasadę Dworu Artusa i ratusz, docierając do samego szczytu jego smukłej wieży, zwieńczonej przez połączanego polskiego króla.

Znowu łśni! Czy to nie piękne? zawołała szczurzyca. Czy znów nie warto żyć? Zatem ofiara na Biskupiej Górze, mówimy sobie, nie była daremna. My, szczury, znów jesteśmy zjednoczone w wierze. Wspólnie oddajemy cześć ostatniemu oddychającemu człowiekowi w fotelu, który jak my szuka siły w modlitwie: prastara nieustannie odmawia różaniec. Słyszymy, jak szepce: bolesna, błogosławiona...

A ja! krzyknąłem. Kogo ja mam błagać? Jak mam wytrzymać w tej kapsule kosmicznej, skoro jeszcze tylko wrak dryfuje i nie ma już Damroki...

Któraś za nas cierpiała... Szczurzyca powtarzała niewzruszenie za Anną Koljaiczkową, aż modląc się zniknęła mi z oczu.



*ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY, w którym kobiety ozywają, kraj nie ma rządu, panuje dotkliwy głód, przenosi się dwie mumie z przy należnościami, po czym rozpoczyna się uprawa roli, szczur, ptak i słonecznik tworzą jeden obraz, ludzie istnieją jeszcze tylko na niby, roślinność wyrasta, puszcza pędy i krzewi się wszędzie, Oskar znów się wtrąca, a po pierwszej przesuwce świętuje się dożynki.*

Właściwie powinienem opowiadać o malarzu Malskacie, bez uprzedzania faktów podążając za jego pilnością – potem wymalował czwarte, potem piąte przesło – ale skoro tylko zaczynam się wdrapywać po rusztowaniu wewnętrznym lubeckiego kościoła Marii Panny pod sklepienie prezbiterium – wilgoć, zimno i przeciąg są tutaj na górze – terażniejszość ściąga mnie z rusztowaniowych desek: Kogo obchodzą fałszywe pięćdziesiątka kiedy zaraz zdechnie las, a z nim wymrą baśnie; czym nas nęcą powojenne lata w czasach przedwojennych, kiedy moje sny w dzień i w nocy krążą wokół roku Orwella. Poza tym Anna Koljaiczkowa chce umrzeć, ale nie może. Wrak „Nowej Ilsebill” dryfuje na otwarte morze. Wszystko to historie, które szukają swego końca, podczas gdy historia Malskata chce zaczynać się wciąż na nowo, jak gdyby mogło sprawić przyjemność odkopanie starego Adenauer a, Szpicbródki Ulbrichta i postawienie na podeście, tylko dlatego, że obaj twórcy państw do sakralnych mamideł malarza dołożyli swoje podwójne fałszerstwo, z którym – jak powiedział przed podróżą do Polski nasz pan Matzerath – całkiem dobrze, do teraz całkiem dobrze dało się żyć.

Ale co to znaczy: teraz? Szczurzy ca, która mi się śni, mówi: Teraz mamy nareszcie wszelkie kłótnie za sobą. Szczurze plemiona w obszernym kościele Marii Panny jednogłośnie wielbią ostatniego okrążającego Ziemię satelitę...

W którym ja siedzę przypasany. Ja w moim kosmicznym wehikule.

Mający przed sobą rozległą panoramę: ja. Znów dobra widoczność, odkąd ustąpił czarny jak sadza dym. Osobliwie zdeformowane kształty ma stara Ziemia, jak gdyby zbliżyła się do linii wybrzeży z czasów Vasco da Gamy, gdy jeszcze wszystkie mapy sporządzane były pi razy oko.

Szczurzyca potwierdza moje pytania: topnienie lodów i fale przyptywów poszarpały brzegi. Nie tylko Morze Arabskie i Morze Śródziemne powdzierały się na ląd, rozrósł się także mój Bałtyk. Znikły wyspy i wysepki. Każde ujście rzeki poszerzone. Widziany z góry Danzig bądź Gdańsk wydaje mi się miastem, które odgrodziło się wałem szlamu od zalanych Żuław. Morze Bałtyckie ma być teraz wolne od chełbi, mówi szczurzyca, która uzupełnia mnie, ilekroć ja w moim kosmicznym wehikule gadam w zbyt dużej skali.

Kiedy chcę dowiedzieć się od niej, jak owe przybyłe z Rosji szczury, którym nie pozwolono zamieszkać w miejskich rewirach, zdołały się urządzić na ongiś żyznych, ale dziś pozostających pod wodą nizinach delty Wisły, mówi: Pozostają resztki wałów, nasypy kolejowe, szlamowe nanosy. My wszędzie potrafimy się zaczepić. Poza tym wody opadają. Jest jak za czasów Noego, kiedy potop się rozpląwał.

Na przekór moim próbom udowodnienia człowieczej egzystencji cytatami z trzeciego programu albo aktualnymi szczegółami, kursem dolara, rekordami olimpijskimi, szczurzyca paple o postczłowieczych codziennościach. Opowiada o udanym potomstwie, którego potomstwo jest z kolei bez zastrzeżeń. Chwilami słyszę mamrotanie Anny Koljaickowej: Co by ju chwatko końc przyszedł.

O ile jeszcze niedawno moja kapsuła kosmiczna była nad innymi, tu rozciągniętymi, tam pomniejszonymi kontynentami, przy czym Zatoka Bengalska, tak niegdyś nadzwyczaj ludna Kalkuta pojawiły się w polu widzenia tylko jako czarna plama, o tyle po krótkim czasie snu widzę znów pod sobą Morze Bałtyckie, na którym wrak dryfuje bez celu, a przecież w kierunku wschodnim. Zaraz przywołuję sobie człowieczą terażniejszość: Jak

to dobrze, że w martwym lesie rośnie jednak cierniowy żywopłot i że numer ze Śpiącą Królową nadal wychodzi. Uciekam w lata pięćdziesiąte i patrzę na pędzel Malskata, który obecnie konturuje trzynastego z dwudziestu jeden świętych. Żeby speszyć postczłowieczą pewnością siebie szczurzyco, mówię: Niedługo kanclerz Adenauer przyjedzie na siedemsetlecie do Lubeki obejrzeć sobie cud. No, zdrowo się zdziwi!

Już nie gawędziarskim, tylko podrażnionym tonem szczurzyca, która mi się śni, powiedziała: Na pokładzie statku wyparowała piątka twoich bab... Kłamstwo! zawołałem. Ja to wiem lepiej. Nie tylko Anna Koljaiczkowa nie doczeka się końca, również na wraku statku nie będzie umierania. Ja tak chcę. Ostatecznie, szczurzy co, to ja ze strachu i bezsilności obsadziłem dawną skutę towarową kobiecą załogą. Wszystkie one były mi drogie. Byłem z nimi związany ciasnymi i luźniejszymi węzłami. Z biegiem lat jednak utraciłem je, po czym odszukałem, aby zebrać je na ciasnej przestrzeni. Powinny były współżyć ze sobą zgodnie, w idealnym wypadku stać się siostrami. Wymyśliłem sobie więc statek i kobiety obeznane z żeglowaniem. Nie przyszło to trudno, ponieważ wszystkie miały praktyczne uzdolnienia, umiały się obchodzić z kluczami maszynowymi, świecami zapłonowymi, a przecież upatrzyły sobie cel, którego długo szukały w chmurach, wreszcie znalazły pod wodą. Już go widziały, wystroiły się na powitanie; wtedy ty, szczurzyco, zawołałaś: szlus, wysiadka, koniec, po szczurzemu: ultemosz. Teraz strasznie okaleczone pełzną po pokładzie, wychylają się za burtę i chcą w przybrzeżnych wodach zobaczyć zatopione miasto. I jedna z pięciu kobiet, która nie ma już pięknych kędziorów, lecz jest łyśa jak inne, woła, jakby jej usta, zamienione w krwawą dziurę, mogły jeszcze wołać: Tam, tam leży nasza Wineta! Pod nami. Nigdy woda nie była tak przejrzysta. Algi i wodorosty nie mącą widoczności. Ulice i place są jeszcze opustoszałe, ale zaraz władczyni Winety wyjdą na miasto w błyszczących sukniach, żeby nas powitać i sobie pomachać. Wprowadzą nas do swojego państwa, które nie zna przemocy, nigdzie przymusu, tylko

łagodność i miłe zabawy. I wyleczą nas, żebyśmy znów miały gładką cerę i włosy w kędziorach. Patrzcie, siostry! Jest ruch na wszystkich ulicach. Wesoła biegająca. Przybyłyśmy na miejsce, wreszcie przybyłyśmy...

Sen na jawie sprawiał ból. Obrazy niecierpliwie wypierały się nawzajem. Chciałem śnić coś miłego, harmonijny korowód – wesołą biegającą – ale po miejskim bruku Winety przemykały jedynie szczury, ulicami, do wszystkich, ze wszystkich kościołów, tłumnie w przeciwnych kierunkach, przez mosty...

Jedna z kobiet woła krwawymi ustami: One są urzeczone! Ktoś rzucił na nie czary. Musimy zdjąć z nich zły urok.

Turbot to zrobił! wołają inne zakrwawione usta. Turbot musi przyjść, pomóc, uwolnić kobiety.

Turbocie! wołają, usłysz nasze wołanie. Aż do wyczerpania kobiety żądają od wiele mogącej płastugi, żeby dotrzymała przyrzeczenia, oczyściła Winetę ze szczurów i uczyniła ją na powrót miastem kobiet.

Ale turbot nie pomógł, nie dotrzymał, nie uwolnił. Nie tylko bez chełbi, całkiem bez życia, poza biegającym po ulicach tałatajstwem, „spoczywało morze pod pustym niebem, które od wschodu na zachód zasnuwało się skłębionym dymem.

Czy to prawda, zapytałem ledwie żywą Annę Koljaiczkową, że są jeszcze tylko szczury, wszędzie, nawet w Winecie, której bramy miały być otwarte dla kobiet, jak to obiecał turbot u kredowych skał Møn, a potem za każdym razem, ilekroć był wzywany.

I Anna Koljaiczkowa, która właściwie chciała milczeć i umrzeć, odpowiedziała: Ni ma turbota. I baśni też ni. I z ludźmi końc. I ze wszystkim, czego są nabrali i co nawyrabiali. I złości to zawdy beło. A tera ni ma nic, wszystko są przekreśliło, bo Pan Bóg pokarał. Ach, co by to już minęło!

Ale nawet gdybym napisał, że jest martwa, martwa, nie mogłaby mimo to umrzeć; jak ja nie mogłem przestać okrążyć Ziemi raz za razem.

Maryjo, Józefie święty! zawołała Anna Koljaiczkowa. No to i po wszystkim.

Odpowiedzcie! wołał człowiek w kosmicznym fotelu. Czyżby, do cholery, wszystko przepadło? Nie możecie przecież wszyscy być zasypani...

Nie ma już zakrwawionych ust. Kobiety wyzionęły ducha. Moja wola nie zdołała ich utrzymać. Nie przyszło mi do głowy już nic, co mogłoby odwlec ich koniec. Teraz dopiero – albo ponownie – wrak „Ilsebill” dryfował pod czarnym od dymu niebem na otwarte morze.

Jeszcze raz cicho Anna Koljaiczkowa: Ach, Bożyczku, ach, Bożyczku, co by to są chwátko skończyło!

I słyszałem swój własny lament: Co myśmy takiego zrobili? Co nas doprowadziło do tego końca? Nie ma już kobiet, nie ma turbota, nie ma baśni, bo także las, który do ostatka krzyczał o ratunek, poszedł z dymem...

Jak gdyby chcąc mnie pocieszyć, szurzy ca powiedziała: Ale przecież my jesteśmy. I dym dawno już opadł. Wichry sprawiedliwie rozniosły wszystkie popioły, aby obdzielić promieniującym błogosławieństwem wszelkie życie. Długi czas Ziemia musiała się obracać nie będąc ogrzewana światłem. Nawet my po zimnie i ciemnościach byłyśmy nieliczne z początku. Ale wkrótce zaczęło przybywać nie tylko nas, wszędzie coś się budziło: w oczkach wodnych i rzekach, na płyciźnie morza. Stare gatunki w nowej postaci i gatunki nigdy nie widziane, które zaskakiwały nawet nas. Bądź dobrej myśli, bracie! Życie znów będzie kipiało. Odnowi się stara ziemia. I nowe baśnie, w których cudownie przeżyją stare, będzie się opowiadało coraz to nowym pokoleniom.

Ponieważ wszystko ułożyło się pomyślnie, wrzeczono ukłuło Śpiącą Królową do krwi i na wszystko wokoło padły czary, po czym kanclerz i jego ministrowie, wszyscy eksperci i policjanci, nawet faceci z telewizji i zmyślni żurnaliści z ostatnim nakreślonym słowem pogrążyli się we śnie Śpiącej Królowy, wszystkie baśniowe postacie, ledwie cierniowy żywopłot wyrósł gęsty jak należy, zmykają: z miejsca akcji w martwym lesie i spod wykutego w kamieniu pomnika w zdrowy las, aż dotrą do swego pensjonatu, Domku z Piernika, gdzie została tylko Babcia Czerwonego Kapturka z Wilkiem.

Jaś i Małgosia trzymają Grimmobracy za ręce. Podskakując na swej jednej nodze Titelitury wysuwa się naprzód. Starym fordem jadą: Zła Macocha z cudownym lusterkiem i na tylnym siedzeniu Śnieżka ze skorymi do obmacywania Karzełkami; odrąbane ręce Bezręknej Dziewczyny trzymają kierownicę.

Rozpunka wabi swymi włosami płaczącego Księcia, który obraca się raz po raz i składa usta do pocałunku, jakby tylko jedno miał na myśli, jakby umiał tylko to i nic innego, jakby ten obowiązek, ten mus wszedł mu w krew, jakby bez ustanku musiał budzić pocałunkami swoją, choćby spała nie wiem jak daleko, Śpiącą Królową. Ociąga się, staje, wymyka się włosom Rozpunka, chce biec do ciernistego żywopłotu, rozdzielić go delikatną szpadą, pomknąć po schodach na zrujnowaną wieżę, pochylić się nad śpiącą... W spróchniałym drzewie czatuje na niego Czarownica. Chwyta za kark i całuje, aż rozwiązują mu się sznurowadła. Księżę z krzykiem biegnie za innymi, Czarownica za nim. Na samym końcu Liczyrzepa pogania smutną parę przed sobą, bo Jorindzie i Joringelowi chciałoby się co jakiś czas skamienieć z przygnębienia i porosnąć mchem.

W Domku z Piernika panuje ruch jak w pensjonacie. Titelitury jako kelner serwuje niebieskie, czerwone i zielone napoje. Grimmobracy piją koktajl z wonnej marzanki. Wychyliwszy swojego drinka Żabi Król układa cierpiącą na migrenę Damę koło studni, do której wskakuje, aby zaraz wyskoczyć w postaci Żaby i zająć miejsce na czole Damy. Małgosia, jakby i jej czoło wymagało ochłody, kładzie się obok niej. Równomiernie oddychając dotąd Żabę ogarnia niepokój: skacze z kobiecego czoła na dziecięce i z powrotem, aby zrobić to jeszcze raz i jeszcze. Czarownica przygląda się temu żółtymi oczami. Kiedy na próbę kładzie się z drugiej strony obok Damy, Żaba wskakuje także na jej czarownicze czoło. Ani chwili wytchnienia między skokami, każde czoło łaknie ochłody.

Goście pensjonatu z rozbawieniem przyglądają się tym niestrudzonym wysiłkom. Siedmiu Karzełków dwuznacznymi gestami objaśnia sens

skokomanii. Jaś złości się na Małgosię: „Co jej odbiło!” Z pewną konsternacją obserwują Grimmobracia te skokowe wariacje. Wilhelm mówi do Jacoba: „Widzisz, bracie, nasze baśnie żyją własnym życiem”.

Tymczasem Zła Macocha wykorzystuje nieobecność Czarownicy i zaczyna pokazywać Grimmobraciom muzeum. Mówi: „Wszystko w dobrym stanie. Kosteczki, zatrute jabłko, grzebień, pasek. Tylko wrzeczono się zawieruszyło. Panowie na pewno się domyślą, gdzie!”

Wszystkie panie zabiegają teraz o Grimmobraci, szczególnie Czerwony Kapturek i Babcia Czerwonego Kapturka, które chcą pokazać swoją baśń. Ledwie w cudownym lusterku pojawi się stary czarno-biały film, obie zostają przepędzone przez Roszpunkę, która chce rozruszać smutnego Księcia filmem o sobie. Po krótkiej kłótni – Czerwony Kapturek i Roszpunka wzięły się już za włosy – sprawę rozstrzyga Zła Macocha: „Nie powinniśmy Księciu odmawiać odrobiny rozrywki. Biedak. Patrzcie, jak cierpi!”

Potem z Grimmobraćmi, którzy są wzruszeni i zarazem speszeni, wszyscy oglądają staroświecki, migotliwy obraz.

Rzecz jest tak smutna, że Bezręka Dziewczyna nie może się powstrzymać od płaczu. Gryzie paznokcie lewej odrąbanej ręki, którą podtrzymuje prawa. Titelitory wyciera nos. Jorinda i Joringel we łzach.

Trochę ogłupiały patrzy Książę od Śpiącej Królowny na księcia z filmu i śmieje się niestosownie z jego wołania: „Roszpunko, dziewczę moje, spuść ze mi włosy swoje!”, które pojawia się w filmie z cudownego lusterka w postaci napisu.

Wściekły Czerwony Kapturek wybiega z domu, za nim Babcia, w samą porę, żeby zobaczyć, jakie schronienie wybrała sobie wnuczka. Stara siada koło nazartego Wilka, którego brzuch zamykany na zamek błyskawiczny jest wyprężony, i czyta mu ze słownika Grimmów słowa, które zaczynają się na „ab”: abakus, abazja...

Wciąż jeszcze, choć już trochę osłabła, żaba przeskakuje z czoła na czoło. Koło domu Liczyrzepa wściekle rąbie i układa drewno.

Przed Domkiem z Piernika Siedmiu Karzełków gra w karty.

Nikt już nie chce oglądać pomyślnego końca filmu o Roszpunce; jeszcze tylko ona, z długimi włosami, siedzi zapatrzona i chłonie swoje szczęście.

Budzący pocałunkami Księżę lata niespokojnie po domu i chce całować całować... Pocałowawszy Bezręką Dziewczynę, zostaje spoliczkowany przez odrąbane ręce z prawej i z lewej.

Zaniepokojeni Grimmobracia, wspierani przez Jasia, starają się przekonać Złą Macochę. (Nie należałoby teraz wszczynać, jak proponował nasz pan Matzerath, dyskusji na temat autentycznej wersji baśni o Śnieżce, wedle której zła musi być rodzona matka, podczas gdy w późniejszej wersji Bechsteina jest mowa o Złej Macosze; należy raczej popchnąć akcję do przodu.)

Jacob Grimm powiada: „Nie można tak pozostawić spraw swojemu biegowi. W końcu republika jest bez rządu”.

Wilhelm Grimm mówi zatroskany: „Mógłby zapanować chaos!”

Jaś woła: „Właśnie! W Bonn już na pewno wariują. Stan wyjątkowy i różne takie!”

A Zła Matka (według Grimmów) lub Zła Macocha (według Bechsteina) Śnieżki mówi: „Wobec tego zaraz rzucimy okiem”.

Zdecydowanym naciśnięciem guzika wyłącza kończący się program o Roszpunce i woła: „Uwaga! Posłuchajcie wszyscy! Przełączamy się teraz na Bonn”.

Po czym Babcia otwiera zamek błyskawiczny, Czerwony Kapturek wyskakuje z wilczego brzucha, Liczyrzepa przerywa rąbanie drewna, a Karzełkowie grę w karty. Ostatkiem sił żaba z czoła Małgosi skacze do studni i zaraz potem w postaci króla pomaga wstać swojej Damie, potem Czarownicy, w końcu Małgosi. Wydaje się trochę osłabiony, przemęczony. Dama uśmiecha się tolerancyjnie. Uśmiech Małgosi nie jest już dziecięcy. Czarownicy kuracja na leżaco dobrze zrobiła.

W każdym calu jest znów gospodynią i chce mieć decydujący głos.



„Wypraszam sobie te zakłócenia!” – woła. – „W moim domu to wciąż jeszcze ja decyduję, kiedy wszyscy mają słuchać, a kiedy nie.”

Po krótkiej wymianie spojrzeń z Czarownicą Zła Macocha woła: „Wy leniuchujecie, gracie w karty albo zabawiacie się ze swoim gachem, a tymczasem w całym kraju, na wsi i w miastach, wszystko się wali. Bonn jest bez rządu. My, baśnie, objęłyśmy władzę.”

Jako że wszyscy patrzą z niedowierzaniem i nie kwapią się do potraktowania objęcia władzy na serio, słyszą słowa Złej Macochy: „Lustreczko, lustreczko, pokaż śmiało, co się w Niemczech będzie działo!”

Po krótkiej siekaninie obrazów cudowne lustro w szybko zmieniających się ujęciach pokazuje wzburzonych ludzi, demonstracje, plądrowanie, akcje wojska i policji, zamaskowanych, gwałtowny opór. W Bonn i gdzie indziej wykrzykuje się gazetowe tytuły. Na ekranie pojawiają się nagłówki: „Najpierw znikają dzieci, potem kanclerz!” – „Kanclerz z gabinetem zaginiony w lesie!” – „Republika Federalna bez kierownictwa!” – Potem armatki wodne. Pałki w ruch! Panika w sklepach. Czarne flagi. Oznaki grożącej wojny domowej.

W Domku z Piernika wszystkie zebrane przed cudownym lustrem baśniowe postacie ucichły. Są po części dumne, po części zakłopotane. Nawet Zła Macocha nie chce wierzyć swojemu lusterku.

Przestraszeni Grimmobracia pojmują, jaka moc tkwi wciąż jeszcze w baśniach. Wilhelm szepce Jacobowi na ucho: „To nasze dzieło, bracie. Jako zbieracze i wydawcy jesteśmy prawdziwymi inspiratorami.”

Jacob odpowiada szeptem: „Nasze proste baśnie domowe potraktowano zbyt dosłownie!”

Jaś i Małgosia wołają: „To nasza chwila! Pokażcie, co potraficie. Czarujcie, zamawiajcie, uwalniajcie albo wiążcie. Czarownico! Do dzieła!”

Po raz pierwszy śmieje się ona swym przyprawiającym o dreszcze czarowniczym śmiechem: „Przyprowadzimy im las do miast!”

„A jakże!” – woła Titelitura. – „Niech rośnie, strzela w górę, zapuszcza

korzenie, niech krzewi się wszędzie, pnie, puszcza pąki i zieleni się!”

Grimmobracia starają się uspokajać: „Ale, ale. Nie będziemy przecież przesadzać. Tego, co napisane, nie możemy brać zbyt ściśle”.

Karzełkowie, cała siódemka, sprzeciwiają się Grimmobraciom; tupiąc bucikami wołają rytmicznie: „My się nie łamiemy, my idziemy na całość!” i: „Cała władza w ręce baśni!”

Tymczasem Czarownica pootwierała kufry i szafy, beczki, szkatuły i mącznice. Przed Domkiem z Piernika woła bez objaśniającego napisu, bo to, co przywołuje, przybywa z lasu, z przestworzy: dobre i złe wróżki, wrony i kruki, gnomy, skrzaty i pozostałą drobnicę, znanych czarowników i dzikich mężów, turkawki i szczury. Na koniec zaklinającymi gestami przyzywa swoje siostry, wszystkie na miotłach lub odkurzacach; babski spęd o wyraźnie feministycznym zabarwieniu.

Wielkie gesty, serdeczne spotkanie, nie kończące się powitania. Pośród baśniowego, ale przeważnie z mieszczańską elegancją ubranego zgromadzenia zwraca uwagę czarownik Merlin. Król Drozdobrody jowialnie wita Żabiego Króla, a potem Grimmobraci, którzy w ciżbie są dość zagubieni i nie wiedzą, co robić.

Dzięki tabliczkom identyfikacyjnym, jakich używa się na kongresach, poznamy Panią Zimę i Dzielnego Krawczyka, Kopciuszkę i Wodnicę, szczęśliwego Jasia i – ponieważ kamera specjalnie go eksponuje – Paluszka, który przyprowadził olbrzyma i siedzi w jego uchu.

Naturalnie jest na miejscu Siedem Koźlątek z Mamą Kozą. Ale nie tylko postacie zebrane i wyposażone w szczegóły przez Grimmobraci, Ludwiga Bechsteina i Johanna Karla Augusta Musäusa, również piękne stwory Andersena (na życzenie naszego pana Matzeratha, który – gdyby nie utknął w Polsce – sam chętnie by wystąpił jako garbaty człowieczek) uczestniczą w wielkim spotkaniu: Dzielny Ołowiany Żołnierz i – choć bez pasażera – Latający Kufer. Z uwagi na umierający Schwarzwald mógłby być obecny Skarbnik z baśni Wilhelma Hauffa *Kamienne serce*.

Pomiędzy wszystkich przywołanych Czarownica rozdziela teraz torebki i woreczki, flaszki i puszki z czarodziejskim ziarnem i czarodziejskim sokiem. Są na składzie maści przeczyszczające i sprawiające cuda eliksiry. Latający Kufer wypełnia się po brzegi. Dobre i złe wróżki wymieniają sztuczki i tajemnice. Wielki Merlin wypożycza wielkodusznie czarodziejskie różdżki kilku co prawda znaczniejszym, ale niezamożnym baśniowym postaciom. Kopciuszek napełnia wola turkawek ziarenkami, które mają zdziałać nie wiedzieć jakie cuda. Czarodziejską karmę, rozsypywaną przez czarownice niższego rzędu, zżerają szczury, aby mogła ona poskutkować gdzie indziej. Ręce Bezręknej Dziewczyny pracowicie rozdają buteleczki i torebki wszystkim, którzy nie mają dość. Jaś i Małgosia nadgorliwie pomagają Czarownicy: wciskają to czy tamto nawet pompatycznemu królowi Drozdobrodemu; a i Paluszek w uchu olbrzyma dostaje puszczkę do posypywania, żeby też się przydał.

A kiedy już wszystkie skrzynie, kufry, szkatuły, mącznice i szafy świecą pustkami, protest Grimmobracy – „Nie wolno wam tego robić! Taka baśń źle się skończy!” – nie znajduje posłuchu, bo Czarownica rozsyła zgromadzone zwierzęta i skrzaty, czarowników i wróżki, krasnali i dzikich mężów, Panią Zimę z puchową poduszką i zapakowany po brzegi Latający Kufer w cztery strony świata.

Odprawiając zgromadzonych robi czarownicze znaki, wypluwa czarownicze słowa. Dzielny Krawczyk zaopatrzył się w cudowne igły i czarodziejskie nici. Z pełnym brzuchem i ciężkim bagażem rusza w drogę Siedem Koźlątek i Siedmiu Karzełków. Wymarsz następuje pieszo lub szlakiem powietrznym. Merlin, wielki czarownik, rozplywa się w nicość.

Zaniepokojony, nie, przerażony jest Jacob Grimm: „Czego wy chcecie? To bunt, anarchia!”

Wilhelm powiada: „Czyśmy, bracie, nie wiedzieli zawsze, jaką władzę nad ludźmi mają nasze baśnie?”

Z trwogą spoglądają obaj w ślad za swymi postaciami, które dawno temu

– było to w czasach napoleońskich – pracowicie zbierali i o których odtąd sądzili, że przebywają bezpiecznie w ich księżde baśni domowych dla dzieci.

Nie, budzący pocałunkami Księżę nie może odejść. Czarownica trzyma go za kołnierz. Zostaje także Zła Macocha, ale Śnieżce wolno uróżować policzki i pognać za swoimi Karzełkami. Z Liczyrzepą, naganiaczem, znikają Jorinda i Joringel. Ze względu na Księcia musi zostać Roszpunka. Ale odrąbane ręce Bezrękiej Dziewczyny ulatują, prawa trzymając torebkę, lewa flaszkę. Dziewczyna macha im kikutami. Z koszykiem przewieszonym przez rękę wyrusza Czerwony Kapturek. A Babcia Czerwonego Kapturka czyta Wilkowi, który musi zostać, hasła ze słownika...

Czarownica, czarować, zaczarowany.  
Bez trzech włosów roztartych, bez domieszki lulka.  
Nie trzeba  
ani kielkującego ziarna, ani nadliczbowych kropli,  
ani słowa, które zaklina, które uwalnia.

Umiemy, bo nauczyliśmy się,  
krzyżować dynię z cebulą,  
mysz z kotem.  
Dwa geny tu, cztery geny tam: manipulujemy.  
Cóż nam natura! We wszystkim zręczni  
poprawiamy Boga.

W starych słownikach występują tylko  
chimery niższego rzędu.  
Niedługo wyprodukujemy człowieka wyższego rzędu;  
nasz program go przewiduje.  
Przebywając w banku genów staje się z każdym dniem bogatszy:  
obdarzony nie tylko rozumem.

Ze wszystkich zwierząt najskwapliwiej  
– skwapliwiej niż świnia –  
udziela się człowiekowi szczur,  
pomagając mu przewyciężyć siebie.

Potem przyszedł głód. To, co pozostało po Wielkim Bum-Bum – wasze śmiecie, zmagazynowane puszki z białej blachy, wasze wyschnięte jak wiór,

pokurczone trupy – żywiło nas jakiś czas, tak że udało się poza naszymi schronami i łęgowskimi urodzić pierwsze młode: znów tworzyliśmy plemiona w wyznaczonych rewirach; ale do żarcia znajdowało się niewiele. Być może to niedostatek uczynił nas pobożnymi czy, jak ty, nasz kpiarz, to widzisz, katolikami.

Jakby chcąc uosobić głód, szczurzyca śniła mi się wychudzona, nastroszona, obraz nędzy i rozpacz. Widziałem, jak gryzła blachę, żelastwo, kamienie. Tylko to jeszcze się trafia, powiedziała. A ze względu na stale rosnące zęby trzeba bez przerwy coś gryźć, choćby stalowy klucz maszynowy albo pozostały drut kolczasty, i – jak widać – przegryzać. Bądź co bądź tu i ówdzie znalazłoby się resztki pokurczonych ciał; ale nie są one wymarzoną przysmakami.

Potem śniła mi się znów tłusta, o gładkiej sierści. Syta opowiadała o czasach głodu, nie wspominając o przyczynie świeżego dobrobytu. Wówczas, mówiła szczurzyca, gdy głód nauczył nas się modlić, ale pobożność przyniosła tylko zażarte spory, jeden z naszych wiejskich rewirów, choć spustoszony, wyróżniał się w sposób szczególny, bo w murach jako tako zachowanej chaty oddychała słabo i mamrotała nieustannie owa według ludzkich obliczeń prastara kobieta, która tobie, bracie, z odbijających się echem opowieści nie powinna być obca.

W każdym razie my też oddawałyśmy jej cześć. Jak cierpliwie znosiła nas i naszą ciekawość. Cokolwiek mamrotała i choćbyśmy nie wiem jak blisko podchodziły do niej, nigdy złego słowa o nas. Raz usłyszałyśmy: Maryjo, Józefie święty! Co by mnie szczury ulżyły...

Ale nie miałyśmy prawa jej ulżyć, bo pomijając twoją odległą, ocalałą w kapsule kosmicznej egzystencję, prastara była dla nas jedynym, ostatnim, jaki pozostał, człowiekiem. Chciałyśmy na nią chuchać i dmuchać, zachować ją dla siebie. Kiedy po okresie zimnej ciemności prawie już nie oddychała i nie mamrotała, pieczołowicie odwiedzałyśmy grupami jej siedzibę. Nie tylko wiejskie, również miejskie plemiona wysyłały delegacje. Jako że prastara

coraz bardziej malała i, choć zipiąc, zdawała się wysychać, poiliśmy ją i żywiliśmy przeżutym, na którym mimo niedostatku nam nie zbywało. Zawsze miała młode szczury na swoje usługi. Myśmy nie tylko ją uwielbiały, myśmy także karmiły ją papką.

I zobaczyłem to, co szczurzyca opowiadała z postczłowieczych czasów głodu. Zobaczyłem skurczoną do rozmiarów karlicy Annę Koljaiczkową, niknącą w nazbyt teraz obszernej niedzielnej sukni, otoczoną przez adorujące stare szczury, obleganą przez chude, młode szczury. Zobaczyłem, jak ją karmiono, zobaczyłem, jak otwierały się jej zapadnięte usta, aby dyżurujące młode szczury mogły wstrzyknąć jej coś ciekłego i wsunąć w bezzębną jamę ustną przeżutą breję.

Obrzydliwość! zawołałem.

Znamy ten ton, odpowiedziała szczurzyca.

Ale ona chce, żeby to się skończyło.

Jeszcze jej smakuje. Posłuchaj tylko, ona mlaska.

A co jej smakuje, co?

Musiałeśmy ofiarować kilka młodych szczurów, oczywiście ze zdrowych miotów...

Czemu, do cholery, nie dajecie jej umrzeć! zawołałem i słyszałem, jak moje wołanie przebrzmiewa.

Odpowiedź szczurzycy przyszła z opóźnieniem, jakby chciała mi ona zaznaczyć upływ czasu: Jeszcze za życia była dla nas święta. Wszystko, co znajdowało się przy niej, stało się wraz z nią przedmiotem naszego uwielbienia, a u jej stóp sporo tego leżało. Bardziej jeszcze niż owe złote monety, które – rozrzucone jakby niedbale wokół jej fotela – ukazywały tu reszkę, tam orła lub też wizerunki niegdyś koronowanych głów, godne uwielbienia stały się dla nas owe figurki, leżące wszędzie na gruzie i pod gruzem. Wzorowane na człowieczości i jej wielostronnych zajęciach, przypominały nam o ludzkim rodzaju. Kiedyśmy je odczyściły, odzyskały niebiesko-białe barwy. Ich narzędzia i pozostały sprzęt, uwolnione od sadzy,

były znów czerwone, zielone, brązowe, srebrne i żółte. Jak sympatycznie spoglądały. Jak pociesznie demonstrowały swoją pilność. Mogłybyśmy się nimi bawić, gdyby każda figurka, jak prastara, nie była dla nas święta.

Także to zostało zaprezentowane obrazowo: szczury między złotymi dukatami i smerfami. Na podłodze wałały się jeszcze inne rzeczy: potłuczony porcelanowy koń, kuty w żelazie napis, otwieracz do listów z bursztynową rączką, zegar z kukułką, którego tarcza pokazywała czas zagłady: pięć po dwunastej, to i owo, zmiażdżony elektryczny grill i sztuczna szczęka Anny Koljaiczkowej, która musiała jej wypaść po Wielkim Bum-Bum; różaniec nadal trzymała w ręku.

Tak, powiedziała szcurzyca, ona dawała nam oparcie. Ona kazała nam zjednoczyć się ponownie, bo z czasami niedostatku szły w parze spory o prawdziwą wiarę. Przypominasz sobie: myśmy małpowały rodzaj ludzki, prześladowaliśmy, torturowaliśmy, krzyżowaliśmy naszych pobratymców, tak że nas, szczury, można by było wziąć za gorliwych kaczerzy i tępiących kacerstwo gorliwców. Na koniec wcale nie taka nieliczna mniejszość tak fanatycznie obstawała przy heretyckich poglądach, że miałyśmy powody, by bać się o prastarą. Chcąc dla porównania sięgnąć do ludzkich sporów religijnych i odszukać w człowieczej historii podobnie okrutne ekscesy, trzeba by mówić o waldensach, husytach albo anabaptystach i trockistach, którzy w sile siedmiu szcurzych plemion kilkakrotnie podejmowali próby zdobycia szturmem siedziby prastarej, wytyczonego przez nas i nazwanego świętym rewiru, aby – jak brzmiało ich hasło – położyć kres bałwochwalstwu. Dochodziło do walk, które nas osłabiały. Być może głód spotęgował ponadto naszą zajadłość...

Po czym zobaczyłem walczące, zagryzające się szczury. Boje toczyły się wokół uszkodzonego domku Anny Koljaiczkowej, którego otoczenie – to, co było kiedyś ogrodem i przyległymi kartofliskami – ziało pustką, nadając się jedynie na arenę waśni i nienawiści szcurzych plemion, walki, powiedzmy, katolików z husytami.

Na przedpolu ruiny domku zdołałem pomiędzy nierozpoznawalnym złomem dojrzeć wrak mercedesa naszego pana Matzeratha. Śmiesznie nietknięta pozostała gwiazda na masce chłodnicy. Walczono o nią szczególnie zaciekle. Jak one rzucały się na siebie i szarpały. Jak zębami, które radziły sobie ze stalową blachą, znajdowały gardło przeciwnika. I splecione ze sobą zagryzały się aż do przedśmiertnych drgawek. Rozrywały się nawzajem. Zaplątane we własne i cudze wnętrzości, mogły na oślep ugodzić zębami własne serce.

Potem zobaczyłem szczury walczące w dawnej paradnej izbie Anny Koljaickowej, najwidoczniej o smerfy, bo i te były pogryzione. Kiedy walka przeniosła się na jej pofałdowaną niedzielną suknię, objęła jej dłonie na kolanach, które nie chciały wypuścić różańca, wreszcie przerzuciła się na kryzę sukni, kiedy jeden, potem drugi szczur z tak zwanej partii husyckiej wgryzł się w pomarszczoną, miłą twarzyczkę Anny Koljaickowej, krzyknąłem i przepędziłem ten obraz; ale nie sen, który znów, jak gdyby nie zdarzyło się nic okropnego, wypełniła szczurzyca.

Powiedziała: Później skończyła się walka, ale nie głód. Większość postawiła na swoim. Byłyśmy znów zjednoczone w wierze i nareszcie pojednane oddawałyśmy jej cześć wspólnie.

Co? krzyknąłem. To ona wciąż jeszcze żyła?

Kilka ran, odrzekła szczurzyca, jakie odniosła w trakcie zażartych walk, leczeliśmy cierpliwie, ale brakowało jej odtąd lewego ucha...

I czego jeszcze? wrzasnąłem.

Po co to wzburzenie? upomniała szczurzyca. Troszkę więcej pokory, proszę. Wkrótce potem prastara umarła. I kiedy po jednej z ostatnich burz pyłowych znalazłyśmy ją bez tchu, nie przeznaczyłyśmy jej zwłok na pożywienie, chociaż nadal były zatwardziałe grupki, których nienawiść i wilczy głód musiałyśmy powstrzymać.

Po pauzie, która miała pewnie pominąć milczeniem ostatnie walki na śmierć i życie, powiedziała: No cóż, była wysuszona, skurczona, drobna i tak



lekka, że mogliśmy rozważyć kwestię jej przetransportowania. Nie powinna była dłużej pozostawać w nędznej chacie. Wkrótce większością głosów wybrano dla niej stosowne miejsce. Wszystkie szcurre plemiona chciały, żeby ją tam przenieść. Ostrożnie zsunęliśmy więc prastarą z fotela. Nic nie mogło się zgnieść, urwać, złamać, zgubić. A kiedy zdejmowaliśmy ją z siedziska, spomiędzy jej wielu noszonych jedna na drugiej spódnic wyłoniło się zasuszone dzieciątko, które być może przyszło na świat w chwili Wielkiego Bum-Bum; dziwnym trafem w ładnym, ale za dużym ubraniu, w biało-żółtych butach i z wieloma pierścieniami na palcach, do tego w okularach w złotej oprawie. Spodnie i marynarka pozwalały się domyślać, ale upewniłyśmy się: prastara na samym ostatku urodziła chłopczyka. Trudno było umocować pierścienie faceta i oprawkę okularów, które się nie skurczyły; bo malca też chcieliśmy przetransportować. Zatem szczury, zmieniając się co jakiś czas, niosły wieloetapowo przez spustoszoną okolicę nie tylko leciutką świętą, lecz także jej synka. To musiało potrwać.

W co nie chcesz uwierzyć, to zobaczysz na własne oczy, powiedziała szcurrezyczka. Popatrz tylko, jak powoli i ostrożnie odbywał się transport.

I zobaczyłem, jak zmieniające się co jakiś czas szczury niosły śmiertelne szczątki Anny Koljaiczkowej i naszego znów zmalłego Oskara na przełaj przez pagórkowate, ale całkowicie pozbawione drzew i krzaków Kaszuby. Długi pochód, bo coraz więcej i więcej szcurrew taszczyło niebiesko-białe smerfy, a nawet skorupy chińskiego porcelanowego konia w ślad za obiema mumiami. Nawiasem mówiąc wnuka niesiono przed babką. W pewnej odległości podążały ciężko obciążone szczury dźwigające zegar z kukułką, którego tarcza wciąż oznajmiała czas zagłady, i z mozołem kuty w żelazie napis. Inne pojedyncze szczury niosły w zębach drobiazgi: pierścień z rubinem, który spadł z wychudłego palca Oskara, i order z sukni Anny Koljaiczkowej, przyznany jej przez Polskę jako państwo. Po dwa szczury dygowały srebrny otwieracz do listów z bursztynową rączką, jej sztuczną szczękę, jej okulary; za wskazane uznały nawet przetransportowanie gwiazdy

mercedesa, o którą tak walczono. Na samym końcu był to długi rząd szczurów, z których każdy trzymał w pysku sztukę złota.

W chacie Anny pewnie pozostały jeszcze rupiecie: choćby zmiażdżony australijski grill, telewizor i owa głowa z brązu, która miała być podobna do amerykańskiego Joe Colchica, przedtem Józefa Koljaiczka. W sumie: żmudne transportowanie i wyczyn w postczłowieczych czasach głodu. Kilka szczurów padło z wyczerpania, aby natychmiast, jak nakazywała przymusowa sytuacja, zostać pożartymi. W dodatku pochodowi towarzyszyli szczurzy strażnicy, których zębów bały się juczne szczury. Wreszcie zobaczyłem z daleka wieże miasta.

Dopięłyśmy swego, dotarłyśmy na miejsce! zawołała szczurzyca. Popatrz tylko, wyniosłyśmy ją na cokół ołtarza kościoła Marii Panny. Pod wysoko na sklepieniu zakotwiczonym krzyżem jest miejsce naszej świętej. U stóp Syna Człowieczego, który wisi na trzech gwoździach, siedzi ona na skrzynce nazywanej za czasów człowieczych tabernakulum i wie, że pod rąbkiem spódnic ma swego ładnie ubranego synka. A wokół jej miejsca i siedziska – bo uszła nam w pozycji siedzącej – ułożyłyśmy i ustawiliśmy wszystko, co do niej należało i wraz z nią godne jest uwielbienia: złote monety i pierścień chłopczyka, ciężki napis z żelaza i owe prześliczne figurki, które w złych czasach walk religijnych zostały niestety mocno pogryzione. Ale popatrz tylko: wciąż jeszcze są sympatycznie biało-niebieskie. Wciąż jeszcze są uciesznym wizerunkiem pracowitego ludzkiego rodzaju, tylko że wystarcza im o jeden palec mniej, niż liczyła sobie dłoń człowieka i niż to jest nam dane. Popatrz tylko, jakie zabawne!

Można było się uśmieć. Na cokole ołtarza, który wynosił mumie w górę, zobaczyłem wszystkie smerfy: ustawione w pojedynkę i grupami. Zobaczyłem te z kielniami, smerfa z kluczem maszynowym. Tego z siekierą, siedmiu żniwiarzy z kosami. Muzykujące smerfy, pomiędzy nimi tego z bębenkiem. Bezrobotnego smerfa i smerfa z butelką przy ustach. I jeszcze tego i tamtego. Policzyłem: nie brakowało żadnego; ale wszystkie były

pogryzione.

Potem znów szcurzyca wypełniła mój sen. Powiedziała: Jakkolwiek usilnie starałyśmy się napatrzeć do syta świętej i jej synkowi, figurkom, monetom, dotkliwy głód pozostawał. Już musiałyśmy zredukować o połowę nasze młode. Już wyglądało na to, że plemiona szcurze, jak przedtem rodzaj ludzki, nie mają przyszłości; wówczas parę ustawionych na głównym ołtarzu figurek podsunęło nam zbawczą myśl; albo raczej było tak, że u lewej ręki, którą prastara trzymała różaniec, ułamał się palec, spadł z kolan i zatrzymał się tam, gdzie stało rzędem siedmiu facetów z kosami, podczas gdy inni niebiesko-biali trzymali snopy zboża. Wieloznaczne wskazanie poruszyło wprawdzie nasze myśli, ale sytne długo jeszcze nie było.

Potem w milczeniu stroszyła wąsy, jakby chcąc podkreślić ponad miarę długie dojrzewanie nowej myśli. Wreszcie powiedziała: Nie. To nie przypadek. My, szcury, nie znamy przypadku. W każdym razie w resztkach, naszych zapasów, które umieściłyśmy w najgłębszych komorach naszych schronów, kiedy zanosilo się na ultemosz, znalazło się kilka rodzajów ziarna, które, dobrze opakowane i sucho przechowywane, nie doznało żadnego uszczerbku, bo kiedy sobie wytłumaczyłyśmy praktycznie wskazówkę prastarej i na wzór niebiesko-białych figurek tu i tam zryłyśmy kawałek ziemi, który wydawał się zdrowy – jako że nawiedzony przez łopuchę i kąkol – i obiecywał plon, kiedy oczyściłyśmy te pola doświadczalne z chwastów, potem w pewnych odstępach przeciągnęłyśmy bruzdy, wyłożyłyśmy nasienie i przykryłyśmy ziemią, nasze ocalone ziarno, kiedy nie śmiałyśmy już mieć nadziei, cudownie wzeszło. A ponieważ z wiosennymi deszczami nie spadały już szkodliwe substancje, ustały burze pyłowe i ustabilizował się postczłowieczy klimat: ciepły i wilgotny, to, co wzeszło, wyrosło i dojrzało.

Szcurzyca opowiadała, jak gdyby z uprawą roli szcury zawsze były za pan brat: Od schyłku lata do jesieni mogłyśmy zwieźć nasze pierwsze zbiory. I co się okazało: posadziłyśmy i zasiałyśmy soczewicę i kukurydzę, tu jęczmień, tam brukiew. Szczególnie obrodziło pole słoneczników. Ta

niewymagająca, a przecież bardzo owoconośna roślina z uwagi na oleiste ziarna stała się wkrótce naszą główną uprawą. Nowy klimat pozwalał na dwukrotne zbiory w ciągu roku. Nie tylko pagórkowate ziemie kaszubskie, także wały szlamu wokół miejskich rewirów sprzyjały słonecznikom. My, dawniej aktywne tylko w nocy, miałyśmy teraz dzienne zajęcia. My, zatwardziałe nocne marki, uprawiałyśmy słoneczniki. Popatrz tylko, panku, na jak dużą skalę...

Przybywają tanio z Hongkongu  
i mają u jednej, u drugiej ręki  
tylko cztery palce,  
w których trzymają narzędzia, ale też raketę tenisową  
lub z gracją bukietek kwiatów.

Wytłaczane z ufarbowanej masy plastycznej,  
są trwałe  
i pewne jest,  
że grupowo i w pojedynkę  
przeżyją słabowity rodzaj ludzki.

To pocieszenie. Twórczo biorą przecież wzór z nas,  
których życie to mozół i praca;  
smerfy jednak są z natury pogodne  
i cały czas bawią się  
młotkiem, kosą, telefonem.

Nic im nie może zepsuć humoru.  
Cokolwiek się zdarzy, ich dzień zaczyna się wesoło.  
Tylko swoją mowę, zwaną w tym kraju  
smerfową niemczyzną, mogłyby  
na koniec utracić.

Pozostanie ich niemy szyderczy uśmiech  
i na okrągło przez całą dobę  
ich pilność.

Znasz przecież od dziecka pagórkowatą krainę Kaszub: pomiędzy lasami i oczkami wodnymi ziemie kartoflane. Brukiew, owies, jęczmień, co tam jeszcze rosło. Jako że z lasów nie zostało nic i tylko wokół bajor i nowych

wód – nawet Radunia ze źródlaną świeżością wystąpiła gdzie indziej – drzewa niskiego drzewostanu podjęły pierwsze nieśmiałe próby – brzozy, olchy i wierzby wypuszczały pędy – ochraniałyśmy wiele obiecujący porost, żywiąc nadzieję na lasy. Ale od wzgórz południowych Kaszub po nadbałtyckie wydmy, podobnie jak na wszystkich szlamowych lawinach, uprawiałyśmy rolę, tu na gliniastych, tam na piaszczystych gruntach; spiętrzony w wały szlam z nizin nadawałby się pod pszenicę, gdybyśmy miały ziarno siewne w zapasie.

Pojawiła się znów i pracowała na roli przemawiając do mnie: Nie, nie ma już ziemniaków! Te zapchaj brzuchy skończyły się razem z ludzkością. Ale stosując płodozmian uprawiamy kukurydzę, brukiew, jęczmień i na dużą skalę słoneczniki. Popatrz tylko, jak stoją rzędami i błyszczą daleko. Dziwi cię, że my, zwierzęta nocne, zmieniłyśmy się? Żeby odwrócić osławione powiedzenie: my już nie boimy się światła. Stałyśmy się wyrobnikami dnia z troski o pożywienie.

Pozwoliła mi patrzeć i podziwiać. Potem powiedziała: Może to świetlistość kwiatów, ta żółtkowata aureola, odzwyczaiała nas od nocnego życia, osłodziła nam światło dnia? Bzdura! To potrzeba wyciągnęła nas na światło dzienne i zmieniła; podczas gdy rodzaj ludzki musiał zginąć, ponieważ rodzaj ludzki mimo naglącej potrzeby nie chciał się zmienić, odmienić. A my stałyśmy się inne.

Szczurzyca umilkła, ale ja widziałem teraz pagórkowate pola słoneczników między kaszubskimi oczkami wodnymi, które znów jako bajora, stawy czy jeziora odbijały niebo, nasycone bielą obłoki, ale też grupki młodych drzew, olchy, brzozy, wierzby i gęstą trzcinę. I widziałem szczury przy pracach polowych, jak ścinały, rząd za rzędem, wysokopienne, ciężkie od owoców słoneczniki, wygryzając kliny, jakby chodziło o obalenie wielkich drzew. Jak prędko przewracały pnie. Jakie były pilne, jakie rozważne. Nie zmarnowało się ani ziarenko. I jak zręcznie ścinały słonecznikowe głowy, aby na skraju pól układać je do suszenia. Dobrze

wdrożone do pracy kolumny, ale nie widziało się poganiaczy, karbowych. Straże jednak wystawiły, jakby ich zbiory były – przez co albo przez kogo? – zagrożone, jakby ktoś obcy pasożytował na ich skrętności, jak by prócz szczurów i rzekomo karmiących piersią plujek jakieś inne, znaczniejsze zwierzęta przeżyły Wielkie Bum-Bum.

No cóż, powiedziała szczurzyca. To z latającymi ślimakami, podwodnymi pajakami i żyworodnymi muchami, to oczywiście nieprawda. Tylko żeby cię rozerwać, bo lubisz zełgane historie, przyszły nam do głowy takie okropne i wynaturzone stwory. Ale posłuchaj, panku, tego ćwierkania i gruchania. Nie tylko wróble, również grzywacze występują, jak wiesz, w czasie postczłowieczym. Rozmnażają się w oczach. Mogłyby, zwłaszcza wróble, stać się plagą. Co jeszcze? Pojawiła się znowu mysz polna: głupia, ale smaczna. Pojedyncze króliki. Wróble są srebrzystobiałe, upierzenie gołębi ma odcień różowawy, śmiesznie żółte są myszy. Wszystko to przyniosło ze sobą Wielkie Bum-Bum, a i my musiałyśmy pożegnać się z naszą szarobrunatnością. Nasze młode są cynkowozielone. Później przeważa kolor ziemisty. Nam, starym szczurom, do twarzy jest w umbrze. W każdym razie widzisz, jak zręcznie nasze lekkie, jeszcze cynkowozielone młode szczury strzegą ciężkich głów słonecznika, dopóki dojrzewają one na pniu, przed ptasią żarłocznością.

I zobaczyłem, że każdy duży, prawie już dojrzały słonecznik był po cienistej stronie obsadzony przez młodego szczura; widać śniłem kolorowo, bo cynkowozielona sierść odcinała się, co prawda ledwo dostrzegalnie, od zielonego spodu koszyczków kwiatowych. Potem zobaczyłem raz i drugi, jak niezawodnie młode szczury chwyciły w zęby złodziejskie wróble, a nawet radziły sobie z grzywaczami: dopadłszy im do gardła, były unoszone przez trzepoczące ptaki, wzbijały się z nimi w górę, aby po krótkim czasie runąć na ziemię z osłabłą zdobyczą. Kilkakrotnie raptowny wzlot, walka w powietrzu nad polem słoneczników, upadek, jakby spadał kamień; zobaczyłem, jak skutecznie strzeżono zbiorów. A upolowane grzywacze i wróble leżały

rzędem na skraju pola niczym zebrane owoce. Wszystko miało być na sposób szcurzy podzielone; bo to szcur, kiedy my, ludzie, szukaliśmy jeszcze własnej korzyści, znany był jako gatunek, który dzieli, ale my nie wzięliśmy z niego przykładu.

Odtąd szcur, ptak i słonecznik to jeden obraz. To, co we śnie było sobie przyporządkowane, na jawie wydaje mi się naturalne. Nigdy już, póki jeszcze słoneczniki pozdrawiają zza ogrodowych płotów jak starzy znajomi, nie będę w nich widział tylko niewinnych roślin, bo zawsze skojarzą mi się z ptakiem w zębach szczura.

Szcurzyca wszakże, która mi się śni, pozostała rzeczowa i powiedziała: Nie dopuszczaliśmy do pasożytniczego uszczuplenia naszych zbiorów, takiego choćby, jakiego przed Wielkim Bum-Bum, jako wytrawni pieczeniarze, dokonywaaliśmy w indyjskich zbiorach ryżu i pszenicy, meksykańskich – kukurydzy, zmniejszając je często o trzydzieści i więcej procent. Że nie wspomnę o naszych profitach ze spichrzów, gdzie dla utrzymania wysokich cen na rynku leżały sterty sypkiego ziarna.

Ale potem przeniosła wszystkie ziemio płody w sferę mistycznych spekulacji. Szcurzyca powiedziała: Ważniejsze jeszcze od kolb kukurydzy, jęczmienia i naszego zapchaj brzucha, brukwi, ważniejszy od wszelkiego ziemio płodu stał się dla nas słonecznik, mało tego, on ze stroniącej od światła nocnej zwierzyny uczynił spragnione światła, zwrócone ku światłu stworzenia, które odtąd w modlitwach przyznają słońcu boską moc; wobec czego u Marii Panny, w miejscu naszego nieustającego żalu za minionym rodzajem ludzkim, znajdujemy kolejny powód, żeby na sposób szcurzy być pobożnymi.

I znów obraz się poszerzył, nabrał przestrzeni. Zobaczyłem z daleka, potem z bliska, jakby przywołany, cokol ołtarza i co go ostatnio zdobiło. Miało to być nie tylko miejsce ostatniego spoczynku wysuszonej Anny Koljaickowej i jej skurzonego wnuczka; dodatkowo pojawiły się ziemio płody. W nowym układzie smerfy musiały zewrzeć szeregi i utworzyć

stłoczoną ciżbę. Złote dukaty były ułożone, jakby ręką kasjera, w wieżyczki. Kuty w żelazie napis zasłaniał pozbawiony życia zegar z kukułką. Sztuczna szczeka, okulary, pierścień i order oraz gwiazda mercedesa leżały na małej przestrzeni zestawione w martwą naturę. Natomiast uzyskane miejsce należało do nadzwyczaj bujnych owocowych wieńców i wybranych upolowanych ptaków.

Teraz dopiero zobaczyłem, że także puste przedtem brzegi ołtarzowego cokołu były zajęte: potężne brukwie, pęczki kolb kukurydzy, kłosa jęczmienia składały się na ofiarę. Ale bardziej znaczący wydał mi się ów dojrzały słonecznik, który leżał na kolanach Anny Koljaickowej i przykrywał jej ręce; lewa z nich, o jeden palec uboższa, na pewno wciąż jeszcze trzymała różaniec. U jej stóp zobaczyłem kupkę suszonej soczewicy, przeznaczonej dla malca Oskara.

Ale co to wszystko ma znaczyć! zawołałem. Czy wam, szcurzy co, przeszedł katolicyzm? Czy wasza adoracja nie ma już dotyczyć ukrzyżowanego Syna Człowieczego? Czy stara z chłopczykiem dostąpiła w waszych oczach boskości, stała się boginią urodzaju? Gdzie wasz rozsądek?

Wydała mi się trochę zmieszana, kiedy znów wypełniła mój sen bawiąc się ziarenkami słonecznika.

Odpowiedz, szcurzyco! zawołałem. Zasycała coś półgłosem w swojej szcurzyźnie, w której dominowały nowe, nie znane mi, jeszcze bardziej niezrozumiałe dźwięki.

Nic nie rozumiem. Mów normalnie!

Szcurzyca powiedziała: No cóż. Jakoś sobie radzimy. Nadal przywiązane do człowieka, wyrażamy w ten sposób nasze podziękowanie za zbiory. Na razie. Być może dojdzie jeszcze coś. Coś innego. I to z rozsądnego punktu widzenia...

Co takiego? zawołałem. Jakiś nadszczur, superszczur!

Nienie, mój panku! odrzekła i nastroszyła wąsy. Coś, czego nigdy nie było, ale co za czasów człowieczych można byłoby wymyślić. Postać, nie,



kilka postaci, które wykraczałyby poza szczurzość, jaka jest, i poza ludzkość, jaka była...

Chętnie słucha koncertu lutnistów, raportu ze świata mediów z umiarkowanym zainteresowaniem, echa dnia obojętnie, wiadomości wcale: śpi. Najchętniej moja gwiazdkowa szczurzyna słucha nadal szkoły dla wszystkich. Wczoraj omawiano różnice między podatkami, opłatami i innymi świadczeniami. W słuchowisku była mowa o historycznych ciężarach, na przykład o dziesięcinie: jak to chłopci jęczeli gnębieni przez poborców, ile to musieli wszystkiego oddawać i jak często nie zostawało im dość ziarna na siew. Moja gwiazdkowa szczurzyna przemykała w podnieceniu, wietrzyła z zainteresowaniem.

Dzisiaj szkoła dla wszystkich rozwodziła się nad przeszłymi i obecnymi metodami produkcyjnymi rolnictwa. W słuchowiskowej formie była mowa o gospodarce żarowej, potem o trój połówce, o monokulturach, wreszcie o uprawie biodynamicznej, o kompoście, warze z pokrzyw i tak dalej. Spokojnie, jakby zatopiona w sobie, siedziała zwrócona w stronę radia, okrągłe uszy nadstawione, wąsy w pozycji na bacność. Podobał się jej nawet *Wesoły wieśniak* jako końcowy akcent muzyczny.

Teraz milczy trzeci program. Ani ona, ani ja nie chcemy słuchać, podług jakich kryteriów władze brukselskie powstrzymują rzekę mleka albo wyznaczają nowe kwoty połowowe na dorsza. Że wedle danych FAO co sekundę na świecie umiera z głodu troje koma pięć do czworga dzieci, to już wiemy. Jestem tego samego zdania co moja gwiazdkowa szczurzyna; mimo wszelkich zakłęb – „Sytuacja się poprawia! Znow możemy mieć nadzieję!” – wszystko się wali, stacza, spada ku statystycznie pewnemu końcowi.

Może jednak jest też tak: koniec już był. Nas już nie ma. Żyjemy jeszcze tylko na niby, będąc odbiciem i trzepotaniem, które lada chwila musi ustać.

Albo śnimy się komuś. Bóg czy inna wyższa istota, jakiś supermocarz, śni o nas w odcinkach, ponieważ nas lubi albo uważa za zabawnych i nie może rozstać się z nami, napatrzeć się na nasze trzepotanie. Trwamy w jego

retrospekcjach, dzięki boskiemu upodobaniu do mediów, chociaż ostatnie przedstawienie, czyli ultemosz, jak mówi szczurzyca, odbyło się dawno: przeminęliśmy niepostrzeżenie, gdyż zachowań ludzi, ich bieżących interesów, umówionych spotkań i skryptów dłużnych, ich przyjemnych nawyków i strasznych przymusów – nawet gdyby w czerwcową niedzielę przypadkiem zauważyli koniec – nie dało się ani zmienić, ani wykupić, ani odwołać, ani skasować; tak niezmienny był lub jest rodzaj ludzki.

Jak gdybyśmy nadal jeszcze istnieli, powiedziałem do mojej gwiazdkowej szczurzyny: Uważaj! Na krótko przed południowymi wiadomościami trzeci program często nadaje muzykę chóralną, a ty przecież cenisz motety. Kiedy ty będziesz słuchała Schütza, ja wejdę na rusztowanie do Malskata. Odwalił kawał dobrej roboty. Po przeszło pięćdziesięciu figurach w głównej nawie wkrótce w wysokich partiach prezbiterium stanie trójkami dwudziestu jeden świętych i będzie rzucało gotyckie spojrzenia.

Pożyczyłem sobie buty do chodzenia po rusztowaniu. Odwiedzam go na górze, pochlebiam, chwale jego wyraziste kontury, śmieję się z nim z głupich klechów i plotących duby smalone ekspertów od sztuki, ale gadając i gadając chcę czegoś innego, chcę go namówić, żeby jeśli nie w ornamentyce kapiteli, to na wolnych polach umieścił słoneczniki strzeżone przez szczury przed żarłocznością gołębi grzywaczy. Nazywam tę emblematykę przekonującą, zwłaszcza że gołąb odpowiada szczurowi: jednakowo twarde, oba mają przed sobą przyszłość...

Malskat nie jest niechętny. Częstouję go papierosem, juno oczywiście. Gwarzymy o filmach z Hansi Knoteck, które oglądaliśmy obaj w młodych latach. Swobodnie powracamy w rozmowie do gołębi i szczurów. On mówi: Ten gotycki motyw z czasów rozkwitu tego stylu łatwo dałoby się wytłumaczyć dżumą, ową plagą, która od połowy czternastego wieku z pomocą czarnego szczura domowego i wymarłej tymczasem odmiany gołębia polnego zadomowiła się w całej Europie i jako bicz boży wbijała chrześcijanom do głowy, że nadchodzi koniec świata, także w Lubece, gdzie

z dziesięciu żywych dziewięciu umierało...

Nienie! wołam i schodzę z rusztowania. To możemy osiągnąć bez szczurów i gołębi. Nie trzeba nam dżumy jako bicza bożego. Od Malskatowych czasów rozkwitu gotyku człowiek się rozwinął. O własnych siłach, z własnej woli, nareszcie pełnoletni, może ze sobą skończyć, i to gruntownie, żeby żadne pozostałości nie musiały się męczyć. Toteż już teraz daje się we znaki naturze i jej wybujałościom. Bo przed człowiekiem musi zniknąć ten las, sentymentalne podszycie, nierozumny wybieg, to nieobliczalne królestwo króla Drozdobrodego...

Podczas gdy Babcia Czerwonego Kapturka nadal jeszcze czyta ze słownika zapomniane słowa, chętnie słuchane przez Wilka, który musiał zostać, i podczas gdy Grimmobracia są zaniepokojeni, że w trakcie podejmowanych teraz akcji baśniowych postaci może dojść do przebrania miary i nie kontrolowanej żywiołowości; podczas gdy Roszpunka gra w domino z budzącym pocałunkami Księciem, a Czarownica dla zabicia czasu zasiada ze Złą Macochą do gry w młynek; podczas gdy Bezręka Dziewczyna myśli o swych uleciałych rękach, dobre i złe wróżki, kruki i wrony rozsiewają czarodziejskie ziarno nad miastami i wioskami, wieżowcami mieszkalnymi i wybetonowanymi trasami. Wysoko nad rozległymi zabudowaniami fabrycznymi Latający Kufer bez pasażera wysypuje nasienie.

Regiony przemysłowe mają niespodziewanych gości również od strony lądowej. Siedmiu Karzełków dolewa czarodziejski sok do dystrybutorów na stacjach benzynowych; dokładnie odliczając tylko po kilka kropel. Na stacjach metra Czerwony Kapturek upuszcza coś z koszyka. Odrąbane ręce Bezrękiej Dziewczyny zręcznie sobie radzą w gęstwinie masztów spieszących przez kraj linii wysokiego napięcia. Na dworcach, pod mostami widać skrzaty, gnomy i pozostałe krasnale: ich skrzętną gorliwość. Siedem Koźlątek zostawia coś przy światłach na skrzyżowaniach. Nie ma stacji rozdzielczej, przy której nie dawałyby o czymś świadectwa leżące szczurze bobki; nie ma tuby megafonu, do której gołębie nie opróżniłyby swych woli.

Czarownicy przemierzają ruchliwe miejsca. Wielki Merlin jest wszędzie. Teraz towarzyszy królowi Drozdobrodemu, ażeby otwierały się przed nimi drzwi i bramy. Odwiedzają elektrownie węglowe i atomowe, wytwórnie barwników Hoechsta i Bayera w Leverkusen. Jak wszechmocni szefowie, otoczeni przez gorliwych panów, oglądają taśmy produkcyjne w Wolfsburgu, Kolonii, Neckarsulm. Teraz opiniuje się linię montażową leopardów w zakładach Kraussa-Maffeia. Merlin przypomina sobie celtyckie czarodziejskie zaklęcia, a Drozdobrody wydaje polecenia, dyktuje terminy dostaw.

Tymczasem na lotnisku Ren-Men pomiędzy skorą do podróżowania publiczność wmieszały się szykownie ubrane czarownice i egzotycznie wyglądający dzicy mężowie: widzimy ich na ruchomych schodach, przy odprawie i w uniformach stewardes. Tu i tam w sklepach samoobsługowych Pani Zima sypie pierze z poduszek w kolorowe kwiaty. Z dachów wysokościowców, na których piętrach rozsypywał igły, Dzielny Krawczyk spuszcza nici ze swojej wielkiej szpuli.

Krótko mówiąc: wszędzie tam, gdzie do głosu dochodzi zmysł zarobkowania, odkrywa się lukę na rynku, pobudza się zainteresowanie i obserwuje się tendencję wzrostową produktu narodowego brutto, przystępują do destrukcyjnej działalności siły tu rozsiewające, tam skrapiające, nie pozostawiając nie zauważoną żadnej szczeliny w systemie. Rzadko kiedy dokonano staranniejszego przeglądu mechanizmu gospodarki rynkowej.

Bezgłośnie i bez potrzeby uciekania się do pomocy napisów mamrocze się zaklęcia i krzyżuje palce. Dzielnemu Ołowianemu Żołnierzowi, przebranemu w odpowiednie mundury, udaje się wejść na zamknięte tereny wojskowe Bundeswehry i sprzymierzonego supermocarstwa. Ponieważ nagle awansował na wysoki stopień, witają go komendanci garnizonów. Głaszczce czołgi, działa, silosy rakiet, jest gościem na szybkich okrętach wojennych. Jako drugi pilot wsiada do ponaddźwiękowych samolotów. Ma nawet prawo wertować tajne akta i wszędzie, również w ministerstwie obrony, zostawia

parę drobiazgów wielkości ziarenka; tak roztargniony jest Dzielny Ołowiany Żołnierz.

I już siła przeciwdziałająca daje o sobie znać: najpierw z ociąganiem, jak gdyby nowa wiosna nie miała odwagi, potem prędko i raptownie. Z początku zadziwiające są tylko zmiany roślinne, potem rozpętane rośnięcie wywołuje ludzkie zbiegowiska.

Rośliny wyrastają z kominów fabrycznych i filarów mostowych, krzewią się i wybijają. Nawierzchnie autostrad pękają i przepuszczają wijące się szybko pnąca. Z taśm produkcyjnych, silników, schodów ruchomych, szybów wind, automatów i kas w domach towarowych wytryskuje ziele. Wieże chłodnicze atomowych elektrowni zostają nawiedzone przez mchy i porosty, podobnie jak gotowe do akcji czołgi i samoloty ponaddzwiękowe. Algi powlekają na zielono fregaty i krążowniki rakietowe aż po radar, jak gdyby wszystkie okręty wojenne, co i tak jest im sądzone, przedwcześnie zatoneły. Rośliny pnące wspinają się po masztach wysokiego napięcia, wieżach telewizyjnych. Lufy dział wypuszczają pączkujące, potem wielolistne gałęzie. Dworce stają się cieplarniami. Lotnisko Ren-Men zalewa wściekła zieleń. Wszystkie okna ministerstw i dyrektorskich gabinetów rzygają zielenią, zieleni wciąż przybywa.

Bujność! Natura wszędzie staje okoniem. Przychodzą jej do głowy osobliwe, nieznane przedtem rośliny, w tym takie, co kruszą beton, rozwalają mury, wyginają stalowe rury, takie, co zżerają kartoteki, i nawet takie, których przyssawki wymazują dane. Mchy i porosty rozsadzają bank. Z parkietów strzelają w górę kolonie grzybów. Litery wysokości człowieka, które tworzą nazwę firmy, wypuszczają ablegry i stają się nieczytelne. Natura nieodparcie bierze górę. Nie ma już komunikacji w żadnym kierunku. Nie ma dymu z kominów. Nie ma spalin, ciężkiego powietrza. Wystraszeni początkowo ludzie nagle są weseli i mają czas.

Między unieruchomionymi zakładami produkcyjnymi, które przerodziły się w ogrody botaniczne, i po skąpanych w zieleni autostradach przechadzają

się grupki i grupy. Niektórzy tu zrywają kwiaty, tam odkrywają grzesznie słodkie owoce. Chłopcy i dziewczynki wdrapują się na pnącza. Zakochane pary zamieszkują w ogromnych truskawkach. Ten owoc wszędzie zaprasza do zabaw mających głębszy sens. Ogród rozkoszy stoi dla wszystkich otworem.

Toteż kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy na zarośniętych placach trzymają tablice i transparenty, na których można przeczytać: „Cała władza w ręce baśni!” – „Oddychaj głęboko, znowu warto!” – „Grimmobracia powinni rządzić nami!” – „Nareszcie właściwy wzrost!” – „Żądamy baśniowego rządu!”

Podczas gdy my widzimy wszędzie ludzi, którzy z ochotą oddają się nieróbstwu, obraz zwęża się do rozmiarów ekranu cudownego lusterka. Również w Domku z Piernika panuje radość. Ramię w ramię: Zła Macocha i Czarownica. Jak nigdy przedtem, Jaś i Małgosia mogą być dziećmi. Kilka baśniowych postaci wróciło po wykonanej pracy. Nie tylko Bezręka Dziewczyna, nawet Jorinda i Joringel uśmiechają się. Tylko Grimmobracia potrząsają głowami z powątpiewaniem. (Także nasz pan Matzerath. Jak tylko wróci z Polski, będzie wysuwał wątpliwości.)

„To prowadzi do chaosu i nierządu! Musi jednak istnieć pewien porządek. I to ustanowiony przez państwo albo przez Boga. Tak dalej nie może być!” Wołają na zmianę Jacob i Wilhelm Grimmowie.

Po pewnym wahaniu Żabi Król wraz z Damą, Śnieżka i budzący pocałunkami Księżę zgadzają się z Grimmobraćmi. Zachecony przez Śnieżkę Księżę mówi: „Uważam, że już pora, bym zbudził pocałunkami moją Śpiącą Królownę”.

Liczyrzepa grozi Księżciu spoliczkowaniem. Czarownica i Małgosia są gorzko rozczarowane postawą Żabiego Króla. Ponieważ Księżę chce uciec, Titelitury podstawia mu nogę. Zarówno Zła Macocha, jak i Czarownica wyciągają ręce po niego. Zanim zdążą go złapać, Księżę na polecenie Jasia zostaje przez pozostałych Karzełków związany kosmykiem włosów

Rozpunkki i położony obok kukły ze słomy, mchu i liści, która ma przypominać Śpiącą Królową; on natychmiast całuje kukłę. Karzełki rzucają się na Śnieżkę, chcą ją zaciągnąć w krzaki.

Grimmobracia są oburzeni. Zawsze brzydzili się gwałtownością i duchowym okrucieństwem. „Powinniście się wstydzić!” woła Wilhelm. A Jacob Grimm woła: „Może i nam nie dacie odejść?”

Siedmiu Karzełków puszcza co prawda Śnieżkę, ale tupie i wygraża pięściami. Liczyrzepa nadyma się na wściekłego ducha gór. Czarownicy żółkną oczy. Jaś i Małgosia mówią: „Puśćcie Grimmobracy”. – „Oni utworzą nowy, dobry rząd”.

O to spierają się baśniowe postacie, które tymczasem w komplecie znalazły się przed pensjonatem. Siedmiu Karzełków, wspieranych przez złe wróżki, agituje przeciw. Dobre wróżki, Żabi Król i jego Dama, Pani Zima i w końcu także król Drozdobrody są za. Podczas gdy w cudownym lusterku pomnaża się napis na wstędze: „Grimmobracia do władzy!”, w Domku z Piernika dzięki postawie Złej Macochy zarysowuje się odpowiednia większość. Tylko Titelitury, Dzielny Krawczyk, Karzełkowie i złe wróżki są na nie. Wielu jest jeszcze niezdecydowanych. Ręce Bezręknej Dziewczyny grają w kamień papier nożyce. Czarownica rzuca kosteczki. Liczyrzepa dłubie w nosie. Babcia Czerwonego Kapturka woła znad słownika: „Tu jest napisane: głosować!”

Zatem wyraźna większość głosuje za „puszczeniem”. Dobre i złe wróżki naradzają się. Wreszcie trzy dobre wróżki krwią z palców spisują na liściach lilii wodnej żądania baśniowych postaci: „Dobre powietrze! Czyste wody! Zdrowe owoce!” Jak prosto, jak skromnie to brzmi.

Dobre wróżki demonstrują swoje żądania tańcem. Grimmobracia przyjmują liście lilii wodnej jak dokumenty i obiecują utworzyć dobry nowy rząd. „Odtąd baśnie powinny współdecydować!” woła Wilhelm.

Prowadzeni przez trzy dobre wróżki opuszczają polanę wokół Domku z Piernika. Kilka baśniowych postaci macha im na pożegnanie. Inne są

zamyślane. Żabi Król wchodzi do studni. Dama kładzie się. Żabi Król wskakuje na jej czoło, chce potem przenieść się na dziecięce, na czarownicze czoło; ale Czarownica nadal jeszcze rzuca kosteczki, a Małgosia ponuro stoi z boku.

Ręce Bezrękiej Dziewczyny zaczynają ponownie grać ze sobą w kamień papier nożyce. Budzący pocałunkami Księżę jak szalony całuje kukłę. Babcia Czerwonego Kapturka czyta Wilkowi słowa z minionego czasu. Wszyscy mają nadzieję, że ta baśń dobrze się skończy.

– Protestuję! Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Czarno widzę, co będzie z filmem. Cała historia – woła – bierze zbyt katastroficzny obrót. Po cóż ta nie umotywowana tolerancja! Grimmobracy za nic nie można puścić ot tak sobie.

Oto jest i wtrąca się. Chce być znów szefem i producentem. Przy tym podróż do Polski nie posłużyła mu. Postarzyła go. Stoi już nie dziarski, tylko okłapy, i unika lustra. Jego markotne spojrzenie pełne jest wewnętrznej udręki. Co prawda nadal jest w szytym na miarę garniturze, ale ubranie wisi na nim jak worek. Co mogło się w drodze przydarzyć naszemu panu Matzerathowi?

Ledwie ruszył w drogę powrotną, zaczęły się dolegliwości. Kiedy gwałtowne parcie na mocz zmuszało do wyteżonego załatwiania się co pięćdziesiąt kilometrów, potem w krótszych odstępach, ilekroć po lewej czy prawej stronie szosy ukazywały się zarośla, nasz pan Matzerath jeszcze przypuszczał: „To są emocje, spotkanie, pożegnanie, coś takiego rzuca się na pęcherz”. Ale kiedy po południu mercedes zbliżał się do zachodniej granicy Polski, do rzeki Odry, a siusianie stało się męką, sprawiało ból, wreszcie, chociaż parcie na mocz nie ustępowało, pozostawało – nie licząc paru kropel – bez rezultatu, Bruno zaniepokoił się nie tylko jako szofer: – Jak już dojedziemy na Zachód, panie Oskarze, będziemy musieli w Brunszwiku, najpóźniej w Hanowerze, pójść do lekarza.

Choć siedział miękko, wygodnie, nasz pan Matzerath męczył się przez całą NRD. Pot na czole. Jego paluszki bębniły albo obejmowały drżące



kolana. To przemożne parcie, ten lęk, że zleje się w spodnie.

W dodatku częste zatrzymywanie mercedesa na odsłoniętej trasie, te daremnie zawzięte próby przy autostradzie, za krzaczkiem, nasiusiania choćby trochę, choćby tyle, ile mieści się w kieliszku do likieru, wzbudziły podejrzenie patrolu policji ludowej, tak że po zarządzonym stopie przesłuchanie przerodziło się w dręcząco długi pobyt: policjanci z drogówki nie chcieli pojąć, że pasażerowi mercedesa, któremu zresztą brakowało mercedesowskiej gwiazdy, mogła się przyplątać tak banalna dolegliwość. Drobiazgowo protokołowali wszystko, także zlokalizowaną w Polsce kradzież symbolu, kiedy jednak nasz pan Matzerath poprosił protokołującego, żeby był naocznym świadkiem jego dolegliwości, po krótkim ociąganiu życzyli szczęśliwej podróży.

Jak to dobrze, że kontrola na granicy przebiegła niedbale. Nie w Brunshwiku dopiero czy zgoła w Hanowerze, w Helmstedt o nocnej porze poszukało się szpitala miejskiego i – dzięki węchowi Bruna – bez dłuższego błądzenia znalazło. Pacjent był spłoszony i bliski płaczu, kiedy lekarz dyżurny obmacał mu podbrzusze i zaraz wezwał urologa, który osłoniętymi palcami zbadał nagły przypadek także przez odbyt.

Wiem to wszystko z pierwszej ręki. Wystarczająco często opisywał swoje niedomagania. Tylko co powróciwszy z Polski szukał mego ucha: – Miałem się za wesołego i zdrowego. A tutaj to. Choroba dziadków. Dolegliwość starców. Urolog mówił o skrajnie powiększonej prostaty. Pan rozumie: to gruczoł krokowy. Potrzebny jest zabieg, operacja, i to w niedługim czasie. Albo pętlą trąc, zmniejszając przez cewkę moczową, albo po rozcięciu brzucha radykalnie.

W Helmstedt założono naszemu panu Matzerathowi tylko cewnik jednorazowy, który przyniósł mu ogromną ulgę, choć sam zabieg był przykry.

Dokładnie tysiąc czterysta siedemdziesiąt mililitrów moczu wypełniało, nie, przepełniało jego pęcherz. Urolog – „młody, ale znający się na rzeczy” –

był zdziwiony mnóstwem spływającej cieczy, ale nie dał wiary wyjaśnieniu: „To te emocje w Polsce, panie doktorze, sto siódme urodziny mojej babki, to wzruszające spotkanie”. Tu chodzi nie o przejściowe zatrzymanie, jakie występuje często po odpustach, lecz o chroniczne niedomaganie, wobec czego prostatę należy zmniejszyć w najbliższym czasie.

– Nie przed moimi sześćdziesiątymi urodzinami! – zawołał jeszcze przedtem nasz pan Matzerath. Tymczasem wyposażono go w stały cewnik. Odtąd, pomijając owo brzydtko dyndające obce ciało, prawie wcale nie odczuwa dolegliwości. Mimo to nie omieszkał odwiedzić kilku lekarzy – „same sławy!” jak mówi – od każdego z nich na próżno oczekując uchylecia wyroku. Udziela mi rad, zaleca wystrzegać się kawy, alkoholu, zwłaszcza białego wina i zimnego piwa, ale kiedy wypytuję go o szczegóły podróży do Polski, robi się małomówny, wręcz mrukliwy.

Wyłapuję co najwyżej strzępy zdań: „Ta tragedia »Solidarności« nie chce się skończyć... Spory przenoszą się również na grunt rodzinny... Wciąż ta polityka... To nie dla Kaszubów... Źle to się skończy... I we wszystko wciągają Najświętszą Pannę... Prawdopodobnie to przejęcie się losem Polski rzuciło mi się na pęcherz”.

Kiedy dopytywałem się bardziej wprost o sprawy rodzinne, odpowiadał zwięźle: Owszemowszem, babka ma się dobrze. Ze wszystkich prezentów, zwłaszcza ze smerfów, cieszyła się jak dziecko. Rozważa nawet – proszę sobie wyobrazić – odbycie podróży. Sześćdziesiąte urodziny wnuka, jak powiedziała, „mogłyby mnie skusić”.

Oczywiście nie mówię naszemu panu Matzerathowi, że go już nie ma; niech dalej zachowuje się tak, jak gdyby był szefem. Inni – nawet ja – też uważają, że jakoś to będzie. Toteż nie musi wiedzieć, jak to na Kaszubach naprawdę wygląda. Wystarczy tego złego, że wrócił z cewnikiem.

Gadamy więc o *Lasach Grimmów* i o fałszywych pięćdziesiątakach, kiedy to z Malskatem na rusztowaniu wszystkie fałszerstwa były w wysokiej cenie. Nienie! Nigdy nie powinno dotrzeć do jego uszu, że istnieje on już tylko,

maleńki i zasuszony, jako ołtarzowa ozdoba, służąca szczurom do modlitw; bo wszyscy lekarze mówią: Żadnych emocji! Naszego pana Matzeratha trzeba oszczędzać.

Że jesteśmy muzykalne, o tym każdy chyba wiedział; fałszem natomiast i głupim przesądem była owa rozpowszechniona przed Wielkim Bum-Bum i pleniąca się jak zielsko opinia, że szczególnie miły jest nam ton fletu, że fujarka czy piszczałka ma dla nas przyciągającą moc, że wystarczy, by zjawił się ktoś ze zręcznymi palcami i wyćwiczonymi ustami, zagrał na swoim instrumencie, wydobył z niego tryle i szybkie pasaże, a już byłybyśmy gotowe podążyć za nim, często przywoływanym szczurołapem, i ślepo biec na starannie przygotowaną nam zgubę, na przykład potopić się marnie w rzece Wezerze.

To było jeszcze za czasów szczura domowego. Kochaniutki, powiedziała do mnie szcurzyca, jak mówi ostatnio panie lub panku. Jej nowy sposób mówienia czyni mi jej szcurzyznę bardziej swojską, ponieważ dotychczasowe syczenie zatraciło ostrość i stało się z wiejska rozlewne. Kochaniutki, powiedziała, o Hameln i tak dalej pogadamy później. W tej legendzie nie ma ani źdźbła prawdy. Ale prawdą jest, że nam, szczurom, udaje się wysoki dźwięk, niemożliwy do usłyszenia przez ludzkie ucho i do uzyskania przez jakikolwiek instrument, czy to piszczałkę, czy skrzypce, dźwięk, który przenosi wiadomości na dużą odległość i którego sekwencje zresztą u schyłku człowieczego czasu mierzyli badacze za pomocą ultradźwięków, mianowicie w Bostonie, USA.

Szcurzyca zaszpanowała trochę: Nasz system info! Potem powiedziała: Dałoby się jednak też – jeśli chcesz, panku – porównać nasze dźwięki z ową śpiewaniną, jaką twoje kobiety – powiedziała: babsztyle – płynąc statkiem na poszukiwanie zatopionego miasta podobno słyszały jako śpiew chełbi modrych. Mówiły co prawda o śpiewie meduz, ale była też mowa o muzykalnym papieżu jako wzorze chełbiego śpiewania. Otóż nasze dźwięki, gdyby przetransponować je na słyszalną tonację, mogłyby przypominać

śpiew gregoriański, zwłaszcza że muzyka sakralna ludzkiego rodzaju zawsze była nam droga.

Wydawało mi się, że słyszę wzbierającą psalmodyczną melodię, podczas gdy szczurzyca przemawiała do mnie: Już w czasach wczesnych chrześcijan śpiewaliśmy z nimi – choć oni nas nie słyszeli – w ich schronach, katakumbach. Z nimi dopracowaliśmy się naszego *Kyrie*. Z nimi byliśmy pobożne. I z nimi stałyśmy się na setki lat przedmiotem oszczerstw i prześladowań. Gdybyż utrzymała się ta harmonia: my dostrojone do nich, oni do nas. Ach, ich wyćwiczone chóry! Ach, ich wielogłosowość. Ze szczególną żarliwością do samego Bum-Bum śpiewali osiadli tu Polacy, toteż nasz śpiew, który coraz częściej wypełnia kościół główny Marii Panny aż po sklepienie, nie jest wolny od pewnego, przypisywanego ludowi Polaków, uniesienia.

Nienie, panku! Nie ma powodu obawiać się nacjonalistycznych podtekstów. Pamiętamy co prawda, że po polsku szczur nazywał się kiedyś szczurzec – i tak nazywamy się żartem, albo jeszcze czulej: szczurzychą – ale naturalnie nie jesteśmy polskimi szczurami. Takich nie było i nie ma, jak nie było i w postczłowieczych czasach szczurów portugalskich czy węgierskich, chociaż człowiek, ulegając manii nazywania wszystkiego, nazwał nas – nikt nie potrafi powiedzieć dlaczego – *rattus norvegicus*. Ale mimo to troszkę polskie jesteśmy, w tych stronach na pewno. Na przykład nasze upodobanie do rzeczy słodko-kwaśnych i przyprawionych kminkiem można wytłumaczyć panującym tu dawniej smakiem, w związku z czym my, obok głównych ziemiopłodów, z powodzeniem uprawiamy ogórki, dynie i kminek; w naszych schronach znalazły się torebeczki z nasionami również tych roślin. Zakładamy hodowle pleśni i grzybów. Dodając lekką zgniliznę otrzymujemy słodko-kwaśność. Także charakterologicznie jesteśmy ukształtowane na polską modłę. W przeciwieństwie do przybyłych, nie, ściślej, przesiedlonych z Zachodu szczurzych plemion, które starają się zawsze we wszystkim zaprowadzić system, żyjemy bardziej beztrosko, ale nie bez dręczącej,

niektórzy mówią: zawziętej powagi. Oczekujemy czegoś. Nasze modlitwy są przeładowane tęsknotami. Coś wyższego, czego nie ma, jeszcze nie ma – Polacy nazywali to kiedyś wolnością – staje nam jakby uchwytne przed oczami...

To jest bzdura! Niedorzeczność! Szczurzyca przerwała sobie. Naturalnie nie ma polskich i niemieckich szczurów. Na to różnice są za małe. Tylko na powierzchni naszego szczurzego bytowania bywamy przeciwstawne sobie, jak w czasach głodu, kiedy z taką zaciekłością rzuciłyśmy się na sprawy religijne. Pewnie: one są rozpieszczone i lubią wyliczać, co też miały i straciły na bogatym Zachodzie. Ubolewają i zbyt głośno i zbyt często chwalą naszą skromność. Ich aktywność jest niestrudzona. Trudno też odzwyczaić je od skłonności do przemądrzalstwa; ale są sprawy, na przykład jak zorganizować przechowywanie ziarna siewnego, na których znają się lepiej. Jako że wolność nie jest dla nich zbyt ważna, są porządniejsze od nas, mając nieraz na tym punkcie bzika. Że zaczęły na terenie portu rozwijać fachowe zainteresowanie urządzeniami stoczniowymi, to jeszcze ujdzie, kiedy jednak zaczynają sortować i mozolnie odrdzewiać śruby i śrubki, łożyska kulkowe, gwinty i sworznie, do tego gadają chętnie o swoim magazynie części zamiennych, to pyszałkowatość wydaje się śmieszna, zwłaszcza że wydrwiwają nasz swobodny, ale nie pozbawiony zręczności sposób obchodzenia się z metalowymi znaleźskami; to, co montujemy w twory jakoś tam artystyczne i wystawiamy na pokaz przed Dworem Artusa albo na przedprożach Mariackiej, bywa często swawolnie niszczone.

Nie powinnyście tego brać tak poważnie, wtrąciłem. W gruncie rzeczy szczury niemieckie cierpią przez tę swoją obsesję na punkcie porządku. Podziwiają waszą lekką rękę, dar improwizacji, wrodzony wam zmysł artystyczny. Naprawdę godne obejrzenia te figurki ze złomu!

Ach, co tam! odrzekła szczurzyca. To tylko tak dla zabicia czasu, dla zabawy. Ale również nasze poważne wysiłki nie są uznawane. Bądź co bądź troszczymy się o stare budowle, których stan jest im obojętny. Bez naszej

metody sporządzania odpornej na czynniki atmosferyczne zaprawy z wapna, pozyskiwanego przez nas z muszli znajdujących w naniesionych piaskach, i z piasku, przywiewanego na ulice przez ciągły wiatr, historyczna substancja budowlana gdańskiego Głównego i Starego Miasta podupadłaby jeszcze prędzej. A one uzurpatorsko mówią o naszym Danzigu. Gdyby nie stały napływ pozostałych plemion szczurzych z Rosji, gdzie według wszystkich relacji sytuacja nadal wygląda marnie, tutejsze konflikty, powiedzmy spokojnie: niemiecko-polskie antagonizmy, mogłyby się ponownie zaostrzyć. Jak to dobrze, że są Rosjanie, nie tylko tamte i my. Wiadomo, do czego to prowadziło za czasów rodzaju ludzkiego i jeszcze w czasach postczłowieczych; bo kiedy w okresie głodu brałyśmy się za łby, nie tylko mówiło się z zapałem o prawdziwej wierze, ale padały też wyzwiska: Wy, Polaczkanie! Wy, Prusaczyska!

Ach, jak to dobrze, panku, zawołała szczurzyca, że nas wszystkie, odkąd uprawiamy rolę i jak jeden mąż nie boimy się już światła dnia, jednoczy przesuwka. Nasza mowa dostosowuje się do nowych czynności i nawyków. Powiedz, kochaniutki, nie zauważasz, że ostatnio mówimy miękcej, bardziej palatalnie? Nie ma już falsetowania, syczenia. Udają się nam nawet niskie i szerokie dźwięki. Końcówki „-ość” i „-cja”, nowe słowa jak siej ba, mierzwa, ogórek, ziarno i nie na ostatnim miejscu słonecznik wychodzą płynnie i dźwięcznie. Nasze ostre dawniej, syczące głoski stały się pełniejsze, ale i bardziej płaskie, rozciągnięte. Bierze się to stąd, że tak często rozmawiamy o zbiorach, zasiewach i nieustannie o pogodzie. W regionach wiejskich mówi się szczególnie rozlewnie. W miejskich rewirach wytwarzają się dźwięki pośrednie. Tam A, O i U wychodzą melodyjnie. My ćwiczymy takie słowa jak: żałość, bruzda i zorza.

I usłyszałem szczury gadające po miejsku i z wiejską wymową. Na wsi jak i w mieście mówiły na ogon chwest lub chwest. Kiedy była mowa o okresie zimna po Wielkim Bum-Bum, brzmiało to: Jak odzieżba beła, to wszystkim nasielnie zaskwierala. Dżdżawy to znaczyło deszczowy, a farbisty to

kolorowy. Prastarą nazywały starką albo starzuchną. Brzmiało to miło i swojsko, jak gdyby to sposób mówienia Anny Koljaickowej pomógł wiejskim i miejskim szczirom dojść do przesuwki. Szczurzyca powiedziała: No, kochaniutki, nie chciałbyś ty posłuchać, co to w kościele na dożynki my ćwiczymy?

Pokazawszy mi, prócz kilku rzeźb ze złomu, które – stworzone na obraz człowieka – stały wystawione na Długim Targu, kolumny robocze, których zadaniem było umocnienie kruszących się staromiejskich murów wapienną zaprawą, szczurzyca wciągnęła mnie do wnętrza kościoła Marii Panny, jak gdybym musiał raz za razem być prowadzony do tej stodoły dusz, gdzie każde słowo nabiera doniosłego znaczenia.

Kamienna posadzka i wpuszczone płyty nagrobne starogdańskich patrycjuszowskich rodów były zakryte, tak ciasno tłoczyły się zgromadzone szczurze plemiona. To, co rozpoczęło się przepelnione bólem, potem przeszło w radość, dudniący nisko i w wysokim rejestrze srebrzysty śpiew, zaintonowany najwidoczniej przez kilka chórów, bo był kunsztownie przeplatany, wypełniało halowy kościół aż po siatkowe sklepienie sięgających wysoko, szukających swego zwornika filarów.

Szczurza msza u Marii Panny już się zaczęła; a może nie miała początku ni końca? Od zachodniego wejścia aż po odległy ołtarz główny, na którym, jak wiedziałem z wcześniejszych snów, zasiadali godni uwielbienia, skurczeni i wysuszeni, ale nadal jeszcze rozpoznawalni Anna Koljaickowa i u jej stóp, spowity przez łamliwe spódnice, jej wnuk Oskar, poruszały się szczurze plemiona, posłuszne śpiewanemu rytmowi. Prostował się jeden wielki szczurzy lud. Wszystkie szczury powstawały jak jeden. Stały na tylnych łapach, unosiły szczurze pyski z wibrującymi wąsami wysoko ku sklepieniu, nie składały jednak przednich łap do modlitwy, tylko wyciągały filigranowe szponiaste dłonie, jakby ogarnięte tęsknotą, a tymczasem ich polichóralny śpiew zatracił się również w tęsknym brzmieniu. Nawet ich ogony sterczały pionowo, pnąc się do nieba. Potem zwierzęta opadły z

powrotem na cztery łapy i ukazywały, jak długa trzynawowa hala, krągłe szczurze grzbiety. Wszystkie schowały ogony pod siebie. Ćwiczyły pokorę, aby wyprostować się ponownie jako wielotysięczny szczurzy lud, z błagalnie tęsknym gestem.

I kiedy tak patrzyłem, jak modlą się i błagają – stare, ziemistozielone szczury całkiem z tyłu, młode, jeszcze cynkowozielone bliżej ołtarza – wydało mi się, że nie modliły się już po katolicku, lecz na sposób pogański; również owe ziemiopłody, które jako dary ofiarne leżały zgromadzone na ołtarzu, zasłaniały wszystkie dewocjalia, choćby różaniec Anny Koljaickowej i kuty w żelazie napis. Jedynie smerfy i złote dukaty były jeszcze widoczne. Prócz tego co zwykle tym razem ogórki i dynie. Dominowały jednak słoneczniki. Bujne kosze owoców do tego stopnia przesłaniały też wiszący nad ołtarzem krzyż, że ukrzyżowanego Syna Człowieczego można było się tylko domyślać.

Nie! krzyknąłem. Tego nie możecie robić! To pogaństwo, bałwochwalstwo, bluźnierstwo...

Szczurzyca szepnęła: Cicho, panku. Nie widzisz, jak one błagalnie zaklinają słońce...

Ale proszę cię, szczurzyco, czy nie chcecie stać się znów chrześcijanami, a jeśli nie chrześcijanami, to przynajmniej znów katolikami...

Wasze kościoły halowe, powiedziała, przeznaczone są dla rozmaitych wiar i jakby stworzone dla nas...

Ale ja tego nie chcę! zawołałem. Nie mogę już słuchać tych jęków i lamentów. Wiara nie była nigdy moją mocną stroną. Gwiżdżę na wasze nadzieje. Poza tym naszemu panu Matzerathowi trudno by było występować w roli miniaturowej i zasuszonej ozdoby waszego szczurzego ołtarza, skoro przecież wrócił do domu, przed paru dniami we własnej osobie przyjechał z Polski. Podróż, spotkanie, pożegnanie dały mu się we znaki. Zbyt duży ucisk, który nie znajduje ujścia, stwarza mu problemy. Od tego czasu musi chodzić ze stałym cewnikiem. To jest uciążliwe, przykre dla niego. Ale babka chce go



odwiedzić, jak będzie obchodził sześćdziesięciolecie. Słyszysz, szcurzyco, chce swego Oskara odwiedzić osobiście...

Taktak, odrzekła, ty ciągle wymyślasz dalszy ciąg swojej historyjki.

A potem, a potem?

Potem przyszła reforma walutowa.

A po niej, co przyszło po niej?

To, czego przedtem brakowało, przychodziło cudownie jedno za drugim, przeważnie na raty.

A jak to się toczyło dalej, kiedy było już wszystko?

Sprawiliśmy sobie dzieci i dodatki.

A dzieci, co robiły potem dzieci?

Zadawały głupie pytania, co było przedtem

i potem, i później?

I co? Opowiedzieliście wszystko?

Przypomnieliśmy sobie

plażową pogodę latem trzydziestego dziewiątego.

Co jeszcze?

Ciężkie czasy po niej.

A potem i później?

Potem przyszła reforma walutowa.

*ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, w którym podczas uroczystości zrywa się burza, nasz pan Matzerath się trzyma, szcurzy ca przypisuje dryfującemu wrakowi tajemnice, Księżę ucieka, referuje się nowiny z Hameln, stłoczone szcury są pełne oczekiwania, poczta nie przynosi wiadomości z Travemünde, ale na rozpoczęcie nowej epoki biją dzwony.*

To jest moje morze, do którego przylega wiele krain, od Tallina i Rygi krajów bałtyckich na wschodzie po zatoki i zalewy na zachodzie, z kościołami Marii Panny w Lubece, Stralsundzie i Gdańsku, katedrami w Schwerinie i Szlezwiku, także z kościołem Św. Jana w Stege na Møn i pobielonym kościołem w Elmelunde, w wielu miastach Danii, potem wzdłuż plaż Skanii, wzdłuż usianych skalistymi wysepkami wybrzeży Szwecji, w Ystad i Sztokholmie, nawet hen nad Zatoką Botnicką, na fińskim brzegu, jak daleko na północ zapuszcza się Bałtyk, na wyspach: Bornholm, Gotlandia, Rugia, w płaskiej czy pagórkowatej głębi kraju, wszędzie tam, gdzie wypalano cegłę, obfitość katedr i kościołów halowych, ratuszów i zbrojowni, do tego mnogość fundowanych szpitali Świętego Ducha i dworów bractwa Świętego Jerzego, klasztorów cystersów i franciszkanów, które wszystkie, nie tylko hanzeatyckie budowle w regionie Wieleckim, zaliczają się do ceglanego gotyku i otaczają moje morze, słabo zasolone, łagodne, podstępne, bogate w chełbie Morze Bałtyckie. W dodatku każda budowla jest zapchana skarbami kultury. Tutaj za cenne uchodzą stalle prezbiterium, tam srebra ołtarzowe. Głupio zarozumiałe napisy pod herbami patrycjusza wmawiają sobie pokorę wobec Boga. Ponad miarę smukłe Madonny wydają się jednak brzemienne. Warte obejrzenia są ołtarze skrzydłowe i rzeźbione w drewnie sceny Ukrzyżowania, również narzędzia katowni; a czasem zaskakują resztki zadziwiających malowideł ściennych.

O katedrze w Szlezwiku nad Schlei, której obrazy na tynku aż po krużganek gotyckimi uczynił na nowo malarz Malskat, już opowiadałem. Że to podobno on namalował gotyckie freski pod lektorium w lubeckim szpitalu Świętego Ducha, jest do dziś kwestią sporną. Ale pewne jest, że uwija się najpierw w środkowej nawie przy ciągach okiennych, potem wysoko pod sklepieniem prezbiterium owego kościoła Marii Panny, który mimo rozmiarów francuskiej katedry uchodzi za kolebkę ceglanego gotyku i którego siedemsetlecie się zbliżało.

Malskat musiał się spieszyć. Pracodawca Fey pilił. Już rozebrano rusztowanie w głównej nawie. Przewidziane były wielkie uroczystości. Wydrukowano nawet w milionowym nakładzie i sprzedawano okolicznościowe znaczki dwójakiej wartości – za piętnaście fenigów matowozielony, za dwadzieścia pięć rdzawobrazowy, oba przedstawiające namalowaną przez szybkiego malarza scenę Zwiastowania – w związku z czym zbliżające się siedemsetlecie nabrało większego znaczenia, a lubeckie władze kościelne miały dodatkowy dochód.

Czarne surduty zainkasowały sto osiemdziesiąt tysięcy wciąż jeszcze lśniących nowością marek, natomiast malarzowi, który przez cały czas, kiedy interes kwitł, stał wiecznie zakatarzony wysoko na rusztowaniu, owe znaczki, mające dzisiaj wśród zbieraczy wyśrubowaną, jak przypuszczam, nieprzyzwoicie wyśrubowaną cenę, nie przyniosły złamanego grosza. On, twórca sceny Zwiastowania, której siłę wyrazu chwalili zgromadzeni znawcy, został z pustymi rękami.

Uwolniony od wszelkich interesów: łatwo można by było o nim zapomnieć, tak osamotniony wysoko w górze był Malskat, zaprzątnięty myślą, której, jak czerwia, nie dawało się odegnąć. A kiedy pierwszego września pięćdziesiątego pierwszego roku odbywały się wreszcie uroczystości w lubeckim kościele Marii Panny, nasz nie cierpiący na zawroty głowy malarz, któremu przez trzy lata, najpierw w głównej nawie, potem w prezbiterium, robota paliła się w rękach, nie siedział jednak w centrum

uroczystych zdarzeń, między zaproszonymi gośćmi i dostojnikami, gdzie jakby nigdy nic siedział jego pracodawca, nie, na samym końcu kościelnej nawy, pośród pospólstwa znalazł miejsce w przedostatnim rzędzie; tak widzę go i zadaję sobie pytanie, czy myśl, raz powzięta, wciąż jeszcze drąży. A z daleka spoglądało nań jego dwudziestu jeden świętych z prezbiterium, którzy w siedmiu grupach po trzech stali na wymalowanych wspornikach filarów, częściowo w rozsuniętych na boki spiczastych trzewikach, częściowo boso.

Bliżej Malskata, który trwał nieruchomo na swej tylnej ławce, stało wielu świętych ze środkowej nawy. Każde przesło ciągów okiennych świadczyło o nim. Mając do dyspozycji resztki farb, które rozpylały się przy najlżejszym dotknięciu, zachowane do ostatka ślady, ale przede wszystkim własną wyobraźnię, za fenigową zapłatę wyczerpał wszystkie dostępne sobie źródła. Pusty, wydrenowany siedział Lothar Malskat na tylnej ławce. Siedział w starym ubraniu Dietricha Feyta, które ten nosił w Szlezwiku za krążankowych czasów. Spodnie za krótkie, marynarka w ramionach za ciasna. Uwierało go, taki siedział ściśnięty. Jako żalosne straszdyło widzieli go pewnie z góry wszyscy święci; i jako spóźnionego konfirmanta widziała go z daleka, z czołowej ściany prezbiterium, jego Madonna z Dzieciątkiem. Stała się ona tymczasem sławna i zdołała w postaci reprodukcji ów okazały tom historyków sztuki, który nie wymieniając Malskata wyniósł malowidła ścienne kościoła Marii Panny w Lubece na wyżyny cudu.

Śmiał się w duchu. Przecież Madonna, chociaż jej kontury były jakby nadgryzione zębem wieków i upstrzone białymi wysepkami zaprawy, miała szczególny wyraz: był on nieposkromiony, cierpki, o zawołanej słodczy. W czasie przerwy śniadaniowej w maju pięćdziesiątego – w tym czasie zniesiono racjonowanie ostatnich artykułów żywnościowych – namalował sławną teraz Madonnę z Dzieciątkiem pochłonięty bez reszty myślami o aktorce filmowej, która poprzedniego wieczoru objawiła mu się w kinie – grali *Wesołą stację benzynową* – z całą świeżością, jakby nigdy nie było wojny.

Podczas gdy Malskat jeszcze śmiał się w duchu, z kazalnicy do wszystkich, ale zwłaszcza do kanclerza Adenauera, który siedział jak wyrzeźbiony w drewnie, przemawiał biskup Pantke; nie był to ten, którego diabeł namówił do umieszczenia w sklepieniu prezbiterium zwornika w kształcie swastyki, lecz sędziwy człeczyna, który przemawiał do zaproszonych gości i dostojników, a pewnie też do pospólstwa z tylnych ławek.

Jak nie wiem, co też w trakcie mowy biskupa skłaniało Malskata do wewnętrznego śmiechu, i mogę tylko przypuszczać, że była to aktorka filmowa jako Madonna albo drążąca go myśl, tak też nie wiem, co myślał sobie kanclerz Adenauer, kiedy dochodziły do niego słowa kazania biskupa Pantke. Owi zasiadający wokół niego tłuści goście i dostojnicy, którym do twarzy było z niewinnością, chyba nie dawali mu powodu do rozmyślań, można jednak bodaj przypuszczać, że martwił się o ponowne uzbrojenie nie tak dawno rozbrojonych Niemców i zbierał myśli w sile dywizji; a może z katolicką niewzruszonością słuchał kazania protestanckiego biskupa?

Ten chwalił Boga i dziękował mu, wpychając go w krótkie i długie zdania. Mówił o boskiej łasce i boskiej dobroci, o boskiej miłości, której pewni mogą być też grzesznicy, i o boskim cudzie w mrocznych czasach, ponadto, nawiązując do aktualnej sytuacji, o pokonanych, którym Bóg dał widomy znak.

Kiedy biskup Pantke zaintonował: *Bogu dziękujcie wszyscy*, Lothar Malskat śpiewał na głos. Śpiewali: pracodawca Fey, budowniczy kościołów Fendrich, nadradca konsystorialny Göbel, konserwator Münter. Śpiewał radca ministerialny von Schönebeck, który z Bonn finansował lubecki cud. Śpiewali politycy krajowego i federalnego szczebla. Śpiewało pospólstwo, jak czyniło to zawsze. I śpiewał pierwszy kanclerz świeżo upieczonego państwa, podobnie jak Lothar Malskat uzdolniony cudotwórca, u którego boku – albo naprzeciwko niego – spokojnie mógłby zająć miejsce i śpiewać, choć tylko świecki tekst, twórca drugiego państwa i też cudotwórca; bo

słusznie nasz pan Matzerath widzi triumwirat Adenauer, Malskat, Ulbricht działający samotrzeć. Jeszcze przed początkiem owych lat, które nazywa fałszywymi pięćdziesiątakami, zaczęli oni z kruszącej się nicości na nowo stwarzać stare i po mistrzowsku mydlić oczy całemu światu, każdy na swój sposób.

To brzmi logicznie. Nie zgadzam się natomiast z propozycją naszego pana Matzeratha, żeby dzisiaj, z należytego dystansu i kiedy oszustwo pięćdziesiątaków wyszło już wreszcie na jaw, wydrukować i wprowadzić do ogólnoniemieckiego obiegu znaczki pocztowe wydłużonego w górę formatu, które miałyby ukazywać całopostaciowe trio na głowicach filarów, jak kiedyś ukazywały obecnie tak nieprzyzwoicie drogą scenę Zwiastowania. Z prawej strony wschodniopruskiego malarza w sfilcowanej wełnianej czapce powinien by stanąć nadreński kanclerz w cylindrze, z lewej saksoński przewodniczący rady państwa, który nosi czapkę z daszkiem. Skrzydłowi mogliby mieć w ręku atrybuty, choćby czołgi amerykańskiej i radzieckiej produkcji wielkości zabawek; środkowemu należałyby się pędzel i drapak. W ten sposób dałoby się ówczesne trójjedyne fałszerstwo, po spersonifikowaniu, uszlachetnić znaczkiem, jak przecież terazniejszy dobrobyt niewątpliwie opiera się na przedawnionym oszukaństwie.

– I na pilności! – woła nasz pan Matzerath. – Niezmordowanie sporządzali swoje mamidła wierne co do szczegółu. Jeden, drugi motał, kręcił, mącił, świętoszkował, kłamał i wyczarowywał swoje Niemcy, ażeby trzeci w Lubece, gdzie jedno państwo graniczy z drugim, wznosił im gotycki dach. Jakże ci trzej mieliby nie trafić do przekonania, choćby zjednoczeni na ząbkowanym czworoboku. Widzę, jak na listach i plakatach, nawet na pocztówkach z najniższym nominałem, wędrują samotrzeć stąd tam, stamtąd tu. Czego nie zdołała osiągnąć polityka, uda się na niwie pocztowej. Ogólnoniemiecki znaczek uwierzytelniony, ostemplowany. Zwycięstwo filatelistyki!

Moim sprzeciwem nasz pan Matzerath się nie przejmuje. Jeśli już znaczki

pocztowe, mówię – ale on słucha tylko siebie – to niechby wprowadzić do obiegu takie, które sprzęgają jedynie Ulbrichta z Adenauerem, ramię w ramię, jak pokazuje się obu poetów lub – profil za profilem – braci Grimm. Bo ostatecznie Malskat wkrótce po uroczystościach siedemsetlecia opuścił trio fałszerzy, i to po przemyśleniu sprawy.

Po południu 1 września pięćdziesiątego pierwszego siedział z kilkoma robotnikami budowlanymi na poprawinach w Piwnicy Fredenhaga. Tylko na chwilę, nadal jeszcze w wizytowym garniturze, wpadł pracodawca Fey i postawił im wódkę i piwo. Potem musiał pędzić do ratusza, gdzie nie Malskat, nie, on, piękny Fey, miał być przedstawiony kanclerzowi. Według doniesień lokalnej prasy Adenauer powiedział podobno: „No, to pozostawił pan historykom sztuki piękne zadanie”. Nie jest potwierdzona legenda, że po tych słowach kanclerz mrugnął do Feya.

Później Malskat z paroma kumplami z budowy poszedł do Café Niederegger. Był zdecydowany ujawnić wreszcie oszukaństwo. Popychała go drażąca myśl. W uroczystej chwili bowiem, akurat gdy piękniśowi Feyowi wręczano dyplom honorowy z datą i pieczęcią, nad Lubeką jakby demonstracyjnie zerwała się burza. Wyraźny sprzeciw niebios przeraził malarza na przedostatniej kościelnej ławce. Malując pobożnie traktował błyskawice i gromy jak znaki. Raz po raz nagła jaskrawość rozjaśniała mamidła w środkowej nawie i w prezbiterium. W dodatku bluźnierstwem było wyznaczanie wielkich uroczystości na pierwszego września, a więc na ów dzień, w którym przed dwunastu laty wypowiedziano wojnę nasamprzód Polakom...

Ponadto błyskawice i następujący po nich łoskot gromkich słów Przedwiecznego przypominały Niedzielę Palmową czterdziestego drugiego, kiedy to brytyjskie samoloty zrzuciły ładunek bomb na śródmieście Lubeki. Bomba zapalająca przebiła wówczas dach kościoła Marii Panny i wznieciła w ceglanej budowli pożar tak potężny, że nie tylko wielki dzwon zwałił się na kościelną nawę, lecz poza tym od ścian odpryskiwała gruba na palec,

nakładana warstwa po warstwie, kreda oczyszczana, która od czasów reformacji nadawała wnętrzu protestancką oschłość, po czym ukazały się kontury i barwne pola gotyckich malowideł ściennych: zwiewny ślad tylko, kruszący się odblask uszkodzonego piękna. I biorąc za punkt wyjścia te resztki, od nocy pożaru marniejące z każdym dniem, cudu z Lubeki dokonał nie Fey, który dostał dyplom honorowy i do którego być może mrugnął kanclerz, lecz jedynie Malskat, on, tylko on.

Jego święci. W prezbiterium trzymetrowej, w środkowej nawie dwumetrowej wysokości. Tu na filarach, tam pod baldachimami. A jakże! Wyraźnie posłużyły im romańskie, bizantyjskie, nawet koptyjskie dodatki. Pod prostym skrajem szat, na rozsuniętych płetwopodobnych stopach: świętych obcowanie spogląda na siebie w milczeniu i mimo to jest wymowne, kiedy Zmartwychwstanie w czwartym przęśle odpowiada Ukrzyżowaniu w przęśle południowym. Specjalne pochwały historyków sztuki, którzy w czerwcu pięćdziesiątego pierwszego, kiedy wszystko było prawie gotowe, pod przewodem Feya wdrapali się na wielkie rusztowanie, zebrała postać świętego Bartłomieja w trzecim przęśle; to jest ten z nożem.

Wówczas Malskat usunął się na skraj rusztowania. Przez nikogo nie widziany śmiał się z donośnych objaśnień Feya. On, zawsze tylko on. On miał, on wiedział, on był pewien wszystkich szczegółów. Detale, których Malskat w pośpiechu zapomniał wykonać, choćby ranę na lewej dłoni Zmartwychwstałego i stygmaty na obu dłoniach świętego Franciszka, Fey tłumaczył zaniedbaniami gotyckiego mistrza prezbiterium i nawy środkowej: widać już wtedy trzeba było pracować pod presją czasu.

Wysoki, chudy i mimo letniej pogody w wełnianej czapce, na rusztowaniu, tak Malskat słuchał fachowych kłamstw. Śmiał się w duchu, jak tego dawno się nauczył, i postanowił po raz pierwszy podzielić się z ludźmi swymi rusztowaniowymi tajemnicami.

Ale kiedy malarz poszedł do urzędu konserwatorskiego i na dodatek obleciał wszystkie kościelne biura, nikt nie chciał mu wierzyć.



Konserwatorzy wzięli go za blagiera, czarne surduty bały się skandalu. Zbliżały się przecież uroczystości siedemsetlecia. Kanclerz wyraźnie zapowiedział swoje przybycie. Ten opętany żądzą prawdy Malskat ze swoją drapakową historią przeszkadzał. – Co to znaczy fałszerstwo! – wołały czarne surduty. – Setka ekspertów, z których każdy mówi: autentyczne, prawdziwe, epokowe, nie może się mylić.

Był to czas mrugania, persilowych świadectw niewinności i pięknych pozorów. W dziesięcioleciu niewiniątek i czystych sumień, morderców piastujących urzędy publiczne i chrześcijańskich hipokrytów na ławie rządowej, nikt nie miał ochoty tego czy tamtego wiedzieć zbyt dokładnie, obojętne, co się zdarzyło.

Malskat chciał już machnąć ręką i pozostawić oszukaństwo oszukaństwem. I gdyby nad Lubeką nie zerwała się burza z błyskawicami i gromkimi słowami, być może by milczał. Teraz jednak, wyraźnie indagowany przez niebiosy, malarz pozbierał szkice i wzory, notatki z dziennika i pozostałe świadectwa, wziął sobie adwokata i wnosząc oskarżenie przeciw sobie wydobył na jaw coś tak nie na czasie jak prawda.

Jest widocznie zadowolony, choć doskwiera mu stały cewnik. Nieprzerwanie, skandując przy tym wypowiedane słowa, przechadza się tam i z powrotem. Tym razem w lakierkach. Nie popuszcza. Co rodzi się w jego głowie, musi przybrać realny kształt. Na bezokiennej ścianie czołowej swego przesadnie obszernego gabinetu polecił umieścić obok tablicy mocno powiększoną czarno-białą reprodukcję: owa – wydłużonego w górę formatu – trójka postaci pędzla Malskata, która po staremu wypełnia siedemnaste przeszło ciągu okiennego głównej nawy lubeckiego kościoła Marii Panny; tylko święci z prezbiterium zostali po procesie zmyci.

Wskazuje pałeczką szczegóły: – Ten z mieczem. Środkowy ma w rękę pędzel. Broda trzeciego układa się w szpic. – Chce mnie przekonać po belfersku. – Śmiechu warte! – woła. – To mają być święci, może apostołowie! A gdzie, gdzie, proszę, są aureole? O tak, znam wytłumaczenie:

narwany, roztargniony, przy zbyt niskiej stawce za godzinę lekkomyślnie niedbały Malskat zapomniał machnąć trzy kółeczka w kształcie miski. Jak tu i ówdzie pominął jakiś but, opuścił rany Chrystusa, stygmaty świętego Franciszka, również owe aureole numer jeden, dwa i trzy gdzie się zawieruszyły. Ale jeśli przyjrzymy się dokładnie – na co nie każdy potrafi się zdobyć – to dopatrzymy się głębszego zamiaru. Ci trzej mężczyźni, powiadam, to nie są niekompletni apostołowie, oni odtwarzają, jeśli nie portretowo, to przecież ideowo, naszego zmyślnego malarza i dwóch mężów stanu czy wielkie szychy, jak mówi pańska szcurzyca. Nienie! Nie chcę twierdzić, że Malskat na wysokim rusztowaniu któregoś dnia zdecydował się powiedzieć: Hopla! Teraz namaluję siebie między starym Adenauerem i Szpicbródką Ulbrichtem; przypuszczam raczej, że to ówczesny duch czasu podsunął mu tę trójkę. Doznawszy nagłego olśnienia zobaczył siebie pośrodku. A może nieświadomie, że tak powiem: niewinnie, wmieszał tę świecką scenę między swoje świętych obcowanie? Odwiedzę go. Posiedzę z Malskatem w Café Niederegger. Przy herbacie i ciastkach będziemy wspominać jak szaleni: wszystko i wszystkich, którzy przyczynili się do powszechnego wówczas omamienia. Gdyby nie dyndał mi ten cewnik, wybrałbym się już dziś.

Dobrze, że przydarzyła mu się ta nieprzyjemność. Bez obcego ciała jako wisiorka wyciągnąłby konsekwencje od razu, jak zwykle po dłuższej mowie. Nasz pan Matzerath milczy. Widać nurtuje go coś z przeszłości. Drepcze niepewnie, szuka pierwszego słowa, znalazł je, bo jego palec z pierścieniem – jest to ten z rubinem – przywołuje mnie bliżej, jeszcze bliżej. Muszę się nachylić, poczuć zapach jego wody kolońskiej, bo on chce szeptać: – Nieprawdaż? Chciał pan się mnie pozbyć, załatwić na amen. Zamierzał pan zakończyć moją historię hen daleko w Polsce, pod spódnicami mojej babki. Koniec dla każdego przekonujący, ale jednak zbyt oczywisty. Być może przeżyłem siebie; ale w taki sposób nie da się Oskara wyeliminować!

Po pauzie, przeznaczonej dla siebie i także dla mnie, nasz pan Matzerath

mówi z głębokiego dyrektorskiego fotela: – Mógłbym uznać pańską skłonność do zbyt pospiesznych rozwiązań za w pełni zrozumiałą, co więcej: pojmuję, że moje istnienie przeszkadza. Nie powinienem się już wtrącać. Życzy pan sobie uwolnić się ode mnie. W przyszłości nikt mając pana na myśli nie powinien móc wskazać na mnie. Krótko i węzłowato, gdyby to zależało od pana, byłbym już spisany na straty...

Oczywiście zaprzeczam. Ale moje zapewnienia nie powstrzymują go od dalszego imputowania mi morderczych zamiarów; – Niech pan przestanie wreszcie zapierać się, że chciał pan moje zbliżające się urodziny skwitować starannie wykoncypowanym nekrologiem. Zatrucie moczem ze skutkiem śmiertelnym przysłoby dla pana w samą porę: śmierć na moją miarę! Jak to dobrze, że mój szofer ubiegł pańskie zamiary, już pod Helmstedt zjechał z autostrady i w ostatniej chwili zawiózł mnie do najbardziej łebskiego urologa w mieście. Niech pan sobie wyobrazi: tysiąc czterysta siedemdziesiąt mililitrów moczu było w pęcherzu...

Tym samym nasz pan Matzerath jest przy znanych szczegółach, bardzo podekscytowany. Odkąd trzeba mu było założyć cewnik, jego ja znalazło nowy temat. Nic nie może odwrócić uwagi od pomocnej rurki i jej zatyczki. – Jaki prosty, jaki genialny jest to wynalazek! – woła i nieznuzenie tłumaczy, jak przez odgałęzienie gumowego węża, wprowadzone do jego cewki moczowej, nadmuchiwana jest owa piłeczka wielkości wiśni, która chroni cewnik przed wypadnięciem i daje nosicielowi poczucie bezpieczeństwa. – Widzi pan – mówi – to charakterystyczne dla człowieka: nawet w tak rozpaczliwej sytuacji potrafi sobie w końcu pomóc.

Nie przyjmuje mojego zarzutu, że może się jednak zdarzyć, iż w obecnej sytuacji, której ustawicznemu pogarszaniu się nikt, nawet on nie zaprzeczy, daremnie będziemy czekać na pomocny cewnik: – Krakanie! Wszędzie słyszę już tylko krakanie! Niech pan z drugiej strony popatrzy na mnie: mimo że mój koniec został dokładnie obmyślony, wróciłem, choć cierpiący, z kaszubskich pól. Co prawda, jak tylko stuknie mi sześćdziesiątka, nie da się

uniknąć zabiegu, ale może pan być pewny, że to nie ja narażam się na rozstanie z tym światem; to raczej pan, który ulotnił się i buja teraz w powietrzu, jak gdyby – choćby tylko dla żartu – ulokowano go czarami w kapsule kosmicznej...

Czy musiało tak być, szcurzyco? Czy Wielkie Bum-Bum musiało położyć kres wszystkiemu, co się działo? I czy ja muszę teraz oszczędnie obchodzić się ze zminiaturyzowanym Oskarem, który wylądował marnie jako ołtarzowa ozdoba, abym, lekko przeniesiony w czasie, wysłuchiwał gadaniny tego pana Matzeratha, który nieustannie snuje plany i na wszystkie strony daje znaki życia? Czy nic, nawet trzeci program, nie ustanie? I czy mnie, szcurzyco, podczas gdy wasze szcurze plemiona zwożą kolejne zbiory i układają w kupki ziarna słonecznika, pozostaje już tylko opowiadać o dryfującym wraku, ponieważ kobiety, ledwie ujrzały pod sobą Winetę, zostały unicestwione? Czy mam jedynie obmyślać nekrologi?

Moja uwaga przenosi się szybko w ich pobliże; bo te kobiety przejściowo darzyły mnie uczuciami: jedna tkliwie, jakby siebie miała na myśli, druga gwałtownie i niecierpliwie, trzecia przy okazji, czwarta niezrażona, piąta zagarnęła mnie po dziś dzień: Damroka...

Przyznasz, szcurzy co: zawsze czegoś brakowało albo biadoliły jakieś resztki. Nigdy nie czułem się w domu, jak bym chciał. Piłka zawsze miała jakieś wybrzuszenie. Toteż wymyśliłem sobie statek obsadzony przez kobiety. Tylko tytułem próby – zobaczymy, co z tego wyjdzie – podobało mi się wysłać wszystkie zgodnie w rejs, chociaż były ze sobą na noże i w rzeczywistości starannie się unikały. Takie są kobiety, mówiło się wówczas. Ale ty, szcurzyco, przekreśliłaś, i to szast-prast, moją próbę potraktowania ich wszystkich jak siostry. Ach, gdybym mógł, nie pozostawiając śladów, być unicestwiony razem z nimi.

Ale chciałaś, żebym pisał. Więc piszę: Wrak dryfuje w kierunku wschodnim.

Żądasz, żebym nie tracił z oczu dryfującego wraku, ilekroć rozpościera się

pode mną Bałtyk.

Ale wrak tylko dla ciebie jest ważny, ja już dawno spisałem go na straty, jak chciałem spisać naszego pana Matzeratha. Czego on jeszcze chce! Czemu mi się wtrąca! Co mam począć z przeklętym wrakiem!

Ze wszystkimi nadbudówkami, które, czarno obrysowane, były pomalowane na niebiesko, spłonęły kobiety. Jakże mi ich brak. Byłem przy nich żaloszny i wspaniałoty. Miłość! Ty nie masz o niej pojęcia, szczurzyco. Ta przemienność nadmiaru i niedosytu. Wy chcecie tylko żyć i przeżyć. Nie spuszczaaj oka z wraku! wołasz. Coś tam się rusza, bratku, coś jednak się rusza!

Tak, kłokoczą deski pokładu. Resztki relingu odginają się i wypadają za burtę. Co jeszcze ma się ruszać? Chińskie cienie? Odbite pragnienia? Może taśmy mają samoczynnie przegrywać się na magnetofonie?

Nic nie słyszę. Żadnego śpiewu meduz. Morze jest raz gładkie, raz zmarszczone, i już go nie zaciemniają burze pyłowe. Migocze odmłodzone i być może pachnie, jak pachniało, kiedy byłem dzieckiem i każdego lata...

Możliwe, że morze jest nowe, oddycha, ożywia się i ostatnio jest zamieszkane przez plankton, larwy śledzia, chełbie modre, niezwykle ryby, takie, co to któregoś dnia będą chodziły po lądzie. Możliwe, że na samym dnie, jak szczury ze swoich dziur, turbot wygrzebie się ze swego piaskowego legowiska. Możliwe, że coś nastąpi. Jednakże pozostał tylko wrak. Dryfuje bez życia. Wszelako wciąż na wschodnim kursie, nawet przy przeciwnym prądzie.

Szczurzyca radziła mi, żebym się zastanowił. Przypomnij sobie, wołała, co na krótko przed ultimo zdarzyło się na Gotlandii, kiedy twoje baby zeszły w Visby z pokładu! W piątkę dość przedsiębiorcze. Ich przesadnie marynarski chód. No, jazda, bratku. Przypomnij sobie!

Z początku najdrobniejsza z bab, stara, siwowłosa, która wciąż gotowała, zmywała i bez ustanku sprzątała, chciała zostać na wachcie. Ale potem – tak, przypominam sobie – miały zejść na ląd wszystkie. Chciały zamieszkać w tym

odwiedzanym przez turystów muzeum ruin. Co to znaczy: zamieszać! Najpierw parę zakupów: szwedzkie mrożonki. Nigdzie nie można było wytrzasnąć gorzałki. Za to wszędzie pochody. Przyjęte wówczas protesty. No, przeciwko temu i tamtemu i za pokojem. Maszerowali bardzo młodzi i dość starzy Gotlandczycy w trampkach i gumowych butach. Padało? Mżyło. Było to kiepskie lato. Ale wszyscy spokojnie za wymalowanymi hasłami. Dobrze zaprawieni i wręcz ospali człapali Gotlandczycy przez miasto. Byli przeciwko wszystkiemu, co na transparentach i plakatach noszonych na brzuchu zostało nazwane niebezpiecznym. A jakże, szcurzyco, chcę sobie przypomnieć, co na krótko przed ultimo było aktualne. Więc skażenie ropą i bieda wszędzie, wyścig zbrojeń i umieranie lasów. Już mówiłem: przeciwko temu i tamtemu. A niektórzy byli za Jezusem. Ach, tak, jeszcze jedno: była grupa przeciwna doświadczeniom na zwierzętach.

No więc! powiedziała szcurzyca. Nareszcie. I co stało się potem? Po prostu tak sobie tylko chodziły?

Do tego niezbyt długiego pochodu, który prócz transparentów niósł ponadnaturalnej wielkości atrapy, ręcznie malowane, przedstawiające psy i rezusy – kilka osób szło nawet w mysich i szcurzych maskach – dołączyła piątka moich kobiet, które wyelegantowały się na zejście na ląd: jedna miała na sobie coś złotożółtego, druga była w turbanie i pludrowatych spodniach, trzecia w czarnych jedwabkach...

Szcurzyca napomniała, żebym nie odbiegał od tematu. Kiedy podkpiwałem sobie z kobiet, że jeszcze wczoraj odławiały i wymierzały chęłbie modre, a teraz ciągną się z obrońcami zwierząt, ponownie przerwała moją, przyznajmy, nazbyt prywatną relację.

To nie interesuje! zawołała. Żadnych babskich historyjek, tylko to, co stało się w Visby, może jeszcze interesować.

No cóż. Doszło do rozróby. Na skraju miasta, pod instytutem badawczym. To była filia Uppsali. Nie sądzę, żeby zaczął ktoś z tych gotlandzkich ludzików, młodych czy starych. Prawdopodobnie to mechaniczka albo Stara

pierwszy kamień. A potem zaczęła sterczka. W każdym razie Damroka, która zawsze jest najpowolniejsza, pierwsza wdarła się do środka. Za nią inne kobiety, a teraz to i Gotlandczycy. Później mówiono, że szalały jak wandale. I w laboratorium dość drogi sprzęt w drobny mak. A potem ciach, ciach i klatki pootwierane. Jedna małpa, wypuszczona na wolność, pogryzła podobno szwedzką bibliotekarkę, co miało następstwa, bo małpa...

Bez dygresji! Dalej, dalej! ponaglała mnie szczurzyca.

Króliki i psy, wszystkie rezusy i świnki morskie, nawet parę myszy później złapano. Kobiety wróciły naturalnie na pokład, kiedy nadjeżdżała policja na sygnale. Zaraz potem odcumowały i kurs na Winetę. Chciały oszczędzić sobie kłopotów. Mówiono bowiem, że uciekło jakoby dwadzieścia szczurów, szczególnie interesujących, widział je ostatnio między urządzeniami portowymi fiński marynarz, który jednak był pijany...

Otóż to właśnie! zawołała szczurzyca i nastroszyła wąsy. Potem wezwała mnie, bym nadal obserwował dryfujący wrak. Długo uchodził za zaginiony. Nawet mnie, człowiekowi z rozległą perspektywą, zniknął z oczu. Pamiętasz, bratku, że po Wielkim Bum-Bum nad wodą i lądem zalegał gęsty, nasycony sadzą dym. Ziemia była bez światła. Ani ty, ani my nie potrafimy zmierzyć czasu ciemności. Co w owych dniach zimna – a może były to miesiące, lata – działo się z dryfującym wrakiem? Dryfował pogrążony w czerni? A może utknął na mieliźnie w siarczystym mrozie, skuty lodem? Jeśli w kadłubie statku było życie, jakiegokolwiek życie, to jak – my, szczury, często zadawałyśmy sobie to pytanie – zdołało przetrwać?

Akurat! zawołałem. Nikt, żadna pluskwa czegoś takiego nie wytrzyma. Powinnyście spisać wrak na straty. Nic już z niego nie wyciśnecie. Z naszego pana Matzeratha też. Precz z nim! Przecież to wszystko jest przedpotopowe. Opowiedz lepiej, szczurzyco, co się dzieje w waszym rolnictwie. Czy wiosna była zbyt mokra? Co przyniosły ostatnie żniwa? Stosujecie płodozmian?

Ależ oczywiście, panku! zawołała z wiejską rozlewnością szczurzyca. I

zobaczyłem pola aż po horyzont: brukiew, kukurydza, jęczmień i słoneczniki. Jak ciężko pochylały się koszyczki kwiatowe. Zobaczyłem ułożone rzędami nasiona. I kolorowe ptaki nad polami. Piękny sen...

Ledwie odeszli Grimmobracia, Titelity jako kelner woła: „Chwileczkę, proszę zaczekać!” Podaje napoje przed domem. Towarzystwo w dobrym humorze i skore do drobnych żartów stoi grupkami i rozmawia, jak gdyby Czarownica zaprosiła obsadę najbardziej znanych baśni na cocktail party. Prawi się sobie staroświeckie grzeczności, ale przy okazji wychodzą na jaw przywleczone z niepamiętnych czasów napięcia: złe wróżki nie mogą się powstrzymać od ciętych uwag pod adresem dobrych wróżek. Dzielnny Krawczyk szuka zwady z dzikimi mężami. Wszędzie kręcą się swarliwi Karzełkowie i skrzaty. Czarownica i Zła Macocha rzucają sobie mordercze spojrzenia. Liczyrzepa obraził Panią Zimę. Czerwony Kapturek próbuje poderwać Jasia. Teraz Małgosia, ponieważ Żabi Król odmawia skoku do studni, chce uciec do Wilka, ale zamek błyskawiczny się zacina. Nikt nie słucha Babci, która recytuje stare słowa ze słownika. Co innego jest atrakcyjniejsze: czarownik Merlin i król Drozdobrody utrzymują dwór. Karzełkowie i skrzaty przepychają się. Czarownice niższego rzędu chcą być blisko. „Na Jacoba Grimma jako kanclerza nawet ja się zgadzam!” woła Drozdobrody. Merlin, który dopiero co opowiadał o intrygach wokół okrągłego stołu króla Artura, przyznaje: „Tacy jak my będą Grimmobracy bądź co bądź tolerować”. Wszyscy śmieją się i piją za zdrowie nowego rządu.

Tylko Bezręka Dziewczyna jest smutna. Odrąbane ręce markotnie zwisają na sznurku u szyi. Dziewczyna snuje się między grupkami rozmawiających, nie chce drinka, jakiego proponuje jej Titelity, nie ma ochoty wysłuchiwać bujdy Liczyrzepy z czasów, kiedy to napędzał stracha biednym węglarzom i dmuchaczom szkła, patrzy z troską, jak Karzełkowie jeden po drugim zaciągają Śnieżkę w krzaki, spotkawszy Jorindę i Joringela jest jeszcze smutniejsza niż przedtem i czmycha w końcu do Domku z Piernika, gdzie Roszpunka, której włosami związany jest Książę, siedzi ze Złą Macochą na



murku pod oknem z powiewającymi firankami.

Książę wciąż jeszcze całuje kukłę podobną do Śpiącej Królowny. Roszpunka i Zła Macocha co chwila wymieniają się sznurkami, jest to zawiła gra palców, której Bezręka Dziewczyna przygląda się długo.

Nabiera wreszcie odwagi i pyta: „Mogę zobaczyć, jak mój pan ojciec dwukrotnie ciacha siekierą?” Zła Macocha okazuje się miłą, po czym odrąbane ręce Dziewczyny, żeby okazać pomoc, biorą od niej kunsztowną płataninę sznurków, tak że może ona sięgnąć do szkatułki, nacisnąć guziczek i podczas gdy ekran zaczyna migotać, wziąć z powrotem sznurkową płataninę z palców Dziewczyny i przekazać Roszpunce, która przyjmując zmienia układ płataniny.

Teraz ożywia się lusterko wymazującymi się nawzajem scenami z baśni: widzimy Siedmiu Karzełków ustawionych wokół szklanej trumny Śnieżki; Titelitury wściekle wyrywa sobie nogę; Koziołeczki uciekają, jeden chowa się w zegarze; Damie z wiecznym bólem głowy wpada do studni, kiedy była jeszcze dzieckiem, złota kula; na koniec czarodziejskie lusterko pokazuje baśń o odrąbanych rękach.

Przycupnąwszy na taborecie, przysuniętym pod samo lusterko, ręce na sznurku złożony na kolanach, Dziewczyna patrzy, jak ojciec na rozkaz diabła, któremu zaprzedał się w biedzie, ciacha dwukrotnie siekierą, jak ona potem z odrąbanymi rękami zawieszonymi na sznurku smutno i bez celu wędruje po świecie, jak wreszcie książę z miłości pomaga jej objąć specjalne drzewo, aby ręce na powrót przyrosły, i jaka ona jest szczęśliwa z księciem.

Ponieważ jednak Zła Macocha mimo zawiłej gry w sznurki nie traci z oczu baśniowego filmu, w złych, jak na nią przystało, zamiarach małym palcem manipuluje przebiegiem akcji, tak że jej sceny zmieniają się jak w kalejdoskopie: tutaj ojciec dwakroć rąbie siekierą, tam książę pomaga objąć drzewo, potem znów okropny ojciec, z kolei pomocny książę, jeszcze raz siekiera; krótkie szczęście i okropność bez końca.

I jak w filmie Dziewczynie na taborecie przed lusterkiem przyrastają obie

ręce, aby ponownie leżeć odrąbane na kolanach, beznadziejnie raz za razem.

Tymczasem cocktail party nie chce się skończyć. Kilka baśniowych postaci gra swoje role. Babcia Czerwonego Kapturka ukazuje nagle pod czepek wilczą twarz. Czarownica każe tańczyć miotle. Liczyrzepa wygina żelazne pręty. Dama od Żabiego Króla jakby w somnambulicznym transie niesie swoją żabę na tacy od grupki do grupki. Jaś i Małgosia wyciągają z domkowo-piernikowego automatu ostatek buczyny i orzechów laskowych. Dobre i złe wróżki zamieniają się na przemian w strachy na wróble. Także Kopciuszek i król Drozdobrody, Dzielny Ołowiany Żołnierz i Pani Zima są bez reszty zadurzeni w swoich baśniach. Z zapamiętaniem grają samych siebie. Nawet Śnieżka nie chce już chodzić w krzaki z coraz to innym Karzełkiem, chce być tysiąc razy piękniejsza dla kogokolwiek. Tak to baśń przechodzi w baśń. Jorinda leży z Ołowianym Żołnierzem, Joringel położył się przy Kopciuszku. Jedynie Czarownica pozostaje wierna sobie i Jasiowi: chłopakowi umoszczonemu między jej ogromnymi cycami śni się nie tylko to, co dzieje się za krzakiem głogu.

A podobnie pogrążone w swej grze są tymczasem Zła Macocha i Roszpunka. Przekazując sobie raz po raz sznurkową płataninę nie zauważają, jak budzący pocałunkami Księżę uwalnia się z pęt włosów Roszpunki, pomiędzy powiewającymi firankami wyskakuje z okna i ponieważ las stoi tuż przy domu, paroma susami ucieka.

Również Bezręka Dziewczyna nie zwraca uwagi, bo wciąż jeszcze ogląda swój film, w którym właśnie inny księżę przynosi szczęście, ale nie jest ono trwałe; Zła Macocha nadal manipuluje małym palcem.

Na dworze kończy się cocktail party. Gwałtowne porywy wiatru. Kto położył się w parze, temu nagle robi się chłodno. Spłoszeni wszyscy tłumnie wchodzi do domu. Serwując nadal herbatę i soki kelner Titeliturę powiada: „Czy też Grimmobracia utworzyli tymczasem nowy, dobry rząd?”

Baśniowe postacie z przestraczem przypominają sobie rzeczywistość. Bezręką Dziewczynę, której ręce w filmie ponownie zostają odrąbane, a

zatem leżą osobno na jej kolanach, grubiańsko odpycha Siedmiu Karzełków. Zła Macocha przerywa grę w sznurki i przełącza cudowne lustro na Bonn. Wszyscy, także Roszpunka z długimi włosami, stoją stłoczeni i chcą zobaczyć, co się dzieje daleko stąd.

W Bonn wciąż jeszcze krzewi się zieleń. Pnące rośliny dochodzą do okien urzędu kanclerskiego, wpełzają na salę obrad. Tam Grimmobracia ze swym rządem ocalenia, który składa się z przemysłowców, biskupów, generałów i profesorów, odbywają pierwsze posiedzenie gabinetu. Pokazują po kolei liście lilii wodnych z trzema żądaniami baśniowych postaci domagających się nie zatrutego powietrza, czystej wody i zdrowych owoców. Biskupi i profesorowie kiwają głowami ostrożnie i niepewnie. Generałowie siedzą nieporuszenie przy rządowym stole i czują się osaczeni przez wijącą się zewsząd zieleń. Przemysłowcy są oburzeni. Gestykują i walą w rządowy stół, który, obciążony filcem, jest przysłowiowo zielony. Głośne kłótnie i potajemne szepty. Pod stołem, gdzie rozrasta się gąszcz, profesorom i biskupom wtyka się banknoty.

Poza Grimmobraćmi wszyscy teraz, biskupi z ubolewaniem, wypowiadają się przeciwko trzem żądaniam, choć tak prosto brzmią, choć takie są skromne. Po raz pierwszy Jacob Grimm wali gniewnie w zielony stół. Jedyne jego brat reaguje przestachem. Zdziwienie i poczucie wyższości okazują przemysłowcy i generałowie, profesorowie są niemile dotknięci.

Jacob woła: „Jeszcze ja jestem kanclerzem, wciąż jeszcze ja!”

Wilhelm potwierdza: „O tym panowie nie powinni zapominać!”

Odpowiada im śmiech, któremu wtórują, choć powściągliwie, nawet biskupi.

W Domku z Piernika patrzy się, jak Wilhelm Grimm opowiada rozbawionemu gabinetowi o trzech dobrych wrózkach. Wszyscy są zahipnotyzowani wydarzeniami w Bonn. Z niepokojem obserwują, jak niewiele znaczy słowo Grimmobracy.

Raptem Małgosia woła: „Księżę, gdzie jest Księżę?”

Przerażenie, zamieszanie, szukanie na łapu-capu. Liczyrzepa spuszcza lanie Siedmiu Karzełkom. Czarownica łapie Roszpunkę za włosy, już chce chwycić nożyce. Zła Macocha woła: „On nie może być daleko!”

Wyłącza boński program, w którym Wilhelm Grimm nadal rozpływa się nad dobrymi wrózkami, i szuka czarodziejskim lusterkiem, aż uchwyci w kadrze biegnącego Księcia.

Czarownica, Merlin i Zła Macocha na zmianę posyłają za uciekinierem zaklęcia, uroki i przekleństwa. Książę potyka się, pada, koziółkuje, ale biegnie dalej. Teraz wyrasta mu długi nos, teraz wyrastają mu uszy nietoperza. Ale on biegnie i biegnie. Jako że zaklęcia wzmagają się, prześcigają, kasują nawzajem, staje się on sarną, jednorożcem, kulą, ale jednak sady susami, kłusuje, toczy się, aż dociera – na powrót będąc Księciem w każdym calu – na skraj lasu, trafia na zarośniętą autostradę i – spowity zielskim drogowskaz wskazuje kierunek – biegnie do Bonn.

W Domku z Piernika czarownik Merlin kłóci się ze Złą Macochą. (Pan Matzerath chce, żeby Czarownica, wściekła i żółtooką, chwyciła jednak nożyce; ale ja nie mam ochoty oglądać Roszpunkę łysej i ratuję jej długie włosy, wykorzystując Jasia przeciwko Czarownicy). Jak gdyby za krzakiem głogu stał się mężczyzną, z miejsca odbiera jej nożyce: „To nas do niczego nie zaprowadzi!”

Małgosia woła: „Jeszcze nic nie jest stracone!”

Na polecenie Jasia Zła Macocha przechodzi w czarodziejskim lusterku znów na posiedzenie gabinetu. Tam wciąż jeszcze Jacob Grimm, wspierany przez brata, walczy z przekupnym rządem ocalenia. Przemysłowcy szepczą z generałami. Pod stołem profesorowie liczą banknoty, zwane potocznie patykami. Ponad stołem uśmiechają się biskupi, jak tylko biskupi potrafią się uśmiechać; kręcą przy tym młynka palcami albo kartkują brewiarz.

Jacob Grimm woła: „Jeszcze ja ustalam wytyczne polityki!”

Przemysłowcy przedzierają liście lilii wodnych. Jeden z nich woła: „Ale my tu mamy decydujący głos!”

Inny: „Każdy musi liczyć się z nami!”

Wszyscy wołają: „Koniec z baśniami!”

Widzimy, jak Wilhelm Grimm płacze. Jacob siada wyczerpany. Jeden z generałów naciśnięciem guzika wzywa straż do sali obrad i każe aresztować Grimmobracy, po czym inny generał przesiada się szybko na opróżnione krzesło kanclerza.

Chociaż profesorowie wyrażają wątpliwości, Grimmobracyom zakłada się kajdanki. Wilhelm mówi: „Widzisz, bracie, tak nas postępują od dawien dawna”.

Jacob odpowiada: „My się jednak nie dajemy. Napiszę memoriał”. Straż ma ich obu wyprowadzić.

Na salę wpada zdyszany Książę od budzenia pocałunkami. Rozsyła całusy i składa relację: „Ja byłem, musiałem, potem zostałem, ale biegłem, biegłem i oto jestem!”

Widząc Grimmobracy w kajdankach, składa dworski ukłon i woła: „Moi panowie! Ofiarowuję wam swoje usługi. Ale muszę was prosić, byście zarządzili natychmiastowe uwolnienie czcigodnych Grimmobracy”.

Ponieważ wojskowi i wielcy kapitaliści wykazują niezdecydowanie, Książę wyjaśnia: „Żebyśmy się rozumieli: beze mnie i moich pocałunków nic się nie da zrobić. Operacja «Sen Śpiącej Królowny». Skapowaliśmy wreszcie?”

Podczas gdy generałowie naradzają się jeszcze z przemysłowcami, na polecenie świeżo upieczonego generałokanclerza jeden z biskupów zdejmuje Grimmobracyom kajdanki, drugi uśmiecha się łagodnie. Generałokanclerz mówi: „Okazemy łaskawość i poprzestaniemy na areszcie domowym. Tam panowie znajdą spokój i będą mogli pisać, co zechcą. Choćby baśnie!”

Profesorowie z uprzedzającą grzecznością podają Grimmobracyom kapelusze. Jacob i Wilhelm biorą je i wychodzą smutni, ale z podniesionym czołem.

(Jako że podzielam zdanie naszego pana Matzeratha, iż nie powinno się

teraz ukazywać przygnębienia w Domku z Piernika czy zgoła napawać się nim, scena należy do Księcia od budzenia pocałunkami.) Na dużej mapie lasu pokazuje on, gdzie to ciernisty żywopłot uwięził Śpiącą Królową, śpiącego kanclerza i pogrążoną w głębokim śnie jego świtę.

Natychmiast zaczyna się krzątania. „Alarm trzeciego stopnia!” – „Polecenie dla oddziałów specjalnych!” – „Niezwłocznie przerwać sen Śpiącej Królowy!”

Pod krzewiącą się zielenią znajdują się telefony. Padają rozkazy. W przeczuciu swego szczęścia budzący pocałunkami Księżę całuje jednego i drugiego biskupa. Potem rozsyła całusy. (Nasz pan Matzerath mówi całkiem słusznie: To jest choroba. Gorzej: w pocałunku kryje się śmierć.)

Byle nie ruszać.  
Biada, ktoś się pochyła,  
rzuca cień, przechodzi do czynu.

Nigdy więcej jakiś głupi Księżę  
nie powinien grać swej roli do końca,  
ażeby kucharz wymierzył kuchcikowi  
siarczasty policzek  
i nieuchronnie dalsze następstwa.

Jeden jedyny pocałunek i koniec.  
Potem wszystko, co spało,  
straszniej niż przedtem  
toczy się dalej, jakby nic nie zaszło.

Ale sen Śpiącej Królowy  
wciąż jeszcze więzi wszystkich,  
którzy w wypuszczeni budziłiby trwogę.

W trzecim programie, jak we wszystkich innych programach radiowych, kilkakrotnie zapowiadano dzisiaj ćwiczenia alarmowe na wypadek czegoś poważnego. Zróznicowane wycie syren ma mieć różne znaczenie. Wzmagający się i opadający ryk, wycie ciągłe i tak dalej. Tego trzeba się nauczyć. Stąd apel do wszystkich o włączenie radioodbiorników o określonej

porze i wysłuchanie ważnych komunikatów. Należy stosować się do tych komunikatów. Kto z czasów ostatniej wojny wciąż jeszcze ma w uszach ogłaszanie i odwoływanie alarmów, tego wzywa się do odświeżenia swych lęków.

Później moja gwiazdkowa szczurzyzna i ja słuchamy pełnego znaczeń wycia syren. Pobliska stocznia jest wyposażona na czas pokoju i na wypadek czegoś poważnego. Rozróżniamy alarm ostrzegawczy, alarm lotniczy, odwołanie alarmu. Wszystko odbyło się zgodnie z zapowiedzią. Teraz już wiemy.

Dziwnym trafem zróżnicowane wycie dawało gwarantujące bezpieczeństwo poczucie, że pozostajemy pod czyjąś opieką. Nie będziemy zaskoczeni.

Następnie słuchaliśmy programów szkolnych: coś o wychowaniu do uczestnictwa w ruchu drogowym, potem pedagogiczny kawałek o postępowaniu wobec dzieci przysparzających trudności wychowawczych, potem: *Ludzie mówią*. Na początku wiadomości mówiono, że niepowodzenie szczytu w Brukseli należy traktować tylko jako niepowodzenie przejściowe; pod koniec wiadomości przyszło pomyślne doniesienie: w Uppsali (Szwecja) udało się wyizolować z mumii egipskich liczący sobie dwa tysiące czterysta lat materiał dziedziczny, prastare geny, i uwielokrotnić w hodowli tkanek: postęp!

Moja gwiazdkowa szczurzyzna i ja jesteśmy zgodni: Te wiadomości to mydlenie oczu. Co prawda wszystko jeszcze się toczy, ale nic już się nie układa. Z trzeciego programu, z tego, co w Brukseli czy w Uppsali, uszło powietrze. To jeszcze tylko odbicia, odroczenia, bezczeszczenie mumii! Ale podczas gdy ja przeklinam brukselskich darmozjadów i szwedzkich kombinatorów – wyobraź sobie, że oni przenoszą teraz zmumifikowane informacje do świeżutkich żywych komórek! – moja szczurzynka kuli się senna, jak gdyby ze szczurzej perspektywy nie warto było stroszyć wąsów.

Opowiadam jej więc, czego ostatnio dowiedziałem się w Hameln, na

marginesie festiwalowego programu odwiedzając kryptę kościoła Świętego Bonifacego.

Jestem teraz lepiej poinformowany, szcurzyco. To było po krucjatach dziecięcych i blisko sześćdziesiąt lat przed nadejściem dżumy. Ludzie byli wtedy mocno skołowani. Nikt nie wiedział, co jest słuszne. Przez wiele lat nie było cesarza, tylko mordowanie się i zabijanie. Każdy robił, co chciał, i brał, czego mu brakowało. I wszędzie było strachu co niemiara. Strachu przed tym, co przyjdzie. Zwykłego strachu. We wszystkich kierunkach przez wsie i miasta ciągnęli młodzi ludzie, na zachodzie w górę Renu. Podrygiwali jak opętani i biczowali się do krwi. Ich pieśni, to biczownicze wycie, napędzały stracha Żydom, bo biczownicy, popychani przez strachy, zabijali Żydów.

Ale inni młodzi ludzie, którzy byli bardziej rozsądni i mniej lękliwi, wędrowali w kierunku wschodnim, na Morawy i do Polski aż po Kaszuby i do kraju Winetczyków, gdzie osiedlali się na wybrzeżu Bałtyku. W Hameln podobno stutrzydziestka chłopców i dziewcząt w dzień świętego Jana, przypadający 26 czerwca roku 1284, podążyło za werbownikiem, o którym mówiono, że przepięknie grał na fujarce.

Wierz mi, szcurzyco, o was nie ma mowy w żadnej kronice. Nigdy badacze nie zdołali udowodnić grajkowi szczurołapstwa jako ubocznego zajęcia. I nawet myśliciel Leibniz zgadywał tylko i – co aż nadto zrozumiałe – przypuszczał, że chodziło o spóźnioną krucjatę dziecięcą. Pewne jest: szczury zostały dokomponowane, ponieważ powiedziano sobie, że kto uprowadza nasze dzieci – choćby w celu rozsądnej emigracji – ten jest szczurołapem; kto łapie szczury, ten łapie i uprowadza dzieci.

A ja, odkąd posiedziałem w krypcie świątyni Świętego Bonifacego, uważam, że historia przebiegła zupełnie inaczej. W Hameln bowiem od dawien dawna było wiele młynów i spichrzów, były więc i szczury. Oczywiście ludzie, którzy żyli z handlu zbożem, nie lubili szczurów. Dla każdego młynarza, kupca zbożowego, odnośnego cechmistrza były po prostu



plagą. Natomiast ich dzieci, jako że czasy były takie pomyłone, zaczęły bawić się szczurami. Być może chciały podrażnić rodziców karmiąc szczury i obnosząc się z nimi publicznie, jak to niegrzecznym dzieciom podoba się czynić obecnie. I jak dzisiaj punkowie czy punkowcy, tak wówczas dzieci z Hameln nosiły ulubione szczury na ramieniu, umoszczone we włosach i pod koszulą. Z toreb i worków wзираły szczurki.

To wywoływało złość, kłótnie w rodzinie. Uchwałą rady miejskiej zabroniono bawienia się szczurami, karmienia ich czy zgoła obnoszenia się z nimi. Z obawy przed karą kilkoro dzieci i podrostków ustąpiło, wygrzeczniało. Ale sto trzydzieścioro dzieci z Hameln nie uległo. Na przekór zakazowi zbierały się ze swymi szczurami i urządzały pochody w górę i w dół Bäckerstrasse, przez Münsterkirchstrasse nad Wezerę, wzdłuż młynów wodnych przez dzielnicę Wieletów na rynek i do ratusza, który przez kilka godzin okupowały i nazywały bluźnierczo szczurotuszem. Nawet na mszę i nieszpory zabierały swoje szczury do kościoła Świętego Bonifacego i, jak to urzędowo powiedziano, miały zupełnego bzika na punkcie szczurów.

Co prawda to czy inne dziecko zostało wychłostane na rynku i postawione pod pręgierzem, ale ponieważ dzieci najznakomitszych mieszczan, nawet synowie i córki rajców, zaliczały się do tej zbzikowanej na punkcie szczurów i niepoprawnej stutrzydziestki, ławnicy nie mogli się zdecydować na dolegliwe kary, choćby rozciąganie, szczypanie i przypalanie.

Kiedy jednak przebąkiwano o czarnych mszach i szczurzym kulcie, raz za razem biorąc na języki kryptę katedry Świętego Bonifacego; kiedy stutrzydziestka zaczęła ubierać się na szczurzą modłę i w biały dzień, obwieszona gołymi ogonami, plądrowała kramy z chlebem i z mięsem i coraz gwałtowniej upodobniała się do swoich szczurów, garbarze i tragarze sarkali na rodzicielską pobłażliwość. Z ław cechowych padały harde słowa. Dominikanie grzmieni z ambon na szczurzoludzką hałastrę.

W końcu, pod naciskiem duchowieństwa, a chyba też z obawy przed buntowniczymi cechami, rajcowie i ławnicy na tajnym posiedzeniu uchwalili

najsurowsze środki. Gdzieś poza Hameln wypłacając zadatek zwerbowano nie znanego w mieście grajka, który dobrze sobie radził z fujarką i dudami; miał on pozyskać sympatię zeszczurzonych dzieci, aby pewnego dnia – było to na świętego Jana – dźwiękami fujarki, jakby chodziło o urządzenie wesołej wycieczki, wyprowadzić je wszystkie przez Bramę Wschodnią do pobliskiej kalwaryjskiej góry; w jej najgłębszej jaskini grajek rozpoczął zabawę z udziałem stu trzydzieściorga dzieci z Hameln i ich szczurzych ulubieńców. Pieczono kielbasy i pito jęczmienne piwo. W tanecznym korowodzie uczestniczyły jakoby szczury. I rozlegał się piekielny śpiew.

Kiedy bawiono się w najlepsze, a dzieci poczęły odczuwać znużenie po jęczmiennym piwie, grajek wymknął się z jaskini, po czym jej wejście, wielkości wrót do stajni, zostało zabarykadowane przez miejskich siepaczy, zamurowane przez cechowych murarzy, wreszcie zasypane przez chłopów furami piasku i bezlitośnie skropione święconą wodą przez klechów. Z jaskini dochodziło podobno bardzo niewiele krzyków. Krążące później plotki mówiły o jedynym szczurze, któremu udało się uciec.

Dużo lamentów nad zaginionymi dziećmi. Ale grajkowi zapłacono brzęczącym srebrem. A miasto było wkrótce o jedną legendę bogatsze. W kronice pojawiło się wieloznaczne słowo „wyprowadzenie”. Odtąd mówi się o Hameln: fałszywie i zakłamanie. To się zemści, szczurzyco, to się na pewno zemści...

Coraz bardziej i bardziej boją się dzieci.  
Farbują włosy na jaskrawe kolory,  
malują się pleśniowozieloną  
albo kredowobiałą szminką,  
żeby odstraszyć strach.  
Od nas odeszłe, krzyczą niemo.

Mój przyjaciel, ze mną postarzały  
– widzimy się rzadko, pozdrawiamy z daleka –  
ten z fletem, któremu kadencje  
wychodzą coraz to inaczej, tracił syna,  
który liczył sobie dwudziestkę, kilkakrotnie,

teraz utracił na dobre.

Synowie, na biblijny lub jakiś inny sposób zgnębieni,  
uciekają wcześniej.

Nikt już nie chce patrzeć na umierającego ojca,  
czekać na błogosławieństwo, brać winę na siebie.

Nasza oferta – coraz tańsza – wzrusza już tylko nas.

Tak nie warto żyć.

Na tę trasę – według naszej miary –  
oni nie mają czasu.

Co myśmy wytrzymali, żartami podtrzymując się na duchu,  
jest już podobno nie do wytrzymania.

Nie chcą nawet gniewnego nie  
przeciwstawić naszemu pilnemu tak;  
po prostu się wyłączają.

Ach, drogi przyjacielu, co nauczyło nas  
wątpić tak długo i trwale?

Od kiedy błądzimy konsekwentnie ku celom?

Dlaczego jesteśmy możliwi bez jakiegokolwiek sensu?

Jak ja lękam się o moich synów, o siebie;

bo nawet matki, wyćwiczone w rozumieniu wszystkiego,  
nie widzą wyjścia.

Dryfuje, nie, trzyma kurs. Już nie tylko na wschód, mimo przeciwnego wiatru, wrak dawnego żaglowca towarowego „Dora”, potem przybrzeżnego motorowca „Ilsebill”, wreszcie statku badawczego „Nowa Ilsebill” na wysokości Półwyspu Helskiego staje w dryf, opływa półwysep, który jako mierzeja był do końca zalewany, ale teraz powiększa się czyniąc z zatoki zalew, na zalewie bierze kurs południowy i zmierza, jeśli można tak powiedzieć o wraku, do mola i portu miasta Gdańsk, które z wieżami starego hanzeatyckiego miasta Danzig pozostało rozpoznawalne z daleka i ma nieodpartą siłę przyciągania; jakże inaczej miałoby raz po raz wabić mnie, a teraz i nieporadny wrak.

Wrak płynie na półobrotach. Widzę to z mojej kapsuły kosmicznej, pod którą raz za razem połyskuje Bałtyk. To, co na wytyczonej trasie okrężnej znajduje się pode mną, choćby delta Nilu, Zatoka Bengalska czy wielkie i

małe Wyspy Sundajskie, pozostaje całkiem niewidoczne pod welonem mgieł, ale gdy tylko lecę moją trasą od północy i zarysuje się południowe wybrzeże Szwecji, u moich stóp wyraźnie leży Morze Bałtyckie, moje morze, jakby rozpościerała się łatwa do ogarnięcia wzrokiem kałuża. Co prawda Gotlandia, Bornholm, wszystkie wyspy zniknęły, ale nad Skanią dostrzegam struktury rolnicze, uprawne pola.

Mogę bardzo blisko podprowadzić wrak, który już nie dryfuje, tylko trzyma kurs; pozwala na to moja optyka. Jest lato. W głębi również tego regionu pola słoneczników i innych upraw sygnalizują początki dojrzewania, życie. Już kusi mnie, żeby zawołać: Ziemi! Odezwij się, Ziemi! Odpowiedz, Ziemi! – ale wiem, że nie ma już nikogo, kto zawoła: Roger! i: Co jest, Charly? Tylko ona zna odpowiedź, zabawia mnie nowinami, chce wiedzieć więcej, niż ja mogę wypatrzeć, wietrzy sensacje i słyszy nawet...

Posłuchaj! zawołała szcurzyca, turkocze. Posłuchaj uważnie: silnik okrętowy turkocze. Ciesz się, panku, twoja „Ilsebill” ma załogę. Jakżeby inaczej silnik okrętowy. Jeśli nie twoje baby, to ktoś inny musiał go znów. Był przecież całkiem do niczego. A teraz chodzi i chodzi. Poczciwy stary diesel. Jak naoliwiony, słyszysz?!

Nigdy nie widziałem jej bardziej podnieconej. To na Ostrowie, to znów tam i z powrotem po Długim Pobrzeżu, na terenie stoczni, biegała wokół basenu portowego po murach nabrzeża, wskoczyła wreszcie na pachołek, szukała słów, nie kończyła żadnego zdania. Panku, kochaniutki! wołała. Powinny chyba. Czy to możliwe, że mimo zimna, lodu, ciemności. I chociaż burze pyłowe, to przekłete promieniowanie, które nawet myśmy ledwie. A mimo to, ponieważ wówczas? Trudno sobie wyobrazić. Być może parę egzemplarzy. Popatrz tylko, jakie jesteśmy pełne oczekiwania. Pełne nadziei. Ale też zatrwożone...

Nie tylko ona na pachołku do cumowania; całe szcurze plemiona obsadziły nabrzeża. Na wszystkich dźwigach, pochylniach stoczni Lenina, wysoko na silosach przy basenie siarkowym, którego zazwyczaj unikały, na

sterczących ścianach suchego doku tłoczyły się jeden przy drugim. W każdym miejscu, które dawało dobry widok: na Ostrowie, gdzie łączyły się Motława i Martwa Wisła, na obu brzegach Motławy. W Nowym Porcie, którego dzielnice mieszkaniowe aż po Wrzeszcz spoczywają pod wałami szlamu, otaczającymi teraz port pasem zieleni, porośłym przez ziemiopłody, przeważnie słoneczniki, aż po molo: szczury, wszędzie szczury, ciekawe, niespokojne, leżące jedne na drugich, złączone w grube węzły.

A kiedy turkot stuosiemdziesięciokonnego silnika nie był już czymś wątpliwym czy tylko wytęsknionym, lecz wobec panującej ciszy wypełniał mój sen jako jedyny dźwięk – bo szczury zastygły w bezruchu; kiedy pogłoska stała się wiadomością, że kadłub dawnego statku badawczego nie wpłynie do nowoczesnego basenu transatlantyckiego, lecz bierze kurs na stary, historyczny port, gdzie przy Długim Pobrzeżu od czasu ultimo stały przycumowane dwa parowce wycieczkowe, które były dawniej białe; kiedy wreszcie turkoczący wrak, którego ogołocony pokład pozostawał bez życia, przybił do brzegu pod ruinami spichrzów z czasów drugiej wojny światowej i spichrzami odbudowanymi w okresie międzywojennym, przybił do brzegu naprzeciwko Długiego Pobrzeża z żeglarskiego punktu widzenia bezbłędnie; kiedy wśród szcurzych plemion rozeszła się wieść, że przybysze zacumowali na dobre na Wyspie Spichlerzy, szczury z terenów stoczniowych i portowych Nowego Miasta, z Nowego Portu i szlamowych grobli pospieszyły strumieniami na Stare i Główne Miasto, ich ulicami do portu na Motławie, tak że wkrótce po przycumowaniu wraku bramy Mariacka i Chlebnicka, Zielona i Św. Ducha były zapchane, wszystkie bulwary nadbrzeżne zalane przez szczury, okna gotyckich kamienic nad Motławą wypełnione do ostatka, a ich szczyty obwieszane szcurzymi winogronami.

Przeładowane pordzewiałe parowce wycieczkowe. Każde miejsce, każda możliwość zobaczenia czegoś wykorzystana. Wieżyczka Obserwatorium Astronomicznego oblepiona przez szczury. Przepelnione zwęglone resztki Żurawia. Figury zdobiące szeroką Bramę Zieloną już nie do rozpoznania.

Tylko brzeg Wyspy Spichlerzy, dopiero co jeszcze obsadzony przez szczury, opustoszał. Był wolny, jak gdyby chciano nadciągającemu zjawisku pozostawić przestrzeń.

Nazwij to respektem albo obawą, w każdym razie dystans był wskazany. Co prawda domyślałyśmy się, że coś przybędzie, ale nie wiedziałyśmy, czym się to przybyłe okaże. Wspólne modły przywoływały wprawdzie obrazy, ale było ich za dużo i wymazywały się nawzajem. Chociaż nasz śpiew u Marii Panny – ty wystarczająco często widziałeś nasze pobożne zgromadzenia – miał na celu powrót człowieczości, a my w każdą modlitwę włączałyśmy prastarą i jej skurczonego chłopczyka, nie było wiadomo, w jakiej postaci człowiek nam zmartwychwstanie, nie przeczuwałyśmy nawet, jaką będzie miał sylwetkę.

Nic dziwnego, powiedziała szczurzyca, że prześcigano się w spekulacjach. Jaki on będzie? Znanej nam, normalnej wielkości? Przesadnie wyolbrzymiony? Jednooki albo patrzący na wszystkie strony czterema oczami? Nawet grupując sugestywnie na wielkim ołtarzu naszego głównego kościoła owych niebiesko-białych karzełków, tę zabawkę o ludzkiej postaci, którą u schyłku czasów człowieczych produkowano masowo, miałyśmy jednak nadzieję, że człowiek nie zostanie nam przywrócony w miniaturze. Nasze oczekiwania pozostawały nieokreślone. A powinnyśmy były wiedzieć lub umieć sobie wyobrazić, co nam było pisane. Poddawane testom i długim cyklom doświadczeń, wystawiane na działanie trucizn i odtrutek, pozostające w służbie człowieczych badań, a pod koniec nawet uhonorowane, nagrodzone, wiedziałyśmy, co ich rozum koniec końców wymyślił, jeśli chodziło o – tak nazywał się ich program badawczy – ulepszenie rodzaju ludzkiego. To jednak, co się okazało, niejako wyszło na jaw, przy całym przedsmaku radości przeraziło nas.

Ledwie wrak stanął bokiem między dwoma pachołkami, ułożyłyśmy wokół pachołków słoneczniki, szczególnie duże brukwie, kolby kukurydzy, do tego oskubane grzywacze i wróble, w dużym pośpiechu, żeby umknąć

przed ich pojawieniem się. Mówiłam już, że zebranych w pęczki szczurom udało się na wieży Marii Panny i na wieżach innych kościołów uderzyć w dzwony? Setka i więcej tłustych starych szczurów przy linach. W każdym razie kiedy pojawili się przybysze i myśmy zamarły w oczekiwaniu, jak za czasów człowieczych były wszystkie dzwony.

I zobaczyłem, jak wychodzą po schodkach z forkaasztelu, wspinają się wyprostowane, idą, potem stoją. Widziałem, jak niedbale przenoszą ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Były chyba wzrostu trzyletniego chłopca. Obojga płci i tylko miejscami szczurzo owłosione, odznaczały się ludzkimi proporcjami, miały jednak, choć nie zdołałem dojrzeć szczurzych ogonów choćby w szczątkowej postaci, na długich szyjach nadmiernie duże szczurze głowy.

Szczurzyca, która usadowiła się naprzeciwko na gzymsie dachowym Bramy Zielonej, powiedziała: Z początku udawały, że jeszcze nas nie dostrzegły. Bicie w dzwony trwało. Rozprostowywały nogi, przechadzając się tam i z powrotem po pokładzie, przeciągały się, otrząsały. Potem dopiero, jakby chciały zawołać: halo, pomachały w kierunku przeciwnego brzegu i w górę ku szczytom i wieżom kamienic i bram miejskich. Jeśli dotychczas próbowałyśmy się przepychać, żeby mieć lepszy widok, to teraz zdrętwiałyśmy. Wierz nam, panie: ani jeden ogon nie drgnął z niepokoju. Tylko w wąsach objawiało się życie. Przeważenie? Ale pojawiło się rozczarowanie i w zaczątkach ochota do śmiechu, do wyśmiania przybyszy, ledwie się pokazali. Ale przeważało zatrwożenie. Dzięki Bogu bicie dzwonów stopniowo ucichało.

Patrzyłem na to, co mi pokazywała szczurzyca, raczej z rozbawieniem. Śmiałem się we śnie. Kiedy włochaci szczuroludzie albo owłosione człekoszczury – było ich pięć, potem siedem, w końcu dwanaście – przycumowały wrak „Nowej Ilsebill” do pachołków, przy czym dwa, trzy zeszły na ląd, spostrzegły, co szczury gościnnie im przyszykowały. Bez ceregieli częstowały się zżerając brukiew, kukurydzę i słoneczniki z kolbami

i koszyczkami kwiatowymi. Grzywaczy i wróbli nie tknęły. Najwidoczniej czując wstręt do surowego mięsa wrzuciły oskubaną padlinę do Motławy.

W tym momencie przebrzmiały ostatnie dzwony. Odrętwienie szcurzych plemion ustąpiło. Wycofywały się ze wszystkich kamienic, ze szczytów i wież bram, z bulwarów Długiego Pobrzeża, podobnie jak z parowców wycieczkowych nie opodal ruiny Żurawia. Bezgłośnie znikanie, w którym dopatrywałem się rozczarowania. Prawdopodobnie zebrały się u Marii Panny, w miejscu swych modlitewnych skupień.

Później, kiedy miało mi się już przyśnić coś innego, szcurzyca, nie pokazując się, powiedziała: I za ten śmieszny produkt ludzkiej wiedzy przyznano nam – przypominasz sobie, panie – Nagrodę Nobla. W uznaniu wyświadczonych usług w dziedzinie technologii genetycznej, jak mówiono. I oto co z tego wyszło: szcurołudzie albo człekoszczury, jak widać. Przybysze! Karykatura naszych nadziei.

Nazywałyśmy ich początkowo przybyłymi. Przez jakiś czas mówiło się o manipłach, w skrócie: niplach. Wreszcie przypomniałyśmy sobie owych dwóch wysoko uhonorowanych panów, którzy u schyłku człowieczego czasu odkryli strukturę DNA, rozszczepili jądro komórki, odczytali łańcuchy genów, a nazywali się Watson i Crick; odtąd nazywałyśmy przybyłych watsoncrickami. Przy dłuższej ciąży – osiemnaście tygodni – i mniejszej liczebności miotów – cztery do pięciu noworodków – rozmnażały się wolniej od nas. Nawiasem mówiąc z dwunastki watsoncricków, które zeszyły z pokładu, pięć to były samiczki, wszystkie brzemiennie. Powinnyśmy były zgładzić je wszystkie, natychmiast zgładzić.

Nasz pan Matzerath, któremu opowiedziałem o wylądowaniu szcurołudzi, nazywa ich chłopięcy wzrost wystarczającym i mówi, że to w sumie udany pomysł. Na moim biurku nadmiar korespondencji, ale nie ma wiadomości z Travemünde. Ostatnio śnią mi się powtórzenia i warianty. Nie tylko że Czarownica nożycami, które podaje jej Zła Macocha, obcina w okamgnieniu długie włosy Roszpunkki; szcurzyca nie proszona podsuwa mi raz po raz inną



scenę: jak najpierw stają w płomieniach włosy kobiet – kędziory Damroki! – po czym wszystkie one spalają się do cna. Nie, raczej jest tak, że kobiety coraz bardziej bledną, aż są już tylko śladami farb na kruszącej się wapiennej zaprawie, które malarz Malskat, tym razem na zlecenie naszego pana Matzeratha, zmywa szczotką ryżową, aby pewną ręką machnąć pięć kobiet, które wszystkie jednak podobne są do aktorki filmowej Hansi Knoteck i żadna ani trochę nie przypomina mojej Damroki.

Wciąż jeszcze nie ma pocztówki z Travemünde. W trzecim programie życie toczy się dalej i zgodnie z obietnicą moja gwiazdkowa szcurzyna co tydzień punktualnie dostaje nową podściółkę. W Hameln uroczystości kończą się bez szczególnych zdarzeń. Natomiast wiadomość z Uppsali, że wyizolowana substancja dziedziczna staroegipskich mumii zaczyna się pomnażać, śni mi się w odcinkach i nadaje watsoncrickom, tuż po wylądowaniu, pradawne profile: stoją one lub kroczą jak posągi z czasów Ramzesa I, ramiona kanciaste, dłonie, stopy, pępek stylizowane; i chyba nawet ich szcurze głowy wywodzą się z delty Nilu.

Tego nasz pan Matzerath nie może zaakceptować. Chce, żeby przybysze mieli w sobie coś wyraźnie szwedzkiego. Ale zgadza się ze mną, kiedy w grupie dwunastu wyróżniam cztery czy pięć, ponieważ noszą biżuterię. Ledwie zdecydowały się na pierwsze zejście na ląd, dostrzegam na nich srebrne wisiorki, także naszyjniki z kości słoniowej, nanizanego onyksu i złotych ogniwi. To jest, wołam we śnie, pasek spleciony z cienkiego drutu srebrnego, który widziałem ostatnio pośród drobiazgów w żeglarskim worku Damroki; tej brzemiennej nie opina teraz brzucha zbyt ciasno. A te korale, które zdobią inną szwedzką manipłę ze szcurzą głową, podarowałem dawno temu – ale ona pewnie o tym zapomniała – oceanografce, kiedy między nami było jeszcze dobrze. Poznaję również tę i ową rzecz ze szkatułki sterniczki, która nosiła je niez mordowanie, chociaż między nami wkrótce się skończyło. Kolczyki! Jedna ze szcuro ludzkich samiczek, ciężarna jak wszystkie, nosi kolczyki z długimi frędzlami; gdybym wiedział, komu i kiedy ofiarowałem te

kosztowności – pamiętam jeszcze cenę – na urodziny, pod choinkę albo na Dzień Matki...

Na to szcurzy ca, która mi się śni, powiada: Nawet gdyby świat się skończył, twoje historyjki o babach się nie skończą. Przyjrzyj się tylko uważniej, tatuśku! Pierścionki, które kupowałeś na tandecie, po krótkich targach, i ciągle hojnie rozdawałeś, noszą teraz męskie nipie, żeby było śmieszniej: na kciuku.

Potem Czarownica znów chwyta nożyce i Roszpunka płacze ostrzyżona do gołej skóry. Potem widzę, jak Malskat, znów czynny wysoko na rusztowaniu, nie obawia się stylowych dysonansów, narzucając gotyckim malowidłom ściennym staroegipską surowość; szybkimi pociągnięciami pędzla udaje mu się przy tym machnąć autoportret: młody i cokolwiek sowizdrzałowaty wciska się między dwóch namalowanych już przedtem starszych panów, którym do twarzy z egipskimi akcentami. Potem śni mi się pocztówka ostemplowana w Travemünde. Potem widzę, jak nasz pan Matzerath angażuje Grimmobracy. Potem zegar z kukułką bije dwanaście razy. A teraz watsoncricki z biciem dzwonów ponownie schodzą na ląd...

*ROZDZIAŁ JEDENASTY, w którym przybyli się zadomawiają, sen Śpiącej Królowny kończy się strasznie, w Hameln zaskakują trojaczki, w lubeckim procesie fałszerza obrazów zapada wyrok, Wyspa Spichlerzy jest za ciasna, nasz pan Matzerath znów wszystko wiedział z góry, watsoncricki zaprowadzają porządek i – ponieważ poczta przynosi dobrą wiadomość – muzyka daje ukojenie.*

Nasze sny kasują się nawzajem.  
Rozbudzeni oboje  
staliśmy twarzą w twarz  
aż do znużenia.

Śnił mi się człowiek,  
powiedziała szcurzyca, która mi się śni.  
Mówiłam do niego, aż uwierzył,  
że ja mu się śnię, i powiedział we śnie: szcurzyca,  
która mi się śni, uważa, że ja jej się śnię;  
czytamy siebie wzajem w lustrach  
i wypyujemy się.

Byłobyż to możliwe, że oboje,  
szcurzyca i ja,  
śnimy się i jesteśmy  
snem trzeciego stopnia?

Na koniec, skoro wyczerpią się słowa,  
zobaczmy, co jest naprawdę,  
nie tylko w ludzkiej mocy.

Są niebieskookie. Powoli nabierają kształtu. Rzucają cień i mają właściwości, w tym również zabawne.

Jeśli dopiero co mówiliśmy, że abstrahując od głów i owłosienia tu i ówdzie, mają ludzkie proporcje i chodzą prosto jak należy, to teraz mówimy:

ich sierściopodobny włos jest blond, wobec czego niebieskie oczy w nadmiernie dużych szczurzych głowach nie wyglądają obco; domieszka szwedzkich genów zarówno u białowłosych, jak i czerwonoookich szczurów laboratoryjnych miała tak typowe konsekwencje, że nie powinno się już podawać w wątpliwość skandynawskiego pochodzenia imigrantów ani krzyżować go z egzotycznymi dodatkami: są oni jednoznacznie produktem owej filii uniwersytetu w Uppsali – tamtejsi genotechnicy korespondowali ze swymi kolegami z Bostonu, Bombaju i Tbilisi – która wcześniej zaczęła gromadzić wzbogacone hodowle jąder komórkowych. Uczeni z całego świata koordynowali swoje poczynania. Toteż powitane biciem w dzwony lądowanie należy traktować jako ciąg dalszy człowieczej historii. Stosunkowo krótkoterminową przerwę, jaką spowodowało Wielkie Bum-Bum, udało się pokonać: jedną inwazją więcej. Bo jak ongiś przybyły statki wylądowane Gotami, którzy usadowili się u ujścia Wisły i po krótkim, raczej markotnym pobycie pociągnęli na południe, aby odwalić swoją część wędrówki ludów, tak owych wyzwoleńców ze stolicy Gotlandii należy traktować jako siłę, która – co już teraz jest wyraźne – wpłynie na bieg historii.

Kto to mówił? Szczurzyca, która mi się śni? A może ja mówiłem, co mi podpowiedziano? A może ona, co ja jej podsunąłem? A może we śnie szczurzyca i ja mówiliśmy jednocześnie?

Oboje nas zaskoczyło pojawienie się manipli, ich intensywnie jasna niebieskookość, aczkolwiek szczurzyca wyglądała ich przybycia z utęsknieniem, ja z obawą. Z początku ratowaliśmy się śmiechem: Czy one nie są komiczne, tak komiczne, że można pęknąć ze śmiechu? Te kabłąkowate ręce! Ten bociani chód z wyprostowanymi kolanami. Jak samczyki przy siusianiu zasłaniają genitalia, samiczki kucają. Ich ceremonialne powitania, uroczyste gesty. Naprawdę: to komiczne dziwolągi!

Od chwili wylądowania obserwowałyśmy, jak nie napotykając przeszkód ze strony szczurzych plemion zdobywały teren. Zajmując Wyspę Spichlerzy

między ramionami Motławy, a zatem dzielnicę mającą za sobą bogatą historię, i rozmyślnie sikając i oddając kal na mostach do Głównego i Dolnego Miasta, zatem na sposób szczurzy wytyczając swój rewir, zachowywały się tak, jak gdyby ich roszczenia były zagwarantowane.

W taki pewnie sposób, mówiła szczurzyca, mówiłem ja, przed wiekami Krzyżacy wyrabiali swemu zakonowi prawo władania danym miejscem. Ale ponieważ przybyli tak bezspornie zawładnęli Wyspą Spichlerzy, zasiedziało tu plemiona szczurów nie tylko tolerowały ich, lecz też odnosiły się do nich z respektem jako do wysłanników wyższej potęgi: z należytego dystansu. Nie, nie było nawiązywania kontaktów, mierzenia sił dla zabawy. Nie było też po początkowym biciu w dzwony uniżonej czołobitności. Co najwyżej dochodzi ostatnio do podchodów na mostach, wzajemnego obwąchiwania się: zapach jest obcy.

My odczekujemy. Widujemy tamtych codziennie i na razie nie możemy ich rozgryźć. Ale moja szczurzyca i ja jesteśmy zgodni: zmanipulowani po szwedzku szczuroludzie – ona mówi z naciskiem: człekoszczury – tchną spokojną, ociężałą, być może przytłumioną, bo jakby flegmatyczną siłą, która na razie nie musi się manifestować; wierzy się im i tak, że w razie czego gotowi są energicznie działać: szybko i rozważnie, zawsze stosownie do okoliczności, nigdy bez umiaru. Uosabiają potęgę, ale nie ślełą przemoc. Opieszala dyscyplina jest im wrodzona. Przestrzegają zasad swego nie rzucającego się w oczy porządku nie powodując się lękiem – wśród szczurów niestety koniecznym – przed pogryzieniem przez nadzorców.

Mówi to szczurzyca, ja potwierdzam: odkąd zatarła się śmieszność ich pierwszych występów, przybyli są piękni, przerażająco piękni. Nie z daleka, z bliska, z mostów widziani, są indywidualnie zróżnicowani, to nie identyczne klony, bo każdy i każda są inaczej piękni. Błękit ich oczu sięga od jasnej, tu wodnistej, tam mlecznej niebieskości przez chłodny błękit metalu po ów ciemny, nagle czerniejący granat, jaki za czasów człowieczych przypisywano spojrzeniu bohaterów. Pośród tego momenty raz po raz

promiennej barwy nieba, ich wzruszająca nas niebieskość.

Szczurzyca i ja widzimy, jak lniano-, pszeniczno-, złoto- i rudawowłosi przemierzają Wyspę Spichlerzy: spokojnie obejmując teren w posiadanie. Tutaj stoją zamyśleni przed ruinami z czasów międzywojny. Tam nie domyślają się pewnie, że kiedyś, równoległe do Bocianie, na Mniszej znajdowało się ostatnie żydowskie getto. Za nimi nie ciągnie się ta historia. Z niczym nie muszą się parać. Chodzą sobie zaprogramowani na wartość zerową i nie nękanii przez żadne poczucie winy. Patrzymy na to z zazdrością.

Cechuje ich pewna niezgrabność. Stoją na z lekka krzywych nogach. Nie wszyscy są gładko owłosieni. Niektórym wije się sierść na plecach, rękach, udach. Nawet na palcach rąk i nóg – tak, to ludzkie dłonie i stopy, którymi sięgają, znajdują oparcie, radzą sobie – kędzierzawią się jasne włosy. Ci z gładkim uwłosieniem głowy noszą je długie i rozczesane. Ich jasno- bądź ciemnoniebieskie oczy mają też oprawę z blond rzęs.

Ja uważam to za piękne. Szczurzyca natomiast twierdzi, że prócz szczurzych ingrediencji dostrzega elementy wzięte od świni domowej. Wskazuje na brak długich ogonów, a ja uprzytomniam sobie, że ich stos pacierzowy kończy się powyżej pośladków szczątkowym, ale dostrzegalnym zakręconym ogonkiem. Szczurzyca mówi o tym bez drwiny, jak gdyby manipulowanie ludzkimi, świńskimi i szczurzymi genami należało postawić wyżej niż program, który ogranicza się do genów szczurzych i ludzkich.

Pewnie, pociesznie zakręcony ogon to jest argument. Nie da się go przeoczyć, skoro ona wskazuje nań kilkakrotnie. Jednakże ja oceniam zredukowane i w dodatku podkręcone szczurze ogony inaczej. Wzdragam się nazywać je świńskimi ogonami, wskazuję na możliwe kaprysy manipulowanej natury i upieram się nadal przy nowym gatunku: szczuroczłowieku lub człekoszczurze. To wystarczające wzbogacenie. Tylko szczurzość może albo powinna objawić się w człowieczości. Odkąd nie ma już nas w dawnej postaci, staliśmy się bądź co bądź, pomyślni na nowo, znów możliwi. Jedyne szczur, twierdzą, mógł człowieka wywyższyć i

ulepszyć. Tylko ten łańcuch genów prześcignął naturę. Jedynie w taki sposób udało się kontynuować dzieło Stworzenia. Mówić o świńskich dodatkach – proszę cię, szczurzy co! – byłoby mi trudno.

Żyją parami. Zwraca uwagę nie nadmierna, ale wyczuwalna żeńska dominacja. Szczuroczłowiek płci żeńskiej nie zadowala się odchowывaniem młodych. Widzimy, jak samiczki, po nakarmieniu piersią swoich trojaczków czy czworaczków, przechadzają się w zamyśleniu, podczas gdy człekoszczury płci męskiej zajmują się potomstwem. Widać w końcu udało się jednak doprowadzić do równouprawnienia płci. To, co za czasów człowieczych nie było możliwe i wciąż doprowadzało do kłótni w kuchni, w sypialni, to, czego – przy całej miłości – nie dało się osiągnąć, jest oto praktykowane: w sposób najzupełniej niewymuszony, całkowicie harmonijny, choć trochę monotony. Jakkolwiek żadny jestem dostrzeżenia w ich powszedniości napięć, zaczynających się niesnasek, nic nie trzaska, nie sypią się skry, wszystko odbywa się z przekonującą nudą.

Tuż po wylądowaniu rozmnożyły się. Co prawda ich liczebność nie będzie zwiększać się tak prędko jak u zasiedziałyh plemion szczurzych, ale już pierwsze młode łączą się w pary, już szwedzcy manipie są wielką rodziną, wkrótce staną się plemieniem. Szczurzyca i ja doliczamy się ponad setki niebieskookich, którzy mają swój rewir na Wyspie Spichlerzy i chcą się rozrastać. Dwa z pięciopiętrowych domów z pruskiego muru, odbudowanych po międzywojnie, są aż po dach zajęte przez dzieci i młodzież. Jeszcze nie znają kłopotów z pożywieniem, ponieważ wszystkie spichrze wypełnione są zapasami tutejszych szczurzych plemion: kolbami kukurydzy, stertami zboża, kupami soczewicy i ziarnem słoneczników.

Szczurzyca, o której sędzę, że mi się śni, patrzy na to nie bez niepokoju; a ja, który z kolei – jak ona mówi – śnię się jej, również się martwię: Każdy zapas kiedyś się kończy. W jakimś momencie stworzy to problemy.

Ona natomiast ubolewa nad zaniedbaniami: Powinnyśmy były je wykończyć, wykończyć zaraz po wylądowaniu. Było ich tylko dwanaście.

Załatwić się z nimi szast-prast to byłaby pestka.

W zasadzie przyznaję rację mojej szcurzycy i prawdopodobnie to nawet ja w trosce o osiadłe na terenie Gdańska szcurze plemiona domagałem się niezwłocznego wyeliminowania manipli. W każdym razie zgadzamy się: spokój jest zwodniczy. Niedługo Wyspa Spichlerzy będzie przeludniona. Już czwarte pokolenie niebieskookich osiągnęło dojrzałość płciową. W magazynach z piętra na piętro ubywa ziaren słonecznika. Najwidoczniej zapasy w dawnym spichrzu Raiffeisena – był tam zmagazynowany jęczmień – zostały zużyte. Coraz więcej ogryzionych kolb kukurydzy pływa po obu odnogach Motławy. Co prawda szcurze plemiona nie biedują, zwłaszcza że ostatnie zbiory wypadły nadzwyczaj pomyślnie, ale mimo to jest się czym martwić: Co będzie, jak wszystko zostanie zjedzone? Co z nimi zrobić, jak będą głodne i ponad miarę liczne?

Ich zgromadzenia tchną jeszcze spokojem. Kiedy wieczorem stoją grupami albo przechadzają się tam i z powrotem, wydają się nieszkodliwe, całkiem zaprzątnięte sobą i swoim rozmnażaniem się: raczej łagodni samcy, władcze samice. Zaludniają Wyspę Spichlerzy w sposób dobrze zorganizowany, jakby im to miejsce wystarczało. Surowo przywołują z powrotem dzieci, skoro tylko parę z nich zapuści się na mosty i przekroczy granice rewiru: w kierunku Bramy Zielonej albo koło Bramy Stągiewnej, w stronę Dolnego Miasta, gdzie za wałami szlamu osiedli nasi Ruscy.

Ich młodzi wychowani są w duchu posłuszeństwa. Od małego uczą się głośować przez podniesienie ręki. Nie uznają działań pochopnych i przywiązują wagę do dobrego sąsiedztwa. Wrodzona jest im neutralność. Mają w zachowaniu coś ujmująco skandynawskiego, jak gdyby dzięki technice genetycznej zaszczepiono im ponadto pewne socjaldemokratyczne zasady; tak sobie mówimy dla uspokojenia.

Jeszcze żaden watsoncrick nie pokazał się na Długim Targu, koło ratusza czy Dworu Artusa. Wolnym od ciekawości wystarcza własny rewir. O ile my bardzo niepokoimy się o ich i naszą przyszłość, o tyle oni zdają się wcale nie



martwić: zmanipulowani zachowują wyniosły spokój. Kurczące się zapasy i uciążliwa ciasnota nie przeszkadzają im w powiększaniu swej jasnowłosej i niebieskookiej liczebności. Groźnie pomnaża się ich piękno: ze wszystkich spichrzowych okienek połyskują gładko i kędzierzawo.

Jeszcze nas cieszy ich wdzięk, ale ostatnio rzuca się w oczy, że dorosłe nipie zbierają się na ćwiczenia. Ponad Motławą widzimy, szcurzyca i ja, jak tworzą kolumny i klinowate formacje. Idąc wyprostowani ćwiczą równy krok. O Boże! Oni maszerują. Skręcają w lewo, zawracają w prawo, maszerują w miejscu, nieruchomieją na rozkaz, zwracają wzrok w nakazanym kierunku, ponownie ruszają naprzód. Ponad spokojną wodą słyszymy, szcurzyca i ja, ich komendy. Palatalna, może dla kogoś przyjemnie brzmiąca mowa, która przypomina mi mamrotanie owych figurek przywiezionych do Polski przez naszego pana Matzeratha w prezencie dla biednych kaszubskich dzieci; wydaje mi się, jakbym wciąż słyszał wołanie tych watsoncricków: W prawo smerfmarsz! W tył smerf! Naprzód smerf! Smerf dwa trzy cztery, smerf dwa trzy cztery, smerf...

Nadciągają! Cudowne lustro Złej Macochy, przed którego ekranem cisną się wszyscy zgromadzeni w Domku z Piernika, ukazują nigdy nie widziane pojazdy gąsienicowe, opuszczające nagle otworzoną gardziel podziemnych betonowych silosów. Z obrotowymi chwytakami, wysuwającym zgarniakiem, kolcem, kafarami, z umieszczonymi po bokach przegubowymi ssawkami są one podobne do legendarnych smoków; toteż nazywa się je „taranosmokami”, jak czołgom nadaje się nazwy drapieźników.

Teraz taranosmoki rozjeżdżają na autostradzie wszelką zieleń i nadciągają coraz bliżej i bliżej. (Nasz pan Matzerath życzy sobie, żeby te pojazdy specjalne, które dotychczas sprawdziły się jedynie w Indiach i Ameryce Południowej przy oczyszczaniu rozległych terenów ze slumsowej zabudowy, a teraz przepędzają każdego, kto jeszcze niedawno wysławiał baśniowy rząd Grimmów, były dodatkowo wyposażone w miotacze ognia. Ja wypowiadam się przeciwko tak staroświeckiemu uzbrojeniu, muszę jednak liczyć się z tym,

że młodzińcze doświadczenia Oskara wezmą w końcu górę; tak silne wrażenie zrobiło na nim użycie miotaczy ognia w walce o Pocztę Polską.)

W Domku z Piernika szerzy się panika. Król Drozdobrody lęka się o swoją własność. Dobre wróżki płaczą, złe wiją się jakby z bólu. Jorinda, Joringel skamieniali. Roszpunka, jakby marzła, otula się swymi długimi włosami. Jak Żaba skacze przerażona z czoła Damy do studni, tak Żabi Król wydostaje się z niej trzęsąc się ze strachu. Bezręka Dziewczyna odrąbanymi rękami zasłania sobie oczy, które nie chcą widzieć niczego strasznego. A Babcia Czerwonego Kapturka wszystkim, którzy chcą słuchać, czyta ze słownika Grimmów słowa pokrewne nieszczęściu: „niedobry, niefortunny, niepomyślny, nieszczęsny...”, ale też „niefrasobliwy, nieodwoławny, nieustraszony...”

Z początku tylko Liczyrzepa ze swą maczugą gotów jest stawiać opór. Teraz także Dzielny Krawczyk i Dzielny Ołowiany Żołnierz. Za namową Karzełków kilka czarownic niższego rzędu siusia do zebranych naprędce pustych butelek, które Karzełkowie zakorkowują. Odrąbane ręce Bezrękiej Dziewczyny ćwiczą techniczne chwyt.

Na uboczu Śnieżka i Czerwony Kapturek doradzają kanclerskim dzieciom ucieczkę: „Powinniście iść do domu, dzieci, zanim będzie za późno!” Ale Jaś i Małgosia wzbraniają się: „My należymy do was!”

Tymczasem cudowne lustro pokazuje, że taranosmoki opuściły autostradę. Zbliżają się do lasu, wjeżdżają weń, przedzierają się, wypluwają za siebie drzazgi, poszarpany mech, siekaninę korzeni. Z wieżyczki pierwszego taranosmoka budzący pocałunkami Księżę wskazuje kierunek generałkanclerzowi rządu ocalenia. Posyła całusy tam, gdzie – jak wie – za cierniami śpi jego Śpiąca Królewna.

W Domku z Piernika wszyscy są wciąż jeszcze wściekli na zdradziecką ucieczkę Księcia. Roszpunka wstydzi się. Czarownica, czarownik Merlin i złe wróżki usiłują powstrzymać taranosmoki zamawianiem i czarodziejskimi zaklęciami. Ale wszelkie przekleństwa odbijają się sypiąc iskrami albo

zmieniają tylko zewnętrzne szczegóły: pojazdom specjalnym wyrastają smocze zęby, wstawia się im rozbiegane oczy, spomiędzy kolca i zgarniaka wysuwa się płonący rozszczepiony język; w ten sposób miotacz ognia naszego pana Matzeratha należy jednak do wyposażenia taranosmoków.

Wszystko to nie robi wrażenia jedynie na Księżciu. Nie posiadając się z uniesienia przesyła wskazujące kierunek pocałunki. Kolumna, której ostatni smok przewozi wyposażony w tarcze ochronne i hełmy z przyłbicą oddział specjalny, dociera teraz na leśną polanę z wykutym w kamieniu pomnikiem Grimmobracy pośrodku.

Baśniowe postacie z przerażeniem widzą w cudownym lusterku, jak jeden z taranosmoków wysuwa taran, bierze rozpęd, taranuje pomnik, taranuje ponownie cokół, nabrawszy nowego rozpędu obala wykutych w kamieniu Grimmobracy, po czym oni rozwalają się na kawałki, które inne taranosmoki wgniatają w leśne podłoże, łącznie z bliskimi naszym sercom, boleśnie poobijanymi teraz głowami.

Wydaje się, że wszystkie baśniowe postacie w Domku z Piernika chciałyby na widok zastosowanej przemocy zapaść się pod ziemię. Dobre i złe wróżki wołają: „Biada ludzkim istotom, nie wiedzą one, co czynią!”

Budzący pocałunkami Księżę, który początkowo z konsternacją patrzył na dzieło zniszczenia, a potem nasunął sobie czapkę na oczy, wskazuje teraz nowy kierunek. Ale ponieważ taranosmoki nie idą za wskazaniem Księcia, lecz biorą za cel coś przeciwległego, przemoc nie zwraca się ku snowi Śpiącej Królowy za cierniowym żywopłotem; przedtem należy jeszcze raz dwa wyrównać rachunek. Kolumna coraz głębiej wdziera się w zdrowy las.

„O biada!” – woła Śnieżka. – „Wkrótce skończy się moja baśń!”

Jorinda i Joringel lamentują: „Nigdy już nie będzie naszego smutku”.

Czerwony Kapturek, głupie stworzenie, woła: „Może oni tylko złożą nam wizytę!?”

Rozpunka już wie: „Bez baśni ludzie będą biedni”.

„E tam” – mówi Titelitury – „już dawno nie brak im nas.”

Pośród biadolenia napisów (do którego dołącza się też nasz pan Matzerath: „Martwi mnie to kiepskie zakończenie!”) Liczyrzepa wzywa do oporu. „Za mną!” – woła i wywija maczugą.

Wszyscy opuszczają Domek z Piernika. Zła Macocha zabiera swoją alfę i omegę, cudowne lustro, w którym dopiero co jeszcze widać było niszczące wszystko taranosmoki. Na dworze spuszcza się Wilka z łańcucha. Złe wróżki wycofują wszystkie zaklęcia rzucone na zaklęte kruki, łabędzie, sarnę, po czym cała czereda młodocianych księżąt z zakłopotaniem rozprostowuje nogi, a następnie zbiera się lękliwa i zarazem harda.

Karzełkowie rozdają butelki z czarowniczymi siuškami. Królowi Drozdobrodemu nie przychodzi do głowy nic bardziej rozpaczliwego niż mianowanie Dzielnego Ołowianego Żołnierza generałem. Wilk kuli ogon, chce wrócić na łańcuch. Żabi Król chciałby czmychnąć do studni, ale jego Dama i Czarownica nie dają mu uciec. Bezręka Dziewczyna wcześniej od wszystkich innych słyszy hałas coraz bardziej zbliżającej się przemocy: zatyka sobie uszy. Jaś bierze Małgosię za rękę.

Teraz wypadają z lasu, w szóstkę, szeroką tyralierą. Wysuwają chwytacze, kolce, boczne ssawki. Grożą tarany, zgarniacze. Pomiędzy zgarniaczami a kolcami płonące rozszczepione języki. Okropnie rozbiegane oczy. Za taranosmokami wysadzony oddział specjalny, pod osłoną tarcz i hełmów, zabezpiecza oczyszczony teren. Z jednej z czołgowych wieżyczek budzący pocałunkami Księżę uśmiecha się i macha głupawo do gotowych walczyć, a przecież zagubionych baśniowych postaci. Rozdaje nawet całusy, póki pięść dowódcy nie zmusi go do schowania się we wnętrzu smoka. Z innych wieżyczek biskupi błogosławią temu, co ma nastąpić. (Wydaje mi się, że nasz pan Matzerath, jak do tego przywykł od młodości, jeśli nie sprzymierzył się, to przecież dogadał się z wrogiem; domyślam się, nie, widzę go między przemysłowcami.) „Precz z baśniami!” brzmiało hasło kanclerzogeneała.

Siedmiu Karzełków z innymi krasnalami i skrzatami rzuca butelkowane siuški czarownicze jak koktajle Mołotowa. Co prawda butelki wybuchają, ale

wszystkie taranosmoki, na dodatek teraz dziwacznie wymalowane, kontynuują frontalne natarcie. Daleko naprzód wysuwają się płonące rozszczepione języki.

Liczyrzepa, który stawia czoło smokom ze swoją maczugą, pada pierwszy, potem Dzielny Ołowiany Żołnierz, potem wszyscy Karzełkowie krasnale skrzaty, które za późno próbują się zakopać. Niebawem to samo spotyka wszystkich młodocianych książąt, którzy dopiero co jeszcze byli łabędziem, krukiem lub sarną. Nareszcie agresywny Wilk skacze, odbija się, zostaje poćwiartowany. Dobre i złe wróżki, król Drozdobrody, trzęsący się Żabi Król wraz z Damą i Czarownicą, wszystkie wiedźmy niższej rangi, Śnieżka, Zła Macocha, Czerwony Kapturek, Jorinda, Joringel, Titelitury i Pani Zima, na koniec dzicy mężowie i Dzielny Krawczyk, wszyscy zostają zabici albo jak Latający Kufer i dosiadające mioteł czarownice przez chwytacze i ssawki, przez rozszczepione języki pochwyteni, wessani, roztrzaskani, strawieni ogniem lub – jak to się po niemiecku mówi – wyeliminowani: z tyłu taranosmoki wypluwają to, co pochwyć z przodu.

Czarownik Merlin zostaje przebity kolcem. Długie włosy Roszpunki zaplątują się w łańcuch gąsienicowy jednego z taranosmoków, Bezręka Dziewczyna staje w płomieniach, podczas gdy jej odrąbane ręce do ostatka tu zasłaniają szczelinę obserwacyjną, tam usiłują obłuzować jakąś śrubę i w końcu jednak ulegają smokokształtnej przemocy. Babcia Czerwonego Kapturka, póki i ona nie zostanie pochwycona i posiekana, czyta głośno ze słownika Grimmów słowa przeciwko dudniącej przemocy. „Litość!” – czyta – „litosny, litościwy, litości godzien...” Nic nie może powstrzymać smoków.

Jakby mimochodem zniszczony zostaje Domek z Piernika. Wszędzie leżą porozbijane, potłuczone, porozrywane, popsute, w kawałkach: cudowne lusterko i noga Titeliturogo, czapki Karzełków, pęknięty brzuch Wilka z zamkiem błyskawicznym i kapturek Czerwonego Kapturka. Okaleczone ręce Bezrękiej Dziewczyny, trumna Śnieżki w drobny mak, podarty słownik, każdy tom...

Ach, jakie to smutne, jakie żałosne! (A gdyby on nie przeszedł na stronę wroga, spotkałby go taki sam smutny koniec, mówi nasz pan Matzerath.)

Przeżyli tylko Jaś i Małgosia. Oboje to potrafią: uciekać w porę. Ścigani przez taranosmoki, umykają z dłonią w dłoni przez zdrowy i martwy las, aż dobiegają do krzewiącego się ciernistego żywopłotu, za którym trwa wszechogarniający sen Śpiącej Królowny.

Jaś i Małgosia chowają się za zwalonymi drzewami. Budzący pocałunkami Księżę wskazuje nowy kierunek kanclerzogenerałowi, biskupom i przemysłowcom, którzy wyglądają ze wszystkich innych taranosmoków. Ze swej kryjówki dzieci widzą, jak rządzące interesy w klasycznym przymierzu – kapitał Kościół wojsko – przedzierają się przez ciernisty żywopłot, rozjeżdżają go i niwelują, aż wszystko jest odsłonięte: zrujnowana wieża ze Śpiącą Królowną, znieruchomiły we śnie kanclerz i jego zastygła w bezruchu świta.

Teraz (podczas gdy nasz pan Matzerath wymyka się bocznym włazem i chciałby raz jeszcze, niczym dziecko, udać niewinnego) jeden z chwytaczy taranosmoka dowódcy łapie budzącego pocałunkami Księcia, unosi go wysoko ponad wieżyczkę czołgu, wyżej, jeszcze wyżej, aż do pozbawionej dachu izby w zrujnowanej wieży, gdzie Księżę od razu i bez namysłu bierze w ramiona swoją Śpiącą Królowną, całuje ją, całuje jak szalony, jak nigdy przedtem, z rozpaczą i nadzieją, jak gdyby było na co mieć nadzieję, budzi ją nieprzerwanym pocałunkiem i unosząc się w powietrzu ze zbudzoną pocałunkami Śpiącą Królowną w ramionach zostaje przez chwytacz wydobyty ze zrujnowanej wieży i porwany w bok, po czym stopniowo w kadrze ukazuje się budzący się kanclerz i jego budzący się orszak.

Ach, ta baśń wciąż jeszcze się sprawdza. Kanclerz natychmiast wbija zęby w duży kawał tortu z kremem maślanym, który trzymał w ręce, dopóki trwał sen Śpiącej Królowny. Ledwie przebudzeni, eksperci i ministrowie spierają się jak zwykle o szczegóły. W mgnieniu oka policjanci z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału zabezpieczają teren. Dziennikarze

dopisują do końca rozpoczęte zdanie. Z miejsca ruszają metry filmowej taśmy. Każdy zna swoje hasło. Robi, czego się nauczył. Jak gdyby nic nie zaszło, wszystko przebiega normalnie jak przedtem.

A kanclerz mamląc jeszcze ostatni kęs woła: „Dzieci! Moje kochane dzieci! Wszystko jest już dobrze. Minął okropny koszmar. Wracajcie! Ojciec i matka proszą was, wracajcie do domu, gdzie wszystko jest okay, jak dawniej”.

Jaś i Małgosia opuszczają swoją kryjówkę i uciekają ponownie. (Takiego, bądź co bądź wyobraźnego, biegu wydarzeń na marginesie akcji chce nasz pan Matzerath; i ja się z nim zgadzam.) Nie na rozkaz kanclerza, któremu się zdaje, że po prostu może rządzić dalej, jakby nie było generałów klechów przemysłowych waśniaków, chwytacz taranosmoka dowódcy odrzuca daleko budzącego pocałunkami Księcia i jego Śpiącą Królową, tak że oboje roztrzaskują się od razu.

Smok przetacza się teraz po całującej się jeszcze w śmiertelnym uścisku parze, chce gonić Jasia i Małgosię, chce pożreć i zgładzić kanclerskie dzieci; ale oboje są już daleko stąd...

Myśmy tego nie chcieli,  
mówią głęboko przejęci do innych,  
którzy są również przejęci do głębi:  
tyle przejęcia się to statystycznie nie byle co.  
Nigdy nie było większej oglądalności.

Jesteśmy przerażeni! wołają chóry  
do innych chórów, które są do głębi wstrząśnięte.  
W większości, jak można wyliczyć,  
jesteśmy przerażeni i wstrząśnięci do głębi.  
Potem mówi się o świeżo uzyskanej stabilizacji  
i o stratach, z którymi,  
jakkolwiek to smutne, trzeba żyć.

Nowa większość znów nabrała odwagi  
i nie ulegnie tak łatwo.  
Jednakże człowiek, głoszą komentarze,  
powinien umieć okazać przejęcie; przynajmniej

od czasu do czasu po wieczornych wiadomościach.

Obiecałem mojej gwiazdkowej szcurzynie, że nie poprzestanę na ucieczce, lecz poszukam innego, być może uduchowionego zakończenia, jakie niedawno, kiedyśmy jak zwykle odwiedzali się nawzajem, dwoma, trzema hasłami – „Wzbudzić nadzieję! Nigdy nie wykluczać cudu!” – doradzał mi jako szczęśliwy zwrot nasz pan Matzerath. Mimo to ona pozostaje nieporuszona w swoim domku i ukazuje tylko czubki wąsów. Nic nie potrafi jej wywabić: ani koncert religijny, ani komunikat o stanie wód na Łabie i Saali, ani tym bardziej *Echa dnia*, ani nawet *Szkoła dla wszystkich*, która zazwyczaj bez pudła budziła jej zainteresowanie, nie skłania jej do posłuchania; nasz codzienny dowód istnienia, trzeci program, zawodzi.

Spróbuję więc z Hameln. Posłuchaj, szcurzynko, tam obchody trwają już od tygodni. Wygłasza się okolicznościowe przemówienia i pokazuje obrazy ze szcurzymi motywami. Ja też posłałem rysunki, jakie mi przyszły do głowy w związku z tobą i moimi snami: szcury, które ćwiczą chód prosty, szcury, które się zakopują, uciekają, modlą. Szczur, który biegnie na tle bogatego w wieże miasta Danzig-Gdańsk. I szcuroczłowiek albo człekoszczur. Rysowany czarnym jak sadza pędzelkiem, syberyjskim węglem, albo wyryty rylcem w miedzianych płytach, wyrytowany, leciusieńko wy drapany...

Tymczasem w Hameln wolałbym opowiedzieć, co przed siedmiuset laty zdarzyło się naprawdę. Ale o gotyckich punkach, którzy nie rozstawali się ze swymi rozpieszczonymi szcurami, nie chcą tam w ogóle słuchać. Ta smutna prawda nie pasuje do programu uroczystości. Mogłaby zaszkodzić gastronomii, hotelarstwu. Być może dzisiejszym punkom przyszyłoby jeszcze do głowy przybyć z daleka ze swymi ufarbowanymi na różowo czy jaskrawozielono szcurami, aby nad rzeką Wezerą wspomnieć gotyckich poprzedników: przeraźliwie, brzęcząc łańcuchami, umalowani na trupią bladość, konsternując mieszczan. Tak to w Hameln ponownie załęgłby się chaos. I ponownie trzeba by było domagać się porządku, zadbać o porządek.



Wezwane teleksami z Hanoweru i Kassel przybyłyby jednostki wyposażone w pałki chemiczne i armatki wodne. Każdy policjant byłby na sposób średniowieczny osłonięty tarczą i przyłbicą. Tego przecież nikt nie chce: pałki w garść! Walki uliczne. Uroczystości siedemsetlecia mogłyby stracić concept i stać się pożywką dla nagłówków: „Hameln wzywało – przybyli punkowie!” i podobnie krzykliwych doniesień.

Nie, ta historia nie pasuje do programu. Zbyt nagą mówi prawdę. Bo na dodatek, szcurzynko, pomiędzy stu trzydziestu gotyckimi punkami, których zamurowano i zasypano w kalwaryjskiej górze, znajdowała się podobno ze swym szczurem nadzwyczaj miła najmłodsza córka burmistrza Lamberta Rike; spokojna i zamknięta w sobie szesnastoletnia dziewczyna z warkoczami imieniem Gret, która była przyrzeczona synowi bogatego młynarza Hornemule i pszenicznie jasnowłosa umiała pięknie się modlić, długo i błagalnie, aż zadurzyła się, jak już przedtem inne dziewczyny i chłopaki, w szcurach w ogóle, a zwłaszcza w jednym jedynym szcurze. I ta Gret, najmłodsza burmistrza, podobno wołała na swojego szcúra Hans i jakoby robiła ze swoim szczurohansem te rzeczy, dawała mu raz za razem.

Co to znaczy podobno i jakoby! Robiła, dawała, dopuszczała i dogadzała.

Dotychczas jej cipeczka była nietknięta. Z pomocą uciekających od świata modlitw wyłączała każdą myśl, która wdzierała się tam natarczywie jak palec. Syn bogatego młynarza mógł się do niej zbliżyć co najwyżej na odległość głosu. I nawet w drodze do kościoła prócz wymiany spojrzeń nie było dozwolone nic z dreszczykiem.

A szcurowi było dozwolone. Z początku Gret wpuszczała go tylko dla zabawy, potem jej Hansowi wolno było więcej i więcej, wreszcie wszystko, i to raz za razem. Po czym córka burmistrza zaszła w ciążę i po niestosownie krótkim czasie powiła trojaczki, które choć nieduże, miały proporcje innych noworodków z Hameln i człowieczy wygląd, wyjąwszy prześliczne szcurze główki.

Jaka to była radość w kręgu stu trzydziestu gotyckich punków. Ponieważ

syn klasztornego włodarza imieniem Hinner miał klucz, wszyscy dostali się nocą przez furtę zakrystii do kościoła Świętego Bonifacego, a następnie na sam dół do krypty, gdzie trzech synkowie zostali ochrzczeni imionami mędrców ze Wschodu i nazywali się odtąd Kacper, Melchior i Baltazar. Chłopcy i dziewczynki w swoich łańkach stali nabożnie wokół wykutej z kamienia chrzcielnicy i nie pozwalali naszytym na gałgany dzwonkom na choćby najlżejszy grzechot. Cichutko jak mysz pod miotłą sprawowały się także szczury noszone w rozczochranych włosach albo na gołej skórze pod żebraczymi łańchmanami. Włodarzów Hinner mówił, co na chrzcie trzeba było powiedzieć. Pozostali wyznawali nabożnie pod niskim sklepieniem: *Credo in unum deum...*

Potem aż do rana świętowano nad brzegiem rzeki Wezery. Ale mieszczanie nie chcieli dzielić radości gotyckich punków. Nie było jeszcze w użyciu takich słów jak „kwas nukleinowy” i „łańcuch genów”. Uwierzone ludziki i ucłowieczone zwierzęta występowały tylko w baśniach, w fantastycznych malowidłach i – kiepska sprawa – na sabatach czarownic, ale nie w biały dzień w Hameln. Od oburzonych szeptów ciaśniej było w uliczkach. Szaro i białe odziani mnisi grzmieli o piekle. Już pospólstwo zaczęło sarkać na zasiadający w radzie miejskiej patrycjat. Kiedy nie tylko garbarze i tragarze, lecz również młynarze i cukiernicy wypowiadali harde słowa, bunt był bliski.

Ale kiedy miejscy siepacze chcieli siłą odebrać młodej matce nowo narodzonych odmieńców, stutrzydziestka utworzyła wokół ślicznych maleństw groźnie wyglądający krąg ochronny. Młodzież zapowiedziała ponadto, że w razie zastosowania przemocy podłoży ogień we wszystkich młynach, na dziesięcinnym dziedzińcu klasztoru i w spichrzach zbożowych przy bramie Thy.

W końcu to sam burmistrz Rike, z uwagi na hańbę swej najmłodszej córki, w dodatku pod naciskiem wszystkich rajców, włodarza klasztoru i przedstawiciela Hanzy, sprowadził z daleka, z Winsen nad Luhe, grajka,

któremu przypisywano nadzwyczajne dźwięki. W zamian za potwierdzoną na piśmie obietnicę, że po udanym występie zostanie wynagrodzony w srebrze, przybył on do Hameln i sięgając po różnie nastrojone fujarki zbliżył się do stu trzydziestu. Grał im do tańca, kiedy tylko chcieli, i uczył ich nowych tańców. Wkrótce zapoznano go z kryjówkami i schronieniami, w tym z obszerną jaskinią w kalwaryjskiej górze, dokąd udała się młoda matka Gret ze swym szczurohanssem i trzema niezwykle synkami umykając przed interwencją miejskich siepaczy i pałkami prostackich czeladników młynarskich.

I na świętego Jana grajek, który umiał też obchodzić się z dudami, swoim dudleniem wywiódł z miasta pozostałą studwudziestodziewiątkę, aby, jak mówił, urządzić zabawę dla uroczej mamy Gret, jej Hansa i trójki dzieciaków. Przez polne drogi i łąki, przez las niskopienny i krzaki leszczyny zaprowadził ją do jaskini, gdzie miano się bawić przy piwie jęczmiennym i podpłomykach, wędzonce i plastrach miodu.

Naturalnie pomyślano też o przyniesionych szczurach. Lubiły one skórę od sera i ziarnka słonecznika. W obwieszonych dzwonkami gałganach stutrzydziestka ze swymi szczurami tańczyła długo w noc. Synowie kupca Amelunga, córki cukiernika Stenckego, Jörg rycerza Scadelaura, dzieci wielu cechmistrzów i browarników wyginały się, dygotały. Pośród nich szaleli: Gret i jej Hans. Tańce z podskokami, przytupem, trzęsieniem. Wszystko to przecież działo się w czasach tanecznego opętania. Tancerze tak byli zapatrzeni w siebie, że do rana nie brakowało im grajka. Ten wymknął się, kiedy było szczególnie hucznie, i również inne dziewczęta dopuszczały swoje szczury do siebie.

Podobno wspiąwszy się na wysokie drzewo pomachał czapką z piórami, po czym stało się, co było przygotowane. Jaskinię – jak wiemy – zamurowano, zasypano i skropiono wodą święconą; toteż wliczając synków Kacpra, Melchiora i Baltazara trzeba mówić o stu trzydziestu trojgu dzieciach z Hameln, które 26 czerwca roku 1284 zniknęły w kalwaryjskiej górze i

nigdy już nie były widziane.

Do mojej gwiazdkowej szcurzyny, która w trakcie opowiadania opuściła swój domek i nastroszyła wąsy, powiedziałem: Nawiasem mówiąc, w tym czasie – jeśli trzymać się nie historyków sztuki, lecz poprzedniego życia malarza Malskata – lubecki kościół Marii Panny został w środku wymalowany. Nie tylko nawa główna i prezbiterium, także ościeża okienne i łuki arkad. Tak powstały drolerie baśniowych okien. Ukazują one osła i kurę, przy czym osioł ma igłę z nitką, kura zaś wysiaduje jajka, z których na pewno wylęgnie się zło. Widzimy raki grające ze sobą w szachy. Lisiomnich wygłasza kazanie do owcy i kozy. Dlaczego jeleni siedzi pracowicie przy kądzieli? Latające ptaki w górnym trójłuczcu i między ostrołukami baśniowych okien to pewnie gołębie. W jednym z ościeży widzimy natomiast ponad ujętą w medalion głową młodej kobiety takiej samej wielkości medalion, który ukazuje zwierzę z długim, gładkim ogonem i głową brodatego mężczyzny i którego jednoznaczność nie dopuszcza już do żadnego zgadywania: wpływy Hameln na warsztat lubeckiego mistrza prezbiterium i głównej nawy są dowiedzione.

W każdym razie kolebka ceglanego gotyku dała w swych malowidłach ściennych świadectwo strasznym czasom. A kiedy w sześćset osiemdziesiąt lat później ponownie malarz wspiał się na rusztowanie, przypomniał cuda i przeczucia, tańce świętego Wita i tańce śmierci, wszystkie odwzorowane plagi i strachy. Niezadługo przysła, jak mówiono: ze szcurami, dzuma i z potem śmiertelnym przyniosła to, co lękliwie przeczowano...

Spowodowany przez samooskarżenie Lothara Malskata lubecki proces fałszerza obrazów włókł się przez dwa lata i cieszył się zainteresowaniem publiczności zawsze wtedy, kiedy występował oskarżony Prusak wschodni; ale z rozprawy przed sądem krajowym w Lubece, kiedy przeglądam akt oskarżenia albo przesiewam protokoły przez sito, poza gadaniną niewiele wynika, bo co prawda Malskat i jego pracodawca Fey dostali karę więzienia, jeden osiemnaście miesięcy, drugi dwa lata, ale właściwi oszuści pozostali

dla sędziego ludźmi godnymi szacunku; więc cyganią, kantują, nabierają, kłamią i udają świętoszków dalej po dziś dzień. A również politycznym oszukańcom nigdy nie zrobiono procesu. Wszystko uszło im bezkarnie; kiedy umierali zgrzybiali, jednego pochowano z wielkimi honorami, drugiego na pół zapomniano.

Toteż owo oszukaństwo lat pięćdziesiątych, które nazywamy w skrócie RFN-NRD, wciąż jeszcze uchodzi za coś autentycznego, podczas gdy znaczną część Malskatowej sztuki, owych dwudziestu jeden świętych z siedmiu przeseł prezbitarium, którzy byli całkowicie jego własnym dziełem, w roku pięćdziesiątym piątym zmyto szczotkami do szorowania. Ponieważ jednak miejsc uwolnionych od sztuki nie otynkowano wzorem obrazoburców protestancką bielą, mętne zacieki i brudne plamy świadczą do dziś o sprofanowaniu Malskatowych świadectw.

Ach, gdybyż pozostawiono jego obrazy, zwłaszcza że on wydobywał prawdę na jaw, a unieważniono prawdziwe oszustwo, do którego nikt się nigdy nie przyznał, partactwo założycieli państw. On, który rzucił swoje przyznanie się sędziom pod nogi, poszedł za kratki, natomiast obaj wielcy fałszerze mogli spokojnie prowadzić swoją złą grę, wygrywać państwo przeciw państwu, kłamstwem odpowiadać na kłamstwo, fałszywym pieniądzem odpłacać za fałszywy pieniądz, a niebawem – podczas gdy skwapliwie niszczone gotyckie malarstwo Malskata – wysyłać dywizje żołnierzy na pole rażenia, niemieckich żołnierzy przeciwko niemieckim żołnierzom; i to, jako spuścizna po starcach, trwa do dziś z coraz większą liczbą żołnierzy, z coraz dokładniej określonym celem, z wyćwiczonym zamiarem całkowitego unicestwienia.

Ach, szcurzynko, nam już nie pomoże *Szkoła dla wszystkich*. Cóż nam po *Echach dnia*, skoro przypadkową paplaniną zagłusza ono odgłos minionych strachów i zbrodni? Programy wymazują się wzajemnie. Nic nie ma prawa przylgnąć i sprawiać bólu. Przypominamy sobie piąte przez dziesiąte: wtedy przecież coś było, przecież było, było...

Już tylko ślady. Kiedy na polecenie lubeckich władz kościelnych – akurat wówczas zawiązały się przeciwne sobie sojusze wojskowe – raczej zasmarowano niż zmyto dwudziestu jeden świętych z prezbiterium, obok głównego dzieła przepadło wiele drobnych świadectw, które Malskat tu z kaprysu, tam z wierności wobec gotyckiej przeszłości wplótł w ten czy ów układ fałdów, kapitel czy ornament, namalował jakby od niechcienia albo wyrył w wapiennym gruncie.

Najwidoczniej coś ze współczesności: obok trzewików z długim dziobem na nogach świętego w czwartym prześle dostrzegam kontury wyrytej mapy, na której ważny jest krzyżyk między wyspą Rugią a ujściem Peene, bo została mu przypisana nazwa zatopionego miasta – wydrapana „Winneta”. A w środkowym kapitelu szóstego prześla znajduje się miniatura, która przedstawia trzech ludzików o zwierzęcych głowach i spiczastych pyskach, grających w trójkę na fujarce; ten ornament całkiem naturalnie połączyłby się z ornamentyką roślinną kapitelu, gdyby nie wskazówka wyryta z boku w wapiennej zaprawie: „stało się na świętego jana i pawła w hameln”.

Wyraźnie jest to trzech chłopczyków grających na fujarce. Tercet siedzi nago. Nie obawiam się nazwać chłopięcych głów szczurzymi; ale to późne odkrycie, które – przyznajmy – opiera się na nieostrych odbitkach, nie ma być dostarczoną poniewczasie dowodem w lubeckim procesie fałszerza obrazów, zwłaszcza że Malskat został skazany prawomocnie i w dobrej formie odsiedział karę.

Nawet darowano mu parę miesięcy. Dostawał masę korespondencji. Jego sława błyszczała w mrocznych czasach. Wziął ze sobą do celi szkicownik i kolorową kredę, ale przelał na papier tylko rzeczy bez znaczenia. Nigdy więcej świadectw minionych okropności. Żadnego już gotyckiego odblasku. Z czasem wszystko uległo przedawnieniu.

Ona mówi. A może śniąc mnie pozwala mi wciąż jeszcze niezmaczenie wierzyć, że to ona mi się śni i chcąc, żebym milczał, jako szczurzyca jednocześnie znów zabrała głos?

I czy moim miejscem wciąż jeszcze jest kapsuła kosmiczna? Czy ta orbita pozostaje wytyczona na zawsze? Śnić elipsy, życzyć sobie lekkich odchyień, po prostu wysiąść, jakbym nie był przypasany.

Siedzi na kopule obserwatorium astronomicznego nie opodal Bramy Mariackiej, która prowadzi nad Motławę. Mówi: Ta stara budowla, w której już astronom Jan Heweliusz siedział przy wielkim kwadrancie i obserwował fazy Księżyca, pozwala nam bacznie rozglądać się dokoła i spoglądać też wstecz: Powinniśmy były uderzyć, już dawno. Wkrótce będzie za późno.

I zobaczyłem to, co szczurzyca retrospektywnie wypowiadała: O ile my, szczurze plemiona, byliśmy po Bum-Bum zjednoczone – przeżycie jest wszystkim! – o tyle po zadomowieniu się watsoncricków kłócimy się gwałtownie. Nasze nabożeństwa w kościele Marii Panny nie powróciły już do owej prostoty, która tobie, nasz drogi przyjacielu, pozwoliła przypuścić, że my, szczury, jesteśmy pobożne na sposób katolicki. Ponownie poróżnił nas zacierzewiony, demonstrowany przed i za ołtarzem, wywlekany na filary, aż po siatkowe sklepienie protestantyzm, te człowiecze kłótnie o właściwą drogę, ta marszcząca wszystkie nosy apodyktyczność, to nazbyt ludzkie albo, albo. Gruntownie rozbite mogłybyśmy rozszarpać się na kawałki. Jeśli jedna strona żądała: Precz z niplami! Wykończcie ich, jeszcze dzisiaj! – to żądanie drugiej strony brzmiało: Jeszcze nie. Oczekajmy. Nie działajmy zbyt pochopnie.

Biadoliła: Przy tym wszystkie zgodnie żywiłyśmy nadzieję na powrót rodzaju ludzkiego, w jakiegokolwiek postaci. Mimo przeżycia bez szwanku i rosnącej dobrze odżywionej mnogości brakowało nam człowieka. Jeśli celem naszych modlitw uczyniłyśmy ową prastarą, zasuszoną i tak lekką, że zdatną do przetransportowania kobietę, u której stóp przycupnął pokurczony chłopczyk, to źródłem naszej pobożności stało się pragnienie, żeby człowiek wrócił. Włączyłyśmy do naszych modlitw nawet owych niebiesko-białych malców, ażeby okazali nam pomoc, nauczyli nas uprawiać rolę. Nasz śpiew, w którym ty, panie, gotów byłeś dosłuchać się gregoriańskiej klasy, miał

przywołać jego, tylko jego, wybawcę, aby przyszedł i położył kres naszej wolnej od człowieka samotności.

Owszem, powiedziała szcurzyca, zgadza się, takie zupełnie samotne nie byliśmy. Odradzała się inna zwierzyna, która częściowo była nam wstrętą, jak karmiące piersią muchy plujki, częściowo padała naszym łupem w ramach pracy na roli – gołębie, wróble, myszy polne – ale nic ludzkiego nie przychodziło naturze do głowy. Kiedy potem przybyli tamci – o, panie, z jakże drżącym utęsknieniem wyglądałyśmy statku, jakże o nim marzyłyśmy – rozczarowanie było wielkie.

To nie tak! wołało pierwsze przerażenie. Nie chciałyśmy, żeby był taki niezdecydowany. Taki twór, choćby i niebieskooki, to ni to, ni sio. Ta równie śmieszna co okropna mieszanina, do której dodano ponadto elementy świńskie, nie może nam odpowiadać, a poza tym uwłacza obrazowi człowieka, jaki wciąż jeszcze nietknięty nosimy w sobie. Nie po to przeżyłyśmy, żeby oglądać tę – musisz i ty przyznać – ludzką fuszerkę. Bo kiedy śnimy o tobie w tej twojej kapsule kosmicznej albo w naszym towarzystwie, pozostajesz dla nas wspaniałym wzorem.

Być może, powiedziała szcurzyca na kopule obserwatorium astronomicznego koło Bramy Mariackiej, skąd szczególnie dobrze widać Wyspę Spichlerzy, nasze stronnictwo za wcześnie zawołało: Wyeliminować! Wytępić! być może my, radykałowie, zbyt spontanicznie usiłowaliśmy nasze słuszne rozeznanie przeobrazić w ogólną wolę zniszczenia. W każdym razie natychmiast odezwały się głosy przeciwne: Odczekać. Nie spuszczać z oczu. Wyciągać ostrożne wnioski z ich nawyków i wynajdować ich słabe miejsca.

Inni robili sobie nadzieje i spekulowali: Może spłyną stąd. Może wyzdycha im potomstwo. Może są po prostu efektem spartaczonego planowania i w tym sensie nawet na wskroś ludzcy.

Zajęłyśmy więc posterunki obserwacyjne, tutaj, w starym obserwatorium, naprzeciwko zachodniego brzegu Wyspy Spichlerzy, i w otworach strzelniczych Bramy Stągiewnej, wychodzących na wschodni brzeg. Od



tygodni, miesiący stoimy na warcie, ale nic się nie spełnia: tamci ani nie spływają, ani nie zdychają. Sam widzisz, jak ich przybywa i przybywa, podczas gdy nasze kłótnie stają się coraz bardziej zawzięte. Nie tylko w mieście, także na wsi jesteśmy rozbite na dwa stronnictwa. Już dzieli się pola brukwi, kukurydzy, słoneczników. Nieprzyjaźnie wytycza się nowe granice rewirów. Wskutek sporu o ziarno siewne spadają uprawy jęczmienia i soczewicy. Oba stronnictwa gromadzą osobne zapasy. U Marii Panny zbieramy się na zmianę.

Niedawno postanowiono, że wszystkie ulice prowadzące do Motławy po lewej stronie Chlebnickiej i Piwnej będą zamieszkałe przez nas, wszystkie ulice po prawej stronie aż po Podwałe Przedmiejskie przez ugodowców. Ci nie przestają bajdurzyć o nadziejach: Może na dłuższą metę da się z nimi wytrzymać. Jak się ich zadowoli, człecoszczury dopasują się do nas. Ostatecznie są od nas zależne. Żyją ze zgromadzonych zapasów, z nadwyżek, jakie składowaliśmy od wielu zbiorów. Powinniśmy dostarczać im, czego potrzebują. Nazwijcie to deputatem, dziesięciną, trybutem. W każdym razie nie powinni zaznać głodu. Głód mógłby ich uagresywnić. My, szczury, powinniśmy wiedzieć, co to znaczy głód!

Gorzko, jakby odbijało się jej tysiącletnie doświadczenie, szczurzyca zaśmiała się: Posłuchaj sobie tego, panie! Wiecznie te same frazesy uspokajaczy i ugodowców. My natomiast widzimy jasno, aż za jasno. Będą chcieli mieć więcej i więcej. Na koniec przydzielą nam to, co pozostanie. Będziemy zdane na racjonowanie. Da nam się we znaki ich zachłanność, chciwość. To jest ludzka strona niplów. Skończyć z nimi! wołamy, ale nie kończymy, tylko gryziemy się między sobą. Na Tkackiej, wokół Wieży Więziennej i na tyłach Zbrojowni dochodziło do walk ulicznych, na wsi jak dotąd tylko do drobniejszych incydentów.

I zobaczyłem, jak się rozszarpują. Sczepione ze sobą do ostatniego tchnienia. Nie zmniejszona ostrość szczurzych zębów. Szczurzyca prowadziła mnie wszędzie, gdzie ich kłótnia przeradzała się w walkę. O ile

wokół Wyspy Spichlerzy zachowywano dystans, żeby ukryć przed maniablami waśń szczurzych plemion, o tyle w centrum nic obu stronnictw nie powstrzymywało. Grupy szczurów, które ze Zbrojowni, będącej ostatnio magazynem, podobnie jak niedaleki budynek teatru, wynosiły kolby kukurydzy i całe słoneczniki, aby te ziemiopłody zataszczyć jako dziesięcinę przez Tkacką i Długą, przez Bramę Zieloną na most wiodący na wyspę Spichlerzy, już u wejścia do Zbrojowni były atakowane i wciągane w pojedynki przez hordy szczurów pospieszające z Piwnej. Zdzięsiątkowanym i osłabionym tylko niewielu grupom transportowym ugodowców udawało się przedrzeć do mostu: skąpy wikt dla maniabli.

Zawołałem: To mizerny trybut!

Szczurzyca: Wciąż jeszcze o wiele za duży!

Ja: W każdym razie one cierpią niedostatek.

Dobrze im tak! zawołała. Nic przecież nie robią, tylko żrą i rzną się, rzną się i żrą.

Wyspa Spichlerzy wydawała się przeludniona. Co prawda watsoncricki zajęły bez walki sąsiednią, ciągnącą się w stronę Siennej Grobli wyspę między Kanałem na Stępcie a Motławą i znalazły dodatkowe kwatery w dawnej stacji pomp jak i na Ołowiance, lecz dorosłe i młodociane osobniki wyglądały ze wszystkich okien spichrzów i okienek poddaszy. Ścisk na bulwarach i na Chmielnej. Zbiegowiska przy mostach, zwłaszcza przy szerokim wiadukcie Leningradzkiej, która dawniej jako Podwale Przedmiejskie stanowiła granicę Głównego Miasta. Tłoczyły się wszędzie, wychudzone i kościste. Ich zakrawającą z początku na skandynawską zimną krew, ich szwedzko-socjaldemokratyczną flegmę zastąpił szerzący się niepokój, ledwie pohamowywana żądza czynu. Co niosło się po wodzie: ich szorstka, ale dotychczas przyjemna, palatalnie zesmerfiona mowa wynajdywała sobie gardłowe przekleństwa i pogróżki.

A potem zobaczyliśmy, szczurzyca i ja, jak się formowały. Nie, nie uzbroiły się, choćby w żelazne pręty, łatwe do wyrwania z piwnicznych

okien; nie uzbrojone utworzyły klin uderzeniowy, który biegiem przez most i Bramę Zieloną wdarł się na Długi Targ. Za nim podążały kolumny: jasnowłose, niebieskookie, ze szczurzymi głowami skierowanymi naprzód, jakby z prawej i z lewej na nic nie należało zwracać uwagi, jakby istniała tylko jedna wola. Naturalnie równouprawnione: żeńskie i męskie watsoncricki nie napotykać na opór zajęły Długi Targ aż po Ławniczą. Podwójnymi posterunkami obojga płci obsadziły przedproża patrycjuszowskich kamienic o bogato zdobionych szczytach. Obojętnie, jakby to ich nic nie obchodziło, pozwalały na ucieczkę szczurzych rodzin z oznaczonych budowli, również ze służącego za magazyn kukurydzy Dworu Artusa, jak i ze zwieńczonego wysoką wieżą ratusza, który przypadł im jako skład zboża; w ratuszowej piwnicy przechowywano ziarno słoneczników i buraki cukrowe. Dalej się nie zapuszczały. Zaraz za ozdobionym lwami portalem ratusza, który wychodzi schodami na Długą, zablokowały ulicę betonowymi kubłami, które za czasów człowieczych, kiedy śródmieście było strefą dla pieszych, służyły kwietnym ozdobom. Poza tym sikając i wypróżniając się pozostawiały nowe znaki.

Potem cisza. Żadnych już gwałtownych ruchów. Przeżuwały. Później zmieniające się grupy, opieszale i po nordycku zamyślane, gromadziły się wokół studni Neptuna. Wyglądało na to, że nurtuje je myśl, jak można by nakłonić okazałą postać z brązu, muskularnego, nagiego mężczyznę z trójzębem, do wznowienia wodotrysku; kilka przedrzeźniało boga mórz.

Uważaj, powiedziała szczurzyca, one długo tak nie wytrzymają. To im nie wystarczy. Jakiś czas, póki nie przyjdzie na świat nowe potomstwo, dadzą spokój, ale potem będzie kolej na Długą aż po Bramę Złotą i Wieżę Więzienną, później na dzielnicę od Ujeżdżalni po Kotwiczników. Może zostawią nam Stare Przedmieście. Ale zagarną całe Główne Miasto wokół Marii Panny aż po Podwale Staromiejskie; nam pozostanie Stare Miasto wokół Świętej Katarzyny. Tam, podobnie jak między Żabim Krukiem i Rzeźnicką oraz na i tak przepełnionym Dolnym Mieście, przyjdzie nam się

ścieńnić, aż i te rewiry trzeba będzie opuścić. A później, zakład, szczury będą tolerowane tylko jako ludność wiejska, która od nadwiślańskich nizin po kaszubskie pagórki musi tyrać i tyrać na roli, pod nadzorem, żeby watsoncricki miały dość żarcia.

Kiedy przyglądałem się w milczeniu ruchowi między Wyspą Spichlerzy a Długim Targiem i nie bez przyjemności obserwowałem, jak kilka wielkich rodzin przeprowadzało się ze spichrzów Raiffeisena do patrycjuszowskich kamienic o bogato zdobionych szczytach, taszcząc ze sobą krzesło- i stołopodobne meble, szcurzyca powiedziała nadgorliwie, jakby chcąc odwrócić moją uwagę od dalszych ludzkich właściwości klonów: Nawiasem mówiąc, nasi pobratymcy znów wędrują. Znów odnotowałyśmy napływ z Rosji. A ostatnio przybyli pierwsi osiedleńcy z Indii. Przynoszą interesujące wiadomości. Co prawda Kijowa i Odessa jako miast już nie ma, ale podobno i tam, przybyłe pieszo i statkiem, pojawiły się człecoszczury. Taka sama wiadomość pochodzi z Wybrzeża Malabarskiego. Nawet jeśli tylko połowa tych doniesień odpowiada prawdzie, byłoby błędem odwracać ucho. Bądź co bądź wiemy teraz, jak się gdzie indziej sprawy mają. Indyjskie niple są podobno takie jak nasze, ale na dodatek skrzydlate, tak, skrzydlate jak anioły; o ruskich mówią, że mają poczwórny cycek i mogą rozmnażać się szybciej od naszych Szwedów. Ach, zawołała szcurzyca, gdybyśmy rozprawiły się z nimi z miejsca, jak to się stało z ruskimi watsoncrickami, które były jakoby gruzińskiego pochodzenia, zaraz po wylądowaniu. W ruinach miasta Odessa nasi zagonili ich na śmierć. Ci w Kijowie natomiast rozpanoszyli się. Są podobno, jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi, produktami amerykańskimi, które na krótko przed końcem czasów człowieczych zostały przeszwarcowane w celach dywersyjnych: masywnej budowy, niektóre czarne.

Wszystko to nasz pan Matzerath chętnie przerobiłby na film video. Toteż nie można wykluczyć, że jego firma wypuści niebawem prefabrykowane kasety o cudownym przeżyciu szcurołudzi i ich dalszym rozwoju; jak Oskar

znał z góry aż po najdrobniejszy kaszubski szczegół przebieg sto siódmych urodzin babki Anny Koljaickowej, wyprodukował na taśmie filmowej z pomocą firmy Post Futurum i z wyjątkiem sekwencji końcowej pokazał urodzinowym gościom.

On wie, jak chwyta się przyszłość. Umie wybrednie kosztować tego, co nadzieje. Ukazuje przedblask, o którym mówił Bloch. Ale nasz pan Matzerath musi wszystko, nie tylko siebie i swoją nienagannie ubraną problematyczność, nie, wszystko, co się działo, dzieje i będzie się dziać, osadzić w historii, w tym również udział szczuroludzi w przebiegu postczłowieczej historii.

W jego filmie video, który – jak zapowiedziano – ma być rozpowszechniany w dużym nakładzie, zalewając rynek, „Nowa Ilsebill” nie opływa natychmiast Półwyspu Helskiego, żeby wziąć kurs na wjazd do portu gdańskiego, nie, wrak musi czekać, żeby owi Goci, którzy przeszło tysiąc pięćset lat temu drogą losowania zostali wysiedleni, mogli udać się na wędrówkę. Od ujścia Wisły aż po brzeg Morza Czarnego śledzi ich drogę nasz pan Matzerath. Ciągnie z nimi do dalekiej Hiszpanii i w dół włoskiego buta. I zawsze to szczury uprzążają kolejne obozowiska, szczury robią swoje na rozmaitych polach bitew.

Datowane na 26 czerwca 1630 roku lądowanie szwedzkiego króla Gustawa Adolfa, zwanego też Lwem Północy, także musi służyć przygotowaniu pojawienia się szczuroludzi. Jako że nasz pan Matzerath raz po raz, jak gdyby musiał kompensować małowymiarowość swej wczesnej, garbatość swej późniejszej egzystencji, roztacza szerokie panoramy i rozlewność stawia wyżej aniżeli zwięzłość, skomentował lądowanie Szweda na Uznamie – kto liczy okręty, kto żagle? – kaskadami zdań z powieści wielkiego mistrza Döblina *Wallenstein*; film video, zamierzając się obiema rękami, z jednej strony wrywa przeszłości strzępy historii, z drugiej kradnie przyszłości śmiałe plany.

Oczywiście na okrętach Gustawa Adolfa przeprowadzają się również

szczury. To jeszcze czarne szczury domowe, nie szare szczury wędrowne decydują o losach Europy. I oczywiście ze szwedzkimi i fińskimi chłopskimi synami schodzą na ląd szczury, aby odtąd pod Nördlingen i Lützen, także pod Wittstock, gdziekolwiek przedłuża się wojna, być brzemienne historią.

To, że teraz jeszcze, w roku dziewięćset szóstym, w porcie i na redzie Lipawy kotwiczony flota bałtycka rosyjskiego admirała Rożestwieńskiego, abyśmy zobaczyli, w jakim pośpiechu szczury opuszczają podejrzaną eskadrę, może niektórym widzom będącego wkrótce do nabycia filmu video wydać się zbyt cenne, ale producent kasety niczego nie chciał opuścić. Taki już jest. Zawsze jeszcze to i tamto. Każę nawet rosyjskim marynarzom smętnie śpiewać na ich wolnych od szczurów łajbach. Ale oto, dobrze przygotowani przez datowaną z grubsza i precyzyjnie historię, na ląd schodzą wreszcie zmanipulowani. A może wciąż jeszcze nie? Czy ponownie po czołówece musi nastąpić czołówek? Czy brakuje jeszcze ostatniego historycznego podmalowania?

Nasz pan Matzerath nie chciał skrócić owego okresu, na który przypada jego egzystencjalny zwrot. Widzimy więc płonące miasto Gdańsk, kolumny uciekinierów i ucieczkę po wodzie. Przeładowane statki miały uratować przed nadciągającą potęgą radziecką i przewieźć do zachodnich portów bałtyckich cywilów, dygnitarzy partyjnych, rannych lub jeszcze zdrowych żołnierzy. Widzimy, jak toną: 30 stycznia 1945 roku dwanaście mil morskich od Ustki „Wilhelm Gustloff” z ponad pięcioma tysiącami ludzi, 10 lutego „Steuben” z trzema i pół tysiącami. Trzy rejsy, po których dwadzieścia siedem tysięcy uciekinierów czuje się uratowanych, odbywa „Cap Arcona”, a potem wywraca się płonąc u wybrzeży Szlezwika-Holsztynu z pięciu i pół tysiącami więźniów z obozu koncentracyjnego Neuengamme na pokładzie. Brytyjskie bombowce dokonały pomyłkowego nalotu. Stało się to trzeciego maja, na pięć dni przed końcem międzywojny.

Ale i ten epizod zostaje zauważony przez szczury. Żaden nie chce towarzyszyć „Wilhelmowi Gustloffowi” w ostatnim rejsie. A ledwie na „Cap

Arcona” zostają zaokrętowani więźniowie kacetu, widzimy, jak tysiąc i więcej szczurów opuszcza w pośpiechu, jak piszą, skazany na niechybną zgubę statek.

On niczego nie pomija. Wszystko to, także ludzi i szczury na ostatnich promach i statkach przybrzeżnych – między innymi na szkucie towarowej „Dora” – pokazuje nasz pan Matzerath. Wyprzedzając akcję i wraz z wypłynięciem statku badawczego „Nowa Ilsebill” wprowadzając czas tuż przed Wielkim Bum-Bum postępuje zgodnie z zasadami swej dramaturgii video, która o wszystkim wie równocześnie.

W końcu towarzyszymy w filmie pięciu kobietom pod instytutem badawczym technologii genetycznej w Visby. Słyszymy okrzyki, widzimy wybijane szyby. Na naszych złaknionych video oczach otwiera się klatki. Cieszymy się z uwalnianymi zwierzętami. Z początku wygląda na to, że akcją objęte są tylko normalne zwierzęta, ale kto przyjrzy się dokładnie, ten zauważy, że prócz nich uzyskuje wolność dobry tuzin takich, co mają za sobą serie testów: człowiek i szczur, szczur i człowiek złączeni łańcuchem genów, doskonałe watsoncricki, które od razu znajdują drogę do portu.

W swoim filmie, który zresztą ma ostentacyjnie rzeczowy tytuł: *Przedtem i potem*, nasz pan Matzerath pokazuje to szczegółowo: jak szczuroludzie, każdy wzrostu około metra, docierają do nabrzeży; jak łódź celna jest dla nich zbyt pilnie strzeżoną, parowiec wycieczkowy wydaje się mało odpowiedni i podoba im się w końcu „Ilsebill”; jak kradną prowiant z magazynów, obładowani wchodzą na pokład i znajdują otwarte zejście; jak osiemnastu lub dziewiętnastu wpełza przez właz i kryje się między drewnianym a żelaznym dnem dawnej szkuty towarowej.

Szczuroludzie w filmie wyglądają tak, jak gdybym to ja ich wyśnił. A kiedy zaraz potem pięć kobiet obejmuje statek w posiadanie, widzę, że nasz pan Matzerath także uznał kapitankę za piękną. Jest ona podobna do mojej Damroki, a i inne kobiety w filmie nie są mi obce. Widzimy, jak statek odbija od brzegu i wypływa.

Od tego momentu historia na Video przebiega prosto. To, czego dokonał Gustaw Adolf, chce powtórzyć „Nowa Ilsebill”: bierze kurs na Uznam. To, co Gustaw Adolf pominął, jest dla kobiet obietnicą i celem rejsu: kotwiczą nad głębiną Winety i przechodzą przybrzeżną kontrolę, przy czym enerdownscy policjanci nie znajdują niczego. Ładna jest w filmie scena, jak kobiety się stroją, obwieszają biżuterią, przechadzają się po pokładzie i grają swe ulubione role, role królowych.

Naturalnie nasz pan Matzerath mógłby tu ponownie, a może nawet powinien by był poszaleć z historycznymi retrospekcjami. Ale jak po prostu opuszcza epizod z mówiącym turbotem, który w rozmowie z Damroką zapowiada rychły koniec, potem pomija polichóralny śpiew meduz i nie dopuszcza niczego, jak powiada, „irracjonalnego”, tak też usuwa historię zatopionego miasta i obiecanie państwo kobiet, aby przejść bez ogródek do końcówki człowieczej historii.

Być może Oskar uznał mówiącego turbota i jego wizje za odwracanie uwagi od jego własnej egzystencji. Być może meduzi śpiew chęłbi modrych zbyt boleśnie przypominał mu uśmiercający szkło krzyk jego dziecięcych lat. Przypuszczalnie władcze pragnienia kobiet jemu, co prawda niedużemu, ale demonstracyjnie męskiemu mężczyźnie, wydawały się podejrzane. W każdym razie opuścił, pominął, usunął i zaprzeczył. Odrzucił w swym filmie video przesadne efekty i pozwolił, by Wielkie Bum-Bum zstąpiło jak grom z jasnego nieba.

Przychodzi jak fatum, nieodwracalne. Nikt go nie chciał, nikt mu nie zapobiegł. Nie padają pytania o winę. Brak też wskazań na działalność szczurów w wielkich komputerach. Wszystko dzieje się samo z siebie. Oglądane przez nas błyskawice i przerażający blask to ostatni krzyk filmowej inscenizacji. Widzimy, jak nad Peenemünde, Stralsundem i jeszcze dalej wyrastają znane z innych filmów grzyby. Moglibyśmy przypuszczać, że wszystko to jest tylko wybrykiem natury, gdyby scenom ostatecznej zagłady nie towarzyszył gromki głos naszego pana Matzeratha.



Słyszymy jego wołanie: „Tak oto gaśnie, co wypalało się od dawna. Tak spełnia się, co ludzie obiecywali sobie nawzajem. Ku temu wydarzeniu zdążało wychowanie rodzaju ludzkiego. Tak kończy się to, co nigdy nie powinno było się zacząć. O rozumie! O nieśmiertelności! Co prawda nic nie zostało doprowadzone do końca, ale wszystko znajduje kres”.

Konsekwentnie kobiety wyparowują na pokładzie statku, nie znalazłszy swojej Winety. Czy jasnowidztwo naszego pana Matzeratha nie mogło być jednak uwzględnic łagodnego, bądź co bądź wyobraźnego zrzędzenia: czegoś pocieszającego? Spotęgowałyby to raczej dramaturgię, gdyby na krótko przed końcem pozwolił turbotowi pływać płasko nad Winetą, otworzyć krzywy pysk i całą piątkę kobiet, z moją Damrą na czele, przywołać z pokładu statku w głębinę. Tam, pod wodą wprawdzie i z dala od wszelkich postczłowieczych zdarzeń, wraz z założeniem Miasta Kobiet mogłaby się zacząć nowa historia i mógłby zostać złagodzony koniec ostatniej. Ale nie! Z żelazną konsekwencją: ich piękno musiało przepaść do szczytu. To nie ja, to Oskar tego chciał. Odtąd boleśnie brak mi kobiet.

Wrak dryfuje więc beznadziejnie na wschód. Ale w forkasztelu rusza się zmanipulowane życie. Tylko na parę sekund film video ukazuje postacie na czarnym kadłubie statku. One też poniosły straty. Sześć, nie, siedem egzemplarzy nowego gatunku zdechło i zostaje teraz wyrzuconych za burtę. Pozostało dwanaście. Domyślamy się ludzkich kształtów, szczurzych głów. Cztery lub pięć postaci, które są najwidoczniej płci żeńskiej, z wprawą oddaje się czynnościom żeglarskim: utrzymują wrak na kursie. Potem nagle wszystkie uciekają pod pokład, ponieważ nadciąga burza pyłowa.

Również watsoncricki obawiają się nawiedzających świat opadów. Wmiksowane ujęcia pokazują, jak okropnie wszędzie wygląda. Nie tylko Moskwa i Nowy Jork zamieniły się w proch i pył, nie tylko Zagłębie Donieckie, Nizina Padańska i Zagłębie Ruhry są spaloną ziemią, także Zurych i Bombaj, Rio i Kapsztad były kiedyś. Hongkong! To miał być Hongkong?

Nie sposób wyliczyć, co sztuka video pana Matzeratha zmiata, zrównuje z ziemią, zamienia w księżycowy krajobraz lub w specjalnych wypadkach, kiedy chodziło o oszczędzenie dóbr kultury, zachowuje jako dekorację, choćby Florencję, Kioto i – jak wiemy – Gdańsk. Ale choć w filmie jak świat długi i szeroki kończy się wszystko, choć burze pyłowe, przy utrzymujących się ciemnościach i zimnie, niepohamowanie niszczą wszystko, co żywe, w kadrze jednak pozostaje zamglony wrak, aż wreszcie kończy się zaćmienie Słońca, a burze pyłowe ustępują ożywczym wiatrom. Widać, jak kilka nipli gramoli się na pokład.

Przyznaję, że ta część Matzerathowego dzieła ma dłużyzny. Ostatecznie katastroficzne wizje są nam znane z wielu popularnych w końcowej fazie filmów kinowych. *Homo ludens* raz jeszcze pomysłowo antycypował swoją zagładę. Jednakże film Matzeratha, mimo wspomnianych niedostatków, różni się od ogółu katastroficznych produktów. Jego antycypacja starannie zaplanowanego życia to coś, co ma perspektywę.

Przekonujący jest finał filmu, który podejmuje temat przejścia postczłowieczej historii w neoczłowieczą: jeszcze bardziej niż we śnie, komentowanym mi przez szcurzycę z lękliwej szcurzej perspektywy, widać w filmie video urodę, ba, powab w szczególności szcurołudzi płci żeńskiej. Raz za razem kamera nurza się w rudawoblond, w pszeniczojasnym owłosieniu; puchem pokrywa ono ręce, uda i piersi, gęstą sierścią porasta ramiona, włochato okala osobliwy zakręcony ogonek na kuprze, nie zapominając o włosach na głowie. Ze szcurzych główek – ach, ich białorzęsa niebieskookość! – opadają one na plecy gładko, ale też w kędziorach, tak że dzięki filmowej prezentacji wspaniałości kędziorów w moich snach ostatnio znów uchwytne staje się Damroka.

Powoli, z ociąganiem: to ona, w pięknych kędziorach. I ma na sobie bursztynowy naszyjnik mojej Damroki. Ach, drogi panie Matzerath, jakże sobie życzę zwycięstwa watsoncricków nad niższymi plemionami szcurzymi! I już moje życzenie nabiera kształtu, i pozwala na nieśmiałą

nadzieję...

W każdym razie szczurzyca mówi to samo, co ze znajomością topografii przewidywał film video: po wylądowaniu z biciem w dzwony obejmują w posiadanie, rewir za rewirem, całe Główne Miasto między Podwalem Przedmiejskim i Staromiejskim, bez użycia siły zresztą, na mocy spokojnie okazywanego autorytetu. Nie unicestwiają szczurzich plemion, usuwają je tylko, powodowani własnymi potrzebami. Jako rzecz oczywiście im należną traktują korzystanie z zapasów jęczmienia, kukurydzy, słoneczników. Pomagają organizować i planować składowanie i rozdzielanie centralnie gromadzonych miejskich zasobów.

Szczurzyca przyznaje: rozdzielanie jest sprawiedliwe, chociaż wymaga coraz dłuższego czekania. Nadal szczurzym plemionom wolno odwiedzać kościół Marii Panny, dalej kościoły Świętej Katarzyny, Brygidy, Trójcy i Mikołaja. W ich prawodawstwie, ogłaszanym w palatalnej bądź gardłowej, ale też swojsko zesmerfionej wymowie, rzuca się w oczy powszechna tolerancja: katolicy nie mogą już mieć ostatniego słowa; wszystkim szczurom zezwala się na wyznawanie dowolnej religii. Więc znów modlą się w różny sposób. Tak uregulowane jest życie miejskie w obrębie zazielenionych wałów szlamowych; nie zajmują się, pominąwszy sporadyczne kontrole, rewirami wiejskimi. W Kartuzach, Tczewie i Nowym Stawie ustanowiły swoje przedstawicielstwa.

W sumie zmanipulowani ze Szwecji i szczury kaszubskie, jak też przybyłe z innych rejonów – niedawno przywędrowały grupy afrykańskie – prowadzą zgodne, harmonijne życie, które nasz pan Matzerath, z jednej strony przycupnięty w zasuszonej postaci u stóp skurczonej babki, z drugiej istniejący nadal ze swym stałym cewnikiem, chętnie zastrzega dla przyszłości.

Urządziwszy mi ekskluzywny pokaz swego filmu *Video Przedtem i potem* powiada: „Kiedy będziemy niebawem obchodzić moje sześćdziesiąte urodziny, chciałbym wśród gości zobaczyć wraz z panem pańską szanowną

małżonkę”.

Jak gdyby nie istniały telefony, dowiaduję się z pocztówki o wpłynięciu statku do portu w Travemünde: „Przyjdzie list”.

W liście, który przyszedł, dużo miłej troskliwości: obok narzuty na podwójne łóżko gotowy jest pulower dla mnie. Dalej czytam: Rejs statku przebiegł zgodnie z planem. Nawet na wodach przybrzeżnych NRD nie było specjalnych trudności. Jednakże nie dane było zawinąć do Greifswaldu ani do Peenemünde. „Za dużo konserw! Wieczorami często słuchało się muzyki chóralnej a capella”.

Dalej list stwierdza, że misja badawcza została mniej więcej wypełniona. Co prawda należy obawiać się dalszego wzrostu liczebności chełbi modrych, ale o zameduzieniu Bałtyku nie można jeszcze mówić. Przy nie słabnącej pladze alg utrzymuje się jednak nadal niebezpieczeństwo regionalnych zatruć, na płycznach morze śmierdzi. „Ja w każdym razie mam liczenia chełbi po dziurki w nosie.”

W liście, który przyszedł po pocztówce, czytam: Naturalnie nie dało się uniknąć napięć na pokładzie. „Co przepowiadałam: łajba jest o wiele za ciasna!” Naturalnie znów odgrzewało się stare historie. Z perspektywy czasu szczególnie irytujące jest zachowanie sterniczki, która zawsze, nawet jeśli się wali i pali, musi grać pierwsze skrzypce. Mimo gwałtownej sprzeczki z mechaniczką – „i to w Visby, jak zeszłyśmy na ląd, gdzie zaciągnęła nas wszystkie do kina na jakąś amerykańską bujdzę o potworach, półzwierzętach, półludziach...” – można było z nią wytrzymać. Rozczarowała postawa oceanografki: „Ta to tylko swoją pracę ma w głowie”.

Wszystkie trzy, powiada list, zeszły z pokładu już w Kilonii. „Sterniczka ma sprawy w wyższym sądzie krajowym: strasznie ważne! Na mechaniczkę czeka kolejna kontrola ksiąg. Oczywiście oceanografki pilnie spodziewają się w instytucie. Nagle paniom bardzo się spieszyło. Tylko Stara wytrzymała do zacumowania w Travemünde i na koniec wyszorowała jeszcze pokład i dziobówkę.”

List opowiada o chmurach dziwnego kształtu i o deszczowym lecie. Ani słowa o głębinie Winety. Urwiska Møn i kredowe skały Rugii zostają nazwane „piękniejszymi, niż można sobie wyobrazić”. Odbyło się nawet przyjęcie na statku: „Oczywiście tylko we własnym gronie. Było całkiem wesoło!” A raptem czytam: „Choć rejs był mimo wszystko ciekawy, «Ilsebill» trzeba jednak będzie sprzedać”. To znaczy: poczynione po raz kolejny doświadczenie wykazało, że kobiety jeszcze się nie nauczyły znosić się wzajem na ciasnym statku. „Nie wiem, z czego to się bierze! Między wszystkimi ciągle się iskrzyło. Nawet mnie ta masa bab na pokładzie działała czasem na nerwy”.

Na koniec po zaznaczonych kółeczkami ucałowaniach znajduję znów rzeczy miłe i zapowiedź, że moja Damroka w najbliższym czasie chce całkowicie powrócić do muzyki.

Nie moja szcurzyca, czarne pianino  
śniło mi się, porośłe kaktusami,  
które chciało, żeby je przewieźć  
do Europy, gdzie trzymanie pianin było zakazane.

A w Europie, śniło mi się,  
przebywała ostatnia pianistka,  
która nie mogła się oderwać  
od kaktusów i tak dalej.

To nie było pianino, to był fortepian Bechsteina,  
czarny, ale teraz zielenią porośły,  
który domagał się pianistki  
tradycyjnie europejskiej szkoły.

Wieko nad klawiszami  
odsłoniła z pomocą nożyc  
i w gąszczu na dole  
oba pedały.

W moim śnie grała bardzo krótko  
coś Bartoka: szybko wolno szybko.  
Potem na nowo rozrastały się kaktusy; i wszystko  
było zielone jak przedtem w Brazylii.

Kiedy znów przyśniła mi się szcurzyca,  
opowiedziałem jej o tym. Twoje kaktusy, odrzekła,  
to tylko urojenie, natomiast fortepian Bechsteina  
to organy, które przeżyły.

Usłyszałem potem Bacha u Marii Panny: głośno cicho gwałtownie.  
Nawa kościoła wypełniona szcurami.  
A organistka  
miała piękne kędziory do ramion.

*ROZDZIAŁ DWUNASTY, w którym karetka jedzie w przeszłość, dwaj starsi panowie mówią o dawnych czasach, inna Damroka ma piękne kędziory, zbiera się muzealne okazy i tuczy się szczury, smutna wiadomość mąci uroczystość urodzinową, „Solidarność” zwycięża, ale po człowieku nic nie zostaje i znika ostatnia nadzieja.*

Uchodzą tylko Jaś i Małgosia. Wszystko, co było baśnią i miało skończyć się dobrze lub źle, rozjechały, zmiażdżyły, posiekały, wypluły za siebie, zrównały z ziemią i unicestwiły smokopodobne pojazdy specjalne. Na koniec Książę, który zbudził pocałunkami swą Śpiącą Królową, dzięki czemu sen odstąpił od kanclerza i jego świty, wraz ze zbudzoną Śpiącą Królową został tak dalece wgnieciony w leśny grunt, że nam, którzy w filmie jak i w życiu zawsze odchodzimy z kwitkiem, pozostają w pamięci jedynie jego usta do całowania. W przyszłości nikt już nie będzie całował tak jak on. Nie ogarnie nas trwały sen. Odtąd wszystkie sny będą się rozgrywać na jawie.

Śmiech wojskowych. „Wszystko rozwalone!”. Klepią się po plecach.

Nic dziwnego, że wszystko toczy się jak dawniej, nie, gorzej, bo teraz bez nadziei. Ale podczas gdy eksperci się spierają, jak gdyby nie mieli nic innego do roboty, podczas gdy ministrowie i ważniacy jak zwykle załatwiają interesy i są przy tym ze wszystkich stron ubezpieczani, ponieważ każdy pistolet maszynowy jest znów gotów do strzału, podczas gdy błogosławieństwo otrzymują jeszcze generałowie, bo biskupom też nic nowego nie przychodzi do głowy, a kanclerz, ku uciechu dziennikarzy, woła głośno do telewizji: „Jasiu! Małgosiu!”, Jaś i Małgosia uciekają.

Nasz pan Matzerath chce tego. Ja się z nim zgadzam. Ktoś musi ująć. Zupełnie bez baśni nikt nie chce być.

Wszyscy tak mówią w całym kraju, ale na pytanie dziennikarzy: „Panie

były kanclerzu, bardzo brakuje panu dzieci?”, odpowiada nie bezsilny ojciec, lecz kanclerzogenerał: „Potrafimy przeboleć tę stratę”.

Chociaż nikt ich nie goni, Jaś i Małgosia wciąż jeszcze biegną przerażeni przez martwy las, zastygły w pośmiertnym stężeniu. Nie oglądając się za siebie, byle dalej dalej dalej...

Kiedy ludzie z telewizji podsuwając mikrofon pytają wazniaków z przemysłu: „A co stanie się z lasem?”, jeden z nich odpowiada: „Spiszemy na straty! Po prostu spiszemy las na straty! Jak z baśniami, tak też zrobimy z lasem”.

Te słowa pozostają w postaci napisu, podczas gdy Jaś i Małgosia biegną z dłonią w dłoni.

W odpowiedzi na pytania biskupi powołują się na wolę boską jako przyczynę wszystkich, złych czy dobrych, zdarzeń. „Pan dał, Pan wziął”, mówi jeden, a drugi mówi: „Widocznie tak być powinno”.

Jak można przeczytać na klapce, którą asystent uderza przed każdym wywiadem, reportaż telewizyjny będzie zatytułowany: „Śmierć czarownicy – koniec baśni”.

Zapytani o zdanie, mówią na koniec jeden przez drugiego ministrowie i eksperci: „Trzeba nowych ekspertyz!” – „Oczywiście niezależnych!” – „Teraz należy ustalić priorytety!” – „Inni gadają o lesie, my go wyłączamy!” – „Nie las umiera, lecz wola czynu!” – „To przecież dziecinada, to dziecinada!”

Śmiejąc się uciekają Jaś i Małgosia. A kiedy biegną z dłonią w dłoni przez martwy las, zaczyna on wypuszczać młode pędy i zielenić się. Z każdym susem zmieniają się obumarłe gałęzie, a z nimi roześmiane dzieci, które hasają i podskakują. Jak gdyby biegli przodem w tył, Jaś i Małgosia są teraz ubrani podług dawnej mody. Biegną w krótkich spodniach, sznurowanych butach, pończochach robionych na drutach i długiej spódnicy, a spod czapki, spod czepeczka ukazują powiewające warkocze, rozwiane loki. Nakreśliła ich ręka rysownika Ludwiga Richtera; a las zieleni się, jak go namalował



pobożny twórca, malarz Moritz von Schwind: mroczne jodły, wysokie buki, dęby, wiązy, prastary las mieszany, w którego głąb nie zapuści się żaden węglarz.

Biegną tak, jakby baśnie jeszcze istniały, jakby zaraz jednorożec, jakby niedaleko, gdzie zrywają się sójki, stuka dzięcioł i grzyby stoją w krąg, była czarownica. W zaroślach coś się rusza. Znowu mrowisko. Jak na początku, kiedy jeszcze była nadzieja, turkawka trzyma w dziobie złoty włos, aby w zmiennie filtrowanym świetle przez paprocie, mchy i opadłe igły wskazywać im drogę, bo dokądś zmierzają.

A tam, gdzie w środku lasu krzyżują się dwie drogi, Jaś i Małgosia, wcale nie zdziwieni, widzą stojącą karekę zaprzężoną w siwki. Bez woźnicy na koźle, z czwórką koni, nabijana srebrnymi ćwiekami, jak gdyby wysłał ją łaskawie pan na zamku, czeka kareta.

Siwki parskają. Ich uprzęż lśni. Oto otwierają się drzwiczki karety na ponowne spotkanie. Przyjaźnie pozdrawiają Jacob i Wilhelm Grimmowie, którzy jak Jaś i Małgosia ubrani są po biedermeierowski: w wysokich kapeluszach, kryzach, w żakietach z aksamitu, kieszenie i rękawy oblamowane sznurami; tacy, jakimi znamy obu panów z poźółkłych sztychów, z owych czasów, kiedy w Hesji i gdzie indziej zbierali baśnie, z dawnych lat, kiedy las był jeszcze lasem.

(Nasz pan Matzerath uważa, że niewiele już zostało teraz do powiedzenia.) Ja jednak pozostawiam Wilhelmowi Grimmowi zdanie: „Przysiądźcie się do nas, dzieci!” A zapraszający tekst Jacoba Grimma powinien brzmieć: „W takiej terażniejszości nie ma co zostawać. Nie jesteśmy już pożądani”.

Jaś i Małgosia mogliby grzecznie skłonić się i dygnąć, i powiedzieć na dwa głosy: „Coś czuliśmy, że nie jesteśmy na zawsze zgubieni”.

Wsiadają do karety, która bez woźnicy, ciągnięta tylko przez cztery siwki, nie przodem, ale tyłem, najpierw pojazd, za nim konie, jedzie w przeszłość, a jazda ma ciekawy przebieg, gdyż podróżni spotykają najróżniejszych

prostych ludzi.

Po obu stronach wyboistej drogi, która wkrótce opuszcza las, potem jednak, pośród łąk i łąków zboża, zdąża do następnego lasu, widzimy ludzi w starych strojach, w łachmanach i mundurach, jak kroczą, wloką się, śmigają, człapią obładowani: stara kobiecina zgięta pod wiązką chrustu, mężczyzna, który niesie barć, kobieta z koszem na plecach, chłop, cielę na postronku, dwaj wędrowni czeladnicy, gęsiarka, mały żebrak, ale też bandosi i więźniowie w łańcuchach, strzeżeni ze wszystkich stron przez żołnierzy.

Ale jak kareta, w której znaleźli się Jaś i Małgosia z Grimmobraćmi, porusza się wstecz, tak wszyscy, którzy ich spotykają, idą krok za krokiem w tył: jak gdyby starą kobiecinę ciągnęła wiązka chrustu, mężczyznę – barć, żonę garncarza – ciężki kosz, a chłopca cielę na postronku. Do tyłu wędrują śpiewając czeladnicy. Z powrotem do szopy zaganiają gęsi gęsiarkę. Za swoimi plecami chce odtąd zebrać mały żebrak. A także bandosi i więźniowie łącznie ze strażnikami mają nadzieję, że jeśli tylko dość daleko zapuszczą się i zapędzą do królestwa tego, co było kiedyś, znajdą wreszcie ziemię, dostaną lepszy żołd i uwolnią się od łańcuchów. Tak wiele obiecuje przeszłość.

Tutaj mógłby się skończyć niemy film *Lasy Grimmów*. Dla kogo jednak zwrócone wstecz zakończenie niemego filmu o umierającym lesie i końcu baśni jest zbyt obiecujące, upiększone nadzieją i za mało gniewne, ten za radą naszego pana Matzeratha powinien otworzyć gazetę i czytać, aż złość go ogarnie na to, co mają do powiedzenia eksperci kanclerza. Baśń o Jasiu i Małgosi jest w każdym razie skończona.

Ach, szcurzyno, szcurzynko! Co nam jeszcze pozostaje prócz trzeciego programu? Gdzie jest jeszcze nadzieja? W którym towarzystwie mógłbym, kiedy mi się śni, powiedzieć: Jeszcze jesteśmy! Istniejemy. Chcemy i będziemy...

Pewnie, jest Malskat. Wyczerpany tak dużą dawką przeszłej teraźniejszości mieszka na wyspie w Deepenmoor pod Lubeką, niedaleko

śmiertelnie pewnej granicy między państwami, które udają jedno przed drugim inne Niemcy. Jako uczciwy podrabiacz przeżył swych współczesnych, którzy do końca pozostali fałszerzami, co prawda nędznie, ale przez wszystkich szanowany, podczas gdy stary Lis zaciągający z saska Szpicbródka paskudnie nam się odbijają.

Ä jeśli ja, szcurzynko, twierdzą, że nie tylko Malskat, ale i nasz pan Matzerath wciąż jeszcze jest i produkuje pokupne kasety video, to ty mnie, który też jeszcze jestem i tylko czasami siedzę w swojej kapsule kosmicznej, powinnaś wierzyć, że tak jest. Przyniosłem ci, co lubisz: okruszki sera. Dowodzę ci mojego istnienia głaszcząc cię, przemawiając czule, zmieniając podściółkę na świeżą. A i Damroka, która znowu istnieje, wpada czasem na chwilę ze swoim dzbankiem kawy i przygląda się nam, jak się kontaktujemy.

Pozostawałoby jedynie zbić tezę, według której wszystko jest tylko złudą i odblaskiem. Głosi ona, że nas już wcale nie ma, że tylko śnimy się, pozornie aktywni, jedynie realnym szcurzym plemionom, które wciąż na nowo wymyślają nas, jacy byliśmy kiedyś, aby człowiek jako wyobrażenie nie wyczerpał się szcukrom. Z rozmysłem śnią mnie, ciebie, twoją otwartą klatkę, okruszki sera i Malskata na jego wyspie w Deepenmoor, podobnie jak krótkie wizyty Damroki, znikowanego na punkcie mediów pana Matzeratha i trzeci program, którego dzielni spikerzy twierdzą, że wszystko toczy się dalej, że warto żyć i słuchać *Szkoły dla wszystkich*. Znalazłaby się nadzieja, choć tylko w okrucinach. Wszystkie niebezpieczeństwa dałoby się odwrócić przez rozum, wyrzeczenie się i wszechogarniające przeorientowanie. Trzeba by tylko chcieć. Wtedy dałoby się znów planować przyszłość. Przy całym sceptycyzmie rok dwutysięczny z pewnością nadejdzie. Mówi się nawet: Pozostałe lasy pokryje się ochronną powłoką; pod szklanymi kopułami można zagwarantować świeże powietrze dla wielkich aglomeracji; głód da się zlikwidować dzięki technice genetycznej; wkrótce znane będą sposoby, jak człowieka nastawić pokojowo na dłuższą metę; stopniowo będzie też można swobodnie poruszać się w czasie, naprzód i wstecz; trzeba tylko,

mówi trzeci program, mieć wolę chcenia i przeorientować się możliwie jak najszybciej...

Tak to żyjemy dalej w snach jedynie rzeczywistych plemion szczurzych, których historia czyni postępy. Coraz więcej, powiada szczurzyca, przypada watsoncrickom. Co film video naszego pana Matzeratha ukazywał jako przewidywaną przyszłość, stało się dobrze zorganizowaną rzeczywistością: w okręgu gdańskim wprowadziły one system danin, który człecoszczurom gwarantuje pożywienie w nadmiarze, a wszystkim plemionom szczurzym, które uprawiają rolę, własność ziemską.

Jakkolwiek reguluje się stosunki władzy, bez własności najwidoczniej nie sposób się obyć; to obecnie również postczłowiecze rozumienie. Mogłoby tak być, że my, śnieni przez szczury, uzyskujemy konstruktywny wpływ na owych szczuroludzi, o których śnimy? Podobno dawniej, jako mężczyzna z brodą, Bóg był kontent ze wszystkich swoich wizerunków, jakie sporządzaliśmy.

Ona rośnie. Moja gwiazdkowa szczurzyna rośnie w oczach. Jestem zdumiony. Przy tym wiadomo, że pospolite szczury wędrownie, podobnie jak szczury laboratoryjne w ciągu swego trzyletniego życia stale rosną. Z niepokojem przyglądam się jej rośnięciu. Któregoś dnia mogłoby jej już nie być, będzie leżała zeszywniała na grzbiecie, zdechła. Czego zażyczę sobie na Gwiazdkę, kiedy nie będzie już szczurzynki, kiedy będzie jeszcze tylko Malskat ze swoją przedawnioną historią, nasz pan Matzerath na rynku video, od czasu do czasu Damroka i przy nastawionym trzecim programie ja, spadły ze wszystkich snów, jeszcze tylko ja?

Szczurzyca twierdzi, że watsoncrickom udało się uruchomić wodotrysk fontanny Neptuna i organy u Marii Panny; a nasz pan Matzerath, ledwo wróciwszy z Polski, chce wprowadzić na rynek video ową prefabrykowaną kasetę, która antycypowała sto siódme urodziny jego babki.

Organy kościoła Marii Panny spłonęły pod koniec międzywojny, ale u schyłku czasów człowieczych zainstalowano nowe organy przy ocalałym

prospekcie w kościele Świętego Jana.

Teraz nasz pan Matzerath zamierza wyprodukować kilkuczęściowy film, który ma zmierzyć się z tematem Adenauera-Malskata-Ulbrichta. *Fałszerze przy pracy* mógłby brzmieć tytuł roboczy albo tylko *Fałszywe pięćdziesiątki*.

Szczurzyca mówi, że plemionom szczurzym podoba się słuchanie koncertów organowych, jakie co niedziela urządzają im watsoncricki.

Niedawno odwiedził podobno malarza Malskata na jego wyspie w Deepenmoor nasz pan Matzerath. Naturalnie zjechał mercedesem z szoferem. – Dawaj łódź! – zawołał Oskar zobaczywszy, że nie ma mostu na torfową wyspę. Malskat przewiózł garbatego człowieczka łodzią wiosłową. Szofer musiał czekać przy mercedesie.

W trzecim programie, który zawsze jest na bieżąco, dają teraz Bacha: *Toccatą i fugą F-dur*. Ale klony, powiada szczurzyca, znają też Buxtehudego. Nie ma powodu ukrywać, co dwaj starsi panowie mieli sobie do powiedzenia na torfowej wyspie.

Podczas gdy jeden przechadzał się po ciasnej izbie tam i z powrotem, jakby wystarczał mu króciutki rozbieg, i wymownie wymachiwał rękami, drugi przysłuchiwał się, naciągnąwszy nieodłączną wełnianą czapkę do połowy uszu. Jeden mówił: – Właściwie to umierający las powinien iść do produkcji, ale pańskiej sprawie należy się pierwszeństwo. – Drugi milczał.

– Trzeba to wszystko, zniszczenie świętych w prezbiterium i Grimmowych lasów, widzieć w powiązaniu, jako jedność – mówił garbaty człowieczek chodząc w te i wewte. Malarz w wełnianej czapce bardzo rzadko wyduszał z siebie jakieś słowo, w najlepszym razie coś na temat rzemieślniczych szczegółów.

Czasami, jakby dla nabrania dystansu i rozpędu, mówili obaj o swoim dzieciństwie. Nazywali Gdańsk i Królewiec niezapomnianymi. – Decydujące było – powiedział jeden – że na trzecie urodziny moja biedna mama podarowała mi bębenek z blachy, który był biało-czerwono lakierowany, po

czym ja postanowiłem przestać rosnąć. – Już jako dziecko – powiedział drugi – dużo malowałem, przy czym wzorem były dla mnie obrazy tablicowe starych mistrzów z antykwariatu mojego ojca. – Potem obaj dali spokój swej młodości i skwitowawszy czasy wojny paroma zdaniem oraz nazwawszy następujące po nich czasy czarnorynkowe nędznymi, ale przyjemnymi, poczuli się jak w domu w latach pięćdziesiątych.

– Ów amerykański song – mówił jeden – śpiewany w kółko przez kwartet The Plätters i zatytułowany – na pewno pan pamięta, drogi Malskat – całkiem przekonująco *The Great Pretender*, nadawałby się, oczywiście przerobiony na liczbę mnogą, wypisz, wymaluj, na hymn obu państw niemieckich.

– *We are the Great Pretenders* – śpiewał jeden, po czym drugi zaproponował karnawałowy szlagier, z lat pięćdziesiątych, w którego tekście staje kwestia zapłaty.

– Nasz film – mówił nasz pan Matzerath – wykorzystując nowe medium, videotechnikę płynnych przejść, powinien w szczególności ludziom młodym, którzy nie mają pojęcia, co to kłamstwo i oszustwo, otworzyć szeroko oczy, ażeby poznali wreszcie epokę wielkich fałszerstw.

– Ja – mówił malarz Malskat – swój niewielki udział w wielkim oszustwie ujawniłem bądź co bądź z własnej woli. Nagle przestało mnie to bawić.

Nasz pan Matzerath, przygotowany do wygłoszenia dłuższej mowy, mówił ponad głowę malarza Malskata: – Zaczniemy od stawiania rusztowań pod koniec lat czterdziestych, pokażemy więc, przerzucając się przykładowo z miejsca na miejsce, jak we wnętrzu lubeckiego kościoła Marii Panny rośnie wielkie rusztowanie, następnie wmiksujemy przegotowania do proklamowania jednego jak i drugiego państwa, tu choćby gorliwość Rady Parlamentarnej, tam skrzętne kursowanie między Pankow a Karlshorst, aby na trzech płaszczyznach wprowadzić ogólnoniemieckie fałszerstwo, przy czym Rosjanie i Amerykanie wraz z ekspertami od sztuki od początku czują, że na każdej z nich powstają mamidła, ale nie chcą zrozumieć, jak wiarygodnie każde oszukaństwo, jeśli trwa wystarczająco długo, obrasta

rzeczywistością. Jako że w kościele Marii Panny tylko osypujący się barwny pył świadczy o starych malowidłach ściennych, ręka wschodniopruskiego malarza w zamian za marną stawkę godzinową musi gotyckich świętych na filarach wyczarować z nicości, nie, ze skarbicy tegoż malarza, wzbogacanej od dzieciństwa. Podobnie spełniają się wczesne marzenia tu nadreńsko-klerykalnego, tam saksońsko-pruskiego pokroju. Na taką okazję owi mężowie stanu, jeden podobny do Indianina, drugi o wyglądzie poczciwca, musieli czekać długo; malarz z gotyckim zasobem nigdy jeszcze nie miał do dyspozycji tak wielkiej powierzchni. Już państwowe mamidła noszą miano republik, malowidła ścienne – cudu z Lubeki. Co prawda po tej jak i po tamtej stronie, a także na sklepieniu prezbiterium usuwa się swastyki, co prawda tu jak i tam wcina się po łyżce wiedzę tu zaprawioną demokratycznie, tam komunistycznie, żeby przyswoić ją jak mleczną zupę, ale za nowymi fasadami długo jeszcze rozlega się wczorajszy krzyk; cuchną trupy w jak najstaranniej zamurowanych piwnicach; sraczkowatobrunatna reputacja niektórych lubeckich duchownych utrudnia spodobanie się Bogu w nowej niewinności. Ale oszukaństwo się udaje! Dopiero co jeszcze żebrzący o wyrozumiałość zwyciężeni potrafili przypodobać się jednemu i drugiemu zwycięskiemu mocarstwu. Co to znaczą kłopoty! Już w dziedzinie wojskowej są na nowo poczytalni. Wołają: Odbudowa! Odbudowa! i: Znów idzie ku lepszemu! Gadają o winie, jak gada się o długach i rozłożeniu ich na raty. Wkrótce jedni są mniej biedni niż ich wyczerpane zwycięskie mocarstwo, drudzy mocno wierzą, że niebawem będą bogatsi od sąsiadujących z nimi zwycięzców; a i malowidła ścienne w lubeckim kościele Marii Panny są o wiele obfitsze, niż były kiedykolwiek przedtem. Tu się na gotyku nie oszczędza, tu idzie się na całość. Wszędzie stoi się, leży, klęczy z przejęciem przed wszechogarniającym omamem. A cały świat zdumiewa się, jak prędko można zamienić klęskę w jej przeciwieństwo. Powstali z ruin! Znów jesteśmy kimś! śpiewają, wołają i klepią się po plecach. Niech ktoś spróbuje pójść w nasze ślady. Wczoraj jeszcze najgorsze śmiecie, a dzisiaj? No cóż,

tam nie wypaliło smutne powstanie robotników, tu rozszedł się po kościach szeptem raczej niż na głos wypowiedany protest „beze mnie”. Skandale, rzeczy przykre, ale te zdarzają się też gdzie indziej. Trzeba tylko być grzecznym i pozostać ukochanym dzieckiem wielkich zwycięzców, nikogo nie wpuszczać na rusztowanie, w miarę często mówić o pierwszym niemieckim państwie robotników i chłopów, o naszym wolnościowodemokratycznym ustroju i o stylotwórczej sile północnoniemieckiego gotyku, a oszukaństwo zostanie wszędzie pobłogosławione. Tak dzieje się w Bonn, w Pankow, w Lubece, gdzie podczas uroczystości siedemsetlecia nawet mistrzowski fałszerz Adenauer jako kanclerz dał się nabrać mamidłu; a może Stary domyślał się oszustwa i podziwiał jedynie sposób, w jaki go dokonano? „To dobra robota”, powiedział podobno i przy tym mrugnął po katolicku...

Nasz pan Matzerath przerwał. Przechadzał się małymi krokami po niskiej izbie Malskata. Dorzucił jeszcze parę zwięzłych uwag na temat filmu video *Fałszywe pięćdziesiątki*: Trzeba ukazać modę i gusta tamtych lat. Swoje miejsce na taśmie filmowej muszą znaleźć nie tylko obowiązkowe stoliki w kształcie nerki i ziejące pustką abstrakcyjne malarstwo w dużych formatach, ale także autoskutery Messerschmitta i parę karoc Borgwarda, do tego powiększenie dwóch armii. Niech w piosence słońce wciąż zanurza się w morzu na Capri, niech Fritz Walter gra w piłkę nożną, a wszędzie na stanowiskach muszą być wśród nas mordercy. – A jakże! – zawołał. – Za fasadami musi nieustannie tykać zbrodnia, ten zegar, którego nie sposób zatrzymać. Niech pan powie, drogi Malskat, podobno w ornamentyce kapiteli oraz w układzie fałdów swoich świętych ukrywał pan niekiedy szczury, pojedyncze albo parami...

Malskat zaprzeczył. Mnóstwo baśniowych zwierząt na pewno, indyki w szlswickim krużganku są jego pędzla, ale szczury nigdy, te nawet we śnie nie przyszłyby mu do głowy.

Zaduma osiadła między nimi dwoma jak kurz. Przenosili się myślami w



przeszłość. Zwłaszcza naszemu panu Matzerathowi podobało się pewnie przewijanie w tył taśmy swego życia, jeden epizod za drugim. Potem zdjął okulary w złotej oprawie, ukazał swe niebieskie oczy, które potrafią przejrzeć każdy cud, znieśc zaprosił malarza na swoje bliskie już urodziny i powiedział: – Drogi Malskat, powinien pan być zostawić oszukaństwo w spokoju. – Na to malarz: – Może pan ma rację. Ale ze mnie już taka uczciwa natura.

Jak amen w pacierzu,  
wszystko jest z góry ustalone, wobec czego w wielu książkach  
i emocjonujących filmach nasz koniec  
już się odbył i jest teraz legendą,  
jak ta historia z Hameln, która również  
była ustalona z góry.

Kiedy bowiem dzieci ze swymi szczurami  
siedziały zasypane w kalwaryjskiej górze  
i czas nie chciał upływać, szeptały  
jedno do drugiego: To nie jest koniec.  
Będą nas szukać  
i na pewno znajdą.

Mieszczanie z Hameln, którzy we wnętrzu góry  
zamurowali, a potem zasypali swoje dzieci,  
postanowili ich szukać,  
udawali, że szukają ich naprawdę,  
ruszyli na poszukiwanie i wołali:  
Na pewno je znajdziemy.

Tylko jedno z dzieci we wnętrzu góry powiedziało do swego szczura:  
Nie znajdą nas, bo nikt nie szuka,  
To było już, wiem, z góry ustalone.

Mogę ją narysować na białym papierze: szczurzyca, która mi się śni, ma włosy w kędziorach i staje się coraz bardziej ludzka. Kiedy mówi mimochodem, że panowanie neoszwedzkich watsoncricków w okręgu gdańskim okazuje się łagodne i obywa się bez surowości, przemawia we własnej sprawie. To już nie gwiazdkowa szczurzyna, nie szczurzyca z gołym

ogonem ożywia moje sny w dzień i w nocy; ten szczurzy człowiek z pięknymi kędziorami chce mi przypominać Damrokę, która właściwie, kiedy na rodzaj ludzki przysłała zagłada, zginęła wraz z innymi kobietami na statku badawczym, potem jednak, ponieważ przyśniła mi się pocztówka, po której miał przyjść list, nagle pojawiła się znowu: w domu.

Przysłuchuje mi się cierpliwie. Rozumie moje skargi, moje zaprzeczanie jej wspaniałej realności. Coraz to inaczej układane podobają się jej włosy. Najdroższy, mówi, nie wystarcza ci, że jesteś już tylko obiektem snów, wyłącznie moich snów, wolnym od wszelkiej odpowiedzialności, ponieważ poza moimi snami cię nie ma?

Przyjemnie jest być obiektem jej snów, jej, która mówi „ja”. Pokazuje mi wszystko. Kroczących prosto Neoszwedów na ulicach gdańskiego Głównego Miasta. Jak parami ze swym potomstwem – naprawdę ładne są dzieci szczuroludzi – przechadzają się tam i z powrotem od Bramy Złotej do Długiego Targu. Ani śladu po normalnych szczurach. Tylko kiedy oni jako inspektorzy – zawsze we dwójkę – objeżdżają okolicę, nadwiślańskie niziny, Kaszuby, pokazują się w kadrze zwyczajne szczury.

Grzecznie i uważnie nadzorują uprawianie roli przez szczurze plemiona. Doradzają i dużo wiedzą. Wciąż jeszcze dominuje uprawa jęczmienia i kukurydzy, błyszczą rozległe, pagórkowate pola słoneczników. Nadal młode szczury, ukryte za koszyczkiem kwiatowym, wyłapują gołębie, wróble, inne szkodniki.

Powiadają: Postępujemy ostrożnie. Ostatecznie to nie manipulowane szczury zapewniały byt nie tylko sobie, ale i nam, to one, kiedy byliśmy jeszcze nieliczne i osłabione, mogły nas unicestwić. Ale przyjęły nas. Na przybycie bicie w dzwony. Dostrzegły w nas ludzi w lepszym wydaniu. Nie twojego powrotu, najdroższy, pragnęły z utęsknieniem, ich błagania i śpiewy dotyczyły naszego przyjścia. Opowiadałeś mi o mszach, nazywałeś według swego zrozumienia modły szczurzych plemion katolickimi. To jest bzdura, zabobon. My nadałyśmy ich zgromadzeniom nowy, niejako zreformowany

porządek.

I zobaczyłem zmiany we wnętrzu kościoła Marii Panny: zniknęła mumia Anny Koljaickowej ze skurczonym Oskarem u stóp, podobnie jak wszelkie ozdoby ołtarzowe, złote dukaty i biało-niebieskie smerfy, okulary z futerałem, otwieracz do listów, sztuczna szczęka, żelazny napis „Solidarność”, polski order państwowy i pierścienie Oskara. Panowały zimna surowość i protestancka pustka. Służbę przy ołtarzu pełniło sztywno i rozwlekle, jakby musieli się nawzajem nadzorować, dwóch Neoszwedów płci męskiej. Ale z ambony ponad głowami wszystkich zgromadzonych, szczerzych plemion przemawiała ona, moja ślicznotka w kędziorach: w coraz to innych słowach mowa była jedynie o pracy i znoju.

Od ołtarza, z ambony tchnęło posępną odświętnością, która przygnębiała, trzymała w uległości, zginała kark, nie dopuszczała, by szczury mogły się wyprostować. Również w ich śpiewie nie można było dosłuchać się niczego gregoriańskiego. Śpiewały pieśni stroficzne. Zdawało mi się, że słyszę: „Tyś nam jest opoką...” albo „Nie trwóż się, mała gromadko...” Ale znane teksty pieśni kościelnych były jakby całkowicie zesmerfione; na co trzecie słowo nakładało się mamrotanie watsoncricków. Już brała mnie pokusa, żeby włączyć się do śpiewu.

To jest druga przesuwka spółgłosek, powiedziała zmanipulowana Damroka bez przesuniętego akcentu, co najwyżej wymawiała R z wibrowaniem, jak z wibrowaniem wymawia się tę głoskę na Przedpomorzu od dawien dawna. Znalazłem ją na ławce przy organach, która, dostosowana do rozmiarów manipli, wraz ze stołem gry wydawała się maleńka w porównaniu ze sterczącymi organowymi piszczałkami. Damroka grała preludium używając rąk i nóg, jak gdyby gra na organach była dla niej czymś tak naturalnym jak oddychanie; wszystko to uczyniło możliwym trzyliterowe magiczne słowo DNA.

Przy akompaniamencie wariacji na temat *Jezu, radości moja* słuchałem relacji Damroki: Nawiasem mówiąc nie wyeliminowałyśmy tej okropnej

mumii i jej zmumifikowanego gнома. Znajdziesz oboje w najdalszym kącie organowej emporii, gdzie tymczasem nie budzi zbyt dużego zainteresowania. Jak wiesz, obywateli się bez przemocy. Jesteśmy za powolnymi, bezbolesnymi zmianami. Naszym działaniem kieruje rozważne zrozumienie, toteż nie zabroniliśmy adoracji obu mumii, lecz tolerujemy ją, a w określone dni nawet popieramy. Na przykład z okazji Wielkiego Bum-Bum. Obchodzimy je rok w rok, zezwalając szczerzym plemionom, jak i w dzień naszego lądowania, na adorowanie mumii. Ta ostatnia resztką ludzkiej cielesności odgrywa z czasem rolę odstrasżającą, jest pożyteczna jako późne zrozumienie. Patrzcie, mówię stale z ambony: Nigdy więcej nie powinno stać się coś takiego. Patrzcie, do czego ludzie doprowadzili. Te mumie powinny być dla nas przestrożą i zarazem ostrzeżeniem. Patrzcie, jakie to straszne!

A i do mnie kędzierzawa człekoszczurzyca przemawiała uświadamiająco. Nie odrywając rąk i nóg od grania na organach mówiła: Akceptując w nas część szczerzą stajemy się prawdziwie człowiecze. A ponieważ jesteśmy świadome naszej ludzkiej części, szczerzość stała się dla nas istotna. Będąc pierwotnie dziełem ludzkim przerastamy naszych twórców, dla których spoglądając wstecz żyjemy współczucie. Potknęli się na samych sobie, podczas gdy my, dzięki szczerzości w nas, mamy przed sobą przyszłość.

Przestała grać, zwróciła ku mnie szczerzy pysk, ale także opadającą z obu stron wspaniałość kędziorów, i powiedziała: Jeszcze jeden powód, żeby z zainteresowaniem, ale i dystansem przyglądać się szczerzym plemionom, jak grupami adorują owego ostatniego satelitę, który krąży po swojej orbicie i w którym ty, mój ukochany, we snach przywoływany przeze mnie coraz bliżej, jesteś umieszczony na zawsze. Słyszymy, jak rezonujesz. Znane nam są twoje skargi i żądania. Twój krzyk – Ziemi, odezwij się! Odpowiedz, Ziemi! – kusi nas czasami do zabawiania się twoim kosztem. Twój wyizolowany sen, według którego ludzie istnieją nadal, czynni i pełni pomysłów, udziela się nam. Rozumiemy dobrze twoją złość. Pojmujemy twoją spóźnioną skruchę. Kiedy oplakujesz swoją Damrokę, jestem

wzruszona.

Wydawało mi się, że mógłbym położyć głowę, a z nią całą moją samotność na jej kędziorach, tylko deprymował mnie jej śmiech. Wciąż jeszcze na ławce organowej, ale już z rękami na kolanach, powiedziała: Czasami uśmiechamy się wszakże, kiedy ty z uporem twierdzisz, że tylko twojej człowieczej męskości i twoim nudnym babskim historyjkom przypada realność, podczas gdy ja, bądź co bądź twoja ukochana, i wszyscy szwedozmanipulowani, na dodatek powierzone nam szcurze plemiona są produktem twojego snu, wymienialnym na inne sny.

Nagle usłyszałem ją przemawiającą ostrym tonem: To musi się skończyć! Nie tolerujemy wykrętów. Mogłoby nam przyjść do głowy zapomnieć o tobie, uznać, że już nie jesteś zabawny, śnić o czymś innym niż ty, choćby o karmiących piersią plujkach. Mam nadzieję, że rozumiesz moją małą wskazówkę.

Kłóciliśmy się. Ja zawołałem: Ich w ogóle nie ma, tych twoich głupich plujek!

Ona replikowała: To ciebie już niedługo nie będzie!

Ja spuściłem z tonu: Dobrze już, Damroko. Tylko przestań mi grozić.

Ona nie złagodniała, wyciągając organowe rejestry: To tylko ostrzeżenie, drogi przyjacielu, żebyś wiedział, do jakiej dziury mógłbyś wpaść, jeśli ja...

Reszta utonęła w huku organów. Cicho, może za cicho – ale ona jednak mnie słyszała – powiedziałem: Nie, proszę, nie. Uważam, że wciąż jeszcze jesteś piękna. Mało tego, śnisz mi się cielesnie, że tak powiem: w całej okazałości. Jestem doprawdy oczarowany i zafascynowany, nawet jeśli wy, nipie, jesteście trochę za małe. Przyzwyczaję się, dopasuję. Nawet twoje szcurze oblicze nie zdoła odstraszyć mojej miłości. Powinniśmy zbliżyć się bardziej, jeszcze bardziej, żebyśmy jak jedno ciało, gdyby tylko ławka organowa nie była taka malutka, a twoja cipeczka taka wąska...

Słyszałem swój donośny głos ponad Bachem czy Buxtehudem, ponad wszystkimi rejestrami: Tak, ciebie, już tylko ciebie chcę i chcę! Miłość,

nigdy nie odczuwałem jej tak potężnie. Chcę być wszystkim, co tylko możliwe, twoim małżonkiem, twoim błaznem, twoim niebiańskim oblubieńcem. Tak cię kocham, że mógłbym cię schrupać, zjeść, zjeść całą... Ale przestań wreszcie, najdroższa, odmawiać mi mojej odrobiny nędznej rzeczywistości. Ona należy do mnie. Od niej nie odstąpię, rozumiano! Możesz się szczerzo wdziękować, jak sobie chcesz. Ledwie się zbudzę, przekręcę gałkę i trzeci program potwierdzi moje istnienie. On zawsze znajduje radę, daje pociechę i stawia na rozsądek. Przepowiada, co jutro zostanie postanowione w Brukseli. Budzi nadzieję, choć maleńką tylko, na rozpoczynające się wkrótce permanentne rozmowy. Bądź co bądź tu i ówdzie znów coś się dzieje. Obniżone zostaje oprocentowanie. Papież planuje mnóstwo podróży. Letnia wyprzedaż ożywi gospodarkę. A nasz pan Matzerath chce obchodzić urodziny, kończy sześćdziesiątkę; na tę uroczystość, Damroko, proszę cię, jesteśmy serdecznie zaproszeni. Ale ty pozostajesz niewzruszona, jakby to wszystko – papież, Bruksela, letnia wyprzedaż – było tylko urojeniem, zwykłą fikcją...

Urwała się jej organowa gra. Żadnego echa. Złakłem się. Nie sposób było namacać ani jej, ani maleńkiej ławki przy organach. Znów przypasany w mojej kapsule kosmicznej, słyszałem ją. Boleśnie oddalony jej obraz wypełniał monitor. Moje jękanie się: Ale ja przecież chciałem tylko parę średnioterminowych danych...

To wibrujące R. Jej na Przedpomorzu ukształtowany głos: Nie gadaj trzy po trzy. Powoli powinieneś zrozumieć, że wy, łącznie z trzecim programem, istniejecie już tylko w naszych snach. Albo – przy całej miłości – jeszcze wyraźniej: dopóki my i powierzone nam szczerze plemiona gotowe jesteśmy pamiętać was, Bogu podobnych samoniszczycieli, poty istnieje ludzkie życie, a więc i ty, jako coraz słabsze odbicie. Nawiasem mówiąc ubolewamy nad zanikiem naszej pamięci, nad tym blednięciem niegdyś wyraźnych obrazów. Walczymy z tym, nie jesteśmy bezczynne. Na razie w Dworze Artusa, później w ratuszu urządzimy muzeum, w którym zostaną umieszczone

pozostałości z czasów człowieczych w celu pouczającego oglądania. Wciąż jeszcze sporo można znaleźć na waszych śmietniskach. A i poza tym w piwnicach, składach zostało trochę okazałych rzeczy: maszyny do pisania, aparaty telefoniczne, kamera filmowa, nie uszkodzony Volkswagen, części zamienne i akcesoria, nawet nie najgorzej zachowany fortepian Bechsteina. Również owa prastara kobieta ze swoim pędrakiem nie powinna dłużej pokrywać się kurzem na organowej emporze, lecz jako częśćka naszych zbiorów zaznać wreszcie spokoju. I oczywiście, jak to czyniły już przedtem szcurze plemiona, zrobimy wszystko, aby zachować kruszącą się substancję budowlaną miasta Gdańsk. Bóg świadkiem: pracy i znoju pod dostatkiem.

Po serii błagań i pochlebstw, przy których czas niewymiernie upływał, wolno mi było odpiąć pasy i znów być blisko niej. Pod jej opieką zobaczyłem muzeum schyłku ludzkich dziejów. I widziałem, jak grupy szcurów, oprowadzane przez pouczających watsoncricków, przemykały krętymi schodami na górę, przemierzały spieszenie ratuszowe sale. Panował widoczny porządek. Wszystko na swoim miejscu. I czego tam nie było!

Popatrz tylko! zawołała moja ukochana, która jak na święto pod kaskadą kędziorów miała bursztynowy naszyjnik mojej Damroki, popatrz tylko, ile tego po was zostało.

Zobaczyłem fotel dentystyczny, a obok odpowiednie narzędzia. Mały komputer obok staroświeckiej wagi kupieckiej. Dużo dzieł sztuki, w tym rzeczy gotyckie. Proszę sobie wyobrazić: porcelana! Ale też lekka i ciężka broń: rakiety przeciwlotnicze! Obok zapraszająco urządzony dział zabawek, upstrzony przez rozstawione pojedynczo i grupowo smerfy: tego z siekierą, te z kosami, dwa z raketami tenisowymi, tego, co lizakiem reguluje ruch, próżniaka, sprzedawcę owoców, kilka smerfów, przypisanych zbudowanej ze znajomością rzeczy miniaturowej kolejce i stojących na peronie; wszystkie sympatyczne jak zawsze. Zobaczyłem sprzęty kuchenne: miksery i tostery, widziałem wyposażenie policji: pałki, kajdanki, hełmy z przyłbicami. Zobaczyłem resztki ludzkiej historii z przeważnie niemiecko-polskimi

odniesieniami: między orderami i plakietkami także „Solidarność”, napis z kutego żelaza, którego czwarta od końca litera wciąż jeszcze trzyma białoczerwoną chorągiewkę.

Ach! i to jeszcze. Czego nie chciałem widzieć – No popatrz! wołała, popatrz sobie – zobaczyłem jako cząstkę mojego dzieciństwa: ów położony między Zalewem a Bałtykiem obóz koncentracyjny, który nazywał się Stutthof i był tylko jednym z ponad tysiąca sześciuset obozów, rozpościerał się jako świadectwo człowieczej historii w modelarskim odtworzeniu, nie zapominającym o piecach, o żadnym baraku.

W drodze powrotnej zobaczyłem globus, którego odwiedzające muzeum szczury chętnie by dotknęły i wprawiły w ruch, ale nie wolno im było tego zrobić. A kiedy w dziale książek, gdzie, jak przy instrumentach muzycznych, panował duży tłok, pośród wielu, wszelako dość obszarpanych książek odkryłem kilka wielkich dzieł polskich, *Pana Tadeusza*, *Ferdydurke*, rozglądałem się za nim i jego babką. Ale dopiero w Czerwonej Sali ratusza, gdzie dawniej wisiał obraz *Grosz czynszowy*, znalazłem mumię Anny Koljaickowej i jej wnuka. Wreszcie zaznała spokoju. Na poły osłonięta łamliwą materią, on u jej stóp. Czegoś jednak brakowało.

Poszeptałem z moją najdroższą. Uśmiechnęła się, a jakże, owa piękno włosa, w której wyczuwam moją Damrokę, uśmiechnęła się i pozwoliła, żeby pozostający w znośnym stanie blaszany bębenek, który wpadł mi w oko w dziale zabawek, przeniósł się do ratuszowej sali. Załatwili to dwaj pełniący dyżur Neoszwedzi. Oskar dostał, czego mu brakowało. Śmiejąc się zawołała moja najdroższa: Jak to się dawniej mówiło? Porządek musi być!

Później, przeniesiony w inne miejsce, a ściślej: zamknięty w mojej kapsule, usłyszałem ją, nie widząc na ekranie jej zmanipulowanego powabu: Widzisz, że nie szczędzimy trudu. Wiele przedmiotów znalazło się na terenie miasta, inne, choćby skorupy kaszubskich wyrobów garncarskich, zostały dostarczone. Zgodnie z naszymi zamiarami obraz człowieka nie powinien całkowicie się zatrzeć. Toteż jest wręcz obowiązkiem szczurzych plemion



pamiętać o człowieczej wielkości i zarozumiałości; przy czym przyznaję, że my, człekoszczury albo, jak ty mówisz, szczuroludzie, musimy czasem wywierać presję. Zarządzamy odwiedzanie muzeum. Jako że mamy pod kontrolą zapasy ziarna i zboża, nie nastęcza nam większych trudności zapewnienie wykonania naszych poleceń. To, że przyznając uprawiającym rolę szczurzim plemionom tytuły własności, jeśli nie uzależniliśmy ich od siebie, to pozyskaliśmy sobie, ma następstwa: już ziemia od ujścia rzeki po okolice pagórkowate jest podzielona. Wszystkie plemiona wystawiają kolumny transportowe, bo wszystkie zapasy są składowane centralnie. Jedynie miasto pozwala na orientację. Rozdziela się tutaj. I to my rozdzielamy. Nikt nie musi głodować dzięki temu systemowi, którego dewizą jest znośny niedostatek...

Tutaj urwała. Od gadania przeszła do zamyślenia. Po pauzie, jaka pozostała mi na gry z innymi rzeczywistościami – wywoływałem terminy, rychłe uroczystości urodzinowe – usłyszałem ją zatroskaną: Przyglądamy się rozwojowi sytuacji nie bez wątpliwości. Pojawiło się niebezpieczeństwo możliwych nawrotów do nazbyt dobrze znanych zachowań człowieczych, zwłaszcza że posiadaliśmy umiejętność krzesania ognia, a to, jak wiesz, będzie miało konsekwencje, nie, już ma. My, człekoszczury, dusimy, gotujemy, smażyjemy nasze kolby kukurydzy, podobnie jak zwierzynę upolowaną przez szczury rolnicze, która ostatnio musi być odstawiana w całości, ponieważ my wprost nienasycenie łakniemy mięsa pieczonego na ogniu. Pewnie, one robią, czego się od nich oczekuje. Ale to nie wystarcza, nie wystarcza w coraz większym stopniu. Nasze wysiłki zaradzenia brakowi mięsa przez gospodarkę planową przynoszą bardzo powolne efekty.

Jej relacja prześcignęła moje przypuszczenia: Jako że w kilku regionach, zwłaszcza na żyznych Żuławach, populacje nadmiernie wzrosły, trzeba było postanowić rozrzedzenie szczurzich plemion drogą selekcji, na razie w delcie Wisły, gdzie osiedliły się plemiona przybyłe z Rosji i Indii, później obejmie to kaszubskie zaplecze, gdzie mają swoje parcele autochtoni, przemieszani z

przybyszami z Niemiec. Koncentrujemy szczególnie krzepkie młode zwierzęta na wydzielonym terenie...

Właśnie! zawołała, zgadłeś: w miejscu naszego lądowania, gdzie wciąż jeszcze stoi przycumowany wrak statku, w dni świąteczne dostępny dla zwiedzających, na tak zwanej Wyspie Spichlerzy karmimy wyselekcjonowane młode szczury ziarnem słonecznikowym i zbożem wysokiej jakości aż do przesyty i dojrzałości rzeźnej. Jako że udało się nam utuczyć szczury jadalne grubo ponad normalną wagę, w najbliższej przyszłości, nawet jeśli poza sezonem żniw z gołębiami będzie kruch, mamy zapewnione dobre zaopatrzenie w mięso na pieczeń. Odkąd prowadzimy garkuchnie, już teraz właściwie niczego nam nie brakuje. Zawsze coś dusi się, smaży. Powinniśmy być zadowolone, poprzestać na tym, co jest. Jednakże niedawno, ponieważ ostatnie zbiory jęczmienia wypadły nadzwyczajnie, zaczęło się warzenie piwa, chociaż o tę nowość na radzie Neoszwedów długo się spierano. W pasażu Zbrojowni, na kilku przedprożach Mariackiej i w piwnicy ratusza prowadzi się wyszynk. Z umiarem naturalnie i zawsze pod kontrolą. Grupowe pijaństwa wymagają zezwolenia i odbywają się pod nadzorem. Ale kiedy niedawno świętowano dzień Wielkiego Bum-Bum – była to siedemdziesiąta piąta rocznica – nasi zaprezentowali przybyłym szczurzym delegacjom wręcz obrzydliwe widowisko: hordy zataczających się na Długiej, fontanna Neptuna zarzygana...

Wszystko to martwi mnie, najdroższy, powiedziała i znów była blisko mnie na maleńkiej organowej ławce. Grała preludium. Brzmiało smutno, jak *Pasja*. Ach, Damroko!

W poszukiwaniu tego, co różni nas od zwierząt,  
jako specyficznie ludzką zdolność  
chętnie wymienia się miłość.  
Nie ma się tu chyba na myśli miłości bliźniego,  
która wśród zwierząt częstsza jest niż u ludzi,  
chodzi raczej o Tristana i Izoldę  
oraz inne przykładowe pary,

które trudno sobie wyobrazić  
nawet pomiędzy łabędziami.  
Niewiele wiemy o wielorybie i wielorybowej,  
ale takie sceny jak między Faustem i Małgorzatą  
byłyby dla tych wielkich ssaków obce,  
jeśli nie nienaturalne.

Wyżej od ryków jelenia stoi *Pieśń nad Pieśniami* Salomona.  
Nic małpiego nie dorówna kochankom z Werony.  
Nie słowik, nie skowronek, tylko człowiek  
kocha za wszelką cenę, poza sezonem, do szaleństwa  
i poza grób.  
Jak wiadomo, zakochani  
chcieliby nawet zjeść się nawzajem.  
To prawda, najdroższa: z miejsca i bez reszty.  
Przedtem jednak – przy dźwiękach lutni –  
usmażymy sobie  
dwa soczyste sznycle z wieprzowiny.

Proszę cię, przyjmijmy zaproszenie. Popatrz, kazał je wydrukować, trochę głupio, pismem Sütterlina. Nie będzie wielkiego spędu, tylko najbliżsi przyjaciele. O tobie wspomniał specjalnie w odręcznym dopisku: „...i proszę, niech Pan przyjdzie ze swoją Damroką...” Ubrać możemy się jak dusza zapragnie. On prosi o odpowiedź. (Malskat podobno niestety odmówił.)

Przyszliśmy za wcześnie. Na razie niewielu gości. Wśród nich owe wybrane przez niego długonogie panie, które stale wyglądają jak pielęgniarki po cywilnemu: tyle nużącej pieczołowitości. On jeszcze się nie pokazał. Damroka była w swojej złotozółtej. Na prezent wybrałem nielegalnie wydrukowany w Polsce przekład jego wspomnień: rzadkość w dwóch tomach na nędznym papierze. (Dopiero niedawno ukazało się legalne wydanie i zostało szybko rozchwyte.)

Tylko paru panów z produkcji, jego prokurent, panie z działu handlowego, dwaj japońscy kontrahenci i kilku filmowców z nazwiskami, którzy są mu mniej lub bardziej zobowiązani, wśród nich wieczny młodzieniec w smokingu i butach alpinisty, który lubi, żeby jego geniusz wyżywał się w lasach dziewiczych, na piaszczystych pustyniach lub – jak kiedyś Luis

Trenker – w nader wysokich górach. Do tego profesor szczególnego kalibru i nie ogolony poeta, który wciąż spoglądał ponuro, chociaż jego towarzyszka o dziecięcym wyglądzie jest trochę podobna do owej Marii Truczyńskiej, która jako młoda dziewczyna, zanim została panią Matzerathową, lubiła nosić na szyi drewniane korale. Ale Maria, która rzeczywiście przyszła i do obcisłego kostiumu włożyła prawdziwe perły, nie zwróciła uwagi na młodocianego sobowtóra niepokojąc się o swego syna Kurtusia, tego grubawego gamonia, który natychmiast skierował się do bufetu.

On wciąż jeszcze się nie pokazywał. Półgłosem informowałem Damrokę, kto jest kim w mniej więcej kompletnym gronie urodzinowych gości. Profesora już znała. – Ten starszy kelner – mówiłem – co podaje zbyt słodkiego szampana, to jego szofer Bruno, nadający się do wszystkiego.

Początek września. Na dworze babie lato. Przez wychodzące na werandę okna sączyło się wieczorne światło. Damroce nie podobał się geniusz w butach alpinisty: – Ten to ciągle przegląda się w lustrze. – Ponad luźno ugrupowanym zgromadzeniem unosił się głos profesora, który przemawiał jakby do dużo większej publiczności. Nawiązując do przedłużającej się nieobecności gospodarza wskazał na swoje zasadnicze wywody na temat roli autsajdera. Jeden z filmowców, któremu nie tak dawno temu udało się w swoim filmie pójść śladem młodych lat solenizanta, potwierdza: Właśnie to, przykładowe autsajderstwo Oskara chciał pokazać.

Pojawił się on. Nie, jak oczekiwano, przez podwójne drzwi, lecz bocznym wejściem, które chciałoby się nazwać ukrytymi drzwiami, wszedł nasz pan Matzerath między swoich gości. Z opóźnieniem dostrzeżony, zbierał brawa.

Widzieliśmy, że był zakłopotany. Nie chciał przyłączyć się do żadnej grupki. Cały w dużą kratę. Czy miał zapotniałe okulary? Niepewnie lustrował zgromadzonych, nie dostrzegł mnie, mimo Damroki, odczuł chyba brak tego i owego, na pewno Malskata, nagle wyprężył się i przed wszystkimi gośćmi powitał Marię, która do pocałunku w policzek musiała się pochylić, co jego wyrosłej na matronę młodzieńczej miłości od dawien dawna sprawiało

przykrość. Kurtuś pożywiał się daleko przy bufecie: kanapki z łososiem, pieczeń wieprzowa z chrupiącą skórką.

Potem nasz pan Matzerath był obłożony. Przyjmował gratulacje za gratulacjami. (Owemu filmowcowi, który za radą profesora dostrzegł w nim autsajdera, okazał większą serdeczność niż mnie, któremu zawdzięcza swój stały cewnik.)

A czego to nie dostał w prezencie! Na długim stole leżały paczuski, nawet paczki. On rzucił tylko okiem na to, co było rozpakowane, ale polskie wydanie jego wspomnień zdawało się go cieszyć: – Lepiej późno niż wcale.

Kiedy przedstawiłem mu Damrokę, która przerasta również mnie, i on, zadzierając łysą głowę, popatrzył na nią, wyszedł mu ów uśmiech, który każdego, kogo dotyczy, przyprawia o nagłe gorąco i zarazem zimne dreszcze. – Rozumiem – powiedział, nic więcej. Potem był znów obłożony.

Dużo jeszcze dałoby się powiedzieć o początku urodzinowego przyjęcia. Chociażby: bufet, otwarty niebawem, został zaopatrzony po cenach specjalnych przez dział delikatesowy Marii. Po otwarciu tarasu Japończycy pospieszyli pstrykać grupowe zdjęcia z solenizantem, w tym i takie, które ukazuje Oskara między Damroką a mną. Albo: Kurtuś natrętnie opowiadał naszemu panu Matzerathowi o swoich długach mówiąc do niego „braciszku”. Albo: wieczór u schyłku lata, bez komarów, wesoły nastrój, złote... Ale oto jestem zmuszony rzucić cień na tę uroczystość, zapowiadającą się tak naturalnie i tylko na marginesach sztuczną.

To Bruno wniósł wiadomość na srebrnej tacy jako telegram. Inne telegramy i pilne gratulacje składał dotychczas jedne na drugich na stole z prezentami, ten wniósł. Być może maniera Bruna spowolnionego, jakby na przekór oporom, wnoszenia szczególnych wiadomości nakazywała urodzinowemu towarzystwu stopniowe zamilknięcie; po mnie zauważył to ów filmowiec, który przez jakiś czas podążał śladem spraw Oskara, potem profesor, wreszcie wszyscy poczuli, że coś tu się dzieje według cudzej reżyserii.

Mówiłem już, że nasz pan Matzerath do czytania zdejmuje okulary? Trzymał je z boku, odchylając mały palec. Przeczytał, rozejrzał się, w pełni panował nad swoją niebieskookością, która potrafi przejrzeć wszystko, krótkim gestem przywołał Kurtusia, powiedział do niego: – Mój synu – dalej: – Ona była twoją prababką – i poprosił go o odczytanie telegramu. Nadany w Matami przez księdza z parafii o tej samej nazwie tekst telegramu donosił o śmierci Anny Koljaiczkowej. Zasnęła na zawsze, jak napisano, dożywszy biblijnego wieku. Kurtuś nie stanął na wysokości zadania, jąkał się, sylabizował; „wraz z panem jesteśmy pogrążeni w żałobie”, głosił na zakończenie telegram.

Bruno musiał się domyślać, jak nasz pan Matzerath przyjmie śmierć swojej babki: dolał wszystkim tak rozważnie, że życzenie Oskara, by wraz z nim wznieść kieliszek za pamięć Anny Koljaiczkowej, mogło być spełnione natychmiast. Potem solenizant poprosił gości o nieskładanie kondolencji i dalsze uczestnictwo w uroczystości, mimo cienia, jaki na nią padł, tak jakby sobie tego życzyła zmarła.

Goście więc pozostali, wyszedł tylko Kurtuś. Wszyscy stali w grupkach i rozmawiali przytłumionymi głosami. Kiedy nasz pan Matzerath poprosił, żeby wolno mu było usiąść, stanęła przy nim Maria. Siedział jak zagubiony w zbyt obszernym fotelu, lakierki w znacznej odległości od podłogi. Damroka powiedziała: – Widzisz, ona trzyma go za rękę. – Gest Marii nie był przelotny. Póki on siedział, ona go wspierała.

Nie pamiętam już, kto prócz mnie prosił profesora, żeby z tej okazji przemówił, prawdopodobnie filmowcy i poeta; w każdym razie wygłosił on improwizowaną, a mimo to tak obszerną mowę, jak gdyby jego wspomnienie pośmiertne o Annie Koljaiczkowej miało objaśnić świat i jego położenie. – Wszyscy wiemy, co ucieleśniała – powiedział, aby zaraz wyjawić, co wszyscy wiedzieli: – To trwające wiek cały i dłużej wytrzymywanie i znoszenie strasznej, co więcej: barbarzyńskiej historii. Pewnie, ona żyła na skraju, ulegała czasowi. To raczej jej wnuk włączał się, był aktywny, tak jest,

również winny. Ale bez niej, która pozostawała zawsze, gdzie była od początku, na owych kaszubskich polach, będących – jak tymczasem wiemy – całym światem, nasz autsajder i nader wątpliwy bohater byłby pozbawiony miejsca, jakby zatracony.

Potem profesor przypomniał trzydzieste urodziny Oskara i powiedział z humorem znawcy wszystkich, choćby najbardziej ukrytych szczegółów: – Wówczas sądził, że zdoła odsunąć się od nas. – Potem nazwał późniejszą egzystencję naszego pana Matzeratha typową dla lat pięćdziesiątych, opowiedział też o sobie i swoim autsajderstwie oraz króciutko, ale nie bez krytycznych podtekstów, wspomniał Matzerathową produkcję video: – Nasz przyjaciel ma tego bzika na punkcie mediów. – Po zdaniu ubocznym, które dotyczyło mnie, i uprzejmościach pod adresem Marii zakończył słyszalnie dla wszystkich: – Ale teraz Oskar znów jest całkiem nasz!

W ten sposób zacieniona uroczystość urodzinowa wzięła jednak wesoły obrót. Gratulowano mówcy. Gdyby moja Damroka nie wciągnęła go w dłuższą rozmowę o wczesnobarokowej muzyce kościelnej, profesor byłby w końcu bardziej wysławiany niż solenizant. Potem zajęła go opisem swego rejsu po Morzu Bałtyckim, który nie opuszczał żadnego etapu: Møns Klint, Visby, Zatoka Greifswaldzka... – Ale chełbi – powiedziała – mam teraz dosyć. – W końcu Oskar, początkowo jeszcze z dłonią w dłoni Marii, wmieszał się ponownie między gości.

Przypadkiem dowiedziałem się, że o produkcji *Lasów Grimmów* na razie nie ma co myśleć. Poinformował mnie o tym prokurent firmy Post Futurum. W najbliższym czasie, jeśli to mnie pocieszy, ma być podjęta sprawa Malskata. Pan Matzerath, jak słyhać, jest przekonany, że klucza do naszej przyszłości trzeba szukać pośród złogów lat pięćdziesiątych.

Filmowcy mówili o swoich najbliższych planach. Z niezrozumiałych przyczyn zasepił się poeta. Maria wyszła nie pożegnawszy się ze mną. Głupio wdałem się w dyskusję z geniuszem. Jak to dobrze, że profesor, a wraz z nim Damroka pozostali w dobrym humorze. Nauczyli nawet poetę

uśmiechać się mimo nieogolenia. I jak to miło ze strony naszego pana Matzeratha, że zaklaskał w rączki prosząc o uwagę.

Jakby dla stosownego zakończenia uroczystości zapowiedział projekcję, jak się wyraził, „w przeważającej mierze prywatnego filmu”, który jednak za sprawą „smutnej wiadomości” stał się interesujący dla szerszego grona. Obejrzelśmy więc wszyscy ową produkcję Post Futurum, która z biegiem czasu traktuje o minionych zdarzeniach. Bruno zaciągnął zasłony odcinając nas od wieczornego słońca, ustawił krzesła w luźnym porządku, przesunął na środek aparat z dużym ekranem, jeszcze raz nalał wszystkim i włożył potem do magnetowidu kasetę: *Sto siódme urodziny czcigodnej Anny Koljaiczkowej z domu Brońskiej*.

Jak to dobrze, że została pokazana ta wiejska uroczystość; bo gdyby Oskar prefabrykował miejską uroczystość swych sześćdziesiątych urodzin, musiałbym teraz relacjonować, jak wierne w szczegółach są jego przewidywania: wszystko, delikatesowy bufet Marii, policzona każda kanapka z łososiem i gęsina, wszyscy goście, więc także zarost poety, złotożółta suknia mojej Damroki, owe buty alpinisty włożone do smokingu, wreszcie telegram na srebrnej tacy, jak Kurtuś go sylabizuje, jak profesor, przymuszony do wykładu, sięga do Adama i Ewy, również sam pan Matzerath, niewielkiego wzrostu, ubrany w dużą kratę, wszystko, powiadam, byłoby przewidziane, wydarte przyszłości i oddane do produkcji, łącznie z dłonią Marii na jego małej dłoni; ale on oszczędził nas i zakończył swoją uroczystość w paradnej izbie Anny Koljaiczkowej.

Kiedy Damroka i ja z ostatnimi gośćmi tłoczyliśmy się przy szatni, nasz pan Matzerath jeszcze mnie odwołał. – Pomówmy o faktach! – zawołał. – Policzył pan palce tych watsoncricków, porządnie od jednego do pięciu? Niech pan to zrobi, niech pan to zrobi szybko!

Przy najbliższej okazji policzyłem. Jak wszystkie smerfy, którymi Oskar przyjechawszy do Polski obdarował kaszubskie dzieci, ażeby były szczęśliwe, wszyscy Neoszwedzi, skoro tylko śnią mi się na zbliżeniu, a więc



i moja kędzierzawa piękność siedząca na organowej ławce, mają prócz kciuka tylko po trzy palce u każdej dłoni. Mimo to są jak smerfy zręczne, widziałem przecież, jak umiejętnie posługują się tym czy owym, aż każde człowiecze żelastwo przypomni sobie swoją funkcję: klucz maszynowy, młotek, koło i cyrkiel. Nie tylko w dźwiękach rozkazów ich mowa wydawała się zesmerfiona; skoro tylko wsłuchałem się dokładnie, okazało się, że w co trzecim słowie tkwiła zgłoska „smerf” jako przedrostek bądź końcówka, jako łącznik. Najadali się do smerfsyta i byli, stosownie do swego skandynawskiego pochodzenia, małosmerfmówni.

Nasz pan Matzerath uważa, że gotlandzkim manipulatorom genetycznym musiało sprawiać dziecięcą przyjemność zaprogramowanie swym chimerym prócz czteropalcej dłoni owego plastikowego szwargotania, którego infantylny podkład znany był schyłkowo człowieczym badaczom od dziecka. Wolno byłoby nawet dopatrywać się w tym lingwistycznym zabiegu poważnego zamysłu uniwersytetu w Uppsali, żeby pogodzić szczurze i ludzkie skrajności na gruncie potocznej mowy.

I rzeczywiście: watsoncrickom z czasów ich lądowania i zasiedlania Wyspy Spichlerzy nie można odmówić umiarkowanie zrównoważonej, nazwijmy to: socjaldemokratycznej postawy. Ich głosowaniom i debatom nie było końca, słyszało się takie pojęcia jak socjalsmerfowy smerfoporzadek i smerfokracja. A szczurze plemiona przysłuchiwały się, co prawda z daleka, ale chętne do nauki. Nie mogło więc dziwić, że także ich mowa w fazie drugiej przesuwki przejęła smerfoskróty; toteż nasz pan Matzerath, któremu od dzieciństwa, i to na długo przed pojawieniem się smerfów, ich istota nie była obca, w swoim filmie video na temat postczłowieczych dziejów chce umieścić śródtytuły następującego rodzaju: Dzięki smerfiej naturze świat pożyje dłużej!

Niestety nie pożył. Wszystko znów potoczyło się na opak. Do mojej gwiazdkowej szczurzyni powiedziałem po *Szkole dla wszystkich*: – Widzisz, teraz Neoszwedzi żrą tłuste szczury z różna. – Musiało do tego dojść. Za

dużo jest w nich człowieka. Szczurzyca, która mi się śni, nie chce już przypominać pospolitego szczura wędrownego, chce mieć piękne kędziory jak Damroka.

A może to ja nie chciałem już śnić o tobie, szczurzynko, może ja zażyczyłem sobie jeśli już szczurzyca, to zmanipulowanej?

Czy tak się śni, czy owak, to niemożliwe, żeby te nipie miały przyszłość. Precz z nimi! Wychodź, szczurozwierzu! Powiedz: My ich jeszcze załatwimy. One same się wykończą, a my pomożemy. Wypadli za bardzo po ludzku.

Dopiero gdy trzeci program przyniósł komunikat o stanie wód na Łabie i Saali, wyszła z ukrycia. Przeciągała się, wietrzyła jak zwykle, postąpiła chwilę między miską z żarciem a butelką ze smoczkiem i powróciła do swej półmrocznej nory dopiero, kiedy zaczęła się audycja *Polityka w południe: Nikaragua i nie widać końca*.

Jaka jest dorosła, chociaż wciąż jeszcze rośnie. Zgadza się: Trzeba skończyć z tymi manipulacjami! I nawet nasz pan Matzerath, którego film video chciał właściwie zapewnić przyszłość człecoszczurom, wkrótce po swych sześćdziesiątych urodzinach wyraził w ostatniej mowie wątpliwości.

– Widzi pan – powiedział odstawiając w bok tę nogę, na której nie opierał się ciężar ciała – od dzieciństwa byłem zdany na media. Blaszaną rzecz przypisałem więcej siły, niż w sobie miała – i doznałem żalostnego niepowodzenia. Mój głos, który rzeczywiście był przenikliwy, posądzano o więcej czynów gwałtownych niż te, do których gotów byłbym się przyznać; ale straciłem moje chroniące medium w złych czasach. Kiedy potem zaczęło się poprawiać i fałszywe pięćdziesiątki robiły nadzieje na więcej i więcej, musiałem, jako że utrata głosu była ostateczna, sięgnąć z powrotem do blachy mojego dzieciństwa. Ożywiając na nowo przestarzały instrument i wywołując na nim przeszłość, zdołałem tak długo zapełniać sale koncertowe, aż każdy miał dość tego, co przeszłe. Żyłem więc jako tako z procentów i wspomnień, chciałem już dać za wygraną i pozostawić ostatnie słowo

czającej się stale czerni, ale przysłużyły mi się nowe media. Szczególnie odpowiada mi intymna kasetka video. Nadaje się do domowego użytku. Krótko mówiąc: znalazłem swoją lukę na rynku, produkowałem uświadamiającą erotykę na poziomie nieco wyższym od przeciętnego, potem jednak, kiedy można było coraz wyraźniej przewidzieć koniec wszelkiej ludzkiej historii, odkryłem pole działania, które odpowiada moim talentom. Po ostatnim spojrzeniu wstecz, jakie winien jestem sobie i malarzowi Malskatowi, z wypłynięciem statku „Nowa Ilsebill” powinien zostać udokumentowany nasz schyłek i antycypowany przebieg postczłowieczej historii. Życzyłbym wszakże Neoszwedom więcej szczurzego instynktu i mniej ludzkiego rozumu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sytuacja domaga się radykalnego rozwiązania. Niepokój ogarnia ujarzmione szczurze plemiona. Niestety wszystko potoczy się z góry ustalonym trybem. Żeby zaryzykować prognozę, a jednocześnie posłużyć się słowami mojej niedawno zmarłej babki: Nic z tego ni pozostanie.

Zaczyna się nie na Żuławach, tylko na Kaszubach. Ze skraju pól kukurydzy i jęczmienia znikają podwójne posterunki nipli. Giną na wielkich połaciach słonecznikowych upraw. Napadnięte nagle przez szczury, coraz więcej szczurów, kończą służbę strażniczą. Wygląda to dziecinnie łatwo. Jak zabawa w złodziei i policjantów. Można było to zrobić już dawno temu. Szczury, które dopiero co jeszcze mogłyby być pieczonymi na żarze z kukurydzianych łodyg tucznikami, ogryzają kości z manipulowanego mięsa.

Nie, źle. Zanim zaczniesz się na Kaszubach, potem na Żuławach, dochodzi do czegoś. Ów kuty w żelazie napis, który ostatnio był muzealnym eksponatem w ratuszu, znika. Neoszwedzi odczuwają wprawdzie brak żelaznego pisma, nie przywiązują jednak do kradzieży szczególnej wagi – niekiedy kradziono to i owo, na przykład pojedyncze smerfy – ale popełniają błąd lekceważąc, nazbyt pewni swej władzy, wymowę kutego w żelazie pisma i jego sięgające czasów człowieczych znaczenie. W każdym razie,

odkąd żelazne słowo zostało wprowadzone i oddziałuje w podziemiu, stopniowo załamuje się wszystko, co stworzyły watsoncricki dla zabezpieczenia swojego systemu.

Pewnie, przybywają nowi nadzorcy. Ale i oni giną na polach, przepadają, bywają znajdowani już tylko jako szkielety. Transporty kolb kukurydzy i słonecznikowych koszyczków kwiatowych, dostawy jęczmienia i soczewicy opóźniają się, bywają zakłócanie, docierają coraz rzadziej do miejskich magazynów centralnych w Wielkim Młynie, hotelu Hevelius, Zbrojowni, Teatrze Miejskim i stołówce stoczni Lenina, wreszcie całkiem ustają. Karne ekspedycje uderzają w próżnię, bywają wodzone na manowce, rozpraszają się w nanosach nadwiślańskich nizin, na pagórkowatych polach Kaszub, wyczerpują siły i wracają zdziesiątkowane. Kiedy ekspozytury w Kartuzach i Nowym Stawie, w dodatku w pobliżu wybrzeża owo strzeżone gruzowisko, które dawniej nazywało się Oliwa, są zagrożone, już nie do utrzymania, Neoszwedzi wycofują się za pas zieleni wałów szlamowych na teren miasta. Opuszcza się kazamaty w Grodzisku. Potem rezygnuje się z Biskupiej Górki.

Teraz dopiero watsoncricki poważnie zaczynają szukać zaginionego eksponatu. Podejrzane są wszystkie zakrystie, piwnice stoczniowej stołówki. Podobno widziano skradziony napis raz tu, to znów tam. Nic z tego. Jedynie pogłoski się wzmagają. W obrębie Wyspy Spichlerzy, na której terenie skoncentrowane są ciasno słoczone młode tuczne szczury, w trakcie akcji poszukiwawczych, które nie doprowadzają do znalezienia napisu, dochodzi do starć: dla odstraszenia trzeba zarządzić masowy ubój. Również na terenie stoczni Lenina, a także w owych kościołach, które cieszą się złą sławą miejsc potajemnych zgromadzeń szczurów – na przykład Święta Brygida – poszukiwanie słowa nie daje rezultatu. Przy tym wisi ono w powietrzu, szeptem przekazywane wciąż i wciąż. Zakazane zostaje wymawianie przeklętego, niewypowiedzianego. Nawet zesmerfione przekazywanie czterogłoskowca jest objęte zakazem. Ponieważ w stanie nietrzeźwym niejednokrotnie wyrzaskiwano to słowo na całe gardło i ponieważ i tak nie

ma już dostaw jęczmienia, od zaraz zabronione jest wszelkie warzenie piwa.

Bezradnością tchną podwójne kordony strzegące Zbrojowni, Młyna, hotelowego wieżowca, wszystkich składów, bo Neoszwedzi jeszcze nie przeczuwają, że ich zapasy zboża i ziarna słoneczników znikają od dołu, ściągane przez podkopy, jakby pod ziemią działało potężne ssanie. Nie da się utrzymać żadnej z wielopiętrowych stert, opadają i opadają. Odkąd zbuntowały się olbrzymie szczury tuczne i opanowały swoją tuczarnię, potem całą Wyspę Spichlerzy, a na koniec Ołowiankę, tak że z neoszwedzkiej administracji skoncentrowanego obozu mięsnego nie pozostało nic prócz kości i jasnowłosej sierści, zaczyna się głód, zaczyna się zagładzanie człecoszczurów.

Widzę je niepewne, bojaźliwe. Już ani śladu skandynawskiego spokoju i gotlandzkiej śmiałości. Kryją się w rzędach kamienic Głównego i Starego Miasta. Przechadzanie się po ulicach, choćby po Mariackiej, po Długiej, do jakiego nawykły, stało się niebezpieczne. Ponieważ szczurzym plemionom udaje się przez wciąż jeszcze otwarty system kanalizacyjny przeniknąć do wszystkich domów ze starego i nowego budownictwa, przeciskając się, szczur za szczurem, przez idące w górę przewody, sytuacja Neoszwedów również od wewnątrz staje się niepewna, nietrwała. Ich ostatnie schronienie to Maria Panna. Tę wiadomość przekazuje się wołając od domu do domu.

Widzę, w jakim pośpiechu, choć w zwartym szyku, wycofują się z Targu Drzewnego i Targu Węglowego. Opuszczają Wieżę Więzienną, ratusz i Długi Targ. Ucieczka z Ogarnej przez Kaletniczą. Z Osieku i dawnej Poczty Polskiej uciekają w formacjach klinowych ku Motławie, przez Targ Rybny, Długie Pobrzeże, przez Bramę Świętego Ducha. Przez wszystkie bramy w wielkim ścisku. Z czasem już beładnie ku kościołowi Marii Panny, gdzie wszystkie – na koniec jest ich pewnie ze dwadzieścia tysięcy – umrą z głodu, jeśli nie zdarzy się cud. Ale rozległy kościół halowy nie ofiarowuje im zbawczej ucieczki czy zgoła czegoś cudownego, bo każde spojrzenie w górę ukazuje tylko nowe niebezpieczeństwa: u wszystkich sklepień, na każdej

przyporze aż po zwornik wiszą, powiązane w grona, młode szczury; czekają cierpliwie.

Z wielkim trudem udaje się powstrzymać wybuch paniki. Prócz głodu watsoncrickom doskwiera wkrótce zaraza. Wydaje się, jakby w nich gen walczył z genem. Najwidoczniej z większą mocą przebija się czynnik ludzki. O byle co skaczą sobie do gardła. Duszą się nawzajem. Przybywa padliny i rośnie w środkowej nawie góra trupów. Już muszą wycofać się z okolic ołtarza, teraz z organowej empory, skąd dotychczas rozbrzmiewała od czasu do czasu pocieszająca muzyka, ostatnio passacaglia. Z obawy przed odcięciem od wszystkich wyjść topniejąca resztką zbiera się przy północnym portalu. Jest ich niespełna setka, jest ich z każdym dniem mniej. Próbują zjadać się nawzajem, nie dają rady, budzi to w nich wstręt. Na koniec ostatni Neoszwedzi – jest ich pięciu, nie, doliczam się dziewięciu, dwunastu – podrywają się i opuszczają kostnicę.

Szukają ucieczki przez Mariacką. Wloką się koło przedproży, które są obsadzone przez szczury. Na gzymsach, obramieniach portali, we wszystkich oknach tłoczą się jeden przy drugim. Nie atakuje się ostatniej dwunastki, a jednak już tylko dziewięciu, potem ośmiu, siedmiu wychodzi przez Bramę Mariacką na Długie Pobrzeże. Piędu, z których jedna, wycieńczona, to moja Damroka, chce spod Bramy Zielonej dostać się przez most na Wyspę Spichlerzy, dostaje się, ale kiedy cała piątka, z Damroką na czele, dociera na drugi brzeg Motławy i chce wsiąść na swój statek, widzi, że „Nowa Ilsebill” od dziobu po rufę zamieszкана jest przez szczury.

Czy to nie było do przewidzenia? I jak chcieli przygotować do żeglugi ów wrak, który długi czas jako osobliwość mógł być zwiedzany przez grupowe wycieczki? I dokąd, gdyby diesel zaskoczył, ci ostatni mogliby uciec?

To młode szczury tuczne, nazywane dawniej smakowitymi, zajmują pokład i schodki na śródkręciu, na forkasztelu. Trójka szwedozmanipulowanych stoi jeszcze prosto. Chwieją się, podtrzymują nawzajem. To wzruszający widok, jak słabymi gestami wzywają tuczników

do opuszczenia wraku. Ich pszenicznoblond owłosienie spłowiło, lepi się i kosmaci; ale z niegdyś cynkowozielonych młodych szczurów zrobiły się szarobrunatne, potem czarne: od początku powstania ciemniały, czerniały. W taki sposób szczurze plemiona zbliżyły się jakby wstecz do owego gatunku, który za czasów człowieczych nazywany był *rattus rattus*, czarny szczur domowy i – jak wieść niesie – przyniósł ludziom dżumę.

Kiedy teraz jako ostatnia traci siły moja Damroka – osuwa się na kolana, włosy w strąkach – i pada na pozostałych, na całą piątkę rzucają się czarno szczury. Znikają ciała tamtych. Jeszcze podrygują. Żadnych jednak jęków, żadnej skargi. Ale wydaje mi się, jakbym słyszał dźwięk dzwonów, słabszy jednak, dużo słabszy niż w czasie lądowania watsoncricków.

Śniło mi się, że mogę powziąć nadzieję,  
okruch tylko czy co tam pozostało  
na opróżnionych talerzach, i spodziewać się, że coś,  
nie idea, raczej przypadek,  
szczęśliwym zwany, jest w drodze,  
nie zatrzymując się na granicach,  
i szerzy się, zaraźliwie,  
uzdrawiająca dżuma.

Śniło mi się, że znów mogę mieć nadzieję  
na zimowe jabłka, gęś świętomarcińską,  
na truskawki rok w rok  
i na początki łysiny u synów,  
siwienie córek, pocztówki z pozdrowieniami od wnuków,  
mieć nadzieję na zaliczki, procenty od procentów,  
jak gdyby człowiek znów miał nieograniczony kredyt.

Śniłem, że mogę robić sobie nadzieję,  
i szukam słów na jej uzasadnienie,  
na uzasadnienie robienia sobie we śnie nadziei.  
Próbowałem więc i mówiłem: dobra,  
nowa i mała nadzieja. Po ostrożnej  
powinna być nagła. Nazwałem ją  
zwodniczą, prosiłem, żeby była dla nas łaskawa.  
Śniła mi się jako ostatnia nadzieja,  
z resztką tchu w piersi.

Śniło mi się, że mogę żywić nadzieję po raz ostatni:  
jest sympatia i zrozumienie.  
Każdy rzuca kluczyki od stacyjki gdzie popadnie.  
Przy otwartych drzwiach ludzie są siebie nawzajem pewni.  
Moja nadzieja nie zwodziła: nikt już  
nie jadł chleba nie dzieląc się z drugim; tylko wesołość,  
której się spodziewałem, była co prawda wszechogarniająca,  
ale inna niż nasza: to szczury nas wyśmiewały,  
kiedy również ostatnia nadzieja została roztrwoniona.

No, widziałeś żelazny napis? I przeliterowałeś go? Stał czterosylabowy na śródkręciu wraku i był czytelny, kiedyśmy rzuciły się z pokładu wykańczać tamtych.

To znów ona, roześmiana. Moja szczurzyca jest jednym z czarnych młodych szczurów, wyselekcjonowanych na nadwiślańskich nizinach i skoncentrowanych do tuczenia: Znowu mamy decydujący głos! Po nich nie zostało nic, ani okrucha. Tylko my, widzisz, w przyszłości tylko my, szczury.

Widzę rozmnażające się plemiona. Wolna wreszcie od ludzi ziemia daje im przestrzeń. Morze chce znów obfitować w ryby. Na wzgórzach za miastem rosną gęste lasy. Ptaki wykorzystują niebo. Pojawia się nowa, nie przeczuwana przedtem zwierzyna, w tym nareszcie karmiące piersią muchy plujki. Stary Gdańsk jednak się rozpada. Kruszą się bogato zdobione fasady. Wieże wałą się popękane. Gotyckie szczyty chylą się, odpadają. Powolna ruina, każda wypalana cegła, Maria Panna, wszystkie kościoły dają za wygraną.

A podsumowując rachunek szczurzyca mówi: Tak oto wymazana została najgorsza idea rodzaju ludzkiego. Zniszczeniu uległ jego ostatni twór. To, co głosi ów napis z żelaza, myśmy praktykowały, nie człowiek. Nie świadczy o nim nic, co mogłoby dalej żyć.

Moje wieczne nie. Mogłoby przecież być, szczurzyco, proszę cię, że my, ludzie, ostatkiem nadziei...

Ach tak, zupełnie zapomniałyśmy o tobie, że tak się bez ustanku kręcisz i kręcisz w tej kapsule. No, nowe plany, spotkania?



Mówi chichocząc: Dlaczego nie! Ponieważ człowieka już nie ma, to niech sobie robi jeszcze nadzieje, żebyśmy miały z czego się śmiać, kiedy przy okazji znów nam się przyśnicie...

Reszta ginie w śmiechu, który wzbiera i rozrasta się w obiegającą ziemię wesołość. Nieprzeliczone wieloogoniaste mioty i mioty miotów, które bawią się moim kosztem.

Mimo to, mówię, pozostaje dość nadziei, że nie wy, szczury ze snu, lecz w rzeczywistości my...

My, szczury, jesteśmy bardziej rzeczywiste, niż mogłoby ci się przyśnić.

Ale mimo wszystko musi przecież...

Nic już nie musi, nic.

Ale ja chcę, chcę znowu...

Co takiego, co?

Tylko przypuśćmy, że my, ludzie, jeszcze istniejemy...

Dobra, przypuśćmy.

...ale tym razem chcemy między sobą i w ogóle żyć w zgodzie, słyszysz, w miłości i łagodnie, jak jesteśmy stworzeni przez naturę...

Piękny sen, powiedziała szczurzyca, zanim zniknęła.